

Rene Fulop Miller

ŚWIĘTY DEMON

RASPUTIN

I KOBIETY

Przekład

BERNARD

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

Tytuł oryginału: Der heilige Teufel Rasputin und die Frauen
Wydanie skrócone. Jego podstawę stanowi tekst przekładu
opublikowanego w roku 1932 przez Polski Instytut Wydawniczy w
Katowicach. Dla zachowania specyfiki stylu tłumacza wszelkie zmiany
językowe ograniczono do niezbędnego minimum.

ISBN 83-218-0403-9 © Copyright for the Polish edition by

Wydawnictwo Łódzkie.

Łódź 1985

Wstęp

Pytanie: kim był właściwie Rasputin, od dawna pasjonowało i wciąż pasjonuje nie tylko historyków. Gdzie jednak leży tajemnica jego zadziwiającej kariery, po tylu latach dociekań nie można z całą pewnością orzec. Zagadka pozostaje nie rozwikłana. Do dziś nie bardzo wiadomo, za jaką to sprawą nieokrzesany muzyk, półanalfabeta, rosły chłop o potężnej sile i „obłąkanych” oczach mógł wpływać na życie polityczne rosyjskiego imperium. Siedzenie losów Rasputina jest zajęciem pasjonującym. Jego życie stanowi bowiem wspaniałą pretekst do snucia opowieści o upadku dworskiej kamaryli, o rozkładzie absolutyzmu rosyjskiego i systemu biurokratycznego spowijającego grubymi splotami tron Mikołaja II. Właściwie nie można pisać o ostatnich latach dynastii Romanowów nie przywołując sylwetki osławionego mnicha. Wydaje się, iż zainteresowanie osobą Rasputina było tym większe, im więcej kłopotów z naukowym opracowaniem jego życiorysu i interpretacją roli, jaką odegrał w historii, mieli podejmujący na ten temat historycy, a także im częściej poczynionym przez nich (najczęściej nie do końca przekonującym) ustaleniom dodawano sensacyjnego posmaku i pikanterii. Prawdziwą burzę wokół „świątobliwego” Grigorija wywołały rewelacyjne, wręcz niewiarygodne wspomnienia głównego antagonisty Rasputina i uczestnika zamachu na jego życie — księcia Feliksa Jusupowa. Sensacyjne wyznania Jusupowa, który na emigracji przeżył spokojnie rewolucyjną zawieruchę, nadawały zamordowaniu Rasputina w pamiętną noc grudniową 1916 r. znamiona czynu heroicznego, wręcz nadludzkiego, który w mniemaniu spraw-

cy miał natychmiast odwrócić losy mocarstwa chylącego się ku upadkowi początkując erę świetności. Jusupow był o tym przekonany do końca swoich dni (zmarł w Paryżu w 1967 r.). Wcześniej, jeszcze kilkakrotnie dawał o sobie znać opowiadając mrozące krew w żyłach historie z ostatnich chwil życia „antychrysta” w ludzkiej postaci. Procesował się nawet w obronie honoru i prawdy historycznej. Jednym z ostatnich takich spektakularnych wydarzeń był proces wytoczony przez dumnego księcia amerykańskiej stacji telewizyjnej „Columbia Broadcasting System” za wyemitowanie filmu o Rasputinie bez uprzedniego uzgodnienia z Jusupowem scenariusza, co jakoby wpłynęło na powstanie deformacji historycznej. Głośna ta sprawa długo zaprzętała uwagę dziennikarzy, którzy rozpisywali się o hardym starcu, uzurpującym sobie rolę przywódcy rosyjskiej „białej emigracji” i stróża prawdy o Rasputinie.

Choć od śmierci tajemniczego przybysza z dalekiej syberyjskiej wsi Pokrowskoje minęło prawie siedemdziesiąt lat, niewiele mamy przesłanek, aby pokusić się o w pełni wyczerpującą charakterystykę jego osoby, co więcej, wydaje się, że jest to wręcz niemożliwe do nadrobienia, jeśli uświadomimy sobie, iż obok bogatego materiału wspomnieniowego i pryncypialnego nie dysponujemy dostateczną liczbą dokumentów. Istniejące relacje naocznych świadków wydarzeń są tak rozbieżne, że nie sposób wyrobić sobie na ich podstawie w pełni obiektywnego poglądu. Obok wymienionych rewelacyjnych wspomnień Feliksa Jusupowa w tworzeniu mitu Rasputina jako diabolicznego szarlatana nie małą rolę odegrały wspomnienia posła do Dumy Włodzimierza Puryszkiewicza, wydane po raz pierwszy w Rydze, w 1924 r. Do zrelatywizowania wielu dotychczasowych ocen zmuszały natomiast barwne wspomnienia córki

Rasputina — Matriony (ur. w 1900, absolwentki Liceum Steblin-Kamińska, wziętej w swoim czasie tancerki), które przetłumaczone w latach sześćdziesiątych na kilka języków zdobyły znaczny rozgłos. Jaśniejsze światło na kulisy działalności „świętego demona” rzuciła korespondencja pary cesarskiej, najdobitniej zaświadczająca o wpływach ostatniego „wremieńszczyka” na politykę imperatora. Tu należy się kilka słów dodatkowego wyjaśnienia, jako że psychologiczne portrety cara i jego małżonki stanowią najlepszy klucz do częściowego zrozumienia rasputinowskiej zagadki. Ostatni władca Rosji, jak pisali już niejednokrotnie znawcy

przedmiotu, był człowiekiem przeciętnym, mało energicznym, ulegającym na ogół bardzo łatwo wpływom zewnętrznym, zwłaszcza wychodzącym ze środowiska rodziny Romanowów. W silnym stopniu poddawał się car również wpływom swojej żony — Aleksandry Teodorówny. Był więc Mikołaj II człowiekiem miękkim i chwiejnym. Jego słabość charakteru pogłębiała w dodatku trudna sytuacja rodzinna, brak następcy tronu, tak bardzo oczekiwanego. Caryca Aleksandra, przed zamążpójściem księżniczka Hessen-Darmstadt, w ciągu 12 lat małżeństwa rodziła tylko córki. Kiedy wreszcie w 1904 r. urodził się upragniony syn, wkrótce okazało się, że odziedziczył hemofilię. Fakt ten pchnął silnie egzaltowaną carycę ostatecznie w ramiona mistycyzmu, z którego nie wydobyła się do końca swojego życia, popadając nawet w prozelityzm. Moda na cudotwórców, ludzi o niedostępnych przeciętnemu śmiertelnikowi umiejętnościach, rozpowszechniona jeszcze na długo przed przyjściem na świat carewicza Aleksego, na dobre zadomowiła się w Petersburgu. Akurat wtedy gdy para cesarska drżała o każdy krok swego ułomnego dziecka, pojawił się owiany legendą cudownych uzdrowień Grigorij Rasputin. Fama o jego niewiarygodnych czynach dotarła lotem błyskawicy na dwór carski i wyniosła niebawem przybysza z Syberii na szczyty powodzenia. Pozycję nowego carskiego faworyta ugruntowało poparcie niektórych kół cerkwi prawosławnej, wiążącej z Rasputinem własne plany. Te dwa elementy zadecydowały o intronizacji Rasputina. Wiara carycy w bożą misję jej ulubieńca, a także udane próby tamowania krwi u cierpiącego carewicza były cegiełkami, na których oparła się potęga przemożnych wpływów jurnego chłopca — „Cagliostro w siermiędze”.

Rasputin początkowo był nieco oszołomiony niebywałym powodzeniem i

działał dyskretnie, jawiąc się otoczeniu jako jasnowidz, orędownik sprawiedliwości, obrońca poniżonych i będących w potrzebie. Mit ten był nieustannie potwierdzany przypadkami cudownych uleczeń, np. uratowaniem od niechybnej śmierci po wypadku kolejowym damy dworu i najbliższej powierniczki carycy, Anny Wyrubowej, która odtąd oddała się w wierną służbę Rasputinowi, aż do granic nieprzyzwoitości. Jak pisał świetny znawca dziejów Rosji, prof. Ludwik Bazylow. „Rasputin to jednak nie tylko wino i kobiety, to również nie najgorszy «chłopski rozum», właśnie taki, który w dogodnych warun-

kach najlepiej toruje sobie drogę naprzód bez względu na brak wykształcenia, które w takim marszu mogło być tylko balastem. Niezależnie od tego, czy prawdą jest, że Rasputin leczył młodego w księcia Aleksego hipnozą — trudno zaprzeczyć faktowi, iż jakoś potrafił go uspokajać i łagodzić cierpienia; równie trudno nie przyznać, że utwierdzało to jego wpływy na dworze". Wpływy „starca" stały się jeszcze znaczniejsze od momentu, gdy car zaczął większość czasu spędzać w Kwaterze Głównej w Mohylewie. Podczas jego nieobecności rządy faktycznie sprawowała caryca, która zaczęła nawet korespondencyjnie uzyskiwać od męża zgodę na realizację niektórych propozycji „starca" ingerującego w sprawy polityki i wojskowości, a należy dodać, iż propozycje te były coraz śmielsze i jaśniej precyzowane. Wzmagало to nienawiść do wszechwładnego „wremieńszczyka" w środowiskach rosyjskiej opozycji politycznej. Zaczął pośród niej dominować pogląd, że Rasputin jest winowajcą wszystkich niepowodzeń wojsk rosyjskich i wewnętrznego zamętu w państwie. Doskonałym pretekstem do nieustannego ponawiania tych napaści było nieobyčajne życie „świętobliwego starca". Rasputin miał bowiem i inne oblicze, dalekie od bogobożności. Pielgrzymując po kraju nauczał, że grzech oczyszcza, wyzwala od namiętności cielesnych, co w prostej drodze prowadziło do szerzenia kultu rozwiązłości. Praktyki te zbliżały go wyraźnie do prześladowanej przez państwo i cerkiew sekty „chłystów". Posmak rozpusty zaczął towarzyszyć kaznodziejskiej działalności Rasputina. Jednych to pociągało, innych śmiertelnie oburzało. Rasputin ze swoimi naukami stawał w poprzek powszechnie uznanej obyczajowości.

Szokował swymi coraz bardziej wyuzdanymi wyczynami, oddawał się w służbę występкови, głosząc przy tym wiekuiste zbawienie. Zachłystując się swymi przemożnymi wpływami, uwielbieniem pary cesarskiej, wierząc w swą bożą misję, przestał zachowywać jakiegokolwiek pozory. Jego intymne życie — dotąd skrzętnie skrywane — stało się życiem publicznym, zaczynem nowej moralności. Jak zwykle przy takich okazjach zarzucano mu wszystkie możliwe przewiny i nieprzyzwoitości, jakie potrafi stworzyć ludzka wyobraźnia. Wiele z tych historii było jednak rzeczywiście zgodnych z prawdą. Rasputin był niewątpliwie negatywnym bohaterem rozlicznych skandali obyczajowych. Odurzało go powodzenie u kobiet. Jak mówiono, potrafił oddziaływać na nie

swym magnetyzmem. Przedstawicielki płci odmiennej, te z dołów społecznych i te wysoko urodzone, lgnęły do niego gorsząc otoczenie swym bezwstydem. Przyciągała je niezwykła osobowość przybysza z Syberii, który potrafił „czytać w sercach ludzkich”. Z biegiem czasu wytwornych i pięknych dam z arystokratycznego światka było wokół Rasputina coraz więcej, tworzyły nawet ścisłe grono. To one właśnie, łaknące rozkoszy płynącej z naturalnych źródeł ludzkiej witalności, ciekawe innego życia, uczyniły z nieokrzesanego w swej powierzchowności chłopca — przewodnika duchowego, obiekt najskrytszych tęsknot.

Rasputin, korzystając z przychylnych warunków, rozwijał stopniowo swą działalność. Jego mieszkanie w Piotrogradzie przy ulicy Grochowej stało się miejscem pielgrzymek z najdalszych zakątków imperium Romanowów. Ze względu na pozycję gospodarza stało się ono wraz z właścicielem nieomal instytucją polityczną. Czcigodny mnich załatwiał niezliczoną rzeszę petentów, umożliwiał dotarcie do najwyższych dostojników państwowych. Nie czynił tego rzecz jasna całkowicie bezinteresownie. Przy operatywnie działającym Rasputinie wzbogacała się klika hochsztaplerów. Wymieńmy chociażby tych, którzy grali tu pierwsze skrzypce, a więc bankiera Dymitra Rubinsteina, Ignacego Manusa czy Iwana Manase-wicza-Manujłowa. Byli to najbliżsi doradcy wpływowego „starca”, którzy stale sprawowali pieczę nad jego kwitnącymi interesami. Rasputin stał się niebawem narzędziem w rękach rozmaitych koterii politycznych, które korzystając właśnie z niczym nie ograniczonego dostępu mnicha do pary cesarskiej, zabiegały o wzmpc-nienie swych wpływów na dworze utracając wszelkimi sposobami konkurentów.

Czas największych wpływów Rasputina przypadł na okres, gdy imperium rosyjskie przeżywało najgłębszy kryzys wewnętrzny w swych dziejach. Rok 1915, a zwłaszcza 1916, gdy Rasputin znajdował się u szczytów powodzenia, przeszedł do historii jako czas „karuzeli ministerialnej”. „Griszka”, jak ironicznie nazywali Rasputina przeciwnicy, z łatwością przewycięzał wszystkie trudności, potrafił osiągnąć każdego nieprzychylnego sobie ministra, a co dopiero mówić o niższych rangą urzędnikach. Dla niejednego z nich

podjęcie walki z kliką rasputinowską, coraz głośniejszą w Rosji określaną złą zmową ciemnych sił, kończyło się natychmiastową dymisją. Wymieńmy chociażby zdymisjonowanego w ten sposób ministra spraw wewnętrznych Aleksiego Chwostowa.

W ciągu 14 miesięcy trzykrotnie dochodziło do zmiany premiera, a czterokrotnie ministra spraw wewnętrznych. O zakwalifikowaniu na członka Rady Ministrów decydowały opinie Rasputina, niemal zawsze poprzedzone łapówkami. Rasputin, obdarzony ślepym zaufaniem cesarzowej Aleksandry, nie miał z reguły żadnych trudności z przeforsowaniem swojego kandydata. Wydane przez niego rekomendacje sprowadzające się do podkreślenia odpowiednich wartości duchowych delikwenta, z reguły wystarczały za wszelkie inne świadectwa.

Jak stwierdza prof. Ludwik Bazyłow, okres od marca do listopada 1916 r. to prawdziwa „era Rasputina” „w sensie wpływów, jakie on i jego przyjaciele wówczas wywierali, nieograniczonego zaufania i uwielbienia ze strony carowej oraz dalszego o wiele chyba intensywniejszego niż przedtem pograżania się w uciechach życiowych. Już nie jakieś własne tylko interesy, już nie tylko cerkiew, jej dostojnicy, do których żywi sympatię lub antypatię, ale polityka winduje się na plan pierwszy”.

Nic dziwnego, że z coraz większą gwałtownością narastały nastroje opozycyjne wobec Rasputina. Sfery biurokratyczne, wojskowe, wielcy książęta uważali wręcz, iż bez usunięcia Rasputina i całkowitego wyeliminowania jego wpływów na dworze, wyprowadzenie kraju z zaistniałego kryzysu jest nierealne. Konstatowano, iż Rasputin i stojące za nim ciemne siły są przyczyną całego zła, które spadło na kraj.

Przemilczając swą własną destrukcyjną rolę straszyły się wzajemnie

widmem niechybnej rewolucji. Nawet najbliższa rodzina cesarska uważała w tej sytuacji dalsze tolerowanie nieokrzesanego chłopca na dworze za poniżające.

Coraz śmielej wypowiadająca się w żywotnych sprawach polityki państwa Duma piętnowała na każdym kroku wszechwładzę ciemnych sił. Rzecznik skrajnej prawicy rosyjskiej poseł Włodzimierz Puryszkiewicz porównywał Rasputina do Dymitra Samozwańca, który ongiś trząsł posadami państwowości rosyjskiej. Przywódca opozycji Paweł Milukow oskarżał „starca” o sprzyjanie siłom dążącym do zawarcia hańbiącego, separatystycznego układu pokojowego z Niemcami. Opozycja traktowała „casus Rasputina”

jako wyśmienity argument w walce z rządem. Kraj zalano różnego rodzaju drukowanymi ulotkami, pocztówkami, wizerunkami alegorycznymi przedstawiającymi obsceniczne praktyki odbywane przez ojca Grigorija za łaskawym przyzwoleniem pary cesarskiej.

Niebawem w atmosferze ogólnego potępienia powstała idea fizycznego usunięcia Rasputina, co miało zapoczątkować narodowe „katharsis”.

Zawiązano spisek celem ratowania „ojczyzny i monarchii”. Jego duchowym przywódcą został ks. Feliks Jusupow. W rozumieniu Jusupowa i jego towarzyszy Rasputin był wrogiem publicznym numer jeden, należało go więc jak najszybciej usunąć. Wiedziano już, że fantastyczne doradztwo „starca” obejmuje sferę bieżącej polityki państwa. Wierzono, że gdy Rasputin zniknie raz na zawsze, wszystko odmieni się na lepsze jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Taki sposób rozumowania wyłączał w spiskowcach wszelkie hamulce moralne. Przeróżający mord dokonany w pamiętną noc z 16 na 17 grudnia 1916 r. uważali za czyn bohaterski najwyższej próby.

Śmierć Rasputina nie powstrzymała jednak postępującego upadku państwa Romanowów. Był on już przesądzony. Z Rasputinem czy bez niego Rosja carska nie była w stanie powstrzymać biegu historii.

Głośna książka René Fulópa-Millera pt. Święty Demon Rasputin i kobiety ukazała się po raz pierwszy w 1927 r. w Lipsku (tytuł oryginału brzmiał: Der heilige Teufel. Rasputin und die Frauen) i z miejsca odbiła się szerokim echem w świecie, mając kilka tłumaczeń i wznowień.

Prezentowany obecnie z niewielkimi skrótami jej polski przekład autorstwa W. Bernarda pochodzi z 1932 r. i praktycznie nie różni się od wersji oryginalnej, na powstanie której — należy dodać — znaczący

wpływ wywarł fakt ukazania się drukiem rewelacyjnych materiałów ks. Jusupowa o ostatnich dniach życia Rasputina i kulisach jego zagadkowej śmierci. Po roku 1927 poza mnóstwem artykułów i kilkoma zaledwie mniej lub bardziej udanymi i odbiegającymi od prawdy historycznej pracami nie opublikowano pozycji o równie sensacyjnym co Święty demon... posmaku. Jedynie kinematografia, która stosunkowo wcześniej odkryła atrakcyjność tematu i powracała doń kilkakrotnie, uraczyła widzów

II

paroma mniej lub bardziej udanymi filmami, starając się tak w okresie międzywojennym jak i po roku 1945 zaprezentować na ekranach możliwie wierny portret Rasputina. Szkoda tylko, że twórczość filmowa, nastawiona przede wszystkim na względy komercyjne, zaważyła w istotny sposób na funkcjonowaniu dość jednostronnie pojmowanego wizerunku naszego bohatera *.

O interesującym spojrzeniu na postać Rasputina przez Renę Fiilópa-Millera przekona się czytelnik w trakcie lektury. I choć zapewne zauważy, że nie udało się autorowi stworzyć dzieła o walorach naukowych (które zresztą do dziś jeszcze nie powstało), to z pewnością nie odmówi tej książce dużej wartości poznawczych. Zawiera ona bowiem oprócz wielu na ogół sprawdzonych informacji i faktów, mających swoją dokumentację w literaturze, nie mniejszą ilość zaczerpniętych niejako z drugiej ręki relacji i epizodów z ostatniego okresu panowania cara Mikołaja II, mających mniejszy lub większy związek z kreślonym grubą kreską wizerunkiem Rasputina. Nie ulega wątpliwości, że książka Renę Fulópa--Millera, napisana bardzo wcześnie, a więc nie uwzględniająca wielu powstałych w późniejszym okresie przyczynków i opracowań **, jest skonstruowana z intuicją i znajomością rzeczy. Autor — co jest zrozumiałe — chciał trafić do możliwie najszerszego audytorium, stąd właśnie odbiegający od wymagań rzetelnego studium historycznego posmak sensacyjny całości i przesadne niejednokrotnie eksponowanie wymowy niektórych epizodów.

Można więc powiedzieć, że pozycja ta jest swoistym beletry-styczno-dokumentalnym koktajlem, gdzie autor, śledząc losy swego bohatera, często zamienia się w psychologa czy socjologa.

Najistotniejszą zaletą książki jest jej oryginalność interpretacyjna, przejawiająca się w próbie zrozumienia fenomenu Rasputina i historycznych uwarunkowań, w jakich jawił się ten „demon” zła. Trzeba przyznać, iż jak na pracę w popularnym charakterze jest to próba ze wszech miar udana. Autor w małym stopniu ulega tendencyjnym ocenom. Wychwytuje natomiast to, co czasem umyka profesjonalnym badaczom — mianowicie koloryt przedstawionej postaci. Rasputin dla Fiilópa-Millera nie jest tylko samym uosobieniem zła, czarnym charakterem i symbolem moralnej degrengolady, ale bywa również na kartach jego książki jednostką nieprzeciętną, o nadprzyrodzonych właściwościach, u jednych budzącą grozę i zdumienie, u innych nienawiść i zbrodnicze instykty, u innych

n

jeszcze miłość i ślepe przywiązanie. Ale najczęściej bywa po prostu zwykłym śmiertelnikiem, funkcjonującym w określonych warunkach i środowisku, człowiekiem ulegającym pospolitym namiętnościom, próbującym znaleźć uzasadnienie dla racji swego bytu. Czy taki bohater nie może fascynować?

W książce Fiilópa-Millera znajdujemy nie tylko barwny, sugestywny opis życia Rasputina, ale również w podobny sposób potraktowane jest jego otoczenie. Znajdziemy tu sporo celnych spostrzeżeń i uwag pod adresem dworu carskiego, nie' posiadającego jeszcze świadomości wydanego nań wyroku historii. Odnajdziemy charakterystyki najbliższych współpracowników cara, polityków i wojskowych, różnych „szarych eminencji”. Niektórzy z nich spełniali rolę najwytrwalszych „korników” upadającego kolosa. Autor niejednokrotnie wykracza poza suchą relację opartą na dokumentach. Dreneuje problem głębiej. Odsłania motywy postępowania, czasem najbardziej tajemnicze. Ma jednak ta książka i swoje mankamenty. Założonemu przez autora sposobowi paranaukowego potraktowania zebranego przezeń materiału wyraźnie brakuje konsekwencji. Np. wielokrotnie pomniejsza autor znaczenie tych faktów z życia Rasputina, które przydają tajemniczemu mnichowi rolę wybitnie negatywną. Znajduje to wyraz chociażby w opisie pierwszego etapu kariery Rasputina, próbach uzasadnienia jego zawrotnych sukcesów. Brakuje głębszego uwypuklenia roli sił społecznych i politycznych, popychających nowego „wremieńszczyka” do Petersburga, przy czym czas i warunki, w jakich ta książka powstała, są tylko częściowym usprawiedliwieniem.

Charakterystyka państwowości rosyjskiej początku XX w. jest bardzo

uproszczona. Częściej zagląda się w tajemnicze zakamarki dworu i pałaców w Petersburgu niż w umysły i duszę buntującego się narodu rosyjskiego. Brakuje wnikliwego spojrzenia na katastrofalną politykę klas posiadających, ich upadek moralny, zaślepienie, niefrasobliwość, niedbałość o interesy ogółu społeczeństwa. Nie sposób bez tego tła w pełni scharakteryzować największego dworskiego faworyta wszechczasów. Czytelnik, pozbawiony głębszych podkładów prawdy historycznej, skłonny jest, ulegając efektownej narracji, wierzyć we wszystko, co autor stara się zasugerować.

To, co było szczególnie istotne w momencie powstania książki Fiilópa-Millera, to fakt wyraźnego odejścia od utrzymywanego

w literaturze europejskiej okresu międzywojennego niechętnego stosunku do rewolucji rosyjskiej. Do tej pory nagminnie szukano przyczyn upadku imperium Romanowów w destrukcyjnej działalności niezrównoważonych i obdarzonych na skutek ludzkiej naiwności przemożnymi wpływami osobników typu wszechobecnego Griszki. Fulóp-Miller, pisząc obszerną biografię Rasputina, do dzisiaj jedną z najobszerniejszych, wiedział, że całego zła, jakie piętrzyło się w przedrewolucyjnej Rosji, nie można przypisywać wyłącznie jednostkom, nawet jeśli są to jednostki o szczególnych właściwościach psychiki i przemożnych wpływach. Tę wątpliwość autor „Świętego demona...” zaakcentował bardzo mocno, choć nie przyoblekł jej w głębszą argumentację. A szkoda.

Jacek Wilamowski

* Na wizerunku Rasputina jako bezwzględnego korupcjbnisty.

rozpustnego, próżnego chłopa, upajającego się wymyślnymi orgiami cielesnymi, zaważyły w dużej mierze już pierwsze, nieme produkty światowej kinematografii. Wymieńmy chociażby te dwa najgłośniejsze — „Ciernista droga księżniczki Woroncow” w reż. Mikołaja Larina (Niemcy 1928) i „Rasputin. Demon kobiet” w reż. Adolfa Trotza (Niemcy 1932). Jeszcze przed wojną tematem Rasputina zainteresowano się w Hollywood. W efekcie powstała kasowa „Ostatnia carowa” w reżyserii Polaka Ryszarda Bolesławskiego. W czasach nam bliższych arcysensacyjnym tematem wszechwładnego, nawiedzonego mnicha zajęto się m.in. w dwóch głośnych filmach. Anglicy zrealizowali swoją wersję Rasputina w reż. Franklina J. Schaffnera. Film nosił tytuł „Mikołaj i Aleksandra”, a jego prapremiera odbyła się w 1971 r. Radziecki reżyser Elem Klimów w

filmie „Agonia” (1981), tworząc poniekąd studium psychologiczne, bodaj jako pierwszy usiłował przedstawić tragedię człowieka uwikłanego w gęstą sieć intryg politycznych, który bezwolnie poddaje się biegowi wydarzeń, nad którymi nikt nie posiada już kontroli.

** Rasputin doczekał się bogatej literatury o bardzo różnej wartości dokumentalnej. Najczęściej są to książki silnie zbeletryzowane i mocno tendencyjne. Temat niemoralnej działalności Rasputina był eksploatowany na rozmaite sposoby. Z reguły ograniczano się do eksponowania sensacyjnych wątków z życiorysu bohatera i to tych co pikantniejszych. Pierwszą bodaj próbą wyjaśnienia fenomenu carskiego faworyta, dodajmy, iż niezbyt udaną, utrzymaną całkowicie w kryteriach dzieła brukowego, była książka autorstwa J. W. Bienstocka. „La fin d'un regime”, wydana w Paryżu w 1917 r. W 1924 r. w Leningradzie ukazała się niewielka objętościowo książka N. N. Jevreinowa pod zobowiązującym tytułem „Tajna Rasputina”. W rok później w Monachium opublikowano książkę O. Taubego o Rasputinie, a w trzy lata później w Lipsku wyszła książka René Fulópa-Millera. Jeszcze w okresie międzywojennym, już po opublikowaniu wspomnień księcia Jusupowa. ukazały się we Francji,

gdzie chociażby ze względu na obecność znacznej rzeszy rosyjskich emigrantów legenda Rasputina wzbudzała prawdziwą ekscytację, następujące książki: G. Gobrona pod efektownym tytułem „Raspoutine et l'orgie Russe” Paris 1930. J. Jacobv'ego. „Ras-poutine”. Flammarion 1934. Po wojnie Rasputin nadal był modny. Jeszcze w 1952 r. we Francji ukazał się przekład książki Fiilópa-Millera. W 1961 ukazała się książka J. Waltza „Raspoutine ou le Diable sacre”. a w 1966 r. G. Maire'a „Raspoutine. Les documents du temps”. W Polsce obok kilku brukowych broszur pochodzących z okresu międzywojennego dysponujemy popularnonaukową biografią Rasputina pióra Aleksandra Achmatowicza pt. „Car bez korony”. Warszawa 1967. Zaś prol. Ludwik Bazyłow poświęcił Rasputinowi cały rozdział opatrzonego wybornymi naukowymi przypisami w swojej fundamentalnej pracy „Obalenie caratu”. Warszawa 1976.

Maski Rasputina

Wysoki, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o wyglądzie chłopa przekracza progi salonu hrabiny Ignatiew'; postawa i szerokie bary świadczą o niezwykłej sile; chłopską koszulę z grubego płótna przytrzymuje zwyczajny pas skórzany, szerokie spodnie tkwią w ciężkich butach o wysokich cholewach; to Grzegorz Jefimowicz Rasputin po raz pierwszy ukazuje się w salonach sędziwej hrabiny. Trzy razy w tygodniu hrabina przyjmowała u siebie gości; bywały tam damy z towarzystwa petersburskiego, chciwe nowinek, bywali wszyscy dostojnicy kościelni, mnisi, politycy, intryganci, hochsztaplerzy i pieczeniarze.

W największym napięciu czekali wszyscy na niego,, na „nowego świętego", na „cudotwórcę" z Pokrowskoje. Gdy stąpając ciężkim krokiem, stawał między nimi i kłaniał się na wszystkie strony, jego chłopska, brzydka twarz budziła w gościach lekkie rozczarowanie. Włosy nie czesane, brunatnego koloru, długimi kosmykami spadały aż na kark, z przodu, niedbale rozdzielone na środku wielkiej głowy, odsłaniały wysokie czoło, na którym widniała ciemna plama, pozostałość po jakimś urazie. Na twarzy odcinał się szeroki nos, okryty śladami po ospie, a cienkie, blade wargi kryły się pod niedbale utrzymanym wąsem. Opalona od wichrów i słońca skóra była pomarszczona i porwana głębokimi fałdami, oczy leżały głęboko pod wystającymi brwiami, na prawym oku odznaczał się szpecący, żółty guzek. Cała twarz zarośnięta była ciemnoblond szpeceniastą brodą, co robiło na obecnych niezbyt sympatyczne wrażenie. Oczy były niezwykle ruchliwe: małe, jasnoniebieskie, patrzyły spoza krzaczastych, zrośniętych ze sobą brwi,

jak gdyby ciągle czegoś szukały, niewątpliwie, miały w sobie coś, co niepokoiło i wprowadzało w zmieszanie. Gdy przez chwilę spoczęły na kimś, stawały się tak przenikliwe, jak gdyby chciały zajrzeć do najtajniejszych głębi duszy; innym znowu razem posiadały niewysłowiony wyraz wyrozumiałej dobroci i wprost filozoficznego pobbłażania.

Szorstki głos Rasputina często przybierał piękne, dźwięczne tony. Gdy rozmawiał, pochylał głowę nieco na bok, jak to zwykle robią księża przy słuchaniu spowiedzi, a wtedy ze słów jego, podobnie jak ze wzroku spływała na słuchaczy przemożna słodycz. W takich chwilach goście hrabiny Ignatiew odnosili wrażenie, jak gdyby mieli przed sobą pełnego dobroci świątobliwego ojca, któremu mogą bezwarunkowo we wszystkim zawierzyć.

Ale już w następnej chwili zmieniały się oczy i brzmienie głosu. Czuło się w tym niesamowitym człowieku płomiennie żądze zmysłowe, oczy zaczynały się żarzyć, głos stawał się podnieconym, już to gwałtownym i namiętym, już też zwierającym się i przymilnym. Wzrok i słowa były wtedy bezwstydnym, cynicznym, tchnące nieosłoniętymi dwuznacznikami; a znowu po chwili mógł Rasputin nagle zmienić pozę i z poetycką swadą, w płomiennym natchnieniu poruszać sprawy mistyczne i nabożne.

Gdy tak przemawiał, brzydka jego twarz niezwykle się ożywiała. Szybko zmieniające się pozy i mimika przypominały dobrego aktora. Przy tej ruchliwości ukazywały się często jego twarde, chłopskie ręce, szorstkie, ale o pięknej formie, z długimi kościstymi palcami.

Po niedługim czasie całe grono kobiet, począwszy od dam z najwyższego towarzystwa, a skończywszy na służących, wieśniaczkach i szwaczkach, zaczęło uważać Rasputina za jakąś wyższą, niemal boską istotę. Także

mężczyźni wszystkich stanów i zawodów gromadnie garnęli się do cudotwórcy: ministrowie, urzędnicy, maklerzy i szpiedzy; wszyscy oni rozpieszczali go, podziwiali i uwielbiali.

Z polepszeniem stanowiska społecznego Rasputina szły w parze zmiany w jego wyglądzie zewnętrznym. Nosił teraz kosztowne rubaszki w cudownie pięknych kolorach: dystyngowane damy z dworu i najlepszego towarzystwa szyły je dla niego i ozdabiały kwiecistymi haftami. Miejsce prostego chłopskiego pasa skórzanego zajął jedwabny sznur w malinowym lub niebieskim kolorze,

ozdobiony chwastami; spodnie były z angielskiego materiału w paski lub z czarnego welwetu, a buty z najpiękniejszej skóry; w zimie nosił bardzo kosztowne futro, na głowie miał czapkę z bobrów, a na nogach angielskie śniegowce.

Ale mimo że dzięki swoim wielbicielkom wytwornie się ubierał, jego beztroska, chłopska natura nie zmieniła się; mimo wszystko był to dalej ten sam muzyk z rozczochranymi włosami i brodą, którego ręce były brudne, a mowa pełna wyrażeń oryginalnych i soczystych.

Jednakże wszystkie rysy charakteru, uchodzące podczas jego pierwszych występów w petersburskich salonach za szorstkie i prostackie, teraz w oczach jego zapalonych wielbicielek dodawały mu szczególnego blasku. Każde towarzystwo w nerwowym oczekiwaniu na Rasputina oddawało się wybujałej ekstazie. Gdy otwierano drzwi i meldowano o jego przybyciu, drżeli wszyscy, jak gdyby zapowiadano jakieś cudowne zdarzenie. Gdy stawał przed kobietami, aby zwyczajem wędrujących mnichów, uchylając głowy, trzy razy je ucałować, wszystkie one drżały, do głębi wstrząśnięte uczuciem religijnym. Były przekonane, że Pan Bóg mówi przez jego usta, że z jego małych, jasnoniebieskich oczu Duch Święty na nie spogląda, że za dotknięciem jego osoby, łaska boża spływa na ich grzeszne ciała, a jego pocałunki i objęcia robią z nich dziewice Chrystusowe.

Niekiedy w czasie rozmowy nagle się zrywał i, zwracając się do kobiet, bez związku z tym, o czym dotychczas mówił, kazał im śpiewać na nutę ludową owe smętne melodie, podobne do pieśni kościelnych hymny, które szczególnie lubił. Następnie posuwał się kilka kroków naprzód, stawał pośrodku między zebranymi i założywszy ręce za sznur jedwabny, zaczynał się w takt pieśni kołysać, tupać w parkiet swoimi chłopskimi

butami rozpoczynając taniec. Rozkołysanym krokiem zbliżał się do kobiet i kusząco zapraszał je do zabawy, uderzeniami buta nadawał takt, a ostre jego oczy, utkwione w partnerce, sprawiały, że zmieszana, w zachwyceniu szła za nim jak urzeczona. Reszta kobiet i mężczyzn siedziała nabożnie dookoła, z przejęciem spoglądając na tańczącego muzyka.

Pewna młoda dziewczyna, dowiedziawszy się o istnieniu przedziwnego nowego świętego, wyruszyła z prowincji do stolicy, dla zbudowania ducha i poznania świętej nauki. Nie znała go po-

przednio nawet z portretu. Po raz pierwszy spotkali się w jego mieszkaniu. Gdy zbliżył się do niej i przemówił, zrobił na niej wrażenie jednego z tych chłopów-kaznodziei, jakich wielu napotykała u siebie na wsi. Jego łagodne spojrzenie mnicha, gładki włos ze skromnym przedziałem pośrodku głowy i prosta czcigodna twarz budziły w niej z początku zaufanie; gdy jednak począł się zbliżać, wyczuła natychmiast, że za tym spojrzeniem, pełnym dobroci i łagodności, tkwi drugi człowiek, tajemniczy i chytry kusiciel. Usiadł naprzeciw niej. Niby ołowiem przykuta siedziała, gdy twarz swoją wielką, pomarszczoną i żądzami wykrzywioną, przybliżał do jej twarzy. Czuła, jak jego gorący oddech pali jej twarz; pałającymi oczyma wodził po jej sparaliżowanym ciele. Cichym, namiętym głosem szeptał jej do ucha przedziwne lubieżne słowa.

Już, już była gotowa pod wpływem tego uroku poddać się całkowicie pokusie, gdy tknęło ją, niejasno i jakby z daleka, wspomnienie rzeczy boskich, dla których przyszła. W miarę jak coraz wyraźniej rysował się w pamięci cel odwiedzin, bezwład opuszczał jej ciało i dusza wymykała się z usidlenia.

Rasputin zauważył jej wewnętrzny opór, rozwarł na pół przymknięte oczy, wstał, pogłaskał ją po włosach i złożył na jej czole beznamiętny, spokojny, ojcowski pocałunek. Jego twarz, przed chwilą jeszcze wykrzywiona żądzą, wygładziła się zupełnie, stając się dobrotliwą twarzą wędrownego kaznodziei. Łaskawym tonem protektora przemawiał do swego gościa, z ręką podniesioną do czoła, jakby udzielał błogosławieństwa. Stał przed nią w pozie, w jakiej widzimy na starych rosyjskich ikonach Jezusa Chrystusa; spojrzenie jego było znowu łagodne, przyjazne, prawie że uległe, tylko w

głębi, na dnie tych małych oczu, czaiła się, ledwo dostrzegalna, druga jego dusza, rozpustna i bezwstydna.

Młoda dziewczyna, boleśnie zawiedziona, wstała, wyjąkała kilka słów pożegnania i opuściła mieszkanie. Ale w sercu trapiła się pytaniem, czy też był to człowiek święty, czy rozpustnik.

Inna znów kobieta, dama z wyższego petersburskiego towarzystwa, w rozmowie z ambasadorem Francji wyniośle i szyderczo wspominała o brudnych rękach, czarnych paznokciach i niechlujnej brodzie

Rasputina. „Pfuj!” wołała na to wspomnienie; ale już po chwili musiała przyznać, że nikt nie' pozostaje obojętny na

jego iskrzące się i niesłychanie zmienne spojrzenie, na jego pozę i wymowę, na przejawy mądrości, na tajemniczość usposobienia, na dobroć, gwałtowność, na jego skłonności do poufałości, na fantazję i polot poetycki i na dwuznaczny charakter tej istoty.

Wpływ Rasputina rozciągał się nie tylko na kobiety. Sam ambasador francuski uległ działaniu tego cudotwórcy już przy pierwszym z nim spotkaniu. Wiadomości, jakie konfidenti ambasady przynosili o Rasputinie, nie były przyjemne. Mr. Paleologue 2 uważał Rasputina za szkodliwego szarlatana i żywił doń szczególną nienawiść za jego wstawianie się za pokojem, a więc zdradzeniem Francji przez Rosję 3. Pewnego razu przebywał ambasador z wizytą u jednej znajomej damy; nagle z wielkim stukiem otwarły się drzwi salonu; wszedł Rasputin, hałaśliwie uściskał panią domu, wdając się z nią w dłuższą rozmowę. W tym czasie Paleologue obserwował go z wielką uwagą, zmieszaną z nieufnością, z jaką zwykle odnosi się dyplomata do osobników politycznie niewyraźnych. Skonstatował, że twarz tego dziwnego mnicha jest wulgarna, ale w jego niebieskich oczach kryje się niezwykła siła. W danej chwili ambasador był oczarowany i musiał przyznać, że oczy Rasputina były jednocześnie przenikliwe i dziecinnie chytre. Gdy prowadził ożywioną rozmowę, źrenice jego robiły wrażenie, jak gdyby były „naładowane magnetyzmem”.

Mr. Gilliard, francuski wychowawca carewicza 4, raz jedyńy spotkał się ze wzgardzonym szarlatanem i znieawidzonym przeciwnikiem wojny, Rasputinem, w przedpokoju apartamentów cara. Rasputin wychodził właśnie z pałacu. Dziwne, nieprzyjemne uczucie owładnęło nauczycielem. Gdy spojrzenia ich skrzyżowały się, odniósł wrażenie, iż ma przed sobą

potężną i niebezpieczną osobę; głęboko zaniepokojony tym spojrzeniem, pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Nawet taki książę Jusupow 5, już od samego początku nienawidzący Rasputina, z góry do niego uprzedzony, w przekonaniu, że życie tego cudotwórcy jest nieszczęściem dla Rosji, nawet on, który z nienawiści do Rasputina, z rozmysłem i na zimno powziętym planem zabójstwa wkradł się w jego łaski, nie mógł oprzeć się urokowi, jaki wywierał nań Grzegorz Jefimowicz.

Po raz pierwszy spotkali się, morderca i jego ofiara, w domu zapalonych zwolenniczek Rasputina, starej pani Gołowin i jej

córki. Gdy kobiety ze wstrzymanym oddechem i pałającymi oczyma połykały słowa Rasputina, Jusupow spokojnie i uważnie obserwował blisko niego na fotelu siedzącego mnicha. Widział i słyszał Rasputina dziś po raz pierwszy, ale już znajdował potwierdzenie tego wszystkiego, co o nim dotychczas słyszał złego i wstrętnego. Rozpieszczony przez kobiety muzyk budził w nim wstręt, działał nań niezwykle odpychająco: rysy jego były grube, bez najmniejszego śladu subtelności; uśmiech, z jakim się zwracał do słuchaczek, był niezdrowym, zmysłowym i okrutnym. Z twarzy przypominał chytrego, lubieżnego satyra; w ogóle wzbudzał podejrzenie i nieufność. Jak długo żyję, opowiada książę Jusupow, nie widziałem nic bardziej odpychającego od tych małych, prawie że bezbarwnych oczu, umieszczonych blisko siebie w głębokich oczodołach; czasami znikają w tych oczodołach i trudno było rozpoznać, czy są otwarte, czy też przymknięte; tylko niesamowite i przykre uczucie mówiło księciu, że Rasputin uważnie go obserwuje. Równocześnie jednak narzucało się temu młodemu, wyniosłemu arystokracie przekonanie, że w tej nienawistnej, prostackiej twarzy jest coś niezwykłego, że w przenikliwym spojrzeniu tych ohydnych oczu kryje się jakaś przemożna, tajemna, nieomal nienaturalna moc.

Trochę później miał Jusupow poznać całą siłę władczą tego spojrzenia. W celu pozyskania zaufania swego wroga odwiedził go w jego własnym mieszkaniu, pod pozorem zasięgnięcia u Rasputina porady lekarskiej; przejęty ciekawością, młody książę poddał się w zupełności zarządzeniom Rasputina, wszedł za nim do sypialnego pokoju i położył się na kanapie. Podczas gdy Rasputin usiłował go uśpić wzrokiem i przeciąganiem palców po jego ciele, Jusupow, zachowując trzeźwość umysłu i zdolność

obserwacji, upewnił się, że cała metoda leczenia tego cudotwórcy była tylko „hipnozą najgorszego gatunku”.

Rasputin patrzył mu prosto w oczy, przesuwał palcami po jego piersiach, szyi i głowie, następnie ukląkł przed nim i odmawiał modlitwy, przy czym ręce swoje położył lekko na czole księcia. Przez pewien czas trwał w tej pozycji, wreszcie zerwał się i kontynuował swoje pociągnięcia hipnotyczne. Jusupow całą siłą woli opierał się wpływowi tych zabiegów, wkrótce jednak poczuł przedziwne jakieś ciepło, rozchodzące się po całym ciele, i obejmujący go całkowity bezwład. Stracił władzę w języku, daremnie

usiłował przemówić lub podnieść się; bezwładne członki leżały, jak gdyby były z ołowiu.

Tuż przed sobą widział oczy Rasputina, wielkie, o potężnej mocy. Bił od nich fosforyzujący blask i strzelające z nich dwa cienkie, ostre promienie spłynęły w jeden, tworząc ognisty krąg, który już to zbliżał, już to się oddalał. Powieki Jusupowa stawały się ciężkie i powoli opadały; czuł zbliżającą się chwilę, kiedy zupełnie ulegnie woli tego ohydneho szalbierza i zaśnie. Ostatnim wysiłkiem woli dźwignął się i walcząc jak desperat, przełamał nareszcie krąg czarowny. Gdy wychodził z mieszkania Rasputina, dojrzał w nim zamiar zniszczenia tego człowieka w możliwie jak najkrótszym czasie.

Kilka miesięcy później siedzi Jusupow w podziemnym, co dopiero urządzonym sklepieniu swojego pałacu, o całe piętro pod ziemią, za zastawionym stołem, mając naprzeciw siebie swoją ofiarę — Rasputina. Śpiewa na jego żądanie cygańskie pieśni, zachęca go do picia, nalewając mu zatrutego wina. Z zapartym oddechem obserwuje mimikę Rasputina, czekając tylko tej chwili, gdy wróg jego zwali się na ziemię bez życia.

Grzegorz Jefimowicz wśród niesamowitej ciszy wypija jeden kielich zatrutego wina po drugim i nie rusza się z miejsca; głowę pochyloną oparł na dłoniach i patrzy przed siebie zamglonym okiem, pełnym niezgłębionego smutku.

Nagle twarz mu się zmienia, przemawia zeń piekielna nienawiść, jak gdyby wiedział, w jakim celu'go tu sprowadzono i co nań czeka. Następnie wstaje, a w oczach jego leży łagodne wyrozumienie i spokojne poddanie się. W tej chwili Jusupow wyciąga broń i strzela do swego wroga.

Morderca dotyka ręką leżącego bez ruchu, ciepłego jeszcze ciała, bierze za

puls i uspokojony chce właśnie odejść, gdy ze strachem spostrzega, że Rasputin zaczyna lekko mrugać oczami. Dzikie konwulsje przebiegają całą twarz; otwierają się oczy, naprzód lewe, później prawe, i patrzą na mordercę jak zielone oczy węża, z wyrazem straszliwej nienawiści.

Jeszcze raz działa urok tego spojrzenia: jakby paraliżem tknięty, stoi Jusupow, przejęty niewymowną zgrozą, nie potrafi wołać pomocy ani uciec.

Nagle śmiertelnie trafiony Rasputin wyciąga się i wśród dzikich okrzyków raptem zrywa się z ziemi. Jego kurczowo skrzy-

wione palce latają w powietrzu, żelaznym chwytem zaczepiają się o barki Jusupowa i usiłują dostać się do gardła; chrapliwym głosem szepce raz po raz imię zdrajcy; piana wychodzi mu na usta, oczy patrzą straszliwym zezem.

Po kilku minutach ucieka zeń życie. Trupa wynoszą do klatki schodowej i układają na ziemi; na lewej skroni widnieje wielka otwarta rana, twarz okaleczona cała we krwi, a w oczach osłupienie śmierci.

Jusupow stoi jeszcze przez dłuższą chwilę bez ruchu nad trupem; ogarnia go dzika wściekłość; drżąc z szalonego podniecenia, rzuca się na leżącego przed nim trupa Rasputina i jak furiat okłada go swą żelazną laską.

Lata nauki i wędrówki

!

Grisza, mały synek furmana Jefima Andrejewicza Rasputina z Pokrowskoje 6, upodobał sobie stajnię; godzinami wysiadywał tam na małym, niskim krzeselku tuż pod stajenną latarnią, swe jasne dziecięce oczy wytrzeszczał na wielkie zwierzęta i z zapartym oddechem słuchał szurgotania kopyt i parskania nozdrzy.

Na ulicy we wsi był Grisza swawolnym, dzikim, budzącym wprost strach chłopcem, wodzirejem dzieciarni wiejskiej; z chwilą jednak gdy w swoich zbyt szerokich i długich lnianych spodniach wchodził do stajni, z ojcem lub parobkiem, zmieniał się nie do poznania; twarzyczka jego pokrywała się wtedy jakąś dziwną powagą, oko zdradzało napiętą uwagę, a cała jego mała postać prężyła się, jak gdyby rozumiał, że szczególnie teraz należy okazywać godność i męską postawę. Silnym, miarowym krokiem stapał za dorosłymi, mając przy tym uczucie, jak gdyby wstępował do świętego przybytku, gdzie, podobnie jak w kościele, należy się zachowywać z powagą i spokojem.

Najpiękniejszą dlań chwilą była ta, w której mógł sam pozostawać przy koniach; podkradał się wtedy cichutko i ostrożnie i stając na końcach palców, wyprężał swoje ciało, by móc wyciągniętymi rączkami dosięgnąć ciepłego ciała zwierzęcia, głaskać je i pieścić. Okazywał przy tym dużo czułości, jakiej nigdy nie miał w tej mierze dla rodziców, rodzeństwa lub kogo innego.

Niekiedy gonił ostrożnie do drzwi, rzucał okiem na dwór, czy nikt nie przychodzi, wdrapywał się ze zręcznością małpy na drewniane koryto i

chwyciwszy się żelaznych sztab drabiny, za którą zakładają siano, śmiało skakał na grzbiet konia. Przycisnąwszy

24

swe gorące liczko do szyi konia, przemawiał doń dziwnymi tkliwymi słowami, płynącymi z jego dziecinnego serca, w języku zrozumiałym tylko dla niego i jego kochanych zwierząt.

Przebywanie koło koni było dla chłopca największą uciechą. Lubił bladawe światło blaszanej latarni, skośnie zawieszanej na ścianie, ów przedziwny półcień, w którym tylko tu i ówdzie rozróżniał lśniące części skóry końskiej lub kupkę słomy. Ciągłe na nowo zachwycał się odorem stajni i bez zmęczenia nieustannie przykładał z tkliwością rączki lub twarzyczkę do zziajanych ciał końskich.

W stajni najwięcej mu się podobało, chociaż poza tym bardzo chętnie uganiał się po łąkach w towarzystwie wiejskiej zgrai lub też przypatrywał się ojcu i innym rybakom, łowiącym na wędki ryby nad brzegami rzeki Tury. Wszystkie te inne jednak przyjemności chętnie by oddał za swoje konie, które były dlań niemymi towarzyszami i tajemniczymi sprzymierzeńcami. Doszło do tego, że Grisza był lepiej obznajomiony z zagadkowymi przejawami życia koni aniżeli najbardziej doświadczeni furmani z Pokrowsko-je i często, gdy coś przykrego przytrafiło się koniom, posyłano natychmiast po małego Griszę Jefimowicza.

Jakżeż cudowną stała się dlań stajnia, do czasu gdy pewnego wieczora ojciec jego po raz pierwszy przeczytał mu z wielkiej księgi, zawierającej dużo pięknych obrazków, historię narodzenia dziecięcia Jezus. Pałającymi oczami chwycił Grisza każde słowo o świętym Józefie, o Marii i o nowo narodzonym dziecięciu, leżącym w żłobku, do którego przybywają trzej królowie, aby się pomodlić. Odtąd stajnia ojcowska, wielkie koryto drewniane, latarnia o bladawym świetle wydawały mu się rzeczami o jakimś tajemniczym znaczeniu, które tylko jemu było znane i o czym z

nikim nie rozmawiał. Powoli stajnia stawała się dla niego coraz wspanialszym światem, pełnym osobliwych cudów.

Gdy razu pewnego starego Jefima nie było w domu, Grisza wsunął się do wielkiego pokoju i zdjął z gzymsu wielką książkę z wieloma obrazkami, z której mu swego czasu ojciec na głos czytał. Płonąc z podniecenia, przerzucał kartki ciężkiego foliału o grubych okładkach, aż natknął się na ów obraz z wymalowaną w kolorach, niebieskim, czerwonym i złotożółtym, stajenkę ze żłobkiem i dziecią Jezus. Z niecierpliwością oczekiwał końca dnia, by móc po wieczery poprosić ojca, ażeby mu dalej czytał

z księgi. Siedząc na kolanach starego Jefima, pilnie oglądał piękne obrazy, gdy tymczasem ojciec czytał o dalszych losach dziecięcia Jezus, jak podrastało i z czasem stało się odkupicielem świata.

Odtąd Jefim Andrejewicz, zniewolony błagalnymi i tkliwymi prośbami Griszy, co wieczór sięgał po grubą księgę: w krótkim czasie Grisza znał wszystkie obrazy, a i litery przestały dlań być niemymi obrazkami bez znaczenia. Przysłuchując się ojcu, który wodząc palcem od słowa do słowa, od wiersza do wiersza, czytał z wielką trudnością, sam poznał poszczególne litery i posiadał kunszt łączenia ich w słowa.

I tak dorastał mały Grisza, mając swoje dwa równie tajemnicze światy: z jednej strony stajnię i jej cuda, z drugiej wielką księgę z pięknymi obrazkami i czarnymi znaczkami, które powoli zaczynały doń przemawiać szczególnym, cudownym językiem.

12 lat miał Grisza Rasputin, gdy przytrafiła się katastrofa, której skutki długo jeszcze ciążyły na jego młodym życiu; zabawiał się ze starszym bratem Misza nad brzegiem Tury, gdy nagle Misza tyłem skoczył do wody. Mały Grisza bez namysłu skoczył za bratem i byliby obaj marnie zginęli, gdyby przypadkowo przechodzący wieśniak nie był ich wyratował. Misza zachorował jeszcze tego samego dnia na ciężkie zapalenie płuc i w krótkim czasie umarł. Grisza natomiast wyszedł wprawdzie z życiem, ale pod wpływem tego nieszczęścia doznał takiego wstrząsu, że zapadł na ciężką gorączkę.

Doszedł wprawdzie w krótkim czasie po chorobie do dawnego stanu i znów mógł się bawić i poświęcać się ukochanym przez siebie koniom, ale coś przecież w nim się zmieniło; jego dawniej tak różowa i pełna twarzyczka zapadła się i przyblakła, a choć wieczorami powlekał ją lekki

rumieniec, nie był to jednak świeży rumieniec zdrowia, lecz choroby, wiadoma oznaka gorączki. Dziwnie się też zmieniło jego usposobienie, co wielce niepokoiło rodziców. Nikt nie potrafił wyjaśnić, czego mu właściwie brakuje, także znachor wiejski nie mógł poradzić. Niedługo potem chłopak znowu zapadł na gwałtowną gorączkę, przy czym był półprzytomny, i stan ten trwał przez dni i tygodnie.

Nie pozostawało nic innego, jak przygotować dla chorego łoże w mrocznej części olbrzymiej kuchni; zimową porą, kiedy wichura syberyjska szalała po polach i gościńcach, tam bywało najcieplej i najmilej. Nadto kuchnia była ulubionym miejscem pobytu

dla wszystkich domowników, tak że chore dziecko nigdy nie było bez opieki.

O zmierzchu przychodzili w odwiedziny chłopci z sąsiedztwa i siadali na szerokich ławach dookoła wielkiego pieca; domownicy podawali naokoło wódkę i syberyjskie słodycze i tak siedziało się do późnego wieczora i omawiało wszelkie sprawy, dotyczące samej wsi, lub też nowiny, dochodzące do Pokrowskoje z najbliższych miasteczek.

W jeden z takich wieczorów rozmawiano między sobą szeptem, ponieważ mały Grisza znowu czuł się bardzo źle; domownicy bardzo się niepokoiли, gdyż leżał już od kilku godzin z zamkniętymi oczyma, twarzą do ściany, obojętny na wszystko, co się koło niego działo. Rodzice więc i goście jak najbardziej zniżyli głos, mimo że przedmiotem rozmowy było coś bardzo ważnego.

Poprzedniej bowiem nocy dokonano zbrodni, która w najwyższym stopniu oburzała wszystkich mieszkańców z Pokrowskoje; jednemu z najuboższych furmanów wioski wykradziono ze stajni konia, co nieszczęśliwca doprowadziło do największej rozpacz. Dobroduszni chłopci z Pokrowskoje, młodzi i starzy, od samego rana czynili poszukiwania za złodziejem i jego zdobyczą, ale wszelkie starania spełzły na niczym, skradzionego konia w żadnej stajni nie znaleziono. Zmęczeni i zniechęceni, opowiadali o swych daremnych trudach; wszyscy byli nadzwyczaj oburzeni z powodu tego występnego czynu. W oczach tych syberyjskich furmanów kradzież konia była najpodlejszą zbrodnią, gorszą i bardziej nikczemną od samego mordu. Ludzie ci nierzadko mieszkali w wioskach, leżących blisko osiedli, gdzie przebywali skazani na wygnanie zbrodniarze, i w najgorszym zbrodniarzu widzieli jeszcze biednego

słabego brata"; dla koniokrada jednak nie mieli ani zrozumienia, ani litości; za kradzież konia nie istniała dla nich po prostu pokuta. Dlatego też chłopci, zebrani teraz w „ciemnej połowie” kuchni u Jefima Andrejewicza, trzęśli się z wściekłości, zwłaszcza że ofiara złodzieja, biedny furman, nie miał nic więcej ponad tego jednego konia. Anna Jegorowna, żona Jefima, ze względu na chore dziecko, coraz to musiała prosić o spokój, gdyż oburzenie gości przybierało bardzo głośne formy. Na dworze było już całkiem ciemno i tylko latarnia na środku stołu rzucała słabe światło na siedzących wokół pieca chłopów.

Nagle chore dziecko wstało z barłogu i podeszło do nich. W białej, do ziemi sięgającej koszuli, z trupioblada twarzą i dziwnym błyskiem w jasnoniebieskich oczach. Zanim otrząsnęli się ze zdziwienia, stało już między nimi, patrząc osłupiałym wzrokiem. Nagle jednym susem przyskoczyło do olbrzymiego chłopca, objęło go za nogi i wspiąwszy się po nim aż do ramion, usiadło mu okrakiem na grzbiecie, po czym przenikliwie wykrzyknęło: „Ha, ha. Piotrze Aleksandrowiczu, tyś ukradł konia! Ty jesteś złodziejem!”

Wybuchnęło przy tym nieposkromionym dziecięcym śmiechem trzęsąc się z uniesienia, nóżkami swymi uderzając chłopca po piersiach, jak gdyby chciało dodać mu bodźca, wciąż pokrzykując, że to on właśnie, Piotr Aleksandrowicz, ukradł konia. Dziecinny głosik brzmiał tak piskliwie, a oczy tak osobliwie błyszczały, że obecnym zrobiło się dziwnie nieswojo. Nie wiedzieli, co mają myśleć, gdyż Piotr Aleksandrowicz był ogólnie szanowanym i zamożnym człowiekiem, który zresztą szczególnie oburzył się na wieść o kradzieży, od samego początku domagając się bezwzględного ścigania zbrodniarza.

Najwięcej zmieszani tym zajściem byli stary Jefim i jego żona. Gdyby mały Grisza nie leżał już od dawna, zmożony ciężką gorączką, ojciec niechybnie porządnie wytrzepałby mu skórę, gdyż w domu Jefima panowała zawsze surowa dyscyplina. Anna Jego-rowna, wielokrotnie przepraszając szanownego Piotra Aleksandrowicza, dołożyła wszelkich starań, by przykre zajście poszło szybko w niepamięć.

Także i inni goście starali się załagodzić sprawę, a nawet sam Piotr Aleksandrowicz, aczkolwiek głęboko urażony, w końcu złagodniał; twarz mu się rozjaśniła, tak że nawet wyraził głębokie ubolewanie nad ciężkim

stanem Griszy. Gdy chłopci późnym wieczorem rozchodzili się do domów, zapanowała znowu między nimi zgoda jak przedtem. Mimo to niektórzy z gości Jefima nie mogli zapomnieć o słowach chorego dziecka. Kilku z nich wstało w nocy i chyłkiem zakradło się do zagrody Piotra Aleksandrowicza, gdzie w ciemnościach spotkali innych chłopów, którym niepewność też sen odbierała. Było już sporo zebranych; nie mogli zapomnieć podejrzeń wypowiedzianych przez chłopca w gorączce i dlatego przyszli bezszelestnie, na brzuchu przyczołgali się pod ogrodzenie zabudowań i nagle ujrzeli Piotra Aleksandrowicza, w chwili

gdy właśnie wychodził potajemnie ze swej chaty, rozglądając się dookoła, czy go nikt nie zobaczy; upewniwszy się, że jest sam, zwrócił swe kroki do pewnej przegrody, znajdującej się całkiem na tyle podwórza. W kilka chwil potem widzieli zdumieni chłopci, jak Piotr Aleksandrowicz wyprowadza zza przepierzenia skradzionego konia i znika razem z nim w ciemnościach.

Nazajutrz z rana chłopci, jeden po drugim, pukali do drzwi Jefima stwierdzając, że mały Grisza w gorączce mówił prawdę i że Piotr Aleksandrowicz rzeczywiście ukradł konia. Gadając jeden przez drugiego, opisywali cały przebieg nocnej wyprawy, jak to skradali się za złoczyńcą, jak go wreszcie dopadli i zbili do utraty przytomności. A teraz są święcie przekonani, że sam Bóg mówił przez usta chorego chłopca. Jakkolwiek przedstawiać się mogła sprawa owego „cudu”, dość że od tego zdarzenia począwszy chłopci dziwnie jakoś patrzyli na tego wyrostka i głęboko się nad nim zastanawiali.

Gdy Grzegorz Jefimowicz Rasputin z chłopaka wiejskiego stał się młodzieńcem, podobnie jak i inni przesiadywał w karczmach, uganiał się za dziewczętami i w krótkim czasie nawykł do hultajskiego i rozwiązłego trybu życia.

Nie zmienił się nawet wówczas, gdy poznał na jednym z syberyjskich „zebrań”, na którym zbiera się cała wiejska młodzież, by bawić się, tańczyć i śpiewać — piękną blondynę Praskowię Fiedorownę Dubrowin, w której się zakochał. I mimo że niezadługo zaślubił ciemnooką, smukłą dziewczynę, nie zmienił rozpustnego trybu życia i dalej miewał nieczyste sprawki z kompanami i dziewczętami wiejskimi.

Wówczas to przeżył po raz drugi wielki moment, który pozostawił na nim

niezatarcie wrażenie. Nikomu o tym nie wspomniał, zwierzył się z tego jedynie swemu zaufanemu przyjacielowi, Michałowi Peczerkinowi, gdy szli razem wzdłuż brzegu Tury, rozmawiając o żniwach, o stanie bydła, o koniach, o dziewczętach, i później przeszli na temat Boga. Opowiadał więc Rasputin, jak to orał w polu i miał właśnie, dokończywszy bruzdy, nawrócić konia, gdy nagle usłyszał za sobą cudowne pienia, jak gdyby chór śpiewających dziewcząt wiejskich. Odwróciwszy się, ze zdziwienia wypuścił pług z ręki, gdyż tuż przed sobą ujrzał przecudowną postać niewieścią, Matkę Boską, kołyszącą się na złotych promieniach południowego słońca. W powietrzu rozbrzmiewał uroczysty

śpiew tysiąca głosów anielskich, do których i Przenajświętsza Panna swój głos dołączyła.

Zjawisko to trwało tylko kilka chwil i natychmiast znikło; wstrząśnięty i do głębi przejęty, stał Grzegorz Jefimowicz na pustym polu, ręce mu się trzęsły i dalsza praca wydawała mu się ponad siły. Wieczorem, gdy udał się do stajni, by doglądać koni, opanowało go dziwne uczucie rzewności. Głos wewnętrzny mu mówił, że Bóg przeznacza go do nadzwyczajnych zadań, równocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał porzucić ulubione konie, gospody, dom, ojca, żonę i dziewczęta, jeśli ma dopełnić owego wzniosłego przeznaczenia. Uważał więc wtedy za stosowne nie rozmyślać więcej nad ową wspaniałą wizją i nikomu o tym nie wspominać. Z całego jego otoczenia nikt, poza przyjacielem Peczerkinem, nie dowiedział się ani słowa o tym, co spotkało chłopca wiejskiego Griszę w owym dniu w szczerym polu i jakie to w nim rozbudziło myśli.

Wyszędłszy z wieku chłopięcego, Rasputin uprawiał w dalszym ciągu przede wszystkim rzemiosło ojcowskie, przewoził po długich, równych jak sznur gościńcach podróźnych i przeróżne towary, niekiedy aż do Tobolska, albo w drugim kierunku do Wier-choturia, leżącego u stóp bogatego w kruszce Uralu, gdyż tylko latem przepływały okręty koło Pokrowskoje, ułatwiając komunikację w dół do Tiumenu albo wzdłuż Tobołu do Tobolska. Kto zimą chciał podróżować w tych okolicach, mógł liczyć tylko na wóz albo sanki i w ten sposób młody furman Grzegorz wioził nieraz podróźnych do najodleglejszych miejscowości tobolskiej i permskiej guberni. Gdy już był w 33 roku życia, pewne zdarzenie w jednej z podróży z gruntu zmieniło jego życie i natchnęło go jakimś nowym

duchem. Pewnego dnia wiózł do klasztoru w Wierchoturie studenta akademii duchownej, zakonnego nowicjusza Mileta Saborowskiego. Między woźnicą a jego pasażerem duchownym nawiązała się na temat wiary i kościoła rozmowa, w której seminarzysta ku niezmiernemu swemu zdziwieniu przekonał się, że ten prosty muzyk znakomicie się wyznaje w rzeczach wiary. Pełen sympatii i zainteresowania dla woźnicy, starał się młody teolog skutecznie przekonać go, że jest wielkim grzechem poświęcać dla rozwiązłego życia tego rodzaju zdolności i skłonności. Słowa podróznego zrobiły na Rasputinie głębokie wrażenie; owe uczucia i myśli o Bogu i rzeczach wiary, którym już mały Grisza

tak żarliwie się oddawał, teraz na nowo się w nim obudziły, w duszy jego ożyły uczucia, od lat zagrzebane w rozpuście i opilstwie.

Równocześnie to, co słyszał z ust swego pasażera, stawać się dlań poczęło zaczynem nowej wiary, już nie tej kościelnej, surowej, nie dającej biednemu, słabemu grzesznikowi nadziei zbawienia, lecz tej, w której rozpiera się radosne zwiastowanie i przeświadczenie, że i grzesznik już na tym padole osiągnąć może szczęśliwość wieczną, jeśli tylko przestrzegać będzie pewnych tajemnych przepisów „prawdziwej wiary”. Ostatecznie udało się seminarzyście nakłonić Rasputina do tego, ażeby jeśli zajadą do Wierchoturia, nie wracał już więcej do domu, tylko pozostał w tamtejszym klasztorze.

Miejscowość Wierchoturie była jedną z owych syberyjskich, przedziwnych gmin klasztornych, która stosownie do założenia i trybu życia swoich mieszkańców podobna była raczej do wielkiego osiedla chłopskiego aniżeli do miejsca, przeznaczonego do praktykowania ćwiczeń religijnych. Mnisi z Wierchoturie przestrzegali wprawdzie ściśle reguł swego klasztoru i oddawali się pilnie ćwiczeniom religijnym; ale obok tego pracowali na gospodarstwie, uprawiali swoje grunta i poświęcali się przeróżnym zajęciom o charakterze świeckim. Dla Rasputina, jako chłopca, było też bardzo łatwą rzeczą stosować się do tej półklasztornej, półchłopskiej gminy; brał udział w ich modłach i ćwiczeniach pokutnych i chodził z nimi na roboty w polu.

Już po krótkim czasie zdołał ku swemu zdziwieniu zauważyć, że brać klasztorna dzieliła się na dwie grupy, z których jedna odgrywała niejako rolę więźniów, druga natomiast strażników więziennych; wyraźnie starano się stosunki te ukryć i zataić, nikt a tym chętnie nie mówił. Z

czasem Rasputin poznał bliżej braci, których tutaj, w odróżnieniu od innych, niepostrzeżenie pilnowano i nadzorowano; byli to jawni albo ukryci zwolennicy leretyckich wyznań „chłystów” i inni sekciarze, zesłani do Wierchoturia w celu poprawy i nawrócenia z powrotem na łono prawowiernego kościoła. Już od dawna uchodził klasztor w Wierchoturiu za zakład poprawczy dla odszczepieńczych zakon-lików. Bezustannie napływali doń mężczyźni ze wszystkich stron syberii, budzący na początku nieufność u przeorów; z czasem jednak powstawało wrażenie, jakby się wyrzekali swych herezji.

Teraz dopiero przypomniał sobie Rasputin dziwne słowa mło-

dego seminarzysty, którego wiozł do klasztoru, i zdał sobie sprawę, jak zasady głoszonej przez niego wiary różniły się od zasad prawowiernego kościoła, i zaczęło mu świtać w głowie, że ów seminarzysta chciał go pozyskać dla jakiejś sekty.

Wkrótce też przekonał się Rasputin, że zesłani odszczepieńcy tylko z pozoru zrzekli się swej błędnej wiary, aczkolwiek przestrzegali wszelkich przepisów kościelnych. Im więcej Rasputin zżywał się z bracią, czy to przy pracy w polu, czy też w wolnych, nie strzeżonych chwilach, tym bardziej gruntował w sobie przekonanie, że nie tylko odszczepieńcy nie porzucili swoich zasad wiary, ale przeciwnie, niejednen ze „strażników” przystawał do sekcia-rzy i cały klasztor w Wierchoturii tylko na pozór stosował się do reguł prawowiernego kościoła, w rzeczywistości bowiem był on prawdziwą wylęgarnią sekciarstwa.

Prawie wszyscy mnisi uważali niezwykle surowy rytuał kościelny za zbiór próżnych formułek, których tylko z musu należało przestrzegać, aby nie popaść w konflikt z wyższą władzą; prawdziwą zaś wiarę każdy taił w sercu, postępując w myśl zasad Daniła Filipicza, który dwieście lat temu założył bractwo „chły-stów” i przykazał swoim wiernym: „Zachowajcie przykazania moje w tajemnicy, nie powierzajcie ich ani ojcu własnemu, ani matce, bądźcie wytrwali i zachowajcie milczenie, chociażby was smagano i przypiekano ogniem; wtedy jeszcze za życia wnijdziecie do królestwa niebieskiego i osiągniecie wieczną szczęśliwość ducha”.

Najwięcej sił czerpała sekta „chłystów” z tej właśnie tajemniczości. By ustrzec zasady wiary przed wszelką profanacją, jej twórcy nakazali swoim wiernym, by dla pozoru przestrzegać surowo form „fałszywej wiary”, prawosławia, ba, nawet szczególnie pilnie do nich się przykladać.

Sam klasztor w Wierchoturiu mimo swojego sekciarskiego charakteru podtrzymywał pozory prawowiernego bractwa, poszczególni bracia, w miarę jak się przekonali do „chłystów”, tym bardziej dla formy przestrzegali przepisów kościelnych. W krótkim też czasie i Rasputin dostał się w krąg sekciarzy, coraz to gorliwiej na pozór okazując posłuszeństwo formalnym regułom zakonu.

Z biegiem czasu dowiedział się od swoich braci, że obyczaje, modlitwa i ćwiczenia religijne przeznaczone są tylko dla ludzi nieoświeconych, chadzających w ciemnościach życia powszedniego, że kościół i duchowieństwo zeszedli ze sprawiedliwej drogi Bo-

żej. Kto drogą łaski styka się z Duchem Świętym i Bogiem, temu niepotrzebne rozumem ludzkim stworzone prawa i formy kościelne; sam zresztą Danił Filipicz tylko z początku, przed objawieniem, studiował Ewangelię i nabożne księgi, później jednak, gdy ożnał łaski, wrzucił wszystkie księgi do Wołgi, by odtąd jedynie w „złotej księdze żywota” doszukiwać się istotnej prawdy.

W ten sposób Rasputin, adept wiary „chłystów”, stopniowo oddalał się od kościelnych zasad wiary, opartych na Piśmie Św., i przeżywał Boga bezpośrednio i w mistycznym upojeniu. Niezadługo też prawosławie stało się dlań zbiorem próżnych formułek, bez żadnego znaczenia dla zbawienia duszy. Poddał się woli św. Ducha i stał się prawdziwym „synem Bożym”, „naśladowcą Chrystusa”, głęboko przeświadczonego zwolennikiem sekty chłystów. Przyjmując komunię, chodząc do spowiedzi lub wybijając niezliczone razy pokłony przed ikonami w kościele klasztornym, równocześnie był przekonany o bezmyślności poszukiwań w zewnętrznych ceremoniach Boga, który tylko w żywym proroku mieszkać może. Dla Rasputina, podobnie jak dla wszystkich chłystów, ta „obłuda” nie była żadnym grzechem i w niczym się nie sprzeciwiała prawdziwej bojaźni Bożej; sekciarz był święcie przekonany, że tylko przestrzegając przepisów „fałszywej wiary” potrafi swą prawdziwą wiarę zachować w tajemnicy, a co za tym idzie, i w czystości. Na zewnątrz stosowano się do wszelkich przepisów wiary prawosławnej i właśnie dlatego uchowała się w sercu czysta „prawdziwa wiara”, „istniejąca wiara”, w ten sposób powstała „wiara złożona”, która przybierała na sile, w miarę jak władze świeckie i duchowne coraz okrutniej karały wszelkie odstępstwa od prawosławia. W czasie gdy Rasputin stopniowo wnikał w „prawdziwą wiarę”, a

prawowierność jego na zewnątrz była bez zarzutu, okazywał mu się świat pełen najosobliwszych obietnic, nadziei i możliwości. Wiara sekciarzy uczyła przecież, że człowiek już na ziemi o każdym czasie i w każdym miejscu z Bogiem złączyć się może, że Bóg ciągle na nowo chodzi między ludźmi, że owe cudowne wydarzenie w Nazareth, nie było czymś jednorazowym, ale przeciwnie, ciągle na nowo się powtarza.

Człowiek grzeszny i w życiu doczesnym potrafił zespolić się z Bóstwem i doznawać wszelkich wspaniałości niebieskich, jeśli tylko wpierw zdoła umrzeć „tajemniczą śmiercią Chrystusa”, ową

śmiercią przy żywym ciele, po której następuje mistyczne zmartwychwstanie. Kto raz tylko urodził się z ciała grzesznego, nosi na sobie piętno potępienia Adama, trwa w grzechu i podlega śmierci. Tylko człowiek po raz drugi odrodzony, z duchem, opiera się prawom śmierci i zdoła się wznieść ku wyższemu życiu. Chłystowie uczą, że dopiąć „tajemniczej śmierci” można li tylko drogą zupełnego samozaparcia, przez bezwzględne poddanie się woli Sw. Ducha, przez stłumienie wszelkich żądz, gdyż odrodzenie staje się tylko wtedy możliwe, gdy pokonało się w sobie dawnego grzesznika! Kto atoli raz „tajemniczo zmartwychwstał”, potrafi, duchem Bożym natchniony, dokonywać cudów, leczyć chorych, odsłaniać przyszłość; może umarłych powołać do życia, posiada moc łączenia i rozłączania, wybawienia dusz z mąk piekielnych i wprowadzenia ich do nieba, wynagrodzenia lub karania w dzień Sądu Ostatecznego. Staje się nową istotą, objętą Duchem Świętym, staje się nowym Chrystusem. Ku swemu zdumieniu dowiedział się Rasputin, że Bóg od czasu Jezusa Nazareńskiego niezliczoną ilość razy wcielał się w pospolite postacie chłopów rosyjskich, chadzających pomiędzy ludem, ba, nawet zdaje się, że Pan szczególnie chętnie przebywa w świętej Rosji, by móc się objawiać w prostym człowieku.

Sam Bóg Ojciec na wozie ognistym w otoczeniu aniołów zstąpił na ziemię rosyjską w włodzimierskiej guberni i tamże, na pewnej górze w Starodubiu, przynależnym do obwodu murowskiego. wcielił się w chłopca Daniłę Filipicza, byłego dezertera. Odtąd żył Pan' Zastępów w powłoce Daniła Filipicza, wędrował po wsiach guberni kostromskiej, przemawiał w języku prostego ludu i wskazywał muzykom prawdziwą drogę do zbawienia.

Także Chrystus, Syn Boży, w owym czasie zjawił się znowu na ziemi i podobnie jak Pan obrał sobie siedzibę w ciele grzesznego muzyka.

Stuletnia wieśniaczka ze wsi Makłakow. również w guberni włodzimierskiej, zaszła w ciążę ku pośmiewisku całej wsi ze stuletnim starcem. Timofiejewicz Susłow, syn tej dziwnej pary, chował się w domu u swych rodziców. Jako prosty syn chłopca upijał się w towarzystwie innych chłopów, wiódł życie rozwiązłe, aż spotkał go ucieleśniony Pan Zastępów, rozpoznał w nim syna swego Chrystusa i powołał do swego domu w włodzimierskiej guberni.

Święty przestraszył przenikał Rasputina, gdy mu opowiadano, że

z tej prostej chaty, gdzie zamieszkiwali razem Danił Filipie? i Iwan Susłow, Bóg Ojciec i Chrystus, prowadziła prosta droga do nieba i pobożni, i oświeceni chłopci często widzieli, jak ci dwaj wspaniali mężowie unosili się w górę. Iwan Susłow wybrał sobie spośród chłopów dwunastu apostołów i wędrował z nimi brzegami Wołgi, aż go na rozkaz cara Aleksandra Michajłowicza pojmano, przywieziono do Moskwy i tamże ukrzyżowano na murach Kremla, niedaleko bramy Zbawiciela; w sobotę jednakże, na trzeci dzień po śmierci, wstał Susłow z grobu i objawił się swoim apostołom; schwytany przez siepaczy po raz drugi i odarty ze skóry, umarł po raz wtóry na krzyżu; atoli znowu zmartwychwstał. W tym samym dniu, gdy go znowu uwięziono i po raz trzeci miano stracić, urodził się carycy syn. Piotr Aleksiejewicz, późniejszy Piotr Wielki. Ze względu na radosne wydarzenie zwolniony z rozkazu cara, żył jeszcze Iwan Susłow w Moskwie przez lat 30, aż wreszcie, mając sto lat, wniósł się w całej swej świętości ku niebu, by zespolić się z. powrotem ze swym ojcem, Daniłą Filipiczem.

Po tym ostatnim Wniebowstąpieniu Pana Jezusa miał Zbawiciel ponownie wcielić się w rosyjskiej krainie. Tym razem obrał sobie ciało strzelca przy baturinskim pułku, który buntował się przeciwko Piotrowi Wielkiemu, za co skazano go na wygnanie do Nowogrodu. W prostej powłoce strzelca Prokopa Łupkina znowu chadzał Chrystus pomiędzy swoimi ulubionymi muzykami.

Kiedy zaś Prokop Łupkin zasnął w Panu, nawiedził Zbawiciel ciało tkniętego niemocą muzyka Andrzeja Piętrowa. Tenże, będąc obłąkanym, odziany jedynie w koszulę, latem i zimą wałęsał się po wsiach, bełkocząc niezrozumiale i wykonując bezmyślne ruchy; świadomy jednak lud

rozpoznał w szaleńcu natychmiast Zbawiciela, padał przed nim na kolana i wołał: „Chrystusie An-drjuszko, błogosław nam i zbaw nasze dusze!”

Chłopi bowiem dobrze wiedzieli, że w tych, co „w tajemniczy sposób umarli i ponownie zmartwychwstali”, nie objawia się nic z człowieka, lecz jedynie Duch Boży; a objawienia Ducha Świętego są zawsze ponad zdrowy rozum ludzki, dlatego też niektóre słowa i czyny „odrodzonych” mogą budzić wrażenie, jak gdyby pochodziły od głupców i szaleńców.

Uświadomiony atoli wie, że właśnie w tym pozornym szaleństwie przejawia się Duch Boży. gdyż rozum człowieka nie pojmuje mądrości Bożej, nie przenika do niej poprzez zasłonę.

Jeśli już opowiadania o tych wszystkich wcieleniach Bóstwa w prostych rosyjskich muzyków silnie zajęły i podnieciły fantazję Rasputina, to w szczególności historia o powtórny uosobieniu Boga w postaci proroka Radajewa podziałała nań jak objawienie. Radajew, który kilkadziesiąt lat temu przebywał jeszcze między żyjącymi, był przecież wedle ludzkiego pojęcia występny i zwyrodniały grzesznikiem, a jego zdrożności przewyższały nawet występne czyny samego Rasputina. Radajew popełniał grzechy nieczyste wszelkiego rodzaju i uprawiał rozpustę i nierząd równocześnie z trzynastoma kobietami. A przecież był wielkim prorokiem i mimo wszystkich jego występków przemawiał przezeń Duch Święty. Jego zwolennicy czcili w nim ucieleśnioną Bóstwo i ślepo wierzyli każdemu jego słowu; wszakże byli święcie przekonani, że prawa są ważne tylko dla tłumu, dla ludzi natomiast „sprawiedliwych”, natchnionych Duchem Świętym, nie przedstawiają żadnej wartości: Duch Święty nie uznaje żadnej władzy i nie podlega żadnemu ziemskiemu prawu. Grzechy Radajewa nie były grzechami, wypływały bowiem z natchnienia; czyn takiego „w tajemniczy sposób odrodzonego”, chociażby najpodlejszy, był Panu droższym i miłszym niżeli najpiękniejsze i najenotliwsze uczynki zwykłego człowieka; w odrodzonym grzech tracił wszelką siłę i nic więc, cokolwiek by zrobił, nie zasługiwało na potępienie i pogardę. Gdy mu siepacze cara zarzucali jego występne życie i wzywali, by czynił pokutę, Radajew w przeświadczeniu, że Bóg przez niego mówi, dumnie im odpowiedział: „Nie wiem zaiste, za co mam odbywać pokutę! Znacie wprawdzie moje grzechy, ale nic nie wiecie o łasce Bożej we mnie”.

Gdy boski prorok z powodu niesłychanych swych zdrożności stanął przed

sądem świeckim, twierdził, że kierowała nim siła pochodząca od Ducha Świętego i zniewalała go do czynienia złego. „Wprawdzie wiedziałem, że łamałem prawo, ale i to wiedziałem, że czyny me wpływały z woli Boga. Dlatego też wszystkie kobiety, grzesząc ze mną, lepiej na tym wyszły i miłsze są Bogu aniżeli te, które mi się oparły i zachowały cnotę. Gdyż we mnie uosobił się Pan, wziął na Sień powłokę cielesną i cielesnie grzeszył, by grzech wytepić. Jedynie kto się w grzechu poniża, w pokucie staje się miły Panu. Poniżyłem niewiasty, które mi swoją czystość

poświęcały, by nie były zarozumiałe i dumne ze swej cnoty. Cóż mogłoby więcej ukrócić pychę niż poniżenie w grzechu?"

Grzegorz Rasputin dowiedział się również, że i po śmierci Ra-dajewa Zbawiciel więcej razy pojawiał się pod postacią rosyjskich muzyków, a i obecnie, równocześnie w kilku miejscach przebywa między wiernymi. W pierwszej z brzegu wsi może się między wieśniakami znaleźć uosobiony Chrystus, mówiący tym samym językiem, noszący ten sam strój i tak samo jak wieśniacy nie umiejący ni czytać, ni pisać. Wszędzie, gdziekolwiek zbierają się „Judzie boży” z tajemniczego bractwa dla odprawienia uroczystych obrzędów. Duch Święty nawiedza zebranie i obiera sobie ziemską powłokę najgodniejszego z nich: Chrystus na nowo się ucłowiecza. Blisko więc z rosyjskiej krainy do rajy Bożego w niebiosach. Droga do nieba zaczyna się często w jednej z tych chałup wiejskich, gdzie zbierają się wierni, by na „korabie”, „w arce sprawiedliwych” żywcem dostać się do nieba.

Rasputin znajdował w tej wierze obietnice wszystkiego, za czym tak bardzo tęsknił od najwcześniejszego dzieciństwa; i teraz widział drogę przed sobą, na której mógł, mimo swoich słabości, już na ziemi uzyskać wieczne zbawienie, ba, nawet dostąpić stanu świętości. A gdy mu się uda wchłonąć w siebie Ducha Świętego i „umrzeć śmiercią pełną tajemnic”, żaden grzech go więcej nie skusi i nie sprowadzi z drogi cnoty. Duch Święty zawsze go będzie prowadził, cokolwiek by on, Rasputin, uczynił. Od tego czasu miał młody Rasputin jedyną tęsknotę, jedyne gorące dążenie: kroczyć tą przez naukę chłystów wyznaczoną drogą do samej doskonałości.

Zanim jeszcze Rasputin opuścił klasztor w Wierchoturii, chciał przede

wszystkim odwiedzić świętego starca Makarego. Pustelnia starca znajdowała się niedaleko klasztoru i każdy przed opuszczeniem gospody klasztornej szedł do Makarego po błogosławieństwo.

Nie tylko mnisi z Wierchoturia, lecz także mężczyźni i kobiety wszystkich warstw przychodzili z bliska i z daleka do ojca Makarego, gdy im coś ciężkiego leżało na sercu, gdy doznali krzywdy lub żalowali złych czynów. Między pielgrzymami, którzy po całych dniach, z odkrytą głową i boso, z torbą na plecach i kijem w ręku, bez końca wędrowali po lasach i chatach Syberii, by odwiedzić pustelnię mądrego starca, znajdowali się żebracy i zamożni, chłopci, mieszczenie i arystokraci, prości żołnierze i oficerowie. Nikt z pielgrzymów nie opuszczał chaty pustelnika bez słowa pociechy lub

budującej rady: wracając do domów pielgrzymi szerzyli sławę ojca Makarego po całej Rosji.

Tajemniczy współwyznawcy klasztoru opowiadali mu, że ten obecnie tak bogobojny starzec dawniej był wielkim grzesznikiem, człowiekiem, któremu żadna żądza, żadne uniesienie zmysłowe nie były obce. Przeszedł przez wielkie ułudy tego świata, nakosztował się rozkoszy życia, poddawał się każdej pokusie, póki była w nim odrobina grzechu. Później atoli, gdy się już w grzechach oczyścił, gdy w mózgu ani w sercu już nic z grzechu nie zostało. Bogu w pokorze poświęcił oczyszczone swe serce, ciało i zmysły.

Najpierw — opowiadają — poszedł do klasztoru, gdzie przez wiele lat jak najokrutniej umartwiał swe ciało, aby je niejako wystawić na próbę, czy w rzeczywistości chce służyć Wszechmocnemu. Gdy już nareszcie był pewny, że stary człowiek w nim rzeczywiście umarł „śmiercią pełną tajemnic”, udał się do lasu. gdzie osiadł w małej chatce, tamże odtąd zamieszkiwał, wolny od wszelkiej ludzkiej żądz, radując się czystą „radością Pana”. Od tego czasu nie podlegał żadnej ziemskiej słabości, nawet łańcuchy żelazne na jego ciele przestały dlań być ciężarem. Nie podlegał żadnym ograniczeniom, jakie zwykle ludzi krępują; nie istniały dlań czas ni przestrzeń, los każdego człowieka był dlań otwartą księgą. Był świętym człowiekiem, któremu bez ogródek można było zawierzyć, jak gdyby się zwracało do samego Boga, gdyż starzec, który przeszedł przez wielkie grzechy i pokonał je, znał dokładnie wolę i zamiary Stwórcy w stosunku do swoich dzieci na ziemi.

Te i tym podobne rzeczy słyszał Rasputin w Wierchoturii o cudownym ojcu Makarym, postanowił więc pójść do niego po radę. Jego odwiedziny

u pustelnika miały rozstrzygnąć, czy należy wrócić do domu. do żony i dziecka, do towarzystwa swoich kompanów, do koni i stajni, czy też powinien poświęcić swe życie wyższym zadaniom, do których już od dziecka czuł powołanie.

Zanim się wybrał w drogę do pobożnego Makarego, udał się wpierw do relikwiarza, zawierającego relikwie Św. Szymona z Wierchoturii. Tu modlił się długo i gorąco, czerpiąc z modlitwy siłę i czystość ducha.

Chciał bowiem po odpowiednim przygotowaniu dopiero pójść do ojca Makarego; następnie poszedł drogą prowadzącą do jego pustelni.

Chata Makarego znajdowała się w głębi lasu i droga prowadząca do niej była dość długa. Był to nędzny, nie zamieszkan

szałas, mogący pomieścić tylko kilku ludzi. W nim to spędzał starzec swe życie w ubóstwie i wyrzekaniu się wszystkiego. Ciężkie łańcuchy obciążały zbiedzone, podobne do szkieletu ciało, ale słabemu starcowi widocznie łańcuchy te nie bardzo ciążyły. W oczach miał wyraz radości, na bladych zaś wargach igrał wieczny, słoneczny uśmiech i głos jego, choć był już tak słaby i cichy jakby powiew, to jednak w brzmieniu zdradzał dużo ciepła i żywości.

Wszedłszy do komórki starca, Grzegorz rzucił się na ziemię, całując raz po raz kościste ręce starca, okute w żelaza. Następnie z największą prostotą mówił o tym, co go tu sprowadziło, starając się niczego nie upiększać ani nie przemilczeć. Spowiadał się ze swego grzesznego żywota, wyznał swoje złe myśli, żądzę cielesną, ciągle trapiącą go także przez czas pokuty w klasztorze, i także osobliwe objawienie, jakie miał. Mówił o swej słabości i wątpliwościach, o głosie wewnętrznym, każącym mu się poświęcić służbie bożej, i o tym, że go równocześnie opada tęsknota za żoną, dziećmi, za dobrami doczesnymi, za karczmą.

Z pokornie schyloną głową wyznał to wszystko. Podniósłszy oczy, ujrzał na twarzy Makarego uśmiech łagodny, pełen wyrozumienia, i równocześnie trupia ręka starca spoczęła na jego głowie. „Raduj się, mój synu”, mówił ojciec Makary natchnionym głosem, „gdyż spośród wielu tysięcy Pan ciebie wybrał! Dokonasz wielkich rzeczy: zostaw żonę i dzieci, pozostaw swe konie, idź w świat na wędrówkę! Usłyszysz głos ziemi i zrozumiesz jej słowa i później dopiero wrócisz między ludzi i głosić im będziesz słowa naszej świętej ziemi rosyjskiej”.

Najpierw udał się Rasputin z Wierchotiiria do Pokrowskoje, by się z rodziną na długi czas pożegnać. Ojciec Makary wysłał go na wędrówkę,

ale także on sam poznał, że jego zewnętrzne ćwiczenia pokutne i umartwienia były pierwszym wstępem, niejako przygotowaniem do właściwej „drogi”.

By wstąpić na „drogę wewnętrzną”, musiał przejść również „drogę zewnętrzną”, „drogę wędrowca”, „pielgrzyma”, gdyż dla rosyjskiego chłopca odrodzenie człowieka przez „śmierć, pełną tajemnic” połączone było bezwzględnie z wędrowką w dosłownym znaczeniu. Kto kroczy „drogą wędrowca”, pozostawia za sobą wszystko, co posiada, ojczyznę i dom, rodziców i rodzinę, zrywa wszystkie więzy łączące go z ziemią. Wędrowka jest jednym z najważniejszych aktów w rosyjskiej mistyce.

Ludzie różnego wieku

porzucają nagle pracę na roli i w domu, wyruszają w drogę, zanurzają się w nieznaną dal, stają się dla rodziny „umarłymi”. Pozbywają się swego nazwiska, dawnych szat, spalają swe papiery i puszczają w niepamięć rodziców, żonę i dzieci: „Idą na wędrowkę”, „Ujti w strażstwowanie”. Nie piszą nigdy listów ani też w inny sposób nie dają znaku życia o sobie; najbliższa rodzina, ani przyjaciele nic o nich nigdy nie słyszą; są „wędrowcami”, „strannikami”.

Dla wszystkich tych sekciarzy, którzy wybierają wewnętrzną drogę, „śmierci pełnej tajemnic”, małżeństwo staje się przeklętym związkiem nie do zniesienia, gdyż małżeństwo oznacza dla nich wiązanie się z majątkiem, domem, krajem rodzinnym. Ten osobliwy pogląd na niewłaściwość prawnego małżeństwa wypowiadają szczególnie ostro przepisy religijne chłystów: Dla nich małżeństwo równocześnie jest i grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, i każdy „mąż boży” ma obowiązek rozwiedzenia się ze swą żoną lub przynajmniej trzymania się z dala od wszelkiej małżeńskiej wspólnoty. Ale chłystci, potępiając prawne małżeństwo, błogosławione przez popa, a więc noszące na sobie piętno antychrysta, dopuszczają wszelkie inne formy miłości, gdyż te nie na zawsze wiążą człowieka z ziemią i domem. Każdy więc zwolennik sekty chłystów ma prawo, w zamian za „błogosławiony przez popa” związek, zawierać kilka innych, przez samego Boga błogosławionych „małżeństw z ducha”.

Tysiącami wędrują sekciarze po państwie rosyjskim, we wszystkich kierunkach, jedni za głosem wewnętrznym tułają się bez celu, inni znowu pielgrzymują do miejsc świętych chrześcijaństwa, na górę Atos, do Jerozolimy albo nawet na górę Synaj.

Prawie w każdej wsi rosyjskiej znajduje się kilku muzyków, należących potajemnie do bractwa „wędrowców”, i ich obowiązkiem jest udzielać gościny „strannikom” i ukrywać ich przed władzami. Zagrody tych chłopów mają zawsze odpowiednie miejsce: stodołę, izdebkę bez okien albo piwniczkę pod chałupą — izbę — gdzie zawsze zmęczony wędrowiec może znaleźć spokój i opiekę. Niekiedy całe wsie sympatyzują ze „strannikami” i prawie w każdej chałupie znajduje się przeznaczone dla nich podziemne pomieszczenie.

Wędrując w ten sposób od jednej jamy do drugiej, „człowiek podziemny” po/bywa się z czasem wszystkiego, co łączyło go jesz-

cze z poprzednim życiem. Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska, nie wie się nic o jego przeszłości, żaden go człowiek nie spyta, skąd przybywa i dokąd go droga prowadzi. Wolny od wszelkiej łączności z ziemskimi sprawami, żyje jedynie dla dobra swej duszy i oddaje się miłym Bogu ćwiczeniom duchowym, stopniowo dochodzi do znaczenia jakiejś szczególnej istoty, chłopcy są szczęśliwi, gdy przekracza progi ich domostwa. Znaczenie tych „podpol-ników”, „ludzi podziemnych” jest niezwykle wielkie i najczęściej przewyższa o wiele znaczenie popów. Gdy pielgrzym znajduje się już u końca wędrówki, może nawet zostać świętym. Staje się „mędrce\ „starcem” i ze wszystkich stron kraju wędrują doń wierni, by prosić o radę i błogosławieństwo. Odrzuca on precz od siebie wszystko, co łączy go jeszcze ze światem pozorów. Jego grzeszne uczucia i myśli stopniowo wygasają i rozpoczyna się w nim cudowny proces „śmierci pełnej tajemnic”.

Przez długie lata wiódł Rasputin życie wędrowca i czas ten niezwykle ważną odgrywa rolę w całym jego rozwoju. W tym czasie dokładnie zapoznał się z ludem rosyjskim, pogłębił też niezmiernie swoją znajomość natury ludzkiej, ponieważ w podziemnych izdebkach chałup wiejskich stykał się ciągle z ludźmi wszelkiego rodzaju, którzy podobnie jak on zamieniali swoją poprzednią spokojną egzystencję na tułaczy żywot „podpolnika”. Na ciągłej tułaczce, stale niepokojony przez żandarmów i popów, nabierał wprawdy w obserwowaniu ludzi bez zwracania uwagi, w odgadywaniu ich najtajniejszych zamiarów, w poznawaniu ich słabostek i osobliwych cech charakteru. Obcując ze zwolennikami najrozmaitszych sekt, z rzecznikami najcudowniejszych idei, w ścisłym kontakcie z przeróżnymi marzycielami i bojownikami wiary, wnikał w najtajniejsze

głębie duszy rosyjskiej i przyjmował w siebie uczucia, myśli i pragnienia prostego ludu.

Stykał się ze starowiercami⁷, owymi fanatykami litery, którzy oburzali się na poprawki, wprowadzone do świętych ksiąg kościelnych przez patriarchę Nikona, i twierdzili, że zbrodnicze te zmiany uczyniły ze słowa bożego narzędzie antychrysta, a z samego prawosławia „nierządnicę babilońską”.

Inni znów skciarze wzbraniali się służyć przy wojsku, za co musieli znosić okrutne prześladowania ze strony władz, gdyż brali bardzo poważnie słowa boże, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, i dlatego odrzucali wszelką myśl o wojnie. A jeszcze

inni fanatyczni chłopci odmawiali płacenia podatków, nie mieli bowiem zamiaru oddawać majątku w ręce zauszników szatana. Ciągłe zatem starali się unikać władz i marzyli o zbliżającym się nowym państwie Bożym, co czwartej z rzędu wielkiej epoce, w której Duch Święty obejmie władzę nad ziemią, ukarze służalców antychrysta, a wywyższy sprawiedliwych.

Jakkolwiek różnili się między sobą sekciarze w pojmowaniu przyszłego szczęścia i zbawienia, bądź to że jedni zapowiadali odrodzenie człowieka drogą pokuty, bądź też inni znowu widzieli w buntowaniu się przeciwko grzesznemu światu drogę do łaski Bożej, to przecież łączyło ich wszystkich jedno wspólne pragnienie, pokonać już na ziemi stare grzechy świata i za życia dostąpić nieba.

Słowa pociechy prawowiernego kościoła, które mówiły o czekaniu w cierpliwości na szczęście w życiu przyszłym, nie zadowalały żadnego z sekciarzy. Wszyscy byli przejęci radosną nadzieją, że jeszcze przed śmiercią zespolą się z Bogiem. Co najwięcej wiązało i łączyło tych ludzi przeróżnych w jedno ścisłe bractwo, to ich skrytość przed otaczającym ich światem, utrzymywanie w tajemnicy przed innymi wiary, obrzędów i nadziei.

W ciągłym towarzystwie bardzo licznych pielgrzymów i wędrownych mnichów pogłębiał Rasputin stopniowo swą wiedzę teologiczną i nauczył się przy tym sprawnie operować tekstami z Biblii, co też później wprawiało powszechnie w zdumienie nawet najwyższych dostojników kościelnych. Tak więc lata wędrówki były dlań okresem nauki w każdym kierunku i wszelkie jego postęпки w późniejszym życiu noszą na sobie piętno owej epoki pielgrzymstwa i życia w izdebkach podziemnych. Największym i najbardziej decydującym przeżyciem dla Rasputina w

czasie jego wędrówek było właściwie zapoznawanie się z misteriami chłystów. Co już w Wierchoturie ze wzmianek obudziło jego uwagę i już wtedy przejęło do głębi i oczarowało, teraz, gdy wędrował przez niezliczone wsie olbrzymiego rosyjskiego państwa, okazywało mu się w czystej postaci. Teraz dopiero widział na własne oczy w ukryciu będące, małe izdebki wiejskie, cele klasztorne albo stodoły, gdzie odbywały się misteria „cudownego przemienienia”. W tych „arkach” rosyjskich „ludzi bożych” poznał dopiero Rasputin w całej prawdziwości cuda „śmierci pełnej tajemnic” i spełniło mu się wszystko to, na co od tak dawna przy-

gotowywał się umartwianiem ciała, wędrówką i zrzeczeniem się domu i dóbr doczesnych.

Dosyć dziwacznie wygląda ten „akt mistyczny” chłystów. Mała, niepozorna chałupa, w której odbyć się ma cud, w niczym zewnątrz nie różni się od innych chałup we wsi. Kto przekracza jej progi, widzi pospolitą izbę chłopską, przy ścianie nie heblowane ławki, a w samym środku stoi prosty stół i dwa stołki. W sobotę wieczorem ten i ów z chłopów i niejedna chłopka cichaczem schodzą się w tej izbie. Gdy „zajdzie czerwone słońce”, zasłania się okna. a członkowie bractwa bez słowa zajmują ławki, mężczyźni po prawej, kobiety po lewej stronie; wyraz twarzy i zachowanie się takie same. jak u siebie w chałupie, gdy po ukończonej robocie w polu usiądą dookoła samowaru. Ci dwoje także, chłop i chłopka, siedzący za stołem na honorowych krzesłach, w niczym nie różnią się od innych członków bractwa: noszą koszule i kurtki i ciężkie buty pokryte kurzem z gościńca. Ale „ludzie boży”, wtajemniczeni, drżą z przejęcia, gdy wzrok ich przypadkiem pada na tę parę za stołem, gdyż wiedzą, że ci dwoje, prości chłopi, to jakieś przez Boga nawiedzone istoty. Zaczyna się śpiewanie ciągnących się w nieskończoność hymnów, przypominających litanie, pieśni kościelne, psalmy i ludowe pieśni; przebija z nich tęsknota chłystów za przyjściem Królestwa Bożego, za ucieleśnieniem Boga i za zesłaniem Ducha Świętego. Coraz bardziej rosną ekstaza, zachwyty i radosne uniesienie śpiewających, hymny bowiem zwiastują teraz zjawienie się Zbawiciela pośród chóru promiennych aniołów. Wkrótce chłopi ściągają szaty i buty i wdziewają koszule z białej tkaniny, na pamiątkę cudownego zmartwychwstania Chrystusa, Iwana Susłowa, na którego odartym przez siepaczy ciele białe płótno w nową

skórę się zamieniło. Równocześnie obleczenie się w białą koszulę, „w szatę odeszłych duchów i aniołów”, oznacza w oczach „ludzi bożych”, że zamienili swą ziemską powłokę na bezcielesną, a sami przemienili się w istoty obdarzone niezwykłymi siłami.

W swych dziwnie skrojonych, białych koszulach, przy świetle dwunastu woskowych świec, coraz goręcej oddają się śpiewowi, aż wreszcie jeden z nich wstaje i zaczyna się obracać wokół siebie. Potem i inni mężczyźni i kobiety występują z szeregu, tworzą pary i rozpoczynają wiejski taniec w takt pieśni, już to krocząc w kółko jeden za drugim, już to z osobna kręcąc się wkoło siebie.

4>

Po krótkim czasie pospolity taniec przechodzi drogą mistycznego przemienienia w rytualny taniec uczniów dookoła Chrystusa Pana: tajemne kręgi ukrytej prawdziwej wiary podają, że w tańcu uczniów dookoła Pana biorą także udział potęgi niebieskie, jak słońce, księżyc i gwiazdy, tworząc radosny korowód dookoła Jezusa, wcielającego się w człowieka Syna Bożego; podobnie też przy tańcach radujących się sekciarzy cały wszechświat zatacza radosne kręgi, aż „Pan nad pany objawia się w kole, w złoty róg zadmie i światu zwiastuje, że grzesznikom winy daruje”. Formy tańca zmieniają się ciągle. Raz wierni przemierzają izbę w skocznych podrygach, jeden za drugim, to znów przebiegają na krzyż i do góry błagalnie ręce wznoszą, wzywając Ducha Świętego. Gdy ekstaza dochodzi już do pewnego stopnia, „ludzie boży” czują nad głową powiew skrzydeł Ducha Świętego i wtedy następuje owo wielkie przemienienie, gdzie wszystko cielesne przeistacza się w niecielesne. Ławki, stół, krzesła, duszna izba chłopska przemieniają się w nieziemską „arkę sprawiedliwych”, w „korab”, który uprowadza bractwo poprzez szumiące i burzliwe morze doczesnego świata do krainy wiecznej szczęśliwości. Na miejscu wieśniaka i |wieśniaczki na honorowych krzesłach znajdują się Chrystus i Matka Boska, którzy, sterując „arką”, prowadzą wiernych braci do krainy niebieskiej. I słowo ciałem się stało i znowu dokonał się cud. Wszechmocny Duch Boży ponownie oblekł się w ciało człowieka. Wśród frenetycznych zachwyków „ludzie boży” wołają raz po raz: „Duch Święty nas nawiedził” i powtarzają te okrzyki, aż bezwład języka zamyka im usta i błogie zdrgnięcie ogarnia członki. Taniec ma się ku końcowi, milnie powoli śpiew i boski sternik wstaje od stołu. Zaczyna przemawiać, głos jego zmieniony to brzmi jak krzyk

zwierzęcia, to znowu jak bełkot dziecka, albo też dźwięczy radosnym upojeniem triumfu.

Jedynie wtajemniczeni w te misteria chłystki wiedzą, że Duch Święty opanował brata, który teraz wyrzuca z siebie słowa, bełkot i krzyki, już to wybuchając dziecinnym śmiechem, już to wykrzywiając twarz w przeróżne grymasy; im tylko wiadomo, że jest to bełkot odrodzonego, przemienionego w dziecko człowieka bez winy. Przejęci pokorą i szczęściem, siedzą sekciarze na ziemi wokoło boskiego sternika, płaczą, drżąc z zachwyty i robiąc wciąż znak krzyża świętego, słuchają słów natchnienia z ust proroka.

Potem na nowo rozpoczyna się taniec, jeszcze dzikszy i bardziej niepoahamowany, i tak trwa do samego rana. Ta mieszanina głosów, ten tupot nóg tańczących i szelest miętoszonych koszul tworzą razem chaotyczny hałas nie do rozróżnienia; twarze i postacie rozpływają się, długie, białe, w zawrotnym tańcu wzdęte koszule robią wrażenie obracających się słupów, a cała podłoga jest mokra od potu tancerzy. Nagle, w tym do najwyższego stopnia rozszalałym kłębowisku sekciarze ściągną koszule i po pas obnażeni jeden po drugim przystępują do proroka, który ich biczuje prętem uplecionym z witek, by w ten sposób zaznaczyć poczęcie i płodzenie nowego człowieka w ciele Adama. I podobnie jak Chrystus zrzucił z siebie szatę śmierci, tak samo chłystci, mężczyźni i kobiety całkiem zdzierają z siebie swe szaty. Tu i ówdzie niejeden, dotknięty drgawkami, osuwa się bezprzytomnie na ziemię; gasną światła, kobiety z rozpuszczonym włosom rzucają się na mężczyzn, ściskają ich i całują namiętnie. W „grzesznym zetknięciu” tarzają się „ludzie boży” po ziemi i łączą się ze sobą bez względu na wiek i pokrewieństwo.

Dopiero w tym dzikim upojeniu zmysłów zatracą się zupełnie świadomość spraw doczesnych i własna wola, gdyż w tym „grzesznym zetknięciu” nie działa więcej „ja” cielesne, lecz raczej wola niewidzialnego Ducha.

Grzegorz Jefimowicz Rasputin, zmysłowy i wierzący muzyk z Pokrowskoje, tutaj, wśród orgii chłystów, poznał dopiero przedziwne misterium odrodzenia człowieka drogą grzechu. Mówił sobie, że teraz pojmuje, iż właściwie życie wewnętrzne dostaje się w udziale tylko tym, którzy w „grzesznym zetknięciu” rozbudzą w sobie dawnego grzesznika i

zwalczą go, by następnie w tajemniczy sposób unieszkodliwić go dla grzechu i dostąpić stanu „świętej beznamiętności”. Nigdy nie zdołał też człowiek zniweczyć więzów łączących go z ziemią, zanim wpierw do reszty nie zgnębił w sobie zarozumiałości i pychy: zarozumiałości ascety i pychy cnotliwego. Także dla Rasputina prowadziła odtąd droga do pokory przez „grzeszne zetknięcie”, przez odrzucenie wszelkich hamulców i najgłębsze poniżenie własne w grzechu cielesnym.

Kaznodzieja z izdebki podziemnej

Upłynęło już kilka lat od czasu, jak Grzegorz Jefimowicz, przypasawszy torbę, wziął kij do ręki i misę jałmużnika i rozpoczął wędrówkę. Rodzina jego, pozostając w Pokrowskoje, od długiego już czasu nie miała o nim żadnej wiadomości, a ojciec jego, stary Jefim, bardzo cierpiał z powodu nieobecności syna. Dzielny chłopak był mu w starości ważną podporą, gdyż mimo że chętnie w towarzystwie innych chłopców wiejskich spędzał czas w karczmach, dzielnie pomagał przy połowie ryb. przy pracy w polu, a szczególnie przy doglądaniu koni.

Gorliwy Jefim Andrejewicz Rasputin zdołał z biegiem lat znacznie powiększyć odziedziczoną posiadłość; na miejsce starego, małego domku mieszkalnego wystawił większy, dwupiętrowy budynek, rozbudował stajnie i podniósł stan koni do kilku tuzinów. W ten sposób stanął na miejscu dawnej posiadłości jeden z tych czystych i bogatych dworków, jakie często napotkać można na Syberii.

Niedługo jednak potem los uwziął się na niego jak na Hioba i raz po raz weń uderzał; w krótkim czasie stracił dwóch synów i swą wierną, pracowitą żonę, Annę Jegorownę; ta do ostatnich dni smukła i piękna, z siwymi włosami i żywymi oczami, przewodziła gospodarstwu i siedziała przy krosnach. Przeziębła się w słotny dzień jesienny w drodze z Tiumenu do Pokrowskoje i po kilku dniach choroby umarła. Tak więc staremu Jefimowi pozostał w końcu tylko Grzegorz, aż pewnego dnia i ten go opuścił, by pójść w nieznaną dal „na wędrówkę”.

Jakkolwiek ciężko było staremu rozstać się z synem, nie uskarżał się jednak nigdy, gdyż był głęboko wierzącym wieśniakiem,

a w tym przeżyciu również uznawał Bożą wolę; czyż nie czcigodny i mądry ojciec Makary nakłonił jego Griszę do tego, by opuścił dom, ojca, żonę i dzieci i poszedł na wędrowną? Jefim Andrejewicz udzielił swemu synowi ojcowskiego błogosławieństwa na drogę w głębokim przekonaniu, że służba Boża stoi ponad pracą w domu.

Jeszcze teraz, kilka lat po odejściu Griszy, pocieszał się stary Jefim w swoim zmartwieniu myślą, że sam Bóg potrzebował go. Często myśl ta podnosiła go na duchu, jak to się nierzadko zdarza u ludzi przekonanych o tym, że Bóg ich powołał do wielkich zadań, bądź do niesienia jakiejś wielkiej ofiary, bądź też do przeżywania ciężkiego cierpienia.

Im więcej ta myśl go zaprzętała, tym więcej czasu przepędzał stary Jefim w kościele lub w nisko położonej izbie swojego domu, gdzie wisiał cudowny obraz Matki Boskiej Kazańskiej. Tam modlił się często godzinami, zaniedbując coraz bardziej swoich obowiązków i zajęć.

Uciekał teraz wedle możliwości przed wizytami sąsiadów i innych okolicznościowych gości, a nawet gdy siedział z Praskowią Fiodorowną, żoną swego zaginionego syna i z ich powoli podраста-jącymi dziećmi, nie opowiadał jak dawniej przedziwnych historii z dawnych czasów, tylko zadumany trwał przeważnie w milczeniu. A gdy doń przychodzono w sprawach gospodarskich, spotykano się często z pełnym znaczenia i zdziwienia spojrzeniem, które zdawało się mówić: „My, mój syn i ja, żyjemy li tylko dla służby Bożej!”

Także młodą żonę Griszy gnębiła ciężko długoletnia nieobecność jej męża. Wprawdzie i ona była wierzącą i w swym zmartwieniu szła pocieszać się u stóp cudownego obrazu Matki Boskiej, ale przecież nie posiadała tej głębokiej, dumnej wiary, która starego Jefima przynajmniej częściowo

pocieszała w tęsknocie za synem. W sercu tej młodej i osamotnionej kobiety obok żądź i samotności za mało było miejsca na pokorę w przyjmowaniu Boskich wyroków.

Dlatego też Praskowię Fiodorowną coraz rzadziej oczy wznosiła ku świętym ikonom, częściej natomiast wzrok kierowała na mały i zniszczony obrazek swego męża, sporządzony niegdyś na poczekaniu przez wędrownego fotografa z Tobolska. Śmiała się do niej z obrazka wesoła i zadowolona twarz Griszy; natłuszczone włosy były równo i gładko rozczesane, świeża, różowa i opalona

4^

twarz ozdobiona jasnoblond wąsem, a z rysów i całej postaci biła siła i radość życia i tylko w oczach, patrzących w dal, leżało coś kłującego. Na szczęście młoda niewiasta coraz bardziej zajęta gospodarstwem domowym, leżącym prawie w całości na jej barkach, i wychowaniem trojga dzieci za mało miała czasu na zajmowanie się swoimi smutnymi myślami. Jednakże i ona straciła z czasem wesołość, stała się milcząca i zamknięta w sobie, zestarzała się, a na jej niegdyś pięknej twarzy rozsiadły się zgryzota i smutek.

Często przechodzili przez wieś obcy pielgrzymi, wędrowcy lub włóczędzy, i utartym zwyczajem znajdowali schronienie na jedną noc w zagrodzie Jefima Rasputina. Wtedy Praskowia Fiodorowna była rozmowniejsza, zadawała obcym mnóstwo pytań, gdyż ciągle żywiła nadzieję, że może przybysz jej coś opowie o Grzegorzu Jefimowiczu. W takich chwilach błyszczały jej oczy, a twarz ożywiała się i jakby młodziła.

W pierwszych dniach po odejściu Rasputina wędrowcy często opowiadali, że spotykali po drodze mężczyznę o wyglądzie odpowiadającym podawanemu przez Praskowię rysopisowi. Wielu z pielgrzymów podawało nawet, że rozmawiali z Grzegorzem Jefimowiczem i wędrowali z nim wspólnie przez pewną część drogi. Raz miano go spotkać w gospodzie klasztornej na Uralu. innym znowu razem widziano go wędrującego na gościńcu, prowadzącym do Kazania, a niektórzy pielgrzymi utrzymywali nawet, że widziano go w lasach, w pobliżu Pokrowskoje, po drugiej stronie rzeki Żury; naturalnie nie było się pewnym, czy to w rzeczywistości był mąż Praskowii, gdyż żaden z wędrowców nie wymieniał nigdy jego nazwiska.

Z biegiem lat wiadomości o Rasputinie były coraz rzadsze i mniej pewne,

aż po pewnym czasie i te niepewne wieści ustały. Za to w trzecim roku po zniknięciu Rasputina zaczęły krążyć między chłopami wieści o pewnym wędrowcu, dokonującym licznych, głośnych cudów.

Coraz częściej przybywali do Pokrowskoje podróżni i opowiadali o zadziwiających czynach jako też o dziwnej nauce tego zagadkowego człowieka. Jak wieści głosiły, pojawił się po raz pierwszy między rybakami nad górnym biegiem rzeki Tury, przebywał u nich wiele dni, pomagał przy wyciąganiu sieci i uczył ich psalmów i innych świętych pieśni. Objawił też rybakom, że sam

Bóg go przysłał i że Duch Święty nawiedził go, by w ten sposób przebywać między ludźmi.

Wedle innej znów pogłoski pojawił się nagle pomiędzy parobkami i dziewczętami pracującymi w polu, zwoził z nimi zboże do stodoły, a wieczorem do nich przemawiał i opowiadał, jako to popi puścili w niepamięć istotną myśl Ewangelii i prawdziwe słowa Zbawiciela; nie wiedzą już nic o radosnym zwiastowaniu, że pokuta może wszelki grzech zmazać i że jedna zbłąkana owieczka miłszą jest Panu niżli cała trzoda. Inne wieści głosiły, że osobliwy wędrowiec w głębokich lasach odprawiał dziwne nabożeństwa z pięknymi dziewczętami i kobietami; sporządzał z gałęzi krzyże i modlił się potem przed nimi ze swoimi uczennicami. Po skończonym nabożeństwie brał kobiety w ramiona, ścisnął je i całował, następnie tańczył z nimi i śpiewał. Tłumaczył przy tym, że te pocałunki, uściski, śpiewy i tańce są również częścią nabożeństwa, gdyż radują i cieszą Pana w niebiosach. Najbardziej zadziwiającym było, że takt tym dzikim tańcom nadawały pieśni kościelne, owe psalmy i pieśni religijne, dobrze znane kobietom z kościoła.

Wkrótce zaczęły się szerzyć wśród chłopów wieści o jeszcze bardziej podejrzanych rzeczach. Opowiadano, że obcy przybysz nie ogranicza się przy owych nabożeństwach w lesie wyłącznie do pieszczot w stosunku do swych „sióstr”; przebąkiwano o nowych uroczystościach po lasach, gdzie przybysz zapalał ogień, następnie po odprawieniu gorących modłów i odśpiewaniu religijnych pieśni tańczono dookoła ognia, dopóki dzikie upojenie nie ogarniało kobiet. A obcy pielgrzym miał dziwnym głosem wołać do wszystkich: „Ukorzcie się w grzechu, oddajcie się pokusie cielesnej!” Co potem następowało, to chłopcy tylko szeptem sobie

powtarzali. Gdyż w nocnej ciemności głębokiego lasu, jedynie przy świetle gwiazd niebieskich miał pielgrzym z kobietami dopuszczać się najstraszniejszych grzechów.

W krótkim czasie rozeszła się wiadomość, że cały rój kobiet i dziewcząt towarzyszy niesamowitemu starcowi w jego wędrówkach po lasach i stepach. Opuściły one wszystkie swych rodziców i mężów, by iść za kaznodzieją w przekonaniu, że on tylko zdoła wybawić ich dusze.

W niektórych bardziej odległych wioskach widziano ponoć, jak zwiedzał łaźnie publiczne ze swymi uczennicami, rozbierał się do

naga i kazał uczennicom to samo czynić; następnie miały mu siostry myć kurzem okryte nogi. Przy tym wyjaśniał, że to niezwykle upokorzenie jego uczennic ma na celu wytepić w nich resztki wyniosłej cnoty i zarozumiałości.

Z początku przeważna część chłopów z Pokrowskoje uważała tego wędrowca za fałszywego proroka i wysłannika szatana, zwłaszcza że miejscowy pop, ojciec Piotr, to mniemanie w szczególnie ostrej formie potwierdził⁹. Niedługo jednak potem znowu dochodziły wiadomości o nowych cudach dziwnego pielgrzyma, o nowych wielkich czynach, jakich tylko najwięksi święci dokonywali. Chodziła wieść, że w pewnym klasztorze wypędził z mniszki diabła, gdzie indziej znowu przepowiadał zdarzenia, które też wkrótce potem się sprawdziły.

Atoli najbardziej przekonywającą była dla chłopów straszliwa wiadomość, że gdy kilku obrażonych rodziców i mężów jego uczennic chciało czynnie znieważać pielgrzyma, ten z ręką wzniesioną miał krzyknąć okropnym głosem: „Przez całe trzy miesiące nie spadnie ni kropla deszczu!” I klątwa ta spełniła się! Całe 12 tygodni na bezchmurnym niebie krążyło słońce, bezlitośnie prażąc i wysuszając pola; dopiero gdy wyznaczona pora minęła, zaczął deszcz padać.

Opowieść o tym cudzie bardziej nad wszystko inne przyczyniła się do tego, że znaczenie wędrowca rosło coraz bardziej wśród chłopów.

Wszakże jedynie chyba wysłannik Boga zdołałby deszcz powstrzymać!

Ojciec Piotr może mówić, co chce, obcy wędrowiec jest świętym człowiekiem, bardziej świętym niżli sam pop, gdyż ten nigdy jeszcze nie rozkazywał pogodzie!

Bywali i tacy w Pokrowskoje, którzy już po pierwszych wieściach o

występach nowego starca wymieniali porozumiewawcze spojrzenia; o tych chłopach i wieśniakach już od dawna krążyły słuchy, że tylko na pozór są prawowiernymi chrześcijanami, w rzeczywistości jednak są zwolennikami herezji „ludzi bożych”. Nie można im było wprawdzie nic pewnego dowieść, ale tu i ówdzie zdradzali oznaki, nasuwające domysły, że należą do tajnego bractwa.

Gdy ci heretycy w sobotnie wieczory schodzili się na swych tajnych zebraniach, z wielką gorliwością omawiali wiadomości o cudotwórcy. O ile jednak tkwiący w błędach prawosławia chłopci nie wiedzieli, czy ten niesamowity wędrowiec jest świętym, czy

też diabłem, o tyle sekciarze byli całkiem pewni, że ten wędrujący starzec, głoszący nauki o znaczeniu grzechu, jest ich zwolennikiem. Wśród wielkiej radości opowiadali sobie o bliskim pojawieniu się odrodzonego Zbawiciela, o nowym wcieleniu się Boga na ziemi, jak to przedtem często się zdarzało.

Co dla innych było zagadkowe, w oczach chłystów odpowiadało w zupełności wiecznie tym samym prawom, wedle których spełniało się za każdym razem nowe wcielenie Zbawiciela. Wedle wiary chłystów nie było nic nadzwyczajnego w słowach wypowiedziach przez obcego przybysza do rybaków nad Turą. Tak samo nie były oznaką zarozumiałstwa wyjaśnienia, jakie dawał obcy wędrowiec popowi i żandarmom, że nie podlega on żadnej ziemskiej władzy, bowiem człowiek, który okazał się godnym tego, że Bóg w nim się uosobił, jest silniejszy nad wszelkie moce tego świata, silniejszy niż sam car, jest „carem nad cary”.

Wszystkie te czyny obcego wędrowca, wydające się prawowiernym muzykom czymś dziwnym, przedstawiały się w oczach sekciarzy w całkiem innym świetle. Czyż nie dokonywał owego czasu podobnych czynów sam wielki Radajew? Boski mistrz przecież głosił tę samą prawdę, że człowiek, popełniając grzech cielesny, zaklina nieprawość w swą ziemską powłokę i w ten sposób wybawia swą duszę z wszelkiego zła. Obecnie zaś powstał nowy prorok, głoszący tę samą naukę i „ludzie boży” byli święcie przekonani, że Duch Święty i w tego nowego świętego się wcielił, podobnie jak ongiś w Radajewa, a przedtem jeszcze w Iwana Susłowa i Daniłę Filipicza. Z nabożną tęsknotą czekali dnia, gdy nowy mistrz zawita do Pokrowskoje i objawi się bractwu.

Nie tylko sekciarze interesowali się pilnie nieznanym starcem; także w

domu starego Jetima Andrejewicza dużo o nim mówiono, zwłaszcza gdy gospodarz, synowa, służba i sąsiedzi schodzili się w izbie, zajmując miejsce przy stole lub na okalającej piec ławce. Tak to gwarzono sobie o zmierzchu o przeróżnych rzeczach, niekiedy przychodził także pielgrzym z podziemnej izdebki, przeznaczonej mu na nocleg, przysiadał się do innych i opowiadał, co wiedział o obcym wędrowcu.

Nikt z wieśniaków ani też wędrowców zachodzących do Jefa Andrejewicza nie widział nigdy obcego starca. Ale pewien chłop z Pokrowskoje spotkał na targu w Tiumenie starego, chorowitego człowieka, pochodzącego z innej wsi, który mu opowia-

dał. że sam na własne oczy widział starca wychodzącego w gronie młodych dziewcząt z lasów i kroczącego później przez jego wieś. Wedle opisu starego wieśniaka cudotwórca miał być szczupłym człowiekiem średniego wzrostu, o potężnej falującej brodzie i włosach, spadających długimi kędziorami na ramiona, przyczesanych na czole w sposób przypominający włosy Chrystusa na ikonach. W spojrzeniu miał coś kłującego, twarz, szarą z umartwień i niedostatku, pokrywały zmarszczki, jak u starego człowieka, głos jego jednakże był miękki i dźwięczny. Aczkolwiek wyglądem zewnętrznym przypominał dobrego i świętego człowieka, widok jego przecież obudził w starym wieśniaku niepojęte uczucie grozy.

Ileż to długich wieczorów zeszło na opowiadaniach i rozstrząsaniach, aż wreszcie pewnej nocy zaszedł ten ważny wypadek: Grzegorz Jetimowicz Wrócił do domu. Ilekroć Praskowia Fiodorowna wracała później pamięcią do tego pierwszego spotkania z Griszą po jego powrocie z długoletniej wędrówki, zawsze ta noc wydawała się jej najbardziej pamiętnym punktem zwrotnym w jej życiu. Miała owego wieczoru jeszcze kilka rzeczy do załatwienia w gospodarstwie, wskutek czego musiała dłużej niż zwykle czuwać; gdy nagle ktoś zapukał, wyjrzała przez okno i zobaczyła stojącego przed bramą starego, brodatego człowieka. W pierwszej chwili sądziła, że jest to ktoś z owych wędrownych pielgrzymów, zachodzących często do Jefima Andrejewicza, by prosić o nocny przytułek, i prędko zbiegła na dół, by wpuścić nieznanego. W tej chwili poznała męża, zdradziły go jasnoniebieskie, małe oczy. Wyzierały wprawdzie z twarzy pomarszczonej, obrosłej szczeciniastą brodą, wszelako Praskowia natychmiast poznała ich spojrzenie, mające w sobie coś wesołego i

przebiegłego zarazem.

Następujące potem fakty były nie mniej dziwne i ciekawe; Praskowia, stary Jefim i dzieci, niezmiernie uradowani, pośpieszyli na spotkanie pielgrzymą. Zauważyli natychmiast zmiany, jakie w nim zaszył. Rasputin, choć cieszył się, że po tak długiej przerwie znowu widzi się z rodziną, to jednak radość jego nic w sobie nie miała ze szczęścia ziemskiego. Już pierwsze jego słowa powitania były dziwnie uroczyste i rozważne, a gdy wszyscy rzucili mu się na szyję, odnieśli wrażenie, jak gdyby tkliwym, dobrotliwym, a zarazem surowym i zdecydowanym gestem opędzał się przed pieszczotami. Wzniósł ręce nad głowami, błogosławiąc ich, z powagą kapłańską robiąc znak krzyża. Coś obcego zarysowało się dookoła

jego ust, a spojrzenie jego oczu szło poprzez nich w dal. Cała jego smukła postać tchnęła tak uroczystą powagą, że ojciec, żona i dzieci, onieśmieleni, cofali się przed nim.

Od tego czasu Praskowia, ilekroć spotykała męża, odczuwała dlań cześć, jaką zwykle darzy się bardzo ważne lub święte osobistości. Gdy po raz pierwszy zabrała się do ścielenia łóżka dla swego męża, spojrzawszy nań, zauważyła jego surową i uroczystą postawę, co tak na nią podziałało, że przejęta onieśmielającą pokorą, natychmiast odstąpiła od łoża i pełna uniżoności, jak przestraszona służebna, spuściła głowę.

Grzegorz Jefimowicz zażądał zaraz po powrocie do domu, by mu otworzono drzwi prowadzące do ukrytej izdebki podziemnej. Tam ukrywali się jedynie wędrujący pielgrzymi, gdy uchodzili przed władzami, lub tacy, którzy gnani wewnętrzną potrzebą, wyrzekli się ludzi, aby żyć w ukryciu. Dotychczas Praskowia tylko wtedy schodziła po tych ciemnych, wąskich schodach, gdy musiała odprowadzić jakiegoś wędrowca do tej niegościnniej, pozbawionej okien kryjówki. Jakżeż nieswojo musiała się czuć Praskowia, gdy odprowadzała swego męża Grzegorza Jefimowicza do tej ciemnej komory. Gdy otworzyła żelazem obite drzwi, uderzyło w nią ciężkie, stęchłe, zimne powietrze, jakie zwykle dają wilgotne mury; w pustej piwniczce, o niskim, nie ociosanym kamiennym sklepieniu, paliło się jedynie kilka lampek olejnych, a ich migocący płomień rzucał upiorne światło na ubrane we wstążki ikony, które wisiały w kącie.

Od tego czasu spędzał Grzegorz Rasputin dni i noce w tej niesłychanie ciasnej, nisko położonej komórcie zamożnego dworku; w pokorze rozciągnięty na gołej ziemi, umartwiając swe ciało, odbywał pokutę. Gdy Praskowia w nocy na swym łożu oczekiwała snu, często słyszała

dochodzące z komórki rozpaczne modlitwy i jęki pokutnika. Jak ostre cięcie przerywały te bolesne jęki nocną ciszę, przechodząc następnie w nieprzerwane żalosne jęczenie i narzekanie. W jednej atoli chwili jęki zmieniają się w radosne psalmy i pieśni kościelne, które już po krótkim czasie na nowo ustępują żalonym jękom i narzekaniom.

Na drugi dzień zeszli stary Jefim i Praskowia po ciemnych schodach do pokutnika; stanęli na progu kryjówki jak wryci, wzruszeni tym, co widzieli: zastali Griszę na klęczkach, z ciałem boleśnie skrzywionym od kurczów i drgawek, głowa, głęboko schylona, prawie ziemi dotykała. Wydawał z siebie niesamowite jęki i błagalne

westchnienia i ciągle powtarzał te słowa: ..Panie, ulituj się nad nami!" Następnie rozrywał te słowa, oddzielnie każde z osobna rozpaczliwie wykrzykiwał, kurczami zmuszony przerywać, aż wreszcie wydobył z siebie jedyny, nieprzerwany straszliwy okrzyk. Potem pokutnik nagle zamilkł, jak gdyby rzeczywiście ubłagał Wszechmocnego, konwulsje przeszły i głowa schylona, z której brunatne kędziory spadały na plecy, uniosła się w górę. Na twarzy zwróconej ku ikonom rozlało się świetlaną aureolą żółto-żółte światło lamp oliwnych.

A gdy zaczął zachwyconym głosem śpiewać psalmy, owładnęło także Praskowią i starym Jefimem dziwne, nie znane jeszcze nigdy uczucie. Zniewoliła ich do tego jakaś wewnętrzna, nieprzezwykczona siła, padli na kolana i razem z Griszą śpiewali pieśni religijne. Ale ta błoga ekstaza prędko przeszła i następowały nowe rozpaczliwe wybuchy pokornej skruchy, a Praskowią i stary Jefim podobnie jak Grisza pochyłili głowy, błagalnie się modląc do Boga o łaskę i darowanie win.

Coraz to częściej Jefim i Praskowią, idąc za dochodzącym z piwnicy już to żalonym, już to radosnym głosem, zstępowali do ponurej komórki pokutnika, by razem z nim się pomodlić.

Zaniedbując codzienne zajęcia często spędzali całe dnie i noce u Griszy. w komórcie na wspólnych ćwiczeniach pokutnych. Początkowo dziwili się zmianom, jakie w nim zaszły, później wydawało się im całkiem naturalne, że ich Grisza stał się świętym starcem. I w nich samych zaszły dziwne zmiany od chwili, gdy po raz pierwszy padli na kolana, zniewoleni jego straszliwymi, pokutniczymi żalami i następującymi po nich radosnymi śpiewami. Nie usiłowali już więcej porównywać tego pokutnika z Griszą, którego znali z czasów młodości. Z zupełnym zaparciem się siebie

poddawali się wzniosłemu wrażeniu, że leży przed nimi żalący się, skruszony człowiek, który swoją pokorą zawojował ich dusze. A gdy twarz starca, zwrócona ku górze, zajaśniała promienną błogością, jak gdyby sam Bóg był obecny, wówczas ekstaza pokutnika porywała ich ze sobą na nieznane wyżyny religijnego zachwyty.

Gdy już raz przeszli tę wielką przemianę wewnętrzną, nie ulegało dla nich wątpliwości, że sam Bóg wysłał Griszę na wędrówkę, by stał się świętym, i nie dziwiło ich więcej, że właśnie ich Grisza Jefimowicz posiadał tę niecodzienną łaskę Bożą; w swej prostej i szczerej wierze przyjmowali bez dociekań Boskie wyroki.

Gdy następnego dnia rozeszła się między chłopami wiadomość o powrocie Rasputina i o jego dziwnej przemianie, niejeden z nich mocno powątpiewał w tę jego przemianę w świętego; za dobrze pamiętali jeszcze chłopci tego lekkomyślnego wyrostka wiejskiego, Grzegorza Jefimowicza, jak przesiadywał w karczmach, wywoływał burdy i uganiał za dziewczętami.

Pewien stary wieśniak, który jako członek miejscowej rady kościelnej często zachodził do Jefima Andrejewicza, jako pierwszy zdecydował się pójść do niego, by się naocznie przekonać, ile tkwi prawdy w tych dziwnych pogłoskach. Wybrawszy się w drogę w towarzystwie parobka, udał się do dworku starego Jefima i opowiedział mu ze wszystkimi szczegółami, co słyszał o cudownym przemienieniu, jakie z woli nieba przeszedł Grisza, i oznajmił, że jest jego najgorętszym pragnieniem odwiedzić pokutnika w jego komórcie. Stary Jefim Andrejewicz pokazał mu też zaraz drogę prowadzącą przez podwórze i dodał, że musi zejść po schodach do podziemnej kryjówki, by znaleźć Griszę.

Już na podwórzu słyszał stary wieśniak żalony głos dochodzący z piwnicy i im bliżej był schodów, tym ciężiej mu było na duszy. A towarzyszący mu parobek najchętniej by zawrócił. Bardzo się zresztą ucieszył, gdy mu jego pan kazał czekać na dworze. do piwnicy samemu schodząc.

W pewnym momencie zawahał się, ale zwyciężyła w nim ciekawość, taka sama zresztą jak ciekawość całej wsi, uderzył więc zwyczajem chłopów kilka razy ostrym końcem wielkiego kija) ziemię i śmiało znikł w wejściu, prowadzącym do komórki.

Z wyciągniętą szyją i wybałuszonymi oczyma patrzył za nim parobek, aż

stary znikł w ciemnościach. Stał tak bez ruchu u wejścia, a serce mu biło nerwowo z oczekiwania, gdyż ciągle jeszcze dochodził z otworu straszliwy, niesamowity głos pokutnika. Ale gdy nagle głos ucichł, parobek na dobre się przeląkł.

Trwało dość długo, zanim w ciemności schodowej rozległy się ciężkie kroki wieśniaka i zaniepokojony parobek usłyszał uderzenia kosturem o schody. Nareszcie i sam stary ukazał się w ciasnym otworze i wyszedł na dwór.

Ciekawy parobek spojrzał badawczo na swego pana; ale gdy ujrzał jego twarz, tak się przestraszył, że mimo pragnienia dowiedzenia się czegoś, bez słowa się odwrócił i w pewnym oddale-

niu postępował za starcem, który zamyślony, ze schyloną głową ciężkim, powolnym krokiem wracał do wsi.

Sprawozdanie starego wieśniaka o wizycie u Griszy, jego opowiadania o żalach pokutnych, pieśniach radosnych i dziwnych słowach Griszy, w krótkim czasie poruszyły całe Pokrowskoje; nie mało też wzburzyło umysły opowiadanie parobka o dziwnej zmianie, zaszłej w jego panu po powrocie z ciemnej komórki.

Wielu chłopów od razu po tych wiadomościach było gotowych uwierzyć w przemienienie się Griszy w świętego, zwłaszcza że i ich samych uderzyła pewna zgodność opisów starego wieśniaka i jego parobka z tym, co głosiły wieści o legendarnym, obcym wędrowcu pojawiającym się w okolicznych lasach. Coraz to częściej zjawiali się ludzie twierdzący, że Grisza i ten tajemniczy, pielgrzym, o którym już tyle krążyło przedziwnych wieści, to jeden i ten sam człowiek. Sam fakt, że spośród wszystkich w gubernii właśnie Pokrowskoje wydało świętego, poruszył do głębi wszystkich mieszkańców wioski.

Już następnego dnia ciągnęli pod dom starego Jeima całym gromadami chłopcy w ciężkich butach, z kosturami w ręku, wielu też szło wieśniaczek w szerokich spódnicach, z pstrymi chustami na głowach. Wielu z nich było głęboko wierzących, ale i niedowiarów nie brakowało; gdy, przechodząc przez podwórze, usłyszeli dochodzący z komórki żalony głos świętego, zawahali się chwilę, zanim zdecydowali się zejść po stromych schodach. A kiedy wydstawali się jeden po drugim z ciemnego otworu, ci, c^o tymczasem czekali na dworze, widzieli ich dziwnie zmienionymi twarzami; oniśmieleni, aczkolwiek silnie wzburzeni, nie pytali się w pierwszej chwili wychodzących o przyczynę tej zmiany.

Każdego z tych wieśniaków i wieśniaczek z osobna spotykała to samo. Z ziemskiej, pospolitej ciekawości schodzili do ciemne kryjówek, a po obejrzeniu na dole rozciągniętego na ziemi świętego pokutnika wracali na górę już nie ci sami. Byli między nim rówieśnicy Griszy, którzy w latach młodości niejedną z nim no spędzali na picciu i psotach. Ci najmniej uwierzyli temu, co opo wiadano o jego świętości, i przyszli w to miejsce przeważni po to, by podważyć znaczenie i powagę swego dawnego kompana ale i oni, podobnie jak wszyscy inni, musieli się poddać. Szczególnie głębokie wrażenie robił ten nowy święty na młc dych kobietach, które zdjęte ciekawością, schodziły do kryjówt

Griszy. Gdy po dłuższym czasie wracały na górę, na światło dzienne, krewni czekający na górze i przyjaciółki widzieli na ich twarzach lekkie rumieńce, jakie zwykle mają kobiety wracające bezpośrednio z przygody miłosnej. W oczach błyszczały jasne światełka, a lekki uśmiezek drgał około ust, jak gdyby te oczy i usta były świadkami jakiejś słodkiej tajemnicy.

Wkrótce prawie wszyscy mieszkańcy z Pokrowskoje już wcale nie powątpiewali, że coś niezwykłego stało się z Grzegorzem Jefi-mowiczem Rasputinem. Naturalnie dużo z tego, co pokutnik mówił im o zbawieniu przez grzechy, ostro się sprzeciwiało wszelkim tradycjom prawdziwej wiary; dlatego też dla niejednego muzyka niełatwą było rzeczą czcić za przykładem przeważającej części mieszkańców wioski Griszę jako nowego Zbawiciela.

Szczególnie kobiety i dziewczęta szerzyły ten kult Rasputina i tak wyglądało, jak gdyby właśnie one pierwsze pojęły sens jego nowej nauki. Toteż gdy starzy chłopci, stojąc wieczorem przed chatą, oparci na swych kosturach, gruntownie roztrząsali kazania pielgrzyma z podziemia, usiłując je porównać z zasadami prawowitego kościoła, kobiety w słowach pełnych uniesienia i zachwytu, bez jakichkolwiek skrępowań przysięgały na świętość Grzegorza. Z każdym dniem rosła ilość zwolenników i zwolenniczek Griszy, tak że już po krótkim czasie w każdej chacie znajdował się stary lub młody wieśniak, dziewczyna lub starsza niewiasta, wszyscy ślepo oddani pielgrzymowi z podziemia.

Jeden jedyny tylko człowiek wytrwał w swej wierze: czcigodny ojciec Piotr, miejscowy pop. Już w czasach kiedy niepewne jeszcze pogłoski krążyły o „nowym świętym”, a i później, gdy kazania pielgrzyma z

podziemia poruszały całe Pokrowskoje, otóż już wtedy występował ojciec Piotr z całym zapalem szczerego, prawowiernego sługi Kościoła przeciwko bezecnym i bluźnierczym zasadom tej nauki. Niewzruszenie głosił przy każdej sposobności, że pielgrzym Grisza jest wysłannikiem piekła, że jego nauka o zbawieniu przez grzechy jest kłamliwym wymysłem samego szatana, bezczelnie bluźniącym prawdziwemu słowu bożemu. Wieczne potępienie czeka odszczepieńca Griszę, podobnie jak każdego, kto pójdzie za fałszywym prorokiem.

Tak to w dzień klął i pomstował czcigodny ojciec Piotr, a niskie jego, krępe ciało prężyło się, ilekroć była mowa o Griszcy, i oczy rzucały dzikie spojrzenia. Jego wielka głowa z aureolą ruda-

wych włosów dokoła, twarz pokryta kędzierzawą, rudą brodą i płonące oczy, to wszystko razem robiło takie wrażenie, jak gdyby z tego małego, złoścącego się kapłana miały każdej chwili buchnąć ogniste płomienie. Ale mimo tego potępienia i ekskomunik musiał ojciec Piotr stwierdzić, że liczba schodzących do kryjówki pielgrzymów rosła z każdym dniem i że nawet najwierniejsi z gminy upodobali sobie bezwstydną zasadę fałszywego proroka. Od tego czasu całymi dniami zostawał w swym domku, stojącym na pagórku w samym środku Pokrowskoje, lub też urażony, przesiadywał przy oknie. Nie schodził już więcej do samej wsi między oddanych szatanowi chłopów, gdyż czysta jego wiara nie pozwoliła mu stykać się więcej z tymi potępieńcami. Tak też czekał w plebanii, aż przypadkowy przechodzień doniesie mu o nowych straszliwych bluźnierstwach, jakie ten diabeł z podziemia wypowiadał. W najbliższy dzień świąteczny klęczał ojciec Piotr w kącie swej izdebki przed ikonami i żarliwie się modlił do Boga, by użyzył mu sił do płomiennego kazania; chodziło przecież tym razem o to, by po ukończeniu nabożeństwa i uroczystych obrzędów zmiażdżyć w walce szatana i sprowadzić owieczki na drogę prawości. Gdy już nadeszła godzina nabożeństwa, kazał bić w dzwony mocniej i dłużej niż zwykle, by głos ich dochodził do najdalszych chat i niósł wieść o jedynej czystej wierze prawdziwego Kościoła.

Ale jak gdyby straszliwe przekleństwo ciążyło nad całym Pokrowskoje. Żałosny głos pokutnika z podziemnego sklepienia zwyciężał jasny i powabny głos dzwonów z wieży kościelnej; chłopcy, zamiast zbierać się w kościele, posłuszni głosowi szatana schodzili jeden po drugim po ciemnych schodach do Grzegorza Jefimowicza.

Ojciec Piotr był przez wiele lat dobrym duszpasterzem swoich owieczek, prawdziwym ojcem i doradcą swej gminy; a teraz w ten wielki dzień świąteczny, w który wkładał tyle nadziei i przygotowań, stał ze sercem po brzegi wypełnionym smutkiem przed ikonostasem; przyszło na mszę tylko niewiele starych kobiet, garstka szczególnie wiernych chłopów, no i kilku żebraków i kalek, którzy regularnie chodzili do kościoła na każde nabożeństwo. Nie było natomiast poważnych członków rady kościelnej ani zamożnych wieśniaków i wieśniaczek, ani też strojnie ubranych dziewcząt i chłopców, wszyscy oni bowiem stali na podwórzu domu starego Jefima, czekając, aż ich wpuszczą do tego czarta Griszy.

Ze smutkiem w sercu odprawiał ojciec Piotr mszę, czekał, aż wszyscy wierni synowie i córki wyjdą z kościoła, potem ukląkł na chwilę przed ikonostasem, modląc się i żarliwie błagając o objawienie, jakim sposobem ma pokonać antychrysta.

Gdy się nazajutrz obudził, postanowił sobie niezłomnie nie milczeć więcej i nie czekać beczynn timer, aż czart odbierze mu wszystkie owieczki, lecz raczej jak przystało na dzielnego rycerza niebieskiego królestwa zstąpić do jaskini szatana i tam go pokonać bronią prawdziwej Ewangelii.

Z płonącymi oczyma zszedł prędkim krokiem z pagórka do wsi i udał się wprost pod dom starego Jefima; widząc go, chłopci myśleli, że oto święty Jerzy ze śmiałym ognistym swym sercem wyrusza na smoka. Święty ich przestach przenikał, mieli bowiem przeczucie, że oto nadeszła ostateczna godzina rozstrzygających zapasów między popem a krzewicielem nowej wiary.

Gdy ojciec Piotr przyszedł na podwórze domu starego Jefima, stojący dookoła chłopci prędko mu się usuwali z drogi. Wprawdzie ad dawna już nie byli w kościele, ale widząc teraz swojego duszpasterza zbliżającego się dostojnym krokiem, poczuli jak dawniej głęboką cześć dla tego świętego człowieka i uchylali przed nim głowy w największej pokorze. On sam atoli nie zwracał prawie uwagi na niewiernych, co porzuciwszy prawdziwą wiarę, poszli za fałszywym prorokiem.

Zebrawszy wszystkie swe siły, z piersią do przodu wypiętą, głową w tył odrzuconą i wysuniętą rudą brodą, śmiało swe kroki kierował ku wejściu do podziemia; w danej chwili niewątpliwie był mężnym w swej dumie; gotowość i ochota do walki cechowały każdy jego ruch, gdy wchodził do długiego i ciemnego otworu.

Zaledwie znikł w nim stłoczyli się wokół niego chłopci i chłopki i z wyciągniętymi szyjami patrzyli w głąb wejścia, w trwożliwym oczekiwaniu tego, co nastąpi. Z ust do ust szedł szept podniecenia, gdy głos żałosny, dochodzący dotychczas z podziemnej komory nagle ucichł, jak gdyby się urwał. Wieśniacy i wieśniaczki wstrzymali oddech. Nagle głos pokutnika jakby nożem ostro przeciął bezgłośną ciszę. Gdy słuchali jeszcze tych niesamowitych okrzyków, ojciec Piotr wyszedł z powrotem z ciemnego otworu. Jakżeż mizernie wyglądał teraz, niedawno jeszcze tak odważny kapłan. Złamany i drżący, z trwożnym spojrzeniem zbitego psa, przekradał się

chyłkiem pomiędzy grupkami chłopów i szybko przemierzywszy podwórze, uciekł na ulicę. Głos z dołu kłął jeszcze ciągle kaskadami potężnych okrzyków, jak gdyby wciąż jeszcze ścigał uciekającego popa. Drobnny kapłan, jak gdyby zmysły postradał, pędził ku wzgórzu, na którym stał kościół i ochłonął dopiero, gdy ujrzał tuż przed sobą wieżę kościoła i gdy głos czarta z podziemnej celi nie dochodził już więcej do jego uszu. Stał nareszcie, odetchnął i odzyskał z powrotem przytomność i poczucie swej godności. Cóż się właściwie z nim stało? Teraz już wiedział na pewno, że tam w dole antychryst zawładnął jego duszą, wówczas gdy straszliwy głos pokutnika uderzył weń bezlitośnie. Musiał więc uciekać ku pośmiewisku chłopów i chłopiek, będących świadkami jego poniżenia, jednakże był pewnym, że gdyby był tylko minutę dłużej pozostał w tym podziemnym sklepieniu, fałszywy prorok zawładnąłby nim na zawsze. Myśląc teraz o swej niewiernej gminie, ojciec Piotr bardziej pobłażliwie osądzał jej grzeszne słabostki, skoro on sam, ich uświęcony kapłan, o mało się nie potknął. Jednakże wiedział, że nie wolno mu ustawać w walce z szatanem. Skoro tylko minęły czary, jakie nań rzucił ten szatański głos pokutnika, poczuł, że znowu zeszła nań światłość niebieska, wskazująca mu prawdziwą drogę. Szybkim krokiem wszedłszy do swego domku, odmówił modlitwę i wyjąwszy pióro z szuflady, opisał na wielkim arkuszu papieru wszystko, co wiedział złego o dawniejszym życiu, o czynach i kazaniach opętanego przez diabła Grzegorza Jefimowicza. Podawał też niejedno, czego właściwie dobrze nie znał, a co jego zdaniem było niezbędnym dla dobra świętej sprawy. Na samym końcu sprawozdania dodał jeszcze, że nauka głoszona przez Griszę jest bez wątpienia bezecną herezją sekty chłystów, a sam Grisza wysłannikiem tego bezbożnego

bractwa. Uważa zatem, że jest niezbędnym dla honoru prawowitego kościoła i dla poratowania gminy Pokrowskoje, by wyższe władze kościelne bezzwłocznie wystąpiły przeciwko krzewicielowi tej błędnej nauki, a więc by wdrożyły wszelkie środki prawne przeciwko byłemu furmanowi Grzegorzowi Jefimowiczowi Rasputinowi. Podpisawszy ten list, włożył do wielkiej koperty i wysłał do biskupa Tiumenu. W przeświadczeniu, że dobrze uczynił, czekał spokojnie na dalszy bieg wydarzeń.

Nie upłynęło wiele czasu, jak zjawiała się w Pokrowskoje ko-

misja z przewielebnym biskupem na czele. Panowie zamieszkali na plebanii, dokąd też miejscowi żandarmi sprowadzali w celu przesłuchania jednego po drugim zwolenników błędnej nauki. Wszyscy, o których ojciec Piotr gdziekolwiek usłyszał, że byli w sklepieniu podziemnym, musieli się zjawić przed czcigodną komisją, tak chłopcy i dziewczęta, jak i starzy wieśniacy i siwowłose staruszki.

Najpierw przesłuchano kobiety; przewielebny biskup wyprawił w tym celu z pokoju wszystkich innych członków komisji, nawet pisarza, i jak przy spowiedzi tonem ojcowskim wypytywał wieśniaczki. Ale hymny pochwalne każdej z osobna na cześć świątobliwego Griszy wielce go zmieszały; wszystkie z rozpaloną twarzą oświadczały, że Grzegorz Jefimowicz jest świętym, szczerze bogobożnym człowiekiem, a jego kazania budzą w nich najgłębszą pobożność. Także starzy wieśniacy i gadatliwe zresztą kumoszki podali, że nie mogli niczego złego dopatrzeć się w tym, co słyszeli w podziemnym sklepieniu; robiło to wrażenie, jak gdyby cała wieś przysięgła się dla ochrony fałszywego pro-roka przed władzą. Wszyscy zapewniali uroczyście, że Grisza mówi językiem ludzi pobożnych, że modli się, pości, umartwia swe ciało, służąc Bogu w najcięższej pokorze i uległości.

Biskup niecierpliwił się, pisarz bawił się nerwowo piórem, i reszta panów z komisji zdradzała chęć wstania i ukończenia urzędowania. Nagle ojciec Piotr, drżąc na całym ciele z bezsilnej wściekłości, zerwał się ze swego miejsca, przeżegnał się prędko trzy razy z rzędu i krzyknął podnieconym głosem: „Antychryst już całkiem owładnął chłopami! Przemawia z nich duch kłam-stwa! Zechce może wysoka komisja sama przekonać się o bluźnier-stwach bezbożnego kaznodziei w podziemnym sklepieniu!”

Komisja więc postanowiła wysłać ojca Piotra w towarzystwie żandarma do domu Jefima; obaj wyruszyli w drogę, kapłan odprowadził urzędnika aż do wejścia do podziemia i został na dworze, gdy tymczasem urzędnik, przybierając minę pełną godności, zstępował do kryjówki.

Gdy przekroczył progi sklepienia, Grisza właśnie leżał na ziemi i żarliwie się modlił. Skupienie jego było tak głębokie i tak silnie działało, że żandarm, który przecież był tak samo prostym, zbożnym muzykiem, zwyciężony padł u progu na kolana i razem z pokutnikiem odmawiał modlitwy. Grisza zauważył tego czło-

wieka, który wtargnął do niego w pewnych zamiarach, a teraz klęczy nabożnie, przystąpił do niego, zrobił nad nim znak krzyża świętego i przemówił doń tak pięknymi słowami, jakich żandarm jeszcze nigdy nie słyszał. Do głębi wzruszony żandarm złapał błogosławiącą rękę świętego i ucałował ją, a z jego szorstkich ust chłopca wyszły słowa: „Ojcie Grzegorzu, przebac mi me grzechy!”

Przez całą drogę powrotną żandarm był małomówny, aczkolwiek kroczący obok niego pop dobitnie się dopytywał, czy sam na własne oczy nie przekonał się o bluźnierstwach antychrysta. Przed komisją oświadczył w kilku słowach, że nie zauważył nic podejrzanego, co, jak się należało, natychmiast zaprotokołowano. Przy takim stanie rzeczy nie miał biskup żadnej możliwości występowania przeciw Grzegorzowi Jefimowiczowi Rasputinowi i ograniczył się tylko do postanowienia, by odtąd kaznodzieja z podziemnego sklepienia znajdował się pod nadzorem władzy; po czym komisja opuściła Pokrowskoje, a głęboko rozczarowany ojciec Piotr musiał przyznać, że właściwie niczego nie przeprowadził. Wieść o cudownym nawróceniu żandarma rozeszła się szybko pomiędzy chłopstwem i służyła za jeszcze jeden dowód świętości „ojca Grzegorza”. „Ojciec Grzegorz”, żandarm pierwszy tak nazwał pokutnika i nazwa ta była wkrótce na ustach wszystkich. Z chłopca wiejskiego Griszy zrobił się „ojciec” i „starzec”, i tak dopełnił się ostatni akt uświęcenia owego rosyjskiego muzyka.

Wkrótce sława świętego starca rozeszła się daleko poza granice Pokrowskoje i doszła nawet do sąsiednich guberni. Nie trwało też długo, jak z dalekich miast i wsi pielgrzymi wybierali się do Pokrowskoje, by widzieć i słuchać „ojca Grzegorza”. Dom starego Jefima stał się miejscem

odpustów, a chłopci gromadnie tłoczyli się przed kryjówką, gdzie chował się Grzegorz Jefimowicz, jeden z wielu pobożnych wędrowców-stranników — by stamtąd, z łona matki ziemi, obwieszczać światu na nowo nie sfałszowaną naukę ziemi rosyjskiej, ewangelię pielgrzymów, prawdę „ludzi z podziemnych sklepień”.

Nic bardziej nie podnosiło znaczenia Rasputina jak fakt, że władze chciały go ścigać. Od wieków przecież usiłują siepacze ziemskiej potęgi więzić wysłanników Boga i wbijać na krzyż. I Griszy groziły prześladowania za jego świętą naukę i w ten sposób stał się męczennikiem, świadkiem prawdziwego słowa Bożego.

Przy robotach w polu, w przedziałniach, na ławach przed bramami domów, wśród rybaków i w ukrytych podziemnych sklepieniach sekciarzy, w ogóle wszędzie, opowiadano sobie o cudach, zdziałanych przez nowego świętego. Przypominano sobie, że powstrzymał raz deszcz, że wyrwał mniszkę ze szponów szatana, teraz bowiem nikt już nie wątpił, że ów zagadkowy nieznany i „ojciec Grzegorz” to jedna i ta sama osoba.

Trzy tygodnie upłynęły od czasu, jak Grisza rozpoczął swą twardą pokutę w sklepieniu podziemnym; w dwudziestym pierwszym dniu miał się znowu zjawić między ludźmi. Już od samego rana tego ważnego dnia zbierali się tłumnie ludzie na podwórzu i na ulicy przed domem Jefima, by być świadkiem tego pierwszego uroczystego wyjścia na światło dzienne świętego po ukończonej pokucie.

Z rana jeszcze raz słyszano owe błagalne okrzyki, a po nich triumfalne psalmy; po czym ucichł głos tego cudownego człowieka, cały też czekający tłum, wzruszony, zachowywał milczenie. Cicho, bez ruchu, ze wstrzymanym oddechem stali chłopci, wtem nagle ukazała się w ramach otworu, łączącego kryjówkę ze światem, częściowo ukryta w półcieniu, surowa, szczupła postać pokutnika. Twarz jego była szara, żółtawa, jakby z wosku zrobiona. Nos ostro odcinał się od wycieńczonej umartwieniami i zapadłej twarzy.

Powolnymi, pełnymi godności krokami wyszedł z otworu i krocząc podwórzem poprzez czekające tłumy, wyszedł na ulicę. Cała postać tchnęła głęboką powagą, jasne jednak spojrzenie jego wodnoniebieskich oczu pełne było dobroci, pogody i wesołości. Chłopi tłumnie rzucali się przed nim na ziemię, całowali jego ręce, skraj jego szat i mówili doń: „Ojczy Grzegorzu! Zbawco nasz!”

On ciągle się zatrzymywał, pochylał się nad pobożnymi, błogosławił i tak przemawiał: „Przyszedłem, by głosić wam radosną wieść, której mnie uczyła tam w dole matka ziemia, wieść o zbawieniu przez grzechy”. Powoli kroczył ulicą w dół do brzegu rzeki Tury i gdziekolwiek się zjawiał, ludzie przed nim klękali, składając mu hołd. Stopniowo wytworzyło się dookoła niego półkole, jakby wieniec z młodych dziewcząt i kobiet. Często rzucał na nie radosnym, błyszczącym okiem, błogosławiąc je.

Wtedy kilku wieśniaków zaczęło także całować suknie tych kobiet, które święty przeznaczył na swe uczennice.

Zatrzymał się nad brzegiem Tury, zwrócił się twarzą ku tłumowi, odmówił uroczystą modlitwę, przeżegnał wszystkich odprowadzających go i kazał im wrócić; uczennice jedynie zatrzymał przy sobie.

Głęboko wzruszeni chłopcy wracali do wioski; niektórzy z nich opowiadali później, że gdy w drodze powrotnej odwracali głowę, widzieli, jak święty w otoczeniu uczennic skierował swe kroki ku wznoszącemu się za stepem lasowi i że tamże zniknął.

•

W obliczu arcykapłanów

Uczniowie i profesorowie Akademii Duchownej stali już od kil-u godzin na długim, prowadzącym do gospody klasztornej kory-tarzu, otoczywszy kołem osobliwego muzyka z Syberii; tenże w miejscu rodzinnym uchodził za świętego i ostatnio pojawił się w stolicy jako prosty pielgrzym 10.

Starzec zjawił się właśnie w akademii z prośbą o przytułek, kiedy pilni seminarzyści z wiel-ką gorliwością głowili się dniami i nocami nad grubymi księgami, Stali więc teraz uczniowie i ich nauczyciele koło tego syberyjskie-go muzyka i z napiętą uwagą słuchali jego niezwykłych słów, zamiast jak zwykle nawet w godzinach wypoczynkowych nie-wzruszenie się spierać przy objaśnianiu jakiegoś słowa, ba, nawet pojedynczej litery Pisma Świętego.

Owego dnia, gdy przyszedł po raz pierwszy do uczniów w cza-sie porannego nabożeństwa, ci spoglądali na niego z ledwo widocz-nym zainteresowaniem, jakie się zwykle okazuje wobec wędrowca z jakiejś tam dalekiej syberyjskiej guberni; wyglądem zewnętr-znym ściągnął był nawet na siebie częściowo ich uwagę, dopytywali się, kim jest ten obcy przybysz, i dowiedzieli się, że Grzegorz Jefimowicz Rasputin jest cudotwórcą z tobolskiej guberni, gdzie już częstokroć budził sensację.

Nie należało to do rzadkich wypadków, że prosty muzyk za-wchodził do petersburskiego seminarium duchownego i korzystał z gospody; seminarzyści, przechodząc mimo obok tego dziwaka, rzucali mu to i owo pytanie. Z wyniosłą grzecznością, z jaką zwy-kle występują uczeni studenci wyższej teologii wobec prostaków, wypytywali tego muzyka syberyjskiego o to i owo, nie tyle by

się dowiedzieć czegoś godnego ich wiedzy, ile dla uciechy z jego nieszkodliwej nieporadności.

Wkrótce atoli sposób, w jaki Rasputin udzielał odpowiedzi, wzbudził uwagę seminarzystów, zdradzał on bowiem osobliwą stanowczość, coś pewnego i ustalonego, co musiało wywierać silne wrażenie. Studenci stawiali coraz więcej pytań, dołączyli się też inni, więc grupka coraz bardziej rosła. Przechodzący mimo nauczyciele również przystępowali, tak że wkrótce otoczyła Rasputina gromadka pytających, okazujących najwyższe zainteresowanie dla jego trafnych odpowiedzi.

Niektórzy z seminarzystów znani byli z tego, że przy teologicznych debatach potrafili wprowadzić w ambaras i uwikłać w sprzeczności swego przeciwnika; jednemu z nich zachciało się pokazać swą sztukę w odpowiednim świetle, zadał więc prostemu muzykowi kilka zawiłych pytań, dotyczących się Świętej Trójcy i tym podobnych drażliwych kwestii. W napięciu czekali wszyscy słuchacze, w jaki sposób ten chłop, nie wprawiony chyba do ciężkich, teologicznych spekulacji myślowych, na to pytanie odpowie.

Grzegorz Jefimowicz słuchał ze spokojną twarzą, właściwą wieśniakom, skomplikowanych wywodów seminarzysty; swymi małymi, jasnymi oczyma spoglądał na teologa bez najmniejszego zażenowania i czekał, aż on skończy swe wywody. Następnie milczał przez krótką chwilę, jak gdyby się jeszcze raz zastanawiał nad tym, co dopiero usłyszał, i nagle bez ogródek wyrzucił z siebie odpowiedź. Była całkiem krótka, składała się jedynie z kilku lapidarnych wyrazów; a jednak wszystko, co mówił, było zdumiewająco i przekonująco trafne. Kilku budzących postrach interlokutorów spróbowało jeden po drugim szczęścia, ale wszyscy z tym

samym efektem. Po przedstawieniu swych poważnych zagadnień dostawali od Grzegorza Jefimowicza krótkie, ale trafne odpowiedzi, a wszyscy słuchacze musieli przyznać, że żaden z nich nie byłby w stanie odpowiadać trafnie tak szybko i nieomylnie.

Z trwaniem przesłuchania zmieniał się jego charakter. O ile z początku pyszni seminarzyści chcieli sobie z prostego muzyka zażartować, o tyle teraz odczuwali pełen uszanowania podziw dla człowieka, który nie dał się zbić z tropu, udzielając trafnych i poważnych odpowiedzi. Gdy mu teraz stawiali pytania, nie czynili już tego z myślą, by wprowadzić go w zakłopotanie, lecz dlatego, że chcieli otrzymać od niego odpowiedzi i objaśnienia co do nie-

których, dla nich samych niezrozumiałych problemów. Zaczęli odczuwać coraz to większy wstyd z powodu swej wybujałej pychy i po raz pierwszy zaświtało im w głowie, że książkowa uczość nie jest jedyną drogą, wiodącą do mądrości. Niejeden z nich pomyślał o Ewangeliach, przypomniał sobie, że przecież i w Piśmie Świętym słowa były proste i naturalne, jak odpowiedzi tego muzyka. To, czego oni, bezskutecznie ślęcząc całymi nocami nad księgami, nie mogli zrozumieć, ów starzec pojmował bez wszelkich studiów. Nie mogli pojąć, jak to się dzieje, że odpowiadając nie gubi się w słowach jak oni sami, a nawet ich profesorowie, lecz jasno i nieomylnie w kilku zdaniach wyraża to, co odpowiada istocie rzeczy?

Studenci tak bardzo byli zajęci dyskusją z Grzegorzem Jefimowiczem, że nawet nie zauważyli, jak czcigodny ich nauczyciel ojciec Teofan, rektor Akademii Duchownej, zbliżył się cicho do ich grona! Swoimi rozmarzonymi jasnymi oczami patrzył przez dłuższy czas przyjaźnie na pielgrzyma. Wszystko w tej chwili ucichło dookoła, a uczniowie czekali w największym napięciu na mającą się rozpocząć rozmowę między czcigodnymrektorem a osobliwym muzykiem. Ojciec Teofan zwrócił się do starca z największą, tak charakterystyczną dla niego skromnością: „Może zezwolisz, ojczulku, jedno tylko pytanie”. Słowa te wypowiedział tak słabym głosem, że ledwo je było słycać. Rasputin, podniósłszy oczy, patrzył na sędziwego archimandrytę otwartym i pełnym dobroci wzrokiem, a gdy tenże go spytał, co sądzi o pewnym ustępie Pisma Świętego, milczał zrazu przez kilka sekund, potem odpowiedział bez najmniejszego zażenowania, jak gdyby wysoka godność stojącego przed nim duchownego nie miała dlań żadnego znaczenia. Odpowiedź jego była

jasna, krótka i trafna.

Ze zdziwieniem zauważyli uczniowie, że odpowiedź pielgrzyma rzeczywiście zrobiła na Teofanie olbrzymie wrażenie. Kiwnął lekko swoją wytworną, siwą głową i rzekł: „Tak, ojczulku, masz rację, mówisz prawdę!” Postawił jeszcze kilka dalszych pytań, na które w ten sam sposób otrzymał odpowiedź, aż wreszcie zahaczywszy o poważny temat grzechu, chciał wiedzieć, co starzec o tym myśli: „Powiedziałaś przecież, ojczulku”, mówił jeszcze bardziej nieśmiało niż przedtem, „że grzech jest nieodzownym przed Bogiem. Jakżeż to więc jest możliwe, skoro Zbawiciel nasz i wszyscy wielcy

Święci prawowiernego kościoła potępiali grzech, jako dzieło szatana?" Tym razem Grisza odpowiedział bez najmniejszego zastanowienia; jasnoniebieskie jego oczy nabrały w jednej chwili dziwnego wyrazu, mającego w sobie pokorę i dobroć, zmieszane z przebiegłą chytryością. „Naturalnie, ojczulku”, zauważył, „Zbawiciel nasz i Święci Ojcowie Kościoła potępili grzech, jest on bowiem dziełem szatana. Ale jakżeż, ojczulku, zdołasz odpędzić od siebie zło, szczerze nie żałując swych grzechów? A jakże możesz żałować, skoroś przedtem nie zgrzeszył?” Zamilkł na chwilę, a oczy jego, zdawało się, straciły wszelki wyraz pokory; potem dalej przemawiał, ale już nie tak spokojnie i uprzejmie jak przedtem, lecz hałaśliwie, dobitnie, ba, nawet nie szczędził wyrzutów. Coraz to więcej przelewało się słów, aż wreszcie na końcu głos jego przeszedł w niepoahamowane wymyślanie rozzłoszczonego muzyka. „Ech, wy wciąż przychodzicie z waszymi księgami!” piorunował. „Te księgi! Zaiste, przestrzegam was, ojczulku, porzućcie te puste, zbyteczne rzeczy, jeśli chcecie wytrwać przed Panem! Bierzcie życie, jakim ono jest, takiego bowiem jedynie wam Bóg użyczył. A zresztą dajcie sobie powiedzieć: Nie rozmyślajcie wiecznie nad tym, skąd się grzech bierze, ile razy dziennie człowiek musi się modlić, jak długo pościć, by uciec przed grzechem! Grzeszcie, skoro już grzech w was tkwi; jedynie w ten sposób pokonacie go w sobie! Grzeszcie, by móc później tego żałować i zło od siebie odpędzić! Jak długo jednak ukrywacie grzech w sobie, osłaniając go postami, modłami i wieczną gadaniną na temat ksiąg ojców kościoła, tak długo pozostajecie obłudnikami i niegodziwcami, a tacy są Bogu wielce niemili! Wyjść z was musi nieczystość, słyszycie mnie, ojczulku? Wtedy dopiero spodobacie się Bogu!”

Uczniowie z trwogą patrzyli na swego nauczyciela. Zaskoczyły ich i zaniepokoiły te szaleńcze słowa, niewłaściwy i nieprzyzwoity ton, w jakim je wypowiedziano. Niektórzy z nich byli wysoce oburzeni, tak że najchętniej by dali temu muzykowi mimo jego sławy świętego odpowiednią odprawę; wszelako łagodny i marzycielski ojciec Teofan zachowywał milczenie i patrzył przed siebie, jak gdyby skupiał swe myśli w celu replikowania. Uczniowie więc również milczeli, czekając z wstrzymanym oddechem na dalszy bieg rzeczy.

Ale nic się nie stało. Rektor zaczął wprawdzie mówić, ale bardzo powoli, podnosił zarzuty przeciwko wywodom Rasputina, gdy jednak spojrzął na niego, zaciął się, mówił jeszcze raz to samo, zmieszał się i wyjąkał kilka zdań, nie mających związku ze sobą. Opuścił powieki, zachwiał się; wszystko przed nim się chwiało, jedynie stałym w tym były dwa jasne, żarzące się punkty oczu Rasputina. Grzegorz Jefimowicz tymczasem dalej przemawiał, a słowa jego spadały jakby niewstrzymaną lawiną kamieni na głowę archimandryty, który cały się trząsł pod naporem tych słów. Ojciec Teofan prędko jednak przewyciężył tę dziwną niemoc. Gdy już przyszedł do siebie, zatarło się niesamowite wrażenie, jakie na nim zrobił Rasputin przez krótką chwilę. Oczy tego człowieka patrzyły jasno i przyjaźnie, głos był spokojny, a słowa proste i rozsądne, aż tak rozsądne, że rektor znowu wpadł w podziw i dał się im oczarować. I znowu zadawał pytania jedno po drugim i nie uszło uwagi studentów, że za każdą odpowiedzią, ba, nawet i za każdym słowem, opuszczał swą małą siwą ptasią głowę, dając tym do poznania, że zgadza się z wywodami Rasputina, i zauważył: „Tak jest, ojczulku, całkiem słusznie, szczerą mówisz prawdę”.

Tymczasem zrobiło się dość późno i archimandryta zabierał się do odejścia, by udać się na spoczynek. Wedle swego zwyczaju błogosławił każdego ze swych uczniów, przystąpił też do Rasputina, podnosząc rękę. Ale jego prawica, jak gdyby silniejszą potęgą wstrzymana, nie poszła w górę, tylko z ust jego wydobyły się słowa: „Ty mnie błogosław, ojczulku!” Potem nieco zmieszany oddalił się małymi, prędkimi krokami w kierunku swojej celi; będąc już na schodach, jeszcze raz się odwrócił, by

powiedzieć Rasputinowi na pożegnanie: „Ojczulku, przyjdź do mnie jutro rano do celi! Będzie u mnie jego przewielebność biskup Hermogen n, chciałbym cię z nim zapoznać!”

Długo czuwali uczniowie tego wieczoru i rozmawiali o dziwnym tym zajściu, nie mogąc się w żaden sposób uspokoić. Wielu z nich ogarniało zwątpienie, czy właściwie ma jakąś wartość ta ich cała nauka, skoro taki prosty muzyk bez wszelkiego trudu, tak wprost z siebie, prędzej znalazł drogę do prawdy niż oni sami. Czuli, że dziś po raz pierwszy w tej siedzibie uczoneści książkowej rozległo się żywe słowo wiary, wobec którego uznać musieli swą niemoc.

Podobne też myśli dręczyły i ojca Teofana przez większą część nocy. Nie mógł zaprzeczyć, że Grzegorz Jefimowicz lepiej i jaśniej tłumaczył sens Ewangelii niż on sam. Czyż więc doprawdy tak było, że wszelka znajomość komentarzy Pisma i najściślejsza wiedza teologiczna nie posiadały żadnego znaczenia w porównaniu z bezpośrednią, natchnioną inteligencją prostego chłopca?

Sędziwy duchowny szukał na próżno sposobu, by pozbyć się tych wątpliwości. Jeśli Grzegorz Jefimowicz doprawdy był świętym, to jakże sobie wytłumaczyć jego bezecne słowa o grzechu? Byłyż i one najwyższą prawdą? A może Rasputin nie był świętym, lecz tylko wysłannikiem szatana z zadaniem mącenia pokoju dusz nabożnych? Jedyne jeszcze, co mogło pocieszać tej nocy ojca Teofana, to spodziewane na jutro spotkanie Rasputina z biskupem Hermogenem; ten naprawdę pobożny i uczony znawca ludzi może mu powie, jak się w rzeczywistości przedstawia sprawa z Rasputinem i jego nauką o grzechu.

Było jeszcze dość wcześnie, gdy biskup Hermogen zapukał do swego przyjaciela Teofana. Rektor, ciągle jeszcze podniecony wydarzeniami wczorajszego dnia, zaraz z początku, gdy gość tylko wszedł do celi, zaczął mu skwapliwie opowiadać o osobliwym muzyku z Tobolska, o dziwnie potężnym wrażeniu, jakie robiło jego całe zachowanie. Opowiadał przy tym z takim pośpiechem, że słowa wychodzące z jego bezzębnych ust stawały się coraz cichsze i przeszły w końcu w niezrozumiałe szeptanie. Biskup Hermogen musiał mu wciąż przerywać: „Jak to było, ojczulku? Proszę, może mi to powtórzycie!”

Ojciec Teofan nie doszedł jeszcze do połowy opowiadania, gdy nagle drzwi gwałtownie się otwały i muzyk z Tobolska wpadł do celi z wielkim

hałasem. Jak gdyby mu ciężko było pohamować się w pędzie, zatrzymał się przez chwilę na progu, rozglądał się ciągle po celi, zmierzył wzrokiem obu mężczyzn, stojących przed nim, poruszył nozdrzami i przystąpił do nich całkiem blisko, jak gdyby chciał ich obwąchiwać. Po czym zwrócił się ku ikonom w kącie, pokłonił się raz, drugi i trzeci, robiąc przy tym znak krzyża; następnie jednym susem skoczył do stołu, prawą ręką pogładził się po wąsach, pod którymi kryły się szeroko uśmiechnięte usta, i żwawo zawołał: „Otóż jestem, ojczulku!” Spojrzał na biskupa Hermogena, którego twarz pokrywał teraz tak charakterystyczny dla niego,

miły i dobrotliwy uśmiech. „Czy to twój biskup”, zapytał Rasputin, „o którym wczoraj mówiłeś?”

Ojciec Teofan, zakłopotany niewłaściwą formą tego pytania, kiwnął potakująco głową; na to rzucił się Grzegorz Jefimowicz gwałtownie naprzód, na małego, słabowitego rektora, potem na zażywnego biskupa z Saratowa i uściskał ich jednego po drugim, ucałował każdego wedle zwyczaju chłopskiego trzy razy, raz z prawej do lewej, drugi raz z lewej do prawej strony, z taką gwałtownością, że obaj się przestraszyli.

„Ojczulku, ojczulku”, wołał biskup, dobrotliwie się uśmiechając, „zadusisz mnie przecie!”

Już od pierwszej chwili spodobał się Rasputin Hermogenowi; cieszyły go u Rasputina jego małe, żywe, wesołe oczy, płynąca z całej jego natury niefałszowana prostota i szczerść, ale szczególnie jego jędrny, niekiedy rubaszny język, pełen naturalnego dowcipu i chłopskiej przebiegłości, nabierający szczególnego wdzięku przy pięknym, głębokim tonie głosu i przy ciekawej syberyjskiej gwarze.

Również i Rasputin od samego początku sympatyzował z tym wciąż mile uśmiechniętym człowiekiem, Hermogen i Rasputin od razu dostroili się do siebie i już po kilku minutach gwarzyli ze sobą swobodnie, jak starzy przyjaciele. Nagle Grzegorz Jefimowicz uchwycił rękę biskupa i przycisnął ją do piersi, wołając: „Podobasz mi się!” Hermogen roześmiał się głośno, rozweselony tym spontanicznym objawem przyjaźni, gdy tymczasem mały, łagodny ojciec Teofan wciąż bezskutecznie wysiłał się, by na-prowadzić rozmowę na święte tematy.

Było przecież najgorętszym życzeniem rektora przedstawić biskupowi

osobliwy talent pielgrzyma do komentowania Ewangelii usłyszeć sąd przyjaciela! Hermogen był doświadczonym uczo-nym i zarazem światowym człowiekiem, któremu ustalenie, co właściwie jest z Grzegorzem Jefimowiczem, nie powinno spra-wiać trudności. Z niecierpliwością zatem i zaciekawieniem cze-kał Cofan na sąd biskupa. Biskup wprawdzie nie tak szybko poddawał się magii wrażeń, niełatwo było go więc wprowadzić w natychmiastowy zachwyt, jak aktora, ale za to jego życzliwe i wiecznie pogodne usposobienie czym prędzej zbliżało go do tego syberyjskiego muzyka. To prawda, że nie stracił od razu głowy z podziwu dla „nowego świętego”.

niemniej jednak życzliwość dla tego człowieka była równie szczerą co zachwyty łagodnego ojczulka Teofana. I jego również ujął Grisza swym jasnym sądem i rozważą; do serca biskupa w mniejszym stopniu wszakże przemawiała jego wiedza teologiczna, w większym zaś bezpośredniość i zmysłowa obrazowość jego powiezeń.

Hermogen był wiernym bojownikiem Kościoła i wielkim kaznodzieją; od razu poznał, jak szeroką działalność mógłby rozwijać Rasputin dla sprawy prawowiernego kościoła i jak cenną może być jego współpraca dla świętej sprawy. Wydawało się biskupowi, że właśnie teraz, gdy w rosyjskiej polityce zapanowały silne tendencje do naśladowania we wszystkim Zachodu, przydałby się duchowieństwu człowiek tego pokroju co Grzegorz Jefimowicz, który przez swoją naturalną i oryginalną wymowę przedstawiał najlepszy typ muzyka. Przysłuchując się pielgrzymowi, jednocześnie zastanawiał się nad najlepszym sposobem, by tę arcyrosyjską postać, pełną wyrazu, zjednać dla swych politycznych celów. Przejęty do głębi tą sprawą, zwrócił się do ojca Teofana z propozycją, by starca natychmiast zaprowadzić do mnicha Iljodora 12.

Ojciec Teofan nie rozumiał jeszcze daleko idących planów biskupa i zauważył tylko, że Hermogen znalazł niezwykle upodobanie w tym ciekawym, syberyjskim muzyku. Równocześnie jednak odczuwał pewnego rodzaju rozczarowanie, ponieważ jak mu się zdawało, Grzegorz Jefimowicz zrobił dzisiaj mniej korzystne wrażenie niż w dniu wczorajszym, a szczególnie zraził rektora szorstki ton, w jakim Grzegorz zwracał się do Hermogena. Gdy Hermogen wezwał jego i Grzegorza, by razem z nim poszli do Iljodora, stłumił Teofan rozczarowanie i swoimi małymi krokami, cicho i łagodnie, jak to odpowiadało jego usposobieniu,

szedł za tymi dwoma mężami do mnicha Iljodora.

Iljodor, mnich z Carycyna — właściwe nazwisko brzmiało Sergiej Trufanow — słynął jako największy rosyjski kaznodzieja; kazania jego już wtedy zaczęły przyćmiewać sławę Jana z Kronsztadu; był poza tym potężnym człowiekiem, którego się bano i uwielbiano zarazem. Tysiące muzyków ciągnęło do niego, a nawet sam car często słuchał z głęboką czcią jego przemówień.

Był to wysoki, chudy mnich, o gorejących, błędnych oczach i o głosie wprawdzie ostrym i przykrym, ale posiadającym niesłychaną siłę przekonywania. Ze względu na surowy tryb życia i żarliwy fanatyzm religijny otrzymał przydomek rycerza królestwa

niebieskiego i cieszył się olbrzymim poważaniem. Gdy w dzień trzech Króli wyruszał ze swego klasztoru pod białym, zdobnym baldachimem, otoczony lśniącymi ikonami, na drogę idącą do brzegów Wołgi, by tamże obchodzić uroczyste pradowe, czcigodne święto cerkiewne, wszyscy jak jeden mąż intonowali święte pieśni i padali na kolana. W tyle za Iljodorem jechali mnisi z jego klasztoru, na podobieństwo greckich wojowników stojąc na wozach, do których zaprzęgały się młode dziewczęta i staruszki. Gdy tylko zbliżał się ten pochód triumfalny Iljodora, tłumy wpadały w zachwyty i wszyscy witali okrzykami uniesienia rycerza niebieskiego królestwa". Iljodor chciał wystawić w Cary-cynie wielki klasztor, ale środki pieniężne z jego diecezji były na ten cel niewystarczające. Wstąpił tedy na wzgórek wśród miasta wygłosił kazanie do ludu: „Kto ma w posiadaniu swym nie-użyteczną deskę”, powiedział, „niechaj mi ją przyniesie; kto ma gwóźdź zardzewiały, niechaj go złoży; a kto nic nie posiada, niechaj samego siebie złoży w ofierze i mnie pomaga wykopywać ziemię!”

Pod wrażeniem tego kazania cała ludność zwoziła składki w postaci cegieł, drzewa i innych materiałów budowlanych, setki dobrowolnych robotników zgłaszały się do budowy i wkrótce stał w osławionej przedtem dzielnicy miasta potężny klasztor z wielkim audytorium, przyćmiewający swą wielkością niejedną z innych rosyjskich klasztorów. To powodzenie znacznie zwiększyło sławę i potęgę Iljodora. W krótkim czasie nowa cerkiew nie mogła już więcej pomieścić tych tłumów, które napływały z bliska i daleka, by słuchać kazań mnicha. Wtedy Iljodor postanowił zrealizować ciekawy pomysł: zwołał swych uczniów, kazał im wykopać pod klasztorem głębokie doły i z uzyskanej w ten sposób ziemi

usypać sztuczny pagórek, wystawić nową „Górę Tabor”. Zamierzał na tym wzgórzu wy-stawić „przejrzystą wieżę”, która by cała tonęła w kwiatach, ze szczytu tej wieży wygłaszać do ludu swoje „kazania na Gó-rze”. Wnet się zebrano do wykonania tego dziwnego projektu, zwolennicy Iljodora, w pierwszej linii sławny zapaśnik i ciężki atleta Sojkin, od razu zaczęli kopać i znosić ziemię; tej „Góry Tabor”, jednak nigdy nie dokończono.

Jako nieugięty, zagorzały wyznawca prawosławnego kościoła, stał się Iljodor zwolennikiem, a wkrótce i bojownikiem w pierw-

szym szeregu skrajnie nacjonalistycznego panslawizmu i monarchizmu. W niezliczonych kazaniach występował za nieograniczonym samowładztwem cara i przystąpił do „związku prawdziwych Rosjan”, owego potężnego i niebezpiecznego zrzeszenia politycznych zacofańców. Jego pojęcie monarchizmu jednak było przesiąknięte ludowymi ideami komunizmu chłopskiego; dla niego car był jedynym panem, a wszyscy inni, bez różnicy stani i klasy społecznej, równouprawnionymi braćmi. Walcząc w obronie nie absolutnej władzy monarchy, zwalczał równocześnie inne przywileje klasowe, czym sobie zapewnił olbrzymią popularność. Jego patriotyzm nie przeszkadzał mu w występowaniu przeciwko państwowym urzędnikom, gubernatorom i administratorom, a czynił to nawet bardzo chętnie, bo chciał tym pokazać, że nie car, lecz wykonawcy ponoszą winę, jeśli nie wszystko idzie w państwie jak na sznurku. Dość często występował z płomiennymi oskarżeniami przeciwko władzom, przy czym dzięki wysokiemu poważaniu jako „prawdziwy wojownik idei monarchicznej” unikał wszelkich prześladowań. W mowach swoich był niepochwytanym, często sprośnym, a wprost zaprzęczonym prostakiem dzięki czemu otrzymał przydomek „gromiciela”. Ze szczególną namiętnością pomstował na „diabelskie zepsucie obyczajów”, a nową zarazę, którą szerzyli wśród nie zepsutego ludu rosyjskiego zapatrzeni na Zachód inteligenci, urzędnicy i Żydzi.

Kazania tego „rosyjskiego Savonaroli” z każdym dniem przybierały bardziej na dobitności i natarczywości; raz brał na cel gubernatora i radził mu, by zamiast urzędu pilnował raczej majątku i doił krowy; innym znów razem pomstował na policmajstrów i nieustannie ogłaszał publicznie, że administracja dystryktu ca rycyńskiego znajduje się w rękach szatana. Ale

kiedy jego atak przebrały miarę, usiłował Kurłow, jeden z najwyższych funkcyj nariuszy policji, zwrócić mnichowi ostrożnie i jak najdelikatnie na to uwagę. Zawezwał Iljodora, przedłożył mu raport zjednego jego kazania, w którym jawnie wzywa do przeciwstawiania się rozporządzeniom władz, i spytał go, czy tekst raportu rzeczywiście odpowiada treści kazania. Na to mu Iljodor dumnie i wyzywająco odpowiedział, że raport zgadza się z kazaniem, i on ani myśli odwołać cokolwiek z tego, co wypowiedział. Kurłow próbował nie śmiało zwrócić mu uwagę, że przecież nie można tolerować tego rodzaju wezwań do popełniania gwałtów; na co go mnich

spiorunował, grzmiącym głosem oświadczając, że o nic mu więcej nie idzie, jak tylko o zabezpieczenie ludu i cara przed nieu-dolną i zdradziecką zwierzchnością.

Władze próbowały potem wystąpić przeciw Iljodorowi za po-średnictwem Świętego Synodu, ale mnich wzbraniał się usłuchać wezwania swych przełożonych. Zamknął się w cerkwi swojego klasztoru i stamtąd pisał obelżywe listy przeciwko Synodowi, jako też zwoływał swych zwolenników w celach obrony. Wkrót-tce rozwinął się w jego obronie tak gwałtowny ruch wśród ludu, że nikt nie odważył się wystąpić przeciwko niemu.

Odtąd terroryzował w niesłychany sposób cały Carycyn. W dniach postnych, odziany w czarny habit, chodził nocami po mieście, zjawiał się na balach maskowych, rozpędzał gości, wpadał do domów gry, odwiedzał lupanary. Tamże stawał w milczeniu i tak długo rzucał groźne spojrzenia na dziewczęta, aż te wśród histerycznych krzy-ków uciekały na ulicę i długi czas potem jeszcze nie miały odwagi wracać do domu. Nazajutrz czytano w gazetach opisy „wrażen” Iljodora z jego nocnych wycieczek, przy czym podane były nazwi-ska wszystkich „czcigodnych obywateli”, których spotykał w osła-wionych domach.

Przedmiotem szczególnej nienawiści Iljodora byli inteligenci, będący dla niego zawsze po prostu „Żydami”. Raz za jego stara-niem wożono w procesji wielką figurę, przedstawiającą Żyda w kaftanie, którą następnie z wielką pompą spalono. Tuż przy wyjściu do wystawionej przezeń cerkwi klasztornej wisiał wielki brąz, przedstawiający Sąd Ostateczny, na którym na czele grzesz-ników skazanych na wieczne potępienie i męki piekielne znajdują się żydowscy adwokaci i żurnaliści.

Wprawdzie od czasu do czasu odzywały się głosy, że Iljodor jest najzwyczajnym karierowiczem, że robi wszystko jedynie dla popularności, ale tłumy ślepo go ubóstwiały i oddawały cześć jako rycerzowi niebieskiego królestwa". Jego liczny orszak był mu oddany na śmierć i życie; składał się ze śmiałych i odważnych mężczyzn i sfanatyzowanych kobiet, którzy na rozkaz wodza byli skłonni do wszystkiego.

W krótkim czasie sława Iljodora z Carycyna doszła do Peters-burga i paramonarsza powołała go do Carskiego Sioła. W czasie jego tam pobytu zawarł przyjaźń z biskupem Hermogenem z archimandrytą Teofanem, spowiednikiem carowej. Z wizyty

wrócił syt zaszczytów i godności. Mógł teraz grać rolę nieograniczonego wprost władcy.

Gdy biskup Hermogen w towarzystwie ojca Teofana i Grzegorza Jefimowicza zapukał do celi mnicha, nikt mu nie odpowiedział. Uważnie i cicho otworzył drzwi i trzech mężczyźni zajrzeli w półmrok pokoju. Mnich leżał w kącie pokoju, gdzie wisiały niezliczone ikony i przed nimi lampki olejne; głęboko zatopiony w modlitwie, dotykał głową prawie samej ziemi, tak że wchodzący widzieli tylko jego lekko ku górze wznoszące się plecy, od których habit sztywno odstawał, jak deska; zaś spod habitu sterczały jego wielkie buty o bardzo szerokich podeszwach. Niezwykły obraz modlącego się mnicha wywołał u wchodzących bardzo silne wrażenie i aczkolwiek spieszo im było rozmówić się z Iljodorem, padli jednak na kolana i wspólnie z nim odmawiali modlitwy.

Łagodny ojciec Teofan doprowadził po kilkudziesięciu latach do tego, że automatycznie wpadał w nabożny trans, kiedy tylko zobaczył złotożółte światło lampki olejnej; toteż i teraz opuścił powieki i popadł natychmiast w nabożny zachwyty. Natomiast szlachetny biskup Hermogen nie miał w tej chwili na zawołanie spokoju duszy, jakiego wymaga szczerza modlitwa. Zanadto był przejęty ważnością swej misji i czekał niecierpliwie tej chwili, kiedy będzie mógł mówić z Iljodorem o nowo odkrytym bojowniku wiary, Rasputinie. W tym czasie gdy daremnie silił się, by nabożnie się skupić, niepokój i pragnienie, by Iljodor jak najprędzej ukończył swe modły, pożerały jego duszę.

Iljodor jednak nie okazywał w tym kierunku najmniejszego zamiaru: jakkolwiek bezwarunkowo musiał zauważyć przybycie swych gości, udawał, jak gdyby był zupełnie sam, zignorował ich i niewzruszenie

modlił się w dalszym ciągu. Biskup Hermogen w innym wypadku na pewno byłby pierwszy podziwiał ten fanatyczny zapał modlącego się Iljodora; teraz jednak pomyślał sobie, że przecież już dość tej pobożności. Uporczywa pobożność Iljodora graniczyła wprost ze złośliwością; a wielki Iljodor był złośliwy, o tym się Hermogen już często przekonywał. Jakkolwiek sprawa przedstawiała się, nie wypadało pod żadnym warunkiem przerywać

nabożnych rozmyślań Iljodora i nie pozostawało biskupowi nic innego, jak dalej klęczeć i niecierpliwić się.

Rasputin nie odczuwał niepokoju ani niecierpliwości; dusza jego miała swój spokój, przywieziony do Petersburga z dalekich syberyjskich stepów; potrafił czekać. Nic nie mogło go wyprowadzić z równowagi i co do tego miał w sobie doprawdy coś ze świętego. Cała sytuacja sprawiała mu nawet prawdziwą przyjemność. Mógł teraz z największym spokojem dokładnie oglądać mni-cha i ocenić jego znaczenie i wartość. Rasputin odczuł w tej chwili instynktem, że możność oglądania po raz pierwszy budzącego postrach Iljodora w tak niezwykłej sytuacji i postawie przedstawia dlań pierwszorzędną wartość, albowiem ten groteskowy obraz modlącego się mnicha ze sztywno odstającym habitem i wielkimi podeszwami butów pozostanie mu na zawsze w pamięci, chociażby mnich Iljodor miał dalej szerzyć postrach i odgrywać rolę naj-możniejszego ze wszystkich.

Zresztą chłop Grisza zachowywał się zwykle i wobec naj-poważniejszych osobistości z naturalną swobodą, tym zaś razem czuł się już od samego początku całkiem pewny siebie; kiedy mu więc modlitwa Iljodora wydała się zbyt długa, podniósł się ku niezmiernemu przerażeniu łagodnego archimandryty Teofana i biskupa Hermogena w chwili, gdy Iljodor właśnie kończył jedną z modlitw: „Ojcze nasz”, przystąpił do niego i odezwał się doń: „Bracie... bracie!” „Gromiciel”, oburzony śmiałością, że ktoś się odważył przeszkadzać w nabożeństwie, zerwał się nagłym ruchem i wściekłym spojrzeniem zmierzył Rasputina; ojciec Teofan i biskup Hermogen, śmiertelnie przerażeni, spodziewali się czegoś strasznego. Iljodor unosił właśnie ramię ku górze i nabierał tchu, by spuścić na śmiałka stek najstraszniejszych przekleństw, gdy poczuł na swym ramieniu

prawicę nieznanego sobie chłopca i ujrzał, jak małe, niebieskie niczym woda oczy intruza skierowały się nań z dobrotliwym uśmiechem, trzymając jego własny wzrok na uwięzi. Równocześnie usłyszał dźwięcznie melodyjny i zarazem jak stał twardy głos: „Nieżle się modlisz, bracie!”

Iljodor w osłupiałym zdumieniu wlepił oczy w swego gościa, ale zdumienie jego jeszcze bardziej rosło, gdy muzyk niewzruszenie mówił dalej: „Mógłbyś zaprzestać swych modłów i zostawić

Pana Boga w spokoju! Chodźże, ci dwaj", wskazał na Teofana i Hermogena, „mają z tobą coś do omówienia!"

Jeszcze i później, kiedy sobie przypominał pierwsze spotkanie z Rasputinem, miewał Iljodor te same dziwne uczucia, co wówczas. Tę samą wściekłość zrywającej się rannej bestii, że ośmielono się przeszkodzić mu w nabożnym skupieniu, to samo oburzenie na widok człowieka, który mu tak mało czci okazał, tego brudnego muzyka, z jego niewzruszenie pewnym siebie, a przecież miłym uśmiechem. Gdy sobie przypominał, że Grisza już od pierwszego razu zwracał się doń przez ty, mianując go „bratem", ciągle na nowo zalewała go czarna żółć; ale jednocześnie odczuwał ten sam dziwny stan niemocy, opadający go jak za pierwszym razem, na podobieństwo obezwładniającego uroku.

Coś straszego spotkało mnicha w obecności Rasputina. Zdolność wymyślania, ta boska siła, którą przed nim posiadali tylko wielcy prorocy dawniejszych czasów, traciła widocznie swą moc, kiedy czuł na sobie spojrzenie diabelskich, jasnoniebieskich oczu tego muzyka. Daremnie się silił, szukając słów, by wydobyć z siebie przynajmniej jedną z najczęściej używanych formułek zaklęcia; zamiast tego milczał, a w końcu nawet serdecznie uściśnął szorstką prawicę, którą wyciągnął doń ze spokojnym uśmiechem ten nieokrzesany chłop.

To mieszane uczucie gniewu, odrazy, niemocy, strachu i podziwu nie opuszczało już odtąd nigdy Iljodora, wracało ono za każdym razem z tą samą intensywnością, ilekroć mnich, budzący wszędzie postrach, spotykał wesoło uśmiechniętego, niechlujnego i szorstkiego muzyka Grzegorza Jefimowicza.

Już w pierwszym dniu, gdy razem siedzieli z Teofanem i Hermogenem i

mówili o Rasputinie, jakaś niepojęta siła pchała Iljodora do tego, by nie tylko podzielił z nimi zachwyty dla Rasputina, lecz by ten zachwyty rozniecał i jeszcze bardziej rozbudzał u zgrzybiałego Teofana dziecięcą wiarę w świętość Rasputina, u Hermogena zaś optymistyczne przeświadczenie o politycznej wartości tego muzyka.

Chociaż Iljodor już na tym pierwszym posiedzeniu ani przez chwilę nie wyzbył się uczuć niechęci i nieufności, pogodził się z tym, by Griszę koniecznie przedstawić komitetowi „prawdziwych ludzi rosyjskich”, ba, najgoręcej ze wszystkich forsował ten plan.

Czuł najwyraźniej, że ten odrażający, nieokrzesany prostak

absolutnie mu się nie podoba, i instynkt ostrzegał go przed groźącym niebezpieczeństwem; kiedy jednak mówił o Rasputinie, widocznie jakaś obca siła kierowała jego językiem, albowiem za każdym razem, ilekroć padało słowo o Rasputinie, oświadczał, że jest to święty, przez Boga zesłany bojownik prawdziwej wiary.

Aczkolwiek czcigodny ojciec Teofan i szlachetny biskup Hermogen przedstawili Rasputina centralnemu komitetowi „prawdzywych Rosjan” jako ważnego towarzysza broni, to przecież o przyjęciu rozstrzygnęły dopiero pełne entuzjazmu przemówienia Iljodora. Między członkami centralnego komitetu znajdowało się dużo niedowiarków i cynicznych sceptyków; wpływy Teofana Hermogena nigdy nie wystarczyłyby, by przekonać tych ludzi o świętości Rasputina. W milczeniu słuchali, potrząsając głowami, wywodów obu przemawiających i Hermogen z przerażeniem stwierdził, że sprawa muzyka z Tobolska nie stoi jak najlepiej.

Wówczas wstał „wielki gromiciel” i pod wpływem jego spojrzenia i porywających słów ogólny nastrój natychmiast się zmienił. Z przebiegu wszystkich dalszych wypadków Iljodor przyznawał sobie często, że już na owym posiedzeniu był tego samego zdania co potrząsający głowami sceptycy, a przecież zerwał się wściekły, zwymyślał niedowiarków i krzyczał, że „prawdziwi ludzie rosyjscy” są widocznie nadgnici przez szatańskiego ducha Zachodu, przez ową rozkładającą wszystko żądzę oświaty, niszczącą prawdziwą wiarę w Boga i świętość rosyjskiego narodu. Oczy mu gorzały, gdy zwracał się do przeciwników Rasputina, że ich patriotyzm nie jest lepszym od patriotyzmu owych bezecnych Żydów, adwokatów i żurnalistów, którzy w nic nie wierzą i wszystko ob-rzucają

błotem. Wznosząc ręce do góry, wielki kaznodzieja lamien-tował, że zbliża się panowanie antychrysta, skoro nawet „związek prawdziwych ludzi rosyjskich” już poddaje się wpływom niedo-wiarków. „Biada, biada biednej, świętej Rosji!”

Po małej pauzie przeszedł do praktycznej strony swego projektu, apelował do „czystego rozsądku politycznego” swo-ich słuchaczy; starał się ich przekonać o tym, że Rasputin bę-dzie wspaniałym narzędziem dla celów i planów związku. Dowo-dził, że związek musi w swoich politycznych dążeniach opierać się na zwykłym ludzie, albowiem nic innego nie zapewnia powo-dzenia w walce przeciwko przedostającym się z Zachodu ideom wolności i niedowiarstwa. Należy, jak powiedział, zwrócić uwagę

na to, że muzyk rosyjski jako reprezentant „wcielającego ideę Boga narodu” przedstawia najwyższą formę człowieka.

Te i tym podobne sprawy wyłuszczał Iljodor na owym posiedzeniu, a mowa jego była pełna siły, wnikliwości i mocy przekonywającej jak nigdy przedtem. Po skończeniu wywodów mógł skonstatować, że uczestnicy byli pod silnym wrażeniem jego przemówienia i że wszyscy byli przejęci ważnością osoby Rasputina.

Gdy Iljodor wrócił na swoje miejsce, wstał inny duchowny, pop Wostorgow, i podobnie jak wszyscy inni dał się podbić mowie Iljodora, w zawikłanych słowach wyrażając mnichowi pokornie podziękowanie i podziw całego zgromadzenia. Zapewnił, że komitet dał się absolutnie przekonać jego wywodom i że wszelkie swoje plany dostosuje do życzeń Iljodora. Pozwolił sobie dodać jeszcze uwagę, że po swojej podróży propagandowej w guberni Tobolskiej w czasie ostatnich wyborów doszedł do przekonania, że należy szczególnie uzdolnionych chłopów wciągać do politycznej pracy. Po czym podziękował czcigodnemu panu archimandrycie Teofanowi i biskupowi Hermogenowi, a zwłaszcza wielce szanownemu mnichowi Ujodorowi za to, że na nowo podjęli te idee i poparli je całym swym autorytetem.

Gdy Wostorgow przemawiał, twarz Iljodora coraz więcej bladła i wszystko zdawało się pływać przed jego oczyma, W chwili gdy ten gadatliwy, głupi pop Wostorgow potwierdza) jego własne wywody, Iljodor najwyraźniej czuł, że sam jest zupełnie przeciwnego zdania i uważa Griszę za obłudnika, świętoszka, niechlujnego chłopca i podłego człowieka. Jakież go diabeł opętał, że przemawiał tak wbrew własnemu przekonaniu? Dostawał ataków wściekłości, gdy widział, jak ten Wostorgow, półgłówek, z

największą powagą przyznawał jemu, Ujodorowi rację i z pełnym uszanowaniem chylił przed nim głowę.

W tej samej jednak chwili wstał drugi członek komitetu i poprosił o słowo w sprawie chłopca Rasputina z guberni Tobolskiej. Nowy mówca był poważnym adwokatem i energicznym członkiem „związku prawdziwych Rosjan”, mającym już za sobą niejedną poważną zasługę. Ale mimo to mówił tonem trwożnym i nieśmiałym, wyczuwał bowiem, że nie przyłączając się teraz, po mowach Iljodora i Wostorgowa, swego głosu do ogólnego chóru entuzjastów dla Grzegorza Jefimowicza, może wpaść w trudną i groźną sytuację. Jednak w poczuciu swego obowiązku wskazał m

niebezpieczeństwa, mogące się wyłonić przy przeprowadzeniu projektowanych planów, ale wypowiedział to wszystko tak skromnym i cichym głosem, i w takiej formie, że mowa jego przeszła prawie niepostrzeżenie, jedynie „gromicie!” słuchał jego słów z napiętą uwagą. Odetchnął z uczuciem wyzwolenia, gdy mądry i skromny adwokat doszedł do tego, że należałoby przecież rozważyć, czy muzyk ten w dalszym przebiegu sprawy nie może im sprawić trudności i czy zbytnie przyśpieszenie sprawy nie zemści się na nich w przyszłości. Za każdym słowem mówcy robiło mu się lżej na duszy, cieszyło go przecież, że w tej niezdrowej atmosferze, pełnej urojeń świętości, odezwał się wreszcie głos rozsądku i znalazł się jeden człowiek, który zachował trzeźwą głowę. „Wy spodziewacie się” ostrzegął adwokat, „wielkich korzyści po tym Rasputinie, a ja wam powiadam, że on nam wszystkim na ostatek tyjko zaszkodzi!” Tak, to była szczerza i wyzwalająca prawda! Wstał, by z całego serca mówcy przyznać słusność.

W tej samej jednak chwili znowu go opadła owa szatańska moc i doprowadziła do tego, że na własną zgubę usłużył „duchowi kłamstwa” i nie tylko nie odwrócił jasno przewidzianego nieszczęścia, lecz nawet sam dopomógł, by przyszło.

Z wyrazem wściekłości na twarzy mnich spiorunował skromnego adwokata, wyrzucając mu „niewiarę Zachodu” i brak zrozumienia dla świętego narodu rosyjskiego.

Posiedzenie zakończyło się, jak zresztą należało się spodziewać, pełnym powodzeniem. Ojciec Teofan i biskup Hermogen już rozpoczęli starania u małego archimandryty, by ten jako spowiednik carowej wprowadził nowego starca do Carskiego Sioła. Jedynie Iljodor był owego wieczora

małomówny i opryskliwy, a osławiona jego grubiańskość przybrała tym razem szczególnie przykre formy.

81

Nieszczęsna sielanka w Carskim Siole

„Sunshine”, taki słoneczną pogodą tchnący przydomek nosiła Alix, młodziutka księżniczka heska, zanim jeszcze została małżonką Mikołaja i carową Wszechrosji 13. Późniejszy jej mąż rzadko inaczej ją nazywał, jak tylko „Sunshine”.

Zawsze po załatwieniu uciążliwych spraw państwowych udawał się car pośpiesznie do swojej Alix.

Obowiązki panującego odczuwał jako przykre i uciążliwe. Zniechęcony, przesiadywał godzinami nad sprawozdaniami, podpisywał dokumenty, studiował referaty ministrów, zaopatrywał je dopiskami na marginesie, znudzony, odprawiał konieczne przyjęcia i był bardzo szczęśliwy, jeśli się długo nie przeciągały. Jego codzienne urzędowanie przeważnie było stałą walką z wielką górą akt na biurku, rosnącą w zastraszający sposób, skoro tylko raz się zaniedbał i nie załatwił przepisane sobie pensum.

Od czasu jak tylko wstąpił na tron, dzielił regularnie każdy dzień między przykre obowiązki panowania, a przyjemne godziny spędzone z rodziną. Także carowa przez długie lata swojego małżeństwa nie mogła się zżyć z koniecznością pozostawania przez kilka godzin dziennie bez męża. Kiedy go sprawy państwowe dłużej niż zwykle zatrzymywały, niecierpliwiła się i tęskniła za jego powrotem. Prawie zawsze przebywała w swym na biadoliła malowanym buduarze, wypełnionym cudownymi kwiatami, czytała książki, leżąc na otomanie, pisała listy, zajmowała się robotami ręcznymi, a w latach późniejszych gwarzyła ze swoją przyjaciółką, Anną Wyrubową 14, i opowiadała jej o swoich wspólnych z carem przeżyciach.

Zawsze prawie mówiła i myślała o nim, pragnęła bo-

82

wiem także w godzinach, gdy nie byli razem ze sobą, przynajmniej duszą być przy nim.

Kiedy zaś dochodził ją z korytarza szelest przyśpieszonych krojów i szkła pająka wiszącego w buduarze z lekka zabrzęczały, wstawiała po dziewczęcemu podniecona i silny rumieniec zabarwiał jej lica. A gdy drzwi raptem się otwierały, w nadmiarze szczęścia z ogniem w oczach wybiegała naprzeciw wchodzącemu mężowi. Od tej chwili zabawiali się godzinami wesoło i bezstrosko rozmawiając o swych dzieciach, wspólnych planach, wycieczkach i spacerach i omawiali tysiące innych drobiazgów, składających się zwykle na treść rozmów zakochanych w sobie ludzi.

Niekiedy zdarzało się, że gdy carowa podejmowała gości, nagle z sąsiedniego pokoju dolatywało lekkie gwizdnięcie, przypominające okrzyk ptaka; wtedy Aleksandra silnie się rumieniła, mówiła nieśmiało, że car ją wzywa, zegnała się z gośćmi znikła w sąsiednim gabinecie. Nigdy się nie zdarzyło, by uszczęśliwiona, natychmiast nie usłuchała sygnału, oznaczającego prośbę jej męża.

Każda godzina spędzona bez niego była dla niej męcząca nudna. Gdy car po wielu latach małżeństwa musiał ją po raz pierwszy na dłuższy czas opuścić, by zrewizytować króla włoskiego w Racconigi, zamknęła się Aleksandra w swoich pokojach, nie dopuszczając do siebie nikogo, nawet własnych dzieci. Dopiero po jego powrocie odzyskała wesołość, tylko żaliła się potem, że obecność całego dworu przy ich ponownym spotkaniu była dla niej zawadą w zakosztowaniu tego szczęścia w całym tego słowa znaczeniu.

Tylko dwa razy w przeciągu dwudziestu trzech lat lekkie niezrozumienia

zakłóciły harmonię tego małżeństwa. Doszły do uszu carskich plotki, że piękny książę Orłów nie był całkiem obojętny sercu carowej. Niektóre koła dworskie już wtedy puszczały w obieg tego rodzaju podejrzenia i sam fakt, że generał Orłów prawie co wieczór przebywał w komnatach cesarskich, gdzie grywał z carem godzinami w bilard, stawał się źródłem nowych plotek. Także gdy książę Orłów wyjechał z powodu choroby płucnej do Egiptu i tamże wkrótce zmarł, dużo czasu upłynęło, zanim ustały złośliwe komentarze do tych wypadków 15.

O ile sam car nigdy nie miał wątpliwości co do wier-ności swej żony, o tyle carowa raz była bardzo zazdrosną o swą

przyjaciółkę Annę, sądząc, że ma słuszne powody ku temu, by czuć się urażoną w swoich najświętszych uczuciach małżeńskich. Anna Wyrubowa była dość uczciwą i naiwną, by jej pewnego dnia wyznać, że zaczyna w niej, wbrew jej woli, kiełkować uczucie miłości do cara. Naiwne w gruncie rzeczy wyznanie wystarczyło jednak, by łatwo drażliwa Aleksandra pogniewała się na swą przyjaciółkę na dłuższy przeciąg czasu i by w listach do swych krewnych wyrażała się ujemnie o „zdrajczyni”.

Tego rodzaju małe nieporozumienia ulatniały się jednak tak samo prędko, jak przychodziły, i nigdy nie zdołały na stałe zakłócić szczęścia tych dwojga ludzi. Zarówno car jak i carowa przekonali się po krótkim czasie, że ich wzajemna nieufność nie ma najmniejszego sensu, i odtąd żyli nadal ze sobą jak dawniej w idealnej zgodzie.

Nigdy, nawet w czasie swych krótkotrwałych nieporozumień, nie padało między małżonkami żadne nieprzyjazne słowo, oboje zawsze przejęci najserdeczniejszą wzajemną troską o siebie, starali się nie ubliżyć sobie, bodaj nawet spojrzeniem. Od samego początku małżeństwa aż do wspólnego tragicznego ich końca mieli w tonie i obejściu coś z nowożeńców i gorąca ich miłość wzajemna nigdy nie traciła na sile.

To ich pozornie zupełnie niezmałoczone pożycie rodzinne wyłania się najwyraźniej z dziennika carskiego, w którym Mikołaj co wieczór zwykle notował swe przeżycia. Te karty opowiadają o cudownych cichych godzinach, o radości z powodu podrastania dzieci, o wdzięczności za wypływające z tego małżeństwa „pełne i bezgraniczne szczęście”.

Już na samym początku wyszukała sobie młoda para carska możliwie skromne i niewielkie miejsce zamieszkania, oboje bowiem mieli wstręt do przepychu sal reprezentacyjnych. Od czasu kiedy po raz pierwszy

odwiedzili razem Carskie Sioło, bardzo upodobali sobie ten zamek i już po krótkim czasie przesiedlili się doń na stałe, opuściwszy stolicę. Wieczór za wieczorem spędzali razem w kilku małych pokojach, bawili się z dziećmi, przeglądali dzieła ilustrowane, czasopisma, albumy z fotografiami. Z bólem serca notuje car za każdym razem, jeśli go sprawy państwowe dłużej niż zwykle trzymały z dala od żony:

„Szkoda, że zajęcia tyle czasu zabierają, a ja przecie tak chętnie bym czas spędzał tylko u niej!”

„Przed południem musiałem znowu odbierać sprawozdania, ale za to po południu spacerowałem z Alix w ogrodzie. Nie mamy serca, by się rozstawać!”

„Całe przedpołudnie byłem zajęty, nie mogłem więc w ogóle widzieć się z Alix do samego śniadania. Po południu wyjechaliśmy znowu do Pawłowska i podziwialiśmy piękny zachód słońca. Wieczorem, po herbacie, czytałem jej na głos przez dłuższy czas”.

„Przyjąłem Durnowa, Fredericksa, Rictera i Awelana. Następnie pojechałem do Akademii Umiejętności na uroczystość dorocznego posiedzenia. Nie była interesująca, ale trwała ledwo godzinę, tak że już o drugiej byłem z powrotem w domu. Wyjechałem z moją kochaną małą żoneczką na spacer do wysp, wieczór był cudowny, a jazda bardzo przyjemna. Dopiero o wpół do dwunastej wróciliśmy do domu”.

W pierwszych latach małżeństwa także Aleksandra wtrącała do tych zapisków cara swoje uwagi i sentencje, przeważnie zapewnienia miłosne w języku angielskim, pełne tkliwości i serdecznego przywiązania.

„Dzisiaj miałem dużo wolnego czasu”, pisze car, „nie miałem bowiem do czytania prawie żadnych sprawozdań. Zupełnie sami spożywaliśmy śniadanie i obiad. Nie mogę tego opisać, jak szczęśliwie schodzi nam życie we dwójkę w pięknym Carskim Siole!” Obok znajduje się uwaga carowej w języku angielskim: „Twoja mała żoneczką uwielbia Cię!”

„Szczęście me jest bezgraniczne”, notuje car innym razem. „Niechętnie tylko opuszczam Carskie Sioło, tak drogie dla nas obojga. Tu po raz pierwszy po naszym ślubie byliśmy sami ze sobą i nikt nam nie zakłócał naszych pierwszych przeżyć”. A carowa dodaje: „Nigdy bym nie przypuszczała, że jest możliwe tak bezchmurne szczęście i zespolenie się

ze sobą dwojga ludzi. Kocham Cię, w tych dwóch słowach mieści się całe me życie".

Przeważnie traktuje car w swych zapiskach sprawy państwowe dość powierzchownie, by móc tym dokładniej zajmować się szczęśliwymi godzinami swego życia prywatnego. Po krótkim wyliczeniu przyjęć następują często dopiski, jak np: „Jestem z Alix niewypowiedzianie szczęśliwy!"

„Jest niesłychanie przyjemne, móc spokojnie razem ze sobą spędzić cały dzień i całą noc. Jedliśmy dzisiaj we dwójkę w narożnym pokoju i poszliśmy wcześniej spać".

S5

„Z całej duszy dziękuję codziennie Bogu za szczęście, jakiego mi użyczył. Nic większego i piękniejszego nie można sobie w ogóle życzyć na tej ziemi!"¹

Jeśli Aleksandra przypadkowo nie była u męża lub nie siedziała z Anną Wyrubową w swym buduarze, wtedy na pewno była przy swych dzieciach. W swej miłości matczynej bardzo niechętnie opuszczała pokój dzieci. Odbywała tam nawet urzędowe przyjęcia. Pewnego razu szef nadwornej kancelarii miał do niej coś bardzo pilnego i chciał jej przedłożyć kilka dokumentów do podpisu. Carowa przyjęła go, nosząc na jednej ręce malutką arcy-księżniczkę Olgę, a drugą ręką huśtając kołyskę z niedawno urodzoną arcyksiężniczką Tatianą.

Kiedy nareszcie po długim daremnym wyczekiwaniu urodził się syn, Aleksandra przy jego wychowaniu jeszcze więcej zadawała sobie trudu aniżeli przy starszych dzieciach. Znalazła wprawdzie dla niego w osobie Wiszniakowej doskonałą i godną zaufania piastunkę, a i poza tym znajdowało się w pokojach dziecięcych Carskiego Sioła jeszcze kilka wychowawczyń i dozorczyń, mimo to jednak, jeśli chodziło o synka, carowa sama robiła wszystko, do najmniejszych drobiazgów; kąpała go, ubierała i ciągle doglądała, uczyła go wymawiania pierwszych wyrazów i bawiła się z nim całymi godzinami.

W późniejszych latach, gdy już dzieci dorosły, sama Aleksandra objęła rolę nauczycielki, siedziała z nimi pochylona nad zeszytami i książkami, pomagała im przy rozwiązywaniu zadanych przez nauczycieli domowych wypracowań i przygotowywała je do lekcji u panny Schneider, Mr. Gibbsa i Mr. Gilliarda. Wykonywała z córkami roboty ręczne, szyła im sukienki dla lalek, a później bywała im pomocną przy przygotowaniach mniejszych

uroczystości domowych.

Sam car także lubił bawić się z dziećmi i spędzał dużo czasu w ich towarzystwie. Poleciał zarezerwować jedną z wielkich sal marmurowych na zamku w Carskim Siole na zabawy dla dzieci, gdzie urządzono dla nich zjeżdżalnię. Tutaj też zabawiał się Mikołaj ze swoimi córkami i nawet w czasie ciężkich zaburzeń politycznych zjeżdżał w dół z dziećmi codziennie przez godzinę lub dwie niezliczoną ilość razy po gładkiej, drewnianej rynnie.

Pracę codzienną monarchy poprzedzał zazwyczaj krótki spacer po pierwszym śniadaniu. Na ogół bardzo rzadko zapraszał car mi-

nistrów do siebie, przeważnie zdawali mu oni sprawy na piśmie. Natomiast codziennie bywali wysocy urzędnicy i wojskowi, którym car nie mógł odmówić przyjęcia. Rozmowy te bardzo go męczyły i czuł się szczęśliwy, gdy już wybiła pierwsza, o tej bowiem godzinie car zwykle zasiadał w towarzystwie carowej i służbowego oficera do śniadania. Potem następował dłuższy spacer w parku Carskiego Sioła, przeważnie w towarzystwie Alix, niekiedy również starszych córek. Przy tej sposobności zrywano kwiaty i układano się na trawie. Po południu wyjeżdżano powozem lub łodzią motorową, niekiedy car brał ze sobą broń i strzelał do wron, aż w końcu nadchodził czas, kiedy cała rodzina schodziła się przy stole na herbatę. Potem następował dalszy ciąg pracy, car bowiem musiał teraz godzinami przeglądać akty, leżące całą kupą na jego biurku. Mniej więcej na ósmą wieczór przypadał obiad.

Po godzinie dziewiątej, gdy kończono obiad, carowa udawała się na górę do pokoju carewicza, by odmawiać z nim modlitwę wieczorną. Potem jeszcze raz wracała na dół i często, w czasie gdy car szedł na chwilę do swego gabinetu, grywała z Anią na cztery ręce, przeważnie Beethovena albo Czajkowskiego. Niekiedy car, zwabiony dźwiękiem muzyki, skradał się cichutko na palcach, w milczeniu stawał za grającymi, a te odgadywały jego obecność jedynie z subtelnego aromatu jego nieodzownego papierosa. Gdy już nie było spraw państwowych do załatwienia, siadał car chętnie w buduarze swej żony i czytał jej i Ani fragmenty dzieł Tolstoja, Turgieniewa, Dostojewskiego, Gogoła lub Czechowa, aż w końcu o dwunastej po raz wtóry podawano herbatę i para cesarska udawała się na spoczynek.

Pobyty w Carskim Siole bywały regularnie dwa razy do roku przerywane

wycieczkami. W zimie udawała się carska rodzina na kilka tygodni do letniego pałacu w Liwadii na Krymie, na lato zaś prawie zawsze wyjeżdżali na szery fińskie. Na takich wycieczkach schodziło im życie jeszcze spokojniej niż zwykle, gdyż odpadały przyjęcia dworskie i sprawy państwowe, a car mógł się w całości poświęcić rodzinie.

W Liwadii wypełniały dzień długie spacery. Car stale dokładał starań, by nie połączono Liwadii linią kolejową z resztą świata, bo nie chciał dopuścić, by idylliczna samotność tej cudownej krainy doznawała szkody. Pośrodku różami obsianych pagórków i stoków górskich wznosił się błyszczący, biały pałac cesarski, z którego

X7

roztaczał się wspaniały widok na ciemnobłękitne morze i na śniegami okryte szczyty. Carska rodzina, zaopatrzona w prowiant, wyruszała zwykle już wczesnym rankiem na całodzienną wycieczkę w okoliczne lasy; tamże naprędce rozniecano ogień i pieczono własnoręcznie zebrane grzyby, a para carska zabawiała się ze swymi dziećmi spędzając cały dzień na słodkim próżnowaniu.

Innym znów razem odbywano dalekie przejażdżki konne lub kąpano się w morzu. Car lubił wszelkiego rodzaju ćwiczenia fizyczne, był znakomitym wioślarzem, piechurem, pływakiem, cyklistą i tenisistą. Szczególnie gra tenisa należała do jego największych przyjemności, uprawiał ją też z prawdziwą namiętnością. Mógł grać nieprzerwanie w tenisa przez kilka godzin i zachowywał się przy tym bardzo poważnie, jak gdyby chodziło o najważniejszą rzecz na świecie. Przegrana partia mogła go wprowadzić w zły humor, co stawiało jego partnerki, szczególnie Annę Wyrubową, w przykre położenie. Nie znosił też tego, by w czasie gry prowadzono rozmowy, gdyż cały oddany grze, nie chciał, by cokolwiek odwracało jego uwagę. Z wielką przyjemnością uprawiał też polowanie. W dzienniku znajduje się dużo zapisków, dotyczących się najdrobniejszych szczegółów tych polowań, ilości ubitej zwierzyny.

Pobyty na szersach fińskich upływał tak samo spokojnie, jak na Krymie. Na pokładzie jachtu carskiego „Standart” krążono na wodach i zapuszczano się w sieć małych, opustoszałych wysepek; i tutaj tak samo dzień schodził na wycieczkach do lasów, na wiosłowaniu, kąpielach i pływaniu. Rodzina zwiedzała powabne gęstwiny leśne na małych wyspach, urządzała pikniki na wolnym powietrzu, wspinała się po skałach i zbierała różnego rodzaju jagody; pomiędzy jednym a drugim zabawiały się dzieci z marynarzami,

których im w tym celu przydzielono. W późniejszych latach, gdy arcyksiężniczki wyrosły już na młode damy, zawiązywały się między nimi a eleganckimi oficerami załogi małe, niewinne flirciki, a para carska patrzyła na to z dobrodusznym uśmiechem. Wieczorem wszyscy siedzieli na pokładzie dookoła stołu przy herbacie, car z upodobaniem zaciągał się papierosem i wspominał dzieje swojej młodości lub mówił o wydarzeniach małej wagi z całego dnia. Pod wrażeniem tego sielankowego nastroju powiedział raz car w nadmiarze szczęścia, że czuje, iż wszyscy tu zebrani tworzą jedną wielką rodzinę.

Tylko dwa razy w tygodniu ten zaciszny spokój przerywał w przykry sposób kurier, który przynosił carowi stos bardzo ważnych akt, wymagających natychmiastowego załatwienia. Monarcha musiał wtedy dzień albo dwa spędzić przy biurku, aby po załatwieniu spraw państwowych móc znowu powrócić do swoich.

W ten sposób upływało życie pary cesarskiej w równomiernym szczęściu rok po roku, czy to w Carskim Siole, czy w pałacu w Liwadii, czy też na szarach fińskich. Kiedy zaś wybuchła wielka rewolucja i strącony z tronu car z całą rodziną musiał opuścić zamek w Carskim Siole, Aleksandra pisała do swojej przyjaciółki: „Moja kochana, jakżeż niewypowiedzianie ciężko mi jest pożegnać to wszystko, ten tak nam miły, a teraz opustoszały dom, ten dom, w którym spędziliśmy dwadzieścia trzy szczęśliwe lata”.

*

A jednak w owych „dwudziestu trzech latach” najgłębszego spokoju serc zbierała się powoli nad głowami zatopionej w miłości i szczęściu rodzinnym pary carskiej straszliwa zawierucha. Gdy car z niecierpliwością oczekiwał końca przykrych sprawozdań i przyjęć, by natychmiast móc spieszyć z powrotem w ramiona swej ukochanej Alix, gdy w towarzystwie swych dzieci zjeżdżał wśród wesołych śmiechów po spadzistym torze lub szukał grzybów w lesie albo wieczorem na pokładzie jachtu gwarzył z upodobaniem o błahych wydarzeniach dnia, podczas owych partii tenisowych, przejażdżek łodzią motorową i podczas wypraw myśliwskich urastała w ponurą wielkość, milcząco, ale niepowstrzymanie tragiczna dola tej rodziny, razem z będącą z nią w ścisłym związku nieszczęsną dolą całej rosyjskiej krainy. To „szczęście promienne” już od samego początku nosiło w sobie jakby zarazę, zarodek nieuniknionej katastrofy.

Przeznaczenie rzuciło swój ponury cień nawet na miłość tych dwojga ludzi, którzy pochłonięci uczuciem, nie widzieli świata poza sobą, ba, może nawet duch zagłady nad niczym innym w ich życiu nie zawisł tak ciężko i groźnie jak nad tą drobnomieszczańską, upływającą bez zdarzeń, spokojną sielanką małżeńską. Może ta zupełna „beztroska” już sama była nieszczęściem, a może okrutny los sobie zadurzył i nasłał zgubę pod zdrażliwą maską szczęścia.

Nieprzerwany łańcuch tragicznych wypadków, jak wojny, nie-

szczęścia, choroby, mordy i inne katastrofy, zagrażał od samego początku aż do strasznego końca tej małomieszczańskiej „sielance rodzinnej” w Carskim Siole. Za pozorną beztroską tych wszystkich ludzi czaił się ciągły, dręczący, nieustanny strach; pod wpływem ciągłej obawy przed coraz nowymi ciosami losu car i carowa już za wczesnej młodości popadli w melancholię. Car, z dawna oddany zabobonom, od czasu wstąpienia na tron miał zawsze dręczące uczucie, że nie potrafi żadnego przedsięwzięcia doprowadzić do skutku, urodził się przecież w dniu wielkiego męczennika Hioba. Zresztą już sto lat temu przepowiedział święty, czyniący cuda mnich i prorok Serafim z Sarowa, że za panowania cara będącego przy władzy na początku XX wieku nawiedzą państwo nieszczęścia różnego rodzaju, jak nędza, wojna i bunty. Car Mikołaj wierzył w tę przepowiednię i do każdej sprawy zabierał się z nieufnością, obawą i niepewnością. Już wypadki z jego wczesnej młodości utwierdzały go w tej posępnej wierze w nieuniknione fatum; gdy był w wieku chłopięcym, ocieniała go śmierć jego dziadka, cara Aleksandra II, rozszarpanego przez bombę. 16 Mord ten przyspieszył wstąpienie na tron cara ojca Mikołaja, jego samego zaś uczynił cesarzowi-czem, tak że już pierwszy jego występ jako następcy tronu był związany z krwawą zmorą strasliwej zbrodni.

Kiedy natomiast szczęśliwa miłość zaczęła się carewiczowi uśmiechać, wyłoniły się natychmiast sprawy o bardzo przykrych skutkach. Młoda księżniczka heska, Alix, której z całą tęsknotą pragnął za żonę, od pierwszej chwili nie spodobała się jego matce 17. Stara carowa dokładała też wszelkich starań, by nie doszło do zaręczyn. Dopiero cztery lata po wizycie księżniczki w Rosji, w obliczu umierającego cara, stopniał opór carowej, a Alix, zaproszona na Krym do pałacu, została przez ciężko

chorego Aleksandra III oficjalnie przyjęta i uznana jako synowa i następczyni tronu. Ale młoda para nie miała nawet dość czasu, by się cieszyć swym szczęściem. Aleksander III nieoczekiwanie prędko zmarł, a ślub młodego cara przypadł na sam czas uroczystości żałobnych odprawianych na cześć jego ojca. Już ostatnie tygodnie narzeczeństwa upływały w przykłej atmosferze domu, gdzie na górze, nad pokojami narzeczonych, stary monarcha oczekiwał śmierci. Po jego zgonie młoda para, zabrawszy ze sobą trumnę, jeździła z jednego nabożeństwa żałobnego na drugie, przez całą Rosję.

„Dzisiaj długo rozmawiałem z wujem Włodzimierzem”, pisze wtedy car w swoim dzienniku, „czy ślub mój po obrzędach pogrzebowych odbyć się ma publicznie czy też prywatnie. Potem nadszedł kurier, a ja załatwiałem akty, aż do wieczora. Po nabożeństwie żałobnym wyjechałem z Alix na spacer, ale już o wpół do siódmej rozpoczęła się bolesna ceremonia, poniesiono ciało drogiego ojca do wielkiego kościoła; kozacy nieśli trumnę na marach. Już po raz trzeci jestem w tym kościele na nabożeństwie żałobnym. Gdyśmy wrócili do pustego pałacu, byliśmy całkiem złamani. Bóg nas ciężko doświadczył!”

Potem rozpoczęła się długa podróż, a każda jej stacja oznaczała nowe uroczystości żałobne, o których car opowiada w swym dzienniku:

„Zatrzymaliśmy się w Borkach i Charkowie, gdzie odbywały się uroczystości żałobne...”

„W Moskwie wynieśliśmy trumnę z pociągu do powozu żałobnego. Na drodze do Kremla zatrzymaliśmy się dziesięć razy, ponieważ przed każdym kościołem odspiewywano litanie. Trumnę wystawiono w katedrze Archaniola; po nabożeństwie żałobnym odprawiałem modlitwy przed relikwiami świętego w katedrze Przemienienia Pańskiego i w Czudowskim klasztorze...”

„Na stacji Obuchowo wsiedliśmy z powrotem do pociągu przeznaczonego dla gości żałobnych i przybyliśmy o dziesiątej do Petersburga. Bolesne było spotkanie z krewnymi, była szaruga i odwilż...”

„Po raz drugi musiałem przejść żałobę i zmartwienie, które nam 20 grudnia los wymierzył. O wpół do jedenastej rozpoczęło się nabożeństwo, odprawiane przez arcybiskupa, potem poświęcono ciało drogiego, niezapomnianego ojca i oddano je ziemi”.

„Tak wyglądał mój wjazd do Rosji”, opowiadała później Alix. „Nasze gody weselne wydawały mi się być dalszym ciągiem uroczystości żałobnych, z tą tylko różnicą, że na miejsce czarnej sukni nosiłam teraz białą!” Młoda carowa była od swego pobytu w Rosji nie lubianą, ba, znienawidzoną cudzoziemką. Silna niechęć do „Niemki” wyszła od starej carowej Marii Fiodorowny i szerzyła się wśród wszystkich kół dworu; ta ogólna oziębłość utrzymała się, nawet gdy już Alix była carową. Wprawdzie starała się ona wszelkimi siłami zdobyć sobie sympatię teściowej i dworu, ale każdy wysiłek w tym kierunku rozbijał się o uprzedzenia innych i o jej nieśmiałość i nieporadność. „Młody car”, mówiła, „zbyt

był zajęty wypadkami, by móc się mnie poświęcić, sama zaś nie umiałam sobie dać rady z braku śmiałości, zupełnie osamotniona i przygnieciona wielkością zbyt silnych wrażeń".

Wkrótce obok dworu młodej pary monarszej wytworzył się wokół carowej-matki drugi dwór, skąd też wzięło początek i szerzyło się nieżyczliwe nastawienie wobec Aleksandry Fiodorowny. Starsze damy dworu z księżną Oboleńską i hrabiną Woroncow na czele, zawsze miały coś do zarzucenia zachowaniu młodej carowej i puszczały o niej w obieg coraz to nowsze plotki i wszelkimi siłami starały się tej samotnej, nieporadnej, młodej kobiecie jak najwięcej dokuczać. W swych listach z owego czasu carowa często się żali na to osamotnienie: „Czuję się całkiem osamotniona i jestem zrozpaczona...”

Gdy carowa wyjechała raz zjedną ze swych dam dworu, zbliżył się pewien żebrak do jej powozu i wyciągnął rękę po jałmużnę; carowa wręczyła mu jakiś datek, a on uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

„To jest pierwszy uśmiech, który w Rosji napotykam”, zauważyła ze smutkiem carowa do swej towarzyszki.

Od zimna, ziejącego z otaczającego ją dworu, uciekała młoda kobieta tam, gdzie mogła się czuć bezpieczną, a więc do swego męża, do swego własnego domu. Ale także tutaj nie zaznawała niezamąconego, czystego szczęścia rodzinnego, tutaj nawet spotkać ją miał najgłębszy ból w jej życiu! Car życzył sobie namiętnie syna, kraj spodziewał się następcy tronu, ale ona raz po raz wydawała na świat same córki. Ciche wyrzuty teściowej, otoczenia, ba, nawet całego kraju, sprawiały jej coraz większe zmartwienie, ugiwała się pod nimi, jak gdyby jej dowiedziono, że jest niezdolna do spełniania obowiązków carowej; dopiero w czasie krwawej

wojny rosyjsko-japońskiej spełniło się to, na co wszyscy z utęsknieniem czekali. 30 lipca 1904 carowa powiła syna Aleksandra. Niezmiernie szczęśliwy car wpisał tego dnia do dziennika: „Niezapomniany, wielki dzień, w którym mi Bóg wspaniałomyślnie użył Swej łaski. Kwadrans na drugą wydała Alix na świat syna, którego nazwaliśmy przy chrzcie Aleksiejem. Jeszcze przed południem odebrałem sprawozdanie Kokowcowa 18 i przyjąłem na audiencji rannego oficera artylerii Klepi-kowa, następnie udałem się do Alix, by razem z nią spożyć śniadanie. Pół godziny później miało miejsce radosne wydarzenie”.

„Nie mam słów, by jak przystało, podziękować Panu za pociechę w tych ciężkich próbach. Droga Alix czuła się bardzo dobrze; o piątej godzinie udałem się z dziećmi na uroczyste nabożeństwo, gdzie też zastałem całą rodzinę...”

Od tego czasu radość i troska o małego synka wypełniały życie rodziców; następca tronu wyrastał na zachwycającego i miłego chłopca, o lokach koloru blond; para monarsza i otoczenie podziwiali go. Ciągłe na nowo przeżywając to szczęście, obserwowali jego pierwsze ruchy, kroki, igrania, słuchali wychodzącego z jego drobnych usteczek pierwszego szczebiotania.

Wkrótce atoli musieli z przerażeniem skonstatować, że ich „jedyne skarby” — jak zwykł nazywać car swego synka w dzienniku — że ten mały, radośnie uśmiechnięty chłopczyk nosi w ciele zarodek ciężkiej, nieuleczalnej choroby. Najmniejszy nieostrożny ruch mógł go o śmierć przyprowadzić, gdyż tak tęsknie oczekiwany i później za życia ubóstwiany malutki Aleksiej cierpiał na hemofilię, na „krwawiaczkę”, przy której każda, chociażby najmniejsza rana mogła spowodować śmierć. Ilekroć trącił o coś nieco silniej ramieniem lub nogą, następował natychmiast wewnętrzny wylew krwi, połączony z sinego koloru obrzękiem i silnymi bólami; życie tego troskliwie strzeżonego i chowanego małego carewicza stało się w ten sposób nieprzerwanym pasmem udręczeń, a dla otoczenia ustawicznym źródłem niepokoju.

Rodzice nieszczęśliwego dziecka usiłowali tysiącem różnych upominków ulżyć mu wedle możliwości w przykrościach, jakie pociągała za sobą choroba, i starali się, by zapomniał o tym, że nie wolno mu uprawiać zabaw, uprzyjemniających życie innym dzieci w jego wieku.

Najbardziej kosztowne i drogocenne zabawki znajdowały się w jego pokoju w niezmierzonej ilości; wielkie pociągi, gdzie w poszczególnych przedziałach miejsca podróżnych zajmowały lalki, nasypy kolejowe, budynki stacyjne, budki strażnicze, lśniące lokomotywy i cudowne tarcze; całe bataliony ołowianych żołnierzy, modele miast z kościelnymi wieżami i kopułami, pływające małe modele okrętów, zupełnie urządzone miniaturowe fabryki z lalkami jako robotnikami i starannie z natury kopiowane kopalnie ze zjeżdżającymi i wyjeżdżającymi górnikami. Wszystkie te zabawki miały mechanizm napędowy i wystarczyło, by carewicz nacisnął na guzik, i już poruszali się robotnicy, okręty wojenne pędziły w swym

basenie tam i z powrotem, małe dzwony kościelne w miasteczku dzwoniły, a żołnierze posuwali się w marszu.

Ale na nic się zdały te piękne i doskonałe zabawki. Mały Alek-siej siedział w samym środku między nimi, wciąż strzeżony przez wiernego marynarza Derewenkę, który nieustannie dawał baczność, by chłopak ramieniem lub nogą nie wykonywał jakiegoś niebezpiecznego ruchu. Nigdy nie wolno mu było, wzorem innych dzieci, biegać, skakać, stale następowały upomnienia: „Aleksiej, ostrożnie, nie zrób sobie tylko nic złego!”

Małemu chłopcu było strasznie ciężko wciąż spokojnie siedzieć, a przecież bardzo chętnie zamieniłby wszystkie swe drogocenne zabawki na jeden jedyny dzień swobodnych, nie hamowanych, szalonych wybryków. Tylko raz, jeden jedyny raz, tak całkiem dowoli wybrykać się, nie słysząc upominającego głosu Dcifwcnki: „Aleksiej, ostrożnie, uważaj!”

Bardzo często przychodził mały carewicz do matki i prosił o różne rzeczy, a matka z ciężkim sercem musiała odmawiać. „Podaruj mi rower, mamó”, a carowa musiała na to odpowiedzieć: „Wiesz przecież, Aleksiej, że to dla ciebie bardzo niebezpieczne!”

„Ja także chciałbym nauczyć się gry w tenisa, jak siostry!”

„Wiesz, że nie wolno ci grać!”

Na to dziecko płakało i wołało w rozpacz:

„Dlaczego ja nie jestem takim jak wszyscy inni chłopcy?”

Niekiedy jednak trudno było hamować naturalny pęd do ruchu, chłopak zrobił kilka szybkich kroków lub wykonał jakiś nierozważny ruch i już nieszczęście było gotowe. Krwawił i żadnym sposobem nie można było zatamować krwawienia. Daremne były trudy najlepszych lekarzy stolicy, bezskuteczne wszelkie środki, jakimi wiedza rozporządzała.

Boleśnie jęcząc, leżał wówczas carewicz na łóżku, a bezsilni rodzice musieli na to patrzeć, jak śmierć niepowstrzymanie zbliża się do chłopca. Wtedy w małej kapliczce cesarskiego pałacu odprawiano rozpaczliwe modły błagalne, dopóty, dopóki raz jeszcze nie dokonał się cud i umierający prawie chłopak nie został znów uratowany.

W tym samym czasie, kiedy nieszczęście rozgościło się w rodzinie carskiej i rzucało swe cienie na sielankę w Carskim Siole, kształtowało się widmo wielkiej katastrofy, przygotowującej się przez cały czas tych „dwudziestu trzech szczęśliwych lat”.

Zacząło się to na uroczystościach koronacyjnych w Moskwie. W najbardziej uroczystej chwili doszło do jednego z najstraszniejszych nieszczęść wszystkich czasów. Na polach Chodunki czyniono na polecenie młodego cara w myśl prastarego zwyczaju przygotowania do „ugoszczenia narodu”; tysiącami maszerowały w to miejsce tłumy z bliska i z daleka, by raz, w ten dzień uroczysty, być „gośćmi cara”. Wśród radosnych okrzyków tłoczyły się, coraz bardziej wzrastając, tłumy dookoła zastawionych przysmakami stołów, aż nagle, w przeciągu kilku sekund, ta pozornie wesoła scena zamieniła się w obraz grozy. Lekkomyślni urzędnicy kazali dla wyrównania pola pokryć szeroki i głęboki rów deskami, ale pod naporem tłumów deski te pękły i tysiące ludzi wpadały do dołu, a tymczasem w tyle stojący, nie domyślając się niczego, dalej napierali i spychali wciąż nowe masy ludzi. W krótkim czasie cały wielki rów pełen był rozpaczliwie o życie walczących i tratujących się wzajem ludzi, przedstawiających jedno wielkie przewalające się i oszalałe ze strachu kłębowisko ludzkie. Te uroczystości koronacyjne kosztowały trzy tysiące ofiar, a policja była przez kilka godzin zajęta usuwaniem trupów.

Lud, wspominając wstąpienie na tron Mikołaja II, łączył je zawsze z ową katastrofą i aczkolwiek sam car nie ponosił w tym wypadku bezpośrednio winy, wydarzenie to jednak było pierwszym zarodkiem nienawiści do niego, gdyż doradcy młodego cara ukrywali przed nim pełnię znaczenia tych wypadków na polach choduńskich i doradzali, by nie przerywać przewidzianych w planie uroczystości. Nieodpowiedzialna rada była nie do wybaczenia, a młody car nie miał odwagi sprzeciwić się i tańczył z swą żoną na uroczystym balu dworskim, gdy za miastem nie zebrano jeszcze wszystkich trupów. Ta pozorna obojętność w stosunku do zdarzenia, które

całą Moskwę pogrążyło w najgłębszej żałobie, musiała oczywiście budzić wrażenie braku serca, ba, wskazywać na drażniącą pychę, toteż od tego czasu Mikołaj nie był już, szczególnie w Moskwie, „szczerze lubiany”. Niewiele tygodni później zdarzyła się przy sposobności innej uroczystości na cześć cara nowa katastrofa. W oczach cara utonął uroczyście przystrojony okręt z trzystu widzami, przy czym tylko kilku ludzi zdołano uratować. Te złowróżbne wydarzenia przy wstąpieniu na tron i przy koronacji dały początek całemu szere-

gowi krwawych wypadków; ciągle na nowo nawiedzało cara nieszczęście w stu rozmaitych obrazach i wariantach.

Wszelkie rozporządzenia Mikołaja, chociażby w najlepszej myśli wydane, źle się kończyły, jak gdyby zawisło nad nim jakieś nieuchronne fatum.

Mogło to stąd pochodzić, że car w ciągłej obawie przed nowym nieszczęściem nie miał odwagi energicznie i otwarcie dążyć do celu, lecz jak Witte 19 się wyraża, „obierał boczne ścieżki i tymi ścieżkami zmierzał do tego samego celu, do brudnego bagna lub krwawej kałuży”.

Ludzie bez uprzedzeń, mężowie stanu, którzy pod niejednym względem krytycznie się doń odnosili, zapewniają, że Mikołaj żywił jak najlepsze zamiary i wedle sił starał się służyć swojemu krajowi. Jak jednak Rosja w rzeczywistości wyglądała, opisuje Lew Tołstoj w roku 1902, w obliczu bliskiej śmierci, w liście do cara:

„Nie chciałbym umrzeć”, pisze hrabia Tołstoj do cara, „zanim Mu nie powiem, co myślę o Jego dotychczasowych rządach, jakimi one według mego przekonania być powinny, ile by dobrego mogły zdziałać dla milionów ludzi i Samego Cara i ile złego mogą przynieść, jeśli się je nadal w tym samym duchu co obecnie będzie sprawowało. Trzecia część Rosji znajduje się w stanie tak zwanym «wyjątkowym», co właściwie oznacza zupełne bezprawie. Liczba tajnej i jawnej policji wciąż wzrasta; więzienia, miejsca wygnania i domy poprawcze Syberii są przepelnione setkami tysięcy nie tylko zwyczajnych zbrodniarzy, lecz także więźniów politycznych, do których teraz i robotników się zalicza. Cenzura zabrania wszystkiego z samowolą, jakiej nie było nawet w najgorszych czasach lat czterdziestych. Nigdy jeszcze prześladowania religijne nie były tak częste i okrutne jak teraz i stan ten jeszcze wciąż się pogarsza. W miastach i

wielkich centrach przemysłowych ściąga się wojska, które wysyła się z bronią nabitą przeciwko ludności. W wielu miejscowościach doszło już do bratobójczego rozlewu krwi, robi się przygotowania do dalszych walk, które niechybnie się odbędą. Rezultatem tej nieludzkiej administracji jest fakt, że stan włościański, a więc owe sto milionów ludzi, na których opiera się potęga Rosji, z każdym rokiem coraz bardziej ubożeje, a głód stał się u nas regularnym i wręcz normalnym zjawiskiem..."

Ten car, marzący o tym, by przejść kiedyś do historii jako apostoł powszechnego pokoju, spowodował swoją niepewną

i chwiejną polityką dwie największe kolejno po sobie następujące wojny dwudziestego stulecia albo też za mało dokładał starań, by ich wybuchowi zapobiec. Do wojny z Japonią skłonili go ambitni doradcy, ministrowie z utęsknieniem wyczekujący „małej zwycięskiej wojenki”, by odwrócić ogólną uwagę od sytuacji wewnętrznej, będącej nic do utrzymania. I doczekał się car, że wyprawa wojenna, traktowana z początku z lekceważeniem, przynosiła jedną klęskę po drugiej, że najlepsze pułki rosyjskie zaścielały swymi trupami pola Mandżurii, a dumna flota wojenna została zniszczona pod Czuszimą.

Zanim jeszcze skończyła się ta straszna wojna, nawiedziły Rosję nowe nieszczęścia; wojna domowa była u progu, w różnych okolicach wybuchały bunty i rewolty, a nawet sam tron zdawał się być poważnie zagrożony. Początek tym okropnościom dała rzeź pod oknami cara.

Wygłodniali, niezadowoleni robotnicy, prowadzeni przez księdza Gaponą, wyruszyli pod Pałac Zimowy, by w największej pokorze przedłożyć swe prośby carowi. Demonstranci, ożywieni jak najbardziej pokojowymi zamiarami, nieśli przed sobą ikony i portrety cara, mimo to kazał komendant wojskowy bez uprzedniego ostrzeżenia przyjąć ich salwą karabinów i setki ludzi utraciły przy tym życie.

Od tego dnia począwszy, odczuwał lud głęboką nienawiść do cara, którego też odtąd nazywał „krwawym”. Mnożyły się rozruchy, buntowały się masy na obszarach olbrzymiego państwa rosyjskiego, a zamek carski przypominał obleganą twierdzę. Nieprzerwanie następowały po sobie rewolty i rzezie zarówno w Petersburgu i Moskwie, jak i w Warszawie, Kijowie* Odessie, jako też w nadbałtyckich prowincjach i w Kronsztadzie. Morze krwi się wylało, zanim udało się ministrom cara stłumić rewolucję.

Jeszcze więcej krwi się polało po zupełnym jej zgnieceniu. Sądy nadzwyczajne wydawały setkami wyroki śmierci, ekspedycje karne wysyłane do buntowniczych prowincji wycinały w pień mieszkańców całych wiosek, a domy ich puszczały z dymem.

Odtąd jednakże żyła carska rodzina w ciągłej obawie przed zamachami, bombami i piekielnymi maszynami. Po każdej ze swych „beztroskich” przejazdów morskich carowa, żegnając się ze swym orszakiem, mówiła zwykle: „Pięknie było, może to ostatni raz!” Car i carowa nie byli ani przez chwilę pewni swego życia, o każdej godzinie mogła ich śmierć zaskoczyć.

Jeden minister po drugim padał ofiarą zamachów. W przededniu rewolucji zginął od bomby na dworcu w Warszawie minister spraw wewnętrznych Plehwe, a razem z nim siedem osób z jego orszaku. W krótkim czasie potem padł również od zamachu wuj cara i zarazem szwagier carowej, wielki książę Sergiej Aleksandrowicz. Był on generał-gubernatorem Moskwy i z powodu nieubłaganej surowości i okrucieństwa pałała doń ludność wściekłą nienawiścią. Żona jego, wielka księżna Elżbieta Fiodorowna, siostra carowej, przeczuwała nadchodzące nieszczęście i starała się męża swego nigdy z domu nie puszczać samego. Pewnego jednak dnia usłyszała dochodzący z ulicy huk eksplodującej bomby; w przeczuciu czegoś strasznego, wybiegła natychmiast na ulicę i wpadła na straszliwie okaleczone, leżące w kałuży krwi ciało swego męża.

Elżbieta Fiodorowna kochała swojego męża, kapryśnego despotę o cechach szaleńca, toteż po jego straszliwej śmierci usunęła się do klasztoru w pobliżu Moskwy. Z piękną swą i poważną twarzą robiła w habitcie zakonnym wrażenie Madonny, a jej pełna wdzięku, wysmukła postać pod białym, falującym welonem była wzruszająca i zarazem uwodzicielska. Jeśli niekiedy przy szczególnych okazjach opuszczała klasztor i przybywała na dwór petersburskich, stale wzbudzała uczucia podziwu i pokornej czci, a jej jasne, niewinne spojrzenie, regularne rysy twarzy i miękki, lekki sposób chodzenia czyniły z niej po prostu dobrego ducha carskiej rodziny 20.

W niedługi czas potem wydarzyła się w najbliższym otoczeniu cara katastrofa, która prawie że kosztowała życie jego najdzielniejszego doradcę, prezydenta ministrów, Stołypina²¹. Stołypin spędzał wówczas lato na t/w. „wyspie aptekarzy”, leżącej w pobliżu stolicy, i pewnego dnia

za pomocą maszyny piekielnej wysadzono dom jego w powietrze. Było przy tym około czterdziestu zabitych i rannych, sam Stołypin jakby cudem jeszcze tym razem uszedł z życiem; ale córka jego została na zawsze kaleką.

Los atoli udzielił Stołypinowi tylko krótkiej zwłoki; w roku 1911, zginął w obecności cara na galowym przedstawieniu w teatrze w Kijowie.

To wszystko tworzyło posępne tło dla przeszłych i przyszłych katastrof.

Dla wojen, buntów, egzekucji i mordów, od których dziwnie odbijała „sielanka w Carskim Siole”. Tutaj pędzono spokojne życie w jasnym świetle małomieszczańskiego zadowolenia.

Car grywał w bilard, carowa w pogodzie ducha zabawiała się ze swą przyjaciółką Anią, dzieci zajmowały się robótkami ręcznymi, wystawiano komedie, urządzano bale domowe. Tam natomiast, niejako na drugim planie, pożary i salwy karabinowe po miastach, długie sznury skazańców na drogach do Sybiru, więzienia podziurawione kulami trupy muzyków i ministrów.

Gdy w pokoju, przyległym do apartamentów carowej, rozbrzmiewał cichy, wabiący gwizd jak tęskny krzyk ptaka, tam na dalekich polach Mandżurii, mieszały się jęki umierających żołnierzy z ogłuszającym hukiem armat. Car w największym spokoju grywał w tenisa i rzadko kiedy przepuszczał piłkę, w tym samym jednak czasie na wodach chińskich tonęły okręty z tysiącami dzielnych marynarzy.

Wyglądało to na frywolną prowokację, gdy car pośród tych wszystkich okropności prowadził dalej życie bez najmniejszej troski, gdy wyjeżdżał na polowania lub na spacer, gdy grywał w tenisa, pływał lub wiosłował. Po części przypisywał lud tę dziwną obojętność cara wobec wszelkich nieszczęść zupełnemu brakowi uczuć i serca. Niejeden z dworzan, ministrów i ambasadorów mógł podawać konkretne wypadki, gdzie car okazywał właśnie ten dziwny brak zrozumienia dla kłopotów i cierpień swoich poddanych.

Ujawniło się to po raz pierwszy już przy nieszczęsnych uroczystościach na polach choduńskich, gdy car, nie odwołując zabawy, sam brał w balu udział. Gdy 14 maja 1905 roku nadeszła wiadomość o zupełnym zniszczeniu floty rosyjskiej pod Czuszimą, car właśnie grał w tenisa.

Otworzywszy depezę, powiedział: „Co za straszne nieszczęście!” i dalej grał. Ten sam spokój okazywał, gdy zamordowano Plehwego, jego wuja, a

także później, gdy w je-go oczach zginął Stołypin.

Dziennik Mikołaja II również potwierdza wrażenie, jak gdyby carowi w ogóle brakowało wszelkiego zrozumienia dla poważnych wydarzeń. W kilku tylko słowach napomyka w swoim dzienniku o najbardziej doniosłych; tego rodzaju sprawy nie zajmują tam więcej miejsca niż uwagi o nic nie znaczących wydarzeniach dnia. W przeciwieństwie do szczegółowych sprawozdań i zdobyczach z polowań, o wycieczkach i spacerach traktuje car najważniejsze z czasów jego panowania bardzo powierzchownie. Szczególnie relacje o przebiegu wojny z Japonią są w dzienniku cara bardzo rzadkie, jak gdyby wprost starał

się unikać zajmowania się tym tak przecież poważnym tematem. Tu i ówdzie zaznacza wprawdzie, że dręczą go niepomyślne wiadomości z Dalekiego Wschodu, ale już za chwilę znowu przechodzi do bardziej przyjemnych rzeczy i opowiada o przejażdżkach, o pogodzie i o mile spędzonych wieczorach ze swoją Alix.

W rozstrzygającym dniu bitwy pod Czuszimą pisze car: „Ciagle nadchodzą dręczące i sprzeczne ze sobą wiadomości o nieszczęsnej bitwie pod Czuszimą. Przyjąłem trzy sprawozdania, później poszliśmy na spacer. Pogoda cudowna, a przy tym gorąco. Piliśmy herbatę i jedliśmy na balkonie. Wieczorem przyjąłem Bułygina i Trepowa, którzy u mnie długo przebywali”.

Także rewolucja zostawiła mało śladów w jego dzienniku. Tu i ówdzie wypowiada car swe oburzenie z powodu braku dyscypliny wojskowej, szczególnie gniewa go bunt na pancerniku „Potiom-kin”, w kilku obojętnych słowach napomyka o rzezi pod Pałacem Zimowym, a potem znowu zajmują najwięcej miejsca szczegóły z polowań i wycieczek. Gdy car musiał być z dala od rodziny, dręczyła go jednak odpowiedzialność, osaczały wyrzuty, obowiązki, niebezpieczeństwa. Musiał słuchać skarg niewinnie pokrzywdzonych, dowiadywał się o nieszczęśliwych wypadkach i klęskach, mordowano na jego oczach ministrów, w uszach brzmiały mu jęki umierających muzyków, huki salw karabinowych i eksplodujących bomb; jak długo jednak przebywał u swej Alix i słuchał jej i Ani muzyki na cztery ręce, wszelkie rozterki i troska tonęły w tej muzyce.

A w pokoju dzieci, czaiła się ukryta gdzieś za zabawkami carewicza, śmierć, gotowa w każdej chwili skoczyć i porwać dziecko. Jak długo

uśmiechnięci rodzice patrzyli na bawiące się dziecko, wiedzieli, że Aleksiej jest bezpieczny i żadne nieszczęście nie może go dotknąć. Te szczęśliwe chwile w najbliższym kółku rodzinnym były dla nich czymś jedynie czymś stałym pośród nawału niebezpieczeństw i grożących katastrof.

W ten sposób „słoneczna sielanka w Carskim Siole” tworzyła pełne smutku schronienie dla biednych, udęczonych, zalęknionych i trzęsących się ludzi, była niejako słabą próbą zapanowania nad okrutnym, nieuchronnym losem, sposobem lekceważenia go.

Dopóki Mikołaj i Aleksandra obracali się w tym „magicznym kręgu”, byli pięknymi, wesołymi, dobrymi i miłymi ludźmi. Mający dostęp do ich zamkniętego kółka rodzinnego podziwiali pięk-

ność carowej, wesołe i naturalne spojrzenie cara i ze szczerym entuzjazmem wyrażali się o zachwycającym usposobieniu tych dwojga ludzi. Kto ich jednak widział poza kółkiem rodzinnym lub stykał się z nimi na przyjęciach, uroczystościach i przy innych oficjalnych okazjach, ten, ulegając czarowi pozorów, natychmiast poznawał, że ma przed sobą dwoje nieśmiałych, lękliwych i wiecznie zaambarasowanych ludzi.

Zapewne każdy musiał przyznać, że smukła postać i piękna twarz carowej robiły wielkie wrażenie, że car był ujmujący w obejściu, miły i świadomy swej godności; zarazem jednak czuło się, że wyniosła postawa Aleksandry jest wymuszona i nieszczerą, a miły uśmiech cara sztuczny i wypływający z nieśmiałości.

Francuski ambasador na dworze petersburskim, Paleologue, miał często sposobność oglądania pary cesarskiej na galowych przyjęciach; widział wtedy, jak carowa w czasie rozmowy osłupiałym wzrokiem wpatrywała się jakby w próżnię, jak uśmiechniętą jej twarz wykrzywiały kurcze lub ukazywały się na niej i znikwały na przemian dziwny lękliwy rumieniec i ziemista bladość. Sine jej wargi były obrzmiałe, ciężko dyszące piersi wznosiły się i opadały, a zwieszająca się z szyi brylantowa kolia poruszała się w takt za tymi ruchami. „Aż do zakończenia biesiady, trwającej zresztą dość długo, walczyła biedna kobieta i histerycznym uczuciem strachu. Dopiero gdy oczy jej spoczęły na carze, który właśnie wstawał od stołu, rysy jej twarzy wygładziły się". Tymi uwagami, kończy Paleologue swe sprawozdania.

Wszystkim obcym natychmiast wpadała w oczy jej nieśmiałość i niezaradność; cechowały ją one już w młodości i nigdy nie zdołała ich przemóc. Nawet sam Aleksander Tanajew, wiernie oddany zarządca

posiadłości dworskich, nie mógł się nadziwić, gdy przy okazji zdania pierwszej relacji przed młodą carową, upuścił przez nieuwagę na ziemię kilka akt, a carowa, zmieszana, schyliła się podniosła mu je z ziemi. Także w rozmowie była carowa nieśmiała i niepewna, tak że często utykała w środku zdania i jękając się, nie mówiła dalej. Nieporadne jej wystąpienia wywoływały szydercze uwagi dworzan i niejeden z nich nazywał ją ironicznie „mieszczką niemiecką”, robiąc tym złośliwą aluzję do księstwa heskiego, o którym w Rosji wyrażano się z wielkim lekceważeniem.

Często jednak zapisywano jej zakłopotanie na karb dumy i pychy. Nie potrafiła się zdobyć na swobodę i uprzejmość, a dwór poczytywał jej to za oziębłość i wyniosłość. Byli nawet tacy, którzy zaprzeczali jej piękności, twierdząc, że ma zbyt tęgą postać i nieciekawą twarz, a w całym swym usposobieniu jest zgoła niezajmu-jąca. Ta lodowata niechęć spotykająca ją na każdym kroku, musiało to naturalnie zwiększać jej skrytość i lękliwość, toteż czuła się zawsze nieszczęśliwą i osamotnioną, kiedykolwiek była zmuszona opuszczać kółko swej najbliższej rodziny. Tylko na łonie rodziny odstępowała ją ta ciężka zmora, tylko tam odzyskiwała pogodę umysłu, szczerłość i uprzejmość w obejściu.

Także charakter cara, aczkolwiek całkiem różny od jej charakteru, wykazywał jednak podobne cechy. I on był w głębi duszy lękliwy i słabej woli, i on czuł wstręt do oficjalnych uroczystości, jemu też przypisywano pychę i nieszczerłość. Car Mikołaj II dostał się niejako w ciągu jednej nocy wskutek nagłej śmierci swego ojca na tron i był z tego powodu za mało przygotowany do trudnych zadań. Toteż w pierwszym okresie swego panowania w zupełności zawierzył radom swoich doświadczonych krewnych i szczególnie na samym początku znajdował się pod silnym wpływem swej energicznej, inteligentnej matki. Nie mając pojęcia o sprawowaniu rządów, był niejako w rękach ministrów, co istotne, bo ci ministrowie byli przez długi czas doradcami i powiernikami jego ojca. Z biegiem lat wymarli ministrowie jeden po drugim, śmiercią naturalną czy też gwałtowną, a młody car chcąc nie chcąc musiał sobie obrać nowych ministrów. Przy tym jednak nie tylko brakowało mu zwykłej znajomości ludzi, lecz także w ogóle sposobności do poznania wartościowych. Dziadek jego, Aleksander II, zwykł był wszędzie bywać, także w

prywatnych kołach, i w ten sposób zawierał niezliczone znajomości, przy czym nie wahał się uczynić ludzi, którzy mu się wydawali dzielnymi, bez względu na ich dotychczasowe stanowisko społeczne, swoimi ministrami, natomiast Mikołaj II zupełnie się usunął od wszelkiego życia towarzyskiego i w wyborze swoich doradców zdawał się na swoje najbliższe otoczenie,

Poza tym car z natury nie był człowiekiem silnej woli ani energiczną, świadomą swych celów osobowością. Nie przedstawiał żadnej trudności nakłonienie go do czegoś, ale też nikt nie mógł mieć pewności, że car zostanie przy raz powziętym zamiarze

często się zdarzało, że pozornie w zupełności przekonany, przyjmował projekty ministrów, a już po kilku godzinach wydawał całkiem odmienne zarządzenia. Ten rys charakteru u monarchy był aż nadto dobrze znany ministrom, toteż chwyтали się dziwnych sposobów, by uniknąć niespodzianek. Razu pewnego stary pre-zydent ministrów Goremykin²², powróciwszy do domu z audien-cji, gdzie udało mu się nakłonić cara do wydania niezwykle ważnego rozporządzenia, zarządził surowo, by go pod żadnym warunkiem nie budzono ze snu do następnego dnia. Goremykin słusznie prze-widywał, że car mu tej samej nocy prześle sprzeczne z poprzednim zarządzenie, ale swym surowym zakazem budzenia go osiągnął to, że nikt nie miał odwagi zawiadomić go o przesłanym nowym rozkazie, tak że tymczasem pierwsze rozporządzenie zostało wykonane. Car miał wyraźny wstręt do przykrych i skrupulatnych wy-jaśnień, dlatego też wolał sprawy załatwiać w drodze pisemnej, niic mu nie przeszkadzało, że gdy chciał dać ministrowi dymisję, serdecznie go najpierw przyjmował u siebie i zaraz potem robił mu niespodziankę rozkazem na piśmie, zawieszającym go w urzę-dowaniu. Ten sposób przeprowadzania zarządzeń poza plecami zainteresowanych osób osławił cara jako nieszczerzego.

I tak z latami malało coraz bardziej grono ludzi darzo-nych zaufaniem pary monarszej. Nawet dawnych, zażyłych przyja-ciół rodziny oddalano jednego po drugim, grzecznie, ale stanowczo, taki np. książę Oboleński zaliczał się dawniej, za Aleksandra III, do powierników rodziny i po przedpołudniowym raporcie bywał stale zapraszany do rodzinnego stołu. Dla młodej atoli pary mo-narszej stał się ten stały gość niewygodny i car używał wszel-kich forteli, by zrzucić z siebie obowiązek zapraszania

Oboleń-skiego do swego stołu. Wreszcie znalazł wyjście z tej sytuacji, przyjmując raport księcia w godzinach popołudniowych, wskutek czego odpadała konieczność zapraszania go.

W początkowym okresie po wstąpieniu na tron znajdował się Mikołaj pod silnym wpływem swej rodziny, przede wszystkim „wujka Miszy”, inaczej „wujka Aleksego”; czy „Sandrosa”, bo takie przydomki miał wielki książę Aleksander Michajłowicz. Po nie-długim jednak czasie zaczął car coraz wyraźniej usuwać się spod wpływu tej części rodziny, by przejść na czas dłuższy pod wpływ innej grupy krewnych: byli to wielcy książęta Mikołaj i Piotr Mi-

kołajewicz. tzw. „Mikołajewicze” i ich żony „Czarnogórzanki”. Milica i Anastazja ”.

Te wysokie, piękne, zajmujące kobiety, córki księcia, późniejszego króla Nikity z Czarnogóry, potrafiły w znakomity sposób zdobyć sobie pochlebstwami zaufanie carowej. Poznawszy jej opuszczenie i osamotnienie w tym obcym dla niej i wrogim środowisku, zasypywały ją dowodami miłości, przywiązania i uniozonej czci. W szczególności gdy carowa zapadła na chorobę żołądkową, wykorzystały obie wielkie księżniczki sposobność, by pozyskać jej względy. Usunęły służbę i same objęły opiekę nad chorą, spełniając związane z tym prace wprost z podziwu godnym zapałem.

Przyczyny zachowania się obu księżniczek były aż nadto przejrzyste, gdyż dotychczas „Czarnogórzanki” grały tylko mało znaczące role na dworze carskim, a teraz właśnie widziały sposobność do uzyskania wpływowego stanowiska przy pomocy carowej. Mimo to przyjmowała carowa ze szczerą wdzięcznością te na efekt obliczone dowody miłości i przywiązania. Czarnogórzanki udawały też zainteresowanie dla mistycznych skłonności carowej i przyprowadzały do niej cały szereg „cudotwórców”, „magów” i „świętych mężów”. Wspólnota zainteresowań dla świata nadprzyrodzonego pogłębiła z początku przyjazny stosunek do siebie tych trzech kobiet; po pewnym jednak czasie właśnie ów mistycyzm spowodował zerwanie carowej z „Czarnogórzankami”.

Słabe zdrowie carowej przyczyniło się też do tego, że oficjalne życie dworskie, jak też towarzyskie z innymi członkami rodziny coraz skromniejsze przybierało formy.

Odtąd żyli Mikołaj i Aleksandra zupełnie samotnie w swym pałacu w

Carским Сіоле; carowa poświęcała się wychowaniu dzieci a zwłaszcza swego chorego syna, car natomiast spędzał swój wolny czas na łonie rodziny lub w gronie oficerów ze straży pałacowej Carowa z każdym dniem coraz bardziej stawała się powiernicą swego męża i coraz rzadziej miały miejsca oficjalne przyjęcia lub prywatne wizyty członków rodziny. Car i carowa byli jednak przekonani, że poza domem oczekują ich same niebezpieczeństwa i bolesne rozczarowania i że szczęście da się zachować tylko dopóty, dopóki nie rozerwie się magiczny krąg najbliższej rodziny. Jednemu jedynemu człowiekowi udało się przełamać ten pierścień żelazny, okalający parę monarszą. Była to Anna Aleksandrowna Tanejew, panna nadworna carowej, która szybko zdołała

obie pozyskać zaufanie carowej, w krótkim czasie stała się jedyną jej przyjaciółką. W kilka lat po pierwszym wystąpieniu Ani na dworze uważano ją za należącą do najbliższej rodziny; carowa nazywała ją „naszym wielkim baby”, „naszą córeczką” i zwierzała się jej w zaufaniu ze wszystkich swych kłopotów, trosk i wątpliwości.

Ania była córką dyrektora kancelarii nadwornej, Tanejewa, wysoce dystyngowanego i sumiennego człowieka, który wstąpił się także jako znakomity kompozytor. W wieku dwudziestu trzech lat dostała się na dwór na miejsce chorej panny nadwornej, księżniczki Orbeljani i w czasie jednego z wyjazdów do szerszych fińskich zaprzyjaźniła się serdecznie z carową. Po powrocie z tej wycieczki Aleksandra, żegnając się, zawołała uszczęśliwiona: „Bogu dziękuję, że zesłał mi nareszcie prawdziwą przyjaciółkę!”

Była też Ania rzeczywiście prawdziwą przyjaciółką carowej do samego jej strasznego końca. Ostatnie listy Aleksandry, ostatnie jej słowa miłości były zwrócone do Ani, do samego też końca dokładała Ania nadludzkich starań, by usługiwać swej wysoko postawionej przyjaciółce, wspomagać ją i wspierać, ile tylko było w jej mocy.

Ta kobieta, posiadająca bezgraniczne zaufanie i miłość carowej, była niezwykle dziwną i osobliwą istotą, która zarówno swym charakterem, sposobem życia, jako też całym obejściem znakomicie nadawała się do sielanki w Carskim Siole. W otoczeniu dworaków, zabiegających pochlebstwem i intrygą o swe własne korzyści, pozostawała Ania prawdziwie szczerą i bezinteresowną przyjaciółką. Przez cały czas trwania jej zażyłych stosunków z carską rodziną nie znała innej myśli ani życzenia, jak tylko poświęcać się dla Likołaja, Aleksandry i ich dzieci. Nie

piastowała żadnej godności ani dworskiego urzędu, a materialne zasiłki, udzielane jej przez carową, były śmiesznie małe. Sama nie posiadała żadnego majątku i żyła wprost w złych warunkach materialnych. Czasami tylko udawało się carowej zmusić ją do przyjęcia w podarunku jakiegoś taniego klejnotu lub sukni. „Żaden ulubieniec carów”, konstatuje ze zdziwieniem Paleologue, „nie wyglądał tak skromnie i niepoważnie”. Była poważnej tuszy, o ciężkich i bujnych kształtach, włosy miała gęste, lśniące, dobrze rozwinięty kark, ładną, niewinną twarz różowo przeświecającej cerze, wielkie, uderzająco czyste i jasne

oczy i pełne, mięsiste wargi. Ubierała się zawsze skromnie i w samych tanich klejnotach wyglądała jak mieszcza.

Zraniona w ciężkim wypadku kolejowym, poruszała się przez długi czas tylko o kulach, względnie na fotelu na kółkach.

Anna Tanajew żyła przez krótki czas w nieszczęśliwym małżeństwie z porucznikiem marynarki Wyrubowem, już po roku rozeszła się z mężem, gdyż Wyrubow cierpiał na napady nerwowe, przechodzące w ataki szału. Smutne to przejście pogłębiło jeszcze jej przywiązanie do carowej, ciężko zawiedziona w małżeństwie kobieta tym silniej lgnęła do swej cesarskiej przyjaciółki.

„Wyrubowa”, jak w całej Rosji nazywaną Anię, uchodziła często za niebezpieczną intrygantkę, a szczególnie zagraniczni dyplomaci przedstawiali ją w tym świetle. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że Anna Wyrubowa zajmowała się w wielkim stopniu polityką i pod niejednym względem zaważyła na losach Rosji. Mimo to jej tzw. „intrygi” były zawsze bezinteresowne, mające jedynie na celu dobro pary monarszej. Ania była skromną i pełną ufności kobietą, z całym zapałem wspierającą cara. Była przeświadczona o tym, że dawane przez nią rady służą dobru Rosji i jej monarchy; tak więc „intrygowała” wedle swego przekonania i nigdy, ani przez chwilę nie wpadło jej na myśl, by nadużywać swego wpływowego stanowiska dla własnych celów.

Po swoim rozwodzie z porucznikiem Wyrubowem mieszkała Ania dalej w tym samym małym, skromnym domku, który jeszcze jako narzeczona wynajęła. Nie było prawie dnia, by nie bawiła w pałacu, albo nie przyjmowała carskiej rodziny u siebie. „Domek Wyrubowej” stał się wkrótce najulubieńszym miejscem pobytu dla pary monarszej, gdyż nikt

tam nie przeszkadzał i car, i carowa byli wolni od ciężkich obowiązków reprezentacyjnych; tam mogli się zachowywać z największą swobodą, i bez troski, bez względu na etykietę. W późniejszym czasie nabrał ten domek wysokiego znaczenia politycznego, gdyż w jego pokojach stykali się car i carowa z ludźmi, których nie mogli przyjmować oficjalnie w pałacu. Domek stał na rogu Średniej i Cerkiewnej, oddalony zaledwie o dwieście kroków od carskiego pałacu, tak że car i carowa mogli, nie zwracając nikomu uwagi, pieszo doń się dostać.

Sama Anna Wyrubowa opisuje swoje mieszkanie jako dość

prymitywne i mało wygodne miejsce pobytu. Dom nie posiadał fundamentów, dlatego było w nim bardzo zimno, co szczególnie dawało się we znaki zimą, unosił się wtedy z podłogi prąd zimnego jak lód powietrza. „Carowa podarowała mi do ślubu sześć foteli oraz należące do nich własnoręcznie wyhaftowane okrycia, stoliczek do podawania herbaty i kilka akwareli. Kiedy Ich Cesarskie Mości przychodziły do mnie na herbatę, carowa najczęściej przynosiła owoce i konfitury, car zaś niekiedy flaszkę Cherry Brandy. Siedzieliśmy wtedy przy stole z podciągniętymi do góry nogami, by uniknąć styczności z chłodną podłogą. Ich Cesarskie Mości brały mój prymitywny tryb życia wyłącznie z humorystycznej strony. Siedząc przy rozpalonym kominku, popi-jaliśmy herbatę zagryzając przysmażonymi obwarzankami, które podawał mój służący Berczik, dawny kamerdyner mojego zmar-łego dziadka Tolstoja. Przypominam sobie, jak car raz z uśmie-chem powiedział, że po takich wieczorkach potrafi się rozgrzać dopiero w gorącej kąpieli”.

Ten właśnie skromny tryb życia Wyrubowej podnosił w oczach pary cesarskiej jej wartość. Aleksandra i Mikołaj czuli, że tu po raz pierwszy natknęli się na rzeczywiście bezinteresownego człowieka, i pojęli, jak bardzo należy cenić tak rzadką za-letę. Z czasem stała się Ania jedynym towarzyszem carskiej ro-dziny, na skutek bowiem rosnącej wciąż nieufności cara coraz więcej urzędników nadwornych zwalniano ze służby.

*

Jakżeż smutny widok przedstawiał teraz dwór Mikołaja i Ale-ksandry w porównaniu z pełnymi chwały czasami dawniejszych władców! Dawniej dwór carów znacznie przyćmiewał swym prze-pychem i ożywionym życiem towarzyskim i politycznym niejedną z wielkich stolic

europojskich; poprzedni carowie Rosji otaczali się stale najznakomitszymi mężami stanu, najdzielniejszymi dyplomatami i najsprytniejszymi intrygantami swojego czasu; w otoczeniu cara układano najbardziej wyrafinowane intrygi, staczano wielce dowcipne walki polityczne i dokonywano śmiałych zamachów państwowych.

Wielobarwny korowód przeróżnych postaci ożywił wtedy rezydencję petersburską. Wielcy książęta i wielkie księżniczki, licz-

ni książęcy wujowie, ciotki, kuzynowie i kuzynki panującego cara, którzy zależnie od stopnia pokrewieństwa mniej lub więcej wywierali wpływ na cara, dumni spadkobiercy starych nazwisk szlacheckich ze swymi przeróżnymi ambicjami; na audiencję powołani ministrowie w galowych, złotem haftowanych strojach, udekorowani wodzowie, dostojnicy kościelni ze złotymi krzyżami na piersiach, kurierzy i adiutanci przynoszący i odnoszący ważne wiadomości; wieniec dam nadwornych, księżniczek i hrabianek, młodych i starych, pięknych i brzydkich kobiet w przepysznych toaletach i z olśniewającymi klejnotami.

Wszyscy oni tworzyli sztafaż ozdobny dla wielkich przyjęć, uroczystych biesiad i pełnych przepychu balów dworskich, a postacie ich przydawały ówczesnemu dworowi carskiemu barwnego ożywienia i owego tylko jemu właściwego i od bogactw lśniącego kolorytu, który łączył ze sobą wyrafinowaną kulturę i tętniące życie dworów europejskich z ciężkim i przeładowanym przepychem azjatyckiego despotyzmu. Wtedy carska rezydencja w rzeczywistości była ośrodkiem wszelkich państwowych i politycznych interesów, wszelkich dążeń społecznych i wszelkich intryg i próżności.

Ale już za Aleksandrem III zaczęło powoli przycichać na dworze carskim, bladły kolory i blask przygasał. Aleksander III spędzał ostatnie lata swego panowania poza Petersburgiem, na zamku w Gatczynie albo na Krymie, tak że Pałac Zimowy, gdzie dotychczas skupiało się świetne życie dworskie, zupełnie opustoszał.

Od czasu jednak, jak Mikołaj II wstąpił na tron, znikły prawie zupełnie ostatnie wystąpienia reprezentacyjne. Car dokładał wszelkich możliwych starań, by nie zapraszać do siebie ministrów i poważnych doradców i

wolał przyjmować ich raporty na piśmie. Coraz rzadziej pokazywały się na dworze carskim poważne i wybitne jednostki i nie wiadomo właściwie, czy już wymarły, czy też pozostawały po domach, bowiem ani nowy car, ani też carowa nie byli ciekawi ich widoku. Brakło też narybku młodszych uzdolnionych mężów stanu i dyplomatów, gdyż car nie posiadał zdolności ani nie odczuwał potrzeby, by przykuwać do siebie młodsze, wartościowe jednostki. Coraz rzadziej odbywały się wielkie walki polityczne między intrygującymi dyplomatami, które w najwyższym napięciu utrzymywały całą Rosję, gdyż brakło w tych czasach ambitnym politykom odpowiedniego bodźca do tego rodzaju

podniecających walk. Usunęli się, by pozostawić pole walki intrygującym karierowiczom pośledniego gatunku.

Także najbliżsi krewni pary cesarskiej, wielkksiążęcy wujowie, ciotki, kuzynowie i kuzynki usuwali się jedni po drugich; z roku na rok zmniejszała się coraz bardziej ilość nakryć na stole rodzinnym, do którego z okazji oficjalnych zebrań zasiadała cała rodzina, aż doszło do tego, że po pewnym czasie jedynie car i ca-rowa z dziećmi zajmowali miejsca przy tym stole. Z resztą rodziny schodzono się tylko na mszach żałobnych, gdy któryś z wielkich książąt zmarł przypadkiem lub padł ofiarą zamachu.

Także przedstawiciele dumnych, starszylacheckich rodów bywali coraz rzadziej gośćmi w Carskim Siole; część ich usunęła się sama, resztę zaś w sposób łagodny, ale niedwuznaczny usunął car, albowiem nie dowierzał, nienawidził i obawiał się tej kliki.

Ministrowie, wodzowie i dostojnicy kościelni doprowadzali cara do rozpaczony swoimi wiecznymi raportami, prośbami i stosami pism, które musiał podpisywać; Mikołaj czuł się szczęśliwy, gdy mu się udawało wcześniej ukończyć audiencję i tylko w najkonieczniejszych wypadkach dopuszczał do siebie tych ludzi.

Kurierzy i adiutanci musieli godzinami wyczekiwać w przedpokoju, gdyż car w danej chwili nie był zainteresowany zgłębieniem dziejących się gdzieś na świecie rzeczy. Egzotyczni odźwierni w białych turbanach nudzili się całymi dniami i ziewali, wystawając przed podwojami, które teraz tak rzadko otwierały się dla gości.

Carowa nienawidziła, obawiała się i nie cierpiała swych dam pałacowych, owych księżniczek i hrabin, tych starych i młodych, brzydkich i pięknych kobiet w cudownych toaletach i błyszczących klejnotach. Wszystkie te

kobiety były w jej mniemaniu „złe, fałszywe, gotowe w każdej chwili do zdrady, intrygi i puszczania plotek”.

Zabrakło obecnie tych wszystkich postaci, które dawniej przy-dawały dworowi carów barwności i ożywienia; rzadko kiedy otwierano wielkie sale, przeznaczone dla wielkich przyjęć, a ko-sztowne zastawy stołowe ze srebra i złota leżały ukryte w szka-tułach. Drzwi do prywatnych pokoiów cara były odtąd zamknięte dla towarzystwa i należących do dworu; wpuszczano jedynie niewielu, a jeszcze mniejszą była liczba tych, których w ogóle dopuszczano do posłuchania.

Mikołaj i Aleksandra obawiali się każdego człowieka i do nikogo nie mieli zaufania. Car bowiem wyraźnie odczuwał, że wszyscy ci dworacy, chylący przed nim głowy w niewolniczej uległości, gotowi są każdej chwili poświęcić go bez skrupułów dla swych własnych interesów.

Ta wieczna nieufność cara musiała z biegiem czasu odbić się odpowiednio na dworze. Kto posiadał własne zdanie lub własną wolę, budził natychmiast podejrzliwość cara i jako niepożądany w tej chwili był wydalany; jedynie ludzi bezbarwnych jako całkiem bezpiecznych tolerowano w otoczeniu carskiej rodziny. Doszło więc do tego, że rodzinę carską otaczali najmniej zajmujący i nic nie znaczący ludzie. Ci właśnie ludzie, tolerowani przez cara, posiadając jego zaufanie, coraz większy wywierali wpływ na niego, inni natomiast urzędnicy nadworni stracili wszelkie znaczenie. Niewiele zatem było ludzi, których można było dopuścić do prywatnych spraw rodzinnych; było więc dwóch czy trzech godnych zaufania adiutantów przybocznych, dalej był minister dworu i komendant pałacu. Reszta, wałęsająca się po pałacu, to wrogowie i szpiegzy, wobec których jest konieczna najdalej posunięta ostrożność. Tak więc ograniczyła się liczba ludzi, mających dostęp do wnętrza pałacu, do czterech lub pięciu dworaków, ludzi o wysoce rozwiniętym zmyśle taktu, którzy jednak w obawie przed budzeniem najniklejszej choćby podejrzliwości nigdy nie wypowiadali swojego zdania. W ogóle nie używali wyrażenia „nie” i byli tak bezkrytyczni, że cokolwiek car i carowa robili, spotykało się z ich uznaniem.

Ci „intymni” przychodzili i odchodzili na palcach, a teki ich nie zawierały nigdy żadnego nieprzyjemnego raportu lub mieszczącego choćby odrobinę przykrości sprawozdania. Wszyscy okazywali wesołość, mówili chętnie o

pogodzie i codziennie uniżenie dopytywali się o te same drobiazgi, jakby wszystko na świecie było w jak najlepszym porządku.

A nie była to dworacka hipokryzja, gdyż ludzie ci byli zbyt prości i naiwni, by móc kiedykolwiek spostrzec jakąś krzywdę lub nieszczęście.

Ze wszystkich nieszczęść, jakie nawiedziły Rosj[^] przez czas ich urzędowania, oni nigdy żadnego nie widzieli ani o żadnym nie słyszeli, tak że mogli oszczędzić sobie fatygi, by niepokoić parę monarszą zatrwającymi wiadomościami.

Ich ciche kroki na korytarzu apartamentów carskich, ich wiecznie przytłumione głosy, taktowne i miłe. obniżanie znaczenia tego, o czym mówili, albo o co pytali, to wszystko stanowiło odpowiednie środowisko dla szczęścia i spokoju pary monarszej. Ci wierni dworacy nigdy nie wrywali cara i carowej z ich marzeń, nigdy nie pokazywali tym załęczonym ludziom ponurej rzeczywistości, która na dworze, tuż pod drzwiami prywatnych apartamentów złośliwie się czaiła.

Do ostatniego dnia, kiedy żołnierze rewolucji wpadli do pałacu „carskich marzycieli”, by ich wrzucić do więzienia, a później postawić pod mur, aż do tego katastrofalnego dnia. wierna i dobrze wychowana służba strzegła „sielanki w Carskim Siole”, chodziła na palcach i dokładała wszelkich starań, by car i carowa nie poznali złudnych pozorów swego cieplarnianego szczęścia.

To małe grono wiecznie optymistycznych dworaków umożliwiło właśnie sielankę w Carskim Siole: toteż gdyby nigdy nie było tych ludzi, ukrywających wszystko przed carską parą. sielanka w Carskim Siole nie doczekałaby się tak straszliwego dla cara i Rosji zakończenia. Ci wszyscy Fredericksowie. Wojej-sowowie, Sablinowie i Niłowowie w wielkiej mierze przyczynili się do tej straszliwej katastrofy i wstrząsającego końca „sielanki w Carskim Siole” 24.

Najbardziej zajmującą postacią między nimi był minister dworu, Fredericks, niezwykle dystyngowany starszy pan, który od niepamiętnych czasów piastował swą godność. Przedstawiał typ najbardziej taktownego człowieka, był mistrzem etykiety i formalności dworskich. Obowiązkiem jego było załatwiać wszelkie prywatne sprawy rodziny carskiej, ustalać apanaże wielkich księżąt i ich małżonek, rozdzielać darowizny, tuszować

skandale i pła-cić długi. Wszystko tyczące się członków carskiej rodziny musiało mu leżeć na sercu, dlatego też był wtajemniczony w najintymniejsze sprawy carskiej rodziny. Car i carowa bardzo lubili tego pię-knego i eleganckiego starszego pana, nazywali go „our old man”, sami zaś zezwolili mu na to, by ich nazywał „mes enfants” .

Hrabia Fredericks stał się pod wpływem sędziwego wieku dzi-wakiem. Pogorszyła mu się pamięć, opowiadano o nim w kołach dworskich różne pocieszne anegdoty. Gdy książe Orłów, szef kan-celarii polowej, zdawał mu raz raport, hrabia Fredericks przerwał mu

pytaniem: „Co pan na to, kochany książę? Zdaje mi się, że nie jestem dziś jeszcze ogolony!”

Orłow, odrzekłszy, że nic o tym nie wie, ciągnął dalej swój raport; po pięciu minutach hrabia Fredericks, oparłszy swą rękę na jego ramieniu, powtórzył: „Przepraszam na chwilę, ale zdaje mi się, że się dziś jeszcze nie golił!”

Książę uśmiechnął się i poradził zapytać się o to kamerdynera. Stary hrabia zadzwonił i gdy służący się zjawił, znowu zapytał, czy się dzisiaj golił. Kamerdyner potwierdził, że tak.

Zaledwie Orłow ukończył swój raport, Fredericks, podniósłszy się z fotela, zawołał: „Ja przecież nie jestem ogolony! Jadę do fryzjera!” Po drodze zasnął w powozie, a stangret wolał go nie-ogolonego zawieźć z powrotem do domu.

Te i tym podobne historyjki opowiadano sobie o nim z wielką przyjemnością, co jednak wcale nie przeszkadzało temu, by minister dworu był nadal lubiany. Tylko wiecznie złośliwy hrabia Witte raz bez ogródek wyraził się, że Fredericks jest „porządnie słaby na rozumie” i że współpracownicy jego powinni mu raport dla cara wbijać w głowę jak szkolną lekcję.

Do niewielu ludzi, cieszących się u dworu zaufaniem cara, należał również zięć hrabiego Fredericksa, komendant pałacowy Wojejkow, którego zadaniem był nadzór nad Carskim Siołem. Początkowo carowa nie była dlań zbyt życzliwa, później to jednak zmieniło się i od tego czasu pełnił Wojejkow swe funkcje bez przeszkód i był nawet kilka razy orędownikiem życzeń carowej w głównej kwaterze.

Trochę dziwną postacią w otoczeniu cara był adiutant przyboczny, admirał

Niłow, opryskliwy grubianin, który chętnie popijał wino; miał zwyczaj mówienia w twarz każdemu, nawet samemu carowi, pozornie nagiej prawdy; „prawda” jego była oczywiście dość daleka od rzeczywistej prawdy, i dlatego nigdy nie budziła jakiegoś poważniejszego zaniepokojenia.

Dziwną rolę odgrywali inni liczni adiutanci przyboczni, którzy z zazdrością wzajem się pilnowali; z małymi wyjątkami nikt z nich nie miał zgoła żadnych wpływów. Jeśli ktoś przypadkiem zwraca się z prośbą do jednego z tych oficerów, dostawał zwykle odpowiedź: „Ja otwieram tylko drzwi!” lub „Ja tylko gram w szachy!”

Materialne położenie tych wszystkich adiutantów przybocznych było bardzo marne. Pobierali płace wystarczające za ledwie n<

opędzanie koniecznych napiwków, dlatego też często wpadali w ręce lichwiarzy, grywali na giełdzie i starali się ze swego stanowiska wyciągnąć materialne korzyści. Rzeczywiste wpływy posiadał tylko jeden z nich, mianowicie adiutant przyboczny Sablin, który potrafił do pewnego stopnia pozyskać sobie zaufanie cara. Jakby nieprzepartym murem oddzielali ci bezbarwni służalczy dworacy parę carską od zewnętrznego świata, od całej Rosji.

„Okropna to rzecz!” wołał raz minister spraw zewnętrznych, Sazonow.

„Pomału wytworzyła się dookoła pary monarszej próżnia; nikt nie ma dostępu do niej. Z wyjątkiem oficjalnych stosunków między carem a jego ministrami żaden głos ze świata nie dochodzi do tych ludzi”.

Im bardziej właściwe życie dworskie pod wpływem zupełnego odosobnienia pary monarszej i ciszy, panującej teraz w Carskim Siole, stopniowo zamierało, tym silniej rozwijało się ruchliwe życie w politycznych salonach stolicy; podobne salony istniały już wcześniej, od czasów pani Krudener, ale teraz, z początkiem dwudziestego wieku, wyrastały w Petersburgu jak grzyby.

W dawniejszych czasach, kiedy u dworu bywali ministrowie, doradcy, szlachta, politycy i intryganci, kiedy istniał jeszcze zdrowy i żywy kontakt między życiem u dworu a światem zewnętrznym, wtedy sam pałac cara był centrum wszelkich politycznych wydarzeń; tam przedkładano wszelkie sprawy, interesy, projekty, plany i idee, tam przemyślowano nad nimi, dyskutowano i rozstrzygano.

Obecnie panowała u dworu wielka cisza, każdy uważał za swój obowiązek, o ile zyskał dostęp do Carskiego Sioła, chodzić niejako na palcach i mówić przytłumionym głosem, albowiem car i carowa życzyli

sobie spokoju i potrzebowali wypoczynku; coraz bardziej upodabniał się pałac w Carskim Siole do wielkiej i pełnej przepychu sali dla chorych. To całe ruchliwe życie dworskie, zepchnięte do politycznych salonów, płynęło w dalszym ciągu, ale już w znacznie skromniejszych i wprost pożałowania godnych granicach. Te wszystkie in-trygi, projekty, małe zawiści i plany, które w blasku carskiego pałacu posiadały swój styl i potrafiły niekiedy olśniewać swym rozmachem, wegetowały teraz w salonach, mających swym gorączkowym życiem zastąpić dawny dwór. Wszystko, co w pobliżu cara było „wielką polityką”, tutaj stawało się małostkową, odpychającą zapobiegliwością, gadaniną bez końca i nieczystą spekulacją.

Ponieważ ludzie większego znaczenia, trzymani z dala od dworu, nie mieli żadnego wpływu na cara, nie odgrywali w salonach politycznych najmniejszej roli. Ośrodkiem życia w tych salonach były przeważnie osoby, których stosunki ze dworem polegały na znajomościach z podrzędnymi urzędnikami dworskimi; ci właśnie urzędnicy, pełniący służbę niższego stopnia, mieli możliwość ciągłego przebywania w pobliżu monarchy. Byli to lokaje, odźwierni i tym podobni „dostojnicy”, których przyjaźń była w tych politycznych kółkach wielce poszukiwana.

Szczęśliwiec, legitymujący się stosunkami z podobnymi niższymi funkcjonariuszami pałacowymi, był tym właśnie człowiekiem, dookoła którego wyrastał salon; politycy, reflektujący na tekę ministerialną, uważali za stosowne złożyć mu wizytę, tak samo popi, chcący zostać biskupami, przedsiębiorcy, bankierzy i szpiedzy, zbierający poufne wiadomości o wszystkim tyczącym się cara. Wszyscy oni spodziewali się dobrych wyników od interwencji lokaja lub innego pozornie nic nie znaczącego funkcjonariusza dworskiego; właśnie od tych małych urzędników, będących często w styczności z monarchą, można było otrzymać zupełnie pewne wiadomości o planach cara, jako też było możliwe przy ich pomocy wywierać pewien wpływ na niego.

Najruchliwsze z tych dziwnych kół politycznych zbierało się w salonach księcia Andronnikowa²⁵; tam schodziło się dzień w dzień ludzi bez liku, szukając dla urzeczywistnienia swych planów protekcji u księcia, który posiadał znakomite koneksje w Carskim Siole. Książę Andronnikow mógł swoim przyjaciołom donosić o najbardziej tajnych decyzjach cara na kilka godzin przed ich opublikowaniem, w ten sposób wyświadczał im niezwykle cenne przysługi. Ale Andronnikow miał także możliwość

popierania różnego rodzaju próśb i podań, przeprowadzania nominacji i odznaczeń. Niejeden wyższy urzędnik, oficer lub ksiądz kościoła spędzał regularnie pozostawał w salonie Andronnikowa, dopóki rzeczywiście nie nadeszły gorąco oczekiwane awanse i odznaczenia.

Te poważne wpływy na rozstrzygnięcia cara zawdzięczał Andronnikow pewnemu kamerdynerowi carskiemu, z którym łączyła go długoletnia przyjaźń; w późniejszych latach zbliżył się także do komendanta pałacowego, ten jednakże nigdy nie potrafił dlar tyle zdziałać, co ów kamerdyner. Przez tego kamerdynera dowiadywano się stale, jakie akty leżały na biurku cara lub w jakirr

sensie car zadecyduje o pewnych sprawach. Na takich informacjach opierali później przedsiębiorcy i szpiedzy, zwiedzający salon Andronnikowa, swe interesy i tajne raporty; informacje Andronnikowa były zawsze zupełnie pewne, a także pewien wpływ, jaki Andronnikow przy pomocy kamerdynera wywierał na cara, nigdy nie pozostawał bez rezultatu.

Był czas, kiedy nawet wysocy dostojnicy państwowi, jak np. ministrowie wojny Suchomlinow i Bielajew, książęta kościoła, jak Warnawa 26, a więc ludzie cieszący się dobrą opinią u dworu, przychodzili po informacje do salonu Andronnikowa, gdyż informacje kamerdynera były znacznie pewniejsze aniżeli to wszystko, czego ci dostojni panowie osobiście dowiedzieć się mogli w czasie swych wizyt w Carskim Siole. Obok tych dystyngowanych panów tłoczyli się tam także załęcznieni Żydzi, którzy chcieli za pośrednictwem Andronnikowa uzyskać odwołanie zakazu mieszkania w Petersburgu i prawie zawsze udawało im się sprawę załatwić.

Największym jednak odbiorcą informacji Andronnikowa było ministerstwo spraw wewnętrznych; ten wysoki urząd państwowy finansował tę całą imprezę. Książę Andronnikow pochodził z podupadłej rodziny, nie posiadał prawie żadnego majątku i był na domiar tego notorycznym rozrzutnikiem; wystarczyło mu jednak być przyjacielem kamerdynera cara, by móc doprowadzić do porządku swe materialne stosunki. Ministerstwo spraw wewnętrznych uważało za konieczne wypłacać Andronnikowowi co miesiąc znaczne sumy dla zapewnienia sobie informacji kamerdynera. Opędzając koszty Andronnikowa, oszczędzało ministerstwo olbrzymie sumy, jakie by w innym wypadku

musiało wydawać na cele szpiegowskie u dworu. Za dobrze wiedziano w ministerstwie, że car nigdy otwarcie i bez ogródek nie mówił ze swymi ministrami, że ci nie mogli polegać na jego oświadczeniu, przeciwnie raczej, stale musieli być przygotowani na najgorsze niespodzianki. Droga jednak poprzez salon Andronnikowa otrzymywał teraz minister spraw wewnętrznych dokładne wiadomości o nastroju i zapatrywaniach cara, o tym, jaki raport podobał się monarsze, a jaki niechęć w nim budził. Kamerdyner dostarczał wiadomości, a mądry i bystry Andronnikow odgadywał resztę, uzupełniając od siebie w miarę potrzeby. Minister, sprzymierzony z Andronnikowem, był zarazem stale poinformowany o wszelkich zamierzeniach przewielebnych bisku-

pów, generałów i polityków. Plany tych panów, powierzone Andronnikowowi dla kamerdynera celem dalszego przeprowadzania, wydawał ksiązę ministerstwu, które w ten sposób miało zawsze dokładny obraz tego, co przygotowywało się w zakresie polityki wewnętrznej. Książę Andronnikow uchodził już od dawna we wszystkich politycznych i towarzyskich kołach za wielce zajmującego człowieka. Z wyglądu przedstawiał typ wiecznie krzątającego się człowieka, który w ważnych i tajnych sprawach wciąż uganiał po mieście, z każdym się znał, wszędzie pojawiał się nagle i znowu znikał i w ogóle miał w sobie coś z czarującego awanturnika. Zawsze miał ze sobą wielką, wypełnioną tekę i robił tajemnicze aluzje co do jej zawartości.

Z czasem ta teka uzyskała taki rozgłos, że nawet policja nią się zainteresowała. Za sprawą ministra Plehwego napadnięto raz Andronnikowa i porwano mu tekę. Urzędnik ochrony przyniósł ją z triumfem swojemu ministrowi; gdy tenże ją otworzył, znalazł w niej jedynie stare gazety.

Andronnikow jednak był w rzeczywistości czymś więcej, aniżeli pozory wskazywały; z pasją uprawiał intrygę i sprawiało mu wprost demoniczną radość, gdy mógł poszczuć jednych na drugich, puszczać w obieg zniesławiające plotki lub rozrywać związki przyjaciół. Robił to nie tyle dla materialnych korzyści, ile, jak Witte powiada, „z namiętnego upodobania do sztuki intrygi”.

Dzięki złośliwemu dowcipowi i niezwyklej zdolności odkrywania słabości u drugich mógł być bardzo niebezpieczny dla własnych wrogów i wrogów swych przyjaciół.

Swoim sympatiom do niektórych ministrów dawał wyraz w wykwinnych

broszurach, pełnych pochwał i pochlebstw, przeciwko zaś wrogom ogłaszał równie wykwintne, pełne gryzącej satyry pamphlety i tak sprawami kierował, że te druzgocąco złośliwe „portrety” dostawały się do rąk najbardziej wpływowych osobistości Petersburga.

W późniejszych latach miał dla swej działalności literackiej do dyspozycji własne czasopismo. Gdy tylko jakiś wróg podnosił głowę, pojawiał się natychmiast w gazecie artykuł wstępny z uwagami o przeszłości i „zdemaskowanej twarzy” danego człowieka i to było zupełnie wystarczające, by nieszczęśliwca na zawsze skompromitować i ośmieszyć.

Gdy raz Andronnikow w chęci dokuczenia swoim rozmaitym wrogom wydał w języku francuskim „Współczesne pamiętniki” i przy tej sposobności z druzgocącą ironią potraktował działalność i zdolności rozmaitych ministrów, wzbudził tym w towarzystwie petersburskim niezmierną ciekawość na cały szereg tygodni. Nawet członkowie carskiej rodziny, carowa matka i wielcy książęta, z całą rozkoszą delectowali się lekturą tych pamiętników; kamerdyner wystarał się o to, żeby jeden egzemplarz znalazł się także na biurku cara.

O ile książę przez literackie swe zdolności mógł być bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, o tyle stosunki z kamerdynerem czyniły jego wpływową protekcję wielce pożądaną. Jego znaczenie coraz więcej rosło, a stosunki towarzyskie i polityczne stawały się z każdym dniem rozleglejsze. Wielcy książęta chętnie widywali go u siebie, toteż ochmistrz dworu carowej-matki starał się o jego względy i cała arystokracja interesowała się nim. Każdy nowy minister, obejmujący urządowanie, dowiadywał się od swojego szefa kancelarii, że jego poprzednik był w dobrych stosunkach z Andronnikowem, on więc także kontynuował tę tradycyjną przyjaźń i polecał to samo swojemu następcy. Dyrektorzy departamentów i inni wyżsi urzędnicy, wiedząc, że ich szef żyje dobrze z Andronnikowem, również zabiegali o łaski księcia; natomiast mali urzędnicy, zawsze naśladowujący ślepo swoich przełożonych, z istic biurokratyczną pedanterią nadskakiwali księciu. Gdy Andronnikow pojawiał się w ministerstwie, zrywali się „czynownicy” ze swoich miejsc z największą uniżonością, zdejmowali księciu futro i ściągali kalosze. Dwaj tylko mężowie ośmielili się odmawiać księciu należnego respektu: minister wojny Suchomlinow, który kiedyś wspólnie z Andronnikowem

spekulował na gruntach w Bucharze i Chiwie, a później z nim się pokłócił, i minister spraw wewnętrznych Makłakow; ostatni był na tyle śmiały, że nie odpowiedział z należytą grzecznością na telegram powitalny Andronnikowa, ba, kazał nawet skasować mu wolny bilet kolejowy. Obaj ministrowie mieli później sposobność poznać potęgę Andronnikowa, gdyż bezlitosny książę zdołał obu obalić, jednego po drugim, a nieszczęśliwy Suchomlinow dostał się nawet za jego przyczyną do piotropawłowskiej fortecy.

Od tych wypadków nie odważył się nikt więcej występować

przeciwko księciu Andronnikowowi, a szef policji całkiem słusznie utrzymywał, że w ostatnim dziesiątku lat przed przewrotem nie padło żadne ważne rozstrzygnięcie, by Andronnikow w tym nie maczał swych palców. Książę więc był potężną i wpływową osobistością, chociaż wszyscy wiedzieli, że żółta jego teka zawierała kiedyś tylko stare gazety. Ale salon Andronnikowa nie był jedynym tego rodzaju; owszem, miał ważnego konkurenta w kółku skupiającym się wokół koniuszego nadwornego Burdukowa. Burdukow był również przydzielony do ministerstwa spraw wewnętrznych, a tytuł jego, „nadworny koniuszy”, nie miał nic wspólnego z jego rzeczywistymi czynnościami. Jego siła polityczna polegała na przyjaźni z ulubionymi u dworu adiutantami cara, z generałem Sablinem i admirałem Niłowem. Dzięki interwencji tych dwóch panów potrafił on klientom i gościom swego salonu dostarczać szybkich i pewnych wiadomości z Carskiego Sioła.

Między nim a jego przyjaciółmi u dworu szły ciągle listy i telegramy, a na jego bankietach i pijatykach zjawiał się często sam „stary, wilk morski”, admirał Niłow, i opróżniał niejedną flaszkę dobrego wina. Zwolennicy Burdukowa, ci wszyscy polityczni i towarzyscy awanturnicy, skupiający się dookoła „nadwornego koniuszego”, twierdzili, że wpływ ich protektora u dworu jest o wiele większy i bardziej cenny niż wpływ Andronnikowa.

Między oboma salonami i ich głowami toczyła się zacięta walka.

Jakimkolwiek były te konkurencyjne kółka, jednego nie da się zaprzeczyć: że poczęstunek był w salonie Burdukowa znacznie lepszy niż u Andronnikowa. Pochodziło to stąd, że koszty salonu Andronnikowa pokrywało ograniczone bądź co bądź w swych środkach ministerstwo spraw wewnętrznych, mające wprawdzie bogato wyposażony fundusz, ale

w pewnych przecież granicach, gdy tymczasem za salonem Burdukowa stał prawdziwie hojny i przewidujący finansista. Ignacy Porfirjewicz Manus 27.

Manus był wszystkim, tylko nie małostkowym i tym znacznie się różnił od małodusznych biurokratów z ministerstwa spraw wewnętrznych. Manus dobrze wiedział, że sumy włożone w salon Burdukowa dziesięcio- albo nawet stokrotnie się oprocentują. Pomoc Burdukowa umożliwiała mu górowanie nad swym najniebezpieczniejszym i najpotężniejszym konkurentem, bankierem Dy-
lis

mitrem Rubinsteinem, nad którym zwycięstwo stanowiło dlań ukoronowanie jego świetnej finansowej kariery.

Żyd Manus rozpoczął bardzo nisko, ale już od dawna wyzyskiwał sytuację polityczną Rosji dla swoich interesów. Po kilku większych, szczęśliwych spekulacjach doprowadził do końca jedną, na wielką miarę zakrojoną transakcję, mianowicie połączył się z księciem Mieszczerskim²⁸, gorącym bojownikiem prawowiernego pansławizmu, oddając mu do jego rozporządzenia swoje kapitały. Żydowskie pieniądze bankiera Manusa umożliwiły wielkiemu reakcyoniście i byłemu przyjacielowi Dostojewskiego, Mieszczerskiemu, rozwinięcie w swym „Grażdaninie” ożywionej agitacji antysemitycznej, a nawet sam Manus napisał pod pseudonimem „Seleni” kilka ultranacjonalistycznych artykułów dla tego czasopisma. W ten sposób wyrobił sobie Manus najlepsze stosunki w kołach reakcji i szlachty i już po krótkim czasie uchodził za najbogatszego i najpoważniejszego potentata finansowego Petersburga.

Jak wszyscy sprytni finansiści lubił także Manus zawsze pozostawać w cieniu; nie chodziło mu przecież o zaspokojenie małych ambicji, zawsze tylko wielkie sprawy leżały mu na sercu. Dlatego uważał za stosowne podsuwać swojego faworyta Burdukowa, który za pieniądze bankiera prowadził swój salon, urządzał bankiety i utrzymywał przyjazne stosunki z adiutantami Sablinem i Niłowem. Burdukow przyjmował też gości, klientów, urzędników, ministrów i oficerów; zaś w cieniu za nim stał Ignacy Porfirjewicz Manus, „żółty pan”, jak go zwykle nazywano w Petersburgu.

Manus opłacał wino, którym Burdukow upijał adiutantów, opłacał wykwintne mieszkanie Burdukowa, pokrywał małe lub wielkie pożyczki,

służące do podtrzymywania przyjaznych stosunków z Sablinem, jednym słowem, płacił wszystko, czego wymagało prowadzenie tego politycznego salonu. Za to jednak wszystko, co działo się w salonie nadwornego koniuszego, służyło interesom „żółtego pana”. W ten sposób udało się sprytnemu żydowskiemu magnatowi rozszerzyć swe znaczne wpływy na najwyższe sfery dworskie, gdy on sam niepostrzeżony pozostawał w cieniu.

Przeróżne spekulacje bankiera nastęrczały organom wykonawczym poważne kłopoty. Burdukow, gdy znalazł się raz w takiej sytuacji, pisał zrozpaczony swemu zleceniodawcy: „Ostatnio polecił mi Pan nie wymyślać więcej na ministra finansów Barka, a trzy dni temu dał mi Pan nawet ścisłe zlecenie, bym Barkowi nie szczędził po-

chwał; dziś znowu raptownie Pan chce, bym nową kampanię rozpoczął przeciwko niemu; ośmielam się zwrócić Pańską uwagę na to, że jest mi niezmiernie ciężko po wczorajszych hymnach pochwalnych na cześć ministra dzisiaj znowu przeciwko niemu wystąpić".

Zalecenia bankiera Manusa były rzadko czysto politycznej natury, tyczyły się raczej przeważnie spraw handlowych. Do spraw załatwianych dla bankiera z pomocą salonu Burdukowa należały zezwolenia na nowe koncesje, na budowę fabryk, zlecenia na dostawy dla central żywnościowych i dla wojska.

Podczas wojny światowej powtarzały się pogłoski, jakoby Ma-nus uprawiał szpiegostwo na rzecz Niemiec, szczególnie minister Chwostow 29 występował z tym podejrzeniem. Aczkolwiek zebrano dużo materiału obciążającego, mimo to bankier pracował nadal spokojnie i prawie że nie reagował na te zarzuty; węzły łączące salon Burdukowa z Sablinem i Niłowem były dla niego tak doskonałym ubezpieczeniem, że aż do wybuchu rewolucji nie miał najmniejszej potrzeby obawiania się czegokolwiek. Dzięki temu politycznemu kółku, które utrzymywał na swoje usługi, górował „żółty pan" nad swymi przeciwnikami i był nieomal nietykalny.

Ze wszystkich tych przygodnych, na pół towarzyskich, na pół politycznych kół, tworzących się w Petersburgu z braku normalnego życia dworskiego, w szczególności był godnym uwagi salon baronowej Roscn 30. Książę Andronnikow opowiadał wszystkim z dumą o swoich stosunkach z kamerdynerem cara, a Burdukow nie robił żadnej tajemnicy ze swojej przyjaźni z Sablinem i Niłowem, natomiast w salonie baronowej Rosen nigdy nie wymieniano człowieka będącego łącznikiem między

baronową a Carskim Siołem. Nikt nie wiedział, skąd baronowa ma swe poufne wiadomości, ale nie ulegało wątpliwości, że tego rodzaju informacje istniały i prawie zawsze odpowiadały prawdzie. Dyskretni goście dyskretnej baronowej od dawna pogodzili się z tym, że mają tu do czynienia ze ściśle przestrzeganą tajemnicą i byli wielce zadowoleni, jeśli „poufne źródło” dostarczało im wiadomości, a ich prośby kierowało dalej do Carskiego Sioła. Baronowa nie miała własnego majątku, co jej jednak nie przeszkadzało ubierać się z wyszukaną elegancją i urządzać z wielkim smakiem niezwykle wystawne przyjęcia; jej wesołe biesiady przewyższały nieraz co do wykwintności podobne uczyty „żółtego pana”. Nie

całkiem jasne były stosunki pani domu z piękną księżną Dołgo-rukową, kobietą hiszpańskiego pochodzenia, która dla nazwiska, wychodząc za mąż za rosyjskiego arystokratę, zapewniła sobie możliwość robienia zyskownych interesów.

Ciekawy minister Chwostow usiłował niejednokrotnie wyświecić tajemnicę baronowej i jej życia i składał jej w tym celu dość częste wizyty. Spotykał tam na poufnych śniadaniach agentów policyjnych, hochsztaplerów, między innymi także osławionego urzędnika ochrony, Raszewskiego. W porze obiadowej widywał natomiast u baronowej Rosen wielkich książąt, wielkie księżniczki i niektórych aktorów, kokoty i żurnalistów. Jakiś tajemniczy „inżynier”, nikomu nie znany, opłacał zarówno śniadania dla szpiclów policyjnych, jak i obiady dla wielkich książąt, jak też nocne pijatyki artystów, kokot i dziennikarzy. Nawet sprytny minister Chwostow ze swym sprawnym aparatem nie potrafił dociec, kim był właściwie ten nieznany „inżynier”, w jakim celu to wszystko opłacał i skąd miał środki na to.

W salonach Andronnikowa, nadwornego koniuszego Bur-dukowa i baronowej Rosen rywalizowały ze sobą bezwstydną spekulacją, przebiegłe szpiegostwo i bezsumienne szalbierstwo, aby zdobyć wpływy na bezwolnego cara. Obok tego istniało jeszcze jedno kółko, które dążyło do innych, szerszych i bardziej niebezpiecznych celów. Był to salon Ignatiewa, gdzie zbierali się wszyscy poplecznicy politycznego wstecznictwa i nietolerancji na polu narodowościowym i religijnym; w tym też kierunku zamierzali wpływać na postanowienia cara.

Hrabia Aleksander Pawłowicz Ignatiew, dawny ambasador przy Porcie i późniejszy minister, właściwie jako pierwszy zwrócił już za panowania

Aleksandra III uwagę na upadek rosyjskiego życia dworskiego i przewidywał powstanie i rozkwit salonów, zaraz więc po usunięciu się starego cara Aleksandra do Gatchyny, zaczął przy pomocy swej ruchliwej małżonki urządzać u siebie „polityczne przyjęcia”, na które zapraszał trzy razy w tygodniu. Już w krótkim czasie zasłynął „czarny salon Ignatiewa” jako najbardziej wpływowe centrum polityczne stolicy.

Dla Ignatiewa, za którego urzędowania popełniała reakcja najdziwniejsze ekscesy, jego salon był skutecznym narzędziem do machinacji politycznych, był punktem wyjścia dla tysięcy intryg, które wszystkie zmierzały do tego. h\ odpowiednio opanować odcie-

ty od reszty świata dwór carski. Tutaj zbierali się fanatyczni popi i politycy z szeregów reakcyjnego „wszechrosyjskiego związku”, dyplomaci, wojskowi i kandydaci na ministrów, którzy podobnie jak pan domu hołdowali idei zdobycia Konstantynopola i mieli dokładnie wypracowany plan tej wyprawy. Do przyjaciół hrabiego Ignatiewa zaliczali się również bankierzy i dostawcy, którzy mieli nadzieję, że wysuwając się w należyтым czasie na pierwszy plan, zdobędą cenne stosunki i uzyskają zlecenia na dostawy na przyszłą wojnę. Poza tym bywali w salonie hrabiego rozmaici urzędnicy z ministerstw i policji, ciemne indywidua, przejęte „świętymi narodowymi przekonaniem”, rzecznicy absolutystycznego reżimu i zsyłek na Syberię przeciwników politycznych. Ci sami podrzędni urzędnicy nadworni, przeprowadzający sprawy na zlecenia salonów Andronnikowa, Burdukowa i baronowej Rosen, pracowali również dla salonu Ignatiewa, ale w sprawach o wiele większej wagi. szczególnie pod względem politycznym. Im przypadała rola przeszczenia nietolerancji i zacofania „czarnego salonu” na zupełnie odcięty od reszty świata dwór carski.

Jak długo „czarny hrabia” był jeszcze rzeński i pełen inicjatywy, miała działalność jego salonu charakter poważny i wywierała swoje fatalne wpływy. Kiedy jednak wycofał się z życia publicznego, a potem umarł, ostry kurs polityki przeszedł w jego salonie w cczą gadaninę, powtarzającą się trzy razy w tygodniu.

W „czarnym salonie” prowadzonym teraz przez starą, owdowiałą hrabinę, nie porzucono wprawdzie dawnych ideałów reakcji ani prawomyślności, ani zażartej nietolerancji, ale po śmierci hrabiego straciło wszystko na powadze i znaczeniu. Przychodzili ci sami goście co dawniej, prowadzono

te same rozmowy, ale salon powoli przybierał charakter babskiego zebrania — starych dewotek ze swymi duszpasterzami i spensjonowanymi generałami.

W miarę starzenia się pani domu i jej przyjaciół i przyjaciółek gadatliwość ich przybierała na sile. Gdy im już wiecznie te same tematy nie wystarczały, rzucili się na „mistycyzm” i „okultyzm”, dwa kierunki, idące często w parze z reakcyjnymi przekonaniem.

Teraz więc kiedy damy, generałowie i popi schodzili się trzy razy w tygodniu u hrabiny Ignatiew, przez pierwsze kilka minut mówili o niezmiennych swych przekonaniach religijnych i politycznych, a zaraz potem za niemą zgodą wszystkich przechodzili

do rozmowy na temat „nadnaturalnych sił”. Przejęci dreszczykiem emocji, opowiadali sobie do późnej nocy o „mistycznych przeżyciach”, o „objawieniach”; trudno było czasami gościom „czarnego salonu” powiedzieć sobie dobranoc, stawali więc jeszcze w otwartych drzwiach i gawędzili bez końca o „tajemnicach zaświata”.

Ktokolwiek interesował się okultyzmem, dokładał starań, by móc bywać u hrabiny Ignatiew. W tym właśnie czasie stało się to, co zwykle zdarza się na tego rodzaju zebraniach zagorzałych okultystów salonowych. Gdzie ludzie się schodzą, by nie kończącą się gadaniną wywołać ducha, ten nie daje na się długo czekać i pokazuje się w krótkim czasie. Także w salonie hrabiny Ignatiew objawił się magiczny świat duchów w formie najrozmaitszych „zjaw” i „fenomenów astralnych”.

Po niedługim też czasie spotykali wierzący, ale jeszcze nie uświadomieni członkowie tego kółka swoich „mistrzów”, przyjmowali poleconych „jasnowidzów”, „mystagogów” i „brodjagów”, z których wszyscy posiadali umiejętność tłumaczenia i objaśniania nadnaturalnych zjawisk, ciągle i ciągle się pokazujących. Ci „oświeceni mężowie” cieszyli się u gości salonu najwyższą czcią i uchodzili za świętych; większa ich część znalazła drogę od starej hrabiny Ignatiew do salonów „Czarnogórek”, a stąd kilku z nich dostało się nawet do Carskiego Sioła, gdzie przyjmowano niejako już ustalonych cudotwórców i „posłańców bożych”.

W miarę jak car i carowa pod wpływem choroby carewicza dostawali się coraz bardziej pod władzę tych świętych i jasnowidzów, dawali się także, nie wiedząc zupełnie o tym, coraz silniej wciągać w krąg idei, życzeń i interesów pochodzących z „czarnego salonu” hrabiny Ignatiew.

Chorobliwa niechęć cara do radzenia się i znoszenia blisko siebie

poważnych osobistości, jego nieufność do szczerości ludzi i jego zupełne odosobnienie w sprawach kraju wytworzyły tego rodzaju położenie, że car kierował się obecnie w swych decyzjach małostkowymi interesami reakcyjnej grupki starych niewiast i spensjonowanych generałów. Mikołaj II już od wczesnej młodości przyjmował uderzenia losu z fatalistyczną obojętnością, przy czym jednak głęboka wiara dawała mu pewną podporę. I później, już jako władca zagrożonej

upadkiem Rosji i jako ojciec syna skazanego niejako na przedwczesną śmierć szukał spokoju w pokornym poddawaniu się woli Bożej. Zawsządczyhało nieme i tajemnicze fatum, które sobie tłumaczył jako „boskie zrządzenie”. Wszelka próba opierania się słabymi siłami człowieka musiała w jego przekonaniu kończyć się niepowodzeniem.

„Car wierzy święcie w przeznaczenie”, zauważył raz jeden z ministrów, „gdy ma niepowodzenia w mniemaniu, że taka wola Boża, bez oporu poddaje się zrządzeniom Stwórcy”.

Dlatego też car uważał za jedyny ratunek silną wiarę w Opatrzność, pokorne przyjmowanie wszelkich dopuszczeń i wieczne błagania Pana o opiekę. Gdy silne uderzenie lub gwałtowny ruch Alekseja wywoływały krwawienia i blada, boleśnie skrzywiona twarzyczka dziecka do rozpaczyprowadzała rodziców, wtedy car i carowa szukali pocieszenia w modlitwach.

Modlili się także przed każdą ważną decyzją polityczną, a gdy niebezpieczeństwa zagrażały krajowi, starali się je modłami usunąć. Gdy w r. 1908 po długim zwlekaniu car nareszcie podpisał ukaz w sprawie Dumy, wtedy oboje, car i carowa, ukłękli i Boga błagali, by to ważne rozstrzygnięcie wyszło na dobre krajowi.

W pałacu w Carskim Siole znajdowała się kaplica domowa. Zaciemniona sala, obwieszona ciężkimi jedwabnymi kotarami, z ikonostasem przy jednej ze ścian. Kosztowne dywany zaścielały podłogę, na samym przodzie stały dwa piękne, rzeźbione fotele z poręczami, przeznaczone dla cara i carowej, a za nimi jeszcze kilka skromniejszych foteli, dla dzieci i dam pałacowych.

Ta pełna przepychu kaplica domowa nie odpowiadała carowej, Ignącej do

samotności, kazała więc sobie dla swych własnych celów urządzić inną kaplicę. Niedaleko pałacu Aleksandrowskiego w Carskim Siole stał „Teodorowski Sobór”, przeznaczony jako kościół dla gwardyjskiego pułku kawalerii; w krypcie tego kościoła urządzono podziemną kaplicę, gdzie carowa mogła zupełnie sama odprawiać swe modły; tam też przy nikłym świetle kilku lampek olejnych, wiszących nad ikonami, leżała godzinami na płytach kamiennych.

Kiedy jednak zaczęły się zwać nieszczęścia i coraz to nowe klęski zagrażały, car i carowa powoli przekonywali się o niedostateczności swej wiary. Ani kazania i msze nadwornego popa, ani pieśni kościelne i wieczne modlitwy, na które Bóg nie raczył odpowiadać, nie odbierały im trosk i niepokoju.

Jak wielu słabych i zrozpaczonych ludzi, chcieli i oni bezpośrednio zespolić się z Bogiem. Ta ich tęsknota za cudem nie zgadzała się całkiem ze ścisłą nauką prawowiernego kościoła i miała w sobie raczej coś z mistycyzmu.

Carowa też coraz bardziej popadała w mistyczne urojenia. Ta heska księżniczka, wychowana w surowym duchu protestantyzmu, hołdująca nawet niegdyś przez krótki czas ideom Dawida Straussa³¹, teraz, gdy jako carowa przyjęła prawosławie, stała się fanatyczną i zapaloną zwolenniczką tej wiary.

Później rozwinęła się u niej bardzo silna skłonność do mistycyzmu, która ją z czasem całkiem opanowała. Szczególnie głębokie wrażenie wywarła na niej książka z czternastego wieku, w której autor mówi o pośredniczeniu między Bogiem a człowiekiem, o „bożych przyjaciółach” jako o śmiertelnikach obdarzonych niezwykłą łaską. Carowa święcie wierzyła, że istnieją ludzie mogący gorącą modlitwą zbliżyć się do Boga. Car chyba najmniej sprzeciwiał się fantazjom swej małżonki, skoro sam, już jako młody mężczyzna, lgnął do religijnego mistycyzmu, w czym przypominał jednego ze swych przodków, Aleksandra I. To usposobienie znajdowało jeszcze poparcie w domu rodzicielskim, gdyż Aleksander III również wierzył w cudowną moc natchnionych przez Boga ludzi. Na dworze swego ojca poznał młody carewicz Mikołaj dziwną postać, Jana z Kronsztadu, tego niezwykłego człowieka, który u prostego ludu, zarówno jak u starego cara, uchodził za świętego.

Jan z Kronsztadu był wprawdzie kapłanem prawowiernego kościoła, ale w oczach całej Rosji był o wiele wyższym ponad innych duchownych, gdyż przypisywano mu zdolność czynienia cudów, przepowiadania przyszłości i

leczenia chorych i cierpiących. Lud tłumnie cisnął się do kościoła, by na klęczkach słuchać jego kazań. W ciężkich sytuacjach, przed jakimś ważnym rozstrzygnięciem lub gdy ktoś z rodziny zachorował, car Aleksander przywoływał świętego na dwór, prosząc o pomoc i radę. Późniejszy car Mikołaj II pamiętał przez całe życie jedną mszę poranną w kościele w Oriandzie, gdzie Jan z Kronsztadu miał kazania przed starym, chorym carem i całą rodziną carską. W krótkich, urywanych, podobnych do okrzyków zdaniach błagał Pana Boga o łaskę i błogosławieństwo dla domu panującego; scena ta utkwiała ówczesnemu carewiczowi na zawsze w pamięci, był wtedy przekonany, że ma

przed sobą rzeczywiście świętego człowieka, posłańca bożego.

Przekonania te zresztą dzieliły z ówczesnym carewiczem tysiące pielgrzymów, wędrujących rokrocznie do Jana z Kronsztadu, by słuchać jego kazań.

A owego smutnego dnia, gdy godziny Aleksandra już były policzone, był Mikołaj świadkiem sceny, jakiej również, nigdy nie miał zapomnieć. Gdy wszedł do pokoju chorego ojca, widział ciężko dyszącego cara, leżącego na łóżku, a nad nim przechylnego Jana z Kronsztadu, który trzymając w swych rękach głowę chorego, szeptał mu słowa ostatniego pocieszenia.

Również wychowawca carewicza Mikołaja, najpoważniejszy doradca Aleksandra III, pierwszy prokurator i wpływowy mąż stanu,

Pobiedonoscew, przyjaciel i protektor Dostojewskiego, wierzył w zjawiska i moce nadprzyrodzone, mające wpływ na życie człowieka. Nie tylko wierzył w świętość Jana z Kronsztadu, ale raz nawet we własnym domu przeprowadził przy pomocy popów wypędzenie diabła. Podobnie jak Pobiedonoscew, wierzyli również i inni ministrowie cara Aleksandra w nadnaturalne siły, w cuda i proroctwa, toteż otoczenie wzmacniało jeszcze i tak już rozwinięte skłonności mistyczne młodego carewicza.

Nowego bodźca tym chorobliwym skłonnościom młodej pary monarszej dodawało jeszcze obcowanie z wielkimi książętami Mikołajem i Piotrem Mikołajewiczami i ich żonami. Zainteresowania wielkich książąt i ich małżonek ograniczały się wprawdzie do nedorzecznych i prymitywnych „seansów okultystycznych”, z przesuwaniem stolików, zaklinaniem duchów i tym podobnymi spirytystycznymi głupstwami, ale para monarsza, w poszukiwaniu odskoczni od tego pełnego udręki doczesnego życia, chwyciła się byle czego, by tylko znaleźć drogę prowadzącą do

poznania świata nadprzyrodzonego. Car i carowa, w ucieczce przed problemami realnego życia, bez zastanowienia zapędzali się w regiony okultyzmu.

W salonach Mikołajewiczów i ich małżonek odbywały się stale najróżnorodniejsze posiedzenia spirytystyczne, uwijali się wszelkiego rodzaju wróżbici, jasnowidze, kaznodzieje, „brodjadzy”, zaklinacze zdrowia i cudotwórcy. Car i carowa coraz bardziej ulegali wpływom tego koła, a kiedy oboje później całkiem usunęli się w zacisze rodzinne, Mikołajewicze jeszcze najdłużej ze wszystkich byli ich zaufanymi.

Carowa już jako narzeczona carewiczka była razem z nim na owej mszy w Oriandzie, celebrowanej przez ojca Jana; kazanie tego dziwnego mnicha było także dla niej niezapomnianym przeżyciem. Jako młoda mężatka obcowała prawie wyłącznie z Mi-kołajewiczami i Czarnogórzankami i w ciągłej obawie przed nowymi rozczarowaniami, niebezpieczeństwami i kłopotami znajdowała upodobanie w dziecinnym światku jaskrawych zabobonów, uprawianych w salonach Milicy i Anastazji.

Głową tej małej spirytystyczno-okultystycznej gminy w rodzinie carskiej był wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. Stale bywali u niego „magowie”, „wróżbici”, „zaklinacze duchów” i tym podobne, wątpliwej wartości jednostki; raz reprezentanci zachodnioeuropejskiego okultyzmu, drugim razem przedstawiciele rosyjskiej mistyki ludowej.

Później wprawdzie carowa w zupełności porzuciła spirytyzm, uprawiany w salonach swych krewnych, uważając ten kierunek za bezbożny i wielce szkodliwy dla prawdziwej wiary, ale do samego końca zachowała swą wiarę w jasnowiedzów i „pośredników” między niebem a ziemią. Wiara ta jej zdaniem była całkiem zgodna z zasadami prawosławia; nadal przebywała całymi godzinami w podziemnej kaplicy „Teodorowskiego Soboru”, przyjmowała komunię i przestrzegała wszelkich przepisów kościelnych, jednakże ciągle szukała cudotwórców, którzy by spełniali jej tęsknotę za bezpośrednim zespoleniem się z Bogiem.

Na początku dwudziestego stulecia poznała carowa pierwszego z całej masy tych cudotwórców z Carskiego Siola. Wystąpienie francuskiego „taumaturga”, doktora Philippe'a 32, dało początek całemu szeregowi owych przedziwnych seansów, które w tym czasie uchodziły za niezwykle sensacyjną przez swe dziwne pomieszanie najwyższej polityki i magii

czarnoksiężkiej. Tutaj mieszały się i łączyły ze sobą nowoczesna dyplomacja z zaklinaniem duchów, najwyższe sprawy państwowe z praktykami czarnoksiężskimi, reformy konstytucyjne z „cudownymi dzwonkami”, które rozbrzmiewały w chwili, gdy do cara zbliżał się „zły człowiek”. Na tych posiedzeniach rozstrzygali o polityce rosyjskiego mocarstwa ministrowie do spółki z czarodziejami.

Brak szacunku ze strony teściowej i dworu, jako też zarzuty otoczenia, że nie spełnia obowiązków monarchini, skoro nie daje państwu następcy tronu, powoli doprowadzały biedną carową do

chorobliwego stanu nerwowego podniecenia i ciągłej obawy; musiała więc ślepyim zaufaniem darzyć każdego, kto jej przyrzekał dać drogą cudów spełnienie jej najgorętszego życzenia.

Około roku 1901 car i carowa, przebywając wówczas we Francji, poznali cudotwórcę, doktora Philippe'a; bywał on wtedy gościem u wielkiej księżny Milicy w Compiègne, gdzie też został przedstawiony parze monarszej; od razu zrobił dobre wrażenie jako „rzeczywiście świątobliwy człowiek”, czym sobie pozyskał zupełne zaufanie carowej i cara.

Pierwotnie cudotwórca Philippe był pomocnikiem rzeźnickim i w rzeczywistości nazywał się Nizier-Vachot; był on, jakkolwiek dziwnym wydać się to może przy jego zawodzie, marzycielskiego usposobienia; z rozpaloną twarzą spędzał całe noce nad książkami o zjawach, magii i mistyce i w swych skłonnościach do mistycyzmu doprowadził do tego, że jego pan odprawił go w słusznym zresztą przekonaniu, że trudno pogodzić zawód rzeźnicki z jasnowidz-twem. Teraz dopiero rozpoczęła się doktorska kariera Nizier--Vachota, która miała go kiedyś zaprowadzić aż na dwór cara. Co dopiero zwolniony, osiadł w swej wiosce rodzinnej niedaleko Lyonu i zaczął praktykować. Jak to zwykle bywa, udało mu się w kilku wypadkach wyleczyć choroby; zwłaszcza że posiadał pewne zdolności hipnotyczne. Ale gdy kilka takich kuracji zakończyło się niepowodzeniem, zwróciły nań władze uwagę, co mu jednak zbytnio nie szkodziło, gdyż wykorzystując sytuację polityczną, zapewnił sobie przede wszystkim poparcie partii nacjonalistycznej. W krótkim czasie pozyskał rosyjskiego attache wojskowego w Paryżu, hrabiego Murawiewa, który przy sposobności przedstawił go wielkiej księżnej Milicy Mikołajewnie. Niedługo potem, jak car i carowa poznali we Francji cudotwórcę, został

tenże powołany do Petersburga, gdzie początkowo występował w salonie wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, a później dostał się na dwór cara. Odtąd kierował często odbywającymi się seansami, w których także car, a szczególnie carowa brali udział. Czarnogórzanki wystarały się panu Philippe o tytuł doktora, na czym cudotwórcy bardzo zależało. Dalsze starania doprowadziły do tego, że minister wojny, Kuropatkin, zamianował francuskiego maga lekarzem wojskowym i rzeczywistym radcą stanu, co upoważniało doktora Phillipe'a do legalnej praktyki le-

Carowa spodziewała się, że dzięki siłom cudownym doktora Phillippe'a spełni się jej gorące życzenie, prosiła więc maga o wstawiennictwo, by niebo raczyło ją obdarzyć następcą tronu. Philippe przeprowadził się ze wszystkim na zamek w Carskim Siole i rozpoczął swe egzorcyzmy, które miały carowej dać syna. W krótki czas potem rozeszła się po całym dworze radosna wieść, że cud się ziścił, ustały oficjalne przyjęcia, a sama carowa ubierała się od tej chwili w szerokie suknie i nie nosiła więcej gorsetu. Wszyscy krewni i damy pałacowe, widując teraz carową w czarnej, szerokiej, aksamitnej sukni, konstатовali z satysfakcją, że można się spodziewać radosnego zdarzenia. Car promieniał z radości i szczęścia i cały kraj radował się razem z nim.

Gdy już w końcu minęło dziewięć miesięcy, mieszkańcy Petersburga zniecierpliwieni czekali dnia i godziny, kiedy usłyszą z pe-tropawłowskiej fortecy tradycyjne strzały armatnie, których liczba miała oznajmiać urodziny syna albo córki. Przez ostatnie dni carowa nie opuszczała swoich apartamentów i pozostawała w łóżku, przed drzwiami jej sypialni stało czterech abisyńskich strażników w haftowanych szatach z białymi turbanami na głowach i uważało, by nikt nie przeszkadzał carowej. Ale dzień mijał po dniu, a radosne zdarzenie dawało wciąż na siebie czekać. W końcu, po długim zwlekaniu, otrzymał lekarz nadworny, profesor Ott, pozwolenie zbadania carowej. Ku ogólnemu przerażeniu okazało się, że carowa w ogóle nie zaszła w ciążę.

Ze względu na to, że wszyscy spodziewali się następcy tronu, Dkazało się niemożliwością na długo zataić ten tragikomiczny ?bieg okoliczności i wkrótce zaczęły dobiegać niezliczone pogłoski, które niemało zaszkodziły znaczeniu carowej.

Po tym wydarzeniu komendant pałacu polecił rosyjskiemu)
przedstawicielowi ochrony w Paryżu, Raszkowskiemu, wszcząć iokładne
dochodzenie w sprawie przeszłości doktora Philippe'a. Paszkowski sam
zredagował raport i wręczył go osobiście mini-trowi Sipiaginowi. Minister,
znając dobrze stosunki u dworu, po-adził Raszkowskiemu, by raport
wyrzucił do pieca. Ten jednak, lie usłuchawszy mądrej rady, przedłożył
swój raport carowi, co : miejsca ściagnęło nań niełaskę monarchy. Car
chciał mieć świę-y spokój i nie lubił być niepokojony. Car i carowa mimo
dozna-lych rozczarowań darzyli nadal cudotwórcę względami i zaufa-
129

niem. Po pewnym dopiero czasie Philippe, zwolniony i hojnie obdarowany, wrócił do Francji.

Żegnając się z carową, zostawił jej święty obraz z dzwonkami; automatyczne jego dzwonięcie miało, jak Philippe pouczał, oznajmiać, że człowiek zbliżający się w danej chwili do pary monarszej jest jej nieprzyjazny. Poza tym przepowiadał zdarzenie, które w późniejszym czasie miało pociągnąć za sobą bardzo poważne skutki. Zapowiedział mianowicie, że Bóg ześle carowej nowego „przyjaciela”, który jej we wszystkim będzie wiernie służył i pomagał.

Wkrótce po swym powrocie do Francji zmarł Philippe, nie mogąc przeboleć swych pięknych czasów w Carskim Siole; ciężko mu też było dostosować się do skromnego otoczenia w swym kraju rodzinnym.

Zwolennicy jego twierdzili zresztą, że wcale nie umarł lecz spełniwszy swą misję na ziemi, żywcem został wzięty do nieba

Prawosławne duchowieństwo u dworu od samego początku pa trzymało krzywym okiem na wpływ obcego cudotwórcy Philippe'a Teraz, gdy Francuz już odszedł, przyszła chwila stosowna, by pan monarszą z powrotem pozyskać dla prawosławia. Spowiednik na dworny, ojciec Teofan, którego najwięcej bolało, że car i carów; oddalili się od prawowiernego kościoła, pozostając przez długi czas pod wpływem szatańskiej zachodnioeuropejskiej magii, uważali, że czas właśnie nadszedł, by monarchę znowu nawrócić na łono rodzimej, cudownej wiary. Ojciec Teofan przypominał sobie jednego, już dawno zmarłego, rosyjskiego cudotwórcę, który jedynie wskutek karygodnego niedbalstwa nie był policzony w poczet świętych. Był to mniem] Serafim z Saratowa, który już z początkiem dziewiętnastego stulecia przepowiadał niezwykle

ważne wydarzenia; ojciec Teofan na kłonił cara, by przeprowadził kanonizację Serafima, gdyż tym świętobliwym czynem ściągnie na swą głowę łaskę nieba. Car, szczerze gołnie pod wpływem swej małżonki, od razu zapalił się do teg projektu i okazywał dużo gorliwości w przeprowadzeniu tejże kanc nizacji, jak gdyby chodziło o najważniejsze sprawy państwowe. Musiano naturalnie pokonać pewne trudności. Najznakomits2 i najpotężniejsze filary prawosławia wypowiedziały się przeciwk projektowi, w pierwszej linii uczynił to prokurator Pobiedonoscev W ostateczności stojący za carem dopięli swego, a Pobiedonoscev zaproszony na intymne śniadanko, nie mógł odmówić swej zgod;

13(5

Trzydziestego lipca 1903 roku dokonano kanonizacji Seratima wśród pełnych przepychu uroczystości, w obecności pary monarszej. Wieczorem tego samego dnia odbył się uroczysty bankiet na cześć cara; brało w nim udział całe wyższe duchowieństwo, wielka liczba dostojników państwowych, liczni książęta i urzędnicy, którzy w tym celu zjechali się ze wszystkich stron do Saratowa w słusznym przewidywaniu, że ich udział w uroczystości może być połączony z wielką korzyścią dla ich dalszej kariery.

Z nadejściem nocy pokryła się twarz carowej dziwnymi, czerwonymi plamami, co u niej zawsze było oznaką silnego zdenerwowania. Oddech był nieregularny, a świecące oczy zdradzały niepokój. Około północy nagle wstała od stołu i udała się do ogrodu.

Tam czekało na nią kilku starych popów i najzaufańszych dam pałacowych; całe to towarzystwo odprowadziło carową do świętego źródła, w pobliżu którego znajdował się grób Serafima; źródłu temu przypisywano cudowną moc, gdyż ponoć jego woda wróciła zdrowie wielu chorym biedakom, kalekom, głuchym, ślepcom i nieplodnym niewiastom.

Carowa już przy wyjeździe do Saratowa mogła naocznie przekonać się o skutecznym działaniu źródła; przedstawiono jej mianowicie grupę wieśniaków i wieśniaczek, którzy dawniej wszyscy chorowali na jakąś ciężką chorobę, teraz szli wszyscy w pochodzie, kulawi, co odzyskali władzę w swych nogach, ślepi z odzyskanym wzrokiem, głusi z odzyskanym słuchem, dawniej nieplodne kobiety z dziećmi swymi na rękach. Aleksandra postanowiła przeto na sobie samej wypróbować działanie tej wody cudownej.

Wyruszywszy więc o północy w towarzystwie trzech popów i swych dam pałacowych do źródła, udała się naprzód na grób Serafima, padła na kolana i w gorącej modlitwie błagała świętego o wstawiennictwo, by Bóg raczył spełnić jej życzenie i obdarować ją synem; jako carowa Rosji zasłużyła chyba na tyle szczęścia, akiego doznaje bodaj najzwyczajniejsza i najbardziej biedna wieśniaczka.

Po ukończeniu modlitwy udała się w towarzystwie swych dam pałacowych do źródła, gdy tymczasem modlący się popi dalej pozostali przy grobie. Złożywszy błyszczące klejnoty i uroczyście szaty, w świetle migocących gwiazd zanurzyła carowa swe ciało w cudownej wodzie.

I ziścił się cud; gdy minął przepisany czas, urodziła carowa ku

największej radości swego męża i całego kraju syna, któremu dano na imię Aleksiej.

Duchowieństwo triumfowało, mogło bowiem spokojnie to radosne zdarzenie przypisywać wyłącznie i jedynie mocy cudownej błogosławionego świętego z Saratowa. Ci wszyscy urzędnicy i dostojnicy, którzy zjechali się z wszystkich stron imperium, by brać udział w tej wielkiej uroczystości, doczekali się nagrody. Podstawiali odznaczenia i awanse, gdyż car i carowa, przekonani o łasce bożej jako o nagrodzie za kanonizację, wynagradzali każdego, który brał w niej udział, skoro Wszechmocny im samym nie poskąpił swej łaski. W pokoju, gdzie car pracował, wisiał wielki obraz świętego Serafima, a wiara w tego świętego patrona takie przybrała formy, że w czasie wojny rosyjsko-japońskiej car wysłał do armii na front wiele tysięcy obrazków przedstawiających Serafima. Rozjuszony lud ułożył na to złośliwy dowcip: „Japończycy mają granaty, nasi żołnierze natomiast posiadają święte obrazki”.

*

Jakkolwiek podniosło się znaczenie Serafima z Saratowa, nie brakło jednak w otoczeniu carowej ludzi, przypisujących zasługę urodzin następcy tronu innej czyniącej cuda osobistości. Twierdzili także, że nocna kąpiel w uświęconym źródle mogła wprawdzie dopomóc cudowi, właściwego jednak cudu dokonała jedynie „święta opętana”, młoda, słabowita wieśniaczka, Daria Ossypowa.

Bezpośrednio po ustąpieniu taumaturga Phillipe'a pokazywali się znowu u dworu „cudotwórcy” i „zbawiciele”, o których twierdzono, że zdołają drogą magii spełnić życzenie carowej. W przeciwieństwie jednak do Francuza, nie byli ci nowi cudotwórcy uczonymi doktorami i „salonowymi

magami", lecz „świętymi opętańcami" ze specyficznego rosyjskiego typu „nawiedzonych". Byli oni czysto rodzimym zjawiskiem i cieszyli się co najmniej tym samym znaczeniem co prawosławni popi. Po klęsce doktora Philippe'a, któremu rosyjskie koła dworskie miały za złe nie tyle szalbierstwo, ile obce pochodzenie, starały się te same koła wprowadzić do Carskiego Sioła prawdziwie narodowych, cieszących się najwyższym uznaniem „nawiedzonych".

Tych „nawiedzonych" można było często spotykać po wioskach; byli to przeważnie cieleśnie i duchowo niedorozwinięci mężczyźni, rzadziej kobiety, którzy poza tym najczęściej cierpieli

na epilepsję. Właśnie ten brak rozumu u tych wiejskich idiotów uchodził w oczach ludu za znamię Boże, a epilepsja dodawała im jeszcze sławy świętości. Rosyjski lud wiejski, a nawet inteligentniejsze koła już od dawna wierzyły, że ułomni, głuchoniemi, epileptycy i idioci są Bogu szczególnie mili i że w ich niezrozumiałym bełkocie, bezmyślnych dźwiękach, w dzikich okrzykach i w kurczowych wstrząsach objawia się duch Boży. Wszelkie zewnętrzne objawy u tego rodzaju idiotów były manifestacją wyższej woli Boskiej, której musiało się ślepo słuchać, gdyż więcej miała znaczenia niż marny rozum pyszałków. Ci „ubodzy w duchu” uchodzili za wybrańców, którym przypisywano cudowne moce i oddawano niezwykłą cześć.

Gdy taki bosy, brudny „nawiedzony” w podartej siermiędze Dokazał się we wsi, chłopci upadali przed nim na kolana, całowali Drzeg jego koszuli i nabożnie słuchali jego zawilej mowy, dopatrując się w niej woli Boskiej. Pewna grupa ludzi, chcących wykorzystać mistyczne skłonności parymonarszej, wysłała takiego „cudownego szaleńca” do Carskiego Sioła, gdzie przez pewien czas odgrywał dość poważną rolę. Był to Mitia Koliaba, zwany też Mitia Kozelski, 'łupkowaty kaleka z okolicy sławnego klasztoru Optima Pustyń. Był on krzywonogi, garbaty, prawie niemy, a na miejscu ramion miał dwa niekształtne kikuty. Musiano go prowadzić za rękę, gdyż miał słaby wzrok i słuch, a głos jego — było to przeważnie kilka kropnych dźwięków, które z wysiłkiem z siebie wydobywał. Gdy dostawał ataku epilepsji i zaczynał krzyczeć, głos jego brzmiał jak liesamowity skowyt, jak przeraźliwe skomlenie jakiegoś zwierzęcia, a w końcu przechodził w straszliwe ryczenie i szczekanie, zwariowane ruchy jego kikutow wzmacniały jeszcze odpychające urażenie tych przejawów, tak że

musiało się mieć nerwy ze tali, by móc spokojnie stać koło niego. Chłopi z jego rodzinnej wsi początkowo dawali mu żywność litości, nie dopatrując się zupełnie w tych zwierzęcych dźwiękach adnych przepowiedni. Dopiero mnisi z klasztoru Optima Pustyń, nieśmiertelnionego przez Dostojewskiego w „Braciach Karama-ow”, odkryli cudowne zdolności Mitii Koliaby; aczkolwiek sami ie mogli jeszcze wytłumaczyć sensu jego krzyków i bełkotu, d razu jednak poznali, że mają przed sobą „szaleńca bożego” atchnionego przez Boga, proroka.

Klucz do tłumaczenia wyroczeni

Mitii leżał w rękach psalmisty Jegorowa. Gdy psalmista modlił się przed obrazem świętego Mikołaja, głos świętego objawił mu tajemniczy sens dźwięków Mitii i nakazał, by dotychczas w tajemnicy trzymaną metodę tłumaczenia wyroczni uwiecznił wedle dyktatu na papierze. Cudowny głos dodał jeszcze, że ten szaleniec Mitia Koliaba odegra ważną rolę w historii Rosji.

Odtąd psalmista Jegorow był nieodłącznym towarzyszem cudownego opętańca Mitii Koliaby i tłumaczem jego wyroczni. Niedługo potem zdarzyło się, że Mitia przepowiedział jednej z dostojnych dam, że wkrótce urodzi syna, co się też po niedługim czasie ziściło. Wieść o tym wypadku doszła do Petersburga, gdzie budziła sensację i stanowiła szczególnie w salonie nabożnej hrabiny Ignatiew przedmiot silnego zainteresowania. Kilku członków tego znakomitego kółka postanowiło sprowadzić świętego opętańca na dwór cara, by swoją siłą cudowną pomógł carowej w spełnieniu jej gorącego życzenia. Książę Obo-leński, posiadacz dóbr spod Kozelska, znający z własnego doświadczenia działalność idioty Mitii, podjął się sprowadzenia go wraz z tłumaczem Jegorowem do Carskiego Sioła.

Pewnego więc dnia zjawili się Mitia Koliaba i Jegorow w salonach Czarnogórzanek. Przedstawiono ich parze monarszej. Mitia tylko w czasie ataku epileptycznego doznawał objawienia i okazywał cudowne siły; poza atakiem był zwykłym idiotą, nieprzyzwoicie się zachowującym, z którym trudno było dawać sobie radę. Dlatego też Mitia Koliaba nigdy nie osiągnął u dworu większego znaczenia, jak to się udawało bez trudności innym cudotwórcom.

Gdy Mitia dostawał ataku, czyniącego go jasnowidzącym, Wtedy Jegorow,

stojąc koło niego, objaśniał na podstawie swego „klucza” wydobywające się z ust idioty przeraźliwe jęki, stękania, ryki, poszczekiwanie oraz przerażające poruszenia jego kikutów. W obecności cara, carowej i Czarnogórzeńskich stawiano wijącemu się w kurczach idiotcie rozmaite pytania, na które ten z pianą w ustach odpowiadał niezrozumiałym bełkotem. Jegorow objaśniał te wyrocznie, ale pytany w sprawie urodzin następcy tronu, odpowiadał wymijająco: „Jest jeszcze za wcześnie, poród tak prędko znowu nie może się odbyć, a Mitia nie może jeszcze podać, czy urodzi się chłopak, czy dziewczyna; ale ciągle modli się o to i w krótkim czasie dokładnie o tym doniesie”.

Ileż razy powtarzały się te sceny, nigdy nie można było otrzy

mać od cudownego opętańca i jego towarzysza dokładniejszych wyjaśnień. Robiło to wrażenie, jakby idiota w tym jednym wypadku nie dopisywał i jedynym rezultatem tych posiedzeń było to, że carowa pod wpływem straszliwych krzyków i gestów dostawała spazmów.

„Nawiedzony” w krótkim czasie zniechęcił do siebie wszystkich, zwrócono się więc w inną stronę. Generał Orłów znalazł w swych posiadłościach nową czyniącą cuda osobę, szaloną kobietę, Darię Ossypową. Ta „święta opętana” w czasie ataku przepowiadała przyszłość, a pono nawet już sam jej krzyk posiadał moc czarodziejską i zdolność przywracania płodności.

Już w swojej wiosce rodzinnej, gdzie była służącą dworską, „zażegnywała uroki”, sprowadzała porody, leczyła beznadziejnie chorych i rzucała czary na wrogów. Ludność wiejska czciła ją i obawiała się jej, gdyż przypominała jedną z owych czarownic, jakich już dzisiaj prawie nie ma. Gdy dostawała ataku, musiano ją wiązać sznurami, gdyż wszystko rozbijała dookoła. Wyrzucała przy tym z siebie straszliwe przekleństwa i dla wszystkich zrozumiałe obelgi (w przeciwieństwie do Mitii Koliaby, który wydawał tylko niezrozumiały bełkot). Mimo to słuchał jej lud z nabożną czcią, ponieważ jak twierdził, w chwili gdy najwięcej szalała, nieba zsyłały na nią swe łaski i dar jasnowidzenia.

Właśnie w tym czasie, gdy Daria Ossypową, sprowadzona do Carskiego Sioła, napędzała biednej carowej strachu swymi okropnymi przekleństwami, stał się „cud” i urodził się następca tronu. Ponieważ niedługo przedtem kanonizowano Serafima z Saratowa, powstał więc spór o to, czy przypisać to radosne zdarzenie świętemu Serafimowi, czy też „świętej opętanej” Darii Ossypowej.

Carowa tak bardzo przyzwyczaiła się do obcowania z różnymi cudotwórcami, że udawała się do nich o poradę nie tylko w sprawie urodzin następcy tronu, ale podobnie zresztą jak sam car zasięgała rady u magów i cudownych opętańców w ważnych sprawach państwowych. Już doktor Philippe brał udział w ważnych naradach politycznych, a po jego ustąpieniu wzywał car przed każdym ważnym rozstrzygnięciem także Mitię Koliabę. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej ściągano kilka razy tego świętego opętańca do apartamentów cara, by swoim modlitewnym beł-cotaniem odwracał nieszczęście od armii. Car przyjmował go jeszcze w roku 1906, o czym zresztą wzmiankuje w swoim dzienniku.

Czysto politycznym cudotwórcą i jasnowidzem był w czasach pierwszej Dumy także „strannik” Antoni, następca Darii Ossypowej, po nim pojawiali się na dworze coraz to nowi „pielgrzymi” i „pokutnicy”, u których zasięgano w politycznych sprawach „natchnionych rad”.

Jakkolwiek po największej części przeważał później wśród cudotwórców żywioł rodzimy, to jednak od czasu do czasu odgrywał pewną rolę mag Papus, lekarz chorób kobiecych, dr Encausse z Paryża. Po raz pierwszy był w Petersburgu w r. 1900 i występował wtedy w towarzystwie swego przyjaciela Philippe’a. Z początkiem października 1905 r. zawezwano go znowu do rosyjskiej stolicy, by wspomagał cara w jego ciężkiej sytuacji, spowodowanej rewolucją. Doradcy cara nie zgadzali się ze sobą co do kierunku, jaki ma obrać rząd, czy ustąpić przed buntownikami, czy też stawić im opór. Wówczas mag Papus na seansie spirytystycznym zawezwał przed siebie ducha Aleksandra III, któremu Mikołaj postawił kilka pytań. Pod wpływem informacji otrzymanych na tym seansie, zdecydował się nareszcie Mikołaj II podpisać ukaz otwierający Dumę.

*

Całkiem osobliwym zjawiskiem na dworze cara był ów „doktor medycyny tybetańskiej” Badmajew, który swoją przedziwną indywidualnością o wiele przewyższał cały szereg pospolitych magów i jasnowidzów.

Wszyscy ci „taumaturdzy”, „cudowni opętani” i „mystagodzy” tylko wtedy posiadali moc objawienia, gdy opętał ich „święty szal”, gdy nieba zsyłały na nich „oświecenie”; poza tymi chwilami byli zwykłymi ludźmi. Gdy przechodziły ataki, tracili „cudowne siły” do chwili, gdy znów nawiedzała ich „łaska”.

Natomiast zdolności tybetańskiego czarodzieja Badmajewa były wyższego

gatunku. Nie zależały od przypadków, seansów, natchnienia lub chorobliwych ataków, lecz tkwiły w ugruntowanej przez wieki „tajemnej wiedzy”, we „wzniosłej tradycji tybetańskiej mądrości”. Badmajew, już w swej ojczystej Mongolii wtajemniczony w misteria cudownej medycyny i czarów, potrafił każde_ chwili poznawać ukryte siły rządzące losem i kierować nimi wedle własnej woli. Na dworze cara uchodził za jednego z ostat-

nich „mędrców Wschodu” i doznawał też dlatego więcej czci aniżeli „empiryczni cudotwórcy”.

Szczególne wartości przedstawiały dla cara rady polityczne i proroctwa tego Tybetańczyka, Badmajew nie musiał wcale przywoływać ducha Aleksandra III, gdy chodziło o ważne problemy państwowe; sam posiadał dużo doświadczenia politycznego i znajomości świata i był dobrze obeznany z subtelnymi fintami azjatyckiej dyplomacji. Rady jego, udzielane carowi, łączyły w sobie pozorną magię z prawdziwą dyplomacją i przebiegłością, trafiał niechybnie nie tylko w sedno sprawy, lecz także rozumiał jej przejawy zewnętrzne i praktyczne znaczenie.

Inni cudotwórcy jeden po drugim odchodzili, nie pozostawiając śladu po sobie, podczas gdy Badmajew cieszył się wysokim poważaniem i zaufaniem do samego końca caratu. W przeciwieństwie do tych prześcigających się wzajem „proroków” i „cudownych opętanych”, będących bądź co bądź jednorazowym zjawiskiem, ten tybetański czarodziej był czymś stałym. W historii rosyjskiej polityki jest pewien okres gdzie nie tylko car i carowa, lecz także ministrowie i cała administracja stali pod silnym wpływem Badmajewa i niejedno rozporządzenie wychodziło po myśli przepisów jego „tajemnej wiedzy”. Dziwny ten człowiek pochodził z Transbajkału i był synem Buriata; wychowanek stepów, uczęszczał później do gimnazjum w Irkucku, a potem studiował chińsko-mongolskiej języki na uniwersytecie w Petersburgu. Jako student przeszedł na prawosławie, dostając przy tym na imię Piotr Aleksandrowicz w miejsce buriackiego Szamsaran. Ojcem chrzestnym był sam car Aleksander III, który widocznie już wtedy poznał się na wybitnych zdolnościach młodego człowieka. Jako syn chrzestny

cara miał zawsze wolny dostęp do dworu i możliwość kierowania listów wprost do cara.

Po ukończeniu studiów w r. 1875 dostał posadę urzędnika w ministerstwie spraw zewnętrznych, gdzie pracował do roku 1893; równocześnie był lektorem języka mongolskiego na petersburskim uniwersytecie. Nieraz powierzano mu poważniejsze misje politycznej natury, zwłaszcza w wypadkach, gdzie chodziło o dokładną znajomość stosunków na Dalekim Wschodzie. Mikołaj II wzmiankuje o tym dość często w swym dzienniku, w jednym miejscu czytamy: „Po śniadaniu rozmawiałem z Badmajewem na temat sprawy mongolskiej”.

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej został wysłany do swej ojczyzny z misją zjednania dla sprawy rosyjskiej naczelników plemion mongolskich, przy czym wręczono mu dla ułatwienia zadania 200 000 rubli. Zadanie to przeprowadził z wielką zręcznością i wspaniałym wynikiem; nie brakło naturalnie zawistnych, którzy twierdzili, że pieniądze sobie przywłaszczył, zdoławszy załatwić sprawę bez wszelkiego przekupstwa.

Szamsaran Badmajew zapewniał, że już w domu rodzinnym zapoznał się z tajemną wiedzą medycyny i „tybetańskich czarów”, gdyż wiedza ta od najdawniejszych czasów przechodziła w jego rodzinie z ojca na syna.

Starszy jego brat Sałtyn już w sześćdziesiątych latach uprawiał w Petersburgu „azjatycką medycynę”, prowadząc „tybetańską aptekę”, która wówczas miała jeszcze mało klientów. Piotr Aleksandrowicz rozpoczął też swą praktykę w aptece swego brata, co z czasem doprowadziło ją do rozkwitu.

Już w krótkim czasie górował Piotr Aleksandrowicz nad swym starszym bratem; gdy później sam prowadził aptekę, ten mały, pokątny sklepik zamienił się w „sanatorium”. Sława czrodziej-skiego lekarza Badmajewa rosła jak na drożdżach i ze wszystkich warstw towarzyskich tłoczyli się do niego klienci, żądni kuracji w jego sanatorium.

Jego zwolennicy utrzymywali, że potrafił w cudowny sposób usuwać najbardziej uporczywe choroby, szczególnie zaś skuteczną ma być jego metoda w „ciężkich wypadkach uporczywych, nerwowych dolegliwości, w chorobach umysłowych i w fizjologicznych zaburzeniach kobiecych”.

Laboratorium zakładu Badmajewa było urządzone wedle wszelkich reguł tybetańskiej magii; jedynie mistrz miał dostęp do tego miejsca; tam też w cichym odosobnieniu przyrządzał przy pomocy magicznych tyglów i

tajemniczych formułek swe przeróżne środki: „nalewkę z kwiatów asoka”, „proszek niwrikowy”, „balsam nien-czenowy”, „czarną esencję lotosową” i „tybetański elksir życia”. Ułożył sobie własną farmakopeję dla sporządzania leków, nalewek i mikstur z magicznymi znakami, zdradzającymi jedynie wtajemniczonym sposoby sporządzania; ale wyłącznie sam mistrz rozumiał te znaki, a intruzi, którzy po rewolucji wdarli się do jego laboratorium, znaleźli tylko mnóstwo niezrozumiałych nazw, niejasnych

notatek i bezużytecznych aparatów, do których brakło im jakiegokolwiek klucza.

Co szczególnie odróżniało sanatorium doktora Badmajewa od innych tego rodzaju zakładów, to jego polityczny charakter. Kto raz, obojętne z jakiego powodu, dostał się do tego zakładu, ten znajdował się w krótkim czasie na liście kandydatów na ministrów lub na inne wysokie stanowiska państwowe. Mikstury, odwary i proszki Badmajewa, sporządzone z zagadkowych ziół stepowych, nie tylko usuwały zaburzenia w przemianie materii; kto zażywał tych lekarstw, mógł również spodziewać się wyższego urzędu państwowego. Te same nazwiska, figurujące przed kilkoma dniami na liście chorych w sanatorium Badmajewa, znajdowały się na liście ministrów nowego gabinetu lub gdzieś tam na pierwszej stronie urzędowego dziennika.

Albowiem car z przyzwyczajenia już nie tylko zasięgał rady u Badmajewa, lecz także mianował dostojników na polecenie Ty-betańczyka, a więc zamawiał ich sobie niejako z „sanatorium Badmajewa”.

W kartotece tego zakładu znajdowały się tuż obok nazwiska każdego pacjenta wzmianki o jego przynależności partyjnej i w ogóle o jego nastawieniu politycznym, a często między jedną zagadkową receptą a drugą była umieszczona, tego rodzaju uwaga jak: „prawe skrzydło musi być wzmocnione”, co odnosiło się nie do płuc, tylko do składu Dumy. Badmajew prowadził ożywioną korespondencję ze swoimi byłymi pacjentami, między którymi znajdowało się wielu ministrów i dworzan; udzielał im listownie porad lekarskich, między innymi prawideł postępowania w wypadkach nawału krwi lub obstrukcji; przy tym dołączał także wskazówki natury politycznej.

Z biegiem czasu pomieszały się ze sobą medycyna z polityką, mianowania ministrów z „esencjami lotosowymi” i w ten sposób powstała jakaś dziwna polityczno-czarnoksiężska organizacja, która wychodząc z sanatorium Badmajewa, decydowała o losach całej Rosji.

Swój wielki wpływ zawdzięczał czarodziejski doktor szczególnie skutecznej polityczno-medycznej metodzie leczenia cara; tą metodą udało mu się wyleczyć u cara chorobę żołądkową i równocześnie rozwiązać kilka problemów administracyjnych. Na nerwicę żołądkową zapisał carowi odwar z tybetańskich ziół, jak

przypuszczają, mieszaną szaleju z haszyszem, co też odniosło doskonały skutek; polityczne zaś dolegliwości monarchy wyleczył sporą porcją dyplomatycznej zręczności i politycznego rozumu.

Stanowisko Badmajewa u dworu umacniało się coraz bardziej i wszelkie usiłowania jego przeciwników, by go w jakiś sposób usunąć, były z góry skazane na niepowodzenie. Minister Chwo-stow, który bezskutecznie występował przeciwko Badmajewowi, przekonał się w końcu, że Tybetańczyk jest dzięki swoim stosunkom właściwie nietykalny.

Jeszcze w roku 1917, już po obaleniu caratu, oddziaływał wpływ jego indywidualności. Badmajew w drodze do Finlandii, dokąd jechał z panią Wyrubową i hochsztaplerem Manasewi-czem Manuiłowem ", został uwięziony przez radę marynarzy floty bałtyckiej. Już po krótkim czasie pełnym godności zachowaniem i przeprowadzeniem swoich skutecznych kuracji zdołał sobie pozyskać dozorców, tak że przestali go traktować jako więźnia.

Gdzie jednak chodziło o najważniejszą rzecz, tam i sztuka tybetańskiego czarownika nie dopisała. I on nie zdołał uleczyć carewicza, jego magiczne mikstury, formułki i sztuki nie odniosły najmniejszego skutku. Tak samo jak dawniej, otaczały łóżeczko chorego malca bezsilna troska i rozpacz, aż do dnia, gdy po raz pierwszy przystąpił do łóżka chorego Grzegorz Jefimowicz Rasputin.

Przyjaciel

Aleksandra Teodorowna, carowa Rosji, już trzeci dzień spędzała przy łóżku chorego synka. Tydzień temu, nieszczęsnego popołudnia przyniósł na górę marynarz Derewenko na swych silnych ramionach boleśnie skrzywione, prawie nieżywe ciało Aleksieja, a carowa, złamana boleścią, zobaczywszy ten obraz upadła zemdlona.

Ileż stosowano ostrożności i przesadnej troskliwości, by zapobiec nowemu nieszczęściu! A przecież stało się! Malec bawił się w parku z synkiem swego opiekuna, strzeżony przez Derewenkę i piastunkę Wiszniakową, którzy ani na chwilę oka zeń nie spuszczaali. Ale nagle Alosza, chcąc wstać z ziemi, wykonał nieostrożny, gwałtowny ruch i już blady jak trup upadł na ręce Derewenki, który w tej chwili podbiegł do niego.

Gdy go złożono na łóżeczku i ściągnięto ubranie, uwidocznił się ów groźny guz niebieskawego koloru, oznaczający niebezpieczne wewnętrzne krwawienie. Boleśnie skurczoną nóżkę podciągnęło dziecko ku sobie i tak leżało, żółtą jak wosk twarzą i ostrym noskiem przypominając raczej trupa.

Lekarze, wezwani przez zrozpaczonego cara, badali małego pacjenta, stosowali te i owe środki, naradzali się, jeszcze raz badali i w końcu musieli uznać, że są bezradni. Ale także zastosowane przez carową czarodziejskie mikstury tybetańskiego znachora nie pomogły, aczkolwiek dawniej pomagały w wypadkach, gdzie sztuka lekarska była bezradna; jak gdyby Bóg chciał ciężko doświadczyć carową, budzącą dotychczas zawiść w sercach wszystkich Rosjanek; czarodziejskie ziółka Badmajewa nie potrafiły ukoić boleści carewicza. Wtedy carowa rzuciła się na ziemię

i w błagalnych modlitwach zaklinała Boga, by jeszcze tym razem dokonał cudu i uratował jej dziecko.

Dnie i noce mijały, a cud dał na siebie czekać. Ba, cierpienia Aleksieja wzmagaly się nawet i stan jego wciąż się pogarszał. Były chwile, gdy próbował zabawiać się ze swym wychowawcą lub z piastunką, lecz po pewnym czasie boleści znowu się odzywały. Teraz zaś nie było nawet tych przerw i dziecko bezustannie krzyczało i jęczało, tak że nikt nie miał odwagi zbliżyć się do pokoju chorego.

Alosza tylko od czasu do czasu z powodu osłabienia nie wydawał z siebie żadnego głosu; wtedy udręczona carowa czuła się najgorzej, gdyż obawiała się, że lada chwila śmierć jej synka zabierze. Kilka razy dziennie zachodził car do pokoju chorego, by pocieszać swą Alix. Razu pewnego chłopak, w półśnie, poczuwszy zimną rękę ojca na swym czole, obudził się, małą swą wychudzoną rączką przyciągnął do siebie głowę cara i wśród jęków szeptał mu cichym głosem do ucha: „Papo, gdy umrę, każ mnie pogrzebać na dole w parku”.

Car ze łzami w oczach uwolnił się ostrożnie z uścisku dziecka i z głośnym szlochem wybiegł z pokoju.

Bez ruchu siedziała Aleksandra dalej przy łóżku synka, zmęczona całodziennym chodzeniem koło chorego; aczkolwiek traciła już nadzieję, nie poddawała się jednak losowi. Zaprzestała modlenia się, gdyż była przekonana, że jej Bóg więcej nie wysłucha, wpatrzona w próżnię, czekała zbliżającej się nocy. Odkąd Alosza zachorował, nie opuszczała prawie pokoju chorego, nie rozbierała się ani nie spała. Włosy jej były zaniedbane, nie uczesane, policzki zapadłe a wyraz smutku i strapienia na ziemistej twarzy przypominał starą kobietę; zaczerwienione oczy były bez

blasku, bez wyrazu.

Nagle zapukał ktoś do drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, otworzyły się i weszła cichutko Stana, wielka księżna Anastazja Mikołajewna. Carowa nie słyszała pukania. Wyrwała się ze swej sennej apatii dopiero wówczas, gdy tuż nad sobą zobaczyła rozpaloną twarz wielkiej księżnej.

W milczeniu słuchała przez pewien czas swej krewnej, po czym ze szlochem rzuciła się Stanie na szyję, a ta ją pocieszała, dodając otuchy. Malec na pewno wyzdrowieje. Niechże Aleksandra nie kłopotuje się, wkrótce wszystko zmieni się na lepsze.

142

Zapewniała ją, że Aleksiej niebawem będzie zdrowym i że wszystko się poprawi. Carowa sama odzyska miłość narodu, a złośliwe damy pałacowe i intryganci ministrowie zapadną się pod ziemię ze wstydu z powodu swych podłości; dla całej Rosji nastanie szczęśliwa epoka, jakiej kraj ten dotychczas nie znał.

Później, przeskakując z jednego tematu na drugi, jęła opowiadać szeptem o dziwnym muzyku z Syberii, o tym świętym pielgrzymie, którego ona i Milica kilka dni temu poznały. To jest niezwykle człowiek, o wiele mądrzejszy i bardziej wyposażony w Boskie moce aniżeli Mr. Philippe i doktor Badmajew. Ona, Stana, nie chce popełnić bluźnierstwa, ale wolno jej przypuszczać, że ten muzyk przewyższa świętością nawet Jana z Kronsztadu; nie tylko ona to twierdzi i jej siostra Milica, ale sam święty Jan stwierdził to samo.

W uniesieniu opisała teraz wielka księżna, jak to ostatnio w czasie nabożeństwa, w obecności dostojnych dam i w ogóle najlepszych sfer Petersburga, Jan z Kronsztadu uczcił muzyka Grzegorza Jefimowicza jako przez Boga natchnionego męża. Stało się to w ten sposób: Ojczulek Jan ukończył właśnie nabożeństwo; cudownie przemawiał jak zawsze i cały kościół wypełniony był po brzegi wiernymi. Damy były w przepysznych toaletach i w długich rękawiczkach „wedle ostatniej mody”. Kapłan ukończył właśnie mszę i mając w rękach Święty Sakrament, zawołał: „Przystąpcieź wierni w bojaźni Bożej!” Wśród wielkiego ścisku zbliżyły się damy, by przyjąć komunię i błogosławieństwo świętego. Nagle stało się coś niezwykłego.

Damy chciały właśnie precisnąć się do ojczulka Jana, gdy ten z blaskiem w oczach odszedł od ołtarza, podniósł prawą rękę do góry i silnym głosem

zawołał: „Zatrzymajcie się! Znajduje się dzisiaj między nami godniejszy, bardziej zasługujący na to, by jako pierwszy przyjąć Święty Sakrament — oto ten skromny pielgrzym, stojący tam między wami!” — Przy tym wskazał na całkiem pospolitego muzyka, który stał w tyle, w tej części kościoła, gdzie zwykle żebracy, ślepcy i ułomni słuchają nabożeństwa. Wszyscy, przestraszeni, obejrżeli się za wskazanym przez ojczulka Jana człowiekiem. Był to rzeczywiście pospolity muzyk, w zwykłym kozuchu baranim, w ciężkich, smarowanych łożem butach, z kijem wędrownym w rękę i z torbą na plecach. Mimo to nie uszło uwagi dam, tak przynajmniej z wszelkimi szczegółami

opowiadała Stania hrabina Ignatiew, że muzyk posiada cudowne oczy, oczy, jakich jeszcze u żadnego człowieka nie zauważyły. Ale najbardziej dziwiło zachowanie się pielgrzyma. Można przecież było przypuszczać, że wyróżnienie go przez ojca Jana oszołomi go całkiem. Ten dziwny człowiek nie był nawet zdziwiony, a cóż dopiero zmieszany; spokojnym krokiem zbliżył się do ikonostasu, przyjął Świętą Komunię i pobłogosławił nawet świętego ojca Jana!

To zdarzenie wywołało naturalnie w salonie hrabiny Ignatiew olbrzymie wrażenie; informowano się, skąd przybył ten obcy pielgrzym i kim właściwie jest. Wielka księżna opowiadała więc dalej carowej, jak to archimandryta Teofan spotkał pielgrzyma w korytarzu gospody klasztornej, gdzie wszczął z nim rozmowę. Następnego dnia zjawił się Teofan w salonie hrabiny Ignatiew i dokładnie opisał wrażenie, jakie wywarł ten syberyjski muzyk na nim samym, na biskupie Hermogenie i na czcigodnym mnichu Iliodorze. Lecz nie tylko ci księżęta kościoła zachwycali się pobożnością, głęboką wiedzą i wrodzoną mądrością cudotwórcy Rasputina; także trzeźwo myślący ludzie, profesorowie, adwokaci, oficerowie i urzędnicy, którzy go poznali na zebraniu „wszechrosyjskiego związku”, byli nim oczarowani i przeświadczeni o jego świętości.

Ojciec Teofan wprowadził później niezwykłego muzyka do znajdującego się w Sergiejewie pałacu wielkiej księżny Stany i jej małżonka; Rasputin szczególnie podobał się księciu. W dalszym ciągu opowiadania dowiedziała się carowa, że zgłosiła się do wielkiego księcia delegacja „prawdziwych Rosjan” z prośbą o sprowadzenie nowego świętego do Carskiego Sioła i przedstawienie go parze monarszej. Wierzano, że przez

tego muzyka przemawia „głos ziemi rosyjskiej”, sama dusza świętego ludu rosyjskiego.

Sama Stana uważała za stosowne poprzeć ten projekt u carowej; „prawdziwi Rosjanie” byli przecież najwierniejszą i najbardziej pewną ostoją monarchii, a cokolwiek zalecali carowej, zawsze służyło tronowi i dynastii. Mikołaj i Alix z całą słuszością nie ufali otaczającym ich obłudnikom, którzy rozmyślnie ukrywali przed nimi prawdziwe stanowisko narodu; atoli muzyk Grzegorz Jefimowicz był rdzennym Rosjaninem, przy tym szczerym prawowiernym chrześcijaninem, znającym lud, jego poglądy i życzenia,

i on chyba jedyny potrafiłby doradzić carowi, jak zwalczyć przeklętych rewolucjonistów.

Ale bardziej cenne było to, że Grzegorz Rasputin posiadał cudowną moc uzdrawiania ludzi, nawet beznadziejnie chorych. Stana wierzyła w to święcie od chwili, gdy prosta, ale czcigodna i nabożna mieszcza, wdowa Baszmakowa, pojawiła się w Petersburgu i opowiadała, że Grzegorz Rasputin już przed przybyciem do stolicy uchodził w swych stronach rodzinnych za świętego i cudotwórcę, że przychodziły doń matki ze swymi dziećmi, nieuleczalnie chorzy mężczyźni i kobiety i wszystkim tym ludziom zdrowie przywrócił. Sama Baszmakowa przeznaczyła swój cały znaczny majątek na cele dobroczynne z wdzięczności za przywrócone jej przez ojczulka Grzegorza zdrowie.

Poza tym Stana była wprost oszołomiona wrażeniem, jakie na niej wywarła osoba Rasputina i nie tylko ona sama, lecz także jej mąż, siostra i szwagier, poznawszy Rasputina, byli wręcz przejęci jego świętością. Od tego czasu bywał Grzegorz Rasputin u Stany jak i u Milicy i jej męża Piotra Mikołajewicza. Kiedy Rasputin odwiedził Stanę i dowiedział się od niej o złym stanie zdrowia biednego carewicza i o rozpaczycy Aleksandry, rzekł: „Powiedz tylko carowej, żeby więcej nie płakała; ja jej synka uzdrowię! A gdy już raz wdzieje mundurek, zdrowy rumieniec okrasi mu lica!”

Pierwszy raz od wielu dni zawitał uśmiech na twarzy carowej, gdy tak słuchała nowinek siedzącej u jej stóp Anastazji Mikołajewnej. Z początku naturalnie carowa ledwo słuchała, przygnieciona jeszcze ciężarem trosk i obaw o zdrowie syna; później jednak zaczęła, początkowo jeszcze pół świadomie, pojmować, o co chodziło: ten muzyk chciał cara, ją samą i

małego Aleksieja uchronić od zamachów rewolucjonistów, chciał uratować Rosję i prawosławny kościół, a także uzdrowić ich drogiego, jedyne Aloszę.

Stopniowo napływała krew do bladej z niewyspania twarzy carowej, powoli oczy nabierały blasku i ożywiały się. A gdy Stańa później naśladowała pocieszny sposób mówienia Rasputina, powtarzając jego słowa w narzeczu chłopskim, wtedy carowa chcąc nie chcąc musiała się uśmiechnąć. Wszystko, co ten muzyk mówił o „uzdrawianiu” i o „rumieńcach na twarzy”, było takie naiwne i serdeczne, że Aleksandra już teraz czuła do niego wielką sympa-

cię. Chciała jak najprędzej poznać tego ciekawego człowieka i postanowiła tego samego dnia jeszcze pomówić o tym z carem.

Gdy Stana zauważyła, że carowa, niepomna swych trosk, zainteresowała się „ojczulkiem Grzegorzem”, ogarnął ją wielki zapał; jej i tak wielkie podniecenie w mówieniu doszło do ekstazy. Z niezwykłą wnikliwością opisała zewnętrzny wygląd Grzegorza, szczególnie jego oczy, ich cudowne spojrzenie. Mówiła o przemożnej sile tego spojrzenia, zacierającej wrażenie, że się ma przed sobą zwykłego muzyka. Wielka księżna zwolniła z uścisku kolana carowej i dalej mówiła, gestykulując przy tym niezwykle żywo; powtarzając słowa nowego świętego, kreśliła w powietrzu swoimi rękoma jego postać i ruchy. Jej pełen temperamentu sposób opowiadania i płomienny zapał porywały carową.

W pokoju chorego zapadał zmrok, ostatnie promienie dziennego światła przedzierały się przez szyby. Aleksandra raczej wyczuwała, aniżeli widziała w półmroku namiętą gestykulację swej przyjaciółki. Półsenna, po trzech nie przespanych nocach, wsłuchiwała się w słowa Stany, wypowiedane w narzeczu chłopskim Rasputina i miała wrażenie, jak gdyby wyłaniała się z ciemności pokoju wysoka, surowa postać muzyka z długimi włosami i brodą, o spojrzeniu pełnym dobroci i łagodności.

„Przypominasz sobie, Alix”, ciągnęła wielka księżna, „co ci doktor Philippe powiedział, gdy musiał stąd odejść? Przepowiedział, że Bóg ześle wam nowego przyjaciela, który będzie wam pomocą i podporą! Wierz mi, Alix, to on jest tym przyjacielem, zapowiedzianym przez Philippe'a! On ocali Rosję i uzdrowi ci również syna! Bóg wam go zesłał!”

Oczy Aleksandry, wlepione w ciemność pokoju, zdawały się wprost widzieć nowego „przyjaciela”, podchodzącego do łóżka i podnoszącego do góry

rękę, jakby do udzielenia dziecku błogosławieństwa. „On twemu synowi przywróci zdrowie!” powtórzyła Staną czystym i silnym głosem. Carowa również zaczęła głośno mówić:

„Jakaś ty dobra dla mnie, Stano! Ty i Milica, jedynie wy kochacie mnie!”

Ścisnęła przy tym rękę Stany z gwałtownością, jak to zwykle czynią ludzie, gdy chcą komuś wyrazić głęboką miłość i wdzięczność.

Weszła piastunka, by zapalić światło, a zaraz po niej przyszedł

również car. Wszyscy podziwiali zmieniony wygląd carowej: od wielu dni siedziała bez słowa, rozpaczała i płakała, a teraz nagle odzyskała wesołość i kazała nawet nakryć do kolacji.

Przejęty car całował rękę Stany. „Ona i Milica”, myślał sobie, „są ze wszystkich krewnych jedynymi szczerymi, przyjacielskimi duszami. A mimo to wiecznie podburzają mnie przeciwko nim!” Wciąż wmawiano weń, że Czarnogórzanki ujemnie wpływają na carową, że są prostackie, zabobonne i bez manier i że mimo wychowania w Smolnym Instytucie nadal są „chłópkami”, jak należało się spodziewać po córkach księcia chłopów. Szczególnie stary zrzęda, hrabia Witte, wciąż żalił się i ostrzegał, i stale powtarzał, że przychylność Stany i Milicy dla carowej pochodzi wyłącznie z egoistycznych pobudek.

Wiecznie podburzano cara przeciw Czarnogórzankom; on atoli dobrze wiedział, co oznaczają te intrygi. Aż nadto dobrze znał swoich dworaków i ministrów, te godne najwyższej wzgardy kreatury, których jedynym celem było pochlebstwem wyłudzić dla siebie korzyści. Wszelkie ujemne wieści o Stanie i Milicy były jedynie oszczerstwem! Teraz właśnie był świadkiem, jak Stana przywróciła jego kochanej Alix wesołość i pogodę ducha. To go też przekonało, że ci inni są oszczercami. Jakżeż nie cenić kobiet i nie okazywać im wdzięczności, skoro one jedynie potrafią szczerze pocieszyć carową w jej smutku!

Zanim Aleksandra przyszła do stołu, Anastazja w tym czasie opowiadała carowi o Grzegorzu Jefimowiczu, Bożym mężu z Syberii. Następnie wszyscy troje mówili o nim i Aleksandra prosiła wielką księżnę, by carowi opowiedziała o wszystkim, co o pielgrzymie słyszała. Pierwszy raz od wielu dni był znowu wesoły nastrój u pary monarszej.

Nawet wtedy gdy carowa pośpieszyła do pokoju chorego i zastała carewicza jeszcze wciąż bladego, z podciągniętymi nóżkami i wydającego jęki, nawet wtedy czuła się lepiej, gdyż teraz przynajmniej miała nadzieję, że w końcu przecież wszystko zmieni się na lepsze.

Gdy po niedługim czasie udała się na spoczynek, przypomniała sobie owe słowa, jakie jej powiedział Philippe przy pożegnaniu. Czy rzeczywiście nadeszła ta chwila i Bóg nareszcie wysłuchał jej błagań, zsyłając jej nową podpórę, nowego przyjaciela?

Kilka dni później siedział Mikołaj z Aleksandrą w swoim ga-

binecie. Zbliżała się godzina dziewiąta, Alix liczyła niecierpliwie minuty; nasłuchiwała, zwrócona w kierunku drzwi, jak gdyby stamtąd zbliżały się kroki, przybiegła do biurka męża, wołając: „Już idzie!” Myliła się; zegar na kominku wybił dziewiątą godzinę, a gorąco oczekiwanego gościa wciąż jeszcze nie było. Carową ogarniał strach, zmieszany z niecierpliwością; piersi podnosiły się i opadały pod krótkim przyśpieszonym oddechem, na twarzy występowały groźne czerwone plamy.

Także car był zdenerwowany, przerzucał akta i raporty leżące na biurku i zmuszał się bezskutecznie do ich czytania. Były tam raporty i doniesienia o nowych powstaniach, zamachach i buntach, czekające podpisu ukazy na zawieszenie stanu wyjątkowego w różnych guberniach i obwodach olbrzymiego imperium. Ileż kłopotów sprawiały te nowe rewolucyjne idee! Car w ostatnich czasach nie kończył w zwykłych godzinach swej dziennej pracy, musiał więc niekiedy do późna w nocy zostawać przy biurku.

Tego jednak wieczoru praca w ogóle nie posuwała się naprzód. Mikołaj ukrywał wprawdzie swój stan podniecenia, choćby dla spokoju ukochanej Alix, ale długie czekanie wyczerpywało cierpliwość i niepokoiło duszę. Bowiem muzyk Grzegorz Jefimowicz wywarł na nim, tak samo jak na carowej, głębokie wrażenie. Zapewne ojczulek Grzegorz był zwykłym muzykiem, ale jego naturalny i prosty sposób zachowania się, jego szczere wejście i mądre powiedzenia ujmowały z miejsca każdego.

Car, przywołując w pamięci swych ministrów, generałów i adiutantów, nie znajdował u nikogo tak niewinnej i dobrotliwej twarzy jak u Grzegorza Rasputina. Ten prosty muzyk od razu oświadczył gotowość przyjścia z pomocą małemu Aloszy i już sama obietnica niezwykle uspokajała

Aleksandrę; od pierwszego opowiadania Stany o mocy cudownej tego świętego człowieka carowa żywiła nowe nadzieje i wiarę w przyszłość. Niechże już tylko przyjdzie! Stała przecież obiecała przywieźć go swym powozem z Siergiejewa do Carskiego Sioła, tak że najpóźniej o dziewiątej miał już być w pałacu.

Car wstał i dotknął ramienia swej żony: „Tylko się nie przejmuj, Sunshine”, mówił, „nie denerwuj się, nie ma powodu!”

Poczyniono rzeczywiście wszelkie przygotowania i syberyjski cudotwórca mógł bez zwracania czyjejs uwagi dostać się do pałacu, by poddać Aloszę swoim leczniczym zabiegom. Gdyby ojciec

Grzegorz chciał zwykłą drogą, przez salę przyjęć, wejść do pałacu, musiałby poddać się potrójnej kontroli: policji pałacowej, konwoju i straży pałacowej. Zatrzymywano by go ze dwadzieścia razy i wypytywano o cel wizyty; wpisywano by jego nazwisko do dwudziestu ksiąg; zwrócono by się telefonicznie do naczelnego oficera straży, do ochrony pałacowej, do komendanta pałacu, a także odpowiedź tego najwyższego funkcjonariusza przechodziłaby przez kilka instancji, zanimby gość uzyskał dostęp. A mogłoby się trafić, że jedna z tych instancji, mając pewne zastrzeżenia, odprawiłaby w ogóle przybysza.

Bowiem wielokrotny kordon agentów w uniformach i cywilu otaczał cara i carową; każdy gość podlegał najdokładniejszej kontroli, a także każdy krok pary monarszej był strzeżony i protokołowany z dwadzieścia razy.

Często zwracała się też Aleksandra ze smutkiem do swego męża:

„Jesteśmy tutaj więźniami, mój kochany Niki!”

Tym jednak razem przygotowano wszystko, by ominąć tego rodzaju przykrości. Rasputin miał bocznym wejściem w tyle pałacu dostać się niepostrzeżenie do apartamentów carskich. Wejście to prowadziło do zwykle zamkniętej tylnej klatki schodowej, tam też czekała teraz wierna piastunka carewicza, Maria Wiszniakowa, na przybycie cudotwórcy, by go przez ciemną sień po schodach sprowadzić do pokojów cara. Aż do tego wejścia miał Rasputin być pod opieką Stany, która jako częsty gość w Carskim Siole, nie ściągałaby na siebie zbytnej uwagi straży w tej części pałacu. Usunięto więc wszystko, co mogłoby stać na przeszkodzie wizycie Rasputina.

Car dla uspokojenia małżonki chciał właśnie jeszcze raz jej to wszystko

wy tłumaczyć, gdy nagle otwarły się drzwi i stanął w pokoju cara muzyk syberyjski, Grzegorz Jefimowicz, z długą brodą i nie czesanymi włosami, odziany w długi, czarny kaftan. Tuż za nim weszła Wiszniakowa.

Skrzyżowała ręce na brzuchu, zwyczajem kobiet z ludu, gdy czemuś się dziwią; jej szeroko rozwarte oczy i półotwarte usta przedstawiały obraz najwyższego zdumienia. Była tak dalece oszołomiona, że zapomniała widocznie o obecności cara i carowej.

Grzegorz Jefimowicz, zwracając się tuż przy wejściu do swej towarzyszki i widząc jej osłupienie, zapytał z szyderstwem: „No, duszko, cóż to się tak gapisz?”

Przestraszona piastunka teraz dopiero uświadomiła sobie położenie i omal nie zemdląca z przestachu; płonąca ze wstydu, dygnęła i w największym pośpiechu szukała wyjścia. Na widok sceny, odgrywającej się teraz w pokoju, stanęła w drzwiach jak wryta. Grzegorz Jefimowicz, z wesołym uśmiechem, podszedł do pary monarszej i każde z osobna uściskał i ucałował.

W pokojach carewicza gotowano się właśnie do spędzenia kolejnej bezsennej nocy, gdy nagle Grzegorz Jefimowicz w towarzystwie carowej i Wiszniakowej z największą ostrożnością wszedł do pokoju chorego. Bledziutki Alosza leżał na łóżku, z małą twarzyczką wykrzywioną bólem i wysoko podciągniętą nóżką. Wiszniakowa podeszła do niego i cicho zapytała, jak się czuje, ale na pół omdlały chłopak leżał dalej bez ruchu i tylko postękiwał.

Rasputin, wszedłszy do pokoju, natychmiast uklęknął w kącie przed ikonami i odmówił na pół głośno modlitwy; skończywszy, wstał, zbliżył się do łóżka chorego, pochylił się nad nim i uczynił znak krzyża.

Alosza, otworzywszy oczy, utkwiał zdumiony wzrok w nieznanego, brodatego mężczyznę, który się doń poważnie i zarazem przyjaźnie uśmiechał. Przestraszył się nawet na widok nieznanego, natychmiast jednak wyczuł, że mu nic złego nie grozi.

„Nie bój się tylko, Alosza, wszystko dobrze się skończy!”, mówił doń nieznanomy dźwięcznie melodyjnym, pełnym dobroci, a zarazem silnym głosem. Leżącemu w gorączce chłopcu zdawało się, że jakiś boski głos doń przemawia. „Widzisz, Alosza”, mówił dalej nieznanomy i rękę swą przesuwając po całym ciele chłopca, od głowy do stóp, „teraz już nie masz szkaradnych bólów! Nic cię więcej nie boli, a jutro już będziesz zdrowy!

Wtedy zobaczysz, jak się wesoło zabawimy ze sobą!"

Onieśmiałego nieco chłopca cieszyły niezgrabne pieszczoty tych szorstkich rąk; uśmiechnął się, a nieznajomy silnym głosem dalej mówił: „Wiesz, jak byłem taki maleńki jak ty, to bawiłem się w takie cudowne zabawy, jakich na pewno nie znasz, pokażę ci je!" I Grzegorz opowiadał chłopcu o figlach i żartach, jakie wyprawiał w swej wiosce rodzinnej z innymi chłopskimi dziećmi; mówił następnie o bezkresnych przestrzeniach Syberii, których nikt jeszcze nie przemierzył! I cały ten kraj należy do ojca i mamy Aloszy i będzie kiedyś do niego, do Aloszy, należał, gdy tylko pod-

rośnie, będzie zdrowy i silny. Kraj jest pokryty lasami i stepami bez końca, a także ludzie w nim są odmienni od ludzi w Petersburgu.

Miły nieznajomy siedział na brzegu łóżka i głaskał dziecko po rączkach. Jak tylko Alosza wyzdrowieje, tak przyrzekł nieznajomy, zabierze go wtedy ze sobą na Syberię i pokaże mu wszystko, co sam już kiedyś widział. A on, Grzegorz, widział już wszystko, i ludzi, i miejsca, jakich nikt oprócz niego nie widział.

Chłopak z coraz większą uwagą słuchał tych opowiadań; oczy jego rozszerzały się i nabierały blasku. Zapomniał całkiem, że jest chory, że go boli; wyciągnął nogę i siadł sobie wyżej na poduszkach, by móc lepiej słuchać historii nieznajomego z ciemną brodą.

Milcząca carowa zauważyła te ruchy dziecka i w śmiertelnej obawie, że Alosza znów się skaleczy, krzyknęła przestraszona: „Uważaj, Alosza, wiesz przecież, że musisz być ostrożnym!”

„Zostaw już, mamó, chcę się przysłuchiwać!” odpowiedział chłopak i zwrócił się do Grzegorza Jefimowicza, prosząc go błagalnie: „Bardzo cię proszę, opowiadaj mi dalej!”

Rasputin wdzięcznie się uśmiechnął. „Masz słuszość, Alosza”, ciągnął „nic cię przecież więcej nie boli! Powiedz mamusi, żeby się niczego nie obawiała; nic złego ci się nie stanie, ja jestem przy tobie!” I mówił dalej o Syberii, a później przeszedł do bajek. Chłopak słuchał w najwyższym podnieceniu bajek o garbatym koniu, o rycerzu bez nóg i o rycerzu bez oczu, o Ale-nuszce i Iwanuszce, o niewiernej carewnie, która się w białą kaczkę przemieniła, o carewiczu Wasylim i pięknej księżniczce Helenie. Grzegorz Jefimowicz mówił o życiu kwiatów na dalekich stepach Syberii, gdzie każdy kwiat i każde stare drzewo w lesie posiadają swą duszę i

rozmawiają z sąsiadem. Także zwierzęta mają swą mowę, a on sam jako dziecko rozumiał dobrze szepty koni pomiędzy sobą, w stajni.

„Widzisz Mario”, zwrócił się zachwycony chłopak do swej piastunki, „ja ci zawsze mówiłem, że zwierzęta mają swą mowę! Tylko ty nie wiesz o tym!”

A Wiszniakowa, wpatrzona w Rasputina, słuchała jego opowiadań i nie mogła odeń oczu oderwać. Przytakiwała tylko głową na znak potwierdzenia.

„My obaj natomiast”, mówił carewicz z tajemniczym uśmie-

enem do Grzegorza Jefimowicza, „my obaj dobrze wiemy, że zwierzęta umieją mówić! Prawda, opowiesz mi o wszystkim, czego dowiedziałeś się od koni!”

Tymczasem zrobiło się dość późno, rzekł więc Rasputin, uśmiechnięty: „Jutro, Alosza, jutro ci więcej opowiem!”

Także carowa zapewniała synka, że dobry ojczulek na pewno przyjdzie jutro wieczorem; długo jednak musiał go on zapewniać, zanim się uspokoił i pożegnał z Grzegorzem Jefimowiczem. Ten już był przy drzwiach, gdy Aleksy jeszcze raz proszącym głosem zwrócił się do niego: „Ojczulku, ale na pewno przyjdiesz! Bo, bo jeśli nie przyjdiesz, nie będę spał!” Już drzwi się zamknęły za gościem, a uszczęśliwiony chłopak miał wciąż jeszcze wzrok wlepiony w to miejsce, gdzie znikł nieznajomy z wielką brodą.

„Mario, kto to był?” zapytał Wiszniakową. . „Święty pielgrzym, Aloszo”, odpowiedziała prawie nieprzytomna i rozmarzona piastunka. ..Święty człowiek, który ci przywróci zdrowie! Bóg go zesłał twojemu ojcu i matce!”

„Święty!” powtórzył chłopak i zmęczony zasnął.

Gdy Grzegorz Jefimowicz opuszczał pokój chorego, carowa, przejęta i do głębi wzruszona, z wdzięcznością ucałowała jego rękę.

Rasputin zrobił nad nią znak krzyża. Ostatnie jego słowa brzmiały: „Wierz tylko w moc mej modlitwy, a syn twój żyć będzie!”

Grzegorz Jefimowicz przychodził teraz co wieczór; prosty syberyjski muzyk i mały carewicz zawarli ze sobą nierozzerwalną przyjaźń. Niekiedy był Aleksiej bardzo niecierpliwy i prosił kogoś z otoczenia, by poszedł po ojczulka, bo ojczulek opowiada takie cudne, wesołe lub smutne historyjki i

bajeczki.

Aleksiej skakał z radości, gdy wchodził Rasputin, często nawet biegł do kancelarii ojca i wykrzykiwał:

„Papo, papo, pan nowy znów przyszedł!”

W całej carskiej rodzinie nazywano go ze względu na carewicza

„Nowym”. Po pewnym czasie dostał Rasputin odręczne pismo od cara, zezwalające na noszenie przydomka „Nowy”.³⁴

Przychodził więc Rasputin prawie co wieczór przez tylne schody do pałacu carskiego, całował cara i carową i wszyscy siadali

wygodnie, by słuchać opowiadań Grzegorza o jego dalekich wędrówkach, o życiu syberyjskich chłopów. W takie wieczory pozostawał carewicz dłużej w pokoju cara; w jedwabnym szlafroczku niebieskiego koloru siedział na kolanach Rasputina i wciąż zdumiony słuchał jego opowiadań. Także starsze siostry Aloszy, a nawet sam car i carowa słuchali z zapartym oddechem tego dziwnego człowieka 35.

Pewien wyższy urzędnik dworski mówił raz o Rasputinie:

..Rasputin rzeczywiście cieszył się zaufaniem i miłością cara i carowej. Dodawał im otuchy, rozweselał ich, pobudzał do czynu, pocieszał i pouczał. Niekiedy obchodził się z nimi dość ostro i ganił, wtedy nawet płakali przed nim. Potrafił ich jednak udobruchać kartami i wesołymi historyjkami, tak że po pewnym czasie nie mogli wprost żyć bez niego 36".

Szczególnie starsze carewne omawiały z nim zawsze jakieś tajemnicze sprawy, ilekroć przychodził do pałacu. Rasputin był ich najzaufanym doradcą, przychodziły do niego ze swymi sprawami, jakie zwykle zajmują młode dziewczęta. Jednej z nich np. podobał się jakiś oficer, zaraz więc zwierzała się Rasputinowi, a gdy go przypadkowo nie było, pisała doń list z prośbą o poradę.

Wielka księżna Olga Mikołajewna, zakochawszy się raz w pewnym oficerze imieniem Mikołaj, napisała z Liwadii do Rasputina: „Kochany, drogi przyjacielu!

Bardzo mi smutno, że Cię już tak długo nie widziałam. Tęsknię za Tobą i często myślę o Tobie. Gdzie spędzisz święta Bożego Narodzenia? Proszę Cię, napisz mi, jestem szczęśliwa, ilekroć dostaję list od Ciebie.

Przypominasz sobie jeszcze, co mi raz mówiłeś o tym Mikołaju? Ach,

gdybyś wiedział, jak trudno mi usłuchać Twojej rady! Proszę Cię, wybaczyć mi, że ze mnie taka słaba istota, mój dobry przyjacielu! Daj Boże, by Mama była zdrowa tej zimy, inaczej bowiem będzie mi bardzo smutno! Cieszę się bardzo, że mogę od czasu do czasu widywać ojca Teofana; niedawno temu spotkałam go w nowej katedrze w Jałcie. Nasza mała kapliczka domowa jest przepiękna. Do widzenia, mój drogi, kochany przyjacielu, muszę już iść na herbatę! Módl się za swoją wierną i gorąco Cię kochającą Olgę".

Także Anastazja, najmłodsza carewna, często pisywała do Grzegorza Jefimowicza.

„Mój kochany, drogi, jedyny przyjacielu!”, tak zaczyna się jeden z jej listów.

„Śniłam dzisiaj o Tobie. Wciąż pytam się Mamy, kiedy do nas przyjedziesz, i już jestem szczęśliwa, jeśli Ci przynajmniej przesyłam pozdrowienia. Gratuluję Ci Nowego Roku, życzę Ci dużo zdrowia i aby Cię w nowym roku czekały same radości. Stale myślę o Tobie, mój kochany, jesteś tak dobry dla mnie! Już tyle czasu nie widziałam Cię, jednak nie ma wieczoru, żebym nie myślała o Tobie. Życzę Ci wszystkiego najlepszego! Mama powiedziała mi, że zobaczę Cię u Ani, skoro tylko przyjedziesz. Już teraz cieszę się z tego powodu Twoja Anastazja”.
Najwięcej przywiązany do Rasputina był naturalnie mały carewicz; szczególnie tajemniczość tego syberyjskiego muzyka pociągała fantazję chłopaka.

Już głos Rasputina przez telefon działał nań kojąco. Gdy chłopak cierpiał na przykład na ból głowy, jedna z carewien łączyła go telefonicznie z Rasputinem, a ten dodawał chłopcu otuchy, opowiadał mu bajkę i przyrzekał, że jutro przyjdzie; to wystarczało, by chłopak z miejsca się uspokajał.

Jedna z przyjaciółek Rasputina opisuje taką rozmowę telefoniczną, którą słyszała, gdy znajdowała się wraz z innymi gośćmi w salonie Rasputina. Zadzwoił właśnie telefon i Carskie Sioło zgłosiło się przy aparacie. Rasputin wziął słuchawkę do ręki i słuchał.

„Co?”, zawołał nagle, „Alosza jeszcze nie śpi? Ucho go boli?”

Przyprowadźcie go do telefonu!”

Ruchem ręki prosił obecnych o spokój i dalej mówił do aparatu:

„No, Aloszka, co ci jest, dlaczego nie śpisz? Boli cię coś? Ależ to

nieprawda, nic cię nie boli! Zaraz połóż się spać! Ucho cię więcej nie boli, ja ci to mówię, nie boli cię więcej! Słyszysz! Idź spać!"

Po kwadransie doniesiono z pałacu, że ból ucha ustał i carewicz już śpi.

Cała rodzina carska kochała, wprost ubóstwiała Grzegorza Je-fimowicza:

rodzice i dzieci nazywali go ojczulkiem Grzegorzem, przyjacielem, starcem. Często bywał na nabożeństwie celebrowanym w krypcie

Teodorowskiego Soboru przez nadwornego popa, ojca Wasyljewa. muzyk

Grzegorz stał wtedy razem z carową i jej

dziećmi przed ikonostasem, gdzie przyjmowali komunię i wymieniali pocałunki pokoju, przy czym Rasputin całował carową w czoło, carowa zaś Rasputina w rękę.

Dziennik cara zawiera kilka krótkich notatek o pierwszych wizytach Rasputina w Carskim Siole. Zapiski te zaczynają się od słów: „Poznałem męża Bożego imieniem Grzegorz z tobolskiej guberni.” Nieco dalej czytamy: „Wieczorem byliśmy na Sergie-jewskiej i widzieliśmy się z Grzegorzem”. Kilka miesięcy później pisze znowu: „Kwadrans na siódmą przyszedł do nas Grzegorz; przyniósł ze sobą obraz świętego Szymona z Wierchoturia, przywitał się z dziećmi i zabawiał się z nimi do kwadrans na ósmą”. Wpływ Rasputina ilustruje dobrze dopisek: „Milica i Staną u nas na obiedzie; przez cały wieczór mówiliśmy o Grzegorzu”.

Wizyty starca w Carskim Siole nie mogły jednak wiecznie odbywać się bez przeszkód; dzięki dobrze funkcjonującemu aparatowi szpiegowskiemu dowiedział się cały dwór o pojawieniu się nowego cudotwórcy. Agenci bowiem generała Spirydowicza 37 mieli także na oku tylne wejście do pałacu i donosili swojemu szefowi jak najdokładniej o każdej wizycie Rasputina. W krótkim czasie zaczęli urzędnicy dworscy knuć spiski i niebezpieczne intrygi przeciwko bezczelnemu muzykowi, który wcisnął się do rodziny carskiej.

Zachowanie się Rasputina mogło też wywołać oburzenie i przerażenie dworaków. Rasputin zachował także w pałacu carskim swoje chłopskie maniery, uderzał w stół pięścią, gdy mu się coś nie podobało, i w ogóle traktował cara jak sobie równego.

Jako pierwsza wystąpiła przeciwko Rasputinowi wychowawczyni carewicza. Starzec miał zwyczaj w czasie wizyty wieczornej wstępować

do pokoju wielkich księżniczek, które już wtedy leżały w łóżkach, i udzielać im błogosławieństwa. Pannie Tiuczew, jako opiekunce wielkich księżniczek, nie podobały się te wizyty, uprosiła więc cara, by Rasputinowi zabronił wstępu do dziewczęcych pokojów.

Także Mr. Gilliard, wychowawca carewicza, nie był szczególnie zachwycony nowym przyjacielem swego ucznia i często usiłował wypowiedzieć się o tym przed parą monarszą. Każde jednak z rodziny cesarskiej, jakby związane jakąś tajną umową, wystrzegało

się przed Gilliardem tego drażliwego tematu, a carowa zabroniła nawet surowo dzieciom mówienia z Gilliardem o Grzegorzu Je-fimowiczu. Zdawało się carowej, że ten pedantyczny Szwajcar nigdy nie potrafi ocenić rzeczywistej wartości i świętości Rasputina, unikała więc wszelkiej dyskusji na ten drażliwy temat.

W tym czasie mnożyły się plotki i skandaliczne historyjki między młodymi i starymi damami pałacowymi; twierdzono, że Rasputin po swej pierwszej wizycie w Carskim Siole zhańbił piastunkę Wiszniakową; ta pono żaliła się carowej, która jej jednak nie uwierzyła, a nawet ją surowo zganiała.

Powtarzano też wieści, że carowa szyje własnoręcznie koszule dla Rasputina, że on sam jest łajdakiem, który już w swym miejscu rodzinnym uchodził za zdrożnego człowieka. Dlatego też nazwano go tam „Rasputinem”, co miało oznaczać brudasa, rozpustnika, hańbiciela dziewcząt. O tym ostatnim doniesiono potajemnie carowej, która też postanowiła sprawę gruntownie zbadać. Wysłała zaufaną osobę do Pokrowskoje, by tam na miejscu przeprowadziła badania. Okazało się jednak, że nazwisko Rasputina nie ma nic wspólnego z jego dawniejszym prowadzeniem się. Sama wieś Pokrowskoje nazywała się dawniej „Padkino Rasput-je”, skąd też pochodziło, że wiele rodzin tamtejszych nosiło już od setek lat nazwisko „Rasputin”.

Oszczerstwa i podejrzenia nie oszczędzały również kielkującej przyjaźni między Rasputinem a tybetańskim znachorem, Badma-jewem; widywano obu często razem, dlatego też zrodziła się pogłoska, że Rasputin leczy chorego carewicza proszkami z „apteki” Badmajewa. Kilku dworaków utrzymywało nawet, że Badmajew stale uprzedzał Rasputina, ilekroć miała

nastąpić poprawa w stanie zdrowia u carewicza; w takich wypadkach Rasputin pośpiesznie udawał się do Carskiego Sioła i odprawiał modlitwy, a dwór wierzył, że cudy Rasputina uzdrowiły carewicza.

Stary, wielce taktowny hrabia Fredericks uważał za stosowne w takich rozgłośnych, niepokojących sprawach udawać nie wiedzącego o niczym. Pytany o sąd w sprawie Rasputina, odpowiadał z miłym uśmiechem, że nigdy jeszcze nie słyszał o takim człowieku. Ta odpowiedź uwalniała go od obowiązku stawania po czyjejkolwiek stronie.

Z adiutantów przybocznych przedsiębrał pewne kroki przeciwko Rasputinowi jedynie rzadko trzeźwy grubianin admirał Niłow.

Gdy car się o to rozgniewał, admirał natychmiast rozpoczął starania o pozyskanie Rasputina; w późniejszym czasie próbował jeszcze raz wystąpić przeciwko Grzegorzowi, ale i tym razem bez skutku. Inni adiutanci w ogóle nie mieli odwagi krytykować Rasputina; tacy jak Sablin, Loman, książę Putjatin, Malcew i inni byli wprawdzie wielce niezadowoleni ze wzrastającej wciąż potęgi Rasputina, ale na zewnątrz dokładali wszelkich starań, by żyć z nim w najlepszej przyjaźni.

Pułkownicy Loman i Malcew z czasem regularnie nawet pośredniczyli w korespondencji między carową a jej przyjacielem.

Pojawienie się Rasputina u dworu niesłychanie poruszało przeróżne salony polityczne i bywających tam aferzystów, intrygantów, karierowiczów i szpiegów. Koniuszy nadworny Burdukow jako pierwszy trafnie rozpoznał znaczenie zmienionej sytuacji w Carskim Siole; przyjaźń wszechmocnego ojczulka, tego „nad-cara”, była dlań bardziej cenna, aniżeli wszelkie interwencje kamerdynerów i adiutantów.

Z przyjemnością słuchali ci ludzie, że ten „nadcar” brał łapówki i prowizje, pił chętnie maderę i cenił towarzystwo pięknych kobiet, przyciskał do serca damy z towarzystwa, ale także kurtyzany i pokojówki, dotykając ich piersi z lubością, lecz jeszcze w znośnych granicach przyzwoitości. Goście Burdukowa wyciągali z tych ludzkich słabości świętego korzyści dla siebie; najwięcej jednak zdolności w tym kierunku okazywały baronowa Rosen i piękna księżna Dołgorukowa. W salonie baronowej bywały przecież liczne kobiety, odpowiadające najwybredniejszym wymaganiom, „inżynier” troszczył się o najlepsze wina, toteż Grzegorz Jefimowicz bardzo chętnie bywał w domu baronowej, gdzie przy szklance madery zabawiał się z hrabinami i

kurtyzanami.

W salonie hrabiny Ignatjew wywoływał Rasputin prawdziwy szal zachwytu. To tam właśnie Grzegorz Jefimowicz występował po raz pierwszy, tam też od dawna uchodził za świętego, tak że jego pobyt w Carskim Siole był niejako triumfem samej hrabiny Ignatjew. Reakcyjni politycy, uważający dawniej słowa Rasputina za szczyt mądrości, uznawali je teraz po prostu za wzniosłe i boskie; kobiety, którym się dawniej tylko podobał, obecnie wpadały w szal miłosny. Coraz częściej urządzano wieczorki towarzyskie, na których omawiano cudowne czyny i powiedzenia starca, ogłaszając go nowym „Zbawicielem”. Wszyscy rozkoszowali się tą my-

.57

śla, że gości między nimi prawdziwy „Zbawiciel”, z którym można przy herbacie i papierosach poruszać najgłębsze sprawy nieba i ziemi.

Towarzystwo petersburskie było dumne z tego, że żadne inne miasto na świecie nie może się poszczycić tego rodzaju sensacją.

Tymczasem wizyty Rasputina w pałacu ustały prawie zupełnie, car bowiem, pod wpływem wciąż mnożących się plotek, postanowił nadal przyjmować Rasputina jedynie na neutralnym terenie. Domek Ani Wyrubowej niedaleko pałacu nadawał się do tego najlepiej. Ania, podobnie jak carowa, poznała starca u wielkiej księżny Milicy i od tego czasu uważała go za świętego. W swej naiwnej duszy wierzyła święcie, że Grzegorz Jefimowicz jest posłańcem Bożym, któremu nieba oddały opiekę nad domem panującym i zdrowiem carewicza. Chętnie więc objęła rolę gospodyni i pośredniczyła w spotkaniach Aleksandry z Grzegorzem Jefimowiczem.

Tymczasem Grzegorz Jefimowicz miał do zwalczenia kilka groźnych przeciwników; byli to jasnowidze i cudotwórcy, broniący swej dotychczasowej pozycji u dworu. Badmajew, najmądrzejszy z nich, od razu przyłączył się do Rasputina; także Jan z Kronsztadu musiał chcąc nie chcąc stanąć po stronie Rasputina, pierwszy bowiem w Petersburgu uznał go za świętego. Nie wypadało przecież, by on, Jan, prorok, przyznał się do pomyłki, jakkolwiek chętnie by dał do zrozumienia, że Rasputin jest szalbierzem.

Pomniejszych cudotwórców, typu „nawiedzonych”, pojawienie się Rasputina doprowadzało do wściekłości. Mitia Koliaba dostawał raz po raz ataku szału, jęczał i poszczekiwał, wywijał kikutami i rzucał wszelkie możliwe klątwy na intruza w swoim jedynie, dla psalmisty Jegorowa

zrozumiałym bełkocie. Na pół obłąkana epilepticzka Daria Ossypowa zapalała gorącym afektem do Rasputina i prześladowała go, gdzie tylko mogła, swoimi krzykliwymi propozycjami.

Równocześnie prawie z Rasputinem pojawili się w Carskim Siole inni dwaj „nawiedzeni”, brodjaga Oleg 38 i jasnowidz mnich Madary, Grzegorzowi Jefimowiczowi udało się jednak z łatwością usunąć z drogi tych konkurentów.

Inaczej przedstawiała się sprawa ze słynnym w tym czasie brodjaga, starcem Wasylim; ten w odpowiednią porę porozumiał się ze swym wielkim kolegą Rasputinem, zyskując w nim protektora i obrońcę przeciw prześladowaniom ze strony arcybiskupa.

Przez kilka pierwszych lat wpływy Rasputina nie wychodziły poza kółko carskiej rodziny; pozycja jego nie była jeszcze utrwalona, unikał więc wszelkimi siłami rozgłosu i nie eksponował się zbyt. Dopiero po pewnym czasie zaczął się mieszać w sprawy państwowe, a szczególnie obchodziły go sprawy kościelne.

W r. 1911 Rasputin nakłonił cara do tego, by mianował wbrew protestowi synodu biskupem tobolskiej diecezji prostego i niewykształconego mnicha Warnawę. Warnawa był swego czasu chłopcem ogrodowym w pewnym klasztorze, później został mnichem; od dawna zaprzyjaźniony z nim Rasputin, starając się o mianowanie tego byłego chłopca ogrodowego biskupem, chciał tym samym dać nauczkę wyższemu klerowi. Grzegorz Jefimowicz, prosty i nie-oczytany muzyk, nie znosił przedstawicieli prawowiernej teologii i z największą radością spletał teraz figla synodowi i wielkim dostojnikom kościelnym.

Z tego też powodu wyższe duchowieństwo zerwało z nim zupełnie, a także „prawdziwi Rosjanie” odsunęli się od niego, ponieważ ostro występował przeciwko ich polityce. Wyrażał się przy każdej sposobności, że potęga cara powinna opierać się o zwykły lud i jego miłość.

„Prawdziwi Rosjanie” głosili wprawdzie coś podobnego, przynajmniej wówczas, gdy przyjmowali Rasputina do swych szeregów, ale pojęcie „ludu wybranego” pozostało dla nich pustym frazesem, gdy tymczasem Rasputin, jako prosty chłop, rozumiał to dosłownie, wskutek czego musiało dojść do konfliktu między nim a jego protektorami. Gdy w kołach „prawdziwych Rosjan” padło raz słowo o tym, że lud jest pod względem politycznym niepewnym elementem i że łatwo go buntować, Grzegorz Jefimowicz wybuchnął namiętnie:

„Jeśli to prawda”, zawołał, „to chyba tylko ci ponoszą winę, co sztucznie utrzymują lud w nieświadomości! Przypatrzcie się temu, co dzieje się na wsi! Nie ma tam ani szpitali, ani szkół, natomiast jest karczem bez liku! Zatruwają nas, chłopów, wódką! Zamiećcież wpierw przed własną chałupą, zanim obwiniać zaczniecie lud i Żydów! Widzicie jeno źdźbło w oku bliźniego, a w swoim nie widzicie belki!”

Te i tym podobne mowy Rasputina spowodowały odsunięcie się całej kliky reakcyjnej od cudotwórcy, którego dawniej popierała, a teraz chętnie by utraciła. Wielkie wpływy tej kliky za-

chwiały też pozycję Rasputina. Grzegorz Jefimowicz postanowił więc śmiałym czynem ubiec swych wrogów: wziął do rąk kij wędrowny i udał się na pielgrzymkę do miejsc świętych wschodniego chrześcijaństwa, do Kijowa, Konstantynopola i Jerozolimy. Uzasadnił to tym, że źli ludzie zohydzili jego czystą duszę, a sam też czuje, że zbyt słabo odpierał pokusy szatana; odkupi tę słabość pielgrzymką pokutną 39

Decyzja Rasputina podniosła nadzwyczajnie jego znaczenie w oczach cara, a szczególnie carowej, dla której stała się wyrazem jego czystego i niewinnego charakteru. Carowa zareagowała w tym wypadku tak samo jak chłopi z Pokrowskoje, gdy Rasputin wrócił do nich po swej pierwszej, wielkiej wędrówce; dla nich był ten „kaznodzieja z podziemi” mimo swych przeszłych grzechów i rozpusty świętym, a teraz carowa nie mniej od nich wierzyła w świętość starca. Kiedykolwiek Rasputin oddawał się pijaństwu i rozpuście, tłumaczono to sobie tym, że jako nabożny człowiek jest więcej narażony na pokusy szatana. A gdy po takim okresie rozpusty rozpoczynał z powrotem umartwienia i pokutę, wszyscy mówili, że „święty w walce na głowę pobił szatana”.

Pierwsze pogłoski o rozwiązłym życiu Rasputina i niezaprzeczone tego dowody nie zdołały zachwiać wiary carowej w świętość swego przyjaciela. Gdy donoszono jej o całowanych przez Rasputina kobietach, wskazywała na braterskie pocałunki pierwszych apostołów; doniesienia o libacjach i orgiach uważała za potwarze na świętego męża albo za kuszenie szatana, którego Rasputin na pewno zwycięży.

Swoją pokutną pielgrzymką dowiódł zresztą Rasputin, że uwolnił się ze szponów szatana, dlatego też po swoim powrocie z Ziemi Świętej został mile i z czcią przyjęty przez carową.

Po krótkim czasie nowe niebezpieczeństwo grozić zaczęło starcowi ze strony prezydenta ministrów, Kokowcewa, który wpływy Rasputina uważał za wielce szkodliwe. Już poprzednik Kokowcewa, Stołypin, nie znosił Rasputina, zauważywszy jednak, że car niechętnie słucha ujemnych uwag o Rasputinie, nie poruszał więcej tej sprawy. Kokowcew już od pierwszej chwili powziął gwałtowną nienawiść do Rasputina i postanowił go za wszelką cenę wydalić ze stolicy.

Już przedtem jako minister skarbu usiłował przekupić starca, ofiarując mu 200.000 rubli pod warunkiem, że wyjedzie i osiedli

się na zawsze w Pokrowskoje. Rasputin odmówił wówczas tłumacząc, że gotów jest wyjechać, jeśli mu tylko „papa” rozkaże, za pieniądze natomiast — nigdy. Rozzłoszczony tym niepowodzeniem Kokowcew udał się wprost do cara i zwrócił uwagę na to, że Rasputin jest szalbierzem, który ściągnął na siebie oburzenie całej opinii publicznej⁴⁰.

Car lekceważącym ruchem ręki przerwał Kokowcewowi i zapytał z uśmiechem: „Pan więc zważa na to, o czym piszą w gazetach?”

„Tak jest, Najjaśniejszy Panie”, odpowiedział na to Kokowcew, „szczególnie wtedy zwracam uwagę, gdy rzucają potwarze na cara. Lecz w tym wypadku znajdujemy krytyki nawet w najbardziej lojalnych gazetach!”

Car znudzony odrzekł: „Ci krytycy są idiotami! Ja znam Rasputina!”

Kokowcew zmieszał się, jeszcze raz jednak poprosił monarchę, zaklinając go w imię dobra dynastii o pozwolenie wysiedlenia Rasputina ze stolicy.

Car na to chłodno odpowiedział: „Dobrze, ale ja mu to sam powiem, by wyjechał i więcej nie wrócił!”

Car rzeczywiście poprosił Rasputina w bardzo delikatnych słowach, by na pewien czas opuścił stolicę. Rasputin poczyni! natychmiast przygotowania do wyjazdu. Przy pożegnaniu powiedział Mikołajowi i Aleksandrze:

„Wiem, źli ludzie chcą mi zabrać waszą miłość. Nie dajcie im posłuchu! O ile ze mną zerwiecie, postradacie w przeciągu sześciu miesięcy waszego syna i koronę!”

Carowa na to wybuchnęła łzami, wołając: „Jakżeż moglibyśmy odejść od ciebie? Czyż nie jesteś jedynym naszym obrońcą i najlepszym przyjacielem?”

Upadła przed Rasputinem na kolana i prosiła o błogosławieństwo ⁴¹.

Było to jesienią, carska rodzina wyjechała jak zwykle w okolice Grodna, do Puszczy Białowieskiej, gdzie car chętnie polował na żubry.

W tych opuszczonych okolicach nawiedziło rodzinę carską nowe nieszczęście. Carewicz w powrotnej drodze z wycieczki łódką po jeziorze skoczył gwałtownie na suchy brzeg, przy czym uderzył kolanem o kamień, tak że powstało wewnętrzne krwawienie. Gdy po lekkiej poprawie carowa zabrała swego syna

na przejażdżkę, stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Wstrząsy powozu sprawiały mu nieznośne bóle, tak że niemal półżywego musiano na rękach zanieść do pałacu.

Lekarze stwierdzili obrzęk w okolicy pachwiny, opuchnięcie stopy i wysoką gorączkę. Aleksiej jęczał bez przerwy i nie dopuszczał do badania, każde bowiem dotknięcie zranionych miejsc sprawiało mu nieznośny ból. Stan chorego wciąż się pogarszał, a lekarze przygotowywali już na najgorsze. Objawy zatrucia krwi budziły obawę przed groźnymi komplikacjami.

W całej Rosji odprawiono w tym dniu modlitwy błagalne, a rodzice nie opuszczali pokoju chorego. Carowa, uspokajając chorego, wspominała o Grzegorzu, co tak podziało na chłopca, że zapragnął koniecznie widzieć ojczulka. Gdy pod wieczór pogorszyło się, carowa w tajemnicy przed lekarzami i dworem wysłała swą przyjaciółkę Anię z błagalną depeszą do Pokrowskoje, by Rasputin modlił się o zdrowie chorego. Tej samej nocy przedziwna odpowiedź nadeszła, która nadzwyczajnie uspokoiła carową. Nazajutrz zebrał się cały dwór w salonie, dopytując się troskliwie o stan zdrowia carewicza. Carowa z jakimś szczególnym uśmiechem na twarzy odpowiedziała, że lekarze wprawdzie nie stwierdzają poprawy, lecz ona mimo to jest spokojną, dostała bowiem telegram od ojczulka Grzegorza. Po czym wobec wszystkich odczytała depeszę: „Bóg wysłuchał Twych modłów i płaczu. Nie smuć się. Twój syn żyć będzie. Niech go tylko lekarze zostawią w spokoju”.

Carowa pośpiesznie udała się do pokoju chorego i pokazała mu depeszę starca. Chłopak niezmiernie się ucieszył wiadomością, że Grzegorz

Jefimowicz zapowiedział mu uzdrowienie, i natychmiast się uspokoił. Po kilku godzinach spadła gorączka i znikły również bóle.

Lekarze po ponownym zbadaniu stwierdzili zanik obrzęku w okolicy pachwiny i orzekli, że niebezpieczeństwo minęło. Zaznaczyli przy tym, że często w wypadkach, gdzie sztuka lekarska okazuje się bezsilna, natura sama sobie pomaga; carowa jednak była zdania, że życie swego ukochanego Aleksieja zawdzięcza jedynie modłom błagalnym Rasputina. Pierwszy raz od dłuższego już czasu spędziła wieczór spokojnie w towarzystwie cara i Ani.

Po kilku dniach przeniesiono carewicza do Carskiego Sioła. Carowa dopięła tego, że powołano po raz wtóry Rasputina na

dwór. Zdaniem carowej pobyt Rasputina w stolicy był niezbędny w wypadku nowego nieszczęścia jedynie Rasputin mógłby dać pomoc. Kilka lat minęło i Rasputin znowu miał sposobność wybawienia Aleksieja z kolejnego nieszczęścia. Car dowodził wówczas armią rosyjską i przebywał w głównej kwaterze w Baranowiczach, a później w Mohylewie. Razu pewnego zabrał carewicza na przejażdżkę koleją, mimo że Rasputin był temu przeciwny.

Pociąg ruszył. Carewicz stał przy oknie, przylegając twarzą do szyby. Nagle na skutek wstrząsu wagonu dostał krwotoku z nosa. Przy hemofilii najmniejsze krwawienie jest groźne, a niemożność ówczesnych lekarzy zupełnego zatamowania krwi powiększała jeszcze grozę położenia. Na nic zdały się próby tamowania krwi podejmowane przez przybocznego lekarza, doktora Derewenkę; musiano cofnąć pociąg dworski do Carskiego Sioła, dokąd carewicz przybył już bardzo osłabiony.

Carowa, powiadomiona o wypadku, natychmiast wysłała Wy-rubową po Rasputina. Ten wkrótce przybył do pałacu, zrobił nad chorym znak krzyża, pomodlił się przed ikonami i uspokoił wszystkich zapewnieniem, że Bóg jeszcze tym razem podarował carewiczowi życie.

Carewicz natychmiast się uspokoił, gdy tylko ujrzał zbliżającego się do łóżka Rasputina; po kilku godzinach stan jego znacznie się poprawił, gorączka spadła i krwawienie ustało. Rasputin wrócił w świetnym humorze do domu i chełpił się później przed przyjaciółmi, że car chyba teraz będzie pilniej przestrzegał jego rad i przepisów.

Już od samego wstąpienia na tron trapiła parę monarszą troska o następcę tronu. Przed urodzeniem się Aleksieja zalewali dwór magowie i cudotwórcy, którzy przyrzekając carowej spełnienie jej życzeń, zdobywali

tym niezmiernie wpływy. Po narodzinach carewicza car i carowa w obliczu ciągle grożącej katastrofy siłą rzeczy zdani byli na człowieka, który stale wybawiał ich syna z nieszczęsnych sytuacji. Jakkolwiek bądź dwór tłumaczył sobie cudowne zabiegi Rasputina, przypisując wyniki jego osobliwym wpływom czy też dziwnemu zbiegowi okoliczności, to w każdym wypadku carowa była święcie przeświadczona o tym, że Bóg współdziała za pośrednictwem świętego męża Grzegorza Jefimowicza.

Już poprzedni cudotwórcy z Carskiego Sioła zdołali wywrzeć znaczny wpływ na sprawy polityczne; doktor Philippe brał udział w posiedzeniach cara i ministrów; podczas wojny rosyjsko-japońskiej zasięgał car rady u cudotwórcy — opętańca Mitii Koliaby, a także doktor Badmajew był stałym doradcą w kwestiach dyplomacji.

Toteż nie należy się dziwić, że wpływy Rasputina nie ograniczały się do prywatnych i religijnych spraw; carowa starała się usilnie zużytkować mądrość tego przez Boga zesłanego męża dla dobra państwa. Nigdy nie powątpiewała w boskość natchnienia Grzegorza i święcie wierzyła w myśl proroctwa Philippe'a, że sam Bóg zesłał im tego doradcę i przyjaciela. Podobnie jak swego czasu „związek prawdziwych Rosjan”, wierzyła carowa, że Rosję i dynastię uratuje jedynie jakaś akcja wychodząca z łona ludu, a pojawienie się prostego muzyka Grzegorza Jefimowicza łączyła w mistyczny związek z tą akcją; sądziła, że Bóg zesłał swemu ukochanemu carowi tego natchnionego muzyka, by ten był łącznikiem między władcą a ludem i carowi objawiał duszę rosyjską.

Im bardziej odbiegało zachowanie Rasputina od surowej etykiety dworskiej, tym silniej czuła, że ma przed sobą prawdziwego przedstawiciela ludu; wyczuwała, że ten człowiek w przeciwieństwie do innych, ukrywających prawdę dworaków, wypowiada szczerze i otwarcie, co myśli i czuje. Grzegorz Jefimowicz był w jej oczach posłańcem Bożym, który przedkłada carowi życzenie ludu.

Car początkowo odnosił się do Rasputina z wielką rezerwą. Carowa uważała za najświętszy obowiązek usunięcie za wszelką cenę tej nieufności. Zaklinała swego męża, by słuchał rad przyjaciela, pochodzą bowiem od Boga samego, i starała się przekonać cara wszelkimi środkami,

by zaufał przychylności Rasputina.

Później, w czasie wielkiej wojny, gdy car przebywał w głównej kwaterze, w swych listach do Mikołaja wciąż wskazywała na świętość Rasputina i prosiła swego małżonka, by słuchał rad przyjaciela. Raz na przykład pisała:

„W książce *Amis de Dieu* mówi jeden ze starych przyjaciół bożych, że kraj, którego władca radzi się męża opatrznosciowego, nigdy nie zginie. To rzeczywiście prawda! Musimy więc tylko jemu wierzyć i zasięgać jego rady; nie wolno nam przypuszczać, że on nic nie rozumie, musimy raczej sobie zdawać sprawę z tego, że

sam Bóg wszystko mu objawia. Dlatego też ludzie, choć nie pojmują jego duszy, podziwiają jego rozum! Cokolwiek on pobłogosławi, przynosi zawsze dobre wyniki, każda jego rada jest trafna, co do tego możemy być całkiem spokojni. Ręka nieba kieruje jego życiem, a w osądzaniu ludzi błądzi on rzadziej aniżeli my sami..."

Innym znów razem donosi carowa swojemu mężowi o spotkaniu z Grzegorzem Jefimowiczem:

„Wczoraj byłam u Wyrubowej na obiedzie z naszym przyjacielem Rasputinem... Daj się tylko kierować przez niego, to jest, za jego pośrednictwem, przez Boga! Wierz jedynie tylko Rasputinowi, jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną! Rasputin żyje wyłącznie dla Ciebie i dla Rosji..."

„Zdaj się na rady naszego przyjaciela Rasputina!", pisze w innym liście.

„Nawet dzieci nasze twierdzą, że cokolwiek się dzieje wbrew jego wskazówkom, źle się kończy, co on zaś zarządzi, udaje się zawsze..." Inny znów list opiewa: „Kochanie, wytrwaj i ufaj naszemu przyjacielowi!... Nie pisałabym o tym wszystkim, gdybym nie była tak niespokojna o Ciebie, wiedząc, że łatwo ulegasz! Musimy Ci tedy dodawać otuchy, ja, Twoja biedna, mała żonka, Ania i nasz przyjaciel! Dlatego to nienawidzą nas niewierni i złośliwi ludzie, za nasz wpływ na Ciebie... Troszeczkę tylko więcej cierpliwości i ufności do modłów i pomocy naszego przyjaciela, a wszystko dobrze się skończy i nadejdą wspaniałe czasy dla Twego panowania i dla całej Rosji!"

Carowa była święcie przeświadczona o potędze modłów Rasputina, a nawet wierzyła, że ma władzę nad siłami przyrody. Jesienią 1915 roku gęste mgły przeszkadzały ruchom armii rosyjskiej, pisała więc do swego

małżonka, do głównej kwatery:

„Nasz przyjaciel modli się przez cały czas i prosi, by go natychmiast zawiadomiono, jeśli się coś szczególnego przydarzy. Gdy mu opowiadano o mgle, robił mi wyrzuty, dlaczego mu o tym przedtem nie mówiono. Modlił się w dalszym ciągu i zapowiedział, że mgła odtąd nie będzie więcej przeszkadzała”.

Obok wiary w cudowne siły przyjaciela przypisywała również Aleksandra cudowną właściwość pewnym drobnym przedmiotom, nad którymi Rasputin wymawiał słowa błogosławieństwa. Car znajdował się wtedy w głównej kwaterze, gdy dostał od carowej zawiadomienie z prośbą, by przed powołaniem ministrów na naradę przeczesał swe włosy grzebieniem podarowanym mu przez Ra-

sputina. List ten poparła jeszcze depeszą: „Idę do kościoła, gdzie zapalam świeczkę przed obrazem Matki Boskiej, by Cię Bóg wspomagał! Nie zapomnij o grzebieniu Rasputina!”

Car z początku jeszcze opierał się urokowi tego syberyjskiego muzyka, lecz z czasem* pod wpływem swej ukochanej Alix uległ zupełnie jego czarowi. Nie było to zresztą dla niego rzeczą trudną, ponieważ od najwcześniejszej młodości był skłonny do mistycyzmu i wiary w „zbawicieli”. Z biegiem czasu stał się więc podobnie jak carowa wielbicielem starca. Tłumaczył się przed jednym z adiutantów w czasie przechadzki:

„Widzi pan, dokuczają mi jakieś troski lub zmartwienia, wtedy mi zupełnie wystarcza, jeśli pięć minut rozmawiam z Rasputinem; to mnie uspokaja i dodaje otuchy. Zawsze mówi mi to, co w danej chwili jest potrzebne, i to wystarcza mi na całe tygodnie...”

Przywiązanie do przyjaciela wprawiało niekiedy cara w kłopotliwe położenie, szczególnie gdy chodziło o to, by w myśl życzeń Rasputina spełniać różne prośby. Grzegorz mianowicie miał zwyczaj wysyłania ludzi przychodzących do niego z prośbą wprost z listem polecającym do Carskiego Sioła; dla cara, było niekiedy dość trudne mimo głębokiej czci dla starca spełniać na ślepo wszelkie prośby petentów, pochodzących z najróżno-rodniejszych klas społecznych.

Z czasem doprowadził car do tego, że tylko w wyjątkowych wypadkach przysyłał Rasputin petentów wprost do niego; powtarzało się to jednak od czasu do czasu i car bywał wtedy w wielkim kłopotcie, szczególnie gdy Rasputin o protekcję dla swego faworyta zwracał się równocześnie do carowej.

Jak bardzo car mimo wszystko czcił Rasputina, zbawcę swego syna, można poznać z kilku uwag, jakie raz sam Rasputin zrobił przed mnichem Iljodorem: „Papa objął mnie raz ramieniem, spojrzął mi mocno w oczy i zawołał: Grzegorzu, ty jesteś Chrystusem! Uśmiechnąłem się przy tym, a on jeszcze raz powtórzył: Tak jest, jesteś Chrystusem! Innym znów razem siedzieliśmy przy stole i papa zwrócił się do mnie ze słowami: Grzegorzu, ty wiesz, jak ja cię kocham! Proszę cię, przychodź do nas codziennie, ale nie dawaj się wykorzystywać przez ludzi! Doprawdy trudno mi nie spełniać twych próśb!”

Znamienny jest także epizod, który miał miejsce pewnego dnia w porze obiadowej w Carskim Siole. Carewicz nagle

zwrócił się do ojca z zapytaniem: „Papo, czy Grzegorz Jefimowicz jest świętym?” Car wtedy poprosił obecnego tam również popa nadwornego Wasyljewa, by dał odpowiedź carewiczowi. Pop, zakłopotany, dał wymijającą odpowiedź, z której wynikało, że Rasputin niekoniecznie jest świętym; car wstał wtedy gwałtownie od stołu i przerwał rozmowę.

*

Przekonania polityczne Rasputina i droga ich urzeczywistniania odpowiadały w zupełności jego naturze; w tym sensie był Grzegorz Jefimowicz przedstawicielem ludu u dworu. W całym swym usposobieniu pozostał prostym muzykiem, rozumiał życzenia i myśli prostego ludu. Okazywało się to szczególnie w chwilach, gdy chodziło o wojnę lub pokój. Grzegorz Jefimowicz nienawidził wojny, jak jej prosty lud nienawidzi, w przeświadczeniu, że w pierwszej linii ponoszą ciężary i ofiary najniższe klasy społeczne. W roku 1912 starał się wielki książę Mikołaj Mikołajewicz pod wpływem swej małżonki, Czarnogórzanki, nakłonić cara do wmieszania się w konflikt bałkański, Rasputin natomiast używał wszelkich środków, by odwieść cara od tych awanturnych zamiarów.

„Pomyśl tylko, co stanie się z tobą i twoim ludem!”, powiedział raz carowi. „Twój dziadek pomagał Bułgarom w wyzwolaniu się spod jarzma tureckiego! I jakże się oni odwdzięczyli swemu wybawcy, matczynej Rosji? Czyż sądzisz, że ojcowie nasi, którzy krew przelewali dla tych niewiernych Tatarów, pobłogosławią swych synów, idących na tę wyprawę krzyżową? Dajmy na to, zwyciężymy! Co dalej? To niby znaczy nieść pomoc naszym słowiańskim braciom! A czyż Kain nie był bratem Abla?” Pod wpływem tych słów Rasputina car porzucił zamiary co do wojny

bałkańskiej.

Gdy w roku 1914 zanosiło się na wojnę światową, Rasputin również bronił interesów muzyków przed carem. Niestety, nie było mu dane występować przed Mikołajem i wpływać odpowiednio na niego, leżał bowiem jako ofiara zamachu w szpitalu tiumeńskim 42.

Zaledwie jednak dowiedział się o grożącej wojnie, wysłał telegram do cara z prośbą, by za wszelką cenę unikał wojny i nie

dał się powodować ambicją przeczulonej Serbii do kroków brzemiennech w nieprzewidziane skutki. Tym jednak razem nie pomogło, zabrakło jego osobistego wpływu. Jeszcze po kilku latach zapewniał Grzegorz Jefimowicz, że mógłby wtedy zapobiec wojnie, gdyby nie leżał chory, z dala od stolicy.

Aż do swej śmierci zaznaczał Rasputin swą niechęć do wojny i silnie podkreślał konieczność natychmiastowego rozejmu. Pa-leologue opowiada o ciekawej rozmowie ze starcem na temat wojny:

„W krótkich, urywanych zdaniach”, raportuje ambasador, „roztoczył przede mną Rasputin pełen patosu obraz cierpień, jakie naród rosyjski znosi wskutek wojny”.

„Mamy aż nadto trupów, za dużo rannych, nazbyt ruin, za wiele łez! Pomyśl o tych nieszczęśliwych, którzy więcej nie wrócą, nie zapominaj o tym, że każdy z nich pozostawia pięciu, a może dziesięciu ludzi, którzy po nim płaczą! Znam wioski, wiele wsi, w których każdy mieszkaniec płacze po kimś! A ci co z wojny wracają, Boże mój, jakżeż oni wyglądają! Kaleki, bez ręki, ślepi! Coś okropnego! Przez więcej aniżeli dwadzieścia lat zbierać będziemy plony tych cierpień!... Wiesz, gdy lud nazbyt cierpi, wtedy staje się złym, może się stać straszliwym w swym gniewie.

Dochodzi do tego, że zaczyna mówić o republice! Opowiedz tylko o wszystkim carowi!”

A w rozmowie z księciem Jusupowem, swym późniejszym mordercą, rozwodził się raz Rasputin:

„Dosyć tej wojny, dość tej krwi przelanej! Czas już najwyższy, by skończyć nareszcie z tym bezceństwem! Jakżeż to? Czyż Niemcy nie są naszymi braćmi? Chrystus kazał nam kochać swych wrogów; ładnaż mi to

miłość; «Papa» nie ustępuje, a «mama» nie mniej jest uparta w tym punkcie; widocznie mają znowu jakiegoś złego doradcę! Tak, car ma na sumieniu tę wojnę! Całe życie pełne modłów nie starczy, by poprawić to wszystko! Gdyby mnie ta przeklęta kobieta nie była uraczyła nożem, znalazłbym się był na stanowisku i nie doszłoby do tego rozlewu krwi! W mojej nieobecności jedynie zepsuli to wszystko wasi Sazonowowie i inna hołota!"

Dla niego, zarówno jak dla mas, cele polityki wojennej Rosji były czymś obcym i niezrozumiałym; wiedział dokładnie, że muzyk bardzo niechętnie, jedynie pod przymusem szedł w pole. Raz nawet Rasputin dał się porwać duchowi proroczemu i przepowie-

dział, że krew przelana zemści się kiedyś okrutnie na generałach, dyplomatach, a także na samym carze.

„Rosja”, wołał wtedy, „przystąpiła do tej wojny wbrew woli Boga. Biada tym, którzy jeszcze dzisiaj nie chcą się do tego przyznać! Głos Boży dosłysz, kto pokornie się weń wsłuchuje; ale potężni tego świata nadęli się pychą, mają się za niezwykle mądrych i z pogardą patrzą na prostaczków, dopóki nie spadnie na nich kara boska z szybkością błyskawicy!

Chrystus jest oburzony z powodu skarg, wnoszonych ku niemu z ziemi rosyjskiej. Naturalnie, dla generałów jest rzeczą obojętną, czy zginie mniej lub więcej tysięcy muzyków. Ach, krew tych ofiar pomści się nie tylko na nich: obryzga ona tron samego cara, bo car jest ojcem muzyków! A ja wam powiadam: Zapłata nieba będzie straszliwa!”

Nie udało się Rasputinowi przeszkodzić wybuchowi wojny, ale za to przynajmniej nie żałował starań, gdy chodziło o wstrzymywanie lub też odwołanie szkodliwych dla ludu zarządzeń. Dokładał na przykład wszelkich starań, by nie doszło do skutku powołanie starszych roczników do pospolitego ruszenia, słusznie przy tym wskazując na to, że nie będzie komu uprawiać roli. Nieudolni generałowie w błędnym mniemaniu, że zwycięstwo zależy od olbrzymich mas ludzkich, chcieli powołać pod broń wszystkich, do ostatniego mężczyzny, nie biorąc w ogóle pod uwagę momentów gospodarczych; jakkolwiek już wtedy samej armii polowej brakowało broni i amunicji. Rasputin namiętnie zwalczał projekt, tak że carowa pod wpływem tego napisała do swego małżonka w głównej kwaterze:

„Proszę cię, mój aniele, wystaraj się o to, by Mikołaj Mikołajewicz

patrzył na sytuację wyłącznie z Twego punktu widzenia. Nie dopuść do tego, by choć jeden mężczyzna ze starszych roczników był powołany! Oprzyj się temu stanowczo! Ci ludzie muszą dalej pracować na roli, w fabryce, na okrętach... Słuchaj lepiej naszego przyjaciela, któremu ta sprawa sen odbiera! Jeden jedyny błąd, a wszyscy drogo za to zapłacimy!"

Po raz wtóry wtrącił się Rasputin w dyspozycje rosyjskiego sztabu generalnego, gdy chodziło o ofensywę wiosenną w roku 1915. Wskazywał wówczas na możliwość katastrofy ze względu na brak odpowiedniego przygotowania. Wódz naczelny Mikołaj Mikołajewicz postawił jednak na swoim; załamanie się ofen-

sywy wiosennej i pogrom pod Gorlicami przekonały wszystkich, że wątpliwości i sprzeciw Rasputina nie były bez racji.

Także w roku 1916 doradzał Rasputin, by generał Brusilow w swej ofensywie nie zapędzał się zbyt daleko, cel bowiem tej ofensywy, odciążenie Włochów, był osiągnięty, należałoby więc spokojnie przeczekać, aż front Niemców i Austriaków niechybnie się załamie.

„Nasz przyjaciel odchodzi wprost od zmysłów”, pisze carowa 24 września 1916 roku do cara, „że Brusilow wbrew Twemu rozkazowi posuwa się naprzód... Znowu te niepotrzebne straty!”

Ze szczególnym upodobaniem występował starzec przeciwko drobniejszym zarządzeniom, szerzącym wśród ludu niechęć i przygnębienie. „Rasputin prosi Cię”, pisze carowa do małżonka, „byś przyjął do wiadomości, że lud narzeka na zalew kraju nowymi banknotami... Załączam z polecenia naszego przyjaciela dwa fińskie banknoty, z których jeden jest fałszywy. Naród szemrze, ponieważ oszukują go tymi fałszyfikatami. Wydadź rozkaz, by natychmiast cofnięto tę emisję...”

„Rasputin jest wielce zaniepokojony z powodu braku mięsa”, pisze znowu innym razem, „jego zdaniem powinien jeden z ministrów zwołać do siebie wszystkich wielkich kupców i zakazać im podwyższania cen w tak krytycznym czasie...”

Za dosadne świadectwo olbrzymich wpływów Rasputina może służyć utracenie z dowództwa byłego protektora, a późniejszego wroga Rasputina, głównodowodzącego, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza.

Z początku wielki książę przyjął Rasputina z największą otwartością,

poznawszy w nim jednak niebezpiecznego dla siebie człowieka, zwalczał go, szczególnie przed carem, na każdym kroku; za jego przykładem odwróciły się od starca także obie Czarnogórzanki i z czasem z tego powodu przestały nawet bywać u dworu. Rasputin, wiedząc o wszystkim, z całego serca nienawidził wielkiego księcia. Gdy wysłał raz do Mikołaja Mikołajewicza w pole depeszę, że wyjeżdża na front, otrzymał od niego następującą odpowiedź: „Przyjedź tylko, każę Cię powiesić!” Od tej chwili przy każdej sposobności podjudzał cara i carową przeciwko wielkiemu księciu. Po wielkich klęskach w lecie 1915 r. udało się nareszcie Rasputinowi przekonać carową o konieczności objęcia naczelnego dowództwa przez samego cara. Aczkolwiek wszyscy ministrowie sprzeciwiali się temu projektowi, a nawet sam Mikołaj się ociągał,

nie chciał bowiem poniżyć swego wuja, to jednak Grzegorz Jefimowicz postawił na swoim i wielki książę Mikołaj Mikołajewicz objął najdalej leżący front wojenny, na Kaukazie.

Także przy ważniejszych nominacjach zasięgano już od dłuższego czasu rad przyjaciela. Nikt nie mógł objąć teki ministra, o ile wprzód nie składał „egzaminu” przed Rasputinem, z dobrym wynikiem. Minister nie podobający się Rasputinowi rzadko kiedy pozostawał dłuższy czas na stanowisku. Jedyny wyjątek stanowił Sazonow, który mimo żywiołowej nienawiści, jaką żywił doń Rasputin, zdołał zachować tekę ministra przez szereg lat.

W ciekawy sposób przekonywał się Rasputin o zdatości kandydatów na odpowiednie stanowiska. W przeciwieństwie do wszystkich urzędników dworskich i samego cara nie interesował się w ogóle polityczną przeszłością kandydata; nie pytał się nigdy, czy dany osobnik cieszy się dobrą opinią u poszczególnych członków rodziny carskiej, dla niego, jako prostego człowieka, rozstrzygającym momentem był zewnętrzny wygląd kandydata. O ile chodziło na przykład o mianowanie nowego szefa policji, Rasputin zapraszał do siebie kandydata lub chodził do niego, zaglądał mu przez kilka minut głęboko w oczy i na tym kończył się cały egzamin.

Oryginalna sytuacja, jaka się wytworzyła przez to, że potężny i wpływowy człowiek uprawiał politykę bez uwzględniania podstawowych zasad polityki i dyplomacji, nie ma wprost odpowiednika w historii. Najbardziej wyrafinowane intrygi i gry polityczne rozбивały się o tego muzyka, który w swych decyzjach nie znał subtelnej taktyki i dyplomacji, lecz powodował się chwilowym nastrojem.

Tą metodą pomagał wprowadzić wielu sprzedajnym i niezdolnym

jednostkom do zdobycia posad i godności, ale można wątpić, czy car bez niego lepiej by wybierał. Nie ulega wątpliwości, że obaleni przez Rasputina ministrowie zasługiwali na ten los; sam Rasputin uznawał popełniane przez siebie błędy i skłonny był do poprawy.

O ile interweniował w sprawach karnych, czynił to zawsze na korzyść obwinionego lub już skazanego. Nie zanotowano też żadnego wypadku, by Rasputin dał uwięzić lub wysłać na Sybir jakiegoś osobistego wroga, aczkolwiek nie przedstawiało to dlań żadnej trudności. Ktokolwiek doznał niesprawiedliwości, mógł spokojnie udawać się do niego o pomoc i wsparcie.

Gdy w poszukiwaniu kozła ofiarnego oskarżono i uwięziono

starego ministra wojny Suchomlinowa, Rasputin dołożył wszelkich starań, by dawnego swego wroga uwolnić z więzienia. Wielce charakterystyczny dla tego wypadku jest list carowej do cara.

„Następnie mówił mi nasz przyjaciel, że należałoby wypuścić na wolność generała Suchomlinowa, gdyż byłoby nieszlachetne dać mu umrzeć w więzieniu. Powinno się zawsze bez obawy wypuścić więźniów i naprowadzić grzeszników na prawą drogę, więźniowie bowiem przez swoje cierpienie milsi są Bogu niż my. To były mniej więcej jego słowa. Każdy, chociażby największy nikczemnik, ma chwile, w których dusza jego, oczyszczona w cierpieniu, podnosi się ku niebu, wtedy to należy mu podać rękę, by go uratować, zanim popadnie w nędzę i rozpacz”.

Jeśli Rasputin był komuś przychylny, bronił go w razie potrzeby energicznie, nawet przed samym carem. Na przykład Mikołaj II był bardzo niezadowolony z prezydenta ministrów Stiirmera, którego Rasputin popierał; Rasputin wysłał wtedy ostrą i lakoniczną depeszę do cara: „Nie waż mi się tknąć starego!” Podobnie surowo traktował też swych faworytów, ilekroć przyczyniali mu swym zachowaniem zmartwień. Ten sam Stiirmer, którego tak bronił przed carem, dostał w krótki czas potem od Rasputina upomnienie, pełne ciężkich obelg. Prezydent ministrów odważył się nie spełnić natychmiast jednego polecenia carowej, za co go Rasputin skrzyczał jak żaka.

„Nie wolno ci opierać się woli «mamy», gdyż opuszczę cię i prędko nastąpi twój koniec! Zastosuj się do tego!” Po czym zwrócił się do swego sekretarza i wskazując ręką na ofukniętego Stiirmera, dodał jeszcze: „Nie chciał słuchać, ale ja mu kark skręcę, wtedy już będzie posłuszny!”

Z niesłychaną wyniosłością traktował szczególnie takich ministrów, którzy

nie jemu zawdzięczali swe stanowiska. Spotkawszy pierwszy raz ministra Makłakowa 43, w pierwszej chwili zignorował go zupełnie, w końcu kiwnął nań palcem i przywołał do siebie słowami: „Chodź no tutaj!” A gdy Makłakow w osłupieniu zrobił rzeczywiście kilka kroków w stronę Rasputina, wtedy ten go ofuknął: „Uważaj no, chcę ci coś powiedzieć! Dużo czasu upłynie, zanim twa dobroć spodoba się Bogu! A teraz”, i przy tych słowach odwrócił się doń tyłem, „możesz sobie iść!”

Niezwykłe dziwnie wypadł raz egzamin, jakiemu Rasputin poddał jednego kandydata na ministra. Było to krótko przed zamor-

awaniem Stołypina; „prawdziwi Rosjanie” mieli zamiar oddać tekę ministra spraw wewnętrznych Aleksandrowi Mikołajewiczowi Chwostowowi, gubernatorowi Niżnego Nowgorodu. Właśnie w tym czasie odbywało się polowanie dworskie, więc uczestnicy polowania, należący do związku „prawdziwych Rosjan”, przy każdej sposobności wychwalali przed carem Chwostowa. Car poważnie zainteresował się tą kandydaturą i porucił przyjacielowi misję dowiedzenia się o wszystkim tyczącym się tego kandydata.

Rasputin wybrał się do Niżnego Nowgorodu i pewnego dnia pojawił się w gabinecie nie domyślającego się niczego gubernatora.

„Oto jestem!” zauważył skromnie. „Przysłał mnie papa, abym zbadał twą duszę, mamy bowiem zamiar oddać ci ewentualnie ministerstwo spraw wewnętrznych!”

Wszechwładny Chwostow oglądając sobie stojącego przed nim muzyka w kudłatym kożuchu i wybuchnął głośnym śmiechem. Ani przez chwilę nie brał poważnie słów muzyka, uważając to wszystko za pocieszny figiel. Grzegorza Jefimowicza uraziło głęboko to lekceważenie, odwrócił się więc i ścisnąwszy swój sękaty kij, w milczeniu opuścił pałac gubernatora. Po południu, tuż przed wyjazdem wstąpił jeszcze raz do pałacu i poprzez lekko otwarte drzwi gabinetu zwrócił się do Chwostowa z nieutajoną złośliwością:

„Alem cię dobrze urządził! Wysłałem telegram o tobie do Carskiego Sioła!”

Chwostow znowu roześmiał się głośno, w następnej jednak chwili pomyślał sobie, że może przecież jest coś poważnego w słowach tego dziwnego człowieka. Kazał więc przesłać sobie z poczty telegram

Grzegorza Jefimowicza. Po godzinie trzymał już w ręku formularz i z biciem serca czytał:

„Anna Wyrubowa, Carskie Sioło, powiedz mamie, że Chwostow cieszy się łaską niebios, ale na razie mu jeszcze czegoś brak!”

Gubernator pozieleniał, przewracał z przerażenia swymi kulistymi oczyma; ten muzyk więc nie kłamał, on, Chwostow, mógł zostać ministrem! Po kilku dniach wyjechał Chwostow z plikiem akt do Petersburga i zgłosił się w „pilnych sprawach administracyjnych” na audiencji u cara. Car przyjął mało ważny raport dość niełaskawie i odprawił Chwostowa z niczym.

Od tego czasu odnosił się Chwostow z największą uniżonością do Rasputina, najchętniej całowałby go wobec wszystkich po rękach. Dopiero po kilku latach przy sposobności jakiejś pijatyki

zdołał sobą bliżej zainteresować Rasputina. Tenże wkrótce potem spotkał cara i opowiadał mu, że widział ostatnio Chwostowa i skonstatował, iż dusza jego znacznie się poprawiła. Po kilku dniach gruby gubernator został ministrem spraw wewnętrznych.

Także następca starego Goremykina, prezydent ministrów Sturmer zawdzięczał swe stanowisko protekcji przyjaciela.

„Ten stary”, tłumaczył Grzegorz, gdy mu wspomiano o kandydaturze Sttirmera, „już od dawna chce zostać ministrem! Mieszkałem jeszcze wtedy przy Angielskim Prospekcie, jak mnie raz odwiedził ze swą żoną i prosił o stanowisko ministra. No, dobrze, nie jest najgorszym człowiekiem i mam nadzieję, że da sobie radę!”

Następnie umówił się z Stiirmerem w mieszkaniu pewnej mało znanej aktorki, gdzie poddał jego duszę „egzaminowi” i polecił go carowi do nominacji, która też w krótki czas potem nastąpiła.

Za ministerstwa Stiirmera władza polityczna Rasputina doszła do szczytu. Nowy prezydent ministrów, zawdzięczając tekę protekcji Grzegorza Jefimowicza, wypełniał bezwarunkowo wszelkie jego rozkazy.

Przynajmniej raz na tydzień spotykał Sturmer potajemnie „trybunał muzyków” i odbierał odeń instrukcje. Spotykali się w dość romantyczny sposób, mianowicie w petropa-włowskiej twierdzy, za pośrednictwem jednej z uczennic Rasputina, córki komendanta twierdzy Nikityna. Piękna Lidia Nikityna była gorącą wielbicielką starca, którego sprowadzała w umówiony wieczór z jego domu do swego dziewczęcego pokoju w twierdzy, dokąd też przybywał prezydent ministrów. Tam Sturmer i Rasputin omawiali do samego rana wszystkie ważne rozporządzenia, ukazy i nominacje.

Po pewnym jednak czasie wszyscy rozczarowali się co do Stiirmera, był on niezwykle ambitny i próżny, a zdolności jego wcale nie odpowiadały pokładanym w nim nadziejom. Wszeikimi siłami dążył do zdobycia prezydium na mającej się wkrótce odbyć konferencji pokojowej i już zawczasu cieszył się myślą, że będzie figurował na kartach historii obok takich nazwisk jak Nesselrode, Metternich i Bismarck. Zdolności jego nie stały w żadnym stosunku do jego wygórowanych ambicji, tak że już w krótkim czasie car i jego przyjaciel, rozczarowani, odwrócili się od niego i zmusili do dymisji.

W tym samym czasie polubił Grzegorz Jefimowicz wiceprezydenta Dumy Protopopowa, którego poznał w sanatorium Bad-

majewa. Protopopow był wielce miłym człowiekiem o ujmującym obejściu. Cierpiał na paraliż postępowy w daleko posuniętym stadium; pod wpływem choroby wpadał na przemian w stan nadmiernego podniecenia lub zupełnej apatii. Niekiedy tryskał wprost dowcipem i fascynował swą inteligencją całe otoczenie, innym znów razem nie był w możności wykrzesać z siebie Choćby najprostszej myśli. Od wielu lat leczył się u Badmajewa i znajdował się na jego liście reflektantów na wyższe stanowiska.

Już od pierwszej chwili poznania podobał się Rasputinowi jako ewentualny minister spraw wewnętrznych. Car początkowo opierał się, gdyż Protopopow należał do lewego skrzydła w Dumie; carowa i Rasputin przez długi czas napierali, aż wreszcie car ustąpił i mianował Protopopowa ministrem.

Do ostatniej chwili nie było co do Protopopowa zgody i Rasputin musiał w sprawie swego faworyta osobiście interweniować w Carskim Siole. Pełen triumfu wrócił tego dnia do Petersburga i w salonie swej wielbicielki, pani Gołowin, opowiadał o całym przebiegu sprawy; to, co opowiadał, rzuca niezwykle charakterystyczne światło na jego ciekawy stosunek do pary monarszej, dowodzi bowiem, że nie uchodził tylko za zbawcę carewicza, lecz również za niezbędnego, zaufanego doradcę w najbardziej ciężkich sytuacjach państwa.

„Wszystko doprowadziłem z powrotem do porządku” — zawołał Rasputin z uśmiechem i rozsiadł się w fotelu. „Wystarczyło, że tylko sam poszedł! Pierwszym człowiekiem, z którym zetknąłem się w pałacu, była Ania. Płakała i jęczała i tyle tylko dokonała. «Nie idzie» mówiła, «car nie chce, ty chyba tylko jeszcze pomożesz, Grzegorzu Jefimowiczu!»

Wszedłem więc do środka. Od razu widziałem, że «mama» rozgniewana, a car tymczasem chodził tam i z powrotem po pokoju i lekko sobie pogwizdywał. Skrzyczałem ich porządnie i zaraz nabrali rozumu! Zagroziłem im tylko, że znów wrócę na Syberię, a ich samych i ich dziecko zostawię na pastwę losu, i już oboje poddali mi się we wszystkim. «Kto od Boga się odwraca, diabłu w twarz zagląda!» powiedziałem im. Ktoś im tam mówił, że to i owo jest złe; cóż oni wszyscy o tym mogą wiedzieć? Nic! Gdyby mnie tylko chcieli słuchać! Wiem, że Protopopow jest dobrym człowiekiem i że wierzy w Boga! A to jest właśnie najważniejsze!"

Sekretarzowi zaś swemu powiedział Rasputin tego wieczora:

„Omyliłem się co do grubego Chwostowa, on też jest głupcem, jakkolwiek należy do prawicy! Powiadam ci, wszyscy z prawicy są półgłówkami! Dlatego też zdecydowaliśmy się na lewicę i wybraliśmy ministrem Protopopowa!"

Po czym z dumą wskazał na swą potężną chłopską pięść, potrząsnął nią kilka razy i zawołał:

„W tych oto palcach trzymam całą Rosję!"

<

Z historii pewnej klatki schodowej

Ze wzrostem politycznych i towarzyskich wpływów Rasputina stawał się jego dom ośrodkiem najróżnorodniejszych interesów.

Początkowo mieszkał Rasputin przy Newskim Prospekcie, w mieszkaniu wynajętym dla niego przez jego wielbicielek Basz-makową. Stamtąd przeprowadził się na ulicę Kirocznaja. Władze zostawiły go na razie w spokoju, W ostatnich jednak latach, kiedy starzec doszedł do wielkiego znaczenia, a dom jego zawsze był pełen gości, zaczęła policja opiekować się Rasputinem.

Już mieszkanie przy Angielskim Prospekcie z początkiem wojny było pod opieką agentów policyjnych; nowy zaś lokal przy Grochowskiej znajdował się pod szczególnym nadzorem. Szef tajnej policji Głobyczew dostał rozkaz od nowego prezydenta ministrów Sturmera, by strzegł Rasputina jak członka rodziny carskiej. „Jest to wyraźne życzenie cara i carowej” — dodał jeszcze Stiirmer do rozkazu. Nic więc dziwnego, że dom przy Grochowskiej 64 otoczony był tajną policją.

W odźwierni tego domu i w klatce schodowej panował zaduch nie do opisania; unosiły się w powietrzu przeróżne zapachy, wśród których dominowała kwaskowata woń zupy kapuścianej, zapach zjełczałego masła i sera owczego. Dzień w dzień włóczyło się tam od kilku do kilkunastu obdartych mężczyzn; ich niemodne kołnierze i krawaty, jako też przesadnie staranne unikanie wszystkiego, co mogłoby zwracać uwagę, zdradzały już z daleka detektywów. Mieszkańcy domu i liczni goście Rasputina znali każdego z nich i z czasem w ogóle przestali ich zauważać. Niekiedy któryś z mieszkańców przerywał nudę detektywów

w klatce schodowej; krawcowa Katia z mieszkania nr 31 lub pan Neustein z górnego piętra gawędzili z nimi dość często. Czasami znowu przychodziła masażystka Utylia albo inna jakaś kobieta z sąsiedztwa, a wtedy dozorczyńni Jurawlewa nastawiała samowar z brudnawoczarnej cyny i w małej odźwierni było całkiem przyjemnie i wesoło. Katia, masażystka Utylia i dozorczyńni domu gwarzyły o starcu, opowiadały o nim nowinki, inne znów kobiety podawały najdokładniej szczegóły z życia świętego męża, tak że detektywi nie mogli się uskarżać na brak rozrywki w swej nudnej służbie. Szczególnie Katia i masażystka Utylia wiedziały dużo interesujących rzeczy o Rasputinie, często bowiem się zdarzało, że boski ulubieniec wytwornych dam, syt wielkich księżniczek, hrabin i pięknych aktorek, pukał do krawcowej Katii lub posyłał po masażystkę Utylię i spędzał w ich towarzystwie całą noc.

Także dozorczyńni wiedziała coś niecoś o tym świętym człowieku.

Grzegorz Jefimowicz wracał niekiedy nad ranem zupełnie pijany i nie mogąc się dostać do Katii ani do Utylii, brał w ramiona odźwierną, całował ją i mówił jej przeróżne nieprzyzwoitości, które wysoce skromna dozorczyńni w swym opowiadaniu ze wstydu przemilczała.

Na ogół dozorca i dozorczyńni zauważali przez swoje okienko rzeczy, których detektywi nie spostrzegali; dlatego też pobierali od policji pensję, za co zdawali raport o każdym wypadku. Dozorcy domu z zamiłowania do plotki i w poczuciu obowiązku wobec opłacającej ich władzy omawiali z agentami jak najdokładniej najdrobniejsze wydarzenia. Katia zaś i masażystka Utylia bardzo chętnie udzielały ze swej strony informacji, spodziewały się bowiem, że dzięki dokładnym raportom agentów, imiona ich dojdą do uszu zwierzchników, co być może ułatwi im karierę.

Niekiedy pan Neustein wychodził ze swego mieszkania i zapuszczał się w rozmowę z agentami. Zasób jego wiadomości był dość skromny, aluzje jego jednak i niedomówienia intrygowały detektywów. Ci znowu, nie dochodząc zbytnio prawdy, notowali wszystko dosłownie w raportach; łamanie sobie głowy nad tym, ile w tym prawdy i ile urojenia, zostawiali swoim przełożonym.

Raz na przykład zanotowali agenci: „24 stycznia Neustein, który mieszka na tym samym piętrze, powiedział nam mimochodem: Patrona waszego wyślą wkrótce do Carskiego Sioła, gdzie ma zapalić świece kościelne”.

Na ogół mieli agenci więcej materiału do notowania aniżeli skromne informacje pana Neusteina. Dom cieszył się wielką frekwencją i szpicle mieli dużo roboty z notowaniem nazwisk wszystkich gości. Jeśli pojawił się w bramie nowy gość, wszyscy udawali, jakby nie mieli nic wspólnego z policją. Inscenizowali wprost komedię, gonili na górę po schodach jak gdyby do starca, schodzili na dół grupkami, prowadząc niewymuszone rozmowy, stawali umyślnie w westybulu. Gdy tylko gość zniknął w drzwiach Rasputina, jeden szeptał drugiemu do ucha pytania, czy przypadkiem nie zna tego gościa, inni skupiali się razem i kombinowali, w jaki sposób zebrać najwięcej materiału. Wszyscy wyciągali z kieszeni ołówki i notesy i z największą dokładnością opisywali kapelusz, ubranie, kolor włosów, zaznaczali, że miał ze sobą parasol albo paczkę.

Szczególnie zawartość paczek drażniła ciekawość i ambicję każdego szpiega. Raporty dla zwierzchników mówiły ciągle o jakichś paczkach, koszach i tym podobnych rzeczach:

„10 stycznia. Nieznajomy pop przyniósł Rasputinowi ryby”.

„28 stycznia. Radca związkowy de Bok przyszedł dzisiaj do Rasputina ze skrzynką pełną flaszek wina”.

„14 marca. Dzisiaj odwiedził Rasputina Mikołaj Głazów i przyniósł ze sobą w pakunku kilka flaszek wina”.

„14 czerwca. Inspektor szkoły ludowej z Carskiego Sioła przywiózł dzisiaj Rasputinowi gąsior wina”.

Jeśli kilku gości razem wchodziło do bramy, agenci gorliwie łowili każde wypowiedziane słowo. Protokołowali skrupulatnie każde zdanie, chociażby niezrozumiałe i będące zupełnie bez sensu. Szczególnie baczność dawali uwagę na wyraz twarzy Duni, służącej Rasputina, w chwili gdy

wpuszczała lub wypuszczała gości; szpicle mogli z tego wnioskować o tym, jak Rasputin przyjmował danego gościa.

Szpicle z podziwu godną gorliwością przykładali się do sprawy i nie żalowali wysiłków, by na tym krótkim odcinku drogi, między bramą a mieszkaniem, przejrzeć na wylot każdego przechodnia. Z największą skrupulatnością ustalali wszelkie możliwe drobiazgi i szczegóły zewnętrznego wyglądu, by móc na podstawie tego oddać w raporcie charakter obcego, a często zagadkowego gościa. Czasami nie było więcej do notowania ponad to, jaki jest surdut lub pakunek gościa, niekiedy jednak udawało się szpiclom wszcząć rozmowę z przechodniem.

Szczególnie wracający od star-

ca petenci bywali bardzo gadatliwi; jeden okazywał radość z powodu dobrego załatwienia sprawy, drugi znowu, odprawiony z niczym, z wściekłości wygadywał na starca. Agenci, uszczęśliwieni, notowali wtedy wszystko, co im petenci w takiej chwili opowiadali:

„3 listopada: Jakaś obca kobieta przyszła dzisiaj do Rasputina % prośbą, by się wystarał o zatrzymanie w Petersburgu jej męża, porucznika, leżącego w szpitalu. Przed wyjściem z domu wstąpiła do loży portiera i opowiadała o osobliwym przyjęciu u Rasputina: „Dziewczyna otworzyła mi drzwi i wprowadziła mnie do pokoju; wkrótce wszedł Rasputin, którego jeszcze nigdy dotychczas nie widziałam. Kazał mi w tej chwili zdjąć płaszcz i kapelusz. Spełniłam jego żądanie i weszłam za nim do sąsiedniego pokoju. Prawie że nie słuchał mej prośby, dotykał tylko wciąż mej twarzy i piersi i zażądał, bym go ucałowała. Następnie pisał coś na kartce, której mi jednak nie wręczył, przy czym dodał, że gniewa się na mnie, i zaprosił mnie, bym nazajutrz jeszcze raz przyszła”.

„3 grudnia: Dzisiaj w sprawie swego męża odwiedziła Rasputina pani Leikart. Rasputin zaproponował jej, by go ucałowała. Odmówiła jednak i odeszła. Później przyszła nałożnica senatora Mamontowa; Rasputin zaprosił ją jeszcze raz na godzinę pierwszą w nocy”.

„29 stycznia: Żona pułkownika Tatarinowa odwiedziła dzisiaj Rasputina i później opowiadała agentom, że starzec w jej obecności ścisnął i całował pewną młodą dziewczynę; pułkownikowej zrobiło się bardzo przykro, postanowiła też więcej nie przychodzić do Rasputina”.

„18 stycznia: Obywatelka grecka Karawia chciała dzisiaj w towarzystwie swej córki wejść do Rasputina; nie wpuszczono ich. W drodze powrotnej obie damy wymyślały na niego, nazywając go przeklętym grubianinem, i

opowiadały, że Rasputin w ich oczach pokazał się w „Villa Rode”, odziany jedynie w koszulę, wywołując tym niesłychany skandal. Mówiły także o tym, że w Carskim Siole pojawił się młody człowiek, który weźmie górę nad Rasputinem”.

„30 stycznia: Do Rasputina przyszedł pop z kościoła na Lub-liance w towarzystwie nieznanego. Pop wstawiał się właśnie za tym nieznanym i prosił Rasputina, by w tej sprawie wybrał się do ministra spraw wewnętrznych i do senatora Bieleckiego. Rasputin wzbraniał się to uczynić i przygotował tylko list dla nich. Pop, wyszedłszy od Rasputina, naśmiewał się z niego

i opowiadał, że Rasputin z trudem tylko dzierży pióro w swej ręce".

„5 lutego: Sofia Karawia po opuszczeniu Rasputina opowiadała agentom: On jest w złym humorze, mimo że zrobił dobry interes. Załatwił jakąś sprawę dla bankiera Rubinsteina i otrzymał za to 50 000 rubli. Samej Karawii również przyrzekł protekcję u ministra Szachowskiego".

„7 lutego. Dzisiaj odwiedził Rasputina kupiec Poperman; już u wejścia zapytał się cudotwórcę-mnicha, co mu się właściwie stało. Także mieszkaniec tego samego piętra, Neustein, pytał się, czy prawdą jest, że jakiś oficer pobił Rasputina na stacji".

*

Wielka radość panowała u agentów, gdy przychodził jakiś posłaniec z Carskiego Siola, z ministerstwa lub z banku. Zatrzymywano go na schodach, zanim jeszcze zdołał zadzwonić do mieszkania Rasputina. Poufnie i z wielką wnikliwością dopytywali się szpicle, od kogo posłaniec przybywa, o której godzinie opuścił dom swego zleceniodawcy i jaką wiadomość przynosi. Następnie z wielką ostrożnością otwierali w loży portiera list, treść jego przepisywali do swych notesów i z powrotem list zalepiali, po czym dopiero wolno było posłańcowi dzwonić do Rasputina. Gdy posłaniec po załatwieniu sprawy pojawiał się z powrotem na schodach, stawał się znowu przedmiotem zainteresowania obszarpanych szpiclów. Chodzili za nim po schodach, na podwórze, aż na ulicę, troskliwie dopytywali się, kto mu drzwi otwierał, komu list wręczył. Jeśli sam Rasputin był odbiorcą, wtedy szpicle musieli wiedzieć, jaką minę miał przy czytaniu listu, co przy tym powiedział i czy jeszcze ktoś obcy był w pokoju. Jeżeli posłaniec miał przy sobie odpowiedź pisemną, szpicle ją

również czytali w loży portiera i po odpisaniu oddawali.

Listonosze mieli od swej władzy rozkaz przekazywania do badania w loży wszelkich przesylek i telegramów przeznaczonych dla Rasputina. Także służba Rasputina szła z każdym zleceniem swego pana najpierw do agentów i oddawała każdy list lub telegram do przepisania. Notesy agentów pełne były odpisów z korespondencji Rasputina; szczególnie jego oryginalne telegramy, utrzyma-

ne już to w patetycznie biblijnym, już to w suchym, kupieckim stylu, cieszyły się wielką pieczołowitością szpiclów.

„1 stycznia: Rasputin wysłał telegram do sołtysa w Pokrowsko-je w guberni tobolskiej: Wyrobiłem zezwolenie, dostajecie las. Możecie rąbać zaraz po otrzymaniu pozwolenia”.

„10 stycznia: Rasputin nadał następujący telegram: Anna Wy-rubowa, Carskie Sioło. Chociaż nieobecny, jestem w duchu przy Was, upraszam anioła, który Cię pocieszy i uspokoi”.

„13 stycznia: Rasputin nadał następujący telegram do Wyrubowej w Carskim Siole: Sam Bóg dopuszcza, bym doniósł radosną wiadomość. Niechaj dzieci me zawsze kroczą drogą prawdy. Nie wiem naturalnie, czy dożyję tego”.

„18 lutego: Rasputin wysłał następujący telegram: Wyrubowa, Carskie Sioło. Powiedz pani Gołowin, by przyszła do mnie jutro o trzeciej”.

„30 marca: Rasputin nadał następujący telegram do Moskwy: Księżna Teniszewa. Szczerze Pani uradowała mnie. Całuję drogą przyjaciółkę”. Poza tym telegrafował Rasputin do Heleny Djanumowej: „Drogi skarbie, duszą jestem przy Tobie, całuję Cię”.

„12 maja: Rasputin telegrafował do gubernatora w Tobolsku: „Od trzech miesięcy znajduje się w mej wsi rodzinnej w Pokrowsko-je podejrzany osobnik. Proszę dać odpowiedź pod adresem Wyrubowej w Carskim Siole”.

„11 października: Rasputin telegrafował do Warnawy: „Wystrzegaj się szpiega”.

Służba Rasputina, zachęcona hojną łapówką, starała się dostarczać agentom możliwie dokładnych informacji o wszystkim, co działo się w

mieszkań. O ile odbywały się w pokojach Rasputina dłuższe konferencje albo uroczystości, pokojówka cichutko wykradała się na korytarz, gdzie ją ciekawi agenci zasypywali pytaniami. Niekiedy opowiadała takie niesamowite historie, że agentom dech zapierało. Szpicle czuli się wtedy wynagrodzeni za długie i nudne godziny czekania; w największym podnieceniu słuchali opowiadań o niesłychanej rozpuście odbywającej się w pokojach starca i łąpczywie notowali każde słowo służącej o dzikich, bezwstydnym scenach w mieszkaniu Rasputina.

„16 stycznia: W czasie odwiedzin rodziny Pistol Korsów trzymał

Rasputin na kolanach prostytutkę Gregubową i mruczał coś pod nosem".

„W nocy z 17 na 18 stycznia spała u Rasputina Maria Gili, żona kapitana z 145-go pułku".

„26 stycznia: Dzisiaj wieczorem odbył się u Rasputina bal na cześć kilku zwolnionych z więzienia ludzi, przy czym panowała niezwykła swoboda. Goście śpiewali i tańczyli do samego rana".

„16 marca: Około pierwszej w nocy przyszło do Rasputina ośmioro mężczyzn i kobiet i zostało u niego do trzeciej nad ranem. Całe towarzystwo śpiewało i tańczyło; wszyscy, już zupełnie pijani, wyszli z domu razem z Rasputinem".

„3 kwietnia: Około pierwszej w nocy przyprowadził sobie Rasputin jakąś obcą kobietę, która została u niego przez całą noc".

„11 maja: Rasputin przyprowadził sobie do mieszkania prostytutkę i zamknął ją w swym pokoju; dopiero służba wypuściła dziewczynę na wolność".

„W nocy z 25 na 26 listopada spała u Rasputina aktorka War-warowa". Nie zawsze jednak udawało się agentom uchwycić sens i znaczenie tego, co odbywało się w mieszkaniu Rasputina. Często pokojówka nie mogła skomunikować się ze szpiclami lub też zbyt mało wiedziała o celach wizyty gościa. Agentom nie pozostawało więc w takich razach nic innego, jak z braku bliższych wiadomości notować przynajmniej dokładnie co do minuty czas przyścia i odejścia danego gościa.

„8 lutego: Dzisiaj o godz. 10 przyszła pani Sołowjew, o godz. 10 min. 10 Maria Gołowina, o godz. 11 min. 50 księżna Tatiana Szachowska, która po pięćdziesięciu minutach znowu odeszła. Punktualnie o godz. 12 przyjął Rasputin swego prywatnego sekretarza Symanowicza, o godz. 12 min. 10

przyszła żona kapitana sztabowego Sandeckiego, która odeszła po dziesięciu minutach, o godz. 12 przyszedł także śpiewak Dereweński, o godz. 12 min. 20 odeszła Laptinskaja, a o godz. 12 min. 40 przyjechał samochodem jakiś obcy mężczyzna w uniformie, by zabrać ze sobą Rasputina.

O godz. 1 min. 35 zjawił się tajny radca i senator Mamontow, o godz. 1 min. 40 przybyła Bazylewska w towarzystwie pani Gar; obie panie przesiedziały u Rasputina półtorej godziny. O godz. 2 przyprowadził Symanowicz do Rasputina jakiegoś człowieka w uniformie, ale już po 20 minutach opuścił gabinet. Potem zjawiała

się żona oficera i odeszła po 25 minutach, o godz. 3 min. 30 wszedł po raz trzeci Symanowicz i pozostał przez pół godziny; o godz. 4 min. 10 przybył Knirsze, przynosząc ze sobą kilka flaszek wina, o godz. 5 przyszły panie Turowicz i Czerwińska, o godz. 5 min. 10 pani Sołowjew, a o godz. 6 min. 20 po raz czwarty sekretarz Symanowicz. O godz. 6 min. 45 zjawił się Reszetnikow, o godz. 7 min. 20 nieznajoma pani, o godz. 9 min. 30 Dobrowolska, o godz. 10 Katarzyna Bermann, o godz. 10 min. 10 Knirsze. O godz. 11 min. 15 przybyło jeszcze pięć osób, tak że razem było zebranych u Rasputina dwadzieścia pięć osób".

„9 lutego: Goście odeszli o godz. 3 nad ranem. O godz. 9 min. 45 przyszła Anna Wyrubowa, o godz. 10 min. 25 Dobrowolska, o godz. 10 min. 50 Gołowin, a o godz. 11 Maria Gar. Dobrowolska została u Rasputina trzy godziny i dziesięć minut, pani Gar tylko dwie godziny. O godz. 11 min. 40 zajechali autem wojskowym nr 5064 Manujłow i Ossypenko w towarzystwie nieznajomego urzędnika i zostali u Rasputina trzydzieści minut. O godz. 12 przyszedł Dobrowolski, który został godzinę i czterdzieści pięć minut; o godz. 12 min. 30 zajechali autem nr 127 biskupi Warnawą[^] i Augustyn; obaj spędzili u Rasputina czterdzieści minut".

„10 lutego: Wczoraj o północy zjawił się u Rasputina jakiś pan, prawdopodobnie Manujłow, i wkrótce potem odszedł. O godz. 11 przed południem przyszła Wiszniakowa w towarzystwie jakiejś nieznajomej, Rasputin jednak odmówił przyjęcia. O godz. 11 min. 40 panna nadworna Lidia Nikityna. O godz. 12 min. 40 zjawiła się pani Gar w towarzystwie pewnej damy. O godz. 2 zamówił Rasputin samochód nr 224 i odjechał o godz. 2 min. 10, zabrawszy ze sobą Marię Gołowin".

Szczególny nacisk kładli agenci w swych notatkach na zachowanie

samego Rasputina, na jego wygląd zewnętrzny, nastrój i na to, co mówił. Rasputin często wychodził na korytarz w zaniedbanym stroju domowym, odwiedzał żonę dozorca lub krawcową Ka-tię; gnany żądzą, włóczył się tak po całym domu, przypominając swym potężnym cielskiem dziką bestię. Agenci notowali wtedy w swym suchym stylu:

„9 maja: Rasputin wysłał żonę dozorca po masażystkę, ta jednakże nie chciała przyjść. Poszedł przeto do mieszkającej w tym samym domu krawcowej Katii i zaproponował jej, by spędziła czas w jego towarzystwie. Krawcowa zwróciła uwagę, że nie ma ko-

stiumu, na co jej Rasputin odpowiedział: »Przyjdź do mnie następnego tygodnia, dostaniesz ode mnie pięćdziesiąt rubli«".

„2 czerwca: Rasputin wysłał żonę dozorca po masażystkę Uty-lię, nie było jej jednak w domu. Poszedł więc do mieszkania nr 31, do krawcowej Katii. Krawcowa widocznie go nie wpuściła, zszedł bowiem natychmiast z powrotem do żony dozorca i zażądał od niej, by go ucałowała. Żona dozorca uwolniła się jednak z jego uścisku i zadzwoniła do jego mieszkania; wyszła pokojówka, która zaprowadziła Rasputina do sypialni".

Wybierając się czy to do kościoła lub łaźni, czy też samochodem do „Villa Rode" lub do Carskiego Sioła, ubierał się Rasputin odświętnie, nosił długi czarny kaftan, drogie futro, śniegowce i czapkę bobrową. W takich chwilach wyglądał na dostojnego pana i nawet agenci często ulegali złudzeniu; twarz jego jednak, pomarszczona i brązowa od słońca i wiatrów, wciąż jeszcze zdradzała chłopca.

Ilekoć Rasputin wychodził na korytarz, silne podniecenie ogarniało obdartych szpicłów; kłaniali mu się w pas, zdejmowali kapelusze, a niektórzy podchodzili nawet wprost do niego i poufale się z nim witali. Rasputin uśmiechał się przy tym wyrozumiale i serdecznie odpowiadał na pozdrowienia, znał ich przecież wszystkich od wielu lat i zwykle spotykał na schodach lub w loży dozorca, ilekoć wychodził albo wracał do domu. Odróżniał także poszczególne grupy, do których szpicle należeli: byli tam agenci szefa ochrony, Głobyczewa, urzędnicy z departamentu policji pułkownika Komi-sarowa, z agencji nadwornej generała Spirydowicza i przeróżni powiernicy prezydenta ministrów, ministra spraw wewnętrznych, wielkich banków, spekulantów i poselstw zagranicznych.

Wszystkie te zakłady i urzędy nie dowierzały sobie wzajem, każdy więc z nich przysyłał własnych ludzi, którzy mieli pilnować Rasputina i o wszystkim najdokładniej donosić.

Pochlebiało to Grzegorzowi Jefimowiczowi, że wszyscy tak uważali na niego. Wielka liczba agentów nie tylko zapewniała bezpieczeństwo osobiste, lecz także dowodziła, ile wagi przywiązuje się do osoby Rasputina. Uśmiechał się z zadowolenia na myśl o tym, jak cała Rosja troszczy się o jego życie i ile trudu wymaga to opiekowanie się jego osobą. Jako zdrowo myślący człowiek, widział także ujemne strony te-

go nadzoru i dokładnie wiedział, że nie tylko go strzegą, lecz także pilnują, jak więźnia, albowiem o każdym jego kroku powiadamiano zaraz w następny dzień wszelkie urzędy i poważniejsze osobistości Petersburga. Podwójna ta czynność agentów, ubiegających się wzajemnie w pilnowaniu i szpiegowaniu Rasputina, wcale mu nie dokuczała; nie przymuszał się wobec agentów do niczego. Był wobec nich całkiem otwarty i okazywał nadal tę samą niefrasobliwą prostotę, którą pozyskał sobie zaufanie pary monarszej, nienawiść swoich wrogów i miłość swoich wielbicielek. Nic sobie z tego nie robił, że panowie i damy dworu, jako też ministrowie, szefowie policji i dyrektorowie banków dokładnie wiedzieli, ile razy na tydzień wracał pijany do domu albo kiedy elegancka kobieta lub jakaś tam szwaczka spędziła noc u niego.

Przyjaciele Rasputina z policji i ministerstwa donosili mu niekiedy o raportach agentów, to go jednak zbytnio nie denerwowało; czasami tylko gniewało go, gdy konfidenci podkreślali niepotrzebne szczegóły, nie rozumiejąc niektórych rzeczy; porządnie im wtedy wymyślał i dodawał pojednawczo, że życzy sobie, by na przyszłość pomijali w raportach podobne drobiazgi.

Zmechanizowani w swych obowiązkach agenci notowali także i te uwagi Rasputina ze wszystkimi szczegółami:

„14 stycznia: O godz. 4 min. 30 po południu wyjechał Rasputin w towarzystwie bankiera Rubinsteina i dwu dam do Carskiego Siola. Pełen niechęci zwrócił się do agentów, którzy szli za nim: "Jeden z was zaraportował swojemu przełożonemu, że miałem damę na kolanach. Nie podoba mi się, że podajecie takie szczegóły. Obowiązkiem waszym jest strzec mnie, a nie szerzyć o mnie plot-ki!»"

Pomijając tego rodzaju drobne nieporozumienia, pozostawał Rasputin ze swymi strażnikami wprost na poufalej stopie. Niekiedy jednak cieszył się jak dziecko, gdy mógł uciekać spod nadzoru; z chytrym uśmiechem dookoła ust wykradał się wtedy z mieszkania, niepostrzeżenie w kilku susach zbiegał przez tylne schody na ulicę i wskakiwał do pierwszej lepszej przejeżdżającej dorożki.

Po takiej udanej eskapadzie drwił z agentów i zmyślał przed nimi niestworzone rzeczy. Był więc w różnych miejscach, popełniał niesłychane zbrodnie, załatwiał jakieś niezwykle interesy,

a oni o niczym nie wiedzieli. „Ileż by”, dodawał ironicznie, „damy u dworu, panowie ministrowie i dyrektorowie banków dali za to, by wiedzieć, gdzie ja teraz byłem i jakie rzeczy załatwiłem!”

Często jednak brała go litość na widok wiecznej, nienasyconej ciekawości konfidentów; opowiadał im wówczas z własnej woli i wedle prawdy wszystko, czego nie wiedzieli. Z czasem spoufalili się szczególnie z powiernikami generał-majora Głobyczewa 44; pozwalał im odprowadzić się do kościoła lub do łaźni, omawiał z nimi po drodze ważniejsze sprawy politycznej i prywatnej natury. Ich pozorne przywiązanie do niego wielce mu się podobało; czuł instynktownie, że ci agenci nie tylko spełniają swój obowiązek, starając się pozyskać jego zaufanie, lecz także znajdują prawdziwą przyjemność w przestawaniu z nim. Niezmiernie ich bawiły jego ciekawe, często rubaszne dowcipy i plotki o życiu dworu i w wyższym towarzystwie. Szpicle byli oczywiście bardzo przywiązani do Rasputina, nie przemilczali jednak w swych raportach niczego, aczkolwiek Rasputin często i wyraźnie prosił ich o to. Wprawdzie przyrzekali mu spełnienie jego życzenia, w rzeczywistości jednak donosili swojej władzy zarówno o danej sprawie, jak też o tym, że Rasputin prosił o dyskrecję. Mimo wszystko wzajemnie sympatyzowano ze sobą. Agenci kochali swego Grzegorza Jefimowicza, a Grzegorz Jefimowicz kochał swoich agentów, przy czym wyróżniał szczególnie urzędników Terechowa, Swistunowa, Popowa i Iwanowa.

*

Początkowo stykał się Rasputin z agentami jedynie przypadkiem na ulicy, w drodze do kościoła lub do łaźni; do mieszkania swego nie dopuszczał ich wcale. Z czasem jednak nabrał do nich zaufania i niektórych szpiclów

zapraszał nawet do siebie; ta okoliczność miała w dzień jego urodzin w 1916 roku odegrać bardzo ważną rolę. Pułkownik Komisarow nakazał surowo swoim urzędnikom, by za wszelką cenę wystarali się o dostęp do mieszkania Rasputina i zaraportowali później o wszystkim, co się tam w tym dniu dzieć będzie; spodziewano się bowiem w departamencie policji, że Rasputin w owym dniu dostanie wiele podarunków od wysoko postawionych osobistości, i przypuszczano, że da się z tych faktów wyciągnąć pewne wnioski.

Od samego już rana chodzili po korytarzu zakłopotani agenci i rozmyślali nad sposobem dostania się do mieszkania. Po pewnym czasie wyszedł na korytarz Rasputin w towarzystwie swej małej siostrzenicy Aniuszki; był w dobrym humorze i rozmawiał po przyjacielsku z agentami, którzy go odprowadzili na ranne nabożeństwo. Gdy wrócili z kościoła i stali już pod drzwiami mieszkania, agenci skwapliwie pomagali małej siostrzenicy w zdejmowaniu płaszcza, co Rasputin przyjmował z pobłażaniem. W ten sposób dostało się kilku konfidentów do przedpokoju, budząc tym zazdrość pozostałych kolegów.

Na Rasputina zwała się tego dnia cała góra miłych wiadomości. Za ledwie przekroczył próg, podeszła doń rozradowana rodzina i pokazała mu moc co dopiero przysyłanych pięknych, kosztownych podarków. Za chwilę zadzwonił telefon. To Wyrubowa życzyła swojemu „szanownemu ojcu” wszelkiego szczęścia i zapowiedziała, że przyjdzie; prawie w tym samym czasie przyniósł posłaniec telegram gratulacyjny od pary monarszej, utrzymany w bardzo serdecznym tonie.

Pod wpływem tylu naraz radosnych wiadomości był Rasputin niezwykle zadowolony i szczęśliwy. Oczy jego promieniały radością, czuł bowiem dookoła siebie miłość i uwielbienie. Zwrócił się zatem z przyjaznym uśmiechem do agentów i zaprosił ich na szklaneczkę madery; prosił też, by pozostali trochę dłużej i razem z nim oddawali się radości.

Agenci tylko na to czekali. Szczerze wdzięczni, pili więc wino Rasputina i podziwiali podarki, nie zapominając jednak o dokładnym opisywaniu tychże w swych notatkach. Były tam najrozmaitsze przedmioty ze złota i srebra, dywany, zastawy stołowe, klejnoty dla żony Rasputina i jego córek, piękne meble, obrazy, wina, torty i inne specjały; do każdego podarku była

dołączona karta wizytowa nadawcy-darowiciela. Z niemałym zdumieniem poznawali agenci bilety wizytowe swych własnych przełożonych, pułkownika Komisarowa, generała Głobyczewa, kilku ministrów i innych wyższych dostojników, leżące obok wizytówek pochodzących od wytwornych dam, aktorek, bankierów, dyplomatów i spekulantów. Gorączka pisania ogarnęła agentów, szczególnie gdy przyszła do Rasputina większa liczba gości i wszyscy zasiedli do uroczystego śniadania. Wygłoszono kilka przemówień, w których podniesione zostało w pochwalnych hymnach znaczenie Rasputina dla całości

IKK

imperium rosyjskiego. Sam Rasputin promieniał z radości i prze pijał do każdego nowego przybysza, aż wreszcie wieczorem, zupełnie wyczerpany, runął na łóżko. Po kilku godzinach wypoczynku biesiadował w dalszym ciągu, ale już w ciasniejszym kółku; pod koniec biesiady żaden z uczestników nie był trzeźwy.

Także agenci, pociągnięci ogólną zabawą, zachęceni przez Rasputina, tego popijali wino. Wkrótce jednak musieli wkroczyć do akcji; tym razem niejako szpiedzy, lecz jako obrońcy Rasputina. Wczesnym bowiem rankiem wpadło do domu dwóch mężczyzn z rewolwerami w rękę i krzyczeli, że muszą koniecznie pomścić swą hańbę, ponieważ żony ich spędziły całą noc u starca. Należało więc natychmiast zaalarmować Rasputina i obie damy, jako też zatrzymać przez chwilę obu intruzów; następnie musiało się wyprowadzić kobiety przez tylne schody i dowieść rozwścieczonym mężom, że Rasputin był przez cały czas sam w swym mieszkaniu.

Nie zawsze jednak musiał zachodzić jakiś szczególny wypadek, by konfidenti mogli wejść do mieszkania Rasputina; często wystarczało, że Grzegorz Jefimowicz nudził się. Sam wtedy zapraszał agentów do siebie i rozmawiał z nimi na różne tematy, poruszając nawet sprawy polityki.

Jedna z tych pogadank okazała się raz tak ważna, że szef policji, czytając raport o niej, osłupiał ze zdziwienia; uspokoiwszy się nieco, pośpieszył natychmiast do ministra, by go o wszystkim powiadomić.

Rasputin mianowicie wrócił nad ranem pijany i zataczając się, dostał się nareszcie do swego mieszkania, gdzie chciał wyspać się po pijatyce; nękany jednak bólem głowy, nie mógł zasnąć, wyszedł więc na korytarz i zaprosił do siebie agentów na herbatę. Agenci, mile zaskoczeni, weszli za

nim do mieszkania i usiedli dookoła stołu, na którym już stał dymiący samowar.

Rasputin, głęboko zamyślony, siedział w milczeniu, głowę ciężką od wina oparł na rękach. W końcu jeden z agentów rzucił pytanie: „Grzegorz Jefimowiczu, czemuś taki smutny? O czym myślisz?”

„Kazano mi”, odpowiedział Rasputin, smutnym okiem patrząc przed siebie, „zastanowić się nad tym, co ma się stać z Dumą. Nie mogę sobie poradzić. Co ty na to?”

Agent, zaskoczony nagłym pytaniem Rasputina, odpowiedział

wymijająco: „Grzegorz Jefimowiczu, ja nie mam prawa myśleć! Mógłbym mieć wielkie nieprzyjemności ze swą przełożoną władzą!” Rasputin siedział jeszcze przez kilka minut głęboko zamyślony, nareszcie mruknął w stronę agenta: „Wiesz co? Każę carowi pójść na otwarcie Dumy. Gdy sam będzie przemawiał do posłów, żaden z nich nie odważy się powiedzieć coś złego”.

Raport agentów podziałał w departamencie policji jak bomba, dowiódł bowiem wyraźnie, że car, wbrew wszelkiej tradycji, ma zamiar być osobiście na otwarciu Dumy. Urzędnicy policji i minister przekonali się więc, że plan, zrodzony w głowie pijanego starca po całonocnej pijatyce zdołał skłonić cara do niesłychanie ważnego kroku politycznego.

Naturalnie raporty agentów miały dość rzadko tak wielkie znaczenie; przeważnie zawierały mało znaczące szczegóły, jak na przykład: kiedy Rasputin wstawał z łóżka, kto go odwiedzał, o której godzinie wychodził z domu, w jakim stanie wracał nad ranem, trzeźwy czy też pijany, w towarzystwie kobiet czy też sam.

24 grudnia zanotowali agenci: „Około 7 wieczorem przyszedł do Rasputina Ossypenko, sekretarz metropolity Pityryma; mniej więcej godzinę później przyjechali samochodem księżna Szachow-ska, Aleksandra von Pistol Kors i jakiś nieznany oficer; potem wszyscy razem odjechali. O ósmej wieczorem zajechał przed dom Rasputina samochód z hrabiną Olgą Kreuz i córką radcy stanu Gołowina. Gołowina weszła na górę do mieszkania Rasputina i wróciła po chwili z wieśniaczką Łaptińską; po czym wszyscy odjechali do Aleksandro-Newskiego klasztoru”.

7 lutego: „Wyrubowa zajechała autem dworskim i zabrała ze sobą sekretarza Rasputina”.

Często zajeżdżało przed dom autami liczne towarzystwo i zabierało Rasputina na hulanki, które się odbywały w „Villa Rode”, u „Donona”, u Cyganów lub w jakimś prywatnym mieszkaniu. Grzegorz Jefimowicz kroczył wtedy wesoło przez korytarz w towarzystwie swoich kompanów, a agenci przystawali pod ścianą i obserwowali, pilnie notując nazwiska wszystkich uczestników takiej eskapady.

Gdy już towarzystwo wychodziło z domu, agenci natychmiast pędzili na ulicę. Nie zwracając niczyjej uwagi, dawali znaki stojącemu po drugiej stronie ulicy kierowcy samochodu, który również

był na usługach policji. Kierowca niby to przypadkiem przejeżdżał obok całego towarzystwa. Nic więc dziwnego, że Rasputin i przyjaciele wynajmowali samochód napotykaną w tak odpowiedniej chwili.

W tym czasie zajeżdżał przed dom pod numerem 64 drugi samochód, do którego wsiadali agenci. Samochód ten posuwał się w pewnym oddaleniu w ślad za samochodem Rasputina.

Jak tylko towarzystwo wysiadało z samochodu i wstępowało do jakiegoś domu, agenci natychmiast komunikowali się z dozorcą domu. W lokalach publicznych agenci przesłuchiwali kelnerów lub Cyganów, którzy za pieniądze i dobre słówko co pewien czas opuszczali salę i jak najdokładniej raportowali agentom o wszystkim, co w środku się działo, kto siedział blisko Rasputina, czym się wszyscy raczyli, o czym mówili.

14 grudnia agenci notowali: „W nocy z 13 na 14 grudnia opuścił Rasputin o godzinie 2 nad ranem w towarzystwie dwu-dziesięcioletniej żony dziedzicznego obywatela honorowego Jasińskiego dom przy ulicy Fursztackiej 11 i pojechał samochodem na Nową Derewnę do restauracji «Villa Rode». Ze względu na późną godzinę nie wpuszczono go, bił więc pięściami w drzwi i urwał sznur od dzwonka; mającemu służbę stójkowemu wsunął w rękę pięć rubli, by zostawił go w spokoju. Stąd pojechał ze swą towarzyszką pod numer 49, na chór cygański Masalskiego i został tam do godziny 10 przed południem. Następnie udali się oboje zupełnie pijani do mieszkania Jasińskiej. Rasputin wrócił do domu o 12 w południe. Wieczorem pojechał do Carskiego Siola”.

Raport z 17 grudnia stwierdza: „Rasputin pojechał dzisiaj samochodem księżny Dołgorukowej do hotelu «Astoria». Udał się do zarezerwowanego pokoju. Wkrótce nadszedł generał Kleigels, były namiestnik Petersburga, i

obaj pozostali razem do godziny 6 nad ranem".

20 grudnia: „Rasputin i Ossypenko, sekretarz metropolity Pi-tyryma, udali się na Piaskową do honorowego obywatela Knirsze-go. Sprowadzono z «Villa Rode» chór cygański i dwa gąsiory z winem. Mniej więcej o drugiej można było przez okno widzieć tańczącego Rasputina".

5 stycznia: „Rasputin, Ossypenko, pokojówka Dunia i Muller pojechali dorożką do mieszkania Mullerów. Mieli ze sobą gąsior wina".

13 stycznia: „Dzisiaj był Rasputin w towarzystwie Iwanickiej, obcego oficera i dwu dam z wizytą w domu przy Ligowskiej 14, u wdowy po radcy stanu Mityńskim. Około piątej wyszedł z domu z oficerem i Iwanicką i wrócił do siebie. Iwanicka była lekko podochocona; miała na sobie kaftan Rasputina, w którym też odjechała razem z oficerem. Rasputin udał się później samochodem do hotelu «Europe» na urządzoną przez Popermanna pijatykę. W pijatyce uczestniczyli Popermann, kandydat praw, Kowarski, dyrektor Banku Międzynarodowego, hrabia Tatyszew i dwie obce panie”.

21 stycznia: „Rasputin udał się z jedną ze swoich wielbicielek, Marią Gar, na Piaskową do Knirszego, a stamtąd już sam do aktorki Lermy, nałożnicy sekretarza rady ministrów, Ma-nujłowa. Oprócz Manujłowa znajdował się tam również prezydent ministrów Sturmer”.

29 stycznia: „Dzisiaj wieczorem był Rasputin z Filipowem w restauracji «Donon»”.

W dzień 11 marca donoszą agenci: „O godz. 10 min. 15 obserwowaliśmy Rasputina na Grochowskiej, idąc za nim aż do domu prostytutki, chrzczonej Żydówki Gregubowej; stamtąd udał się Rasputin do łaźni”.

21 marca: „Rasputin pojechał z Mikołajem Głazowem do hotelu «Nord», do kurtyzany Eugenii Terechowej, u której zatrzymał się dwie godziny”.

15 kwietnia: „Rasputin odwiedził w towarzystwie swego przyjaciela opata Marcjana z Tiumenu obywatela honorowego Piestrykowa, mieszkającego przy Ligowskiej 45. Samego Piestrykowa nie było w domu, ale syn jego zapijał się w towarzystwie kilku studentów; Rasputin pozostał z nimi. muzyka grała do tańca, śpiewano, a Rasputin tańczył z pokojówką”.

Agenci wdrapywali się na gzymisy domu, w którym Rasputin chwilowo

bawił, i z wyciągniętymi szyjami zaglądali przez okna do pokojów. Często nie mogli sobie wytłumaczyć przedziwnych, zagadkowych rzeczy, jakie się w tych pokojach działy.

Raport z 14 maja stwierdzał: „Wczoraj o piątej po południu udał się Rasputin na Małą Orłą pod numer 15, do Bielkowskiego i Cezarewy. Około dziesiątej wieczorem zauważono, że okna mieszkania nie były oświetlone, ale tajni agenci stwierdzili, że jedna z kobiet przeszła przez jasno oświetloną salę i zaglądnęła

do pokoju, w którym siedziało kilku mężczyzn. Później widzieliśmy, jak Rasputin, widocznie przeczuwając jakieś niebezpieczeństwo, wypadł z pokoju, porwał kapelusz i laskę i wybiegł na ulicę. Dwóch mężczyzn wyskoczyło za nim i słyszeliśmy, jak jeden z nich mówił: «O, tam pędzi!» Wrócili zaraz. Rasputin wskoczył do przejeżdżającej dorożki i w pozie stojącej zajechał aż na Liteński Prospekt, przy czym wciąż się rozglądał, czy go nie ścigają".

*

Zakończenie raportu dziennego każdego szpicla stanowiła notatka o powrocie Rasputina. Agenci odbierali dokładne sprawozdanie od szofera, który wiozł swą taksówką Rasputina aż pod sam dom, następnie odprowadzali swego pupila do drzwi mieszkania, by pijanemu Rasputinowi pomóc przy wstępowaniu na schody bądź też by uzyskać jeszcze kilka zdań do swego raportu. Wtedy to ostatni raz tego dnia posuwały się ołówki szybko po papierze i notowały powrót świętego męża:

„14 października: Rasputin przyszedł o pierwszej w nocy do domu, zupełnie pijany, sklął dozorczynię, czyniąc jej wyrzuty, że przyjęła od ministra dwadzieścia pięć rubli łapówki. Potem dorzucił: Chciał mnie pogrzebać, teraz ja jego pogrzebię!"

„6 listopada: Rasputin był w mieszkaniu kupca Popermanna z Samary i wrócił pijany po pięciu godzinach. Na pożegnanie całował się z Popermannem. Wstępując po schodach do swego mieszkania dowiadywał się, czy czekają nań goście. Gdy mu opowiedziano, że są dwie panie, zapytał: Są ładne? Bardzo ładne? To dobrze, tylko takich mi potrzeba! Około siódmej wyszedł z domu, przy czym podarował dozorczyńni 10

rubli; robił wrażenie, jakby był snem zmożony".

„14 listopada: Rasputin przyszedł lekko podchmielony do domu z Tatianą Szachowską, wkrótce potem znowu wyszedł i wrócił kompletnie pijany o drugiej w nocy".

„23 listopada: Rasputin wrócił do domu o piątej z rana, całkiem pijany".

„3 grudnia: Rasputin wrócił z wizyty u Filipowa w podchmielonym stanie".

„5 grudnia: Rasputin wrócił pijany o trzeciej w nocy".

„7 grudnia: Rasputin wrócił do domu o siódmej rano; był porządnie pijany”.

„12 grudnia: Rasputin wrócił do domu o godz. 9 min. 50 w towarzystwie Warwarowej; prawdopodobnie nocował u niej”.

„2 stycznia: O pierwszej w nocy przyszedł Rasputin pijany do domu”.

„8 stycznia: Rasputin wrócił około trzeciej nad ranem w towarzystwie trzech pań; był przedtem z wizytą u Nordmanna, sekretarza kapituły orderów; panie zostały u Rasputina jeszcze przez dwie godziny”.

„14 stycznia: Rasputin przyszedł do domu około siódmej rano; był kompletnie pijany. Ossypenko i jakiś obcy pan byli w jego towarzystwie. Rozbił szybę u bramy wejściowej; widocznie musiał już przedtem się potknąć, gdyż miał opuchnięty nos”.

„18 stycznia: Rasputin wrócił o wpół do ósmej w towarzystwie dwóch mężczyzn i jednej kobiety; był całkiem pijany i śpiewał pieśni na ulicy. Nieznajomi doprowadzili go aż do mieszkania i zaraz potem odeszli”.

„22 stycznia: Rasputin przyszedł do domu o piątej rano w towarzystwie Ossypenki, nieznanego mężczyzny i jednej kobiety; był kompletnie pijany”.

„20 maja: Rasputin przyjechał w towarzystwie prostytutki Gregubowej samochodem kupca Mandelsa. Był zupełnie pijany, namiętnie całował Gregubową i głaskał ją po twarzy. Po odejściu Gregubowej posłał Rasputin dozorczynię po krawcową Katię, która mieszka w tym samym domu. Katii jednak nie było w domu”.

Z biegiem lat nazywały się na biurkach ochrony, policji i w ministerstwach całe stosy podobnych raportów i sprawozdań. Były to wciąż te same notatki o tym, kiedy Rasputin wstawał, kto go odwiedzał, w

czyim towarzystwie wychodził z domu i w jakim stanie wracał.

Z całego bogactwa życia ludzkiego, z różnorodnego zasobu niezliczonych uczuć, właściwości, słów, nastrojów i wydarzeń kreślili niezmordowani agenci w swych papierach to, co im wpadło w oczy na tym małym odcinku od bramy wejściowej do drzwi mieszkania i w drodze do łaźni, kościoła lub do jakiegoś obcego domu.

W biurach policyjnych starano się na podstawie tych drobiazgowych spostrzeżeń, robionych z perspektywy klatki schodowej, zrekonstruować tę tak bogatą, różnorodną i pełną sprzecz-

ności indywidualność; odtworzono w ten sposób sylwetkę człowieka z drobnych, wprawdzie dokładnych, ale nic nie znaczących szczegółów i szczegółików.

Obraz ten, aczkolwiek niezupełny, nieistotny i spaczony, uchodził, jak wynika z raportów agentów, za cenny dokument; był to w ogóle jedyny istniejący, uwiarygodniony portret starca. Postać Grzegorza Jefimowicza była dla bystrych agentów i ich szefów niezrozumiała, niepojęta, silili się więc rozłożyć to przebogate życie na wielką ilość błahych, drobiazgowych szczegółów.

Zbiór raportów policyjnych, ten dziwnie spaczony, a przecież skądinąd nader interesujący dokument, stał się niezwykle cenną rzeczą i wędrował z rąk do rąk; ministrowie, wielcy książęta, księżniczki, zagraniczni ambasadorowie zamawiali go sobie na wiele dni naprzód i każdy czuł się wielce szczęśliwy, jeśli mógł przez szereg dni przerzucać kartki tej „Historii pewnej klatki schodowej”.

'

|
|
Ojciec Grzegorz przyjmuje gości

Na dzwonek do mieszkania Rasputina pod numerem 20 otwierała drzwi starsza, średniego wzrostu, trochę zażywna kobieta, w czarnej sukni i z białą chustką na głowie; była to Dunia, daleka krewna starca i zarazem jego służąca. Obrzucając przybysza nieufnym spojrzeniem swych szarych oczu, pytała mrukliwie: „Czy pan umówiony? Tak? No, to proszę wejść!” Jeżeli gość przedtem nie był umówiony, wypytywała go Duma najdokładniej o cel przybycia, poddając go przesłuchaniu. Dopiero gdy przesłuchanie wypadało po jej myśli, oddalała się w swych wydeptanych bucikach do jednego z pokoi, by zgłosić gościa. Po kilku minutach wracała ze słowami: „Grzegorza Jefimowicza nie ma” albo też: „Grzegorz Jefimowicz prosi!”

Rasputin zwykł wstawać o szóstej rano i udawać się natychmiast do Afonskoje Podworie na mszę poranną. Stamtąd wracał w towarzystwie większej grupy wielbicieli, którzy wchodzili za nim aż do stołowego pokoju. Tu czekało na wszystkich śniadanie; starzec popijał herbatę i spożywał czarne suchary, które mu szczególnie smakowały. Oprócz wielbicieli, którzy razem ze starcem wracali z kościoła, przychodzili już o ósmej najrozmaitsi petenci.

Najprędzej można było zastać Rasputina w domu o dziesiątej. Bez względu na to, czy hulał przez całą poprzednią noc, czy też musiał składać nieodzowne przedpołudniowe wizyty, o dziesiątej był prawie zawsze w domu, oczekiwał bowiem stale o tym czasie telefonu z Carskiego Sioła. Na odgłos dzwonka o tej godzinie podchodziła Dunia do aparatu i wołała: „Tu numer 646-46” i odbierała numer telefonujące-

go. Jeśli to było Carskie Sioło, głos jej stawał się grzeczny i usłużny. Udawała się natychmiast do gabinetu Rasputina ze słowami: „Anna Aleksandrowna jest przy aparacie!”

Szybkim krokiem dochodził wtedy Rasputin do telefonu i zadawał krótkie pytania: „No, co znowu? No, co nowego, duszko? Mam teraz gości, no tak, przyjdę!”

Każdorazowy wynik takiej rozmowy z Wyrubową wpływał w znacznej mierze na humor przez całe przedpołudnie. Także dla czekających w przedpokojach gości była ta rozmowa ważnym momentem. Zaledwie była dziesiąta, a już przychodzili do starca, jeden za drugim, pułkownik Komisarow, książę Andronnikow, bankier Rubinstein, mąż zaufania nadwornego koniuszego Bur-dukowa i cała gromada polityków i aferzystów. Wszyscy oni spodziewali się, że uchwycą z rozmowy Rasputina z Carskim Siołem coś, co im może się przydać.

Ci goście po dziesiątej zostawali zwykle tylko kilka minut, aż do podchwycenia tego, co im było potrzebne; szybko się potem żegnali, zbiegali po schodach i wpadali do swych aut, by jak najprędzej zawiadomić swoich kompanów i wspólników na mieście o treści rozmowy z Rasputinem.

O tym samym czasie wypełniali przedpokój petenci i goście, siedzący na małych ławkach i pstrą materią powleczonych krzesłach. Czekali niekiedy godzinami cierpliwie na audiencję u starca; gdy ją nareszcie uzyskali, odstępowali miejsca nowo przybyłym petentom. Od ósmej rano do późnego wieczora przewijały się masy gości przez przedpokój Rasputina. W niektóre dni było ich tylu, że wielu z nich musiało na schodach czekać na swoją kolejkę, szczególnie w dni świąteczne panował wielki ścisk.

Córka Rasputina opowiadała, że w taki dzień świąteczny często cała ulica pełna była ludzi. Wszędzie stały auta i powozy, a goście z niższych warstw tłoczyli się w długich szeregach. W takich dniach mieszkańcy domu doliczali się kilkuset gości.

' Wszyscy wiedzieli, że Rasputin cieszy się sympatią u dworu i że wskutek tego posiada wielkie wpływy u państwowych i kościelnych dostojników; uchodził więc po prostu za „wszechmocnego” w oczach niezliczonych urzędników, oficerów, hochsztaplerów, pośredników, polityków i wszystkich tych, którzy mieli konflikty ze świecką lub kościelną władzą. Wszędzie opowiadano sobie, że władza Rasputina sięga wyżej niż władza cara, ponieważ

jedynie on, Rasputin, potrafi zawsze i wszędzie dopiąć swego. Wiele ludzi nadawało mu nazwę „car nad cary”, jaka zwykle mianowali chłopci prawdziwie wielkie i święte jednostki.

Rasputin uchodził właśnie nie tylko za człowieka o nieograniczonej potędze, lecz uważano go także za świętego człowieka, o niezwykłych, mistycznych uzdolnieniach. Często opowiadano o nim przedziwne historie, jakoby potrafił przejrzeć duszę każdego człowieka, przepowiadać przyszłość i leczyć chorych spojrzeniem swych oczu lub dotknięciem swych rąk.

Powtarzano sobie niezliczone wypadki, gdzie Rasputin, wzorem Chrystusa, czynił cuda. Nie tylko wieśniacy i wieśniaczki, którzy przyszli za Rasputinem do stolicy, święcie wierzyli w jego boskość, ale także szerokie koła towarzystwa petersburskiego przywykły do tego, by tego niezgrabnego, prostego muzyka z Po-krowskoje traktować jako odrodzonego Zbawiciela.

Już od kilkudziesięciu lat istniały w Petersburgu mistyczne kółka, skłaniające się do nauk chłystów, i wciąż na nowo tworzyły się w najwyższym towarzystwie stolicy tajne gminy, tak zwane „korabie”, o czysto sekciarskim charakterze. Rasputin znalazł więc także w Petersburgu podatny grunt dla swoich występów jako nowy Zbawiciel. Sława Rasputina szerzyła się wprawdzie jedynie w tajnych kołach, tajemność bowiem była jednym z przepisów wiary chłystów; lecz ta właśnie tajemniczość przyczyniała się do wzrostu powagi i znaczenia tego dziwnego człowieka. Mężczyźni i kobiety wszelkiego wieku i stanu, księżniczki, jako też ich służba, wszyscy szli do ojca Grzegorza i z drżeniem czekali tej uroczystej chwili, kiedy im dozwolone będzie na

kolanach przyjmować błogosławieństwo tego „przemienionego w Boga” człowieka.

*

Podobnie szybko jak wieść o boskości Rasputina szły tajne szepty między ludźmi o sprawach szczególnie interesujących pewne koła. Oto Rasputin chętnie załatwiał różne interesy, zwolnienia ze służby wojskowej, uwolnienia z więzienia, przeprowadzał przydzielenia koncesji. Obok cennych wiadomości ogólnej natury podawano sobie także dokładne informacje co do wysokości sum, jako też cen i jakości podarków potrzebnych do uzyskania interwencji starca.

I9S

Wśród zamożnych sfer stolicy opowiadano sobie na ucho o sprzedajności Rasputina, biedniejsi szeptali między sobą, również w największej tajemnicy, że Rasputin wprawdzie chętnie przyjmuje podarki za swe usługi, ale nagroda nie jest jedynym warunkiem jego pomocy. Jeśli zamożni chłopi, bogate wdowy, szczęśliwi spekulanci lub ambitni kandydaci do tek ministerialnych po przedłożeniu swych próśb zostawiali na stole pieniądze, Rasputin oczywiście bez skrupułów i żenady zgarniał je do kieszeni swych aksamitnych spodni. Był jednak tak samo uczynny, uprzejmy i usłużny, jeśli petent miał próżne ręce i kieszenie. Może był nawet dla ubogich bardziej uprzejmy i życzliwy aniżeli dla bogatych; tak przynajmniej wolno było sądzić ze sposobu przyjmowania podarków, że datek biedaka był mu miłszy niż bogaty dar zamożnego. Jeżeli mu jakiś szczęśliwy spekulant wręczał większą sumę, Rasputin ledwo dziękował i zachowywał się wobec danego człowieka niesłychanie arogancko, ba, traktował go szczególnie po grubiańsku; datki natomiast prostych ludzi, którzy dość często wywdzięczali się za udzieloną pomoc jakimś drobiazgiem, jak flaszką wina, serkiem lub obrazkiem Matki Boskiej, spotykały się u Grzegorza Jefimowicza z demonstracyjną radością. W takich wypadkach wołał Dunię, sekretarza Symanowicza lub córkę Matrionę i mówił do nich: „Patrzcież, co za cenny podarek przyniósł ten miły człowiek! Prawdziwie szlachetny dobroczyńca!” Wielce delikatnie i taktownie traktował tych najbiedniejszych z biednych, tak że odchodzili od niego z uczuciem, że ich podarki bardzo uradowały świętego ojca. Rasputin jednak nie tylko chętnie się wstawiał za biedakami, nie biorąc od nich zapłaty; przyjmował także codziennie niezliczoną ilość petentów, którzy przychodzili do niego prosząc o pomoc pieniężną. Nie doznawali

też prawie nigdy rozczarowania. Grzegorz Jefimowicz dawał chętnie, szybko i pełną ręką, nie czekając wcale na żale petenta z powodu doznanych nieszczęść. Za ledwie włożył do kieszeni swych spodni pieniądze zarobione przy pośrednictwie w udzielaniu koncesji lub zwolnień ze służby wojskowej, nie licząc ich wcale, natychmiast rozdawał je między biednych petentów. Tu była matka, nazbyt uboga, by móc wyjechać do syna, złożonego chorobą w jakiejś odległej guberni, tam ojciec za biedny, by wysłać swe dzieci do szkoły, tam znowu chory wyciągał swą rękę po datek, by móc opłacić lekarza. Zdarzało się dość

199

często, że Rasputin wszelkie pieniądze, jakie dostawał przed południem od swych klientów, rozdzielał w przeciągu dnia między biednych proszących; wielce tym się różnił od owych wysokich dostojników państwowych, którzy oburzali się na sprzedajność Rasputina, a sami wyciskali pieniądze, skąd się tylko dało, nie dając na jakiś bezinteresowny cel ani grosza.

Z pieniędzy przechodzących przez ręce Rasputina pozostawało jeszcze dość dużo dla niego samego, aczkolwiek klienci i pomocnicy wciąż go okradali. Grzegorz Jefimowicz był bowiem mimo swej chytrłości chłopą w gruncie rzeczy naiwnym i łatwowiernym człowiekiem i nienawidził rachunków. Po odliczeniu codziennych strat, spowodowanych kradzieżą i dobroczynnością, zużywał resztę dla siebie lub też składał do szufladki swego biurka na przyszły posag dla swej córki Matriony. Syn jego przyjaciela Sołowiewa ubiegał się w owym czasie o rękę Matriony, było więc ambicją starca zapewnić wedle możliwości materialną przyszłość młodej pary.

Sam Rasputin nie umiał obchodzić się z pieniędzmi i tak samo je lekko wydawał, jak zarabiał; często uważał się, że ma „dziurawe ręce”. Na ogół potrzebował bardzo mało dla siebie i swej rodziny; mieszkanie było urządzone skromnie, bez szczególnych wydatków. Jadł i pił dość obficie, lecz były to dary jego przyjaciół, a zwłaszcza jego wielbicielek. Także żona jego i dzieci prowadziły dalej skromny, wieśniaczy tryb życia, aczkolwiek i ich nie omijały częste podarunki.

W takich warunkach paczka banknotów w szufladzie pęczniała coraz bardziej, a Rasputin cieszył się tym widokiem jak dziecko. Z naiwną dumą pokazywał niektórym gościom, jak rośnie posag córki; jeszcze w noc swej śmierci wyraził zadowolenie z tego, że przyszły zięć nie dozna

rozczarowania co do posagu.

Obok petentów, przynoszących Rasputinowi pieniądze i podarki, jako też takich, którzy do niego przychodzili po datki, istniała jeszcze trzecia kategoria gości. Były to kobiety i dziewczęta, które dla dobra, kariery i interesów swych bliźnich, szukając protekcji i wstawiennictwa starca, dawały w zamian za to wdzięczny uśmiech, wielce obiecujące spojrzenie i swe wilgotne usta. Wszystkie te kobiety słyszały już przedtem, że żaden, choćby najcenniejszy dar nie skłania tak starca do udzielania pomocy jak wdzięk kobiety.

200

Jeżeli spodobał mu się uśmiech kobiety, która mu się sama ofiarowała, a ruchy jej ciała budziły w nim pokusę i namiętność, przyjmował wtedy ten cenny dar za każdym razem z nowym uczuciem radości i szczęścia i dokładał wszelkich starań i trudów, by tylko móc spełnić życzenie swego uroczego gościa. Poruszał wówczas wszelkie sprężyny, szedł do najwyższych władz, ba, nawet do cara lub carowej, choćby petentka była wieśniaczką albo zwykłą służącą.

Były jednak także kobiety, które przychodziły z prośbą do Rasputina, lecz stawiały opór jego pożądlivości; jedne ponieważ kochały innego mężczyznę, zachowywały więc czystość, inne znowu czuły wstręt do podstarzałego, brudnego muzyka ze szczeciniastą brodą i czarnymi paznokciami. Grzegorz Jefimowicz okazywał wprawdzie w takich wypadkach swą złość z powodu rozczarowania, stawał się nawet gwałtownym i grubiańskim, wkrótce jednak przyjmował z powrotem ton dobrotliwego, świętego ojca; także dla tych kobiet nie szczędził wysiłków i korzystając ze swych wpływów i stosunków, czynił zadość ich prośbom. Poświęcenie kobiety było wprawdzie podobnie jak każdy inny dar dla Rasputina pożądaną rzeczą, nigdy jednak nie było warunkiem udzielania pomocy.

Rzadko naturalnie trafiało się, by prosząca na chłodno traktowała zaloty Rasputina; przeważnie część tych kobiet czuła się szczęśliwa, jeśli mogła pochwalić się nie tylko jego protekcją, lecz także stroną erotyczną jego życzliwości. Niektóre nawet z dumą podkreślały, że święty mąż zaszczycił je swoją miłością.

W owych czasach kobiety ze wszystkich kół towarzyskich Petersburga i z prowincji z tęsknotą, pełną pożądlivości i pokory czekały tej chwili, kiedy

wejdą do tajemniczego „sanktuarium” tego ściślejszego grona, otaczającego Rasputina. Gdy raz nowi-cjuszka nie chciała spełnić żądań Rasputina, jedna z jego zapalonych uczennic, zameżna kobieta, zdziwiony tym, zapytała:

„Dlaczego pani nie chce mu się oddać? Jakżeż można odmawiać czegoś świętemu mężowi?”

Młoda kobieta odpowiedziała na to z oburzeniem: „Potrzebna świętemu grzeszna miłość? Cóż mi to za świętość?”

„On wszystko uświęca, czego się tylko dotknie,” odrzekła z przekonaniem uczennica.

„A pani zechciałaby zadośćuczynić jego żądaniom?”

„Naturalnie! Należałam już do niego i jestem dumna i szczęśliwa z tego powodu!”

„Ale pani przecież zameźna! Jak mąż pani zapatruje się na to?”

„Uważa to sobie za największy zaszczyt! Gdy Rasputin pożąda kobiety, jest to dla nas błogosławieństwem i odznaczeniem, dla nas, kobiet, zarówno jak i dla naszych mężów”.

W Rasputinie znajdowały kobiety spełnienie owych dwu pragnień nie dających się w ich oczach dotychczas połączyć: pragnienie zbawienia drogą religii i pragnienie zaspokojenia żądz cielesnych. Stary ortodoksyjny pop z ich parafii przyrzekł im wprawdzie spełnienie ich tęsknoty za czystością i spokojem duszy, lecz pod warunkiem, jeśli tutaj na ziemi prowadzić będą życie bez skazy, czyste i cnotliwe. Ten warunek był jednak w sprzeczności z tym, czego domagało się grzeszne ciało i gorące usta. Droga prowadząca do Boga wymagała -wyrzeczenia się uciech zmysłowych, natomiast uciechy zmysłowe oddalały od Boga.

I oto przyszedł ojczulek Grzegorz, by kobietom, dręczonym trudnością wyboru między ciałem a duszą, zwiastować swą nową naukę, że grzech nie oznacza potępienia, lecz że przeciwnie, najkrótszą i najpewniejszą drogą prowadzi do zbawienia. Kto rzeczywiście chce zbliżyć się do Boga, musi wpiery przejść przez grzech, droga bowiem do Pana prowadzi przez dolinę Józefata. W ten sposób potrafił Rasputin przy pomocy zasad swej nowej wiary usunąć konflikt między ciałem a duszą, między zbawieniem drogą religii a zbawieniem przez zmysły. Ponieważ zaś sam Rasputin uchodził w oczach swych uczennic za ponowne wcielenie Pana, obcowanie więc z nim nie mogło w żadnym wypadku być grzechem. Tym sposobem kobiety, w których uczucia religijne walczyły ze zmysłowością,

znajdowały w ramionach Rasputina czyste, żadnymi wyrzutami sumienia nie zmacone szczęście.

Wszystkie te liczne i sprzeczne ze sobą wieści o cudownym starcu, o jego niezmiernych wpływach u dworu, o jego zabiegach leczniczych, o dobrych uczynkach, interwencjach w sprawach handlowych, o sprzedajności i o jego nauce o zbawieniu duszy przez grzech cielesny, wszystko to sprawiało, że przychodziły do niego

nieprzebrane tłumy ludzi ze swymi nadziejami, życzeniami i prośbami. Od prostego muzyka do najwyższego dostojnika, od ostatniej ulicznicy do nieprzystępnej, sławnej piękności, od żebraka w łachmanach do oficera w galowym stroju. Cała Rosja była reprezentowana w tej poczekalni.

Głęboka wiara, tęsknota za prawdziwym Bogiem i szczerą pokorą obok niskiej, grzesznej żądzы, bezwzględnej ambicji karierowiczowskiej, korupcji, skąpstwa i zawiści.

Siedzieli tu wyżsi oficerowie z orderami na piersiach i czekali na starca, który miał przyśpieszyć ich awans; tam znowu w czarnych habitach mnisi i popi z wielkimi krzyżami na piersiach godzinami czekali cierpliwie, spodziewając się mniej lub więcej tłustej synekury. Ministrowie i wyżsi urzędnicy państwowi przybywali natychmiast po swojej nominacji, by sobie na cały czas swego urzędowania zapewnić względy wszechmocnego cudotwórcy; ludzie interesów, maklerzy i giełdjarze przychodzili w nadziei, że protekcja da im niezwykle wyniki; chłopci o szczeci-niastych brodach, dawni współbracia sekty, którzy doznali jakiejś krzywdy w swej wiosce rodzinnej, trzymali prośby na piśmie w swych twardych rękach; byli tam studenci i studentki, którym brakło pieniędzy na opłaty szkolne, chorzy przychodzący prosić o zdrowie i ubogie wdowy starające się o pensję dla siebie i swych dzieci.

Obok gości ślepo wierzących w Rasputina siedzieli także tacy, których sprowadzała płocha ciekawość lub wroga niechęć szpiegowania; poza tym znajdował się tam cały tłum posłańców, którzy bez przerwy przynosili i odnosili listy i paczki.

Między petentkami były tam damy z kół inteligencji, starające się u Rasputina o wyrobienie posady; inne znów kobiety interweniowały w

sprawach swych mężów, braci lub kochanków, którzy znajdowali się na wygnaniu albo służyli na froncie.

Można także było spotkać w poczekalni Rasputina mniszki; przychodziły one po błogosławieństwo świętego starca, podobnie jak liczne proste wieśniaczki, czekające na to, by móc nabożnie ucałować kraj jego szaty.

Wszelki rodzaj nieszczęśliwych i przez los prześladowanych przychodził doń o radę w sprawach życia praktycznego i duchowego. Biedne

zwolnione służące, dziewczęta z ulicy z malowanymi policzkami i ustami, stare kobiety w chustach z perkalu, lecz także księżniczki, hrabianki, aktorki i tan-

cerki. Wszystkie one z czołobitną wiarą i podziwem patrzyły na Rasputina, nazywając go „ojczulkiem Grzegorzem”.

Niektóre z tych kobiet już u wejścia swym nieśmiałym zachowaniem i lęklwym sposobem bycia okazywały, że przychodzą po raz pierwszy, inne natomiast występowały ze swobodą i pewnością siebie codziennych gości. Już na podstawie przyjmowania gości przez pokojową można było rozróżnić dwie grupy. Tylko te kobiety, o których Dunia wiedziała, że Rasputin przyjmuje je w swych prywatnych pokojach, mogły składać płaszcze w przedpokoju. Kto raz przekroczył progi pokoju stołowego lub sypialni, ten uchodził w oczach Duni za należącego do ściślejszego grona i korzystał z różnych drobnych przywilejów; wierzchnie szaty tych gości miały wyznaczone swe stałe miejsca na wieszaku.

Członkowie „najściślejszego kółka”, odwiedzając Rasputina, nie musieli przechodzić przez przedpokój, przeznaczony dla ogółu. Mogli przychodzić i odchodzić przez tylne schody, gdzie mieściła się zapchana skrzyniami i koszami mała, ciasna kuchnia, prowadząca do dalszych pomieszczeń. Gość siedzący w przedpokoju mógł tylko w takim wypadku zobaczyć jedną z tych uczennic, jeśli nagle wychodziła z jednego pokoju, by wejść do drugiego, lub też jeśli stawała w przedpokoju, by rozglądać się za kimś.

Takie tajemnicze zjawienie się jakiejś bliższej wielbicielki Rasputina podniecało fantazję czekających godzinami w przedpokoju kobiet, dawało impuls do snucia najróżnorodniejszych domysłów. Kobiety mające przywilej przebywania w „sanktuarium” starca były jakimiś szczególnymi istotami i szeptało sobie o nich na ucho najprzedziwniejsze historie. Kobiety z poczekalni znały przeważnie część uczennic Rasputina i

dokładnie o każdej wiedziały, od jakiego czasu należy do otoczenia starca; szczególnie dobrze znały domowników, przebywających stale w mieszkaniu.

Przede wszystkim zasługiwała na uwagę niezmordowana, wierna służąca Rasputina, mniszka Akulina Nikiczkina, cicha i miła niewiasta w szatach pielęgniarki. Była silnie zbudowana, nieco tęga, miała proste, chłopskie rysy twarzy, tak jednak regularne, że mogły uchodzić za piękne. Przez tę czystość i jasność charakteru, w którym nie było nawet śladu namiętności, nazywano ją w najbliższym otoczeniu Rasputina „świętą”.

Gdy na chwilę wychodziła z dalszych pokojów, milkła rozmo-

wa plotkarek w poczekalni i wszystkie spoglądały na nią z pełnym uszanowaniem podziwem. Wiedziano bowiem, że ze wszystkich wielbicielek Rasputina była najwierniejsza, wszędzie szła za nim i ślepo podporządkowywała się jego życzeniom. Nic, nawet coraz bardziej rozpustny tryb życia Rasputina, nie zdołało zniweczyć jej wiary w boskość starca.

Głęboko w lasach Uralu, w klasztorze świętego Tychona w Och-toju pędziła Akulina wśród swoich siostr zakonnych życie spokojne i zbożne. Jednakże krótko po wyświęceniu zapadła na dziwną chorobę. W czasie gorących modłów przed obrazem Zbawiciela popadała w gorączkowy stan zachwycenia, po czym następowały silne skurcze całego ciała, które później powtarzały się w coraz to krótszych odstępach czasu. Zakonnice klasztoru ochtojskiego, przerażone tym smutnym wydarzeniem, szeptały między sobą na swych zebraniach o opętaniu siostry Akuliny przez diabła. Pewnego wieczora, kiedy Akulina po modlitwie przed obrazem Zbawiciela wiła się w skurczach, zapukał jakiś obcy pielgrzym do bramy klasztoru. Był to Grzegorz Jefimowicz, wędrujący wówczas jako „strannik” po Uralu.

Usłyszawszy dzikie krzyki zakonnicy i dowiedziawszy się, że to opętana przez diabła Akulina, poprosił, by go wprowadzono do jej celi; pozostał tamże przez dłuższy czas, by odpowiednią modlitwą i egzorcyzmami wypędzić z niej diabła.

Po pewnym czasie wyszedł blady, z błyszczącymi oczami i doniósł zaleknionym zakonnicom, że sam Bóg wspomagał go w walce i zezwolił na wypędzenie diabła z ciała Akuliny. Wkrótce wyszła też z celi młoda

zakonnica, wolna, uzdrowiona i z błyskiem szczęścia w oczach.

Cud ten wpisano z oznakami czci do annałów klasztoru ochtojskiego; zaś siostra Akulina, za zgodą przeoryszy, postanowiła poświęcić odtąd życie dla swego wybawcy, głosząc całemu światu sławę jego świętości.

Wszyscy goście znali siostrę Akulinę i prawie wszyscy ją kochali; bardzo często bowiem przejmowała prośby petentów i wykonywała zlecenia starca. Często też można było słuchać jej pięknego sopranu, kiedy przy wspólnym stole uczennic śpiewała pieśń o „stranniku”. Miała sympatyczny głos, trochę melancholijny, szczególnie gdy po ukończonej pieśni ludowej śpiewała hymny kościelne.

Jeszcze jedna kobieta z otoczenia Rasputina była dla czekających w przedpokojach źródłem przeróżnych opowieści: Olga Władimirowna Łochtina, żona radcy stanu Łochtina. Miała ona kiedyś niebezpieczną przygodę z nieposkromionym mnichem Iljodorem, który chciał ją uwieść przy sposobności, jaka nadarzyła się w klasztorze w Carycynie. Oparła mu się jednak, a Iljodor opowiedział swoim licznym wielbicielom, że zły duch nawiedził Łochtinę. Egzaltowani uczniowie Iljodora rzucili się na nią, zdarli i niej suknie i przywiązali ją za nogi do wozu, którym pojechali galopem. W ostatniej chwili przybiegli na pomoc chłopcy i wyratowali ją; doznała przy tym ciężkiego szoku nerwowego i od tego czasu cierpiała na zaburzenia umysłu.

Za pośrednictwem starszej pani Gołowiny zapoznała się Olga Łochtina z Rasputinem. Ten starał się ją wyleczyć, co mu się też z początku udawało. Z czasem jednak szaleństwo jej przybrało formę religijnego uwielbienia dla starca. Ilekroć spotykała Rasputina, upadała przed nim na kolana oddając mu cześć jako swemu Chrystusowi i Zbawicielowi. Była do głębi przejęta wiarą, że Rasputin jest nowo wcielonym Bogiem, i starała się każdemu wpajać przekonanie, że już samo dotknięcie starca uświęca człowieka. Chełpiła się przy tym na głos miłością Rasputina i jawnie mówiła o swym szczęściu: „Co święty czyni, jest święte, czego dotyka, jest błogosławione, a co jest przedmiotem jego miłości, zostaje uświęcone przez samo niebo. Wierzcie mi, siostry moje, kto oddaje się temu Bogu, tego ciało już przez zetknięcie z nim staje się boskie”.

Często miała ręce skrzyżowane na piersiach i głowę lekko naprzód pochyloną. Jeśli ktoś głośniejszym głosem mówił, zwracała się doń niezadowolona ze słowami: „Tu u ojczulka Rasputina jest jak w kościele! Tu musi być

cicho!"

Olga Władimirowna była dawniej wierną owieczką prawowiernego kościoła; teraz jednak duchowieństwo potępiało ją, traktując jej fanatyczne uwielbienie Rasputina jako herezję i odszczepień-stwo. Żadne atoli prześladowania nie potrafiły w najmniejszym stopniu zmienić jej przekonań. Czciała Rasputina jako bóstwo, prowadziła żywot męczennicy, sypiała na gołych deskach, kładąc sobie pod głowę zwykłe polano.

Często można także było widzieć w poczekalni Rasputina pewną starszą panią w towarzystwie czarującej, młodej dziewczyny; wy-

płowiąle nieco oczy matki, zarówno jak i rozmarzone oczy córki miały wyraz głębokiej, absolutnej uległości. Pani Gołowina, wdowa po radcy stanu Gołowinie, jako też jej skromnie ubrana, jasnowłosa córka Maria zaliczały się do najbliższych i najbardziej oddanych zwolenniczek Rasputina. Były spokrewnione z Anną Wyrubową, a Munia, jak pieszczotliwie nazywano córkę, była znaną ulubienicą starca. Gorąco niegdyś kochała pewnego arystokratę; po jego nagłej śmierci popadła w melancholię. Spotkawszy przypadkowo Rasputina, doszła do przekonania, że oto Bóg zesłał jej tego świętego męża jako pocieszyciela. Od tego czasu poświęciła swe życie Rasputinowi i zupełnie dostała się pod jego wpływy. Często gościem Rasputina była również żona pewnego pułkownika, śpiewaczka operowa, o pięknym, dźwięcznym głosie. Niekiedy telefonowała do Rasputina i śpiewała mu do aparatu jedną z jego ulubionych pieśni. Grzegorz Jefimowicz zwoływał wtedy swe przyjaciółki, by słuchały; prosił też czasem śpiewaczkę, ażeby śpiewała romans cygański „Trojka” albo pieśń „Baryniu”; niekiedy tańczył do śpiewu, trzymając w ręku słuchawkę.

Obok kobiet leczących się u Rasputina na różne choroby, jako też niewiast przychodzących do niego z powodu ciężkich kłopotów, znajdowały się stale w otoczeniu starca także takie, które, trawione namiętnością, szukały u niego zaspokojenia swych grzesznych popędów. Grzegorz Jefimowicz pokonał przecież, jak wierzyli wtajemniczeni w misteria chłystów, „tajemniczą śmiercią” wszelki grzech i osiągnął najwyższy stan beznamiętności, właściwy prawdziwie świętym. On sam często tłumaczył swym uczennicom: „Bóg użyczył mi stanu beznamiętności; dotykając kobiety, dotykam jakby kawałka drewna. Nie trapią mnie żadne żądze, a

beznamiętny spokój spływa ze mnie na niewiasty, które ze mną przebywają, tak że same stają się czyste i święte."

Do tych zwolenniczek Rasputina zaliczała się wysmukła, młoda dziewczyna imieniem Masza, w stroju gimnazjalistki, która już w poczekalni zwracała na siebie ogólną uwagę niezwykłymi ruchami i dziwnie odpychającą aparycją. Miała kredowoblada, kanciastą twarz z przyplaszczonym zwierzęcym podbródkiem, wystające czoło i czarne, niemile oczy. Włosy jej bez barwy i połysku ułożone były w loki, które często spadały na twarz. W iście zwierzęcy sposób wysuwała często z rozchylonych ust cienki ję-

zyk i oblizywała swe grube, jasnoczerwone wargi, następnie ziewając, znikła w najbliższych drzwiach.

Znacznie sympatyczniejszą była Wiszniakowa, piastunka carewicza, tak samo należąca do ściślejszego grona Rasputina; ona również oddała się starcowi, w przeświadczeniu, że w ten sposób wypędzi ze swego ciała szatana zmysłowości; podobnie rzecz się miała z dwoma damami z wyższego towarzystwa, z księżną Doł-gorukową i księżną Szachowską, kobietą o cudownych ciemnych oczach, noszącą strój siostry miłosierdzia; Szachowska porzuciła nawet dla Rasputina dom swój i dzieci. Te panie także pokazywały się często w poczekalni, niekiedy w towarzystwie zwykłej chłopki, Łaptinskiej, która również zaliczała się do „intymnych”. Wszystkie te niewiasty były bezwzględnie oddane cudownemu mnichowi, zdaniem ich bowiem oddawanie się ciałem i duszą miało służyć wiecznemu zbawieniu. Rasputin posiadał tę cudowną moc wypędzania szatańskich żądź, dlatego to szły do niego wierzące kobiety, podobnie jak się idzie do lekarza, który ma uwolnić człowieka od choroby. Żadna z nich nie miała uczucia, jakoby popełniła coś nieodpowiedniego lub zdrożnego. Nawet rodzina Rasputina, żona i córki były przekonane o tej cudownej sile. Praskowia Fiodorowna znosiła rozpustę swego męża z cierpliwością, spokojem i bez wyrzutów; w prostocie swego serca wierzyła, że Grzegorz Jefimowicz otrzymał od Boga wyższe posłannictwo, a zatem jego rozwiązłe życie służy świętemu celowi. Odnosiła się do niego z najgłębszym szacunkiem; była mu wierną i oddaną służebnicą. Także córki Matriona i Waria czciły i podziwiałały swego ojca święcie wierząc w jego boskie posłannictwo; szczególnie starsza Matriona z największą gorliwością głosiła sławę starca i często brała udział w

zebraniach kółka kobiet w pokoju stołowym Rasputina. W jej pamiętnikach znajdują się także zapiski z późniejszych czasów, świadczące o pełnej wiary miłości do ojca.

W r. 1918 -pisze ona: „Po raz pierwszy znów czuję bliskość drogiego ojca, który już przeszło od roku nie żyje. Nie słyszemy wprawdzie jego żywego głosu, ale czujemy wyraźnie, że znajduje się obok nas. Sama widziałam go we śnie, a także Łochtina ma podobne widzenia. Wczoraj mówiła o naukach mojego ojca i mogło się zdawać, że własny jego duch jej ustami przemawia. Od wczoraj jeszcze więcej kocham Olgę Władimirownę; opowiedziała

mi, że była w Petersburgu na Grochowskiej, zwiedziła podwórze i dom mojego ojca i tam ożył w niej jego wzniosły duch".

Oprócz córek, Matriony i Warri, miał Rasputin jeszcze syna, imieniem Mitia; był to trochę niedorozwinięty młodzieniec, który dziwnie się uśmiechał i w jakiś szczególny sposób spoglądał na ludzi. Zresztą odznaczał się dobroduszością i bezgranicznie kochał swego ojca, który go również wielce miłował. W czasie wojny wystarał się starzec o miejsce dla syna w pociągu sanitarnym carowej i w ten sposób uchronił go od niebezpieczeństwa służby na froncie.

Wielki szacunek, jaki żywiła dla Rasputina jego cała rodzina, stworzył już od dawna między nimi pewien serdeczny stosunek wspólnoty o charakterze patriarchalnym. Wzgląd na rodzinę w niemałej części przyczynił się do tego, że przyjmował ze wszystkich stron bogate podarki i łapówki; gdy wracał z jakiejś uroczystej biesiady, przynosił zawsze do domu pełne kieszenie łakoci dla żony i córek, a czynił to z wielką przyjemnością. Tak więc był Rasputin otoczony ludźmi, którzy dokładali wszelkich starań, by okazywać mu swe dobre serce, by opiekować się nim i ulżyć mu w troskach i kłopotach codziennego życia. Równocześnie zaś jego uczennice, dostojne księżniczki i damy dworu, podobnie jak zwyczajne chłopki były gorliwymi apostołkami i głosicielkami jego świątobliwości.

Sam Rasputin, jeśli przypadkowo nie był w Carskim Siole lub z wizytą u największych dostojników państwowych, przebywał przeważnie w otoczeniu swych uczennic w jadalni. Skąd-kolwiek wracał do domu, pierwsze jego kroki prowadziły do tego „sanktuarium”, gdzie czekały nań kobiety. Gromadziły się one tam przez cały dzień, siedziały dookoła

wielkiego, ozdobionego kwiatami i bogato krytego stołu, mówiły o swych cudownych przeżyciach z Grzegorzem Jefimowiczem i doszukiwały się w jego słowach ukrytego sensu.

Ileć Rasputin otwierał drzwi i wchodził, chociażby po półgodzinnej nieobecności, między swe uczennice, to wciąż na nowo rozgrywała się ta sama scena powitalna z okrzykami zachwytu: kobiety zrywały się z krzeseł, śpieszyły do swego świętego oj-

czulka, otaczały go i zasypywały pieścizotami, aż do chwili gdy podnosił swą prawą rękę, dłonią na zewnątrz, do czoła, każdą z osobna błogosławiąc wyciskał ojcowski pocałunek na ich głowie. Wtedy odchodziły prawie od przytomności z niewymownego szczęścia i wprost odurzone otrzymanym błogosławieństwem, chwiejnym krokiem wracały do stołu.

Grzegorz Jefimowicz zaś zwykle siadał wygodnie na wolnym krześle, sięgał po jakąś zakąskę i pełnym namaszczenia głosem prawił w tym czasie o Bogu i zbawieniu. Jego uczennice znały go już z tego, że chętnie przeskakiwał nagle z tych nabożnych rzeczy na całkiem inne tematy i jednym tchem opowiadał najnowsze dwuznaczne anegdoty ze zbioru księcia Andronnikowa. Z lubością żując pokarm, podawał ploteczki z wyższego petersburskiego towarzystwa, mówił o stosunku starego półgłówka Proto-popowa z pewną pielęgniarką, opowiadał nowinki z głównej kwatery i w jednej chwili był już przy tajnikach wyższej polityki w Carskim Siole. Niekiedy zjawiała się w drzwiach twarz młodego człowieka, który z dziwnym uśmiechem spoglądał na zebranych. Kiedy jakiś nowy członek tego grona, przestraszony, pytał, kto to jest, Rasputin dobroduszenie odpowiadał: „To jest mój syn Mitia; nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach! Wszystko wydaje mu się komiczne, śmieje się przez cały dzień!”

Starzec gawędził tak o wszelkich możliwych rzeczach, opowiadał dowcipy i podczas tego wciąż zajadał i popijał; niekiedy przywoływał do siebie jedną z uczennic, brał jej głowę na swe łono, tulił ją i pieścił, by już w następnej chwili wpaść z powrotem w poważny ton i dalej rozprawiać o rzeczach boskich.

Zachwycone kobiety naśladowały każdy ruch starca; jeżeli on wyciągał rękę po jedzenie lub podnosił pełny kielich do ust, wówczas i one brały coś do jedzenia lub też popijały wino. Z tą samą czcią słuchały jego słów o Bogu i drodze prowadzącej do zbawienia, jak i dość rubasznych historyjek, pochodzących z salonu Andronnikowa. Dla gości tego biesiadnego stołu zarówno kazania jak i plotki z życia dworskiego były w tym samym stopniu objawieniami wzniosłego i natchnionego ducha. Czekałym w poczekalni tylko od czasu do czasu przelotne spojrzenie przez szparę w drzwiach lub dochodzące ze środka głosy pozwalały odgadywać, co się dzieje w „sanktuarium”. Mimo to kobietom oczekującym z utęsknieniem zjawienia się starca czas

się nie dłużył; z czcią chwytały każdy szelest dochodzący z pobliskiego pokoju i na niezliczone sposoby kombinowały, o czym starzec w danej chwili mówi, co robi i w jakim nastroju się znajduje.

Niektóre z czekających petentek miały już raz to szczęście, że były w „sanktuarium”; opowiadały więc drugim, co tam wtedy widziały. Niekiedy w przedpokoju zjawiała się Dunia i opowiadała o tym, co dzieje się w głębi mieszkania. Aczkolwiek bowiem Dunia odgrywała w przedpokoju rolę służącej i zdejmowała gościom płaszcze, to przecież uczennice szanowały ją i ceniły. Gdy wchodziła, damy zrywały się ze swych miejsc, ofiarowywały jej swe krzesła i namawiały, by im zostawiła swoje zajęcia gospodarskie. Dunia mogła zatem spokojnie słuchać przemówienia starca, a gdy wychodziła do czekających, wynagradzała im bezczynne i długie czekanie, dając pokrzepienie i pociechę w formie sentencji, jakie Rasputin wypowiadał przed uczennicami. Zajadając rybę i ser, mówił np.:

„Sądzicie, że wam grzech przynoszę; o nie, ja was raczej z grzechu oczyszczam!”

Albo wypijał szklaneczkę madery, brał młodą dziewczynę na kolana, głaskał ją łagodnie po włosach i w tym czasie mówił o oczyszczającej potędze skruchy: „Tylko przez pokorę serca dochodzimy do zbawienia! Człowiek musi grzeszyć, by miał czego żałować. Gdy Bóg zsyła na nas pokusę, musimy jej dobrowolnie i bezopornie ulegać, by później, pełni skruchy, móc czynić pokutę!”

W zamyśleniu spuszczał głowę na ramię swej ulubionej uczennicy; oczy miał przymknięte, aż wreszcie, prostując się, dalej ciągnął: „Pierwsze słowo Zbawiciela opiewało: «Czyńcie pokutę!» Jakżeż jednak możemy czynić pokutę, skorośmy przedtem nie grzeszyli?”

Następnie ojciec Grzegorz wstawał i odchodził do sąsiedniego gabinetu, gdzie czekali nań w ważnych sprawach handlowych zastępcy bankiera Rubinsteina. Słowa starca wywierały głębokie wrażenie na wierzących wielbicielkach; głęboko zamyślane, siedziały ze spuszczoneymi głowami dokoła stołu.

Innym znów razem Rasputin, dopiero co powróciwszy z pijatyki, zadumany milczał przez pewien czas, aż wreszcie dziwnie zmienionym głosem, w którym było coś nieziemskiego, powiedział, że dane mu jest jeszcze tylko pięć lat przebywać między swymi

wiernymi; potem musi ich wszystkich, nawet swoją rodzinę, opuścić i usunąć się w najbardziej zaciszną samotność.

Uczennice słuchały wzruszone przemówienia swego mistrza i wszystkim robiło się smutno na duszy. Przejęte do głębi, siedziały przy stole, blade ich twarze zdradzały niepokój, aż twarz starca znowu się rozjaśniła i lekki uśmiech, który był im tak miły i drogi, znowu zaigrał dokoła jego ust. Na nowo zabrał się Rasputin do ryby i wina, także kobiety wróciły z powrotem do jedzenia i picia.

Czekające w przedpokoju petentki uważały za szczególne szczęście, jeśli mogły, w chwili gdy ktoś z domowników otwierał drzwi z „sanktuarium”, rzucić okiem do wnętrza tajemniczego pokoju. Widziały więc tedy, aczkolwiek z przedpokoju, przynajmniej małą część tego, co działo się w pokoju stołowym; chwytaly uchem głosy uczennic, niekiedy nawet słowa samego starca, o ile w danej chwili prawił o czymś, opowiadał anegdoty lub żądał wina.

Chcivym okiem patrzyli ludzie z przedpokoju przez otwarte drzwi i starali się jak najwięcej uchwycić z tego, co tylko można było widzieć: a więc róg potężnego kredensu pod ścianą, część brązowego świecznika z umbrą szklaną, poniżej tego środkową część bogato zdobionego i przeładowanego potrawami stołu, na którym można było widzieć kosze z kwiatami, flaszki wina, talerze z pieczoną rybą, słoiki z marmoladą i szklanki z herbatą. W pobliżu okna stało krzesło na biegunach, za stołem zaś były częściowo tylko widoczne płaszcze niektórych gości, zawieszzone na oparciach dębowych krzeseł; gdy szczęście dopisywało, można było zobaczyć nawet samego starca albo przynajmniej rękaw, brzeg jego kaftana, koniec buta lub nawet jego wielką rękę.

Jakkolwiek w gruncie rzeczy było to bardzo mało, wystarczało jednak, by podnieść do ostatecznych granic i tak rozbudzoną i chciwą fantazję czekających w przedpokoju.

*

Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z wielkim wzburzeniem, jakie opanowało zebranych, gdy sam Rasputin ciężką ręką nacisnął klamkę, szeroko otworzył drzwi i wszedł do poczekalni.

Kiedy potężna postać Rasputina stanęła we drzwiach, ucichł

212

w przedpokoju jednostajny gwar rozmów i szeptów, rozległ się szmer przesuwanych krzeseł, szeleszczących sukien i zrywających się ze swych siedzeń ludzi. Eleganckie damy sięgały ręką do swych kapeluszy i porządkowały wyglądające spod nich włosy, chłopki skubały swe chusty na głowie, urzędnicy państwowi zrywali się z krzeseł i przesuwali ręką po swych frakach, przywódcy deputacji chłopskich otwierali z szelestem swe petycje, oficerowie instynktownie przeżyli swe ciała, brzęcząc ostrogami, bankierzy wyciągali ze swych tek przeróżne akty, posłańcy zaś i służący gotowali się do oddania przesyłek.

Kilka kobiet precyzyjnie się przez tłum, padło przed Rasputinem na kolana i przeżegnało się mnóstwo razy. Przez krótką chwilę stał Rasputin pośrodku pokoju bez ruchu. Nieład w jego ubraniu świadczył o tym, że jeszcze przed chwilą na jego kolanach siedziała dziewczyna, usta były wilgotne od wina i pocałunków, w oczach świeciły dziwne, wesołe ogniki, a lekki uśmieszek krył się jeszcze w fałdach dookoła ust. W okamgnieniu ulotniły się ostatnie ślady libacji i przed czekającymi petentami stał ojczulek Grzegorz, wszechmocny cudotwórca, natchniony mąż Boży. Chudy i potężny, stał mocno w swych ciężkich, wysokich butach chłopskich i surowym spojrzeniem wodził po wszystkich obecnych. Zastępca bankiera Manusa miał jakieś / .leczenie, wymagające pośpiechu, uważał więc za stosowne precyzyjnie się do starca, by mu przedłożyć zlecenie swego szefa. Rasputin jednak z lekceważeniem odwrócił się od niego i skierował swe kroki ku dwóm młodym, z dziecięcego wieku zaledwie wyrosłym dziewczętom, które w swych marynarskich bluzkach stały niedaleko i skromnie dygały, zegnając się przy tym. Twarze ich jaśniały rumieńcem, gdy cienkim, dziecięcym głosem wypowiadały swą

prośbę; Grzegorz Jefimowicz schylił się do nich w swej dobroci.

„Hm, hm, moje gołąbki”, mruknął, skoro zrozumiał, o co proszą,
„chciałybyście mieć zapomogę na studia szkolne? Hm, nie macie nikogo,
kto by wam pomógł — zaledwie starczy jedzenia — no, tak, czekajcie
tylko chwileczkę!”

Troska osiadła mu na twarzy; zadumany, patrzył przez chwilę przed siebie,
następnie wręczył dziewczętom kilka banknotów rublowych i zawoławszy
Dunię, kazał sobie przynieść przybory do pisania. Nagle jednak stracił
cierpliwość i zwrócony do stojących koło niego, zapytał: „Czy ma ktoś z
was pióro i kawałek papieru?”

Zastępca bankiera Manusa skorzystał ze sposobności, podszedł bliżej do niego i podał mu księgę pokwitowań i przybory do pisania. Zamierzał też w kilku prędkich słowach wywiązać się przed nim ze swego zlecenia. Starzec ponownie zignorował go, wziął do rąk księgę pokwitowań, odwrócił się do niego tyłem i zaczął kreślić na formularzu ociężałą ręką imię i nazwisko adresata: „Do Włodzimierza Mikołajewicza Wojejkowa, Carskie Sioło”. Pod tym postawił krzyżyk, a jeszcze niżej litery „Ch. W.”, co oznaczało „Chrystus zmartwychwstał”, i napisał z wieloma przerwami i przestankami: „Mój Kochany, Drogi, zrób to dla mnie! Grzegorz”. Po czym starannie złożył kartkę, wręczył ją obu siostrze, zrobił nad ich dziewczęcymi główkami znak krzyża i podawszy im rękę do ucałowania, zwrócił się do starego, zatroskanego wieśniaka.

Ten zaś obszernie wyłuszczył Rasputinowi, że przybywa z saratowskiej guberni na zlecenie chłopca Gawryły Szyszkin, który za sprzeniewierzenia wekslowe skazany został na więzienie, a teraz prosi przewielebnego ojca Grzegorza Jefimowicza, by wstawił się u cara za jego ułaskawieniem. Po wypowiedzeniu swej prośby rozwiązał sznurek od koszuli, wyciągnął leżący na gołych piersiach kawał gazety, starannie go rozłożył i wyjął zeń 250 rubli w banknotach. Wy tłumaczywszy w kilku słowach, że Gawryło Szyszkin będzie się czuł niezmiernie szczęśliwy, jeśli starzec przyjmie tę sumę jako dowód wdzięczności, wieśniak wręczył Rasputinowi paczkę banknotów i podanie, ten zaś po przelotnym zbadaniu wsunął wszystko do kieszeni swych spodni.

„Idź spokojnie do domu”, odezwał się starzec przyjaźnie, „i powiedz Gawryle Szyszkinowi, że pomówię o jego sprawach z papą!” Następnie uczynił znak krzyża nad chłopcem, pobłogosławił go i zwrócił się do damy

z półświatka, Eugenii Terechowej, która z miłym uśmiechem właśnie podchodziła do niego.

Ona również trzymała w rękach okrytych rękawiczkami wykalfigrafowane podanie o zezwolenie na dostawę bielizny dla ministerstwa wojny.

„Prawda, ojczulku Grzegorzu”, zauważyła po szelmowsku, „zrobisz to przecież dla mnie?”

„Dobrze, dobrze, moja duszko; zrobię ci to”. Przesunął ręką po jej piersiach, uśmiechnął się do niej, a ona całowała mu rękę,

podala mu piękne czoło, by uczynił nad nim znak krzyża, i pożegnała się, rzucając na odejście płomienne i zwycięskie spojrzenie.

Gość w uniformie oficera, łysy, noszący na nosie złoty cwikier, wystąpił naprzód i przedstawił się: „Podporucznik Maksakow”; zanim jednak wypowiedział pierwsze słowa swej prośby, przystąpił pewien cywil i odepchnął go na bok. Miał zniszczone ubranie i bezustannie obracał w swych rękach porządnie zużyty i zatłuszczony kapelusz; przerwawszy łysemu oficerowi, zaczął bałamutnie opowiadać o jakiejś wielce zawilej sprawie. Niekiedy zdawało się, że już stracił nić przewodnią, rozpoczynał więc od nowa. Ostatecznie dało się z jego słów wywnioskować to jedno, że dyrektor szkoły wiejskiej wyrządził mu jako nauczycielowi tej szkoły wielką krzywdę. Rasputin więc byłby może łaskaw dać mu polecenie do ministra oświecenia.

Rasputin zmarszczył czoło i odpowiedział gniewnym tonem, pełnym niechęci:

„Och, nie cierpię tego oświecenia! No, dobrze zresztą, dobrze, napiszę ci to polecenie, poczekaj tylko chwileczkę... Następnie zwrócił się do łysiego oficera, ten jednakowoż poprosił go o rozmowę w cztery oczy.

Rasputin rzucił przelotne spojrzenie w kąt pokoju, gdzie ładna brunetka z zapłakanymi oczami stała skromnie pod ścianą, prosił oficera o chwilę cierpliwości i skierował się ku tej nieznajomej pani.

Dama ta trzymała w swych drżących, w zwykłe niciane rękawiczki odzianych rękach list polecający od przyjaciół Rasputina w Moskwie; była w nim prośba o spowodowanie cofnięcia decyzji skazującej jej męża na wygnanie.

Starzec zadał jej uprzejmie kilka pytań, wziął ją za rękę, pogłaskał po

ojcowsku i powiedział, że wszystko załatwi. Następnie poprosił ją, by czekała nań w gabinecie do czasu, aż załatwi wszystkich innych petentów. Sam odprowadził ją do drzwi gabinetu, otworzył je zapraszając do środka; zaraz potem wrócił do czekających w poczekalni i wzięwszy na bok oficera, rozmawiał z nim po cichu. W tej właśnie chwili przyszedł posłaniec z koszem wspaniałych róż i tuzinem jedwabnych koszul w różnych kolorach. Rasputin zawołał Dunię i oddał jej do przechowania ten piękny dar damy z wyższego towarzystwa.

Tymczasem przecisnął się do starca pewien pan imieniem Dolina i przedłożył mu prośbę, by raczył wystarać się dla pewnego niemieckiego kupca o obywatelstwo rosyjskie, za co tenże odpowiednio się wywdzięczy. Rasputin kiwnął potakująco głową, po czym natychmiast zwrócił się do starszej, ubogo wyglądającej kobiety w grubym kaftaniku ze skóry i okrągłym kapeluszu, która zaczęła przed nim żalić się, że jest biedną wdową po urzędniku i nie wie teraz, co ma robić. Rasputin prędko sięgnął do szerokiej kieszeni swych spodni, wyciągnął kawał gazety z 250 rublami, które dopiero co otrzymał od chłopca Szyszkiń, i niedbałym ruchem wręczył proszącej całą paczkę. Następnie zrobił nad nią znak krzyża i zamierzał przejść do innych petentów.

Jednakowoż w tej chwili wyciągnęły się doń ze wszystkich stron niezliczone ręce, czekające datku. Kościste szorstkie ręce starców, małe rączki dziecięce, spracowane ręce robotnic i służebnic, miękkie, wypiełgnowane ręce pięknych kobiet, które dawniej znały życie w dostatku.

Grzegorz Jefimowicz przyglądał się tym rękom i spojrzenie jego szło od nich w górę, wzdłuż ramion, aż do oczu tych ludzi, w których mógł wyczytać ból i nędzę, rozpaczliwą prośbę i cichą, pokorną nadzieję. Ponownie sięgnął do kieszeni i w zamieszaniu szukał w nich pieniędzy; przekonawszy się, że nie ma nic przy sobie, zwrócił się szeptem do Duni, która też pośpiesznie udała się do gabinetu. Zaraz potem zjawił się młody człowiek z paczką banknotów; Rasputin odebrał odeń pieniądze i idąc od jednego petenta do drugiego, rozdzielał między nich znaczniejsze kwoty, robił na każdym znak krzyża i w ten sposób odprawił wszystkich.

Teraz podeszło do starca dwóch ludzi, z których jednego znał już od dawna. Był to niejaki Pogan, agent, żyjący z pośrednictw różnego rodzaju. Pogan przedstawił swego towarzysza jako inżyniera Mendla Neumanna, któremu chodziło o zwolnienie drogą Najwyższej Łaski z ośmiomiesięcznego aresztu za jakieś przewinienia natury wojskowej. Po krótkotrwałym, cichym konferowaniu co do materialnych warunków interwencji przyjął starzec podanie Mendla Neumanna i przyrzekł, że osobiście wręczy je carowi.

W tej chwili otwarły się drzwi wejściowe i weszła wysoka, smukła dziewczyna o pięknych, marzycielskich oczach. Ujrzawszy starca, podbiegła wprost do niego i ucałowała go w rękę. Niektóre z zebranych w poczekalni kobiet znały tego nowego gościa i w pod-

niecieniu szeptały sobie Jo ucha, że jest to córka pewnego wielkiego księcia.

Rasputin powitał z widoczną radością nowego, pięknego gościa, uścisnął ją, ona zaś wesoło gwarzyła, opowiadając, że czuje się świetnie od czasu, gdy nauczyła się patrzeć na świat innymi oczami.

„Ja ci to przecież zawsze mówiłem”, oświadczył starzec z godnością, „wszystko zależy od tego, jak człowiek zapatruje się na świat. Musisz mi tylko wierzyć, wtedy z wszystkim będzie dobrze”.

Tymczasem nagle pojawił się stary, drobny, karłowaty człowieczek, o rzadkich, siwych włosach i przedstawił się jako służący w pewnym zakładzie kąpielowym, do którego Rasputin często zachodził. Grzegorz Jefimowicz przyjął go z największą uprzejmością, życzliwie poklepał po plecach i natychmiast udał się do gabinetu, by jego sprawę załatwić. Po kilku minutach wyszedł i wręczył służącemu list polecający do namiestnika, w którym to liście napisał: „Mój Drogi, Kochany, wybacź! Pomóż biednemu służącemu! Grzegorz”.

Uczennice najściślejszego grona, stojąc w drzwiach jadalni, obserwowały to wszystko w podnieceniu. Z głębi serca żałowały swego świątobliwego starca, który z takim poświęceniem dba o dobro ludu i nie wymawia się od żadnego trudu. Niekiedy zdawało się, że te konferencje z petentami są ponad siły Rasputina; uciekał tedy na kilka minut do jadalni, rzucał się na fotel i ścierając pot z czoła, uskarżał się na ten tak męczący natłok. W takich chwilach przystępowała doń troskliwa uczennica, całowała go i proponowała, że sama będzie załatwiać petentów.

Tymczasem bezustannie dzwonił telefon, nad którym pieczę miała siostrzenica Rasputina; robiła różne notatki, odpowiadała na pytania lub

wołała do aparatu już to siostrę Akulinę, już też Wyrubową albo samego Rasputina. W tym czasie wciąż na nowo odzywał się dzwonek przy drzwiach wejściowych; przychodzili nowi goście i posłańcy z podarkami. Rasputin wkrótce wstał z fotela i wyszedł do petentów, by wysłuchać ich skarg, aż wreszcie podeszła do niego Dunia i przypomniała mu, że Maria Aleksiejewna, piękna brunetka, czeka nań w gabinecie. Widocznie zapomniał o niej zupełnie w natłoku interesów. Ucieszony, z chytrym uśmiechem pośpieszył do gabinetu.

*

Zaledwie tylko starzec wyszedł z przedpokoju, znikł od razu uroczysty spokój czekających i zapanował hałas jak poprzednio.

W związku z tym wszystkim, co ostatnio się odbyło, mówiono teraz szczegółowo o pokoiku, w którym Rasputin przebywał z nieśmiałą Marią Aleksiejewną. Różne przedziwne legendy kursowały o tym, co działo się w tym pokoju. Kobiety zsunęły się razem i szeptały między sobą; niejedna z nich dziwnie się uśmiechała. Znały one z własnego doświadczenia tajemnice tego gabinetu i nietrudno im było wyobrazić sobie, co teraz dzieje się z ładną, nieśmiałą Marią Aleksiejewną.

Kilka z tych czekających kobiet przypomniało sobie ów dzień, kiedy i one były po raz pierwszy w tym pokoju sam na sam z Rasputinem. Omawiano więc w podnieceniu z największą dokładnością wszelkie szczegóły tego pokoju: jego skromne urządzenie, żelazne łóżko polowe z nakryciem z lisich skór, podarunkiem Wyrubowej, zdobne w taśmy, ikony z palącymi się lampkami, obrazy cara i carowej, jako też sceny z Pisma Świętego, wiszące na ścianach.

Jak długo Rasputin był z kobietą w gabinecie, nie wolno było nikomu, nawet z jego najbliższego otoczenia, wchodzić do środka; jedynie tylko na wypadek telefonicznego wezwania z Carskiego Sioła mogła służąca Dunia cicho zapukać do drzwi. Albowiem w tym małym pokoiku odbywało się „wtajemniczenie” nowicju-szek w nową naukę o „zbawieniu drogą grzechu” i tutaj rozstrzygało się, która z petentek ma być na stałe przyjęta do koła „intymnych”.

Niejedna młoda dziewczyna opuszczała tajemniczy gabinet z wyrazem promiennego szczęścia na twarzy, lecz bywały także takie kobiety, które niespodziewanie, w zaniedbanym stroju, rozczochrane, głęboko urażone i

z płaczem, wypadały z pokoju, albo i takie, które drżąc z bezsilnej wściekłości, tak szalały i krzyczały, że musiano je z pomocą przyczajonych na klatce schodowej agentów policyjnych wydalać z mieszkania. Nie każda bowiem petentka potrafiła stosownie zrozumieć i ocenić „świętą ceremonię zbawienia drogą grzechu”, w niektórych był „demon pychy zbyt silny, by mogły iść drogą poniżenia”.

Zdarzało się nawet, że oburzone kobiety chodziły ze skargą na policję, donosząc, że zostały zniewolone przez Rasputina. Szef policji Bielecki zwykł był w takich wypadkach sporządzać protokół,

który następnie w kilku egzemplarzach rozsyłał do wszystkich zainteresowanych urzędów, a także do uprzywilejowanych ludzi prywatnych. Ktokolwiek otrzymał protokół, czytał go z uśmiechem i myślał o tym „chwackim świętym” Grzegorz Jefimowiczu z uczuciem lubieżności i zarazem szczerzej zawiści. Zrozumiałe, że nikt nie miał zamiaru na podstawie takiego oskarżenia występować na drogę sądową przeciwko wszechmocnemu starcowi.

Kobiety, gromadzące się dzień w dzień w poczekalni Rasputina, za dobrze o tym wszystkim wiedziały; kiedy zatem nieśmiała Maria Aleksiejewna po krótkim czasie wyszła z gabinetu jeszcze więcej onieśmielona i smutna, patrzyło na nią badawczo mnóstwo par oczu, pragnąc z jej wzroku, chodu i sposobu żegnania się wyczytać jej przeznaczenie. Po chwili starzec wyszedł z gabinetu; niedbale utrzymane, rozczochrane włosy były przyklepione do czoła. Z rozpaloną twarzą, ciężko oddychając, podszedł do grupki składającej się z trzech chłopów i wysłuchał ich skarg na nieludzkie traktowanie przez właściciela ziemskiego. Dwie zakonnice z Wierchoturia prosiły o błogosławieństwo, które też otrzymały, bankier z Kijowa, który przyszedł ze służącym, chciał mówić z Rasputinem w cztery oczy, chłopak od posyłek barona Ginsburga przyniósł większą sumę pieniędzy i żądał pokwitowania w księdze, rzeźbiarz Aronzon, który pracował nad popiersiem Rasputina, przyszedł celem ustalenia godziny następnego posiedzenia, i tym sposobem Grzegorz Jefimowicz wnet utonął w powodzi audiencji i posłuchań.

W tej chwili weszły dwie piękne kobiety w eleganckich futrach, z których jedna była brunetką, druga blondynką o błękitnych oczach. Były to dwie przyjaciółki, które tydzień temu przyjechały z Moskwy, by we własnych

sprawach poszukać protekcji u starca.

Gdy moskwianki wchodziły do poczekalni, uczennice Rasputina wpadały w stan podniecenia i rzucały na nowych gości wrogie spojrzenia.

Zagadkowe zachowanie się tych dwu nieznanym od kilku dni oburzało uczennice do najwyższego stopnia, obie bowiem ładne kobiety, przez swój szatański opór już kilka razy odebrały świętemu ojczulkowi spokój.

Całymi nocami zapijał się biedny starzec i szalał, byle tylko zapomnieć o zmartwieniach i zniewagach, wyrządzonych mu przez te „pyszne diablice”.

Szczególnie siostra Akulina była gorąco oburzona na owe moskwianki, które w tak frywolny sposób nadużywały uczuć Rasputina. Zaraz po przybyciu tych pań zdarzyło się, że Rasputin

całą noc spędził poza domem. Następnego więc rana zapytała Akulina jedną z nich, Lenoczkę Dianumowa, czy starzec spędził u niej całą noc, ta jednak z najwyższym oburzeniem zaprzeczyła temu. Sama myśl, że istnieją kobiety, które odrzucają zabiegi Rasputina, rozgniewała w najwyższym stopniu uczennice, a szczególnie Akulinę, zwłaszcza że było widoczne, iż Rasputinowi wielce zależy na przychylności tych pań. Wielbicielki starca opowiadały, jak to Lenoczka Dianumowa przyszła do Rasputina. Już przy pierwszym spotkaniu nazwał ją pieszczotliwie „Frantik”, całował ją i po swoim odjeździe z Moskwy wysłał do niej kilka miłosnych telegramów.

W krótki czas potem Lenoczka pojawiła się nagle w Petersburgu i już na pierwszej wizycie w wysokim stopniu rozgniewała starca, prosząc o pozwolenie wprowadzenia do jego mieszkania znajomego swej przyjaciółki. Żądanie to niebywale zirytowało Rasputina, sądził bowiem, że „Frantik” przyjechała z Moskwy ze swoim kochankiem, którego chce wprowadzić do niego.

„Och, dobraś ty!” oburzył się. „Przywiozłaś ze sobą swego chłopca z Moskwy! Nie mogłaś go zostawić! Przychodzisz, by prosić mnie o grzeczność, a przyprowadzasz mi swego chłopca! Dobrze, nic dla ciebie nie zrobię, możesz sobie pójść! Mam tu w Petersburgu dość dam, które mnie kochają i rozpieszczają! Nie potrzebuję was!”

Pobiegł następnie do telefonu i drżącym ze zdenerwowania głosem mówił do aparatu: „Kochanie, czy masz czas? Przychodzę do ciebie! Cieszysz się, doprawdy? Czeka, już idę!”

Następnie odłożył słuchawkę, spojrzawszy z triumfem na obu swych opornych gości i dodał gniewnie: „Widzicie, nie potrzeba mi dam z Moskwy! Damy

z Petersburga są mi milsze!"

Lecz już następnego dnia zatelefonował do Lenoczki Dianu-mowej, prosząc, by raczyła jak najprędzej znowu go odwiedzić. Odtąd „Frantik” była bardzo częstym gościem na Grochowskiej. Kiedyś przyprowadziła nawet swą przyjaciółkę Lellę, która potrzebowała pomocy Rasputina. Rasputin przyjmował obie z największą uprzejmością i każdą z osobna zapraszał do swego gabinetu, zawsze jednak udawało im się uniknąć tego, do czego Rasputin zmierzał.

Uczennice były coraz bardziej nerwowe, czuły bowiem, że obcowanie z dumnymi moskwiankami przynosi starcowi jedynie rozczarowanie i wielce go irytuje. Niektóre próbowały już kilka razy

ostrzec go i wyleczyć z tej namiętności, on jednakowoż energicznie wypraszał sobie mieszanie się do jego spraw, a raz nawet wymówił się przez wzgląd na te piękne panie od odwiedzin w Carskim Siole.

Obie przyjaciółki urządziły się po mistrzowsku; zbywały starca obietnicami i wciąż zwlekały, przy tym jednak nigdy nie spełniały właściwych jego życzeń. Jawne było, że miały zamiar zapewnić sobie jego poparcie, w zamian za to nic nie dając. Starzec zachodził nawet nocą do hotelu, w którym mieszkały „opętane przez szatana pychy” moskwianki. Na próżno prawił im o miłości ludzkiej i jej błogosławieństwie, na próżno opowiadał, że bez miłości dusza zapada w ciemność i Bóg odwraca od ludzi swe oblicze i że miłość jest przykazaniem boskim, które spełniać należy jak inne przykazania, by nie stać się ofiarą diabła.

Upływały dni i noce, a Rasputin nie osiągał swego. Nerwowo chodził po jadalni tam i z powrotem, oczy jego błyszczały gniewnie, twarz była wykrzywiona złością, pił dużo wina i miotał się jak dzika bestia. Kiedy zaś wszelkie środki zmierzające do zdobycia kobiet zawiodły, wybrał się Rasputin o godzinie pierwszej w nocy w towarzystwie ministra, o którego protekcję Lenoczka zabiegała, do jej mieszkania. „Otwórz mi, kochanie”, wołał, stojąc za drzwiami, „przyprowaździłem ci ministra, tak że całą sprawę załatwimy w przeciągu kilku minut!”

Lecz moskwianki były tak zatwardziałe w swym szatańskim oporze, że nie wpuściły do mieszkania ani Grzegorza Jefimowicza, ani ministra.

Dla przytłumienia uczucia rozczarowania poszedł Grzegorz Jefimowicz ze swym dostojnym towarzyszem do nocnego lokalu, pił w towarzystwie Cyganek przez całą noc i wrócił do domu dopiero o dziesiątej przed południem, tak by zdążyć na rozmowę telefoniczną z Carskim Siołem.

Teraz zaś z ciężką głową, niewyspany i w kwaśnym humorze, stał pośrodku poczekalni i rozprawiał z petentami, gdy nagle moskwianki weszły śmiałym krokiem, jakby nigdy nic się nie stało. Bezgraniczna wściekłość i podniecenie ogarnęły starca. Zaprowadził obie panie przez poczekalnię do swego gabinetu, wpadł do jadalni i zaraz wrócił stamtąd z flaszką wina w rękę; był blady, a oczy gorzały groźnym płomieniem. W tym czasie do Lenoczki i Lelli podeszło kilka uczennic prosząc je prawie na klęczkach, by

zaniechały oporu i nie dręczyły więcej świętego ojca. Rasputin nalał wina do większych szklanek i nakazał wszystkim pić. „Kocham te damy z Moskwy”, zawołał, „kocham je, jakkolwiek mnie dręczą! Ze względu na nie piłem przez całą noc, rozpały bowiem ogień w moim sercu!”

Wrócił następnie do przedpokoju; zastał tam dwóch duchownych z wielkimi złotymi krzyżami na piersiach. Zwrócił się do nich mówiąc, że całą noc spędził w lokalach. „Byłem u pięknej Cyganki, która śpiewała mi piosenkę «Jadę do mej ukochanej!» Jak ci się to podoba, księżulku?” Jeden z kleryków, spuściwszy oczy, odpowiedział śpiewnym głosem: „Święty ojcze, to aniołowie niebiescy wczoraj ci śpiewali!”

Rasputin uśmiechnął się. „A ja ci powiadam, że to była młoda, ładna Cyganeczka!”

„Nie”, odpowiedział kleryk z czołobitnym uśmiechem, „jestem przekonany, że to byli aniołowie z raju!”

Z lekkim uśmieszkiem na ustach odwrócił się Rasputin na pięcie i zbliżył do pewnej młodej Polki o pociągającej twarzy. Przelotnie ją pogłaskał, nagle jednak zwrócił się do dwu moskwianek; zauważywszy atoli ich zimne, odpychające spojrzenia, rzucił się z wściekłością do jadalni, gdzie zaczął dziko hałasować. Wkrótce doszedł stamtąd donośny brzęk, jakby tłuczonego naczynia. Dunia przestraszyła się i weszła do środka, inni natomiast obecni wstrzymali oddech z przestachu.

Po chwili Rasputin znowu pojawił się w przedpokoju, z tak dzikim wyrazem twarzy, jak gdyby chciał zniszczyć wszystko, co mu stanie na drodze. Munia Gołowina zdrętwiała na jego widok i patrzyła na starca z wyrazem największego przerażenia. W tej krytycznej chwili zadzwonił telefon i Aniuszka zameldowała, że carowa życzy sobie, by Rasputin ją

odwiedził.

To wydarzenie znowu zmieniło sytuację. Księżna Szachowska oświadczyła, że Rasputin musi przed wyjazdem do Carskiego Sioła zażyć trochę świeżego powietrza, zaproponowała więc przejażdżkę saniami.

„Dobrze, ale moskwianki również z nami pojedą!”, uparł się Grzegorz Jefimowicz jak rozpieszczony dzieciak.

Lenoczka i Lella wyraziły swą zgodę, a Dunia zeszła na dół, by zamówić sanki, i po kilku minutach całe towarzystwo było gotowe do drogi.

Starzec, mając już na sobie futro i czapkę bobrową,

222

przeszedł się wzdłuż przedpokoju i kiwnąwszy przyjaźnie głową w kierunku pozostałych jeszcze petentów, powiedział im: „Tylko chwileczkę cierpliwości, moi drodzy, zaraz wrócę, mam tylko ważną sprawę do załatwienia!”

I rzeczywiście wszyscy ci oficerowie, duchowni, chłopci i spekulanci, których Rasputin nie zdołał jeszcze załatwić, czekali, aż starzec wróci i znowu podejmie przerwane zajęcia.

Prawie codziennie, gdy Rasputin był zajęty swoimi kobietami i interesantami, odzywał się dzwonek u wejścia i wchodził elegancko ubrany mężczyzna, który swoim wyglądem zewnętrznym silnie odcinał się od reszty tłoczących się w przedpokoju ludzi. Był to asesor rady związkowej, Manasewicz-Manujłow, średniego wzrostu mężczyzna o owej przesadnej elegancji, tak często napotykaney u ludzi niskiego wzrostu. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby chciał szczególną starannością stroju zrównoważyć niepokażność swej postaci; ubrania jego z najlepszego materiału pochodziły od pierwszych krawców Petersburga, włosy i ręce były niezwykle wypielegnowane; zawsze wyglądał, jak gdyby co dopiero wyszedł od fryzjera.

Błyszczące od olejku włosy były starannie przyczesane, z ostrym przedziałem po lewej stronie; delikatne ręce robiły wrażenie kobiecych; dobrze wypolerowane paznokcie lśniły różowawym połyskiem. O każdej porze dnia wyglądał, jak gdyby właśnie wyszedł z salonu fryzjerskiego i udawał się z wizytą do ministra lub jakiejś wytwornej damy.

Także wyraz twarzy, chód, ruchy rąk i ramion, jako też cała skala jego głosu były w zupełności dostosowane do nader starannego stroju i odznaczały się podobną poprawnością.

Manasewicz-Manujłow był częstym gościem w domu Rasputina. Nikt nie mógł być pewniejszym dobrego przyjęcia niż on, żaden też inny gość nie budził w starcu tyle zainteresowania co Manasewicz-Manujłow. Za ledwie asesora przekraczał próg, już Rasputin zostawiał wszystkich i śpieszył do niego; nawet gdy znajdował się w gabinecie i nawracał właśnie jedną ze swych „gołabek” mówiąc jej o zbawieniu drogą grzechu, nawet wtedy natychmiast przerywał miłe zajęcie, jeśli meldowano Manujłowa.

Ów wiedział wprawdzie o swym uprzywilejowanym stanowisku, nie czynił jednak z tego zgoła żadnego użytku. Jakkolwiek zachodził kilka razy dziennie, zawsze przestrzegał zewnętrznych

form i nigdy z jego zachowania nie można było wnioskować o serdecznych stosunkach łączących go ze starcem. Gdy miał bardzo pilną sprawę lub też znajdował się w nie najlepszym humorze, nigdy niczym nie dawał tego po sobie poznać, lecz zachowywał zawsze spokój, pewność siebie i godność. Twarz jego jaśniała zawsze jednakowo miłym i ujmującym uśmiechem i ten pogodny nastrój nie przekraczał nigdy pewnych granic rezerwy, a szczególnie nie przechodził w natarczywą jowialność. Manasewicz-Manujłow był właśnie pod względem całego obejścia, począwszy od wytworności w ubieraniu się, a skończywszy na nie mniej wytwornej mimice, ideałem kulturalnego i dobrze ułożonego pana z dobrego towarzystwa.

A przecież pod maską tego pozornie poprawnego człowieka ukrywał się jeden z najśmielszych i najbardziej bezwzględnych oszustów swego czasu, którego całe życie było nieprzerwanym łańcuchem podłości, oszustw, szantaży i przeróżnego rodzaju ciemnych interesów.

Ten syn żydowskiego kupca z Gurewicza już jako młody chłopiec potrafił ściągnąć na siebie uwagę starszego księcia Mieszczerskiego. Dawny przyjaciel Dostojewskiego, wpływowy polityk i wydawca reakcyjnego czasopisma „Grażdanin”, starzejąc się, powziął sympatię do ładnego, dziewczęco delikatnego chłopca; młody Manujłow zaczął też wkrótce ciągnąć z tego korzyści. Książę Mieszczerski zaopiekował się młodzieńcem i szczególnie wyróżniał go spośród innych swych adeptów; ubierał go w najlepszych salonach krawieckich, zaopatrywał go suto w pieniądze i wyrobił mu dostęp do najlepszych kół Petersburga.

Wkrótce atoli ogarnęła młodego Manujłowa przemożna chęć wykorzystania swych uśpionych zdolności także w innych kierunkach i w

krótkim czasie zdołał pozyskać zaufanie tajnej policji Petersburga. Niedługo potem udał się na polecenie policji do Paryża, jednak nie do „Ville lumiere” bogatej młodzieży petersburskiej, lecz do środowiska ruchu rewolucyjnego, skierowanego przeciwko caratowi. Szpiegował z tak dobrym rezultatem, że zwierzchnicy wyrażali mu najwyższe uznanie. Został też niebawem prawą ręką szefa ochrony paryskiej Raszkowskiego. Jego kariera szpiegowska była zarówno awanturnicza jak i bogata w rezultaty. W Paryżu wystarał się o dostęp do tajnych akt prefektury policji, w Rzymie odkrył spisek antyrosyjski, w Lon-

dynie i Hadze nawiązał łączność z funkcjonariuszami japońskich misji wojskowych i przywłaszczył sobie ich tajemnice; mistrzowskie zaś pociągnięcie udało mu się w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, wy dostał bowiem japoński klucz szyfrowy, przy pomocy którego rozszyfrował tajne depesze kilku japońskich ambasad w Europie. Zorganizował rosyjski kontrwywiad w Wiedniu, Sztokholmie i Antwerpii, przejął dyplomatyczną korespondencję, przekupił urzędnika poselstwa w Madrycie i dostał w swe ręce niemiecki klucz szyfrowy, w następstwie czego zorganizował z dobrym wynikiem służbę wywiadowczą, szpiegującą ruchy floty bałtyckiej. W nagrodę za swoją działalność otrzymał perskie ordery Słońca i Lwa, order Włodzimierza IV i hiszpański order Izabeli.

Tu i ówdzie działał także jako szpieg na niwie polityki wewnętrznej i tu również mógł się szczycić dobrymi wynikami. Dostał w swe ręce tajne archiwum hrabiego Wittego, oddał kompromitującą tego polityka korespondencję w ręce jego przeciwników politycznych, co Wittego kosztowało stanowisko ministra. Niedługo potem sprzedał ważne rosyjskie akta państwowe rewolucjonście Burcewowi, który przy pomocy tego materiału rozpoczął antyrosyjską propagandę w Ameryce. Manujłow zetknął się również kilka razy z księdzem Gaponem, raz, by pod maską rewolucjonisty nakłonić go do gwałtownego wystąpienia przeciwko rządowi, co w następstwie doprowadziło do Krwawej Niedzieli przed Pałacem Zimowym, drugi raz, by go dać zabić z polecenia rządu! Obok tych czynności o znaczeniu państwowym nie gardził też Manujłow pomniejszymi interesami natury prywatnej, za wysokie sumy przyrzekał wygnanym Żydom zezwolenie na pobyt, oczywiście nie dotrzymując słowa, wielkie kwoty pieniężne wyciskał z niektórych ludzi pod pozorem,

że wystara się im o zwolnienie ze służby wojskowej, i od czasu do czasu urządził dla prywatnych korzyści mniejszy lub większy pogrom żydowski. W poczuciu swej wszechmocy, a może też pod wpływem nieposkromionej przedsiębiorczości zaszedł Manujłow tak daleko, że wszczęto dochodzenie karne, które groziło wielkim skandalem. Lecz i tym razem zdołał ująć grożącemu przeznaczeniu, albowiem prokurator, któremu poruczono tę sprawę, dostał pewnego dnia od swego przełożonego lakoniczny rozkaz, by całą sprawę umorzyć. Już wkrótce potem odgrywał asesora rady związkowej znowu wielką rolę i na wielką skalę szantażował bogatego pułkownika

Meksasudiego. Po wybuchu wojny tak długo lawirował między zwalczającymi się wzajem klikami, aż doprowadził do tego, że nowy prezydent ministrów Sturmer zamianował go sekretarzem prezydiąlnym. Towarzystwo petersburskie znało wprawdzie ciemne sprawy z jego przeszłości i terażniejszości, wiedziało jednakowoż nazbyt dokładnie o groźnym -zasięgu jego wpływów, tak że przyjmowało go z wyszukaną grzecznością. On sam miał głęboką świadomość swych wpływów, a jego obejście cechowały pewność siebie i wielka godność osobista.

Wchodząc do poczekalni Rasputina, przy drzwiach ścigał rękawiczki, lekkim ruchem oddawał służącej kapelus, zarzutkę i laskę ze srebrną rączką, kłaniał się grzecznie na wszystkie strony i eleganckim, balansowym krokiem podchodził do Rasputina.

Grzegorz Jefimowicz słucał na przykład wywodów jakiegoś petenta, kiedy jednak wchodził asesor rady związkowej, Rasputin najzwyczajniej w świecie zostawiał nieszczęsnego petenta, w jednej chwili zupełnie o nim zapominał, szerokim, nieopanowanym krokiem podchodził do nowego gościa, ściskając go z niepohamowaną serdecznością i całując w oba policzki. Następnie szli obaj do wypełnionej agentami kancelarii, chodząc przedtem przez kilka minut po poczekalni tam i z powrotem; w szybkim tempie podawał Ma-nujłow starcowi nowiny, z powodu których do niego przyszedł.

Zebrani w poczekalni mieli często sposobność przysłuchiwania się żywej, po cichu prowadzonej rozmowie Manujłowa ze starcem. Asesor wytwornym, niedbałym ruchem wzięwszy starca pod ramię szeptał mu o czymś przytłumionym głosem. Petenci tylko tu i ówdzie chwyтали poszczególne słowa i musieli się zadowolić obserwowaniem mimiki tych

dwóch panów; lecz już sama gra twarzy, niezależnie od treści niezrozumiałej rozmowy, pobudzała niezwykle ciekawość. Zewnętrzny wygląd Manujłowa, jego wielkopański, beztroski uśmiech, taki sobie zwykły sposób wkładania ręki pod ramię wielce szanownego cudotwórcy, to wszystko dziwnie odbijało od zachowania wszystkich innych ludzi, zebranych w tym pokoju. Ktokolwiek tu się zjawiał, wyżsi oficerowie, kandydaci na ministrów, chciwi spekulanci, biedni studenci, tęskniące za miłością kobiety, wszyscy oni okazywali na swej twarzy pełną lęku uległość, bojaźń i unізoność karierowiczów, chciw-

ców lub ludzi przejętych histerycznym zachwytem, natomiast twarz Manujłowa cechował pogodny spokój zupełnie pewnego siebie łotra. Sam starzec również dziwnie zmieniał się, gdy z nim rozmawiał. Petenci byli rozgoryczeni, że Rasputin w takiej chwili wcale nie zajmował się nimi; patrząc na tych dwóch spacerujących przed nimi i gwarzących ze sobą mężczyzn, odnosili wrażenie, jak gdyby z twarzy starca, noszącej przedtem pozory mniszej i ojcowskiej dobroci, nagle za jednym zamachem spadła maska: oczom ich przedstawiała się brutalna twarz kupczącego chłopca; także broda, nadająca zwykle starcowi pełnego godności i zbożnego wyglądu, upodobniała się do rudej, powiewnej brody handlarza koni. Petenci, zmieszani, jakby zaczarowani, patrzyli bezradnie na Grzegorza Jefimowicza. Ogarniało ich przykre, oszłamiające uczucie, które trwało do chwili, gdy wreszcie Manujłow wysunął rękę spod ramienia świętego ojca i Rasputin z dobrotliwym spojrzeniem ojca i z prawicą, wzniesioną do czoła na nowo zwrócił się do swych owieczek. Wtedy dopiero zniknął szatański urok, mącący wiarę w boskość Rasputina. Rzadko kto tyle wiedział o słabostkach Rasputina, co Manujłow; znał go tak dobrze, jak tylko partner do nieczystych interesów może znać swego współnika. Może był też jedynym człowiekiem, który nie poddawał się osobistemu urokowi Rasputina, ponieważ wielce doświadczony asesor rady związkowej w ogóle nie znał uczucia uwielbienia, uniżoności i zachwytu. Co go jednak nierozłącznie związało z Rasputinem, to trzeźwa rozważa człowieka interesów i przeświadczenie, że starzec jest dlań ważnym czynnikiem w jego własnych handlowych spekulacjach. Jeszcze w przededniu wstąpienia na służbę u Rasputina zaliczał się Manujłow do jego najzaciętszych wrogów; uważał bowiem za korzystne

wkraść się przez odpowiednie występowanie przeciw starcowi w zaufanie jego przeciwnika, wpływowego generała Bogdanowicza. Pewnej jednak bezsennej nocy doszedł do przekonania, że lepiej będzie zmienić stronnictwo, zwłaszcza że minister spraw wewnętrznych Makłakow w tym właśnie czasie energicznie brał stronę Rasputina. Od tej chwili Manasewicz-Manujłow był jednym z najgorliwszych i najbardziej oddanych stronników Rasputina i zaraz mu też zdradził wszelkie intrygi wychodzące z otoczenia generała Bogdanowicza.

Wkrótce się też okazało, że ta zmiana frontu wielce sprzyjała jego dalszej karierze. Carowa dowiedziała się o jego nawróceniu i nie szczędziła mu swego uznania; Manujłow szybko awansował i został w końcu sekretarzem prezydenta ministrów. Za pośrednictwem Manujłowa poznał Rasputin Borysa Sturmera. Asesor urządził spotkanie tych dwóch mężów w mieszkaniu swej przyjaciółki, aktorki Lermi-Orłowej, i tam miał Grzegorz Jefi-mowicz rozstrzygnąć, czy Stiirmer jest zdatnym na stanowisko prezydenta ministrów.

Spotkanie to odbyło się wśród dość dramatycznych okoliczności. Manujłow, gorąco zakochany w Lermie, w tym właśnie dniu złapał swoją przyjaciółkę na zdradzie z nauczycielem jazdy konnej Petzem. Szalał z zazdrości i poczucia krzywdy i miał właśnie zamiar kochankę wychłostać, gdy nagle rozległ się dzwonek u drzwi i wszedł Stiirmer; po kilku minutach przyszedł również starzec.

Od tej rozmowy między Rasputinem a Stiirmerem zależała cała przyszłość Manujłowa, Stiirmer bowiem dał asesorowi jak najdalej idące przyrzeczenia na wypadek objęcia stanowiska prezydenta ministrów. Tak więc znalazł się Manujłow owego dnia w ciężkiej rozterce między osobistym uczuciem z jednej, a koniecznością uwzględnienia racji stanu i swej dalszej kariery, z drugiej strony. Już to- więc przebywał w jednym pokoju i uspokajał płaczącą Lermę, już też gonił do sąsiedniego pokoju, by przemawiać za kandydaturą Sturmera.

To całe zaś historyczne spotkanie skończyło się wreszcie ku ogólnemu zadowoleniu. Stiirmer zrobił na Rasputinie korzystne wrażenie, starzec ucałował go nawet na pożegnanie; Stiirmer nie posiadał się z radości, uścisnął Manujłowa i przyrzekł mu, że będzie opiekował się nim jak

synem i postara się mu o posadę, jaką tylko asesor sobie wybierze.

Także konflikt miłosny asesora skończył się dobrze, bliski bowiem awans Manujłowa na sekretarza prezydenta ministrów tak podziałał na małą aktoreczkę, że zdecydowała się zerwać z nauczycielem jazdy Petzem.

Manujłow nie poprzestał na tym, porozumiał się z asystentem ministerialnym Bieleckim, zawiadomił go o tym, że Petz dostarcza koni zagranicznym wrogom, i dopiął wreszcie tego, że konkurent powędrował do więzienia.

Podczas gdy Petz siedział w więzieniu i czekał na to, aż jego niewinność wyjdzie na jaw, cieszył się Manujłow bez przeszkody

z czyjejkolwiek strony miłością swą na nowo odzyskanej przyjaciółki. Równocześnie zasypywano go łapówkami; uzyskał też dostęp do najwytworniejszego towarzystwa, a nawet do dyplomatycznych placówek wielkich mocarstw zagranicznych.

Rasputin nie miał żadnych iluzji co do motywów, jakimi kierował się Manujłow, przechodząc na jego stronę. Znał przeszłość asesora rady związkowej i jego charakter, wiedział też dokładnie, że Manujłow oddaje mu swoje usługi jedynie z praktycznych względów. Jako chytry chłop powiedział sobie jednak, że żadne przywiązanie wypływające z podziwu i uwielbienia nie jest tak silne jak to, które opiera się na trzeźwych, kupieckich przesłankach. Ponieważ zaś cała potęga i wpływy Manujłowa zależały od władzy i wpływów Rasputina, mógł ze spokojnym sercem zdać się na wierność i uległość asesora.

Nie było też dla starca żadną tajemnicą, że Manujłow nadal utrzymywał jak dawniej stosunki z tajną policją; otrzymał nawet od asystenta ministerialnego Bieleckiego specjalne zlecenie, by dokładnie informował policję o wszelkich politycznych i kupieckich zamierzeniach starca.

Asesor rady związkowej nie robił nawet przed samym Rasputinem żadnej tajemnicy z tej poruczonej mu misji. Przy takim stanie rzeczy zezwalał starzec na to, by Manujłow od czasu do czasu składał asystentowi Bieleckiemu dokładny raport o jego, Rasputina, działalności.

Nie ruszał nawet palcem, by ukryć cokolwiek przed Manujłowem; asesor miał dniem i nocą wolny dostęp do mieszkania Rasputina i wszystkie szufladki jego biurka stały dlań otworem. Manujłow korzystał też z tego nieograniczonego zaufania swego świętego przyjaciela i pojawiał się u niego o każdej godzinie, mieszał się do spraw czekających w przedpokoju

interesantów i brał udział prawie we wszystkich interesach, które w kancelarii dochodziły do skutku.

Fakt, że w poczekalni cudotwórcy codziennie schodzili się prawie wszyscy wpływowi mężowie Rosji, a co najmniej ich plenipotenci, umożliwiał przy obejściu opóźniającej drogi urzędowej przeprowadzenie na miejscu wielkich interesów handlowych, koncesji, transakcji giełdowych i politycznych interwencji. Jeśli petent przychodził przed południem do poczekalni Rasputina, przedstawiał swoją sprawę samemu panu domu lub też sekretarzowi z odpowiedniej sekcji i czekał, aż pojawiał się bankier Rubinstein lub

biskup Warnawa, jeden z ministrów, generał-adiutant cara albo wielce wpływowa „matka kościoła”, hrabina Ignatiew; resztę załatwiali sekretarze i przeważnie już po południu otrzymywał petent żądane papiery i mógł z dobrym wynikiem opuścić dom Rasputina.

W Rosji, gdzie każda, jakakolwiek bądź sprawa mimo przyśpieszających protekcji i łapówek musiała w pierw przebywać długą i skomplikowaną drogę przez tysiące urzędów, zanim doczekała się załatwienia, w tej Rosji właśnie biuro Rasputina odznaczało się niezwykle szybkim tempem w spełnianiu swych funkcji. Łatwo więc wyobrazić sobie, że to przedsiębiorstwo kwitło jak chyba żadne inne w Rosji i że liczba jego komitentów stale zwiększała się.

Sam starzec mało co troszczył się o techniczne przeprowadzenie tych wszystkich interesów; właściwe manipulacje w zupełności zostawiał swym sekeretarzom. Tylko w ten sposób mógł Rasputin zachować w sobie wszelkie pierwotne cechy muzyka, aczkolwiek w jego kancelarii przeprowadzano największe i najbardziej zawi-kłane operacje finansowe. Najbardziej skomplikowaną sprawę, która właściwie wychodziła daleko poza jego horyzont, traktował naiwnie, jak mu pierwotny rozum chłopski dyktował, wcale nie zmieszany jakimiś niezrozumiałymi dlań szczegółami i to właśnie przynosiło powodzenie. Najchytrzejsi i najbardziej wyrafinowani giełdciarze zawodzili wobec zdrowego instynktu i nie skażonej znajomością rzeczy intuicji tego cudotwórcy z Pokrowskoje, który w każdej, chociażby najtrudniejszej transakcji nieomylnie wyczuwał istotę rzeczy i niezachwianie trwał przy tym.

Nigdy prawie nie pisał do osobistości, których pomocy potrzebował, więcej niż kilka słów: „Mój Kochany, Drogi, zrób mi to! Grzegorz”. Te

proste słowa ze skromnym znakiem krzyża na górze działały jak zaklęcie; starczały', by dyrektorowie banków i ministrowie natychmiast spełniali niemożliwe z pozoru żądania.

Jeżeli już Rasputin nabazgrał tego rodzaju pismo polecające, to zadanie jego w przeważnej części wypadków było tym samym skończone; reszta była techniczną robotą jego sekretarzy, która go więcej już nie obchodziła. Z biegiem czasu znalazł jeszcze bardziej prosty i wygodny sposób załatwiania. W wolnych od zajęcia godzinach napisał sobie cały zapas podobnych stereotypowych listów: „Mój Kochany, Drogi, zrób mi to!", tak że w swoich godzi-

nach urzędowych pisał tylko adresy. Często i tego nie robił, tylko zostawiał petentowi wolną rękę, by zaopatrzonej w jego otwarte polecenie wybierał sobie, kogo zechce.

Młoda dziewczyna, która była raz u Rasputina i nawet została wprowadzona do gabinetu, opisuje osobliwą metodę starca w rozdzielaniu listów petentom.

Grzegorz Jefimowicz zabawiał się w gabinecie, gdy go nagle wywołano do przedpokoju. Za chwilę wrócił i szukając gotowego listu polecającego, usprawiedliwiał się niejako: „Muszę prędko list napisać; jest tu jeden człowiek, z którym mam pewien interes do załatwienia!”

Następnie wziął pióro do ręki i jął powolnie pisać, mrukliwym głosem wymawiając każde słowo. Ciężką, jakby obcą ręką na-bazgrał kilka ukośnych znaków, jak gdyby musiał każdą literę z osobna nalepiać na papier.

„Piszę bardzo niechętnie”, mówił przerwawszy pisanie i wziął w ramiona dziewczynę, „och, jakżeż niechętnie piszę! Żywe słowo, to coś zupełnie innego, wtedy łatwiej można wyrażać swe myśli! A tak to jest tylko bazgranina i nic więcej! Przypatrz się, to jest wszystko, co napisałem, „Drogi przyjacielu, bądź tak dobry, spełnij tę prośbę. Grzegorz”.

„Lecz dlaczego”, zapytała młoda dama, „nie pisze pan, do kogo właściwie list jest skierowany?”

Uśmiechnął się w roztargnieniu. „W jakim celu? Petent chyba już sam będzie wiedział, jaki minister mu potrzebny! Dla mnie to jest obojętne, piszę: Kochany, drogi przyjacielu, i to wystarcza, zawsze tak piszę”.

Gdy przypadkiem nie było w domu samego starca, można było całkiem spokojnie zwrócić się do jego zastępców, Symanowicza i Dobrowolskiego.

Oni również z tą samą swobodą przyjmowali łapówki i drogocenne podarki i posiadali w swych portfelach dostateczny zapas podpisanych przez Rasputina listów polecających.

Grzegorz Jefimowicz z całego serca zgadzał się z tym, by jego sekretarze od czasu do czasu w jego zastępstwie załatwiali rentowne interesy, z których prowizje mogli ściągać dla siebie. Szczególnie Symanowicz cieszył się jego szczerą przychylnością i starzec prawie zawsze spełniał jego prośby. Przyjaźń tych dwóch mężów datowała się przecież jeszcze z czasów, kiedy Rasputin był wędrownym pielgrzymem.

W Kazaniu, w r. 1900 zaprzyjaźnił się Rasputin ze szlifierzem brylantów Symanowiczem. Spotkali się po raz pierwszy na stacji kolejowej. Przyjaźń ich pogłębiła się przy drugim spotkaniu w Kijowie, gdzie Symanowicz posiadał mały sklep jubilerski.

Symanowicz urodził się w dzielnicy żydowskiej pewnej miejsciny w południowej Rosji. Nauczył się rękodzielnictwa jubilera i już za młodu pożyczał swe oszczędności na wysoki procent. Z trudem przepychał się przez życie, aż w czasie wojny rosyjsko-japońskiej wpadł na genialny pomysł obłowienia się. Zaopatrzony w walizkę pełną kart do gry, wyruszył w pole i założył tam wędrowny bank. Ponieważ nie omieszkał przedtem nauczyć się wszystkich finezji fałszywej gry, powrócił z Mandżurii jako bogaty człowiek i w dalszym ciągu prowadził w europejskiej Rosji już z dawna zaczęty handel brylantami, swoje interesy lichwiarskie i przedsiębiorstwa hazardowe. W ten sposób stał się jako pożyczający pieniądze cenną podporą dla potrzebujących pieniędzy, młodych arystokratów w Petersburgu i Moskwie.

W stolicy odświeżył Symanowicz swe przyjacielskie stosunki z Rasputinem, doszedł bowiem do przekonania, że wpływy starca mogą być wielce zbawienne dla jego własnych interesów. Oprócz tego potrzebował potężnego protektora, albowiem policja wiedziała o jego nieczystych interesach i kilka razy już zamierzała wydalić go ze stolicy; zaś jako sekretarz Rasputina był zupełnie bezpieczny.

Grzegorz Jefimowicz nie tylko cenił Symanowicza dla jego kupieckich zdolności, lecz lubił go także jako człowieka i tym też tłumaczy się, że dawny szlifierz brylantów wywierał dość silny wpływ na Rasputina.

Korzystał z tego nie tylko we własnym interesie, lecz także w interesie

sprawy żydowskiej i dopiął tego, że za wstawiennictwem Rasputina zniesiono pewne dokuczliwe dla Żydów przepisy prawne. Jak bardzo ojciec Grzegorz, muzyk rosyjski, sekciarz i głosiciel nowej ewangelii, kochał tego małego, niewykształconego i niepokaźnego Żyda Symanowicza, świadczy najlepiej fakt, że podarował mu raz swoją fotografię z dedykacją: „Najlepszemu z Żydów”.

A może właśnie brak wykształcenia i prymitywna chytryść Symanowicza pociągały tak silnie Rasputina, jako że on sam posiadał podobne cechy. Przed Symanowiczem nie musiał udawać. mógł zachowywać się z największą swobodą i otwartością.

Grzegorz Jefimowicz tak przywykł do zażyłości ze swym pierwszym pomocnikiem, że omawiał z nim najważniejsze sprawy państwowe, a raz nawet zabrał ze sobą tego maluczkiego lichwiarza do Carskiego Siola. Syn Symanowicza mógł tego historycznego dnia ze słuszną dumą opowiadać swym sąsiadom: „Papa został dzisiaj powołany razem z Grzegorzem Jefimowiczem do Carskiego Siola, by radzić wspólnie z carem nad otwarciem Dumy!”

Oprócz Manasewicza-Manujłowa, Symanowicza i Dobrowolskiego można było spotkać w mieszkaniu Rasputina jeszcze inne osobliwe indywiduum: był to niejaki Michał Otsupa-Snarski. Ten prawie zawsze towarzyszył starcowi, gdy ten wybierał się do kobiet, lokali nocnych lub na inne zabawy. Snarski, gotowy każdej chwili do tego rodzaju służby, przebywał stale w mieszkaniu starca, aczkolwiek nikt mu nie przydzielił tej funkcji. Snarski został wprowadzony do Rasputina przez Manujłowa i był podobnie jak sam asesor oraz Symanowicz i Dobrowolski i wielu innych wiernych zwolenników starca, na żołdzie tajnej policji, przy czym jednak wiernie służył Rasputinowi. Jemu i jego protektorowi Manujłowi udawało się nawet często dzięki swym stosunkom z ochroną trzymać z dala od Rasputina przykrości i niebezpieczeństwa. Pewnego razu postanowili minister Chwo-stow i jego asystent Bielecki wciągnąć Grzegorza Jefimowicza w zasadzkę i dać go porządnie obić, by później, wybawiwszy go z opresji, zdobyć sobie w ten sposób uznanie jako wybawcy. Snarski, którego mieszkanie znajdowało się prawie vis-a-vis domu Rasputina, miał w tym celu zaprosić do siebie świętego starca na hulanekę, a potem pijanego po opuszczeniu mieszkania wydać w ręce przebranych agentów policyjnych.

Snarski przyjął zlecenie i otrzymał dla zrealizowania planu odpowiednią sumę, natychmiast jednak zawiadomił Rasputina o wszystkim. Wszyscy trzej, starzec, Manujłow i Snarski z wielką uciechą zostali w mieszkaniu Rasputina, zabawiając się przy kobietach i winie; z szyderczym uśmiechem patrzyli przez szyby, jak Chwostow i Bielecki wedle umowy przybyli z gromadą wybawców pod dom Snarskiego i nic nie wskórawszy, wściekli musieli wrócić.

Często w przedpołudniowych godzinach przyjęć otwierały się drzwi i wchodził Ossypenko, sekretarz metropolity Pityryma, aby złożyć swoje uszanowanie Rasputinowi. Wysoki dostojnik kościel-

ny Pityrym wedle możliwości nie pokazywał się sam publicznie z Rasputinem, albowiem obawiał się, by obcując ze znieawidzonym w kołach kościelnych starcem, nie wywołać zbytniego zgorszenia. Zamiast tego wysyłał regularnie swego sekretarza Ossy-penkę, który z biegiem czasu tak przyzwyczał się do zastępowania księcia kościoła, że z czasem nabrał w ruchach i mowie dziwnego zachowania, pełnego godności i namaszczenia. Ossy-penko, pod wpływem tego obcego mu właściwie zachowania, stracił równowagę ducha i przybierał miny, jak gdyby sam był metropolitą. Nawet szef policji Bielecki z wielką szkodą doświadczył tego na sobie samym; kiedy bowiem starając się wciągnąć Ossy-penkę do swej agentury szpiegowskiej, wręczył mu trzysta rubli, ten z miną pełną godności schował te trzysta rubli i nigdy więcej ani słowem o tym nie wspomniał.

*

Powoli porozchodzili się goście z przedpokoju; z kancelarii oddalili się jeden po drugim faktorzy i spekulanci ze swymi teczkami pod pachą; jedni szli pojedynczo, inni grupkami, dyskutując ze sobą. Także sekretarze, pomocnicy i adiutanci starca brali swe kurtki skórzane, kapelusze i futra, wkładali teczki pod pachę i żegnali się.

W jadalni tymczasem uczennice żegnały się uroczyście i tkliwie ze swym świętym ojcem, którego miały dopiero jutro zobaczyć, Rasputin ścisnął jedną po drugiej, całował w usta i rozdawał między nie kawałki czarnego suchara, które damy starannie zawijały w jedwabne chusteczki i chowały. Niektóre szeptem mówiły z Dunią i prosiły ją, by im dała do prania trochę brudnej bielizny Rasputina, możliwie całkiem brudnej i przepoconej. Pokojówka znikła i za chwilę wróciła z żądanymi pakunkami brudnej

bielizny, które rozdała niektórym uczennicom. Następnie pożegnały się wszystkie i odeszły przez tylne schody.

Pozostały tylko te kobiety, które stale przebywały w mieszkaniu starca, jako też książęca uczennica, której dostał się dzisiaj ten zaszczyt w udziale, że mogła swoimi długimi, delikatnymi palcami obierać wędzoną rybę dla świętego ojca. Zajęta właśnie tą czynnością, rzucała zakochane i kusicielskie spojrzenia na Grzegorza Jefimowicza, prosząc go równocześnie, by uczynił jej męża ministrem. Starzec zjadł z apetytem rybę, wypił kilka kieliszków

madery, uśmiechnął się do proszącej księżny i odpowiedział wymijająco:
„No tak, tak, już się zrobi, moja duszko!”

Telefon znowu zadzwonił. Dunia podeszła do aparatu, zwykłym swym niemiłym głosem dopytywała się, kto mówi, następnie pobiegła do Rasputina i wybuchła szorstkim tonem: „Jakaś obca!”

Zaciekawiony Rasputin podszedł do telefonu.

„Więc cóż, kto tam? Słucham... Sam przy aparacie, a kto mówi? Młoda dama?... A skąd telefonujesz?”

Głos jego zdradzał wyraźnie wzrastające zainteresowanie, a ton jego był coraz więcej uprzejmy: „Wiesz co, przyjdź w tej chwili, możesz?... Lecz musisz się pośpieszyć, wnet bowiem jadę do Carskiego Sioła!... A jak wyglądasz? Jesteś ładna?... No, przyjdź tylko zaraz, kochana duszko, czekam cię!”

Po niedługim czasie rozległ się dzwonek u drzwi i młoda, ładna dziewczyna weszła do środka. Niedawno temu przybyła z prowincji do Petersburga; mając mistyczne skłonności, już w miejscu rodzinnym stykała się z sekciarzami, którzy jej napomykali o cudownym Grzegorzu Jefimowiczu.

W stolicy znosili jej ze wszystkich stron jeszcze więcej wieści o nim, tak że w krótkim czasie nasunęło się jej przypuszczenie, że istnieje pewien związek między starcem a poszukującą Boga bracią sekciarską; postanowiła więc odwiedzić osobliwego męża, by o wszystkim dowiedzieć się najdokładniej. Zaraz po telefonicznej zapowiedzi przybiegła tutaj w najwyższym napięciu religijnego podniecenia i przeszedłszy kontrolę podejrzliwej Duni, czekała teraz, aż Grzegorz Jefimowicz ją przyjmie.

I rzeczywiście, w drzwiach prowadzących do jadalni stała właśnie jego dziwna postać; z miłym uśmiechem na twarzy podszedł ku ładnej dziewczynie; ona wymieniła swe nazwisko: Wiera Aleksandrowna Żukowska i nieśmiało dodała, że to ona telefonowała przed mniej więcej pół godziną.

„A o czym chciałabyś ze mną mówić?” — dowiadywał się Grzegorz Jefimowicz.

„O różnych kwestiach życiowych” — odpowiedziała niepewnym głosem, w danej chwili bowiem sama nie wiedziała, o czym właściwie chciała mówić. Rasputin wziął ją za rękę i zwrócony do drzwi, zawołał Dunię. Gdy służąca weszła, powiedział jej cichym głosem, wskazując przy tym na Wierę Aleksandrowna: „Zaprowadź ją do mego prywatnego pokoju”.

W „sanktuarium”

„Udałam się za służącą poprzez drzwi” — opowiada Wiera

Aleksandrowna Żukowska, „i za chwilę znalazłam się w długim, wąskim gabinecie o jednym oknie; Dunia oddaliła się natychmiast i zamknęła za sobą starannie drzwi.

Rozglądnełam się bacznie po pokoju; przy ścianie, blisko drzwi stało łóżko, na którym piętrzyły się wysoko poduszki, nakryte pstrą i wytartą jedwabną kołdrą; obok, przy tej samej ścianie, znajdowała się umywalnia, w pobliżu niej biureczko damskie, na którym leżały przybory do pisania, kilka obsadek z zabrudzonymi piórami oraz kilka ołówków; tamże błyszczał złoty zegarek z herbem carskim na pokrywce. W środku pokoju stał stół z dwoma krzesłami, przodem przy oknie stał damski, orzechowy stoliczek toaletowy z lustrem, na którym nic nie było widać, prócz dwóch otwartych telegramów i kilku listów. W opisywanym rogu pokoju nie było żadnych świętych obrazów, natomiast na oknie umieszczona była olbrzymia fotografia ołtarza z katedry św. Izaaka; fotografię zdobił pęk różnobarwnych wstążek. Natychmiast przyszło mi na myśl, że sekta chłystów zwykła również stawiać swoje święte obrazy na oknach i zdobić je różnokolorowymi wstążkami.

Wkrótce doszły mnie odgłosy szybkich kroków Rasputina, drzwi otwarły się. Rasputin wszedł do pokoju, przysunął sobie krzesło, siadł naprzeciwko mnie, ścisnął moje nogi swymi kolanami, nachylił się silnie w przód i zapytał:

„Cóż dobrego mi powiesz?”

„Nie ma wiele dobrego w tym życiu" — odpowiedziałam. Rasputin roześmiał się i mogłam przy tej sposobności zobaczyć jego

236

białe, chłopskie zęby, przypominające swym wyglądem uzębienie dzikiego zwierza.

„Tak mówisz? Czy spotyka cię coś złego?”

Pogłaskał mnie po twarzy i dodał natychmiast:

„Słuchaj tego, co powiem! Czy znasz słowa pieśni kościelnej: Od wczesnej młodości kipi ma krew pożądaniem, nie karz mnie za to, mój Najłaskawszy Panie”? Po czym zmrużył oczy i objął mnie, jak gdyby z ukrycia, szybkim, skaczącym z miejsca na miejsce wzrokiem; oczy jego na chwilę silnie zabłyśły i znowu zgasły.

„Znam je aż nadto dobrze” — odpowiedziałam, nie rozumiejąc znaczenia jego słów.

„Nie, czekaj, czekaj chwilę” — przerwał mi i ścisnął moje kolana jeszcze mocniej. „Wy tłumaczę ci wszystko tak, jak jest. Powiadam, do trzydziestego roku życia wolno grzeszyć, ale potem należy zwrócić się do Boga, rozumiesz? A gdy nauczysz się oddawać całkowicie myśli swe Bogu, możesz wówczas znowu grzeszyć, ale będzie to grzech szczególnego rodzaju — rozumiesz? A zresztą pamiętaj, że każdy grzech można zmyć pokutą. Oddawaj się twardym pokutom, a wszystko stanie się znów dobrem. Wiesz, idź w przyszłym tygodniu do komunii świętej — chcesz?”

„Nie, nie chcę” — odpowiedziałam.

Rasputin stał się niespokojny, przysunął swą twarz całkiem blisko mnie, pogłaskał kilkakroć moje plecy i ręce i rzekł: „Powoli, powoli, tylko nie tak spieszno, wszystko ci wytłumaczę. Słów moich, moja duszko, naturalnie nie pojdziesz; należy się samej przekonać, przez czyn!

Przychodź do mnie tylko częściej, ty moja mała, słodka pszczołko, kochaj

mnie, a zrozumiesz wszystko! Miłość, oto rzecz najważniejsza. Słowa ukochanego są zawsze jasne i zrozumiałe, jak długo zaś jestem tobie obcy, mogę mówić, jak chcę, a słowa moje i tak wchodzą jednym uchem i zaraz ulatują drugim. A może ci już ktoś opowiadał takie rzeczy? A może ty już nawet masz kilku wielbicieli, ha?"

Mimo woli pochylałam się w tył, gdyż przysunął się był do mnie za blisko, tak że jego postać przylegała już szczelnie do mojej. Nagle ucałował mnie szybko w usta, uczynił to jednak w tak prosty, naturalny sposób, że nie mogłam się bronić.

„Po co się zadajesz z tymi wszystkimi?" nawiązał szeptem do poprzedniego zdania. „Przychodź do mnie, wyślij ich wszystkich do diabła, a wytłumaczę ci, co to jest życie!"

W tej chwili weszła Dunia i wywołała Rasputina do telefonu; po kilku minutach wrócił, siadł znów naprzeciw mnie, przy czym znów tak jak i przedtem ścisnął mi silnie kolana.

„No. a co jeszcze mi powiesz, mój aniele?" Oczy jego strzeliły ostrym błyskiem; nachylił się ku mnie i szepnął namiętnie: „Już cię teraz nie puszcę! Skoroś raz do mnie przyszła, nie ujdiesz mi już więcej! Zrozum mnie tylko, nie uczynię ci nic złego, przychodź do mnie, moja soczysta czereśnio!" Zgrzytał przy tym zębami.

„Dlaczegoż nie miałabym przychodzić?" — odpowiedziałam rozweselona.

„Jaki jest numer twojego telefonu?" Za chwilę podał mi ołówek i papier.

Gdy pisałam, pochylił się nade mną, ścisnął moje ramiona i szepnął z gorącym oddechem wprost do ucha:

„No, a co jeszcze mi powiesz?"

Z oburzeniem odsunęłam jego rękę w bok: „Przyszłam do pana z prośbą o radę. Pan przecież na pewno wie, gdzie jest prawda, a gdzie jest grzech?"

Popatrzył na mnie badawczo: „Wiesz już coś o tym?"

„Nie, nie mam nawet pojęcia."

Rasputin uśmiechnął się nieznacznie, pochylił się i począł szybko mówić:

„Wszystko to ma swe źródło w tym, że czytasz za wiele książek; tam, w tych książkach, siedzi trucizna; książki niepokoją duszę, powiadam ci.

Wiesz zresztą, mam taką jedną znajomą, która bardzo wiele czyta, to taki specjalny przykład; może ją nawet znasz, to jest wielka księżna Milica Mikołajewna. Wchłonęła w siebie stopy książek, lecz nie znalazła tego, czego szuka. Rozmawialiśmy ze sobą bardzo wiele, ona jest bardzo rozumna, ale nie może znaleźć spokoju. Naprzód przychodzi miłość, a po niej dopiero spokój, pamiętaj o tym. Jeśli pójdziesz dalej drogą, którą

kroczysz, nie znajdziesz nigdy spokoju. I ona pytała ronie o grzech, ale nie zrozumiała..."

„A pan rozumie?" przerwałam. Zmarszczył czoło i popatrzył mocno w moje oczy.

„Jeśli chcesz wiedzieć, to grzech popełnia tylko ten, kto grzechu szuka. Kto jednak przez grzech tylko przechodzi, temu grzech nie przynosi szkody. Jeśli zechcesz, pokażę ci to wszystko. Idź w przyszłym tygodniu do komunii świętej, a potem przyjdź do

mnie; jeśli jeszcze masz raj w swojej duszy, to pokażę ci taki grzech, że nie potrafisz stanąć na własnych nogach!"

„Nie wierzę w to” — odparłam na to z wątpieniem w głosie; choć czułam się już niesamowicie, Rasputin, podobny w tej chwili do czarownika, szepnął z lubieżnie rozchylonymi ustami: „Czy chcesz, bym ci to pokazał?”

Obserwował mnie i nagle wzrok jego zmienił się nie do poznania; oczy Rasputina patrzyły na mnie teraz dobrotliwie, przyjaźnie i beznamiętnie. W nieoczekiwanie miękkim tonie zapytał mnie po chwili:

„Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz, moja duszko?”

Przyciągnął mą głowę ku sobie, po czym pocałował mnie z istic kapłańską godnością i powiedział z cicha: „Ach, ty moje kochanie...”

Patrzyłam nań całkowicie zmieszana; nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego, czy ów zmysłowy, lubieżny szept: „Czy chcesz, bym ci to pokazał?” był snem czy też jawą. W tej chwili bowiem siedział przede mną poczciwy i prostacki chłop z gęstą, ciemną brodą i jasnymi oczami.

Powstałam: „Muszę odejść.”

„A więc pamiętaj, moja duszko, przyjdź do mnie jeszcze”, powiedział Rasputin, po czym powstał i uściskał mnie z całych sił. „Ilekróć będziesz się nudzić, zadzwoń do mnie. Kiedy przyjdiesz, moja duszko?”

„Do soboty jestem zajęta” — odpowiedziałam.

„No, dobrze, dobrze, przyjdź w sobotę o dziesiątej wieczorem. Zgoda?”

„Dlaczego tak późno?”

Rasputin zmarszczył brwi. „No, to przyjdź wcześniej, o wpół do dziesiątej, ale na pewno, gdyż będę cię oczekiwał. Jestem ci przecież miły, więc

przyjdź. Przyjdziesz?"

Było tak już w jego zwyczaju, że powtarzał dwa razy ostatnie słowo.

„Przyjdę na pewno” — tymi słowy pożegnałam się z Rasputinem.

*

W sobotę wieczorem o umówionej godzinie dzwoniłam u drzwi mieszkania Rasputina. Po chwili ukazała się Dunia i oświadczyła

239

mi, dosyć zresztą niegrzecznie, że Grzegorza Jefimowicza nie ma w domu. „To jest niemożliwe”, powiedziałam, „sam mi zapowiedział przed kilkoma dniami, że mogę o tej godzinie przyjść”.

Dunia przypatrywała mi się z ukosa, podejrzliwym wzrokiem, wpuściła mnie jednak do przedpokoju; rozglądnęłam się i zobaczyłam wieszadło, zakryte wieloma pięknymi futrami. Podobnie jak za pierwszej mej bytności u Rasputina służąca nie poprosiła mnie o zdjęcie futra w przedpokoju, lecz wprowadziła mnie wprost do pustego pokoju przyjąć. Usiadłam przy oknie; byłam zła i rozgoryczona. Dunia zniknęła kilkakrotnie na odgłos dzwonka i przyniosła w końcu kipiący, miedziany samowar, tak ciężki, że służąca ugięła się wprost pod jego ciężarem.

A więc i samowar — pomyślałam. I to taki duży i taki ciężki, jaki zwykle można widzieć tylko w izbach chłopskich.

Drzwi od przedpokoju otworzyły się i Rasputin wszedł szybkim krokiem do pokoju. Miał na sobie niebieską świąteczną koszulę, pluszowe spodnie i błyszczące buty.

„A więc przyszłaś, moja duszko” — powiedział, przystępując do mnie, po czym objął moje plecy ramieniem i nachylił się w przód, aby mnie pocałować; odwróciłam się szybko, gdyż chciałam uniknąć tego rodzaju czułości.

„Grzegorzef Jefimowiczu” — powiedziałam rozdrażniona, „proszę na drugi raz zawiadomić służbę o tym, że pan zaprasza do siebie gości!”

Rasputin zadał sobie wiele trudu, by mnie wprowadzić z powrotem w dobry humor. „No, nie bądź taka zła, moja duszko, nie dasz się przecież wytrącić z równowagi przez ten zadarty nosek? Już tyle razy mówiłem tej wstrętnej osobie, aby mi nie sprawiała kłopotów z gośćmi. A dzisiaj zwróciłem jej

również uwagę, że cię oczekuję, no, przebac mi, moja duszko!"

Pocałował mnie i zaciągnął do przedpokoju. „Chodźmy do nich”, nalegał na mnie podczas zdejmowania futra; nagle popatrzył się na mnie, zadumał się i powiedział: „A może to będzie lepiej, jak zostaniesz osobno, gotowaś mi w końcu umknąć, skoro zobaczysz, co się tam w środku dzieje”.

„Jak będę chciała odejść, zrobię to bez tego”, odpowiedziałam. „Jest mi tylko trochę przykro, gdyż nie znam wcale tych dam”.

Rasputin potrząsnął niecierpliwie głową. „Wystarcza w zupeł-

ności, że ja cię znam! No, chodźmy, moja duszko!" Po czym objął mnie mocno; wprowadził mnie do jadalni, przystąpił do stołu i rzekł: „Oto przyprowadzam wam ją, ona mnie miłuje..."

Skinęłam głową i usiadłam na pustym miejscu przy końcu stołu; Rasputin usiadł obok mnie; moje początkowe zakłopotanie poczęło powoli znikać, tak że mogłam się oddać bacznej obserwacji tego niezwykłego towarzystwa.

Było tu razem dziesięć pań, między nimi zaś jeden jedyny mężczyzna, w żakiecie; jego poważny i skupiony wyraz twarzy świadczył o nurtujących go troskach i zmartwieniach. Obok niego siedziała, wciśnięta głęboko w krzesło, brzemienna młoda kobieta; jej twarz była niesamowicie blada, a jej wielkie, jasnoniebieskie oczy patrzyły na Rasputina z całkowitym oddaniem i uwielbieniem. Byli to pan i pani Pistol Kors. Jak domyśliłam się z kilku rzuconych później uwag, pan Pistol Kors przyszedł jedynie dlatego, że nie chciał swej żony pozostawić samej. Obok Aleksandry Pistol Kors siedziała stara Gołowina; jej zwiędła już twarz, odznaczająca się swoistą, spokojną dystynkcją, zrobiła na mnie przyjemne wrażenie. Gołowina poczyniała sobie jak gospodyni tego domu, witała gości i kierowała tokiem rozmowy.

Niedaleko niej, po prawicy Rasputina, siedziała piękna, choć już nie pierwszej młodości dama w nadzwyczajnie strojnej sukni; obok młodego mężczyzny zajęła miejsce nieco otyła, melancholijnie wyglądająca pani w szarej, źle skrojonej sukni. Patrząc na nią, odnosiło się wrażenie, że przestała przed chwilą płakać, na co wskazywałyby zaczerwienione oczy i czerwone plamy na policzkach. Była to właścicielka jednego z najznakomitszych gimnazjów prywatnych, stara i oddana przyjaciółka

Rasputina, która widziała w nim swego najlepszego opiekuna, doradcę i przyjaciela, tak że niczego nie przedsiębrała bez jego błogosławieństwa. W danej chwili, podobnie jak stara Gołowina, poczyniała już spostrzegać i potępiać jego błędy i wady, do których w pierwszym rzędzie zaliczała zbyt swobodne odnoszenie się do kobiet.

Tuż obok niej siedziała wysoka, bujnie rozwinięta pani w nieokreślonym wieku, elegancko ubrana, w głębokiej żałobie; pani ta, podobnie jak i jej sąsiadka, nie odezwała się przez cały wieczór ani jednym słowem.

Silne zainteresowanie wzbudziła we mnie następna kobieta: wysoka, pełna blondyna, niepiękna i dosyć niegustownie

ubrana, ale jej czerwone, zmysłowe usta i niespokojne, żarzące się jak węgiel oczy musiały skupić na sobie uwagę każdego obserwatora. Wyraz jej twarzy posiadał pewne cechy rozdwojenia i zwodniczości. Takie twarze spotykamy zarówno u wyrzekających się przyjemności doczesnych bohaterów, jak i u kobiet nurzających się w żądzy i rozpuście, które oddają się grzechowi tak spokojnie i naturalnie, jak gdyby brały kąpiel lub udawały się na spoczynek do miękkiego łóżka. Była to pani Anna Wyrubowa.

Siedząca obok niej Munią Gołowina obserwowała mnie swymi łagodnymi, bładoniebieskimi oczyma częściej i dłużej aniżeli inne zebrane tu panie. Miała na sobie jasną, szarą, lekką sukienkę jedwabną i mały kapelusik przyozdobiony fiołkami; wyglądała drobno i delikatnie, ruchy jej były niepewne, a głos dźwięczał bardzo cicho. W każdym jej spojrzeniu, w każdym słowie było tyle wzruszającego oddania i całkowitego podporządkowania się woli Rasputina, że mimo woli zadałam sobie pytanie: Czym on na to zasłużył?

Gdy kilka chwil potem rzuciłam wzrokiem na sąsiadkę Muni, nie mogłam przez kilka sekund odwrócić oczu od jej twarzy. Ponura, prawie żółta, o wielkich, podłużnych, czarnych oczach, wydawała się nieżywa, a przecież działała pociągająco dzięki specjalnemu wyrazowi tajemniczego smutku. Cera jej była nienaturalnie blada, tym ostrzej przeto uwydatniały się wąskie i czerwone usta. Siedziała spokojnie i obojętnie, trzymając przez cały czas ręce w hermelinowym zarękawku; była to wielka księżna Milica Mikołajewna, «Czarnogórzanka».

Gdy zajęłam miejsce, począł mnie Rasputin częstować, przysuwając do mnie po kolei cały szereg potraw. Na stole stały w wielkim nieporządku

wspaniałe torty, misy pełne owoców, kilka kawałków piernika i sterta wielkich pączków. W zasmarowanych szklankach widniały resztki marmolady, tuż obok stał szary talerz gliniany z kawałkami czarnego chleba i ogórkami. Przed Rasputinem znajdował się głęboki, kolorowy talerz pełen ugotowanych jaj oraz flaszka wina.

„No, pij, pij” — powiedział Rasputin i wysunął przed siebie talerz z jajami. Natychmiast wyciągnęły się w jego kierunku ręce wszystkich pań.

„Ojcze, proszę o jajo...”

Szczególnie silny był wyraz chorobliwego, niecierpliwego pożą-

dania w oczach ciężarnej damy. Patrzyłam na nią z podziwem, graniczącym ze strachem, gdyż to wszystko wydało mi się dziwne i niesamowite.

Rasputin pochylił się nad stołem, chwycił w garść kilka jaj, obłupał je i kładł kolejno na wyciągnięte ku niemu ręce. Po obdzieleniu wszystkich zwrócił się ku mnie i zapytał: „A ty też chcesz?”

Odmówiłam, twierdząc, że nie mam apetytu; wszystkie popatrzyły na mnie ogromnie zdziwione, po czym opuściły wzrok ku ziemi. „No, dobrze, dobrze”, powiedział szybko Rasputin i usiadł z powrotem na swym miejscu.

Po chwili podeszła doń Wyrubowa i podała mu na kawałku czarnego chleba dwa solone ogórki. Rasputin przeżegnał się i począł jeść, zagryzając na przemian chleb ogórkami. Jadł zawsze rękoma, nawet do ryb nie używał nakrycia stołowego. Poza tym miał zwyczaj, że bezpośrednio po jedzeniu, obtarłszy tylko lekko ręce o obrus, głaskał swoje sąsiadki po twarzy i rękach. Nie byłam do tego przyzwyczajona i naszło mnie uczucie wstrętu, gdy Rasputin spróbował to uczynić ze mną; odchyliłam się w tył i schowałam ręce do zarekawka.

„Tak”, powiedział Rasputin gryząc ogórki, „niedawno była u mnie, mówiliśmy wtedy wiele o wierze, ale nie potrafiłem jej przekonać...”

„O czym?” zapytałam.

„O czym?” powtórzył szybko. „Przecież ty nie chodzisz do kościoła — czy tak wolno? Powiadam ci, idź do kościoła, idź do komunii świętej! Dlaczego nie chodzisz?”

„A więc pan lubi duchownych?”

Rasputin uśmiechnął się z lekka. „Nie mogę twierdzić, abym ich specjalnie

lubił; ale i między nimi jest wiele szczerze wierzących. Bez kościoła nie przejdiesz przez życie! Z czasem każdy trafia do kościoła — rozumiesz?"

W tej chwili wmieszała się do rozmowy stara Gołowina. „To bardzo dobrze”, powiedziała życzliwie do mnie, „że panią pociąga Grzegorz Jefimowicz. On może pani dużo wytłumaczyć; proszę tylko do niego przychodzić przez jeden tydzień, a zrozumie pani od razu wszystko”.

„No, no, to nie idzie tak szybko”, odpowiedział Rasputin. „Najmniej trzy lata musi się popracować, zanim się u niej osiągnie choćby mały skutek. Twardy z niej orzech do zgryzienia! Jestem

jednak zadowolony, że przyszła do mnie. gdyż czuję, że serce jej jest pełne słodyczy, a wiem też. że to dobra i poczciwa istota ludzka, gdyż zawsze, ilekroć czuję w osobie, która mnie odwiedza, słodycz, wiem, że dobry człowiek do mnie przyszedł. A jeśli czuję w mym sercu próżnię, oznacza to wówczas, że stykam się z kimś złym. Z tobą jednak będę chętnie rozmawiał", zakończył Rasputin i popieścił moje plecy i ramiona.

„Wszystko w porządku, powiadam ci. wszystko ułoży się dobrze”.

W tej chwili ukazała się na progu pokoju Mara. córka Rasputina; miała na sobie ciemnoczerwoną suknię i takiegoż koloru wspaniałą jedwabny pasek; włosy jej były starannie ułożone w loki. Wszyscy obecni wyciągnęli ku niej ręce. witając się z nią serdecznie: „Mara, Maroczka. dzień dobry!” Po czym usiadła Matrio-na Rasputina na honorowym miejscu obok starej Gołowiny.

Zachodzące słońce rzuciło swoje odbłyśki na biel stołu. Zmrużyłam lekko oczy i powiedziałam: „Jak pięknie jest teraz na świecie!”

Rasputin pochylił się ku mnie: „Dla ciebie wyszło słońce spoza chmur, gdyż ty pragniesz dobra i dusza twoja pełna jest dobroci! A wiesz, to zawsze jest tak: słońce świeci tylko temu. kto posiada wiarę! Jeśli jego promienie padną na ziemię, to użyczają wszystkim ludziom niezwykłego uroku, jeśli zaś poczniesz szukać wiary, to natychmiast wschodzi ona jak słońce. Idź do kościoła, powiadam ci. idź”. Tą radą zakończył Rasputin swą niejasną mowę. której wszyscy słuchali w nabożnym skupieniu.

„Cz\ wszystko zależy od kościoła?” zapytałam.

Rasputin odsunął szybko stojącą przed nim szklanekę i zawołał: „A w jaki sposób dasz sobie bez kościoła radę w tym życiu? Słuchaj, co powiem, a zrozumiesz. Opowiem ci trochę o zwariowanej Oldze, o tej. która się tu

wkrótce zjawi: Olga kochała Boga. żyła zgodnie z przepisami religii, odwiedzała zawsze kościół. Ale każda ścieżka jest wąska i Olga zgubiła po pewnym czasie ślad swojej drogi, rozumiesz? Odpadła ode mnie wespół z Iliodorem, ale mi jej szczerze żal! Zobaczysz zresztą sama, jakiego ruchu ona tu narobi, ta wściekła suka! Zdaje się jej, nieszczęsnej, że wyświadcza mi wielką przysługę, rozumiesz, ze swymi szatańskimi szaleństwami! Czuję to w moim sercu: Zanim jeszcze dokończę moją szklankę herbaty, będzie tu już Olga".

|
|>>>

I rzeczywiście, jakby dla potwierdzenia jego słów rozpoczął się w przedpokoju gwałtowny hałas. Odwróciłam się w kierunku na wpół otwartych drzwi, gdzie ukazała się nieprawdopodobnie jasna, szeroka, jasnoróżowa, nadęta, kudłata odrażająca postać. Na przywitanie wrzasnęła wysokim, piskliwym głosem: „Chry-y--y-stus zmar-twych-wstał!” Rasputin zapowiedział mi w ponurym nastroju: „Ot, masz tę Olgę, przeżyjesz dziś coś niezwykłego”.

Nie mogłam z początku niczego rozróżnić i miałam tylko na wpół świadome wrażenie, jak gdyby przeleciała obok mnie biała kula z kudłatej, koźlej skóry. Nowo przybyła rzuciła się na ziemię w pobliżu krzesła Rasputina, oparła głowę o róg krzesła i wrzeszczała dalej jak opętana. Dotknięta do żywego, patrzyłam w dół i zauważyłam, jak coś pokrytego gęstą, żółtą wełną, podobnego do zwierzęcej szyi, poczęło się unosić ku górze. Pani Łochtina uniosła się nieco ku górze, podała Rasputinowi tort czekoladowy i krzyknęła głosem cichszym już i bardziej ludzkim:

„Przyniosłam ci ze sobą coś, co jest białe z zewnątrz, a czarne w środku”. Od chwili ukazania się nowego gościa Rasputin siedział ponury, ze zmarszczonym czołem i wzrokiem utkwionym w zupełnie innym kierunku. Teraz odwrócił się nagle, wziął tort, postawił go niedbale na brzegu stołu i krótko oświadczył:

„No, dobrze, uspokój się tylko, przestań, szatanie”.

Łochtina podskoczyła żwawo, wyprostowała się, objęła od tyłu głowę Rasputina i obsypała ją dzikimi pocałunkami; wykrzykiwała przy tym ciągle przyśpieszonym i urywanym głosem:

„Och, ty mój najdroższy... uosobienie błogosławieństwa... ach, piękna brodo... wspaniałe włosy... mnie, męczennicy... ty drogocenna perło...

kamieniu szlachetny... ty mój ubóstwiany... Boże mój... Ty mój najukochańszy!"

Rasputin odwrócił się od niej zrozpaczony i wyrzucił z siebie zdławionym głosem:

„Precz, szatanie! Precz, ty diable, ty wyrodku! No, dobrze, już dobrze, ach ty". — Potem nastąpił potok najordynarniejszych wyzwisk. Wreszcie oderwał jej rękę od swej szyi, rzucił ją z całych sił do pobliskiego kąta i cały czerwony, rozgniewany óo ostateczności, krzyknął:

245

„Zawsze doprowadzasz mnie aż do grzesznej wściekłości, ty przeklęta, wstrętna bestio!...”

Łochtina dowlokła się, ciężko dysząc, do kanapy i położyła się.

Gestykulując ramionami owiniętymi w pstre welony, poczęła na nowo głośno zawodzić:

„A przecież jesteś mój, a ja należałam do ciebie! Należałam do ciebie!

Och, moje życie! Moje życie należy do ciebie; teraz dopiero widzę, jakie ono piękne! Boże mój! Jestem twoja, niczyja, tylko twoja! Ktokolwiek by stanął między nami, jesteś mój, a ja twoja! Bierz sobie, ile tylko chcesz kobiet, a przecież żadna nie zrabuje mi ciebie! Mój jesteś, mój! Powiedz, powiedz, że mnie nienawidzisz! A ja mimo wszystko wiem, że mnie kochasz, ko-cha-cha-chasz!”

„Nienawidzę ciebie, ty suko!” odrzucił jej Rasputin szybko i zdecydowanie. „Przede wszystkim muszę to jeszcze raz powiedzieć, że nie kocham ciebie, lecz nienawidzę! W tobie siedzi szatan! Zabiłbym cię najchętniej, chciałbym zetrzeć twoją twarz na miazgę!”

„Ale ja jestem szczęśliwa, szczęśliwa, a ty mnie kochasz!” krzyczała Łochtina, kołysząc się wciąż na kanapie i trzepocząc pstrymi szmatkami i wstążeczkami. Z kanapy wydobywał się zgrzyt łamanych sprężyn. „Zaraz położę się znów koło ciebie”.

Nagle podbiegła znów do Rasputina, chwyciła wśród dzikich i wyuzdanych okrzyków jego głowę i poczęła jak szalona obsypywać ją pocałunkami.

„Ach, ty diable!” ryknął z wściekłością Rasputin. Znów uderzenie, znów potoczyła się Łochtina ku ścianie, szybko jednak podskoczyła w górę, wyprostowała się i krzyknęła prowokująco: „No, bij mnie tylko! Bij, bij

mnie!"

Coraz wyżej i wyżej podnosił się ton jej głosu, we wrzaskach tych leżało tyle niesamowitego szaleństwa, że wszystkimi obecnymi zawładnął nieokiełznany strach.

Potem opuściła głowę i usiłowała ucałować własną pierś w tym miejscu, w które uderzył ją Rasputin; gdy zauważyła jednak bezowocność swoich usiłowań, poskoczyła na nowo, poczęła biec naokoło pokoju i rzucać w próżnię niezliczoną ilość głośnych, zmysłowych i szalonych pocałunków. Przyciskała ręce do piersi, a potem całowała je, co wprawiało ją w stan lubieżnej ekstazy. W końcu uspokoiła się nieco, podeszła do kanapy, położyła się i nakryła welonami.

246

Teraz dopiero mogłam rozróżnić wszystkie szczegóły dziwaczego ubioru, który nadawał jej wygląd indyjskiego bóstwa. Składały się nań przede wszystkim pstre i fałdziste suknie, które nadymały się przy gwałtownych poruszeniach i upodabniały się do gigantycznych skrzydeł. Po obydwu stronach głowy rozwijały się wszere długie welony, poprzeplatane jasnymi wstążkami. Na głowie nosiła syberyjską czapkę z wilczego futra, którą podarował jej ongiś Rasputin, prócz tego miała na sobie czerwoną rubaszkę Rasputina, obwieszoną małymi woreczkami umocowanymi za pomocą rzemyków. Woreczki te zawierały również przedmioty, które należały niegdyś do Rasputina, a więc wysuszone resztki potraw, kilka par rękawiczek i inne drobne rzeczy. Na szyi Łochtiny trzepotał się szereg różnokolorowych wianuszków różanych, które szeleściły przy najdrobniejszym poruszeniu; na nogach miała stare, podarte buty, które też niegdyś należały do Rasputina. Twarz zakryta była podwójnym welonem, tak że mogłam tylko zobaczyć delikatne, bolesne i pięknie wykrojone usta. „Bo-o-że, Bo-o-że, jesteś naszym władcą i panem!” wykrzyknęła nagle wśród ogólnego milczenia.

Rasputin, który począł pić herbatę, zwrócił się ku niej: „No, na Boga, teraz to naprawdę stracę cierpliwość! Głowę ci rozbiję, ty wściekła kobyło! Zatrulaś mi serce, przeklęta! Abyś tylko zdechła, abym tylko nie musiał cię więcej oglądać!”

„Dlaczego pan tak przeklina?” spytałam oburzona; w tej chwili ściągnęłam na siebie oczy wszystkich obecnych.

Rasputin poklepał mnie po plecach i odpowiedział w swym zwykłym, przyjaźnie brzmiącym tonie: „Pomyśl, moja duszko, muszę ją przeklinać, gdyż opuściła kościół; nie dość, że sama odpadła, usiłuje jeszcze,

nieszczęsna, pociągnąć za sobą Munię!"

„Przecież pan sam powiedział przed chwilą, że należy wszystko wybaczyć”, wtrąciłam.

„Co słyszę, kto to tak mądrze mówi?” krzyknęła nagle Olga Łochtina, po czym odrzuciła w tył welon i patrzyła na mnie badawczo swymi wielkimi, ciemnoszarymi, ciągle jeszcze pięknymi oczami. „Kto to jest? Nowa? No, chodź do mnie, szybko, szybko! Na kolana, na kolana padnij, ucałuj moją rękę!” Tupiąc z niecierpliwości nogami wyciągnęła ku mnie rękę i wywijiała nią we wszystkich kierunkach.

„Nie mam najmniejszej ochoty paść w tej chwili na kolana”

odpowiedziałam. „Rękę pani chętnie pocałuję, choć nie czynię tego na pani rozkaz”.

„A więc przecież głupia” krzyknęła Łochtina. „Mądre słowa z głupiej głowy”.

„Milcz, opętany szatanie” zauważył gniewnie Rasputin. „Nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Sama jesteś głupia”.

Jeszcze raz próbowałam uspokoić ich. „Niech pan przestanie kłać” powiedziałam zniecierpliwiona.

Panie siedzące naokoło stołu milczały nadal, twarze ich jednak dziwnie poczerwieniały, oczy poczęły zachodzić mgłą, a oddech stawał się szybszy i bardziej nieregularny. Na twarzy starej Gołowiny ukazały się ciemne plamy.

Rasputin zwrócił się do mnie z zaciekawieniem: „Czemu jej tak bronisz?”

„Żal mi jej” odpowiedziałam.

„Nie chcę litości od ludzi!” krzyknęła na to Łochtina. „Jestem samotna, ale jestem przy tym silna! Krzyczę dzień w dzień to samo, ale ludzie wokoło mnie są głusi i ślepi!”

Nieoczekiwanie wmieszała się do rozmowy stara Gołowina. „Nie rozumiem”, powiedziała zwracając się do Łochtiny, „dlaczego pani rozmyślnie stara się rozgniewać Grzegorza Jefimowicza! Czy pani nie widzi, jak bardzo mu to wszystko jest przykre?”

Pani Wyrubowa powstała nagle ze swego miejsca, przystąpiła do Łochtiny. uklękła przed nią, chwyciła jej rękę i złożyła na niej pocałunek.

„A więc przyszedł do rozsądku?” powiedziała Łochtina całkiem spokojnie.

Zaraz jednak potem zaczęła znowu krzyczeć:

„Nie zapominaj o tym. że ręki mojej nie wolno dotykać. Całuj, całuj, ale

nie waż się dotknąć!" Zamilkła nagle, jak nagle rozpoczęła przedtem krzyczeć, opuściła głowę, odsunęła w bok welon i zaczęła obserwować twarze siedzących wkoło gości.

„Nie widzę mej wielbicielki! Gdzie jest, czemu nie przychodzi do mnie? Na kolana, na kolana, całuj moje ręce!"

Munia Gołowina wstała i podeszła, gdy Wyrubowa wracała na swoje miejsce, do Łochtiny. uklękła i w nabożnym skupieniu pocałowała jej rękę.

„No, czekaj tylko, poganko" zawołał Rasputin. „Czy ja nic znajdę w końcu ratunku przed tobą, ścierwo przekłete? Wy obydwie" — tu zwrócił się do Munii i do Wyrubowej — spróbowałyście

jeszcze raz upokorzyć się przed Olgą! Przysięgam na Boga, że nie wpuszczę was więcej za próg mego domu, wyrzucę za drzwi razem z tamtą, przekłętą! A na ciebie, krucze ścierwo, znajdę też w końcu jakiś bicz..."

„Bóg ko-o-cha pra-a-wdę" wrzasnęła Łochtina.

„W tobie jednak nie ma prawdy, ty wyrzutku z piekła!" mruknął Rasputin.

Munia wróciła na miejsce ze łzami w oczach i silnie zarumienionymi policzkami.

„Ja ci jeszcze pokażę, ty brudny głuptasie" zagroził jej powtórnie Rasputin.

Stara Gołowina, której cała twarz pokrywała się z wolna czerwonymi plamami, zapytała nieśmiało:

„Grzegorz Jefimowiczu, czemu tak złorzeczysz Maruszcze?"

„A dlaczego twoja córka jest mi nieposłuszna, dlaczego popełniła grzech?

Całuje Olgę po rękach i słucha jej, nieszczęsnej, we wszystkim; poza tym zapowiedziałem jej wyraźnie, by nie odważyła się dać czegokolwiek

Oldze! Ja tej szalonej niczego nie dam!"

„Więc mam tu siedzieć głodna?" krzyknęła Łochtina. Nagle uspokoiła się i ciągnęła dalej swoim spokojnym, prawie zrównoważonym głosem:

„Więc znów dziś nie będę jadła? Wczoraj głodowałam przez cały dzień; dziś oddałam resztę pieniędzy szoferowi za piękną i szybką jazdę.

Obawiałam się, że się spóźnię, a i tak przybyłam ostatnia, choć z całej duszy pragnęłam przywitać cię jako pierwsza. A teraz nie mam nic. Dzisiaj jest dzień pojednania, przychodzi się i prosi przyjaciół o przebaczenie — otrzymuje się podarunki, lecz ja nie mam nic. Jestem głodna, dwa dni nie jadłam, tak bym chętnie teraz coś zjadła..." Ton jej słów stawał się

coraz bardziej żalosny.

„Dobrze ci tak, ścierwo" powiedział Rasputin nie wzruszając się wcale jej słowami.

Munia powstała, nalała pełny talerz zupy z misy stojącej przed Rasputinem i podała go Łochtynie.

„Munia, będziesz posłuszna czy nie? Zabraniam ci dać jej cokolwiek" krzyknął Rasputin i dodał jeszcze do tego krótkie, lecz bardzo soczyste przekleństwo. Munia nie zważała nań jednak wcale, przysunęła okrągły stoliczek do kanapy i postawiła na nim talerz z zupą.

„Co to jest?" zapytała Łochtina, wskazując na koszyczek z hia-

cyntami stojący na oknie. „Tam stały zwykle moje kwiaty, tam leżały moje jabłka i pomarańcze, stała moja waza, wszystko zjedli, wszystko wyrzucili! Podli!”

Munia ujęła milcząco kosz hiacyntów, zdjęła go z okna i przeniosła z trudem do najodleglejszego kąta pokoju. Wątle plecy uginały się prawie pod ciężarem. Rasputin zwrócił się ku niej:

„No, no, co tu jeszcze będzie, gdy ta przekłeta suka odbierze mi na zawsze Munię? Boże kochany, gdyby tak ktoś zechciał wydalić tę wstrętną osobkę poza obręb naszego miasta! Z wdzięczności za to padłbym do jego stóp!”

Twarz starej Gołowiny pokryła się smutkiem. „Maruszka, co ty wyprawiasz, czemu wciąż gniewasz Grzegorza Jefimowicza.”

„Ależ mam, zostaw to, nie mów o tym więcej” cichuteńko zaszepiała w odpowiedzi Munia.

„Jesteś przecież wszechwładny i możesz zrobić, co tylko zechcesz” zawołała Łochtina z wściekłością. A potem krzyczała coraz głośniejszym i z potęgującym się zwątpieniem w głosie: „Weź szybko pióro i papier, napisz kilka słów, a raz, dwa, wylecę z miasta, wylecę, fiut, fiut! Chwyć mnie, wyrzucą i będę cierpiała dla ciebie katusze! Bicie, łańcuchy, kajdany, więzienie, roboty karne, wszystko zniosę dla ciebie! Ale później wrócę do ciebie, tylko do ciebie, pod twój dach, gdyż jesteś mój, gdyż kochasz mnie, najdroższy kochanku, mój brodaczu, bóstwo moje, moje wszystko! Pisz tylko, napisz!”

„A potem wszyscy powiedzą, że wygoniłem cię z miasta i żeś zwariowała przeze mnie. Nie chcę tego” powiedział ponuro Rasputin. „Dosyć już kłopotów sprawiły mi kobiety przez ciebie, ty suko! Co ja mam w końcu począć z taką szaloną babą? Czuję już od dawna wstręt do twojej osoby,

szkarado!"

„Bóg nie daruje nikomu zdrady, nigdy! Radujcie się jego zmartwychwstaniem!" Łochtina wrzasnęła znów jak oczarowana, skoczyła na skrzypiącą kanapę i poruszała ramionami w dół i w górę. Miało się w tej chwili wrażenie, że to wielki ptak porusza skrzydłami.

Melancholijna dama w szarej sukni powstała, przeszła powoli obok Łochtiny, wzięła szklanekę herbaty ze stoliczka stojącego w pobliżu okna i wróciła tą samą drogą na swoje miejsce.

Łochtina wyprostowała się na kanapie, zdarła zasłony z twarzy i krzyknęła do Rasputina jak oszalała:

250

„Zabierz mnie stąd, bij mnie! Przeklinaj, ile tylko zechcesz, pluj na mnie! Ale nie pozwól, aby mnie znieważały! Nie wolno im przechodzić obok twojej świętej siostry! Gdy ja jestem u ciebie, one muszą przysłuchiwać się i milczeć! A teraz chcę położyć się obok ciebie i zaraz to zrobię...”

„Spróbuj tylko, suko” odpowiedział jej groźnie Rasputin, po czym wstał i przybrał obronną postawę. „Jeden ruch z twojej strony, a rzucę cię o ścianę, tak że potem własnej rodziny nie poznasz!”

„Nie pojmuję, dlaczego pani rozmyślnie usiłuje doprowadzić do wściekłości naszego Grzegorza Jefimowicza” — wtrąciła znowu pani Gołowina.

W tej chwili rozległ się dzwonek telefonu, Rasputin podszedł do aparatu i rozpoczął zupełnie naturalnie i spokojnie mówić:

„No, tak, mam gości u siebie, pijemy właśnie herbatę. Przyjdiesz jutro?”

W tym duchu rozmawiał przez kilka minut z jakąś nieznaną zwolenniczką.

Potem usiadł, szybciej aniżeli zwykle, na swoim miejscu, wziął w rękę drewnianą łyżkę i począł jeść zupę ze stojącej obok misy; kilka pań poszło za jego przykładem. Dunia przyniosła olbrzymi rondel i postawiła na małym stoliku obok ściany.

„Jedź z nami” zwrócił się do mnie Rasputin, odmówiłam jednak grzecznie.

„No, dobrze, powiedz mi” ciągnął dalej obcierając ręką wąsy, „uważasz więc, że nie należy nikogo przeklinać?”

„Naturalnie, że nie” odpowiedziałam.

„No, dobrze, zgoda, ale jak mogę nie przeklinać Olgi, skoro się tak zachowuje? Cóż mam robić, skoro ona właśnie jest przyczyną, dla której

wszyscy zaczynają nazywać mnie Chrystusem?"

„Nie Chrystusem, lecz Bogiem!" krzyknęła Łochtina. „Ty jesteś żyjącym Bogiem Zebaoth, żyjącym Bogiem!"

„No, widzisz przecież, zadawajże się z szaloną!" jęknął Rasputin.

„Zapytaj się pan jej" powiedziałam „dla jakiej przyczyny uważa pana za Boga".

Rasputin wykonał pogardliwy ruch ręką. „Moja duszko, pytam ją o to od dawna! Jeśli masz ochotę, zapytaj sama! Natychmiast odpowie, że dla moich dobrych uczynków!"

„Cz\ to wystarczy, by móc nazywać Bogiem kogoś, kto wyświadcza ludziom dobro?" zapytałam.

„Spróbuj sama przemówić do rozsądku tej wariatki!", powiedział szybko Rasputin. „Czy można w ogóle z nią mówić? Wytłumaczyłbym jej chętnie wszystko, ale to daremny trud".

„I cóż panu powiedziała?"

Rasputin machnął ręką z rezygnacją. ..Pytałem jej: Czy Bóg zwykł sypiać z kobietą? Czy Bóg posiada dzieci? Ona jednak powtarza wciąż to samo: Nie próbuj nawet zaprzeczać, niczego nie potrafisz przede mną ukryć, gdyż wiem, że jesteś Bogiem Ze-baath!"

„Ży-ją-ą-cy Bó-ó-óg. chwała Ci na wysokościach" — zanuciła Łochtina.

„Wy wszyscy siedzicie w Sodomie i nie widzicie niczego! Ja jedna, samotna, wołam wciąż w pocie mego czoła, wy jednak macie serca z kamienia i nie chcecie niczego słyszeć!"

„Och, cóż mam w końcu zrobić z tą maskarą?" Rasputin powstał, równocześnie jednak wyciągnęły się ku niemu ręce wszystkich prawie pań.

„Ojczy, uspokój się!"

Znów dał się słyszeć dzwonek telefonu; Rasputin podszedł do aparatu. Służąca Dunia weszła do pokoju, uprzątnęła talerze i zwróciła się do młodej Gołowiny: „Munia, zanieś naczynia do kuchni!"

Munia porwała się szybko z miejsca, aby wypełnić polecenie służącej.

„Cóż to za opryskliwy sposób odnoszenia się do ludzi?" denerwowała się stara Gołowina. „Mogłaby pani przecież nazywać moją córkę, jak to jest ogólnie w zwyczaju, imieniem własnym i imieniem ojcowskim!"

„Ależ mam, zostaw, po cóż to wszystko..." szepnęła cichuteńko Munja po

powrocie z kuchni.

„Bóg miłuję pracę" obwieściła Łochtina.

„No tak, nic specjalnego, mam gości — pijemy właśnie herbatę..."

dźwięczało do telefonu.

Łochtina uspokoiła się nagle, zsunęła się cichutko z kanapy i udała się do sypialni: Rasputin, który właśnie odszedł od aparatu telefonicznego, dał Muni ręką znak, by poszła za nią. Szybkimi, kocimi ruchami prześliznęła się Munia poza plecami pań siedzących na kanapie i postępowała ostrożnie za Łochtina. Ta przy-

Uaneła nagle przed drzwiami sypialni, odwróciła się i zapytała srogardliwie Munię:

„Co, chcesz uważać na mnie?”

Powiedziała to tak władczo i tak dumnie, że można było w tej chwili zupełnie zapomnieć o jej błazeńskim stroju i dotychczasowym zachowaniu się. Nawet Rasputin zmieszał się nieco, inaczej też brzmiał teraz, jego głos:

„Nie posłałem jej za tobą, lecz dla uporządkowania moich koszul”.

„Nie interesują mnie nowe rzeczy” rzuciła wzgardliwie Łochtina. „Chcę mieć twoją koszulę, twoją! Zedrę ci ją z ciała! Jeśli zechcę, wezmę ją, a ty mi ją dasz! Ale tam muszę mimo wszystko wejść!”

Wpadła po tych słowach do sypialni, za nią zaś smyknęła drobnymi krokami Maria, podobna do skaczącego zwierzątka. Rasputin dopadł biegiem drzwi, wyszedł i zamknął za sobą gwałtownie.

Zaraz potem powstał za drzwiami straszliwy hałas; coś upadło na ziemię i rozbiło się; po chwili nastąpiły uderzenia w coś miękkiego; wszystkie te odgłosy zagłuszyło nieludzkie wycie i okrzyki. Wrzaski stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, w końcu trzasnął ktoś drzwiami, w przedpokoju rozległy się ociężałe kroki i Łochtina wpadła do jadalni, cała rozwichrzona, z podartym welonem. Wykrzykiwała coś niezrozumiałego i wymachiwała konwulsyjnie rękami.

Równocześnie wrócił też z sypialni Rasputin, czerwony, skąpany w pocie, zdyszany. Obok niego smyknęła Maria jak rybka; trzymała coś w ręce, przecisnęła się poza plecami siedzących pań i siadła, szybko oddychając, obok matki. Łochtina, spostrzegłszy ją, podbiegła do stołu, zatrzymała się jednak nagle w połowie drogi i zagroziła jej obiema rękami.

„Świństwo!" krzyknęła, wpadając z każdym słowem w większą wściekłość. „Błoto! Świństwo! Ścierwo! Gdybyś go naprawdę kochała, musiałabyś wiedzieć, że taki państwowy gnój nie nadaje się wcale dla niego, że potrzebny dlań jest jedynie bezcenny, oryginalny zegar wysadzany rubinami, brylantami, szmaragdami i bursztynem! Taki, jaki widziałam niedawno na Newskim Prospekcie! Tylko taki należy się mu! Ten jednak dawaj tu! Dawaj! Muszę go zetrzeć w moździerz, zetrzeć na proch i wyrzucić na gnój. na popiół! Och. nie kochasz go, nędznico i kłócisz się wciąż ze mną!"

Maria podała sąsiadce drobny przedmiot, który natychmiast począł wędrować z ręki do ręki. Był to złoty zegarek Rasputina z orłem, podarunek cara. Przez kilka minut nie słyhać było w pokoju nic prócz wrzasków, wycia, złorzeczeń i ordynarnych wyzwisk. Głosy Rasputiny i Łochtiny zlewały się chwilami w jedno, chwilami zaś goniły się wzajemnie tak, że nie można było nic zrozumieć; reszta pań natychmiast siedziała nadal przy stole spokojnie i cicho. Tylko twarze stawały się bledsze, u niektórych zaś bardziej czerwone aniżeli zwykle.

Pierwsza ustąpiła Łochtina, cofnęła się bowiem przed napierającym na nią Rasputinem, podbiegła do kanapy, rzuciła się na nią i zupełnie wyczerpana, zamilkła. Rasputin usiadł, ciężko dysząc, na swoim miejscu i począł obcierać rękawami jasnoniebieskiej koszuli pot, ściekający z twarzy. Przez kilka sekund trwało teraz głębokie, ogólne milczenie, aż wreszcie stara Gołowina powiedziała drżącym ze wzruszenia głosem do Łochtiny:

„Pani przecież nie ma sumienia. Jeśli pani tu nie ma, siedzimy spokojnie i przysłuchujemy się słowom Grzegorza Jefimowicza; ilekroć jednak zjawia się tu pani, panuje w tym domu kłótnia i rozlegają się okropne wrzaski, a wszystko to przez panią. Nie możemy nawet usłyszeć głosu Grzegorza Jefimowicza”.

„A kto z was uczynił dlań cośkolwiek?” krzyknęła rozgniewana Łochtina.

„Kto z was głosi jego chwałę? Kto kocha go więcej ode mnie? Kto odda w potrzebie zań życie?” Znów zaczęła całować końce palców, rzucać Rasputinowi całusy i szeptać zwariowane, wyuzdane i ledwo zrozumiałe słowa pieszczoty i miłostnego wyznania.

Munia Gołowina przyniosła misę pełną pieczonych ryb i podeszła do

Łochtiny, aby ją pierwszą uraczyć. Ta uspokoiła się nagle, wzięła kawałek ryby i powiedziała w ostrym tonie do Muni:

„Wiesz sama, żeś zawiniła, Munia! Proś o przebaczenie!”

Munia, z nieśmiałym uśmiechem na ustach, postawiła natychmiast misę na stole, podeszła po raz wtóry do Łochtiny, uklękła przed nią, pocałowała podaną jej dłoń i pochyliła się aż do ziemi.

„Ach, Maruszka” szepnęła stara Gołowina, zmieszana, „co ty robisz?

Czemu drażnisz Grzegorza Jefimowicza!”

Munia zbladła nieco, potrząsnęła małą główką i odszepnęła łagodnie, jak zwykle: „Mamo, zostaw, nie mówmy o tym więcej...”

Rasputin milczał... Munia zaś rozdawała w dalszym ciągu ryby. Łochtina zasłoniła twarz i zwróciła głowę w prawo, jak gdyby obserwowała coś na kanapie; w końcu wykrzyknęła z triumfalnym śmiechem: „Ach, teraz jest już wszystko zrozumiałe! Patrzcie, tam siedzi ta biała, ot tak sobie, cichutko, ona to ukradła pod opiekuńczymi skrzydłami swego wszechmądrego męża...”

Młody mężczyzna w zakiecie poczerwieniał silnie i przerwał jej ostro:

„Proszę panią usilnie zostawić łaskawie moją żonę w spokoju”.

„Milcz, nieszczęsny!” krzyknęła Łochtina, a w głosie jej brzmiała groźba.

„Jak śmiesz mówić do mnie takim tonem?”

Znowu zauważyła stara Gołowina: „To przecież sama pani przeszkadza nam i nie pozwala spokojnie wysłuchać słów naszego Grzegorza!”

Łochtina nie odpowiedziała jej wcale, gdyż w tej chwili z niewyjaśnionej przyczyny przewrócił się obok ściany mały stolik, na którym stał pełny rondel zupy. Spowodowało to duże zamieszanie, wszyscy drgnęli, a szczególnie silnie drżała na całym ciele pani będąca w odmiennym stanie. Błada jak śmierć, patrzyła zmieszana wokoło siebie.

Maria pobiegła po służącą, wszyscy inni jednak pozostali na miejscu, gdy wylana zupa rybna płynęła szybko po posadzce wąskim i żółtym strumykiem. Łochtina podniosła się cicho, podeszła na palcach do Rasputina, chwyciła jego głowę i poczęła obsypywać ją dzikimi pocałunkami. Krzyczała przy tym nieustannie: „A jednak leżałam obok ciebie, leżałam obok ciebie...” Odtrącona, za chwilę wracała i stawała za nim w ten sposób, że nie mogły jej dosięgnąć jego pięści. Poprosiła go w końcu o szklankę wina.

„Nic nie dostaniesz” oświadczył Rasputin krótko i energicznie. „Obym się

już raz wreszcie pozbył tej szalonej! Czemu nie idziesz do tego psa, Iliodora! Wystąpiliście przecież razem z kościoła! Niechaj oślepnę, jeśli rozumiem choć część z tego, co wy poczynacie! Iliodor odgrodził się od kościoła i uważa mnie za największego łotra, nicponia, rozpustnika i uwodziciela. Olga zaś, która poszła za nim, widzi we mnie Boga Zebaoth. Choćbyście mnie nawet zabili, to i tak nic z tego nie pojme".

„Czyż Iliodor ciebie nie miłuje?" krzyknęła w odpowiedzi Łoch-

tina. „Miłuje cię. kocha, och jak bardzo kocha... Dla mnie jednak jesteś Bogiem, wybawieniem moim i całym światem!"

Rasputin skinął ręką. Dunia podeszła doń i szepnęła coś do ucha, przy czym wskazała oczyma na sypialnię. Rasputin powstał szybko i poszedł przez przedpokój do sypialni; równocześnie Ło-chtina rzuciła się do stołu tak szybko, jak tylko pozwoliły na to jej olbrzymie buty, chwyciła kielich, z którego pił Rasputin, napełniła go winem, wstąpiła na kanapę i wyciągnęła ramiona przed siebie. Przez kilka sekund trwała w ten sposób, z opuszczoną głową, obrócona ku przodowi pokoju, podobna do kapłanki odprawiającej misterie. W pokoju zapanowała nieprzyjemna, głucha, pełna dusznego napięcia cisza. Wreszcie Ło-htina poruszyła się, zbliżyła kielich do warg, wypiła powoli wino i padła wyczerpana na kanapę. Przez dłuższy czas pozostała już teraz w pozycji leżącej, z rozpostartymi ramionami i zakrytą twarzą. Stara Gołowina westchnęła głośno, i powiedziała, zwracając się do Muni:

„Ach, Muniu, po coś mnie tu dzisiaj przyprowadziła? Wyjdę stąd znowu chora" — a zwracając się zaś do mnie: — „gdyby pani wiedziała, co się tu działo wczoraj! Musiałam zażyć kropli wiśniowo-wawrzynowych, dzisiaj jeszcze drzę na całym ciele. Na widok takich rzeczy nie mogę pozostać obojętna!"

„Mamo. przestańże!" szepnęła Munia ze smutkiem.

„Dlaczego Olga Władimirowna zachowuje się tak niesamowicie?" zapytałam.

Zmrużone oczy Muni patrzyły w dal, w nie określonym bliżej kierunku; z wyrazem nabożnego podziwu odpowiedziała cicho i radośnie: „Musi się ją tylko zrozumieć!"

„Ależ nie” odparła szybko stara Gołowina, „już dawno zrezygnowałam z tego”. Wskazała przy tym na jasnoczerwone plamy na swych policzkach i dodała z pewną domieszką goryczy: „Widzi pani, jak ja wyglądam! Nie chcę uchodzić za lepszą, aniżeli w rzeczywistości jestem, nie udaję też lepszej, ale to wszystko denerwuje mnie niesłychanie! Znam Grzegorza Jefimowicza od czterech lat i kocham go bez granic. Kocham też Olgę, ale zachowanie jej jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe i nie mogę też pochwalić jej sposobu postępowania”.

„Jeśli ja milczę, będą mówić kamienie!” krzyknęła Łochtina, która przyszła nagle do siebie i klasnęła w ręce. Następnie zeszła z kanapy, podeszła cichaczem do drzwi sypialnego pokoju, skąd

dochodził surowy i mrukliwy głos Rasputina, przeplatany kobiecym śmiechem. Pochyliła się naprzód i przycisnęła chciwie twarz do szpary skrzypiących drzwi.

„Nie wchodzić, nie wchodzić!” zawołał gniewnie Rasputin i zagroził jej drogę od środka.

Łochtina zaśmiała się dziko i zawołała: „Weź sobie jeszcze więcej kobiet, jeszcze więcej! Bierz je, chowaj pod łóżko, pod poduszki! Należysz mimo wszystko do mnie i nie odstąpię cię niko-nu, nikomu! Sypiaj z całym światem, ale jesteś mój, mój! 1’

Uciekła od drzwi, zakręciła się w kółko na jednym i tym samym miejscu, upadła wreszcie na kanapę, zataczając się i nucąc jakąś niewyraźną melodię.

Przy stole powstało lekkie zamieszanie. Odwróciłam się i ujrzałam, jak pani Pistol Kors powstała z wolna, wyciągnęła przed siebie ręce i skierowała się, jak gdyby pogrążona w śnie somnambulicznym, ku kanapie; oczy jej, szeroko rozwarte, patrzyły nieruchomo na Łochtinę, wysuszone zaś wargi wykrzywiły się spazmatycznie. Nie doszła jednak do kanapy; pan Pistol Kors podskoczył szybko, dogonił ją w kilku krokach, chwycił za ramię i wyprowadził siłą do przedpokoju mimo jej gwałtownego oporu. Rozmowa, która toczyła się w tej chwili dosyć swobodnie, urwała się i znów zaległo głucho milczenie.

Odtąd nie mogłam już nic obiektywnie zaobserwować. Zachowanie się pani Pistol Kors było tylko zewnętrznym wyrazem przeświadczenia, które zgodnie opanowało wszystkich obecnych, a mianowicie, że należy teraz albo w ogóle odejść, albo też krzyczeć, rzucać się w podrygach i rozbijać wszystko, co wpadnie pod rękę. Pierwsza podniosła się Wyrubowa i

wyszła do sypialni, za jej przykładem poszły wielka księżna Mikołajewna i jej młoda towarzyszka, które skierowały się do drzwi przedpokoju; nagle wypadła z sypialni Maria Gołowina i rzuciła się na szyję wielkiej księżnej, Gdy ta pochyliła się nieco, Maria obsypała pocałunkami jej szyję, włosy, usta i oczy; w końcu uścisnęła ją i pociągnęła za sobą. Oczekiwałam z niecierpliwością powrotu Rasputina, gdyż chciałam pożegnać się i odejść. Gdy wreszcie Rasputin wypadł z przedpokoju, podeszłam do niego, pożegnałam skinieniem głowy pozostałe panie i powiedziałam:

„Odchodzę, Grzegorzu Jefimowiczu, do widzenia!”

Podszedł do mnie szybko, objął mnie za plecy, popatrzył głę-

boko w oczy i powiedział ze smutkiem: „Odchodzisz już, duszko! No, a kiedy przyjdiesz jeszcze do mnie? Polubiłem cię bardzo”.

Na moją uwagę, że może przecież do mnie zadzwonić, usłyszałam donośny i dziki śmiech. To Łochtina śmiała się spazmatycznie i krzyczała jak wściekła: „Tego musiałam dożyć! On, Bóg Ze-baath, wzywa panienki do telefonu!”

„Dosyć już teraz tego” powiedziałam i wyszłam, prawie biegiem do przedpokoju. Rasputin pośpieszył za mną, objął mnie, przycisnął silnie do siebie i spytał zaniepokojony: „Powiedz, widziałas tu u mnie samo zło, czy też spostrzegłaś również oznaki dobrego?”

„Nie wiem” odpowiedziałam, usiłując wydostać się z jego uścisków.

Rasputin nie puszczał jednak i szeptał wciąż do ucha: „Wrócisz do mnie czy nie? Wrócisz?”

Z sypialni wyszły Wyrubowa i wielka księżna, zupełnie ubrane i gotowe do wyjścia. Podeszły do Rasputina i nastawiły twarze do pocałunku.

„Ojczy, do widzenia!”

„No, bywajcie, bywajcie zdrowe” powiedział Rasputin, uczynił nad nimi znak krzyża i w końcu pocałował je.

Wyrubowa ujęła jego rękę, przycisnęła z lekkim westchnieniem do swej rozpłomienionej twarzy i ucałowała z bezgranicznym oddaniem. Oczy jej błyszczały nienaturalnym blaskiem, a całe ciało drżało jak młoda osika”.

*

Wykorzystałam chwilę ogólnej nieuwagi i wysliznęłam się przez kuchnię do sieni w oficynie. Szłam powolnym krokiem, zatopiona całkowicie w myślach i silnie podniecona tym wszystkim, co dzisiaj widziałam. W takim stanie przebyłam całą, prawie ciemną klatkę schodową. Nagle

poczułam, jak ktoś dotknął się delikatnie mego futra i usłyszałam cichy, kobiecy głos: „Czy pani wraca od niego?”

Zdumiona zwróciłam się w kierunku, skąd dochodził głos, i ujrzałam w mrocznym półcieniu drobną, skuloną postać kobiecą, siedzącą na schodach. Nieznajoma wyciągnęła rękę ku mnie i chwyciła się kurczowo mej sukni.

„Po cóż pani chodzi do niego?” zapytała bezsilnym, smutnym i unizonym głosem.

„Sama nie wiem" odpowiedziałam wymijająco. Nieznajoma wstała i podeszła całkiem blisko mnie.

„Pani nie należy do jego stałego orszaku, wiem to na pewno!" szeptała przekonywająco, próbując równocześnie odczytać wyraz jej twarzy. Jej drobna, zimna ręka wcisnęła się do mego zarękawka i uchwyciła końce moich palców.

„Na litość boską, proszę mnie wysłuchać! Tracę zmysły, gdy nie mam sposobności pomówienia z kimkolwiek!" Nieznajoma Dociągnęła mnie za sobą w dół schodów, przeszliśmy obok mieszkania dozorczy i znalazłyśmy się na ulicy. Po przejściu jakiegoś pasażu i nie znanej mi, całkiem pustej uliczki, weszliśmy do niskiej bramy i w końcu stanęliśmy przed obitymi woskowym płótnem drzwiami.

Nieznajoma zapukała gwałtownie; drzwi otworzyły się ukazała się w nich młoda dziewczyna w jasnej sukni, która powiedziała coś po polsku. Pozwoliłam się zupełnie biernie zaprowadzić do pokoju, w którym unosił się zapach ziemi, zwiędłych liści, mchu kwiatu pomarańczowego.

Znajdowałyśmy się najwidoczniej na tylnej części sklepu z kwiatami, gdyż naokoło stały wiadra z na wpół zwiędłymi różami alpejskimi, po kątach zaś leżały kawałki kolorowej bibułki, kupki mchu i koszyczki kwitnących hiacyntów.

„Muszę pani wszystko opowiedzieć" szepnęła nieznajoma, siadając na skrzyni i pociągając mnie za sobą. „Proszę mnie wysłuchać, na litość boską! Pani jest taka młoda, taka szczęśliwa, Proszę mnie wysłuchać..." Poprawiła upięcie welonu. W milczeniu odwróciła się, nabrała głębszego oddechu i zapytała porywczo:

„Pani jest tu obca?”

„Tak, nie mieszkam w Petersburgu”.

„I ja przybyłam z zewnątrz, a teraz nie wiem, co się ze mną stanie i co mam począć w tym życiu! Dlaczego posłała mnie do niego? Jak mogłam jej, tylko jej wierzyć? Nie jestem już przecież młodą panienką, mam trzydzieści dwa lata! Dlaczegoż uwierzyłam jej, że on wszystko wie, że odgadnie moją tajemnicę, że moje smutki i cierpienia skończą się po rozmowie z nim!”

Pochyliła się i zapytała szeptem: „Czy posłał panią do komunii świętej?”

Przytaknęłam.

„I poszła pani?”

259

..Nie".

Nieznajoma wiła się jakby z bólu i męki. ..Widzi pani, pani postąpiła mądrze! A ja? Zawsze byłam wierząca, wierzyłam w Boga i Chrystusa! Czemuż szukałam u niego wybawienia?"

Pochylona silnie w przód, szeptała głucho: „Czy powiedział pani również, byś poszła do komunii świętej i wróciła doń potem, wolna od wszelkiego grzechu po zżyciu chleba i Ciała Pańskiego? Uczyniłam to i odwiedziłam go wieczorem, tak jak mi polecił; Chrystus nie ochronił mnie jednak, zapewne dla tej przyczyny, iż szukałam Go na fałszywej drodze!"

Zamilkła, oddychając z trudem. Krople wody uderzały gdzieś cichutko, w regularnych odstępach o ziemię, za nicpokaźnymi liśćmi zimowej, smutnej palmy płonęło światło małej i ponurej lampki; w pokojach pachniało jak w grobie: ziemią i hiacyntami...

..Nie. nie. muszę pani wszystko opowiedzieć. Poszłam do niego z ciekawości, ze zwykłej i ordynarnej ciekawości, do tego z Ciałem Pana w sobie! A on mrugał do mnie bezwstydnie, jakby chciał pytać, czy wiem, czego chce ode mnie. Oczekiwał mnie sam, w świątecznym ubraniu, chwycił mnie. zaciągnął do sypialni i zdarł ze mnie po drodze suknie. Jego gorący oddech palił mi kark. Zna pani kąt sypialnego pokoju koło okna, w którym wiszą święte obrazy? Tam zmusił mnie do ukłęknięcia i szepnął do ucha: «Módlmy się!» Sam stanął za mną i pokłonił się przed świętym obrazem:

«Święty Szymonie z Wierchoturii, zlituj się nad nami, grzesz-nymi!»

Potem zapytał, zgrzytając zębami: «Byłaś u komunii świętej, tak, jak poleciłem?" Za chwilę opanowała go dzika, zwierzęca żądza... A ja nie zabiłam go wtedy, nie naplułam mu w twarz! Przypominam sobie jeszcze,

jak zdierał ze mnie bieliznę; potem straciłam przytomność...

Obudziłam się i zauważyłam, że leżę na ziemi, obszarpana i splugawiona. Rasputin stał nade mną, bezwstydnie obnażony. Skoro zobaczył, że otwieram oczy, rzucił ze znanym zapewne pani uśmiechem słowo, którego nie mogę niestety powtórzyć. Pochylił się nade mną, podniósł mnie i zaniósł na łóżko. Nie zaśnij tylko na Chrystusa! W takiej chwili odważył się wymienić Jego imię. Nie wiem, jak się to stało, ale zaczęłam wówczas krzyczeć, wyć i bić rękami powietrze.

260

Ktoś nadbiegł; ubrano mnie pośpiesznie, zepchnięto ze schodów i usadowiono w dorożce. Woźnica jechał przez dłuższy czas na wprost siebie i w końcu zapytał, dokąd mnie ma zawieźć; nie wiedziałam, zapomniałam o wszystkim. Stanęliśmy koło latarni. Jakiś oficer przeszedł, powiedział kilka słów, usiadł w dorożce obok mnie i kazał jechać dalej. Poza tym nic więcej nie pamiętam...

Obudziłam się dopiero na drugi dzień wieczorem w obcym łóżku. Gospodarz mój nie tknął mnie nawet, uraczył herbatą, przygotował kąpiel. A teraz wędruję z miejsca na miejsce i myślę: Dokąd pójść teraz? Co będzie ze mną? Wierzyłam przecież dotąd w Chrystusa, czy wierzę jeszcze nadal? Nie wiem i przychodzę codziennie do domu Rasputina, by go zapytać, w jakim celu mnie tak skrzywdził! Dlaczego pokalał i zniszczył we mnie to, co było najświętsze? Ciało Pańskie przyjąłam, zanim udałam się do niego! A teraz nie wiem, co mam począć, nie mogę stąd wyjechać i błądzą tak dzień w dzień po ulicach miasta..."

Na tym zakończyła nieznajoma swoje opowiadanie: próbowałam ją w miarę moich sił pocieszyć i uspokoić, co mi się też w końcu do pewnego stopnia udało. Potem pożegnałam ją i poszłam do domu, przejęta do głębi wszystkim, co widziałam i słyszałam owego wieczoru.

Na drugi dzień wyjechałam z Petersburga na dłuższy czas i wróciłam do miejsc rodzinnych; z Rasputinem spotkałam się dopiero dwa lata później..."

Tańczący starzec

Nic na świecie nie dawało Rasputinowi takiej sumy szczęścia jak taniec. Taniec był dlań elementarną potrzebą, tu bowiem wyrażał się najlepiej pęd prymitywnego człowieka do miarowego i rytmicznego ruchu oraz naiwna radość z muzyki i rytmu. U tego prostego syberyjskiego chłopca taniec był najdoskonalszym wyrazem żywotnego istnienia, tak ważnym jak oddychanie, jedzenie, picie albo jakakolwiek inna elementarna funkcja życia ludzkiego. Ruchami tanecznymi wypowiadał muzyk najsilniej to wszystko, czego nie mógł opisać jego ubogi i skąpy język, uwalniał się najlepiej od napływu nieokreślonych wzruszeń, uczuć i przeczuć, wobec których słowo było bezsilne. W przelotnych liniach, kreślonych w przestrzeni poruszającymi się ramionami i nogami tańczącego, przewijała się niepojęta tęsknota za nieskończonością, odwieczny smutek, ale też i krzykliwa i prastara radość z istnienia.

W pewnych korzystnych okolicznościach dokonuje się w duszy doprowadzonego do ekstazy tancerza następujący mistyczny akt: poprzez powolne, rytmiczne kołysanie się wraca człowiek do swego źródła, do łona wszelkiego istnienia, wierzy, że zlewa się na nowo z wszechbytem. Potężne siły kosmiczne zdają się spływać na tańczącego, który w namiętnym wirowaniu czuje się powiązany z krążącymi we wszechświecie gwiazdami; w tańcu wyczuwa znaczenie nieodgadnionych praw życia i śmierci, rozwoju i upadku, przyciągania i odpychania.

Wśród lotnych kroków tańca milknie dumny, zadowolony z siebie i sprzeczący się wciąż z naturą rozsądek, a ciało ludzkie

odczuwa odwieczny rytm świata i oddaje pokorny hołd Stwórcy razem z roślinami i zwierzętami.

Wśród rosyjskich chłopów taniec nie przeistoczył się jeszcze w formę towarzyskiej zabawy, pozostał raczej nadal rodzajem pry-mitywnej czynności religijnej, upodabniając się w pewnej mierze do nabożnej modlitwy.

Jeśli dusza syberyjskiego chłopca jest pełna uczuć jakiegokolwiek rodzaju, zaczyna on albo odmawiać modlitwę, albo też tań-czyć, nie potrzeba dlań ani specjalnej pory, ani też specjalnych okoliczności, by wpaść w jedną lub drugą formę religijnej ekstazy.

I pieśni, przy rytmie których tańczy, są też często kościelnego pochodzenia; również melancholijne i dziecinnie radosne pieśni ludowe mają w sobie coś nabożnego i uroczystego. Gdyż jak pieśni Słowian są często śpiewaną modlitwą, tak i taniec rosyjskich chłopów jest nierzadko przejawem kornej pobożności.

Gdy Rasputin w dalekiej syberyjskiej wiosce, w trakcie głębowego kazania o wybawieniu człowieka od grzechu nagle podskakiwał i rozpoczynał przytupywać o podłogę i tańczyć, nie widzieli w tym jego gorący zwolennicy niczego gorszącego, tym bar-dziej zaś ubliżającego jego godności: „tańczący starzec”, prorok, który prawił kazania, a potem, gdy nie starczyły słowa, przedłu-żał kazanie tańcem, był dla syberyjskiego sekciarza zjawiskiem zu-pełnie naturalnym i zrozumiałym, podobnie jak zrozumiały jest spontaniczny okrzyk radości przy wesołej wiadomości lub okrzyk bólu przy niespodziewanym smutku. Radosne okrzyki, żalosne skargi, żywiołowe wrzaski i taniec były doskonałymi środkami wy-rażania się dla człowieka, opanowanego nadmiarem uczucia.

W syberyjskich izbach, w chałupach chłopskich, gdzie siedzieli obok siebie naokoło długiego stołu na nie heblowanych ławach mężczyźni i kobiety, staruszki i młode dziewczęta, zdarzało się nieraz, że ten lub ów, porwany nie dającym się opisać uczuciem, odrywał się nagle od ławy, by zatańczyć na środku pokoju, sam lub też z innymi, których opanowało podobne pragnienie. Skoro tylko fale ogólnego podniecenia wyładowały się w tańcu, wracali wszyscy spokojnie na stare miejsca i nikt z obecnych nie dziwił się temu niezwykłemu i bezpośredniemu wybuchowi ludzkich namiętności.

Ojczyste przyzwyczajenia i upodobania Rasputina nie zmieniły się prawie wcale w stolicy, wśród nowego i obcego dlań świata

carskiego dworu, ministrów, dyrektorów banku, księżnych, aktorek i dam dworu. Eleganckie panie ubrały go wprawdzie w jedwabne koszule i odziały jego krępe nogi w buty z najdelikatniejszej skóry; na przekór temu nosił jednak dalej Rasputin dziką i najeżoną brodę, podobną do tysięcy przeciętnych bród chłopskich, używał też tych samych ostrych i pospolitych przekleństw jak w Pokrowskoje. Nie troszczył się wcale o zwyczaje panujące w Petersburgu, lecz kochał, żartował, modlił się, klął i tańczył tak, jak dyktowało mu w danej chwili uczucie.

Zdarzało się nieraz, że w czasie śniadania spożywanego w gronie swoich zwolenniczek mówił namaszczoneg głosem o Bogu i „tajemniczym zmartwychwstaniu, po czym nagle przerywał i rozpoczynał cicho nucić jakąś piosenkę. Za chwilę rozlegało się już kilka coraz głośniejszych głosów, które dawały w rezultacie donośny i chóralny śpiew, w takt którego starzec rozpoczynał taniec.

W tańcu traciła jego silna postać całą swą ociężałość; nawet artyści baletu carskiego zazdrościli mu nieraz lekkości i płynności. Rozkołysanymi ruchami ciała zbliżał się wtedy do jednej z kobiet; którą zapraszał do tańca wabiącymi, pieszczotliwymi i kuszącymi ruchami rąk. Krążył wkoło niej, tulił się w tańcu do niej, jego tańczące palce wędrowały wzdłuż ciała kobiety, a przeszywający błysk oczu obejmował ją ze wszystkich stron. Coraz bardziej zbliżały się do siebie ciała, coraz silniej mieszały się oddechy.

W końcu powstawała z wolna, jakby we śnie, kobieta wybrana przez Rasputina. Bezwolnie szła za wezwaniem, poruszała chusteczką podniesioną ręką i rozpoczynała kręcić się w takt śpiewu i przytupujących butów. Ekstaza tańczącego starca i partnerki udzielała się z wolna

wszystkim obecnym.

Kobietę natomiast, którą Rasputin wybrał jako partnerkę i uznał za godną towarzyszenia mu w świątym akcie tańca, opanowywało z wolna uczucie, że bierze udział w owych tajemniczych misteriach, o których tak często mówił starzec. Im bardziej namiętne, szybkie i dzikie stawały się kroki tańczącego proroka, tym mocniej płonęły błyszczącą purpurą policzki tancerki; oczy pokrywał) się z wolna mgłą, powieki stawały się ciężkie i opadały w dół W końcu brał Rasputin odurzoną, prawie nieprzytomną kobietę ni swe szerokie i mocne ramiona chłopskie i zanosił na miejsce.

Kto

po raz pierwszy uczestniczył w takim zebraniu, mógłby przypuszczać, że to satyr unosi porwaną zdobycz; natomiast zebrane wielbicielki, podniecone i rozegzaltowane, widziały w tym wszystkim goś nabożnego, tajemniczego i mistycznego.

Skoro zaś tylko starzec usadowił swoją partnerkę, powstawały pozostałe kobiety, otaczały szczęśliwą siostrę i obsypywały ją tysiącami pieścizot; całowały, głaskały i pieściły włosy, twarz, ręce plecy, gdyż ciało wybranej było w tej chwili święte.

Żadna z wielbicielek nie dziwiła się ani przez chwilę temu niezwykłemu, odprawianemu w biały dzień widowisku; jak dla chłopów w dalekiej Syberii, tak i dla wiernych w zachodniej Rosji był Rasputin nawet w tańcu prorokiem, świętym i wybawicielem. Ilekroć urządzali przyjaciele i zwolennicy Rasputina, i również i ludzie interesu lub politycy, uczyły na jego cześć, to starali się zawsze o to, by była muzyka, jeśli zaś to było możliwe, chór cygański; wiadano bowiem powszechnie, że ani najdelikatniejsze potrawy, ani też najstarsze wina nie mogą tak ucieszyć i uszczęśliwić gościa jak śpiew, muzyka i taniec. Kto ładnie zaśpiewał, mógł być pewny życzliwości i poparcia starca i dostępował zaszczytu, że bywał przezeń zaliczany do grona przyjaciół. Wielkie interesy lub ważne nominacje dochodziły często do skutku nie przez prośby i rozmowy w pokoju przyjęć ani też dzięki podarunkom lub łapówkom, lecz dzięki faktowi, że proszący miał pięknie brzmiący głos, którym przyśpiewywał prorokowi do tańca.

Takim okolicznościom zawdzięczał też gruby A. N. Chwostow nominację na ministra spraw wewnętrznych. Pewnego wieczoru spotkał go Rasputin w „Villa Rode”, gdzie Chwostow w stroju szambelana zabawiał się z

kilkoma przyjaciółmi. Grzegorz Je-fimowicz okazywał żywe niezadowolenie ze śpiewu chóru cygańskiego, uważał, że basy są za słabe i zwrócił się w końcu do Chwostowa:

„Idź bracie, pomóż im śpiewać! Jesteś gruby i potrafisz dostatecznie głośno krzyknąć!”

Chwostow, który był również trochę podchmielony, nie dał sobie tego dwa razy powtarzać; bez wahania, w pełnym uniformie dworskim, wskoczył na scenę i za chwilę rozległ się po sali jego piękny, grzmiący bas. Rasputin wpadł w zachwyt, klaskał rozradowany i krzyczał na głos, że Chwostow jest morowy chłop.

W kilka dni później zupełnie niespodziewanie mianował car

grubego szambelana ministrem spraw wewnętrznych. Poseł do Dumy Puryszkiewicz powiedział przy tej okazji, że w danych warunkach najlepszą kwalifikacją na ministra w Rosji jest piękny głos i znajomość pieśni cygańskich.

Rasputin był istotnie wprost rozmiłowany w chórach cygańskich, w owych zespołach, złożonych zwykle z dwudziestu do trzydziestu pięciu osób obojga płci, które stawały zgodnie z rosyjskimi zwyczajami w półkolu otaczającym gości i śpiewały na przemian namiętne, melancholijne lub wesołe pieśni. Śpiew Cyganów był dla Rasputina źródłem specjalnego i silnego zadowolenia; zawiadomieniem: „dzisiaj wystąpi u nas chór cygański”, można było go zwabić o każdej porze dnia i nocy na dowolne miejsce. Zasłuchany w pieśń cygańską, ucztował i tańczył często do świtu. W ekstatycznym uniesieniu wychodziły wówczas na jaw prawdziwe cechy jego charakteru: przyrodzona dobroć i pospolitość duszy, melancholia i skłonność do prymitywnych uciech. Wydawał się równocześnie prorokiem i pijakiem, wybawicielem i rozpustnikiem.

Nie potrzeba było nawet specjalnej biesiady, by wprawić go w podobny nastrój; często wystarczyło własne nucenie lub dźwięczny głos jednej z wielbicielek, by począł tańczyć. Najczęściej oczywiście uskrzydlało jego entuzjazm obficie płynące wino, które czyniło go bardziej podatnym na swawole przyjaciół, zaloty pań i Cyganek i doprowadzało go do stanu „świętego pijaństwa”.

Ulubionym lokalem Rasputina w Petersburgu była restauracja i variete pod nazwą „Villa Rode”. Rasputin nie uczęszczał wcale na ogólne przedstawienia urządzone tamże dla szerokiej publiczności, lecz zamawiał ustronny pokój, w którym mógł wraz z przyjaciółmi i przyjaciółkami

swobodnie pić, śpiewać i tańczyć.

Właściciele „Villa Rode” rezerwowali stale dla Rasputina i jego orszaku małe, z boku położone skrzydło budynku, które posiadało tę zaletę, że można było tam wejść niepostrzeżenie, jak również roztoczyć baczną kontrolę nad wszystkimi wchodzącymi.

Odwiedziny starca w „Villa Rode” były zawsze zapowiadane z góry drogą telefoniczną; gdy zjawiał się Rasputin z towarzystwem, stały tam już stoły zastawione różnymi smacznymi potrawami, wśród których dominowały ulubione przezeń ryby i różnorakie słodczyce. Kelnerzy dbali o to, by mieć pod ręką odpowiedni

czapas madery. W jednym z kątów pokoju stał chór cygański, ^gotowy do śpiewu.

CI Naokoło długiego stołu, ozdobionego kwiatami, najdelikatniejszą porcelaną i srebrem, siedział Rasputin ze swymi gośćmi. Tak cdziwnego i mieszanego towarzystwa nie można było spotkać •w żadnym innym punkcie świata. Sam starzec, w jedwabnej ru-baszce koloru bławatkowego lub czerwonego, pił bez przerwy, ^klaskał w ręce w takt pieśni Cyganów albo też podskakiwał i puszczał się w tan, po którym połykał znów chciwie kilka . kielichów wina. W pewnych chwilach zaczynał niespodzianie cynować Pismo Święte lub też zwracał się do któregoś z gości, patrzył na niego przez chwilę pijanymi i smutnymi oczami i mó-'wił: „Wiesz, o czym ty teraz myślisz, mój drogi? Ja wiem, o czym!" W takich chwilach nie mylił się prawie nigdy i dokładnie odczytywał myśli sąsiadów. Zdawało się, że nadmierne spożycie - wina i śpiew Cyganów potęgowały jego przyrodzone zdolno-" ści jasnowidzenia, co nieraz wzbudzało u uczestników opisy-1 wanych biesiad uczucie niesamowitego lęku.

Niekiedy znowu siedział nieruchomo, wychylając jeden kielich *. wina za drugim, i patrzył w przestrzeń, jakby miał przed sobą ' odległy, przykuwający uwagę obraz. Opowiadał wówczas rzew-i nym i żalonym głosem o Syberii, o małej wiosce rodzinnej, i o gospodarce chłopskiej i wspaniałych, wonnych kwiatach znad < brzegów rzeki Tury. Z zachwytem wspominał o ulubionych koniach, które stały w jego stajni w Pokrowskoje i których już tak , dawno nie widział. Nagle rozpoczynał opisywać bez cienia wstydu wszelkie szczegóły życia miłosnego u koni, tak jak to niegdyś obserwował w ojcowskiej stajni. Brutalnym ruchem przyciągał do

siebie elegancką, siedzącą obok damę i szeptał jej szorstko i groźnie:
„Chodź, moja piękna kobyło!” Następnie opisywał znowu piękno stepów,
znaczenie i dostojeństwo pracy chłopskiej i podnosił w górę grube i
spracowane ręce tak, aby były widoczne wszystkim obecnym. Dumnym
głosem, przechodzącym chwilami w wyzywającą pychę, wołał wtedy:
„Patrzcie na moje ręce! Te stwardnienia pochodzą z ciężkiej pracy na roli!”
Niekiedy zwracał się prowokacyjnie w stronę jednego z dystyngowanych
panów ze spinkami brylantowymi w koszuli lub do jednej z eleganckich
dam w wieczorowej wydekoltowanej sukni: „Tak, tak, moi drodzy, znam
ja już was dokładnie, czytam w wa-

szych duszach! Jesteśmy wszyscy rozpieszczeni i bardzo podstępni! Te wystawne stroje i przebiegła chytryć są niepotrzebne i szkodliwe; człowiek powinien umieć się upokarzać! Zbliźycie się do Boga, jeśli życie wasze stanie się prostsze, duźo, duźo prostsze! Jedźcie za mną w lecie do Pokrowskoje, do dalekiej, wolnej Syberii! Będziemy łowić ryby i pracować na roli i dzięki temu nauczycie się, jak naprawdę rozumieć należy Boga!"

Dziwne wrażenie musiał wywierać ten pijany i nieokrzesany chłop na dystyngowanych panach i eleganckich damach siedzących w „Villa Rode” za stołami pokrytymi ciężkimi srebrami i delikatną porcelaną. Dziwnie wyglądały te jego w górę uniesione, szorstkie i kościste ręce, dziwnie brzmiało kazanie o dostojności pracy na roli i świątobliwości połowu ryb. Ruchy i słowa Rasputina nacechowane były wyzywającą pychą; poza tym wypróżniał wciąż niezliczone kielichy wina.

Starzec posiadał jeszcze jeden dziwny zwyczaj, rzucający się w oczy wszystkim uczestnikom. W czasie picia, śpiewu i tańca rozdziałał małe karteczki kobietom, którym chciał się przypodobać, jak również i Cygankom z chóru, służącym i kelnerkom; karteczki zawierały w najwyższym stopniu naiwne, banalne i nic nie znaczące zdania, jak na przykład: „Nie uciekaj przed miłością, gdyż ona jest twoją matką!” albo „Podaruję ci radość i światło miłości; dzięki temu żyję. Niechaj Bóg ześle pokorę twojej duszy i radość dobroczynnej miłości!”

Pewnego razu wręczył pewnej pani podobną karteczkę, gdy naraz zauważył, że służąca jej patrzy na niego z zaciekawieniem. Natychmiast ułożył i dla niej sentencję, a mianowicie: „Bóg kocha pracę, a uczciwość twoja jest powszechnie znana!”

Wielbicielki Rasputina dopatrywały się w każdym słowie owych „mądrych przypowieści” głębszej i ukrytej treści, chociaż starzec pisał je pod wyraźnym wpływem wina i śpiewu. Treść ich była w gruncie rzeczy pospolita, prócz tego z trudnością można je było odcyfrować. Eleganckie panie z towarzystwa przechowywały te „miłosne listy” Rasputina w kosztownych szkatułkach, służące zaś za kaftanikiem na piersi, skąd je codziennie wyjmowały i okrywały namiętnymi pocałunkami, im bardziej zawikłana była treść tych niezwykłych karteczek, tym cenniejsze były one w oczach wielbicielek Rasputina.

Nie zawsze jednak wyrażała się ekstaza świętego proroka

liewinnymi cytatai bibliijnymi, kazaniami o radościach stajni ub też niedorzecznie naiwną bazgraniną; nieraz zamieniał się)ogodny i wesoly nastrój w iście syberyjski szał, w dziki wy-)uch paroksyzmu radości lub ataku nieokiełznanej wściekłości.

Zdarzało się bardzo często, że po kilku spokojnych godzinach icztowania następowały rozpustne orgie, w czasie których Grzegorz Jefimowicz całkowicie się zapominał i wywoływał w końcu liesłychane publiczne awantury. Takie wypadki sprawiały wiele lieprzyjemności odpowiedzialnym władzom, do których należały controla i ochrona Rasputina, i wprawiały często nawet bar-izo wysokich urzędników w nader przykre zakłopotanie.

Starzec posiadał bowiem bardzo wielu nieprzyjaciół, tak w ko-ach dworskich, jak i w sferach grupujących się koło rządu Dumy. Wrogowie Rasputina witali chętnie wiadomości o pub-icznych skandalach w „Villa Rode", wiadomości te rozdmuchiwali do niebywałych rozmiarów i kolportowali wśród wszystkich >fer społeczeństwa.

W przeciwieństwie do nich para cesarska odczuwała bardzo boleśnie wszelkie pogłoski uwłaczające Rasputinowi, gdyż ataki skierowane przeciwko niemu godziły w istocie w cara carową. Kilka nielicznych osób otaczających cara i dobrze dlań usposobionych nie szczędziło wysiłków, by nie dopuszczać do wiadomości władców plotek o awanturach Rasputina; specjalnie zastępca ministra spraw wewnętrznych Bielecki wydał szereg szczegółowych zarządzeń, by ograniczyć do minimum brzemiennie w skutki eskapady Rasputina, i sam prosił go nieraz usilnie, aby nie ucztował w publicznych lokalach.

Nie zawsze jednak to się udawało, gdyż Grzegorz Jefimowicz odczuwał

szczególnością radość, gdy udało mu się wymknąć spod kontroli agentów policyjnych. W takim razie dbały władze jedynie o to, by uczyty odbywały się w ustronnych pokojach, skąd nie dochodziły odgłosy do reszty publiczności. Ale i tak nie można było uniknąć konfliktów; Grzegorz Jefimowicz pił, śpiewał i tańczył z Cyganami i nieraz wypadał na korytarze całkiem pijany.

Urzędnicy i dostojnicy oddani carowi nie szczędzili trudów, by uniknąć awantur, natomiast inne osobistości i urzędy wrogo usposobione dla Rasputina pracowały usilnie, aby wywołać, a nie-

raz wprost sprowokować skandale i wyzyskać następnie powszechne oburzenie dla własnych celów politycznych.

Nie jeden raz urządzano pijatyki w „Villa Rode”, w „Donon” w Petersburgu albo też w restauracji „Jar” w Moskwie w tym jedynie celu, by wzbudzić powszechne oburzenie i skompromitować Rasputina w oczach opinii.

Wiedziano ogólnie, że Rasputin w stanie trzeźwym był wstrzemięźliwy w słowie i czynach, natomiast stawał się nader rozmowny przy winie i śpiewie Cyganów.

W takich chwilach opowiadał nieraz dyskretne szczegóły z życia w Carskim Siole, wykrzykiwał na głos, że carowa Aleksandra Teodorowna jest „drugą Katarzyną” i że to ona właśnie rządzi Rosją, a nie poczciwy, dobry i słaby Mikołaj. Podchmielonego Grzegorza Jefimowicza można było bardzo łatwo namówić, by prowadził w obecności współbiesiadników telefoniczne rozmowy z różnymi ministrami i składał przy tej sposobności rozmaite nieprzemyślane oświadczenia; każde słowo wypowiedziane przez naiwnego pijanego i niepoczytalnego Rasputina podchwytywali skwapliwie jego wrogowie, którzy przyozdabiali je odpowiednio i kolportowali w następnym dniu w całej stolicy. Ten wstrętny rodzaj prowokacji, metoda upijania człowieka i zmuszania go do wypowiedziania nieprzemyślanych i niedorzecznych słów nie dawała jednak przez dłuższy czas spodziewanych rezultatów; carowa i car, którzy znali jedynie naturalne, proste i dobre cechy swego Grzegorza, nie dawali wiary rozlicznym donosom o obraźliwych dla domu carskiego oświadczeniach Rasputina. Oboje byli pewni wierności „przyjaciela”, mimo że donosy nieprzyjaciół stale się powtarzały.

Tak na przykład doszło pewnego razu w „Villa Rode” do gorszącej kłótni

między Rasputinem a młodym oficerem gwardii Obrassowem, zakończonej spoliczkowaniem Rasputina przez tego ostatniego. Celem zapobieżenia podobnym wypadkom zamknęła policja lokal „Villa Rode” na pewien okres czasu; naturalnie, natychmiast wysłano do cara szczegółowe sprawozdanie, jednak car nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi.

Ważna rola w dostarczaniu obciążającego materiału przeciw Grzegorzowi Jefimowiczowi przypadła tajnym agentom policji, którzy właśnie mieli za zadanie zbierać jak najwięcej „ciekawych” materiałów z życia Rasputina. Nawet w podróży do Pokrowskoje jechali za nim konfidenci policyjni i przesłali z drogi dokładne

sprawozdania z każdego kroku proroka. W sprawozdaniach tych urastały często drobne i niewinne wydarzenia do rozmiarów wielkich i skandalicznych afer.

Jeden z tych meldunków (z dnia 24 czerwca 1915) brzmi, jak następuje:

„Rasputin wydał w dniu dzisiejszym przyjęcie dla gości w swoim domu w Pokrowskoje. Był pijany, tańczył przy dźwiękach gramofonu i opowiadał swoim zwolennikom, jak to uwolnił trzystu baptystów od nałożonej na nich kary. W nagrodę za to miał otrzymać po tysiącu rubli za głowę, w rzeczywistości zaś wręczono mu łącznie tylko pięć tysięcy rubli.

Przechwalał się też, że to on właśnie wyjednał u cara podczas ostatnich odwiedzin przesunięcie terminu wcielenia starszych rezerwistów na okres po żniwach”.

Drobne wydarzenie, które rozegrało się na parowcu rzeczonym między miastem Tiumen i Pokrowskoje, dało przeciwnikom Rasputina sposobność do rozwinięcia gwałtownej kampanii przeciwko niemu. Starzec jechał do wioski rodzinnej w towarzystwie przyjaciela, opata Marcjana z tiumeńskiego klasztoru. W drodze zaprzyjaźnił się z jadącymi tym samym statkiem rekrutami, pił wiele wina i wywołał w końcu awanturę na pokładzie.

Tajni agenci opisują wszystkie szczegóły tego wydarzenia: „9 sierpnia: Po opuszczeniu klasztoru w Tiumeniu wstąpił Rasputin na pokład parowca, który wyjeżdżał o godzinie jedenastej w kierunku Pokrowskoje. O godzinie pierwszej w południe wyszedł w pijanym stanie z kabiny i podszedł do grupki żołnierzy, jadących tym samym statkiem do Tobolska. Nawiązał z nimi rozmowę, podarował im dwadzieścia pięć rubli i kazał śpiewać. Po chwili wrócił do kabiny, zjawił się jednak po kilku minutach

znów na pokładzie i podarował żołnierzom sto rubli. Żołnierze śpiewali w dalszym ciągu, Rasputin sam również śpiewał. Po pewnym czasie poprowadził wszystkich, około dziesięciu ludzi, do drugiej klasy, rozkazał zająć miejsca i zamówił obiad dla wszystkich. Kapitan statku zakazał jednak podania potraw.

Rasputin wrócił wkrótce na pokład, zgromadził wokół siebie żołnierzy, którzy otoczyli go zwartym kołem i śpiewali z nim pieśni. Był w nadzwyczajnym humorze, dał im dalsze dwadzieścia pięć rubli i udał się z powrotem do kabiny.

Po dwudziestu minutach wrócił jeszcze bardziej podchmielony, wszedł do trzeciej klasy i wszczął kłótnię z pewnym panem z Tiu-

menu; wkrótce potem rozpoczął spór z kupcem Michaljewem, pochodzącym również z Tiumenu i zaczął krytykować działalność biskupa z Tobolska. Na drodze z trzeciej klasy natknął się na kelnera okrętowego, zbeształ go, wyzwał od łajdaków i w końcu oskarżył, że ukradł mu trzy tysiące rubli.

Po tym incydencie powrócił Rasputin do kabiny, stanął przy otwartym oknie, oparł głowę o stół i pozwalał oglądać się w tej pozie przez pasażerów. Ze zgromadzonego przed oknem tłumu padały wrogie okrzyki: Ostrzyc mu brodę! Ogolić go! Na prośbę agentów zamknięto okno; w dwie godziny później upadł Rasputin pijany na podłogę i leżał bez przytomności aż do przybycia statku do Pokrowskoje. Konfidenci uprosili kapitana statku o kilku marynarzy, którzy wynieśli Rasputina na ląd aż do przystani, gdzie oczekiwały go już córki. Ułożono go na wozie i zawieziono do domu".

„10 sierpnia: O dziesiątej godzinie z rana opuścił Rasputin dom i wypytywał agentów o wydarzenia poprzedniego dnia. Dziwił się bardzo, że tak szybko stracił przytomność, wypił bowiem tylko trzy flaszki wina". Ta niewinna stosunkowo historia urosła dzięki nieprzyjaciołom Rasputina do rozmiarów olbrzymiej afery, wkoło której powstały stosy akt. Policja sporządziła protokół i przesłała go gubernatorowi Stankiewiczowi; gubernator odesłał akta do księcia Szczerbatowa, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, który znów oddał sprawę do załatwienia ministrowi sprawiedliwości. A. N. Chwo-stowowi; ten zaś z kolei oświadczył, że sprawa nie podlega jego kompetencji, należy raczej do agend ministra spraw wewnętrznych. Książę Szczerbatow nie wiedział, co począć z tą aferą, i udał się do prezydenta ministrów Goremykina, a ten przesłał

materiał A. N. Chwostowowi, nowemu ministrowi spraw wewnętrznych. W końcu udało się Annie Wyrubowej i zastępcy ministra spraw wewnętrznych Bieleckiemu zatuszować całą sprawę, jak również i nowo powstały w tym czasie skandal w moskiewskiej restauracji „Jar”.

Nowa ta afera mogła mieć wyjątkowo groźne skutki dla Rasputina i trzeba było wielkiej zręczności, by im zapobiec. Starzec wyjechał w jesieni 1915 roku do Moskwy, by odprawić modły nad grobem patriarchy Hermogena. W Moskwie zaprosiło go towarzystwo złożone z rzekomych przyjaciół na kolację do restauracji „Jar”. Między uczestnikami było również kilku dziennikarzy, ma-

jących być świadkami przygotowanego z góry skandalu, oraz kilka młodych pań z najlepszego towarzystwa.

Kolacja rozpoczęła się około północy, wino płynęło strumieniami, a orkiestra zagrzewała starca bez przerwy do tańca. Rasputin, podniecony alkoholem, począł opowiadać o swoich wpływach, wziętości i o swych erotycznych awanturach w Petersburgu; między innymi rzucił kilka uwag o parze cesarskiej, pomyślanych wprawdzie całkiem niewinnie, które jednak przeciwnicy mogli świetnie wyzyskać dla swych celów. Powiedział mianowicie, że carowa nazywa go „Chrystusem” i słucha ślepo jego rad; on, Rasputin, nosił ją nieraz na rękach, a drzwi pałaców carskich stoją dlań zawsze otworem.

Po kolacji zjawił się w lokalu chór kobiecy; Rasputin zgodnie ze swymi zwyczajami nawiązał natychmiast rozmowę z dziewczętami. I im opowiadał o przyjacielskich stosunkach z rodziną władcy Rosji i wskazał w końcu na kamizelkę, na której carowa własnoręcznie wyhaftowała kwiaty.

Być może, że w tej chwili naszły umysł Rasputina, zamglony od wypicia wielkiej ilości wina, wizje orgii uprawianych przez sekty „ludzi bożych”. Faktem jest, że nie ograniczył się do zrzucenia kamizelki, lecz zerwał z siebie wszystkie części odzienia i to tak błyskawicznymi ruchami, że nikt nie mógł temu przeszkodzić. Nagusieńki stanął na środku pokoju, zaczął śpiewać pieśni kościelne i tańczyć.

Tymczasem zawiadomiono policję i sam namiestnik Adrianów zjawił się w restauracji „Jar”. Na drugi dzień opowiadano powszechnie na terytorium całej Rosji o niebywałym skandalu, a również i car otrzymał natychmiast bardzo dokładne sprawozdanie o awanturze moskiewskiej⁴⁵.

*

Wycieczki Rasputina do Moskwy były zawsze połączone z wielkimi nocnymi pijatykami, które nieraz groziły bardzo nieprzyjemnymi skutkami; tu w Moskwie tliło się bowiem główne ognisko zabiegów i intryg, skierowanych przeciwko parze cesarskiej i przeciw jej pupilowi. Grzegorz Jefimowicz lubił bardzo zabierać ze sobą na podobne przyjęcia jedną ze swych nowych wielbicielek; w ten sposób po-

zostały nam dwa żywe opisy biesiad Rasputina, obydwaj spod pióra „nowicjuszek”. Dają nam one żywy i wyraźny wizerunek osobliwej postaci „tańczącego starca”.

W Moskwie dostąpiła zaszczytu towarzyszenia Rasputinowi pani Helena Djanumowa.

„Telefoniczna rozmowa” opowiada pani Helena, „słyszę dobrze mi znany, śpiewny głos: Dzień dobry, Frantik, dzień dobry, moje kochanie!

Przyjechałem do was do Moskwy i mówię z dworca kolejowego. Jadę stąd do Resznetnikowów, przyjdź i ty tam na śniadanie! Chciałbym cię zobaczyć, stęskniłem się bardzo za tobą!”

Naturalnie byłem ogromnie zaciekawiona i czekałam z niecierpliwością na spotkanie z Rasputinem; pani Resznetnikow ubóstwiała wszystkie sławy duchowne i ktokolwiek bawił w Moskwie, znajdował w jej domu gościnę; prócz Rasputina uwielbiała pani domu również Jana z Kronsztadu, Iliodora i Warnawę.

Około godziny pierwszej w południe zgłosiłam się do jej mieszkania; drzwi otworzył zakonnik, a w przedpokoju siedziały dwie czarno ubrane dewotki. Poprosiłam, by zameldowano moje przybycie Rasputinowi, gdy wtem zjawił się sam Grzegorz Jefimowicz w drzwiach i rozpoczął od razu, jak to było w jego zwyczaju, ścisnąć mnie i całować. Wyglądał źle, twarz jego, porwana głębokimi bruzdami, wydłużyła się i zwężyła, oczy tylko pozostały nie zmienione i patrzyły na mnie przeszywającym jak dotychczas wzrokiem.

Zaprowadził mnie do pokoju z ciężkimi, starymi meblami; równocześnie ze mną wszedł do mieszkania jakiś zakonnik, o którym dowiedziałam się później, że to jest Warnawa; zakonnik przeżegnał mnie, zapytał o imię i

powiedział: „Nazywasz się Helena? Obchodziłaś więc niedawno imieniny! Zaofiaruj coś na mój kościół, dywan lub coś podobnego!”

Rasputin słuchał tych słów z niezadowoloną miną i nagle zawołał:

„Frantik, chodź ze mną do jadalni, czekają tam na nas!”

Udaliśmy się do sąsiedniego pokoju, gdzie za stołem siedziała stara dama lat około osiemdziesięciu, otoczona wieńcem równie starych pań. Jedną z nich, obok której zajęłam miejsce, była siostra Warnawy; naprzeciw mnie siedział młody oficer, Gruzin, odkomenderowany do osobistej ochrony Rasputina. Obok Warnawy siedziała młoda pani z wielkimi brylantami w uszach, żona kupca; bezustannie wpatrywała się rozmiłowanym wzrokiem w Warnawę.

wę i śmiała się głośno z jego dowcipów. Natomiast Rasputin był pogrążony w głębokim milczeniu, gdy Warnawa mówił bez przerwy. Uczta miała się już prawie ku końcowi, gdy Rasputin zwrócił się do mnie i zapowiedział: „Przyjdę do ciebie na kolację i przy-prowadzę ze sobą, ot, tego!” Wskazał przy tym na młodego ofi-cera

Wszystkie panie zaprotestowały: „Ojczulku Grzegorzu Jefi-mowiczu, jesteś jako to słońce w chmurach! Zjawiasz się na chwilę i znikasz! Nawet nie przyjrzałyśmy się tobie dokładnie!”

„Nie”, odpowiedział Rasputin, „wrócę do was niebawem! Te-raz jednak muszę iść do mojej Frantik!”

„Jak tylko zobaczy młodą, piękną kobietę” zauważył Warnawa, „to nie wie, co się z nim dzieje!” Słowa te wywołały u Ra-sputina wielkie niezadowolenie, o którym świadczył złowróżbny wzrok skierowany w stronę Warnawy.

W przedpokoju powiedział do mnie Grzegorz Jefimowicz: Słyszałaś uwagę Warnawy? Zazdrości mi! Nie lubię tego pod-stępnego lisa!”

Pośpieszyłam, jak mogłam najszybciej, do domu, zakupiłam po drodze różnorakie środki żywności i kilka flaszek madery, Zamówiłam w restauracji ryby i zatelefonowałam do kilku znajo-myh, zapytując ich, czy chcieliby zobaczyć Rasputina.

O godzinie siódmej wieczorem zjawił się u mnie zgodnie z zapowiedzią Grzegorz Jefimowicz wraz ze swoim adiutantem. Był niezwykle wesoły, żartował nieustannie, rozmowa przeskakiwała jak zwykle u niego z tematu na temat, przy czym często gubił się w prawie niezrozumiałych aluzjach. Uważnie przypatrzył się wszystkim obecnym, wzrok jego zdawał się docierać do najbardziej ukrytych zakamarków duszy. Ostro popatrzył na

Warnawę, po czym powiedział do mnie:

„U ciebie jest tak dobrze, że dusza moja raduje się niewymownie! Nie masz żadnych podstępnych myśli, dlatego też miłuję cię! Ten jednak, słyszałaś go już? Nie kocha mnie, och, nie kocha mnie wcale!”

Przez dłuższy czas nie odrywał Rasputin wzroku od pana E. i jego małżonki. Pan E. był niegdyś zaręczony ze mną, nikt jednak z obecnych nie wiedział o tym; później rozeszliśmy się, pan E. ożenił się, ja wyszłam za mąż i oboje czuliśmy się szczęśliwi

w swoich małżeństwach. Rasputin oświadczył nagle, wskazując na pana E.:

„Wy oboje kochaliście się niegdyś, ale nic z tego nie było. Lepiej, że tak się to stało, gdyż nie byliście dla siebie dobrani, a jego obecna żona jest na właściwym miejscu!”

Byłam zdumiona tym objawem cudownego jasnowidzenia, gdyż było wykluczone, by mógł coś wiedzieć o naszych dawnych stosunkach, o których sami prawie już nie myśleliśmy.

Po kolacji Rasputin zażądał nagle, bym sprowadziła Cyganów, i żadne tłumaczenia nie mogły go odwieść od tego życzenia. Pan E., widząc moje zakłopotanie, zaproponował, byśmy sami pojechali do Cyganów, na co Rasputin chętnie się zgodził. Wobec tego ruszyliśmy wszyscy do restauracji „Jar”.

Rasputin był tu bardzo dobrze znany, gdyż był niedawno bohaterem wielkiego publicznego skandalu; właściciele lokalu w obawie przed podobnym wypadkiem zawiadomili o przybyciu gości namiestnika, który przyrzekł wysłać do restauracji dwóch urzędników. Wkrótce też zjawili się dwaj panowie, którzy weszli do pokoju i poprosili o pozwolenie pozostania w nim, gdyż chcieliby ochronić Rasputina przed ewentualnymi napaściami; niebawem przybyło w tym samym celu kilku policjantów w cywilnym przebraniu.

Tymczasem goście zachwycali się już śpiewem chóru cygańskiego ze słynną śpiewaczką Nastią Polakową na czele; Rasputin czuł się nadzwyczaj dobrze i zamówił owoce, kawę, pieczywo i szampana.

Jest wprost nie do wiary, jak dużo Rasputin potrafił pić. Każdy inny na jego miejscu padłby w przeciągu krótkiego czasu nieprzytomny na

podłogę, u niego zaś tylko oczy płonęły silniejszym blaskiem, twarz bladła i pokrywała się siecią zmarszczek.

„No” zawołał nieoczekiwanie, „śpiewajcie, dzieci!” Zza parawanu ograniczającego nasz pokój rozległy się dźwięki dwu gitar, a potem śpiew Cyganek; Rasputin siedział w milczeniu, z opuszczoną głową, i uważnie nasłuchiwał. „Nastia” oświadczył w końcu, „śpiewasz tak pięknie, że poruszasz do głębi moją duszę!”

Następnie podskoczył szybko i przyłączył się do ogólnego śpiewu swoim pełnym i dźwięcznym głosem. „A teraz, Nastia” zawołał, „napijemy się szklaneczkę wina! Kocham pieśni cygańskie; gdy je słyszę, topnieje mi wprost serce z radości!”

Nastia patrzyła nań ponuro i rzucała w odpowiedzi krótkie i nieprzyjazne zdania. Zwróciłam na to uwagę i zapytałam jednego z obecnych, dlaczego Cyganki odnoszą się tak nieprzychylnie do Rasputina; w odpowiedzi usłyszałam, że podczas ostatnich odwiedzin starca doszło do wielkiego skandalu, którego skutki dały się również dotkliwie we znaki członkom chóru.

Mimo woli opanowała mnie trwoga, że może znów dojść do drażliwych i gorszących scen, i poczęłam żałować, że odważyłam się pójść z Rasputinem do publicznego lokalu. Chciałam w pewnej chwili powstać i oddalić się niepostrzeżenie, ale ogólne podniecenie udzieliło się w końcu i mnie, i pozostałam.

„A teraz zaśpiewajcie moją ulubioną pieśń, «Trojkę»!" krzyknął Rasputin i zerwał się z miejsca. Był trupio blady i stanął przed nami z na pół przymkniętymi oczami; na czoło spadały mu kosmyki włosów; następnie począł przyklaskiwać w takt pieśni: „Jadę, jadę do niej, do mej ukochanej!"

Głos jego był pełen namiętności i ognia, a ton głosu wywarł na mnie niezatarte wrażenie. Jakaż przedziwna siła tkwiła w tym człowieku! W tym czasie powiększyło się nasze towarzystwo bardzo znacznie; co chwila zapraszał ktoś z naszych towarzyszy swoich znajomych, równocześnie zaś podchodzili do nas obcy goście bawiący w restauracji i prosili nas o pozwolenie wzięcia udziału w naszej zabawie. Skoro państwo K., bogaci właściciele fabryki, dowiedzieli się, że ja jestem między gośćmi, błagali mnie, abym przedstawiła ich Rasputinowi; również kilka Angielek, które niedawno przybyły do Rosji z misją wojskową, prosiło nas, by im pozwolono ujrzeć Rasputina. Po uzyskaniu zezwolenia usiadły

cichuteńko w kącie pokoju i nie spuszczały odtąd oka z Grzegorza Jefimowicza. Gdy w końcu liczba biesiadników urosła do trzydziestu osób, rzucił ktoś projekt, aby udać się razem do lokalu rozrywkowego „Strelna”. Projekt został natychmiast przyjęty. Jeden z członków naszego towarzystwa poprosił kelnerów o rachunek, usłyszał jednak w odpowiedzi, że cała należność została już uregulowana przez urzędników namiestnika. W „Strelnej” przydzielono nam wielki, odosobniony pokój, którego okna wychodziły na ogród zimowy. Publiczność dowiedziała się wkrótce, że między nami znajduje się sławny starzec. Ciekawi wspinali się na palmy w ogrodzie zimowym, by móc zaglądnąć

przez okna. Tymczasem u nas lało się wino strumieniami, Rasputin kazał podać również dla chóru kilka flaszek szampana.

Cyganie wzniesli w odpowiedzi dziękczynną pieśń: „Pijmy za zdrowie naszego drogiego Griszy!” Również chór rozochocił się wkrótce pod wpływem wina, rozpoczynał śpiewać różne piosenki i przerywał je wybuchami śmiechu.

Rasputin był całkowicie w swoim żywiole; orkiestra zagrała jakiś rosyjski taniec i już wirował starzec na stali z nieposkromioną wprost namiętnością; jego brunatne włosy i wielka broda latały na wszystkie strony. Nogi poruszały się mimo wielkich i ciężkich butów z zadziwiającą lekkością i zdawało się, że wino pomnożyło kilkakrotnie jego siły. Od czasu do czasu wybuchał głośnym krzykiem, porywał jedną z Cyganiek i puszczał się z nią w zawrotny tan.

W tym czasie weszli do pokoju dwaj oficerowie, na których nikt z nas początkowo nie zwrócił najmniejszej uwagi. Jeden z nich usiadł obok mnie, przyglądał się przez chwilę tańczącemu Grzegorzowi Jefimowiczowi i zauważył: „Co właściwie znajdują ludzie w tym człowieku? To przecież, wstyd i hańba! Tańczy sobie taki pijany chłop, a wszyscy wpatrują się w niego jak w świętego! Nie wiem naprawdę, czemu kobiety tak lgną do tego prostaka?” Nienawistnym wzrokiem śledził mój nowy sąsiad każdy ruch Rasputina.

Niedługo poczęło świtać i zbliżała się pora zamknięcia restauracji.

Powstaliśmy i poczęliśmy się przygotowywać do opuszczenia lokalu. I tu też okazało się, że cały rachunek za naszą ucztę został zapłacony przez urzędników namiestnika.

Udaliśmy się do nowej restauracji daleko za miastem, gdzie ulokowaliśmy

się w wielkiej ogrodowej altanie, otoczonej włoskim bzem. Po dusznej atmosferze w „Strelnej” świeże i ciepłe powietrze wiosenne podziało na nas ożywczo, tym bardziej że wkrótce ukazało się słońce i rozległ się śpiew ptasząt.

„Jak cudnie! Jakie piękności Boże!” powiedział Rasputin, po czym usiadł i zamówił czarną kawę, herbatę i likiery.

Również obydwaj nieznajomi oficerowie znaleźli się w altanie i szeptali wciąż cichutko między sobą. W końcu zwrócili na siebie uwagę agentów policyjnych, którzy poczęli dyskretnie rozpytywać się, kim są ci nieznani panowie; gdy się okazało, że nikt z naszego grona nie zna ich, urzędnicy podeszli do oficerów i wezwali

ich do odejścia. Ci nie chcieli usłuchać wezwania, doszło do gorącej kłótni i w końcu padł strzał.

Natychmiast powstała straszliwa panika, huknęły dalsze strzały, krzyczano ze wszystkich stron, kilka pań uległo histerycznemu atakowi, wszyscy zaś cisnęli się ku wyjściu; ktoś chwycił mnie za rękę i pociągnął do stojącego na ulicy samochodu. Obok mnie siedział Rasputin, który z początku wzbraniał się i nie chciał odjeżdżać. Wszystko to odbyło się tak błyskawicznie, że nikt nie zdawał sobie dokładnie sprawy, co właściwie zaszło. Za chwilę zdążył już nasz samochód w największym pędzie do miasta, gdy tymczasem w uszach moich brzmiały wciąż jeszcze odgłosy strzałów i okrzyków.

Zrozumiałe, że byliśmy w stanie silnego zdenerwowania. Pierwszy odzyskał spokój Rasputin i powiedział w zadumie: „Moi przeciwnicy nie lubią mnie!” Później zapadł na powrót w głuche milczenie.

Zajechaliśmy do mieszkania pana E., gdzie dowiedzieliśmy się, że obydwaj oficerowie zostali aresztowani i przyznali się, że mieli zamiar napaść i znieważać Rasputina.

Bunt przeciwko „świętem u diabłowi”

Głucha nienawiść do Rasputina tliła się z początku tylko w intrygach ministrów i kół dworskich, buchnęła później większym płomieniem lubieżnej plotki i niezliczonych erotycznych anegdot i błysnęła w końcu ogniem sporu z przesadnie cnotliwą i wstydliwą panną do dzieci, która sprzeciwiła się stanowczo wtargnięciu tego „wstrętnego chłopca” do pokojów córek carskich. Wrogie Rasputinowi nastroje przybrały później formę patetycznego, wier-nopoddańczego patriotyzmu; „Prawdziwi Rosjanie” bili się w piersi i ostrzegali cara przed zgubnymi skutkami obcowania z Grzegorzem Jefimowiczem.

Służalcy gubernatorowie, szefowie policji, ministrowie i ich zastępcy współzawodniczyli ze sobą w przedstawianiu carowi rozlicznych sprawozdań o wybrykach, aferach i orgiach jego pupila. Życzliwi członkowie rodziny, wielcy książęta i wielkie księżne zjawiali się na dworze z zatroskanymi minami, a nawet siostra carowej pośpieszyła, by ostrzec, zanim będzie za późno.

Wszystkie opisane ataki na władzę diabelskiego chłopca okazały się jednak daremne; car uważał intrygi ministrów i kół dworskich za wyraz małostkowej zazdrości, zajmowanie się plotkami uwłaczałoby jego godności; zbieranie anegdot było wdzięcznym zatrudnieniem dla początkujących reporterów dziennikarskich, nie interesowało zaś wcale jego, władcy Wszechrosji. Jeśli wstydliva dama dworu sprzeciwiła się odwiedzinom Rasputina, to czyn ten był w oczach cara „bezczelnym”, po nim też następowała kara w postaci wydalenia z grona służby carskiej. Każdy z „wiernych”, który zjawiał się na audiencji z zatroskanym obliczem dla ostrzeżenia Mikołaja przed Rasputinem, otrzy-

mywał zwykle następującą odpowiedź: „Ależ, mój najdroższy! Pan jest pesymistą! Bądź pan całkiem spokojny, wiem doskonale, co mam sądzić o Rasputinie”.

Sprawozdania ministrów, szefów policji i gubernatorów bywały bardzo pobieżnie przeglądane, po czym wędrowały do kosza; czyż zasługiwały zresztą na lepszy los? Czyż sam Grzegorz Jefimowicz nie powiedział, że wrogowie jego zawarli przymierze z diabłem, aby go wciągnąć w pułapkę? Czy to takie dziwne, że nawet święty nie może od razu przewyciężyć wszystkich pokus, że potrzeba niekiedy dłuższej walki, by wyrwał się ze szponów szatana?

Wszyscy członkowie rodziny, Mikołaj Mikołajewicz, jego brat, Anastazja i Milica, którzy niegdyś nie szczędzili starań, by dowieść świętości Rasputina, przychodzili obecnie do cara z błagalnymi prośbami, by odpędził precz od siebie tego okropnego muzyka. Czyż car nie przekonał się już dostatecznie o egoizmie i niepewności wszystkich tych krewnych? Swego czasu popierali usilnie Grzegorza Jefimowicza, gdyż widzieli w nim narzędzie posłuszne ich woli w przyszłości; teraz jednak, gdy okazał się prawdziwym i oddanym „przyjacielem” pary carskiej, a przez to uciążliwym dla innych, usiłują go wygnać z otoczenia władcy. O, car wiedział doskonale, ile są warte rady wszystkich Mikołajewiczów! Przybyła również Jelizawieta Teodorowna, aby carową usposobić nieprzychylnie do Rasputina. Była jedyną, która miała szczerze zamiary; była przecież zakonnica, prawie aniołem! Lecz cóż wiedziała ona o świecie i jego podstępach? Czyż nie wprowadziły jej w błąd złośliwe oszczerstwa, czyż nie uwierzyła ślepo i naiwnie wszystkim nieprawdziwym plotkom o Rasputinie? Natomiast Alix i Mikołaj znali

doskonale ten świat, w którym ludzie o czystej duszy i czystych rękach narażali się na ciągłe napaści i oszczerstwa; mogła więc Aleksandra śmiało odpowiedzieć ukochanej siostrze ze spokojnym i pobłażliwym uśmiechem: „Wierz mi, najdroższa, wprowadzono cię w błąd! Świętym się zawsze złorzeczy!”

Cóż dopiero ostrzeżenia „prawdziwych Rosjan"! Czyż car mógł im uwierzyć? Czyż to nie byli pierwsi, których patriotyczne serca zapłonęły bezgranicznym uwielbieniem dla Rasputina? Czyż nie oni pierwsi obwieszczali, że ustami tego chłopca przemawia bezpośrednio głos rosyjskiego ludu? A teraz ruszyli przeciw niemu, gdyż nie dopomaga im w urzeczywistnieniu ich ambitnych planów! Tak,

Grzegorz Jefimowicz jest rzeczywiście „głosem rosyjskiego ludu”, a jego najeżona broda, strój chłopski, sękaty kij i naoliwione rybim tłuszczem buty są czymś więcej niż dekoracyjnym chwytem, za jaki w pierwszej chwili uważali je „prawdziwi Rosjanie”. Jego broda chłopska rosła swobodnie i dziko, jego szerokie spodnie wyglądały tak naturalnie, jak gdyby przyszedł w nich na świat, a sękaty kij i buty z cholewami zrastały się prawie z ciałem. Władca widział i wyczuwał, że przed nim stoi prawdziwy, prosty muzyk. Żadne intrygi lub oszczerstwa nie mogły zaćmić tego wrażenia.

Każdy nie zainteresowany, z boku stojący obserwator mógł również bardzo łatwo zrozumieć, dlaczego początkowy zachwyty „prawdziwych Rosjan” zmienił się z czasem w nienawiść i wstręt do Grzegorza Jefimowicza. Przez długie lata krążyły bajeczki o „rdzennym chłopie”, który musi przyjść, by zbawić tron; wreszcie ukazał się ten okrzyczany rdzenny chłop, który jednak miał jedną wadę: nie owijał niczego w bawełnę. Gdy mu się znudziła gadanina „miłośników ludu”, generałów, polityków, adwokatów i popów, bił po prostu pięścią w stół i wtedy rozlegał się beztrąsko, z całą wyrazistością, „głos rosyjskiego ludu”. Gdy ambitni generałowie, pobrzękując szabelką, prawili o pańsłowaniańskich ideałach, gdy politycy i adwokaci dzielnie im w tym sekundowali, a popi błogosławili ich poczynania, bo przecież nowa wojna otwierała olbrzymie możliwości dla „prawdziwie rosyjskich” generałów, polityków, adwokatów i popów, wówczas stawał się Grzegorz Jefimowicz wysoce gwałtowny, piorunował, łajał i złorzeczył bluźnierczo: „My, chłopie, nie potrzebujemy wojny! Tylko wy, przeklęte mieszczychy, chcecie przelew krwi ludu wiejskiego! Chcecie się w ten sposób wzbogacić!”

Któż się wobec tego zdziwi, że „prawdziwi Rosjanie”, którym starzec w ostatniej chwili pokrzyżował plany w sprawie wojny europejskiej, patrzyli na Rasputina krzywym okiem?

Była jednak prócz tego pewna liczba osób, u których głęboka niechęć do Grzegorza Jefimowicza wywodziła się z czysto osobistych przesłanek; niejednemu z nich zdarzyło się, że spotkał się u Rasputina z szorstką i bezwzględną odmową; zjawiał się taki pan u wszechwładnego „przyjaciela” z prośbą o fotel ministerialny i otrzymywał następującą odpowiedź: „Nie będziesz chyba ode mnie wymagał, bym mianował konia ministrem!”

Tego rodzaju przykre nieporozumienia zdarzały się często, spe-

cyjnie zaś wtedy, gdy proszący występował z butną pewnością siebie, ufny w swoje stanowisko społeczne i swoje zdolności. Natomiast ludzie, którzy zachowywali się u Rasputina prosto i skromnie, dostępowali nieraz w ciągu nocy najwyższych zaszczytów urzędów państwowych. Najwięcej jednak przeciwników zrodziły Grzegorzowi Jefimowiczowi pewna siebie prostota i szczerzy, naiwny ton, w jakim zwykł był mówić o swoich wpływach na dworze carskim. Powiedzenia w rodzaju: „Naturalnie, mogę wszystko u Niego (lub też Niej) przeprowadzić” drażniły bardzo wiele ludzi, gdyż ich treść i ton mogły zranić do głębi duszę każdego ambitnego karierowicza. Któż mógł się obronić gniewnym myśłem o niesprawiedliwości losu, gdy sławni teologowie, uczeni strategowie i wypróbowani urzędnicy administracyjni nie posiadali żadnego znaczenia, gdy tymczasem ten nieokrzesany i prostacki muzyk pysznił się wszędzie swoją wszechwładzą! Byli ludzie, których dziadowie służyli już u dworu i którzy teraz mogli mimo najwyższych starań uzyskać zaledwie kilkuminutową audiencję u cara. Kto chciał uzyskać cokolwiek od władcy i pana Rosji, musiał wprawdzie prosić o łaskę tego butnego chłopca, a i wtedy zdarzało się nieraz, że był zmuszony wysłuchać odpowiedzi w rodzaju: „Nie mogę przecież każdego niedołęgi mianować biskupem!” Nic dziwnego, że obrażona godność i zraniona ambicja burzyły się masowo przeciw Rasputinowi. Grzegorz Jefimowicz traktował ludzi pobłażliwie i patrzył na nich z góry, co doprowadzało nawet dobrotliwe i bezinteresowne osoby, jak łagodnego ojca Teofana, do uczucia podrażnionej ambicji. Nic dziwnego, że liczba przeciwników Rasputina

rosła z każdym dniem.

*

Właśnie ojciec Teofan, człowiek o dziecięco łagodnym usposobieniu, był jednym z pierwszych, którzy dali publiczny wyraz niechęci do Rasputina; z tym samym zapalem, z jakim niegdyś ruszył do boju w obronie świętości starca z Pokrowskoje, zwrócił się obecnie przeciwko swemu dotychczasowemu ulubieńcowi i usiłował przekonać cara i cały świat, że Grzegorz Jetimowicz jest wysłańcem szatana. Któż bowiem mógł przypuścić, że niepozorny kaznodzieja chłopski zrobi tak szybką i zawrotną karierę na dwo-

rze cesarskim i pozostawi daleko w tyle za sobą swych pierwszych opiekunów!

Ojciec Teofan który kiedyś płonął bezgranicznym i ślepym uwielbieniem dla Grzegorza Jefimowicza, teraz piorunował przeciwko niemu pełen nienawiści, która rozpanoszyła się niepodzielnie w jego duszy. Gdy zaczynał mówić o szkodliwości i grzechach swego dotychczasowego pupila, wpadał w ekstazę. Z tym samym bezkrytycznym uniesieniem, z jakim ongiś wskazywał na syberyjskiego pielgrzyma jako na nowego Zbawiciela, piętnował obecnie gorszące i rozpustne wybryki Rasputina i uważał je za widomy i nieomylny dowód stosunków z szatanem.

Ojciec Teofan poszedł więc tą samą drogą, jaką kroczył niegdyś, gdy zaczął obwieszczać świętobliwość Griszy. Pałając gniewem, udał się do czcigodnego biskupa Hermogena z Sarowa, do Iljodora, do „prawdziwych Rosjan” i do wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza i opowiedział wszystkim, że Rasputin nie jest niczym innym jak tylko wcieleniem antychrysta.

Ociężały i wygodny biskup z Sarowa nie skłaniał się wcale do apokaliptycznych egzaltacji; nie uważał nigdy Griszy za świętego, nie widział w nim też teraz szatana. Siedząc wygodnie na kanapie, przysłuchiwał się spokojnie i uważnie, jak zwykle zresztą, zakłębionemu małemu archimandrycie i zauważył w końcu dobrodusznie: „A to rozpustny hultaj, ten Grisza!” Po czym zaczął analizować praktyczno-polityczne znaczenie całej sprawy i rozmyślać nad środkami, przy pomocy których można by przy współpracy „prawdziwych Rosjan” utracić Rasputina. W końcu doszli Teofan i Hermogen do zgodnej decyzji, że należy wyteńczyć wszystkie siły, byle tylko pozbyć się niewygodnego starca; otwarcie i

bezwzględnie rozlegały się odtąd ich głosy, skierowane przeciwko Rasputinowi; wykorzystywali każdą sposobność, aby dokuczyć Grzegorzowi Jefimowiczowi. Natomiast mnich Iljodor znajdował się wciąż jeszcze pod wpływem owego diabelskiego uroku, który go zmuszał wbrew jego najlepszym chęciom do występowania w obronie Rasputina. Kiedy słabowity starzec Teofan piorunował przeciwko Griszy swoim piszczącym głosem, on, wielki Iljodor, wzbudzający strach i grozę „gromicie!”, musiał wciąż jeszcze wlec się w ogonie Rasputina, wlec się pokornie i czołobitnie, jak gdyby był zwykłym sługą kościelnym. Nikt inny nie znał przy tym tak dokładnie piekielnych beze-

ceństwu Grzegorza Jefimowicza. Ani modlący się ciągle przed lampką oliwną Teofan, ani zaplątany w sieci kościelno-politycznych problemów Hermogen nie znali z własnego doświadczenia grzesznych i potępiania godnych praktyk Rasputina.

Pewnego razu przybył Grisza do Carycyna, a wkrótce potem zjawił się u Iljodora pewien ubogi woźnica, jeden z jego najwierniejszych zwolenników, z rozpaczliwą prośbą o pomoc i radę; żoną jego owładnął diabeł i tylko mnich Iljodor może ją przy pomocy silnych egzorcyzmów wybawić ze szponów szatana.

Iljodor udał się natychmiast do domu zrozpaczonego woźnicy; towarzyszył mu Grzegorz Jefimowicz. Żona woźnicy, młoda, tęga i przystojna kobieta, wiała się w kurczach na podłodze i wydawała bez przerwy okropne i wyuzdane okrzyki. Iljodor nie zaniedbał żadnego ze środków, jakich używają w tych okolicznościach prawowierni kapłani; pokropił kobietę święconą wodą, odmawiał, pochylony nad nią, przepisane modlitwy, umocnił nad jej głową wielki krucyfiks i zaklinał diabła, aż z jego czoła zaczął spływać pot. Ale kobieta krzyczała nadal, tarzała się na podłodze i nie wykazywała najlżejszych nawet objawów polepszenia. Wtem do Iljodora przystąpił Grisza, który dotychczas przypatrywał się wszystkiemu w milczeniu, poklepał go po plecach i rzekł: „Odejdź, nie znasz się wcale na tym! Zostawcie mnie samego z tą grzeszną kobietą, a wygonię z niej diabła rozpusty!” Kipiąc od nadmiaru wściekłości, odwrócił się mnich w milczeniu i opuścił w towarzystwie woźnicy pokój; niestosowne wmieszanie się do jego egzorcyzmów rozdrażniło Iljodora do tego stopnia, że najchętniej wybiczowałby Rasputina.

Przez dłuższy czas rozmawiał Iljodor w przyległym pokoju z nieszczęśliwym małżonkiem, dodawał mu otuchy, pocieszał i błogosławił, aż nagle zamilkły okrzyki kobiety, nastąpiła chwila trwożnego oczekiwania; naraz ukazała się w drzwiach pokoju przystojna żona woźnicy z uśmiechem na ustach, z zarumienionymi policzkami i jasnym, rozsądnym spojrzeniem. Za nią ukazał się Grisza; wkoło jego warg błąkał się chytry, pewny siebie i zadowolony ze zwycięstwa uśmiech. „No” zawołał z triumfem, „wygoniłem z niej gruntownie diabła!” Iljodor kipiał ze złości, zwrócił się jednak natychmiast do woźnicy i powiedział: „Grzegorz Jefimowicz jest naprawdę świętym mężem, zesłanym przez Boga cudotwórcą!” Woźnica upadł do

nóg Rasputina i całował, poruszony do głębi, jego ręce. Na drugi dzień rozeszły się wieści o cudownym wyleczeniu w całym Carycynie.

Przypadek sprawił, że w tym samym czasie ulokował się również diabeł w duszy siostrzenicy bogatej żony kupca, Lebediewej. Lebediewa słyszała już o uzdrowieniu żony woźnicy i najchętniej posłałaby wprost po Rasputina; nie chciała jednak obrazić Iljo-dora, poprosiła więc go, by wypędził diabła z siostrzenicy, licząc zapewne, że święty ojciec Grisza będzie i tym razem towarzyszył mnichowi.

Iljodor zapakował pośpiesznie do teczki niezbędne w tym wypadku przedmioty liturgiczne i udał się w drogę. I tym razem towarzyszył mu Grzegorz Jefimowicz.

Powtórzyło się uprzednie widowisko: kropienie święconą wodą zawiodło, modlitwy i zaklęcia mnicha nie dały żadnych widocznych rezultatów; w końcu wmieszał się Rasputin i zażądał, by Iljodor pozostawił jemu załatwienie się z diabłem. Pani domu była w cichości zadowolona z takiego obrotu sprawy, gdyż przez cały czas pokładała większe nadzieje w obcym starcu niż w zaklęciach mnicha.

Zanim Grisza rozpoczął swe dzieło, oświadczył, że pokój, w którym leży chora, nie nadaje się wcale do wypędzania diabła; przeszukał całe mieszkanie, znalazł w końcu mały, ustronny pokoik i kazał tam przenieść chorą. Uczyniono temu życzeniu zadość i Rasputin zamknął się z nieszczęśliwą siostrzenicą pani Lebediewej.

Tym razem nie oddał diabeł tak szybko swojej zdobyczy, gdyż upłynęło sporo czasu, a Rasputin nie ukazywał się. Iljodor nie mógł opanować niecierpliwości, chodził po wszystkich pokojach i w końcu znalazł się przed drzwiami pokoiku. Chora nie krzyczała już, była całkiem cicho, lecz

Grisza wciąż jeszcze się nie zjawiał.

Dopiero wieczorem opuścił Rasputin pokój i doniósł, że udało mu się wreszcie zwyciężyć złego ducha. Chora leżała spokojnie w łóżku i spała; śniła zapewne, że przebywa w gronie aniołów niebieskich, gdyż twarz śpiącej wyrażała radość i niebiański spokój.

Gdy wieść o tym drugim cudownym uleczeniu rozeszła się w Carycynie, urosła niepomiarnie sława Griszy, tym bardziej że

w tym czasie rozeszły się pogłoski, iż cudowny starzec to nikt inny, tylko słynny Rasputin z Petersburga, przyjaciel i doradca cara. Lud Carycyna, który przez długie lata słuchał z fanatyczną wiarą kazań Iljodora, począł teraz hołdować nowemu świętemu i jedna delegacja po drugiej zjawiała się w domu mnicha.

„Ten łajdak, ten obłudny łotr!” klął w duszy Iljodor, ilekroć zjawiała się u niego deputacja z prośbą o pozwolenie złożenia hołdu czcigodnemu starcowi z Petersburga. Na drugi dzień jednak ubierał się mnich w najpiękniejsze ornaty i chodził z Griszą od domu do domu. Wszędzie, na ulicy i po domach, witano Rasputina jak wysłańca niebios; ludzie pochylali się do jego stóp, całowali po rękach i prosili uniżenie o błogosławieństwo.

Iljodor zabiłby z rozkoszą tego brudnego chłopa, przyjmującego oznaki głębokiej czci ze strony całego miasta jako coś zrozumiałego samo przez się i należnego mu; niekiedy jednak przyłączał się do chóru ogólnych pochwał i głośno obwieszczał, że Grzegorz Jefimowicz jest prawdziwym dobroczyńcą ludzkości, że sam Bóg go zesłał, by służył carowi radą i pomocą.

Tymczasem mnożyły się grzeszne i wyuzdane wystąpienia Rasputina.

Iljodor wiedział o nich, nie mógł się jednak zdobyć na żaden inny czyn przeciwko znienawidzonemu obłudnikowi jak tylko na odwrócenie portretu Grzegorza, wiszącego nad łóżkiem mnicha, twarzą do ściany.

Uczył to za przykładem biskupa Hermogena i odtąd przebywało oblicze antychrysta w bezpośrednim sąsiedztwie ze ścianą.

Tymczasem Rasputin wymyślił nowy piekielny podstęp dla ostatecznego upokorzenia Iljodora; oświadczył pewnego razu, że zamierza odbyć

pokutniczą pielgrzymkę z Carycyna do Sarowa i wezwał mnicha, by go wyprowadził z miasta z uroczystą procesją; prócz tego zażądał, by mu przy pożegnaniu wręczono kwiaty i jakiś kosztowny podarunek. Iljodor burzył się w głębi ducha z powodu tych żądań, lecz znów nie zdobył się na odwagę przeciwstawienia się woli Rasputina. Zorganizował więc wielką, uroczystą procesję, sam ją poprowadził i towarzyszył Griszy przez znaczny kawał drogi prowadzącej do Sarowa; w końcu złożył mu czołobitnie życzenia dobrej podróży i wręczył mu na pożegnanie na oczach wszystkich uczestników procesji kosztowny podarunek. Wciąż bowiem stał jeszcze Iljodor pod władzą tajemniczego uroku płynącego od Grzegorza Jefimowicza i wciąż starał się na

próżno uwolnić od tego szatańskiego czaru. Udało mu się to dopiero później, w czasie wspólnej podróży do Pokrowskoje. miejsca rodzinnego Griszy.

Już w drodze puścił Grzegorz Jefimowicz wodze językowi i opisywał, nie kępując się niczym, wszystkie szczegóły swego grzesznego życia.

Zdawało się niekiedy, że opowiadanie drastycznych historii i kuszenie ascetycznego mnicha sprawia mu specjalną przyjemność. Opisywał dokładnie i szczegółowo, jak grzeszył z guwernantką carewicza i jak ta razem z wieśniaczką Łaptińską, pewną piękną księżną i kilkoma innymi paniami przybyła za nim w lecie do Wierchoturja; tam nurzał się z wszystkimi paniami po szyję w grzechu, aż kobiety i on „przewyciężyli władzę ciała” i stali się „beznamiętnymi”.

Długi czas ciągnął Grisza opowiadanie i bawił nim towarzysza podróży na wozie, w wagonie kolejowym i na okręcie, jak gdyby nie miało wcale końca. Surowy mnich, który przez całe życie w twardej ascezie walczył przeciwko pokusom zmysłowości, czuł ku swojemu wielkiemu przerażeniu, jak diabeł, przemawiający ustami Griszy, zwolna opanowuje jego duszę. Płonące, osłupiałe oczy Iljodora wpatrywały się uporczywie w opowiadającego, a usta otwierały się ciągle pod wpływem niekłamanego zdumienia; gdy Rasputin zapytał go w końcu nieco szyderczo, jak mu się to wszystko podoba, musiał Iljodor przyznać niepewnym głosem, że dotychczas nie śnił nawet, by rzeczy takie były możliwe.

Niejasno i instynktownie wyczuwał teraz mnich, że Grisza jest zbrodniczym heretykiem, wyznawcą sekty chłystów. Nieraz zdarzało mu się już słyszeć o piekielnych występkach i grzechach tej sekty. Jeśli to

przeświadczenie nie dało mu jeszcze siły do ostatecznego uwolnienia się od wpływu Rasputina, to jednak przyczyniło się bardzo do wzrostu potrzebnej do uwolnienia się odwagi. Inne, jeszcze silniejsze przeżycie miało go w ciągu tej podróży wyrwać z zaczarowanego koła uroków Rasputina i prócz tego dać mu nowe i nieoczekiwane możliwości działania.

Iljodor wiedział już od dłuższego czasu, że car i carowa uważali Griszę za świętego proroka; teraz dopiero dane mu było naocznie się przekonać, jak bardzo para cesarska ubóstwiała Rasputina. Już w drodze chełpił się Rasputin, że car uważa go za Zbawiciela i że tak car jak i carowa pochylają się przed nim do stóp i całują go po rękach. Pewnego razu zauważył Grisza na okręcie z zadzi-

wiającą pewnością siebie: „Carowa przysięgła, że wytrwa przy mnie i będzie mnie na wieki ceniła jako swego dobroczyńcę i wy-bawcę!” Po czym dodał: „Jestem z nią tak dobrze zaprzyjaźniony, że pozwoliła mi się nieraz nosić na rękach!”

Grisza opowiadał, natomiast Fiodor uczeplił się nadziei, że wy-nurzenia Rasputina są przesadzone i w ogóle kłamliwe. Myśl ta uspokoiła nieco jego serce przepełnione zawiścią. Jakież jednak było zdziwienie mnicha, gdy przestąpił w Pokrowskoje próg domu Griszy! Już wygląd zewnętrzny okazałych zabudowań mieszkal-nych i gospodarczych wywarł na nim silne wrażenie; wewnątrz mieszkania prześcignęło jednak wszystkie jego oczekiwania. Były to wprawdzie skromne pokoje wieśniacze, umeblowane po części równie skromnymi sprzętami; wszędzie jednak widniały okazałe wystawne części umeblowania, kosztowne kanapy skórzane, wi-tryny na szkło, bufety pełne wartościowego srebra, kryształowych pucharów i szkła. W jednym pokoju stał nawet fortepian, meble złożone, kwiaty i palmy; całe górne piętro pokryte było ciężkimi dywanami perskimi, a przy ścianach stały na podpórkach portrety rodziny carskiej, wielkich księżniczek, dostojników dwor-skich i ministrów, uporządkowane wedle stopnia godności danej osoby i zaopatrzone we własnoręczne i pochlebne dedykacje, jedna szafa była pełna drobiazgów, którymi dzieci cara zaszczy-ciły drogiego ojczulka; wzdłuż ścian wisały niezliczone święte obrazy, dary biskupów, mnichów, zakonnic i pobożnych ludzi świeckich. A cóż dopiero pokój do pracy! Miało się wrażenie, że siedzi się w gabinecie ministra; w jednym z kątów pokoju stały wartościowe, ciężkie fotele obite skórą, przed oknem zaś widniało o•lbrzymie dębowe biurko pokryte stosem papierów, akt, tele-gramów i listów.

Oczy Iljodora wychodziły wprost z orbit; teraz dopiero poznawał w całej pełni rzeczywistą władzę i doniosłe znaczenie Raspu-tina. Nie były to bowiem podarunki zwykłych mieszczan; Grze-gorz Jefimowicz podawał z ręcznie przy każdym sprzęcie, który to członek domu panującego, który wysoki dostojnik państwowy lub też która znana piękność stolicy zaszczycała go danym po-darunkiem.

Cały pobyt w Pokrowskoje zamienił się w ten sposób dla Iljo-dora w nieprzerwaną męczarnię. Na każdym kroku napotykał nowe dowody potężnych wpływów swego przeciwnika. Nawet

w czasie pracy na roli lub połowu ryb opowiadał Grisza bez przerwy, że idzie mu w życiu dobrze i że spotyka się ze wszech stron z dowodami bezgranicznego uwielbienia.

Pewnego wieczoru, w przeddzień wyjazdu Iljodora z Pokrow-skoje, przybył do domu Griszy goniec pocztowy, Michał, z wielkim listem zaopatrzonym w godła i pieczęcie carskie. Rasputin przeczytał otrzymane pismo, pogładził z zadowoleniem brodę i oświadczył gościowi, że jest to własnoręczny list carowej. Mnich nie mógł odtąd uzyskać chwili spokoju; w nocy podniósł się z łoża, zakradł się do pracowni gospodarza i przeszukał gorączkowo biurko, aż znalazł wspomniane pismo carowej. Treść listu wprawiła go w istny szal; carowa prosiła „przyjaciela” usilnymi i błagalnymi słowami, by przybył natychmiast do Carskiego Sioła, gdyż carewicz na nowo zachorował.

Iljodor nie zadowolili się jednak przeczytaniem tego jednego listu; przetrząsnął gruntownie wszystkie szuflady, aż znalazł w końcu paczuszkę, owiniętą w wielką chustę w niebieską kratę, zawierającą listy od carowej i wielkich księżniczek. Płonącymi oczyma przebiegał jedno pismo za drugim i w rezultacie doszedł do przekonania, że wszystko, co opowiadał Rasputin o swym stanowisku i wpływach na dworze, odpowiada rzeczywistości stanowi rzeczy.

W tej samej chwili jednak, gdy na duszę Iljodora spłynęły fale płomiennej, wszystko przesłaniającej nienawiści, poczuł, że opadł zeń ostatecznie ów szatański urok, który krępował go dotychczas w wystąpieniu przeciw Rasputinowi. Tak, teraz mógł swego wroga nienawidzić, nienawidzić swobodnie i bez żadnych zastrzeżeń! Odtąd rozpocznie się walka! Ten wstrętny i bezczelny chłop znajdzie od tej chwili w nim, w „wielkim

gromicielu", nieubłaganego i śmiertelnego wroga!

Iljodor zachował przy sobie kilka w specjalnie serdecznym tonie utrzymanych listów od carowej i wielkich księżniczek; była to wprawdzie kradzież i grzech, lecz występki popełniane w imię prawdy i gwoli zbawienia domu panującego i całego narodu dawał się bardzo łatwo usprawiedliwić. Na drugi dzień opuścił mnich Pokrowskoje z silnym postanowieniem, by wystąpić do boju przeciw Rasputinowi, obrachować się z nim ostatecznie, zdemaskować go i przedstawić parze cesarskiej dowody szkodliwości i obłudy ich pupila. W tym celu wyjechał wprost do Petersburga.

Oczywiście Iljodor zdawał sobie w pełni sprawę z trudności, jakie go czekają w urzeczywistnieniu takich planów; widział przecież niedawno, jak sędziwy ojciec Teofan, który próbował wystąpić na dworze przeciw wszechwładnemu starcowi, musiał zamilknąć.

Pamiętał również doskonale groźny wyraz twarzy, z jakim Grisza wołał za rektorem teologicznej akademii: „Temu to ja jeszcze pokażę!” Nie było też przypadkiem, że Teofan, długoletni kaznodzieja dworski i spowiednik carowej, został zwolniony ze swego wysokiego stanowiska i przeniesiony w drodze karnej do Taurydy.

Mimo wszystko nie tracił jednak Iljodor odwagi i był pewny zwycięstwa; czy to nie jego właśnie nazywano „rycerzem królestwa niebieskiego”? Czyż on, „wielki gromiciel”, nie wzbudzał powszechnie czci, postrachu i grozy dla swej nieustraszoneści? On, który utracił wszechwładnych gubernatorów, który sprzeciwiał się zarządzeniom ministrów, szefów policji, a nawet świętego synodu, miałby się teraz obawiać wystąpić przeciw temu chłopu i otworzyć władcom Rosji oczy na prawdziwą wartość tego prostaka?

Od tej błogosławionej nocy, gdy przy biurku Rasputina rozplywał się w nicość ów tajemniczy czar, odzyskał Iljodor z powrotem zdolności do łajania i gromienia grzeszników, ów podniosły dar, którym nikt od czasów proroków Starego Testamentu nie władał tak mistrzowsko jak mnich z Carycyna. Obwieszczał odtąd głośno całemu światu, że Rasputin jest zbrodniczym potworem i wyrzutkiem piekieł, zasługującym na wytepienie jak dokuczliwe robactwo. Złorzeczenia i klątwy przeciwko Griszy nie

wyczerpywały się, coraz to nowe szczegóły grzechów i wyuzdania Rasputina wychodziły dzięki niemu na jaw. Opowiadał teraz nawet, że w domu żony kupca Lebediewa w Carycynie zaglądnął przez dziurkę od klucza, a to, co przedstawiło się jego oczom, było wszystkim innym, tylko nie walką świętego z szatanem!

Cóż dopiero te wieczne „pocałunki braterskie”, jakimi Rasputin zwykł był obsypywać kobiety na przywitaniu! Dlaczego całował tylko piękne i młode kobiety, dlaczego nie zadał sobie nigdy

trudu, by drogą pocałunku pozwolić spłynąć świętemu duchowi na sędziwe staruszki? Z wykrzywioną od nadmiaru wstrętu i nienawiści twarzą opowiadał Iljodor o pięknej, bujnie rozwiniętej żonie woźnicy, Helenie, którą Rasputin całkowicie uwikłał w swoje sieci; mąż jej, dzielny i oddany wyznawca prawowitego kościoła, który pomagał co sił w budowie planowanej przez Iljodora „góry Tabor”, bardzo źle wyszedł na „cudach” Rasputina.

Bez wszelkich osłonek donosił mnich każdemu, kto tylko chciał go wysłuchać, że Grisza usiłował w czasie wspólnej podróży do Pokrowskoje rjawić go na heretycką wiarę chłystów; gdy pewnego razu zapytał ktoś o świętego ojca Grzegorza, napadł Iljodor na nieszczęśliwca z pianą na ustach: „Tak, święty! To raczej święty diabeł!”

Udał się do Hermogena, który właśnie bawił w Petersburgu, by go pozyskać do wspólnej wyprawy przeciwko „świętemu diabłowi”. Po pozyskaniu Hermogena rozpoczął zasypywać listami demaskującymi Rasputina wszystkich wysokich dostojników państwowych, a nawet samego cara. Zwrócił się również do doktora Badmajewa, usiłując wykorzystać jego wpływy u cara dla zaszkodzenia Rasputinowi.

„Zaklinam Pana” pisał Iljodor do Tybe-tańczyka, „skończ Pan z Rasputinem! Władza jego rośnie z każdym dniem, liczniejszą staje się armia zwolenników i znaczenie wśród ludu! Nie chodzi mi wcale o własny los, lecz słowa powyższe dyktuje mi jedynie troska o losy rodu panującego! Musi Pan zrozumieć, że to wszystko doprowadzi do niesłychanego skandalu, a kto wie czy nie do rewolucji! Na litość Boską, należy jak najszybciej zmusić Rasputina do milczenia! Każdy dzień jest w tym względzie cenny!”

W rozmowie z Hermogenem oświadczy} Iljodor, trzęsąc się z gniewu:

„Chciałbym zobaczyć, czy rodzina cara odsunie się od tego łotra, czy nie!

Co to ma oznaczać? Umieramy za cara, przechodzimy katusze, a oni wyprawiają niebywałe historie z tym rozwiązłym człowiekiem!"

Do zastępu bezwzględnych towarzyszy broni „rycerza królestwa niebieskiego" zgłosił się na samym wstępie „cudowny opętaniec" Mitia Koliaba. Zjawienie się Rasputina pozbawiło go na lata całe, a może nawet na wieki, intratnego stanowiska na dworze carskim. Na próżno jęczał, na próżno stękał wciąż i ryczał, daremnie przepowiadał swymi drgającymi nerwowo kikutami za

pośrednictwem śpiewaka psalmów Jegorowa najokropniejsze nieszczęścia, które spłyną na dwór, jeśli się natychmiast nie oddali chłopca Grzegorza Jefimowicza; nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na jego święte oburzenie, nie zadawano sobie na dworze nawet trudu, by wysłuchać do końca słów Jegorowa. Jeśli bowiem Mikołaj lub Aleksandra pragnęli uchylić rąbka przyszłości, zwracali się chętniej do Grzegorza Jefimowicza, który umiał lepiej patrzeć w przyszłość niż Mitia Koliaba i który mówił prócz tego ogólnie zrozumiałym, czasem aż nadto zrozumiałym językiem. Również i w rozmaitych mistycznych kółkach i salonach stracono wszelkie zainteresowanie dla cudownego opętańca. Powszechną popularnością w tych kołach cieszył się wyłącznie Rasputin. Biedny Mitia Koliaba i jego tłumacz popadli w ogólne zapomnienie. Obydwaj starali się zmniejszyć przynajmniej grożące im niebezpieczeństwo i wszelkimi możliwymi sposobami podkopywali znaczenie Grzegorza Jefimowicza, „fałszywego proroka”.

Nic dziwnego, że Mitia Koliaba przyjął Hermogena i Iljodora radosnym chrząkaniem i natychmiast zgodził się na udział w wyprawie przeciw „świętemu diabłowi”. Wkrótce odbyło się posiedzenie prawdziwej rady wojennej, w którym wzięli udział biskup „gromiciel”, cudowny opętaniec i śpiewak psalmów. Iljodor i Her-mogen usiłowali przedtem jeszcze pozyskać dla swych celów ówczesnego ministra sprawiedliwości, Szczegłowitowa. Zjawili się u niego nad wyraz uroczyście i dowiadywali się, czy jest możliwe usunięcie Rasputina normalną drogą prawną; minister nie odważył się jednak na podjęcie jakichkolwiek kroków przeciwko wszechwładnemu „przyjacielowi”.

Okazało się więc w końcu, że tą drogą nie wskóra się niczego przeciw

Rasputinowi. Spiskowcy postanowili wobec tego wymusić w drodze gwałtu od Grzegorza Jefimowicza uroczyste przyznanie się do winy i złożenie aktu skruchy.

Rasputin wrócił niedawno z odwiedzin u pary cesarskiej na Krymie.

Niebawem zjawił się u niego Iljodor i opowiedział, że biskup Hermogen żałuje głęboko swych dotychczasowych wystąpień skierowanych przeciwko Griszy, że pragnie jak najrychlej go przeprosić i prosi łaskawie, by Rasputin odwiedził go. Starzec wpadł w pułapkę: pojechał natychmiast do mieszkania biskupa, gdzie zastał prócz Koliaby kilku obcych świadków, między innymi

dwóch kapłanów i jednego, na wszelki wypadek sprowadzonego dziennikarza.

Gdy Rasputin zauważył przy wejściu, że Hermogen nie jest sam, przeczuł od razu nieprzyjemne skutki odwiedzin; ale już w następnej chwili ruszył przeciwko niemu w napadzie szału Mitia Koliaba i rozpoczął przeklinać Grzegorza Jefimowicza, szczekając jękliwie jak szalony i wywijając groźnie kikutami przed oczyma napadniętego. Rasputin, rozwścieczony, szykował się do obrony, gdy naraz wkroczył, wywijając ciężkim krucyfiksem, pomiędzy wzajemnie się przeklinających cudotwórców olbrzymi ojciec Hermogen i wkrótce posypały się na głowę Rasputina niezliczone razy.

Nastąpiła dzika i bezładna bijatyka, w czasie której Iljodor wygłosił patetyczną mowę, wyliczając grzechy Grzegorza Jefimowicza, naszpikowaną rozlicznymi cytatami z Pisma Świętego. W końcu rzucili się wszyscy na Rasputina, zbili go niemiłosiernie i zmusili za pomocą straszliwych pogroźek do złożenia uroczystego przyznania się do winy. Potem zawleczono go do przyległej kapliczki domowej i tam musiał Rasputin przysięgać na wszystkich świętych, że będzie odtąd unikał wszelkiego kontaktu z parą cesarską.

W danej sytuacji, w obliczu liczniejszych i do tego uzbrojonych w krucyfiks wrogów nie pozostało bezbronnemu starcowi nic innego, jak tylko zgodzić się na wszystkie przedstawione mu żądania i złożyć przysięgę. Równocześnie jednak postanowił w duchu zemścić się srogo na swych przeciwnikach.

Rasputin znalazł się w końcu na wolności i natychmiast pobiegł do urzędu telegraficznego, skąd nadał długą depeszę do cara, do Jałty; Grzegorz

Jefimowicz donosił mianowicie, że Hermogen i Iljodor uknuli spisek godzący w jego życie i tylko dzięki pomocy boskiej udało mu się w ostatniej chwili ująć grożącą śmierci.

Rasputin nie ograniczył się jednak do zameldowania carowi, lecz powziął zamiar odplacenia swoim wrogom tą samą monetą. Zwrócił się w tym celu do pani Gołowinej z prośbą, by telefonicznie zaprosiła do siebie na następny dzień Iljodora; w domu „starej mateczki kościelnej” oczekiwała mnicha ta sama pułapka, w jaką wpadł przedtem starzec.

Grzegorz Jefimowicz zgromadził mianowicie koło siebie kilkanaście oddanych mu zwolenniczek i gdy tylko zjawił się Iljodor.

apadł od razu na niego i zarzucił potokiem wyrzutów i przeleństw. Rozgoryczone i podburzone kobiety napadły również na Iljodora i okazywały wyraźną chęć wydrapania mu oczu. „Gromiciel” rzucił się do ucieczki. W tej chwili ukazał się na widowni pan Pistol Kors, szwagier pani Wyrubowej, mężczyzna wysokiego wzrostu, który miał również najlepsze zamiary zapoznania się ze skórą mnicha; w ostatniej chwili udało się jeszcze Iljodorowi dopaść drzwi i umknąć przed prześladowaniami całej gromady rozjuszonych kobiet.

W kilka dni potem przybyło do Petersburga zarządzenie cara, zawierające srogi karę dla obydwu inicjatorów zamachu na Rasputina; Hermogen stracił biskupstwo i powędrował do pewnego litewskiego klasztoru, Iljodora zaś uwięziono w klasztorze Flori-czewa-Pustyń.

Niedługo potem uciekł mnich z klasztornej więzienia. Ponieważ nie mógł już dłużej pozostać w Rosji, schronił się do Norwegii, skąd rozpoczął na szeroką skalę zakrojoną kampanię przeciwko starcowi. Przede wszystkim zajął się ułożeniem paszkwilu pod tytułem „Święty demon”. Opublikował w nim niezliczoną ilość fantastycznych oskarżeń przeciw Grzegorzowi Jefimowiczowi, umieścił również odpisy kilku listów carowej i wielkich księżniczek, których oryginały znajdowały się w jego posiadaniu. Dokumenty cytowane w paszkwilu były po największej części sfałszowane. Celem napaści Iljodora był nie tylko Rasputin, jego odwieczny wróg; również na rodzinę cara posypały się liczne oskarżenia i wyzwiska.

Wygnanemu mnichowi nie udało się wówczas jeszcze wydać wspomnianego pisma drukiem, gdyż w Norwegii nie było w tych czasach najlżejszego choćby zainteresowania dla podobnych rewelacji.

Manuskrypt „Świętego demona" powędrował tymczasowo do szuflady i oczekiwał odpowiedniej okazji. Natomiast autor paszkwilu zajął się urzeczywistnianiem bardziej groźnych planów, gdyż zorganizował ze swego bezpiecznego ukrycia zamach na życie Grzegorza Jefimowicza. Iljodor posłużył się w przeprowadzeniu tych planów swymi licznymi zwolennikami, jakich posiadał jeszcze w Rosji. Szczególnie w Carycynie było wielu fanatycznych wielbicieli wygnanego gromiciela. Już w roku 1913 zebrała się pewna grupa zwolenni-

czek Iljodora i uchwaliła pomścić przykrości i zniewagi, jakie spadły na głowę uwielbianego przez nich mnicha. W tym celu wypracowały szczegółowy plan uprowadzenia Rasputina celem pozbawienia go cech męskich. Były jednak na tyle nieostrożne, że opowiadały na wsze strony o poczynionych przygotowaniach. Nic dziwnego, że niejaki Sinicyn ostrzegł w porę Rasputina przed grożącym niebezpieczeństwem.

Ci sami spiskowcy w spódnicach utworzyli w roku 1914 na rozkaz Iljodora tak zwany „komitet akcji”, komitet ten wynalazł po wielu poszukiwaniach wstrętą, podupadłą prostytutkę, niejaką Kionję Gusjewę, osobę bardzo nerwową i przeczuloną na tle religijnym, która dała się łatwo nakłonić do pomszczenia „grzesznych występień” Rasputina. W tym celu udała się do Pokrowskije i zamieszkała tam u pewnego chłopca pod pozorem, że zamierza odpocząć kilka dni po trudach pokutniczej pielgrzymki.

Upłynęło kilka dni, aż znalazła się dogodna sposobność do wykonania planowanego zamachu. 28 czerwca, na kilka dni przed wybuchem wojny światowej, otrzymał Rasputin telegram od carowej. Grzegorz Jefimowicz wyszedł na ulicę, chcąc dogonić posłańca pocztowego, aby mu dać natychmiast odpowiedź na pytania carowej. W tej chwili doszła doń Gusjewa, która włóczyła się stale w pobliżu zabudowań Rasputina i wyciągnęła błagalnie dłoń z prośbą o jałmużnę; gdy starzec sięgnął do kieszeni, uderzyła go w dolną część ciała z góry przygotowanym do tego celu nożem i zaczęła przeraźliwie krzyczeć, że uśmierciła antychrysta. Grzegorz Jefimowicz nie upadł. Utrzymał się na nogach ostatnim wysiłkiem woli, przycisnął ręce do broczącej krwią rany i zawlókł się do domu, gdzie starcił natychmiast przytomność. Sprawczynię zamachu,

wrzeszczącą jak oszalała, uspokojono z wielkim trudem, po czym osadzono w areszcie gminnym.

Okazało się, że rana Rasputina była ciężka; gdy po ośmiogodzinnej jeździe na wozie przybył z Tiumenu telegraficznie zawezwany lekarz, musiał natychmiast przystąpić do ciężkiej operacji rannego. Operacja odbyła się przy blasku świec w wielkim pokoju jadalnym domu mieszkalnego Griszy.

W kilka dni potem odwieziono Grzegorza Jefimowicza do szpitala w Tiumenu, gdzie przez kilka tygodni walczył ze śmiercią.

Śledztwo w sprawie zamachu okazało, że sprawczyni zbrodni-

czego czynu jest nie przy zdrowych zmysłach. Władze sądowe postanowiły wobec tego wstrzymać dochodzenia karne i umieścić podsądną w zakładzie dla obłąkanych. Taka likwidacja całej sprawy zadowolila wszystkich zainteresowanych, tym bardziej że publiczny proces byłby niezmiernie kłopotliwy dla pary cesarskiej.

|
|

Przyjęcia u księcia Andronnikowa

Pewnego mglistego poranku w zimie roku 1914 pędziły przez Fontankę w Petersburgu sanie. W saniach siedział owinięty ciężkimi futrami Rasputin. Obok przemknął w pełnym pędzie samochód księcia Andronnikowa.

Grzegorz Jefimowicz poznał go na pierwszy rzut oka, aczkolwiek nie znał osobiście księcia, a tylko niekiedy widywał go w różnych okolicznościach. Natychmiast wychylił się z mknących sań, począł wymachiwać ramionami i krzyknął na cały głos: „Mikołaju Piotrowiczu! Zatrzymaj się pan na chwilę! Zdążysz jeszcze na pewno na czas!”

Zawołany dał nakaz zatrzymania samochodu i patrzył w zdumieniu na mężczyznę w saniach, którego mimo usilnych starań nie mógł sobie wcale przypomnieć. Rasputin dał izwoszczyko-wi rozkaz przerwania jazdy, wygramolił się z trudem z futrzanego okrycia, wyszedł z sań i rzucił się do Mikołaja Piotrowicza, by go uścisnąć. „Czemu tak patrzysz na mnie?” zawołał. „Nie poznajesz mnie?”

„Mam wrażenie, że znajduje się pan w błędzie” odpowiedział właściciel samochodu, „jestem księżę Andronnikow!”

„Całkiem słusznie, mój kochany, wiem doskonale, kogo mam przed sobą! A ja jestem Grzegorz Jefimowicz Rasputin! Dokąd jedziesz?”

„Do domu” odpowiedział księżę. Wyraz jego twarzy zdradzał żywe zadowolenie z nieoczekiwanego i przypadkowego spotkania.

„A wiesz ty co?” zawołał Rasputin. „Jadę z tobą! Sam Bóg mi cię zesłał; mamy ze sobą wieledo powiedzenia!”

Księżę Mikołaj Piotrowicz zdawał sobie już na miejscu, na

Fontance, w całej pełni sprawę z wagi nowej znajomości i wszystkich tego konsekwencji. I chociaż sprawy religii odgrywały w jego życiu tylko nieznaczną rolę, narzuconą zresztą przez wzgląd na interesy i stosunki towarzyskie, to tym razem opanowało go uczucie prawdziwej wdzięczności dla Boga, który tak cudownie rzucił Rasputina w poprzek jego drogi życiowej.

„A gdzie się znajdują twoje słynne ikony z kosztownym obrazem Świętej Matki Bożej na czele?” dowiadywał się Rasputin, zaledwie przestąpił próg mieszkania Andronnikowa. „Opowiadano mi, że posiadasz w domu prawdziwą kapliczkę!”

Księżę bardzo chętnie zaprowadził gościa do sypialni, która istotnie wyglądała jak nisza w kościele; starzec upadł natychmiast na kolana i zatopił się w dłuższej modlitwie, w której wziął również udział gospodarz z obowiązkową w tym wypadku pobożnością. Grzegorz Jefimowicz zakończył modły, skinął na księcia i powiedział: „No, Mikołaju Piotrowiczu, wzmocniliśmy się na duchu modlitwą, możemy więc spokojnie wziąć się do omawiania pewnych spraw świeckich!”

Wkrótce wywiązała się w salonie księcia Andronnikowa ożywiona wymiana zdań, tycząca się w pierwszym rzędzie osoby znienawidzonego przez Rasputina ministra wojny Suchomlino-wa46. Starzec powiedział, że Suchomlinow nazwał go pewnego razu bydlęciem i za to wyrażenie musi w przyszłości ciężko odpokutować; ustąpi mianowicie ze swego ministerialnego stanowiska. Andronnikow potakiwał z całą gorliwością rozdrażnionemu gościowi, gdyż i on sam miał pewne porachunki z ministrem wojny, chętnie więc przyjmował do wiadomości, że Rasputin jest wrogo usposobiony wobec Suchomlinowa. W końcu obaj panowie

postanowili zgodnie rozpocząć akcję w celu utracenia wspólnego wroga. Szczegółowo i zapalczywie opowiadał gospodarz gościowi o wszystkich błędach i słabościach ministra wojny, aż wreszcie Rasputin przerwał potok jego słów z oznakami silnego zniecierpliwienia.

„Ach" zawołał, „wiesz, mój drogi, przyjdę lepiej do ciebie jutro wieczorem; przygotuj trochę ryb i zamów kilka flaszek ma-dery. Przy rybach i winie toczy się rozmowa dużo lepiej! Tak ważne sprawy jak te, które omawiamy, dają się załatwić z dobrym skutkiem tylko przy obfitej i smacznej kolacji!"

Andronnikow zgodził się chętnie na projekt Rasputina i po-

żegnał uniżenie wszechwładnego gościa; Grzegorz Jefimowicz stał już przy drzwiach, gdy naraz wrócił się, zażądał przyrządów do pisania i nagryzmolił kilka słów na kawałeczku papieru: „Jesteś człowiekiem o silnej woli! Twoja siła leży w twej woli!” Tę karteczkę wręczył księciu z prośbą, by ją zachował jako pamiątkę pierwszej rozmowy; „Będziemy jeszcze dobrymi przyjaciółmi!”, zapowiedział.

Na drugi dzień punktualnie zjawił się starzec u Andronnikowa. Książę przygotował wystawną kolację, zamówił ulubione potrawy i napoje Rasputina i zaprosił swoją przyjaciółkę Czerwińską, która była wprawdzie krewną żony Suchomlinowa, lecz żyła na najgorszej stopie z rodziną ministra wojny. Przyjaciółka księcia była wysokiego wzrostu, elegancka, miała piękne oczy, lecz wydawała się już nieco zwiędła, co w owych czasach zdarzało się bardzo często u kobiet, których wiek sięgał czterdziestki. Prawdziwe uduchowanie i duża inteligencja dawały jej jednak możliwość prowadzenia interesujących rozmów z każdym mężczyzną. Dla ludzi wysokiej kultury umysłowej stawały się rozmowy z Czerwińską źródłem prawdziwego zadowolenia. Prócz tego cechowała ją bezwzględna dyskrecja, a w danym wypadku była cenną sojuszniczką w walce przeciw ministrowi wojny, gdyż posiadała o wiele więcej informacji o Suchomlinowach niż sam książę.

Rasputin ucieszył się bardzo na widok przystojnej damy, natychmiast uścisnął ją, ucałował potem księcia, zamienił z nim kilka słów i znów objął ramionami panią Czerwińską; Grzegorz Jefimowicz witał się bardzo chętnie dwa razy z kobietami, które przypadły mu do gustu.

Po czym udali się w trójkę do stołu i zaczęli omawiać wszystkie szczegóły sprawy Suchomlinowa. Starzec nie dał sobie dwa razy powtarzać

zaproszenia do jedzenia, lecz wyciągał z wielkiej misy jedną apetyczną rybę po drugiej, rozdzierał je w powietrzu rękami i wgryzał się z apetytem w delikatne mięso.

Natomiast pani Czerwińska manipulowała wciąż widelcami, spoczywającymi w jej długich, pięknych palcach i oczyszczała dokładnie każdy kawałeczek ryby, zanim go wzięła do ust. Prawdę mówiąc, przyjaciółka księcia Andronnikowa niewiele jadła, gdyż z powodu nieprzerwanego opowiadania o coraz to nowych brudnych aferach ministra i jego żony nie wyszła daleko poza oczy-

szczenie i usunięcie ości z ryby leżącej na jej talerzu. Równie ma-ło jadł książę; przejęty całkowicie sprawą utracenia Suchomlino-wa, snuł nieprzerwanie nowe plany i intrygi. Natomiast Grzegorz efimowicz połykał jedną rybę po drugiej, wypił kilka kielichów wina, dzięki czemu wpadł w dobry nastrój i mlaskał z zadowolenia, niekiedy zatrzymywał się nagle w połowie jedzenia z kawałkiem ryby w ręku i zapowiadał, że da się jeszcze we znaki Suchomli-nowowi. Jeszcze przez kilka sekund wywijał groźnie w powietrzu przepołowioną rybą, po czym kontynuował przerwana na chwilę ucztę.

Niekiedy jednak rozpoczynał nieoczekiwanie mówić o zgoła innych sprawach, gdyż umysł jego zaprzętały równocześnie roz-maite problemy. Grzegorz Jefimowicz nie lubił pozostawać zbyt długo przy jednym temacie, gdyż uważał, że nawet najtrudniejsze najbardziej skomplikowane sprawy można załatwić krótkimi zdaniem w rodzaju: „Już ja się z tym uporam!” Kilkakroć zapo-minał w zupełności o aferze Suchomlinowa i rozpoczynał, obra-cając między palcami kawałki ryb, prawić o swoich stosunkach z Bogiem. Mówił o trudnych zagadnieniach wiary i duszy ludzkiej rzucał kilka krótkich, soczystych zdań, po czym pogrązał się w głębokim milczeniu. Książę Andronnikow i jego przyjaciółka Czerwińska zaskoczeni byli mądrością Rasputina i podziwiali jego biegłość w rozwiązywaniu problemów religijnych.

W końcu zerwał się starzec z miejsca, obtarł rękawem brodę z resztek wina, odszedł od stołu i zapowiedział jeszcze raz, że skończy niebawem z tym całym Suchomlinowem. Dla wyjaśnienia dodał: „Musicie bowiem wiedzieć, że Ojciec i Matka robią wszystko, co ja każę!” Następnie pocałował Czerwińską, uścisnął pana domu i ruszył ku drzwiom. „Kupcy z

Syberii", krzyknął jeszcze z drogi, „oczekują mnie w Villa Rode; przywieźli dla mnie dywany i zamówili Cyganów!" Zanucił kilka taktów z „Trojki", uczynił kilka tanecznych kroków, popatrzył miłośnie w oczy pani Czerwińskiej i zniknął.

*

Upłynął rok. Jesienią roku 1915 odwiedziła pani Czerwińska nowo mianowanego zastępcę ministra Bieleckiego, chcąc się dowiedzieć o losach wniesionego przez nią od dawna podania.

W rozmowie, jaka się wywiązała, rzuciła pani Czerwińska jakby od niechcienia, trzymając między palcami długi i cienki papieros: „Wczoraj był znów u nas ojciec Grisza na kolacji. Opowiadał Mikołajowi Piotrowiczowi i mnie wiele ciekawych rzeczy o carze i carowej!”

Zastępca ministra bawił się dotychczas ciężkim łańcuszkiem od zegarka i okazywał bardzo mało zainteresowania dla słów gościa. Gdy jednak padło nazwisko Rasputina, nastawił uszu i poprosił o dokładne sprawozdanie z rozmów, jakie toczyły się onegdaj w domu księcia Andronnikowa.

Naturalnie przyrzekł natychmiast załatwić korzystnie sprawę pani Czerwińskiej. Prócz tego polecił przekazać serdeczne pozdrowienia księciu Mikołajowi Piotrowiczowi, którego niestety nie widział już od dłuższego czasu.

Senator Stefan Piotrowicz Bielecki piastował dopiero od niedawnego czasu urząd zastępcy ministra. Nominacja Bieleckiego ukazała się równocześnie z objęciem stanowiska ministra spraw wewnętrznych przez Chwostowa 47. Do zakresu działania zastępcy ministra spraw wewnętrznych należało kierowanie policją, a przede wszystkim wywiadem politycznym. Gdy wielki książę Mikołaj Mikołajewicz i „prawdziwi Rosjanie” odwrócili się od Rasputina, wziął i Bielecki udział w kampanii skierowanej przeciwko Grzegorzowi Jefimowiczowi. Niebawem okazał się najzręczniejszym pomocnikiem obozu wrogiego starcowi. Prawie codziennie donosił pułkownikowi Balińskiemu, szefowi kancelarii wielkiego księcia, o pijatykach i skandalach Rasputina. W ten sposób gromadziły się w rękach „Mikołajewiczów” i ich małżonek cenne materiały dotyczące Grzegorza Jefimowicza.

Nowy zastępca ministra spraw wewnętrznych, doskonały fachowiec w

dziedzinie wywiadu politycznego, poznał od razu, że w przyjaźni Grzegorza Jefimowicza z księciem Andronnikowem i panią Czerwińską kryją się olbrzymie możliwości zdobywania materiału niezbędnego do walki z Rasputinem. Regularnie odbywające się przyjęcia dawały doskonałą i stałą sposobność zapoznawania się z prywatnymi wynurzeniami Rasputina. Materiał zdobyty tą drogą był cennym nabytkiem w walce wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza i „prawdziwych Rosjan” przeciw Grzegorzowi Jefimowiczowi. Niezależnie od swoich prywatnych celów Bielecki ocenił należycie poważne znaczenie owych regularnych uczt rybnych dla samego ministra, któremu w wysokim stopniu

zależało na tym, by znać wszystkie plany i zamiary wszechwładnego „przyjaciela”.

Bielecki zaprosił wkrótce do siebie księcia Andronnikowa po uprzednim przewertowaniu akt celem stwierdzenia jego dotychczasowego stosunku do ministerstwa. Z prawdziwym zadowoleniem stwierdził, że książę pobierał już przedtem regularne zasiłki z funduszków ministerstwa i nieraz już dostarczał wiadomości wywiadowi politycznemu. Nic więc dziwnego, że gdy Andronnikow zjawił się w biurze Bieleckiego, ten ograniczył się jedynie do wymiany najkonieczniejszych grzeczności towarzyskich, zamienił z nim kilka obowiązujących obie strony zdań i przeszedł od razu do sedna sprawy, tak jak to zwykli czynić szef policji ze swoim agentem. Śpiewnym, przesadnie melodyjnym głosem podał księciu przyczyny, dla których zaprosił go do siebie:

„Mój kochany Mikołaju Piotrowiczu, słyszeliśmy o kolacjach urządzanych przez pana dla Rasputina. Minister i ja cenilibyśmy sobie wielce, gdyby te przyjęcia odbywały się nadal regularnie, jeśli możliwe nawet dwa razy w tygodniu. Od czasu do czasu pozwolimy sobie przy tej sposobności skorzystać z pańskiej gościnności. Wie pan zapewne z przeszłości, że ministerstwo nie jest w tych wypadkach małostkowe. Jesteśmy skłonni pokryć wszelkie koszty związane z goszczeniem Grzegorza Jefimowicza, a prócz tego może pan liczyć na nasze bezwzględne poparcie w pańskich osobistych sprawach”.

W końcu zauważył jeszcze Bielecki, że byłoby polecenia godne, by pani Czerwińska brała nadal udział w zebraniach towarzyskich z Rasputinem, gdyż mogłaby w taktownej formie skierowywać rozmowę na pewne określone tematy i zadawać pewne określone pytania. Jeszcze raz

nadmienił, że ministerstwo nie będzie w tym wypadku skąpić funduszków, po czym zakończył przemowę i pełen oczekiwaniami oddał się obserwacji wyrazu twarzy księcia, patrząc weń uporczywie okrągłymi, pływającymi w tłuszczu oczami.

Książę Andronnikow posiadał jednak również doświadczenie w sprawach wywiadu, toteż nie zadowolił się pustymi i nieokreślonymi przyrzeczeniami na przyszłość. Uważał raczej za wskazane przejść do ustalenia konkretnych świadczeń ze strony ministerstwa za usługi, jakie miał odtąd oddawać. Powiedział więc, że jest wprawdzie gotów zadośćuczynić życzeniu ministra spraw wewnętrznych, nie może jednak pod żadnym warunkiem zgodzić się

na zwrot kosztów wyłożonych na urządzenie przyjęć; prosiłby natomiast, by ministerstwo było mu pomocne w wydawaniu jego dziennika „Głos Rosji”, tym bardziej że zamierza w tym piśmie popierać politykę zaprzyjaźnionych z nim ministrów.

Bielecki zrozumiał w lot życzenia księcia i niedługo ustalono zgodnie warunki przyszłej współpracy; Andronnikow opuścił gabinet zastępcy ministra ze stanowczym przyrzeczeniem, że wszystkie urzędy podległe ministerstwu będą odtąd udzielać obfitych subwencji pismu „Głos Rosji”, prócz tego zaś otrzyma pani Czerwińska odpowiednie wynagrodzenie miesięczne i to tak długo, jak długo będą się odbywały przyjęcia u księcia Andronnikowa. Ten ze swej strony zobowiązał się gościć u siebie Rasputina co najmniej dwa razy w tygodniu, przesyłać do ministerstwa szczegółowe sprawozdania z rozmów z Grzegorzem Jefimowiczem i prócz tego zapraszać również od czasu do czasu ministra Chwostowa lub jego zastępcę, Bieleckiego. Ustalono równocześnie, że celem zachęcenia Rasputina do częstszych i regularnych odwiedzin u księcia będzie mu ten ostatni za każdym razem wręczał większą sumę pieniężną z funduszków ministerstwa spraw wewnętrznych.

Wszystko zostało więc przygotowane jak najlepiej. Chwostow i Bielecki nie mogli się jednak pozbyć uczucia dręczącego nie-pokoju i gdy po raz pierwszy wsiadali do samochodu udając się do domu księcia. Bielecki zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że Rasputin jest poinformowany o jego stosunkach z wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem, gdyż wiadomo było powszechnie, że równoległe do akcji wywiadu politycznego toczyła się również praca agentów Rasputina. Chwostow nie miał też spokojnego sumienia; wprawdzie przykry wypadek, jaki rozegrał się

swego czasu w Niżnym Nowgorodzie, uległ prawie że zapomnieniu od czasu, gdy Chwostow udobruchał starca swym pięknym basem, jednak przy zabieganiu o fotel ministra spraw wewnętrznych popełnił kilka poważnych błędów: w niecierpliwej pogoni za tytułem ministra nie czekał Chwostow na powrót Grzegorza Jefimowicza z wycieczki do dalekiego Pokrowskoje; przeciwnie, w czasie nieobecności wszechwładnego „przyjaciela” puścił w ruch potrzebną w tym celu maszynę i uzyskał nominację na ministra. Rasputin nie cierpiał takiej samodzielności i działania na własną rękę, toteż Chwostow oczekiwał spotkania z Grzegorzem Jefimowiczem z mieszanymi uczuciami.

Po pierwszych przywitaniach w salonie księcia Andronnikowa wzrosło jeszcze bardziej zakłopotanie obydwu ministrów, gdyż starzec, z prawą ręką wsuniętą za pas, krążył w głuchym milczeniu po pokoju i mierzył wciąż nieprzyjaznym i badawczym wzrokiem tęgiego Chwostowa.

Zakłopotanie stało się powszechne i nawet książę Andronnikow, człowiek bardzo doświadczony w likwidowaniu zatargów towarzyskich, poczuł, że nie dorósł do sytuacji. Nagle zatrzymał się Rasputin przed Chwostowem i powiedział, patrząc nań ostrym i surowym wzrokiem: „Tak, tak, zanadto się pośpieszyłeś!” Za chwilę kontynuował już wędrówkę po pokoju.

Upłynęło znów kilka przykrych minut.

„Nie zaprosiłeś mnie wtedy, w Niżnym Nowgorodzie, na wieczerzę!” mruknął półgłosem Grzegorz Jefimowicz. „Zachowałeś się jak nieokrzesany prostak! Teraz znów pośpieszyłeś się zanadto! A tobie też się coś należy!” Ostatnie słowa skierował do Bieleckiego, który jednak w tym czasie odzyskał zwykłą mu pewność siebie i obsypał Rasputina istnym potokiem komplementów, wyrazów wdzięczności i pochwał, do których przyłączył się niebawem Chwostow. Również książę Andronnikow wykorzystał sposobność, by ujawnić swoje zdolności towarzyskie, i odtąd wszyscy trzej panowie nie dali Rasputinowi możliwości dojścia do głosu. Mówili dosyć bezładnie, dziękowali wzruszonym głosem za to, że właśnie teraz do nich wrócił, prosili nadal o przychylność i mądre rady na przyszłość i wyrazili w końcu nadzieję, że wskaże im słuszną drogę i ustrzeże od pomyłek i błędów. W tej chwili ukazała się pani Czerwińska i zaprosiła zebranych do stołu. W czasie wieczerzy poprawił się wybitnie nastrój Rasputina, aż wreszcie po spożyciu kilku szklanek madery raczył rzucić kilka pochlebnych słów o pięknym basie Chwostowa.

Gdy z wielkiej misy stojącej na stole znikaly jedna ryba za druga, zdołali poruszyć trzej panowie szereg niezwykle ważnych zagadnień z dziedziny administracji państwowej. Chwostow, Bielecki i Andronnikow byli niezwykle zręczni (i to już za pierwszym spotkaniem z Grzegorzem Jefimowiczem) w rzucaniu naiwnych na pozór pytań i dowiadywali się tą drogą o najbliższych planach i zamiarach wpływowego starca. Oczywiście ukazały się pewne trudności w prowadzeniu politycznych rozmów w czasie spożywania ryb; gdy jeden z interlokutorów zadawał pytanie, Rasputin nie przerywał wcale jedzenia, wychylał po chwili

kielich wina, obcierał usta rękami i wtedy dopiero dawał odpowiedź, która w takich warunkach bywała bardzo ostrożna i dokładnie przemyślana. Im zręczniejszy i podstępniejszy formułował Bielecki lub Andronnikow pytania, tym ostrożniejszą otrzymywali odpowiedź. Wszystkie usiłowania w celu wyłudzenia od Rasputina jakiegoś przedwczesnego, nieprzemyślanego oświadczenia spełzały na niczym. W miarę dalszej rozmowy opanowywało z wolna wszystkich trzech mężczyzn przygnębienie i rozczarowanie, gdyż odpowiedzi Grzegorza Jefimowicza, udzielane z reguły dopiero po dokończeniu ryby, były bardzo ostrożne i pełne rezerwy, a przez to zupełnie nieprzydatne dla ministerstwa spraw wewnętrznych. Po kolacji całe towarzystwo udało się do salonu. Andronnikow odwołał niebawem Rasputina i wyszedł z nim na kilka minut; już za drzwiami wyjął pięć banknotów sturubiowych i wręczył je gościowi, który nie spojrzawszy nawet na wysokość daru, wsunął je do kieszeni spodni. Następnie księżę poprosił Grzegorza Jefimowicza, by odwiedził go znów pojutrze wieczorem, przy czym dawał do zrozumienia, że oczekuje go przy tej sposobności podobny podarunek. Rasputin skinął głową na znak zgody, po czym obaj mężczyźni wrócili do salonu, gdzie w tym czasie Chwostow i Bielecki udzielali szczegółowych instrukcji pani Czerwińskiej. Zdawało się jednak, że owego wieczoru nie będzie mogło towarzystwo zasiąść do wspólnej towarzyskiej pogawędki, gdyż naraz powstała pod błahym pozorem przyjaciółka pana domu i wyszła z pokoju. Za nią udał się natychmiast ku wielkiemu niezadowoleniu Bieleckiego minister spraw wewnętrznych. Na korytarzu szepnął gruby Chwostow pani Czerwińskiej, by w trakcie obserwacji zwróciła również baczne oko na Bieleckiego, gdyż chciałby koniecznie wiedzieć, o czym Bielecki poza

jego plecami mówi z Rasputinem. Za wartościowe informacje zapłaci bardzo chętnie odrębne, duże wynagrodzenie. Dopiero po tym epizodzie znaleźli się wszyscy uczestnicy przy wspólnym stoliku i wkrótce potoczyła się ożywiona rozmowa o najrozmaitszych kwestiach politycznych. Po godzinie poczęli goście zbierać się do odejścia. Bielecki zdołał jeszcze porozumieć się na osobności z panią Czerwińską i poprosić o prywatne sprawozdania z ewentualnych rozmów Chwostowa z Rasputinem. W końcu ucałowali się wszyscy bardzo serdecznie i rozeszli się do domów.

W ten dziwny nieco sposób rozpoczęły się owe sławne, histo-

ryczne „uczty rybne”, które z czasem miały się rozwinąć w prawdziwą instytucję polityczną. Coraz częściej zdarzało się, że minister, jego zastępca i „przyjaciel” omawiali i załatwiali w czasie przyjęć u księcia Andronnikowa cały szereg najważniejszych spraw państwowych. Chociaż wszyscy uczestnicy owych zebrań byli w wysokim stopniu zainteresowani w utrzymaniu ich w bezwzględnej tajemnicy, jednak coraz uporczywiej krążyły wśród kół politycznych stolicy początkowo pogłoski, a później już całkiem określone i dokładne wiadomości o wieczerzach w domu księcia. Łatwo zrozumieć, że było wiele ludzi, dla których owe tajemne konwentykle były solą w oku, gdyż zagrażały bezpośrednio całej ich egzystencji. Znowu rodziły się uczucia nieprzyjemnych rozczarowań, bezgranicznej wściekłości i silnego oburzenia.

*

Następna uczta rybna nie różniła się na pozór prawie wcale od poprzedniej. Znowu siedzieli Rasputin, Chwostow, Bielecki, Andronnikow i Czerwińska wkoło suto zastawionego stołu i rozprawiali z ożywieniem. Wszyscy zebrani, z wyjątkiem starca, nie okazywali żadnych oznak apetytu; gdy Grzegorz Jefimo-wicz nieprzerwanie gryzł i żuł smacznie przyrządzone ryby, wszyscy inni mówili bezustannie z prawdziwym zapalem i zaniedbywali stojące przed nimi potrawy. Nie należy się temu zbyt dziwić, gdyż w ciągu tego wieczoru usiłowano wyświecić pewne skomplikowane i ważne zagadnienie państwowe, a mianowicie konflikt między najwyższym prokuratorem Samarinem a biskupem War-nawą, powstały na tle kanonizacji świętego Jana z Tobolska. Chwostow, Bielecki i Andronnikow próbowali z początku wywiedzieć się

o poglądach Rasputina na tę sprawę za pomocą zręcznie stawianych pytań. Minister był mianowicie zainteresowany, by spór między prokuratorem a biskupem zakończył się zwycięstwem Warnawy i ustąpieniem Samarina 48, który jako przedstawiciel moskiewskiej szlachty był z natury rzeczy przeciwnikiem Chwostowa. Utrącenie Samarina nie mogło jednak nastąpić bez czynnej pomocy Grzegorza Jefimowicza, toteż Chwostow usiłował za wszelką cenę przekonać się, czy może liczyć na pomoc wszechwładnego starca.

Warnawa był wprawdzie starym przyjacielem Rasputina, który

dopomógł przecież temu zwykłemu mnichowi osiągnąć godność biskupa, lecz z biegiem czasu poróżnili się obydwaj przyjaciele, gdyż Warnawa od czasu swego wywyższenia odsunął się ostentacyjnie od dotychczasowego opiekuna i tym samym rozdrażnił i rozgniewał na siebie Rasputina.

Po raz wtóry wyszły na jaw niedogodności związane z prowadzeniem rozmów dyplomatycznych w czasie jedzenia ryb. Rozmowa urywała się co chwilę i minister nie mógł wydobyć potrzebnych wiadomości; Grzegorz Jefimowicz zjadał z irytującą wprost powolnością napoczętą rybę i miał dzięki temu czas do obmyślenia i ułożenia ostrej odpowiedzi. Mimo wszystko jednak padło w ciągu rozmowy kilka oświadczeń, z których Chwostow i Bielecki mogli wywnioskować, że jeśli nawet Rasputin nie przewyciężył dotychczas niechęci do byłego przyjaciela Warnawy, to przecież bardziej jeszcze nienawidzi butnego prokuratora Samarina. W pewnej chwili rzucił Grzegorz Jefimowicz z wściekłością trzymaną w rękę rybę na talerz i zawołał:

„Ci znakomici panowie ze szlachty! Cóż wiedzą oni o kościele i świętej wierze? Potrzebujemy dla dobra kościoła i wiary zwykłych, lecz pobożnych ludzi, którzy rozumieją lub i sami znajdują u ludu posłuch i zrozumienie. Już lepiej podoba mi się Warnawa, aczkolwiek nieraz muszę się nań setnie zżymać!” Słowa te w zupełności wystarczyły. Goście powstali od stołu, ucałowali się na pożegnanie i rozeszli w idealnej zgodzie. Chwostow był bardzo zadowolony, gdyż wiedział, że dni prokuratora Samarina są policzone.

Wykorzystując doświadczenia dotychczasowych rozmów, uciekli się inicjatorzy tychże do drobnego podstępu: za następnym razem nie podano do stołu ryb, lecz różnorakie potrawy mięsne, a to w nadziei

przyśpieszenia tempa odpowiedzi Rasputina. Chybiło to jednak w zupełności celu, gdyż Grzegorz Jefimowicz nie tknął nawet mięsa, okazywał wyraźne niezadowolenie ze zmiany potraw i nie wyrzekł słowa. Nie pozostało więc nic innego, jak Dodać do stołu przygotowane na wszelki wypadek smażone ryby, po czym natychmiast rozchmurzyło się oblicze Rasputina i potoczyła się ożywiona rozmowa o prokuratorze Samarinie i jego przypuszczalnym następcy. Chwostow upatrzył sobie w tym czasie dogodnego kandydata na urząd prokuratorski w osobie swego krewnego, niejakiego Wołoszyna. Krewny pana ministra nie miał

wprawdzie żadnego doświadczenia ani też odpowiednich kwalifikacji do objęcia tak wysokiej i odpowiedzialnej funkcji państwowej, lecz posiadał jedną bezsprzeczną zaletę: byłby posłuszną kreaturą w rękach swego popiecznika. Nie było więc łatwym zadaniem uzyskać zgodę Rasputina na nominację Wołoszyna, tym bardziej że o opuszczone stanowisko zabiegał nadzwyczaj usilnie były najwyższy prokurator Sabler, który nie szczędził trudu dla pozyskania przychylności i poparcia Grzegorza Jefimowicza. Bielecki, doskonale poinformowany o wszystkim, co działo się w stolicy, wpadł w ciągu jedzenia na wspólny sposób podkopania uznania, jakie Rasputin żywił dla Sablera. Kilku niewinnymi zdaniem skierował rozmowę na sekty imjaboźców i onomatodoksów, wygnane ze swej siedziby, z góry Athos; Bielecki wiedział przy tym, że Grzegorz Jefimowicz żywo sympatyzował z tymi sektami.

Starzec jadł i przysłuchiwał się przez pewien czas w milczeniu opowiadaniu zastępcy ministra. W końcu odłożył ogryzione ości, obtarł usta i powiedział: „Tak, tak, ci imjaboźcy! Gdy byłem na górze Athos, poznałem między nimi wielu mądrych i nabożnych ludzi!” Bielecki odmalował teraz ponury obraz straszliwych prześladowań, jakie spadły na imjaboźców w czasie urzędowania prokuratora Sablera i nadmienił, że właśnie Sabler prześladował z bezlitosną surowością wszystkich jawnych i ukrytych wyznawców wspomnianej sekty.

W oczach Rasputina ukazały się przebłyski potęgującego się z każdą chwilą gniewu; w końcu uderzył pięścią w stół i krzyknął: „Taki to jest ten Sabler? No, ja sobie to już zapamiętam!” Chwostow wykorzystał dogodną sytuację i począł wynosić pod niebiosa zalety Wołoszyna; podkreślił z

naciskiem, że jego kandydat zlikwiduje kompromisowo drażliwy spór z Warnawą w sprawie kanonizacji świętego Jana z Tobolska ku pełnemu zadowoleniu biskupa. Rasputin przysłuchiwał się w milczeniu słowom ministra, patrzył nań co chwilę badawczym wzrokiem, skubał brodę i zauważył w końcu, że chciałby oglądnąć tego Wołoszyna i zbadać jego duszę.

Następne spotkanie odbyło się w ponurym nastroju. Starzec był nachmurzony i zirytowany: „A. to paskudne niedołęgi, ci twoi agenci!” napadł na Bieleckiego. „Przez cały dzień włączają się po schodach mego domu, jeżdżą wciąż za mną, lecz nie potrafią uchronić człowieka przed głupimi plotkami! Czekaście, jeszcze

się wam dam we znaki!" Później zajął się całkowicie jedzeniem i tylko od czasu do czasu rzucał gniewne spojrzenia na zastępcę ministra spraw wewnętrznych.

Ten uczynił wszystko, co możliwie, by ułagodzić gniew Rasputina i dowiedzieć się, co właściwie zaszło. Trwało dosyć długo, zanim Grzegorz Jefimowicz raczył się skłonić do dokładniejszych zwierzeń; okazało się wtedy, "że pewien dziennikarz, nazwiskiem Dawidson umieścił w dzienniku „Birżewyje Wiedomosti" skandaliczny artykuł, pełen insynuacji pod adresem Rasputina. Tenże Dawidson pojechał specjalnie do Pokrowskoje w celu zebrania materiałów obciążających starca, począł bywać w domu Rasputinów i użył nawet takich środków, jak zalecanie się do małej Ma-triony i tytułowanie jej narzeczoną. W ten sposób zdobył sprytny dziennikarz wiele wiadomości o życiu i upodobaniach Grzegorza Jefimowicza i rozdmuchał je do rozmiarów wielkiego, sensacyjnego artykułu.

Już w następnym dniu zameldował Bielecki Rasputinowi, że załatwił pomyślnie sprawę, która nastęczyła Grzegorzowi Jefimowiczowi tak wiele przykrości, i pozwolił sobie wieczorem przesłać starcowi obszerniejsze sprawozdanie. Podczas następnej kolacji opowiedział zastępca ministra całkiem szczegółowo o swoich zarządzeniach i staraniach. Grzegorz Jefimowicz słuchał sprawozdania z wyrazem zadowolenia i z tak dużym zainteresowaniem, że zapomniał nawet o jedzeniu.

„Gdy dzisiaj rano przyszedłem do biura" opowiadał Bielecki, „poleciałem przede wszystkim zebrać wszelkie możliwe dane o przeszłości tego Dawidsona. Skoro miałem już dostateczną ilość obciążającego materiału,

zaprosiłem go osobiście do biura i pozwoliłem wglądać w akta. Następnie wręczyłem mu sześćset rubli z tajnych funduszków ministerstwa i poradziłem energicznie, by dobrze się namyślił nad opublikowaniem następnych artykułów. Dawidson zrozumiał natychmiast, o co chodzi, wziął pieniądze i oddał mi w zamian cały zebrany materiał. Dziś po południu pozwoliłem sobie złożyć go u pani Anny Wyrubowej dla pana, Grzegorz Jefrmowiczu!"

Oblicze Rasputina promieniało. „Dzielny z ciebie człowiek, Stefanie Piotrowiczu!" wołał odtąd raz po raz. „Powinieneś zostać ministrem!" Ostatnia uwaga dotknęła bardzo nieprzyjemnie Chwostowa, który postanowił roztoczyć jeszcze baczniejszą kon-

rolę nad poczynaniami Bieleckiego. Zanim opuścił mieszkanie księcia Andronnikowa, pomówił na osobności z panią Czerwińską ponowił prośbę o możliwe najdokładniejsze sprawozdania z rozmów między Bieleckim a starcem.

Powoli wytwarzał się w salonach księcia Andronnikowa miły pogodny nastrój. Uczestnicy regularnych zebrań wieczornych znali się już wzajemnie bardzo dobrze i wyzbyli się początkowej rezerwy w stosunku do reszty gości. Gdy Bielecki zawierał wyżej opisany układ z Andronnikowem, liczył właśnie na to, że z czasem można będzie w domu księcia swobodnie i otwarcie pomówić z Rasputinem. Z tego też powodu wstrzymywał dotychczas swego szefa Chwostowa przed poruszeniem równie ważnej, jak drażliwej kwestii zwołania Dumy. Teraz dopiero uznał, że można będzie skutecznie pomówić o tej sprawie.

Minister Chwostow już od samego początku urzędowania czynił wszystko możliwe, by doprowadzić do zwołania Dumy, toteż przywiązywał dużą wagę do zainteresowania Rasputina tym problemem. Od początku wojny nie zwoływano wcale posiedzeń przedstawicielstwa ludowego Rosji zgodnie z życzeniami starego prezydenta ministrów Goremykina, który nie miał wcale ochoty ani też nie czuł powołania do rozgrywania batalii na polu parlamentarnym. Inaczej Chwostow; ambitny minister spraw wewnętrznych żywił nadzieję, że zwołanie Dumy dopomoże mu w realizacji daleko idących planów, jak zmuszenie starego Goremykina do ustąpienia z prezydentury ministrów i zajęcie jego miejsca. Chwostow liczył na to, że staruszek nie będzie mógł stawić czoła parlamentowi, zniechęci się ciągłymi utarczkami słownymi z posłami i ustąpi. Goremykin nieraz już oświadczał w takiej sytuacji, że bar-dziej

właściwym dlań miejscem byłyby trumna i cmentarz.

Chwostow zdawał sobie doskonale sprawę, że zanim przystąpi do urzeczywistnienia swych planów, musi wpierw pozyskać przychylność i zgodę Rasputina. Było to bardzo trudne zadanie. Już kilka razy sondowali Chwostow i Bielecki opinię Grzegorza Jefimowicza w tej sprawie i zawsze wychodziła wyraźnie na jaw głęboka niechęć Rasputina do Dumy. „Któż właściwie zasiada w tej Dumie?” pytał, „czy to Są prawdziwi przedstawiciele ludu? Nie,

zasiadają tam właściciele dóbr, arystokraci, bogacze, a nie zwykli chłopci!" I rzeczywiście była Duma raczej stanowym przedstawicielstwem: wyższych warstw Rosji aniżeli przedstawicielstwem ludu. Wobec obowiązującej ustawie wyborczej nie zdobyli chłopci żadnego znaczenia w Dumie. Rasputin znał się wprawdzie bardzo mało na polityce parlamentarnej, lecz instynktownie wyczuwał, że Duma nigdy nie wystąpi w obronie dwóch zasadniczych żądań chłopskich, jakimi bezsprzecznie były: natychmiastowe zakończenie wojny i rozdział ziemi obszarniczej między chłopów. Posłowie do Dumy, butni obszarnicy i szlachta, odnosili się do Rasputina z nienawiścią i pogardą. Rasputin odpłacał im pięknym za nadobne.

Chwostow i Bielecki wiedzieli doskonale o tym wszystkim, toteż dopiero po dłuższym przygotowaniu odważyli się przystąpić do pertraktacji ze starcem w sprawie zwołania Dumy. Przygotowanie polegało głównie na tym, że przyrzekli wysokie odznaczenia przewodniczącemu dumy Rodziance pod warunkiem, że nie dopuści w ciągu posiedzeń parlamentu do żadnych wystąpień przeciwko Rasputinowi. Rodzianko, którego Grzegorz Jefimowicz najwięcej się obawiał, przystał w końcu na podane warunki, i dopiero wtedy rozpoczęły się w domu księcia Andronnikowa rozmowy na temat Dumy.

Chwostow rozpoczął od podkreślenia, że zwołanie przedstawiicielstwa ludowego po tak długiej przerwie będzie miało poważne znaczenie dla całego państwa. Okazało się jednak, że argument ten nie trafił do przekonania Rasputinowi, wobec czego minister chwycił się silniejszych i bardziej skutecznych argumentów. Wyraził obawy, by przewlekanie terminu nie wpłynęło ujemnie na nastroje w kraju i nie wywołało ogólnej

niechęci do Grzegorza Jefimowicza, którego vox populi uważał za główną zaporę do rozpoczęcia prac Dumy.

Wedle z góry i szczegółowo ułożonego planu wmieszał się w tej chwili do rozmowy Bielecki i zauważył z nad wyraz grzecznym ubolewaniem, że w danych warunkach nie może policja przyjąć pełnej gwarancji za osobiste bezpieczeństwo starca, gdyż może się bardzo łatwo przytrafić, że ten lub ów fanatyk dokona zamachu na niego. Natomiast zwołanie Dumy uspokoi wzburzone umysły i rozproszy wszystkie grożące niebezpieczeństwa. W końcu przedstawił Chwostow oświadczenie Rodzianki, Bielecki zaś doniósł o rozmo-

wie z Protopopowem, wiceprzewodniczącym Dumy, który go również zapewnił, że podczas sesji parlamentu nie dojdzie do żadnych wrogich wystąpień przeciwko Rasputinowi.

Rasputin słuchał uważnie wynurzeń obydwu ministrów, lecz sam nie odezwał się słowem. Dopiero przy pożegnaniu zauważył z chytrym uśmiechem: „Namyślę się jeszcze nad tą sprawą”. Zachęcony tymi słowami Chwostow wyjechał w kilka dni później do kwatery głównej, by i cara przekonać o konieczności zwołania parlamentu.

Przybył jednak za późno, gdyż w tym czasie dowiedział się o jego poczynaniach stary Goremykin, który wydał szereg zarządzeń w celu pokrzyżowania planów Chwostowa. Przede wszystkim więc zwlekał przy użyciu czysto formalnych środków z uchwałą rady ministrów, bez której nie można było przedłożyć cesarowi dekretu zwołującego Dumę, następnie poszedł za przykładem ministra spraw wewnętrznych; porozumiał się z Rasputinem i bez wielkich wysiłków udało mu się usposobić go wrogo do planów jej zwołania.

Gdy w czasie następnej „uczty rybnej” zapytano Grzegorza efimowicza o zdanie w sprawie zwołania Dumy, odpowiedział krótko i węzłowato: „Nie potrzebujemy teraz wcale Dumy!” Żadne tłumaczenia, żadne argumenty, a nawet większa suma pieniędzy wręczona przez Andronnikowa nie mogły zmienić postanowienia Rasputina. Na pożegnanie powtórzył: „Nie potrzebujemy teraz wcale Dumy!”

Chwostow był wściekły. W pogoni za stanowiskiem prezydenta ministrów nie mógł zaznać spokoju. Próba zdobycia Grzegorza efimowicza w celu poparcia planów ambitnego ministra nie powiodła się. Chwostow postanowił więc szukać innej drogi dla osiągnięcia celu. Pragnął

mianowicie usunąć na jakiś czas starca ze stolicy, by w jego nieobecności przeprowadzić zamierzenia, które mu się dotychczas nie udały.

Wypracował więc obszerny memoriał, przytoczył w nim kilka przyczyn, dla których Raspu-tin winien się podjąć natychmiastowej podróży inspekcyjnej do Wierchoturja i kilku innych klasztorów; tłumaczył, że tego rodzaju podróż obróci wniwecz wszystkie uwłaczające starcowi plotki i przyczyni się do wzrostu poważania w całym kraju.

By przekonać Grzegorza Jefimowicza o konieczności i korzy-ściach z takiej podróży, po naradzie z biskupem Warnawą wezwał

minister opata Marcjana z Tiumenu, starego przyjaciela Rasputina, do stolicy, aby przychylnie zaopiniował projekt podróży inspekcyjnej. Marcjan przybył natychmiast do Petersburga i wyraził gotowość zadośćuczynienia życzeniom ministra, zażądał jednak w zamian nominacji na archimandrytę; również Warnawa uzależnił współudział w akcji od pewnych warunków, a mianowicie od uzyskania arcybiskupstwa. Chwostow udał się natychmiast do Wołoszyna, który w tym czasie został najwyższym prokuratorem, i wyjednał u niego przyrzeczenie, że przy najbliższej sposobności spełni życzenia obydwu czcigodnych panów. Znowu odbyła się kolacja u księcia Andronnikowa, w której wzięli tym razem udział również Warnawa i Marcjan. Gdy starzec zajadał ryby z jednakowym wciąż apetytem, mówili wszyscy na przemian i prosili go, by podjął się ważnej i odpowiedzialnej podróży do klasztorów. Przy końcu uczyty rzucili się Marcjan i Warnawa Rasputinowi na szyję, całowali go i zaklinali tak długo, aż w końcu Grzegorz Jefimowicz zgodził się wyjechać. Chwostow zapewnił z nadzwyczaj uprzejmym uśmiechem, że ministerstwo poczytuje sobie za zaszczyt możliwość pokrycia kosztów podróży, tym bardziej że chodzi tu o czynność służbową. Grzegorz Jefimowicz przyjął przyrzeczenie ministra z oznakami widocznej radości, kiwał potakująco głową, uścisnął serdecznie ministra, po czym udał się do „Villa Rode”.

Na drugi dzień wręczył Rasputinowi książę Andronnikow w imieniu Chwostowa pięćdziesiąt tysięcy rubli na koszty podróży. Odtąd oczekiwał zadowolony minister chwili wyjazdu Grzegorza Jefimowicza ze stolicy. Przygotowania do podróży ciągnęły się jednak nieskończenie; upływały dni i tygodnie, następowała jedna kolacja za drugą, a Rasputin wciąż

jeszcze bawił w Petersburgu. W końcu stracił Chwostow cierpliwość i zapytał pewnego razu Rasputina w czasie pożegnania, kiedy właściwie zamierza rozpocząć omówioną podróż. Starzec odpowiedział spokojnie i dobroduszenie, że w ogóle nie ma zamiaru wyjeżdżać z Petersburga.

Ani minister, ani jego zastępca nie odważyli się rzucić słowa sprzeciwu; w milczeniu opuścili mieszkanie Andronnikowa, w milczeniu wsiedli do samochodu i dopiero po pewnym czasie mruknął Chwostow cicho, ale zawzięcie: „Proszę mi wierzyć, Stefanie Piotrowiczu, musimy tego łotra uśmiercić!”

Morderca z gitarą

Plan zamordowania Rasputina zaprzętał odtąd stale umysł Chwostowa, usadowił się mocno w jego głowie i opanował niebawem wszystkie myśli, uczucia i czynności ministra. Chwostow był ministrem spraw wewnętrznych, najwyższym zwierzchnikiem policji i instytucji stojących na straży porządku wewnętrznego Rosji. Myśli o mordzie przeniosły się niebawem do wszystkich podległych mu urzędów. Olbrzymia biurokratyczna machina państwowa ujawniła gorączkową działalność w tym kierunku; plan zamordowania Rasputina przebiegł wszystkie podległe instancje, od najwyższych do podrzędnych, i w końcu wrócił tą samą drogą do rąk ministra spraw wewnętrznych.

Nastąpiła szalona bieganina, wydawano rozkazy, odwoływano je, odbywały się konferencje, posiedzenia i narady, zapadały uchwały. Zdawało się, że bezkrwisty kolos rosyjskiej biurokracji poruszył się na bezwładnych, ołowianych nogach, by pomścić się na pełnokrwistym, żywotnym, tryskającym siłą i radością Rasputinie. Zdawało się, że wyzywająca pycha i lekceważenie, jakie wykazywał ten syberyjski chłop wobec podstępnych i wyrafinowanych ministrów, szefów policji, urzędników i szpiclów wielkiego państwa rosyjskiego, poniosą wreszcie zasłużoną karę.

Zemsta biurokracji zapowiadała się krwawo; wkrótce jednak okazało się, że i tym razem potoczą się wypadki utartą, normalną drogą; wielki plan zemsty i mordu, godzący w Rasputina, wędrował po wszystkich urzędach jak każde drobne podanie. Nagromadziły się stosy akt urzędowych zawierających pytania, odpowiedzi i wyjaśnienia, nie uczyniono jednak

ani jednego praktycznego

315

kroku w realizacji planu. Plan zemsty, jak tysiąc innych przedsięwzięć ministerstwa i podległych mu urzędów, zawisł w próżnia. Początkowo jednak sprawa wyglądała całkiem groźnie; minister Chwostow wezwał do siebie swego zastępcę Bieleckiego i nakazał bezzwłocznie rozpocząć przygotowania do zamordowania Rasputina. Minister uzasadniał w dłuższym przemówieniu swoje zarządzenia. Oświadczył, że niebezpieczeństwa i szkody, jakie przynosi] działalność Rasputina, stają się z każdym dniem groźniejsze dla] państwa, ministerstwa i dla samego Chwostowa; należy więc jak najszybciej skończyć z wszechwładzą tego gburowatego chłopca. Jego własne stanowisko u dworu jest już obecnie tak umocnione, że nie potrzebuje więcej poparcia Rasputina; natomiast dotychczasowy stan rzeczy stwarza nieskończone źródło niebezpieczeństw i poważnych nieporozumień. Przy ostrożnym i dokładnym przygotowaniu mordu można będzie bardzo łatwo zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność, a po dokonaniu czynu ujawnią się natychmiast korzyści dla państwa, ministra, a nawet dla zastępcy ministra. Naturalnie, że troska o pieniądze odgrywa w przeprowadzeniu planu podrzędną rolę, gdyż ministerstwo dysponuje w tym wypadku dostatecznymi funduszami.

Zastępca ministra przychylił się do wniosków szefa i zwrócił uwagę, że już poprzednik ministra spraw wewnętrznych, Makłakow, zainicjował próbę zgładzenia Rasputina. Na żądanie Chwostowa przeszedł Bielecki do szczegółowego opisu zamierzeń i prób Makłakowa; generał Dumbadze, namiestnik Jałty, zwrócił się telegraficznie do Bieleckiego jako do ówczesnego szefa kancelarii ministerstwa sprawiedliwości z zapytaniem, czy może liczyć na urzędowe zezwolenie na zamordowanie Grzegorza

Jefimowicza. Wedle planów Dumbadzego miano zwabić starca w czasie jego przejazdu z Sewastopola do Jałty do odległego zamku na wybrzeżu morskim i strącić tam z nadbrzeżnych skał. Bielecki uważał wówczas, że odpowiedź na zapytanie namiestnika nie należy do kompetencji ministra sprawiedliwości, lecz do ministerstwa spraw wewnętrznych i z tego też powodu przesłał telegram Dumbadzego do Makłakowa. Minister porozumiał się natychmiast z prezydentem ministrów, z wydziałem „tajnej ochrony” i z komendantem straży pałacowej, ten jednak oświadczył, że należy chwilowo zaniechać planu uśmiercenia Rasputina ze względu na dynastyczne interesy rodu panującego. Po dojrzałym namyśle i rozpatrzeniu wszystkich punktów

widzenia zdecydował się minister Makłakow odmówić namiestnikowi Dumbadzemu urzędowego zezwolenia, i zamach na życie Rasputina nie doszedł do skutku.

Minister Chwostow wysłuchał z zainteresowaniem relacji Bie-leckiego, po czym zaczął rozwijać własny plan: za pomocą sfingowanego zaproszenia telefonicznego zwabi się Rasputina do domu jednej z gorących wielbicielek. Na ulicy Grochowej będzie oczekiwało specjalne w tym celu zamówione auto; przy kierownicy samochodu będzie siedział tajny agent policyjny. Rasputin, nie przeczuwając nic złego i w przeświadczeniu, że jest to dorożka samochodowa, wsiądzie do wozu. W drodze do mieszkania wielbicielki zatrzyma auto inny agent w przebraniu policjanta i oświadczy, że ulica jest zamknięta dla ruchu kołowego z powodu robót. Pod tym pozorem kierowca zawróci i wjedzie w boczną, mało ruchliwą uliczkę, a stąd uda się pełnym pędem na peryferie miasta. W pewnym z góry określonym punkcie zwolni kierowca szybkość wozu, do którego wskoczą dwaj zamaskowani mężczyźni. Rzekomi zbójcy napadną na Rasputina, ogłuszą go chustą napojoną chloroformem i uduszą przygotowanym sznurem. Po czym kierowca wozu rozwinie największą szybkość i pojedzie na brzeg morza. Tam zakopią agenci zwłoki Rasputina w śniegu, tak by z wiosną w czasie powodzi spłynęły do morza.

W końcu przekazał minister swemu zastępcy surowy nakaz, by natychmiast rozpoczął niezbędne przygotowania. I tak należy w pierwszym rzędzie zamówić odpowiedni samochód, wyszukać pewnych i odpowiedzialnych agentów, przygotować chustę do chloroformowania i gruby, mocny sznur. Pó zakończeniu wszystkich robót wstępnych pragnie

minister otrzymać urzędowe sprawozdanie, gdyż chce osobiście ustalić dokładny termin mordy. Zastępca ministra przyjął wszystkie rozkazy do wiadomości, oświadczył, że natychmiast porozumie się z szefem „specjalnej ochrony” i złożył przełożonemu uszanowanie.

Zastępca ministra Bielecki i szef „specjalnej ochrony” pułkownik Komisarow utrzymywali również i poza służbą bardzo serdeczne stosunki. Toteż Bielecki nie ograniczył się tylko do powtórzenia służbowych zarządzeń ministra spraw wewnętrznych, lecz pozwolił sobie również na szczere wypowiedzenie osobistych uwag i zastrzeżeń. Bielecki zaznaczył z góry, że uważa siebie za doświadczonego urzędnika, gdyż wykazał swoje zdolności w zawo-

--

dzie policyjnym już pod rządami Stołypina; że nie hołduje sentymentom i nie podnosi żadnych moralnych sprzeciwów przeciw wykonaniu planów ministra; rozumie jednak doskonale, że Chwostow zamierza usunąć starca drogą gwałtu z czysto osobistych powodów; Rasputin nie chciał mu bowiem dopomóc w uzyskaniu tytułu nadwornego koniuszego, a teraz znów sympatyzuje z radcą państwowym Sturmerem i foruje go na stanowisko prezydenta ministrów. Sam Bielecki przestudiował już dawniej wszelkie możliwości zgładzenia Rasputina. Uczynił to wtedy z polecenia osób zgrupowanych wokół generała Bogdanowicza. Jeśli obecnie wysuwa pewne zastrzeżenia wobec planów Chwostowa, to chodzi mu przede wszystkim o techniczną stronę sprawy: z jednej strony bowiem, wzbudzi zamordowanie starca pełne uznanie w oczach różnych kół towarzystwa, duchowieństwa i Dumy, a inicjatorzy czynu zdobędą wśród tych sfer prawo i tytuł do sówitej nagrody; z drugiej jednak strony, należy się liczyć z zemstą wpływowych zwolenników Rasputina, która może przybrać nader groźne rozmiary. Nadużycie władzy urzędowej można tylko w tym wypadku usprawiedliwić, jeśli prowadzi do awansu lub innych korzyści materialnych; w danym wypadku należy raczej oczekiwać szkód aniżeli korzyści.

Przede wszystkim więc jest plan Chwostowa dziełem dyletanta; minister, typ byłego urzędnika prowincjonalnego, nie posiada niestety wglądu w całokształt problemów związanych z wykonaniem mordy w stolicy. Do urzeczywistnienia zamierzonego projektu musi się mieć pewną liczbę współuczestników i pomocników, wiedzących o wszystkim; fakt ten musi doprowadzić do przedwczesnej dekonspiracji planu, gdyż wszyscy agenci

są nieodpowiedzialni, gdy chodzi o prawdziwie ważne przedsięwzięcia. Prócz tego posiada Grzegorz Jefimowicz stałą ochronę ze strony czterech różnych agentur, z których szpicle Głobyczewa, urzędnicy Spi-rydowicza i agenci bankierów pracują każdy na własną rękę i patrzą sobie wzajemnie podejrzliwie na palce. Chwostow nie poświęcił wspomnianym trudnościom żadnej uwagi i dlatego jego plany, zakrojone na szeroką skalę, muszą się skończyć zupełnym niepowodzeniem.

Szef „specjalnej ochrony” słuchał bardzo uważnie i w końcu powiedział, że i on już nieraz zajmował się planami zamordowania Rasputina. W swoim zakresie działania dopomoże chętnie i w miarę sił przy realizacji projektu. Uważa jednak, że zastrzeże-

nia Bieleckiego są całkowicie uzasadnione, a nawet ma specjalne dowody, by stanowczo ostrzec zastępcę ministra przed jakąkolwiek współpracą z Chwostowem w tej sprawie. W nagrodę za szczerą przychylność, jaką mu stale okazywał Bielecki, jest gotów zaznajomić go ściśle poufnie z pewnymi faktami, które go prawdo-podobnie zaciekawiają. Agenci donieśli mu mianowicie, że minister Chwostow zachowuje się nielojalnie wobec swego zastępcy. W każdej okoliczności i w każdym czasie, nawet wobec cara, opowiadał i podkreślał, że ochrona i troska o bezpieczeństwo Rasputina psoczywają wyłącznie w rękach Bieleckiego. Minister zamierza zapewne w ten sposób zrzucić całą odpowiedzialność za ewentualne zamordowanie Rasputina na barki swego zastępcy.

Następnie poświęcił pułkownik Komisarow kilka krytycznych słów samemu planowi i zauważył, że i w tym wypadku przyznaje zupełną słuszność zastrzeżeniom Bieleckiego. Plan jest po dyletancku obmyślony i niemożliwy do wykonania. Można się od razu zorientować, że Chwostow nabył doświadczenie w sprawach politycznych i administracyjnych nie w stolicy, lecz w prowincjonalnym Niżnym Nowgorodzie.

Po dojrzałej ocenie wytworzonej sytuacji powzięli zastępca ministra i szef „specjalnej ochrony” wspólną uchwałę, że ze względu na grożące niebezpieczeństwo nie należy poważnie przykładać ręki do zamachu planowanego przez ministra spraw wewnętrznych, który w dodatku operuje metodami nieokrzesanego bandyty z prowincji. Należy ustalić taki sposób postępowania, by zamierzenia Chwostowa spaliły na panewce. Tylko głupiec mógłby w danych warunkach narażać skórę dla egoistycznych i podstępnych projektów

Chwostowa.

Bielecki zaproponował, by udać się wprost do Rasputina i zdradzić mu plany ministra spraw wewnętrznych. Pułkownik Komisarow sprzeciwił się jednak temu, gdyż nie chciał się wiązać ani z jedną, ani też z drugą stroną. Prócz tego może się zdażyć, że Chwostow wyprze się po prostu wszystkiego. Należałoby się wobec tego wystarać o własnoręczne pismo Chwostowa, kompromitujące go, i dopiero z tym dokumentem w ręku rozpocząć twarty atak na ministra. Do tego czasu muszą wywoływać złudzenie, że idą ręka w rękę z Chwostowem i zgadzają się na wszystkie jego zamierzenia, a to właściwie w tym celu, by w odpowiedniej chwili pokrzyżować plany ambitnego ministra. Bielecki i Komi-

sarow doszli również do zgody w tym punkcie, że należy w pierwszym rzędzie zyskać na czasie, i uchwalili, by przedstawić ministrowi pozorne kłopoty i trudności nasuwające się przy urzeczywistnianiu planu. Przed dokonaniem zamachu musi się starannie przewyciężyć te rzekome przeszkody. Równocześnie będzie można użyć wszelkich dostępnych środków, aby uchronić Rasputina przed zamachem, gdyż można się spodziewać, że zniecierpliwiony minister zacznie działać na własną rękę i w drodze pozaurzędowej.

Szef „specjalnej ochrony” wydał natychmiast swoim podwładnym rozkaz podwojenia liczby osób stojących na straży bezpieczeństwa osobistego Rasputina. W dniach, w których można się było spodziewać zamachu, posiadałby Grzegorz Jefimowicz w ten sposób bardzo pieczołowitą opiekę i byłby zabezpieczony przed jakimikolwiek próbami gwałtu.

Gdy pułkownik Komisarow wydawał tego rodzaju zarządzenia, że Rasputinowi w rzeczywistości nie mógł spaść nawet włos z głowy, podjął się Bielecki wywołać w umyśle Chwostowa złudzenie, że zajmuje się bardzo gorliwie przygotowaniem do mordy, natrafił jednak w ciągu pracy na kilka nieoczekiwanych przeszkód.

I tak zameldował Bielecki ministrowi w ciągu następnej konferencji, że przekazał jego zarządzenia pułkownikowi Komisarowowi, który natychmiast rozpoczął prace przygotowawcze i wydał szczegółowe instrukcje odnośnym urzędnikom. Pozwala sobie jednak zauważyć, że byłoby wskazane przygotować wpierw psychologicznie na dworze carskim plan zglądzenia Rasputina i w tym celu zwrócić uwagę cara na objawy silnej nienawiści, z jakimi starzec spotyka się na obszarze całej Rosji. Zastępca ministra zaproponował, by Chwostow opowiedział w

Carskim Siole, że Rasputin, z powodu grzesznego trybu życia posiada niezliczonych wrogów osobistych, że władze nie szczędzą wysiłków, by mu zapewnić bezpieczeństwo osobiste, jednak ciągle wymyka się kontroli i ochronie agentów. Jeśli minister takim oświadczeniem zrzuci z siebie odpowiedzialność za życie Rasputina, to nie spotka się później z żadnej strony z poważnymi zarzutami, gdyby starcowi stała się jakaś krzywda. Minister musiał, acz niechętnie, zgodzić się na projekt swego zastępcy, poprosił go tylko, by przeglądął cały materiał o Rasputinie i przygotował dlań odpowiedni elaborat, który zamierza

przedłożyć carowi jako dowód rozpustnego trybu życia Rasputina niepopularności, jaką starzec posiada w kraju. Bielecki wezwał dyrektora kancelarii ministerialnej, polecił mu wypracować elaborat, ten znów nakazał kilku podwładnym urzędnikom przestudiować wszystkie znajdujące się w ministerstwie tajne protokoły policyjne i ułożyć przekonujący memoriał, który Bielecki przedłożył w końcu ministrowi. Zastępca ministra zwrócił uwagę przełożonego na ostatnie strony elaboratu, gdzie były umieszczone najświeższe sprawozdania agentów policyjnych o zachowaniu się Rasputina w Pokrowskoje.

„12 lipca: Około godziny ósmej wieczorem opuścił Rasputin dom razem z żoną urzędnika synodu Sołowjowa, która była również jego gościem w dniu wczorajszym. Obydwoje wsiedli do powozu, pojechali do pobliskiego lasu, tam zachowywali się wysoce nieprzyzwoicie i wrócili po godzinie do wsi; w drodze powrotnej był Rasputin niezwykle blady”.

„13 lipca: Po kąpieli udał się Rasputin do żony śpiewaka psalmów Jermołaja, która go już oczekiwała przy oknie. Odwiedzają codziennie, gdyż utrzymują ze sobą intymne stosunki. Później gościł u siebie żonę pewnego oficera, objął ją w nieprzyzwoity sposób i przechadzał się tak po podwórzu”.

„18 września: Rasputin otrzymał z Petersburga list pisany na maszynie o następującej treści: Posiadasz duży wpływ na cara dlatego wzywamy cię, byś przeprowadził, aby ministrowie byli odpowiedzialni wobec ludu. Jeśli nie usłuchasz naszego wezwania, nie będziemy się z tobą bawić, lecz uśmiercimy jak psa. Nasza ręka nie zadrży jak ręka pani Gusjewej. Jest nas dziesięciu i po-trafimy cię odnaleźć, gdziekolwiek byś się schował!”
Gdy minister przeczytał ostatnie sprawozdanie, wnet zauważono, że

ostatni protokół dostarcza świetnego alibi w razie wykonania zamachu, gdyż nie ma nic łatwiejszego, jak stwierdzić, że zamordowanie Rasputina jest dziełem owej „grupy dziesięciu”.

Minister wziął elaborat i wkrótce pojechał do Carskiego Sioła; po powrocie z rezydencji cara zaprosił znów Bieleckiego i pułkownika Komisarowa na wspólną naradę, by ostatecznie ustalić dokładny termin wykonania zamachu. Po raz drugi przedyskutowano najdrobniejsze nawet szczegóły planu. Przy końcu posiedzenia zaproponował zastępca ministra, by na wszelki wypadek zorganizować coś w rodzaju generalnej próby planowanego mor-

du, powołując się na to, że w praktyce ministerstwa spraw wewnętrznych nieraz już się takie próby odbywały. Przypomniawszy przy tej sposobności ministrowi, że wedle sprawozdań agentów zdarzyło się już raz, iż do mieszkania Rasputina wpadli dwaj zamaskowani, pędzeni zazdrością mężczyźni z rewolwerami w rękę i z pogroźkami na ustach. Bielecki uważał więc, że można zaaranżować podobną scenę, by wzbudzić wszelkie pozory, jakoby życiu Rasputina zagrażało niebezpieczeństwo ze strony zazdrosnych mężów; jeśli się uda próba generalna, będzie również można bez wielkich trudności wytłumaczyć podobnymi motywami przyczynę dokonanego później mordu.

Ale minister niecierpliwił się już i nie chciał się zgodzić na dalsze przewlekanie sprawy. Przesadna ostrożność Bieleckiego, która była może na miejscu w innych przedsięwzięciach urzędowych, irytowała go bardzo w danym wypadku. Na drugi dzień wezwał wobec tego pułkownika Komisarowa i zwrócił się doń bezpośrednio z prośbą, by ukończył jak najszybciej przygotowania do zamachu na Grzegorza Jefimowicza. Ze względu na rozmaite trudności, jakie następczo wykonywanie mordu przy użyciu samochodu, postanowił Chwostow zmienić plan i oświadczył szefowi „specjalnej ochrony”, że uważa za najbardziej celowe, by agenci Komisarowa napadli na Rasputina w czasie jednej z pijatyk i udusili go. Pułkownik Komisarow wyraził się z obowiązku bardzo pochlebnie o nowym planie ministra spraw wewnętrznych, pozwolił sobie jednak równocześnie na skromną uwagę, że należałoby zastąpić sznur i uduszenie trucizną, gdyż w tym wypadku wciąga się do zamachu mniejszą ilość wtajemniczonych osób. Jego zdaniem najlepiej i najłatwiej osiągnie się zamierzony skutek, jeśli się wyśle Rasputinowi w dowód wdzięczności od

jakiegokolwiek przyjaciela skrzynię zatrutego wina; w ten sposób skierują się podejrzenia o dokonanie zamachu na głowę rzekomego ofiarodawcy, a prócz tego nie będzie nikt wiedział, skąd wyszła inicjatywa otrucia.

Wniosek Komisarowa spodobał się bardzo Chwostowowi, który z miejsca wynalazł ulepszony wariant projektu pułkownika; rzekomym ofiarodawcą skrzyni będzie znienawidzony przez ministra spraw wewnętrznych bankier Dymitr Rubinstein; w jego imieniu prześle się do mieszkania Rasputina zatrute wino. W ten sposób upiecze się dwie pieczenie przy jednym ogniu. Policja skieruje podejrzenia w fałszywym kierunku, znienawidzony bankier będzie

miął wiele kłopotów, a wszystko odbędzie się w najlepszym po-rządku ku pełnemu zadowoleniu inicjatorów mordy.

W tej chwili wtrącił się Komisarow, że Rasputin natychmiast po otrzymaniu podarunku pośpieszy prawdopodobnie do telefonu, by złożyć podziękowanie Rubinsteinowi. Doprowadzi to do wy-krycia zamachu, gdyż okaże się, że bankier nic nie wie o kosz-townym podarunku rzekomo przez niego wysłanym. Minister niestety musiał przyznać zupełną słuszność szefowi „specjalnej ochrony” i wycofać swój projekt, polecił jednak natychmiast spo-rządzić kilka flaszek zatrutego wina.

Równocześnie wyraził życzenie, by nie wtajemniczać Bieleckiego w szczegóły nowego planu, gdyż ciągle zastrzeżenia i przesadna ostrożność zastępcy ministra wyprowadzają go z równowagi. Komisarow przytakiwał i przyrzekał, że osobiście wystara się o truciznę; zaznaczył przy tym jednak, że lepiej będzie zakupić truciznę na prowincji, a nie w Petersburgu. Tego samego dnia wyjechał pułkownik do Saratowa, uprzednio jednak pośpieszył do Bieleckiego i doniósł mu w drodze pozasłużbowej o wszystkich nowych planach i zarządzeniach ministra. Po powrocie do stolicy udał się szef „specjalnej ochrony” natychmiast do Chwostowa, wyjął ze skórzanej teczki kilka flaszeczek aptecznych z różnokolorowymi proszkami, poustawiał je równiutko na biurku ministra i oświadczył, że przywiózł najsilniejsze z dostępnych trucizn, których działanie wypróbuje osobiście tego samego wieczoru. Na drugi dzień zjawił się z meldunkiem, że doświadczenia wypadły pomyślnie i szczególnie jeden z preparatów działa szybko i skutecznie. Doświadczenia przeprowadzał na kotach, które przechodziły straszne męczarnie przed śmiercią. Najdrobniejsza dawka starczyła, by położyć kres życiu tych

niewinnych zwierząt. Minister słuchał z przyjemnością opisu doświadczeń i okazywał żywe zadowolenie z ich przebiegu.

Gdy Chwostow zaczął nalegać, by jak najszybciej przejść od doświadczeń na zwierzętach do wypróbowania trucizn na samym Rasputinie, poprosił Komisarow o pozwolenie ponownego wciągnięcia Bieleckiego do całej sprawy, gdyż i tak wszystko jest już obmyślane i postanowione; nie chciałby w żadnym wypadku być winnym przekroczenia służbowego, za jakie zastępca ministra mógłby uważać samodzielne działanie szefa „specjalnej ochrony”. Po pewnym wahaniu udzielił Chwostow żądanego zezwolenia, po czym zawezwano Bieleckiego i poinformowano szczegółowo o do-

tychczasowym stanie sprawy. Posiedzenie zakończyło się idealną zgodą wszystkich uczestników. Zapadła uchwała, że zamachu dokona się w następny czwartek wieczorem, przy czym minister nadmieniał kilka razy, że chętnie wzięłby osobiście udział w ostatniej uczcie Rasputina. Bielecki sprzeciwił się jednak temu w stanowczy sposób i Komisarow również wysunął poważne zastrzeżenia, tak że Chwostow musiał zrezygnować ze swej zachcianki. Otrucie Rasputina miało się odbyć w pewnym tajnym lokalu, gdzie od pewnego czasu spotykali się regularnie z Rasputinem Bielecki i Komisarow, a niekiedy nawet i sam Chwostow; albowiem z czasem wyszły na jaw niedogodności związane z wspólnymi wieczerzami u księcia Andronnikowa, „uczty rybne” urwały się i trzeba było poszukać innych sposobów wzajemnego porozumienia się.

W czwartek przed południem, na kilka godzin przed wykonaniem planowanego zamachu na życie Rasputina otrzymał minister od zaufanych agentów kilka pilnych i bezpośrednio po sobie następujących meldunków, z których zdołał wywnioskować, że zanoszą się na ustąpienie prezydenta ministrów Goremykina i objęcie steru rządu przez radcę państwowego Sttirmera; rzeczywiście nadeszło przed wieczorem do ministerstwa urzędowe zawiadomienie o dokonanych przesunięciach na stanowisku prezydenta ministrów. Chwostow polecił natychmiast zaprosić do siebie swego zastępcę Bieleckiego, nie można go było jednak nigdzie znaleźć; wówczas wysłał minister gońca do tajnego lokalu, gdzie właśnie miało się odbywać brzemienne w skutki spotkanie z Rasputinem, okazało się jednak, że mieszkanie było ciemne, puste i zamknięte. Po otrzymaniu wiadomości wiedział już Chwostow na pewno, że zarówno Bielecki jak i Komisarow opuścili go i zdradzili.

Od tej chwili począł się minister rozglądać na wszystkie strony za ludźmi, których mógłby nakłonić do współudziału w zamachu na Rasputina. Nagle przypomniał sobie o na wpół udanej próbie zamordowania Grzegorza Jefimowicza, którą swego czasu zainicjował mnich Iljodor. Za pośrednictwem swego prywatnego agenta Rzewskiego dowiedział się, że Iljodor walczy w Norwegii z wielkimi trudnościami pieniężnymi i że na próżno usiłuje znaleźć wydawcę dla ułożonego przez siebie paszkwilu pod tytułem „Święty demon”.

Niebawem udał się wysłannik Chwostowa do Norwegii i zaproponował Iljodorowi następujący układ: minister udzieli mu finan-

sowego poparcia, w zamian za co mnich wpłynie na swych zwolenników w Rosji, by wzięli czynny udział w planowanym zamachu na życie Rasputina. Pomiędzy Iljodorem i Chwostowem wywiązała się żywa wymiana telegramów, okazało się jednak w końcu, że minister musi wysłać do Norwegii zaufanego człowieka z pieniędzmi dla mnicha. Po krótkim namyśle powierzył Chwostow tę ważną misję agentowi Rzewskiemu, który nieraz już przeprowadzał podobne zadania z jego polecenia.

Bielecki i Komisarow dowiedzieli się wkrótce przez swych konfidentów o poczynaniach Chwostowa i rozpoczęli działania celem pokrzyżowania planów ministra. Bielecki posiadał w archiwum obciążający materiał o każdym prawie mieszkańcu Petersburga, znalazł w nim również kilka dokumentów, które mogły zaprowadzić Rzewskiego na kilka lat do więzienia. Za pomocą tych papierów zmusił osobistego agenta ministra spraw wewnętrznych do tego, by odtąd wykonywał jego rozkazy i składał mu dokładne sprawozdania z wszystkich rozmów z Chwostowem.

Po porozumieniu się z Komisarowem uznał Bielecki, że nadeszła stosowna chwila do zupełnego utracenia ministra, gdyż był pewny, że za pośrednictwem Rzewskiego zdobędzie bardzo łatwo pismo kompromitujące Chwostowa. W tym celu nakazał agentowi, by zażądał od ministra pisemnego zezwolenia na wywóz przeznaczonych dla Iljodora pieniędzy do Norwegii. Gdy Chwostow wystawił żądane potwierdzenie, wiedział już dobrze Bielecki, jaką drogą ma kroczyć.

Zezwolił na spokojny wyjazd Rzewskiego, uprzednio jednak wydał odpowiednie zarządzenia urzędnikom na granicy rosyjsko--szwedzkiej;

gdy Rzewski opuścił wagon kolejowy na stacji granicznej, przystąpili do niego pod błahym pozorem urzędnicy policji, aresztowali go, przeszukali i przewieźli pod eskortą do Petersburga. W czasie rewizji osobistej odebrano Rzewskiemu pozwolenie na wywóz pieniędzy z podpisem Chwostowa. Równocześnie odbyła się rewizja w mieszkaniu Rzewskiego w Petersburgu. Przy tej sposobności znalazł Bielecki kilka dokumentów, które niezbicie udowadniały winę ministra spraw wewnętrznych. Z tymi dokumentami w ręku udał się zastępca ministra do Rasputina, do nowego prezydenta ministrów Sturmera, do metropolity Pityryma i do Anny Wyrubowej i wykazał, że Chwostow planował i organizował morderczy zamach na Grzegorza Jefimowicza.

Minister nie mógł się już obronić przed dymisją, pozostał jednak na swym stanowisku o trzy dni dłużej, niż spodziewał się Bielecki;

Chwostow wykorzystał ten krótki czas, by usunąć I Bieleckiego ze stanowiska zastępcy ministra i przenieść go do Irkucka, do najbardziej odległej prowincji na Syberii.

Zanim jednak Bielecki udał się w podróż do nowego miejsca służby, przyjął u siebie redaktora pewnego dziennika i opowiedział mu wszystko, co wiedział o zamachach Chwostowa. Rewelacje byłego zastępcy ministra ukazały się w następnym numerze I pisma i wzbudziły niebywałą sensację; za pomocą zręcznego przekupienia podrzędnego urzędnika osiągnął Bielecki, że redakcji tego pisma nie doręczono na czas zakazu ze strony cenzury, mocą którego minister zakazywał wszystkim dziennikom jakichkolwiek wzmianek i artykułów o aferze Rzewskiego. W dzień po opublikowaniu artykułu o planowanym mordzie pozbawił car w najwyższej niełasce Chwostowa urzędu ministra spraw wewnętrznych.

*

Gdy w gabinecie Chwostowa układano wciąż nowe plany zamordowania Rasputina, gdy minister, jego zastępca i szef „specjalnej ochrony” naradzali się tygodniami nad sposobami szybkiego i skutecznego wysłania Grzegorza Jefimowicza na drugi świat, kroczył starzec beztrąsko, spokojnie i wesoło swoją zwykłą, utartą drogą życiową, wśród całego sztabu agentów, szpiclów i najmowanych morderców, pomiędzy hucznymi biesiadami i rzeczywistymi próbami generalnymi morderczego zamachu. Po powrocie z nabożeństwa porannego przystępował jak zwykle dotąd z powagą i energią do codziennej pracy, gdyż zdawał sobie sprawę z obowiązków, jakie ciążyły na nim, na „carze nad ca-rem, \ Dzień w dzień

przyjmował interesantów, wysłuchiwał z uwagą petentów, udzielał rozkazów ministrom, obdarowywał biednych i potrzebujących wsparcia, a równocześnie podejmował się przeprowadzenia skomplikowanych spraw i zgarniał za to do kieszeni odpowiednio wysokie łapówki. Później wsiadał do samochodu, oddanego do jego dyspozycji przez władze, udawał się do ministrów, generałów i kościelnych dostojników, tak jak mu nakazywały w danej chwili interesy państwowe lub też interesy osobiste.

Jeśli otrzymywał nieraz zaproszenie do Carskiego Siola, czy to

m

326

dla udzielenia rady carowi w ważnych sprawach państwowych, czy też dla rozweselenia chorowitego, tęskniącego wciąż gwałtownie za Grzegorzem Jefimowiczem następcy tronu, śpieszył natychmiast, pełen współczucia dla swoich zakłopotanych przyjaciół; przyjazd starca do Carskiego Sioła przynosił pocieszenie, słowa dawały radę i pomoc w kłopotliwym położeniu. Gdy opuszczał pałac, mówili bardzo często car i carowa na pożegnanie: „Jesteś naszym jedynym przyjacielem, naszym zbawcą! Kochamy cię i nie opuścimy nigdy!”

Zaledwie ukończył Rasputin, „przyjaciel cara” i właściwy rządca Rosji, codzienne zajęcia, zaledwie pozbył się różnorodnych odwiedzin, konferencji, przyjęć i interesów, usuwał się zaraz do „sanktuarium”, gdzie w kole gorących wielbicielek prawił o budujących zagadnieniach wiary albo też opisywał wesołe i jasne strony życia ludzkiego, w tym czasie zaś pieścił i całował zebrane kobiety. Na wieczór rezerwował w jednym z ulubionych lokali rozrywkowych oddzielny pokój, tam śpiewał i tańczył z Cyganami, pił z każdym, kto tylko chciał trącić się kieliszkiem, i wracał o świcie do domu rozweselony lub po pijanemu zadumany. Na schodach zamieniał jeszcze kilka słów z agentami albo też pukał do drzwi krawcowej Katii.

I tak mijał dzień po dniu wśród rozlicznych zajęć i przyjemności. Rasputin nie zwracał uwagi na oburzenie, intrygi i plany nieprzyjaciół, był zawsze spokojny, wesoły i beztroski. Gdyż w duszy Grzegorza Jefimowicza żyła wciąż jeszcze, nawet wśród najbardziej skomplikowanych targów i swarów politycznych, niezniszczalna siła pierwotna syberyjskich stepów. Ileż to razy usiłowali już wrogowie starca zaszkodzić mu, ile razy próbowali utracić i usunąć tego prostego chłopca! Jakże mocarni byli

przeciwnicy Rasputina i jak żaloszny skutek ich usiłowań! Wielki książe Mikołaj Mikołajewicz był pierwszym zwolennikiem Rasputina na dworze carskim, później jednak chciał go powiesić. W dalekich stronach, gdzieś na malowniczym Kaukazie, może za to obecnie oddawać się smutnym rozmyślaniom o utraconym stanowisku naczelnego wodza armii rosyjskiej. Piękne księżniczki z Czarnogóry, ongiś zapalone wielbicielki Rasputina, mogą się do woli i serdecznie zżymać, gdy tymczasem starzec zajmuje ich miejsce przy boku cara!

A trzej duchowni dostojnicy, archimandryta Teofan, biskup

Hermogen i budzący strach i grozę mnich Iljodor czyż nie pokusili się o próbę podburzenia cara przeciw Grzegorzowi Jefimowiczowi! Ciężko zapłacili za chęć zniszczenia Rasputina. Mają obecnie w swoich miejscach wygnania wiele czasu i sposobności do rozmyślenia, jak niebezpiecznie jest stworzyć i wprowadzić nowego świętego, a później pragnąć go usunąć. • Jeśli Rasputin uporał się z tymi wszystkimi wpływowymi osobistościami, które go niegdyś wprowadziły i popierały u dworu, to przecież nie przyjdzie mu tak trudno obronić się przed atakami kreatur, rozmaitych ministrów i biskupów, którzy dzięki jego pomocy dostąpili urzędów i godności. Grzegorz Jefimowicz mógł rzeczywiście śmiało i spokojnie dojść do telefonu i zawołać do arcybiskupa Warnawy, który rozpoczął snuć sieci intryg przeciwko swemu opiekunowi: „Teraz się już skończą przejażdżki samochodowe! Pójdiesz boso do domu, tak jakieś przyszedł! Marsz!” Pewny był, że arcybiskup rozważy dobrze jego słowa, zanim przedsięwzięmie nowe nieprzyjazne kroki przeciw niemu. Nie tylko ci wymienieni, ale też i rozmaici panowie z Dumy przysparzali trosk niefrasobliwemu starcowi. Było mu wprawdzie nieprzyjemnie, jeśli wielki kupiec Guczko, przewodniczący komisji obrony kraju, grzmiał przeciw niemu patetycznymi słowami, jeśli generał Gurko, prezydent związku ziemstw, wykrzykiwał, że chciałby widzieć na czele państwa silną władzę, ale nie władzę „chłysta”. Mimo wszystko nie kłopotał się Rasputin wystąpieniami posłów w Dumie, a namiętne, podburzające mowy tysego Puryszkiewicza nie wyprowadziły go nigdy z równowagi.

Właśnie tego człowieka znał Rasputin na wylot i wiedział doskonale, co ma o nim sądzić. Puryszkiewicz, dumny i pewny siebie mówca generalny najskrajniejszej prawicy, przychodził bardzo często do mieszkania starca i

błagał uniżenie o stanowisko ministra. „Trybunowi chłopskiemu” nie spodobały się wstrętne łysa głowa pośła i błyszczące okulary osadzone na przykrótkim nosie, ani też nie mógł w nim wzbudzić entuzjazmu polowy mundur oficera sanitarnego, który wiecznie szczył do dalszego przelewu krwi. Grzegorz Jefimowicz nienawidził frazesów i dlatego opierał się stanowczo nominacji Puryszkiewicza na ministra spraw wewnętrznych. Odmowa miała ten naturalny skutek, że odtąd uchodził Rasputin w oczach Puryszkiewicza za „największe nieszczęście Rosji”. Gdy wojska rosyjskie ponosiły na froncie jedną klęskę

po drugiej, nie mógł Puryszkiewicz, gorący monarchista, imperialista i zwolennik „wojny aż do zwycięstwa”, publicznie przypisać winy za doznane niepowodzenia w kampanii wojennej nieudolności naczelnego dowództwa armii; obwieszczał więc przy każdej sposobności z trybuny parlamentarnej, że za wszystkie wojskowe niepowodzenia odpowiedzialne są „ciemne siły”, Rasputin i jego klika, które musi się bezwzględnie usunąć, jeśli w położeniu Rosji ma nastąpić zwrot ku lepszemu.

Cóż jednak obchodziły te histeryczne okrzyki samego starca! Mógł sobie Puryszkiewicz dowoli piorunować przeciwko „ciemnym siłom”, car i carowa i tak wiedzieli aż nadto dobrze, jaką wartość posiadają „prawdziwi Rosjanie”, i nie wierzyli ani na chwilę przedstawianym im poufnym sprawozdaniom i publicznym napaściom i oszczerstwom na Rasputina. Nawet mrozące krew w żyłach plany mordy, które ujrzały światło dzienne w prywatnym gabinecie ministra Chwostowa, nie zdołały zaniepokoić ojczulka Grzegorza Jefimowicza; zamach organizowany urzędowo przez ministerstwo spraw wewnętrznych, przy czynnej i biernej pomocy policji nie przestraszył wcale Rasputina. Nie dlatego, by nie przeczuwał i nie wiedział, że potajemnie przygotowuje się przeciwko niemu groźny zamach; przeciwnie, wiedział dokładnie o zamaskowanych „zbójcach”, którzy go mieli udusić w samochodzie, znał wszystkie szczegóły o przekupionych tajnych agentach i zatrutym winie, gdyż konfidenti, którym przypadła w udziale ochrona osobista starca, pozostawali z nim na tak zażyłej stopie, że przed każdym poważnym niebezpieczeństwem ostrzegali swego przyjaciela i donosili mu potajemnie o planach i zamierzeniach wrogów.

Chociaż Rasputin był dobrze poinformowany o sprzysiężeniach skierowanych przeciwko niemu, nie zadawał sobie wcale trudu zajmowania się tymi sprawami, gdyż znając doskonale wzajemną nienawiść, zazdrość i nikczemność poszczególnych ministrów, zastępców ministrów, szefów policji i żandarmerii, czuł się zupełnie bezpieczny przed zamachami przeciwników. Starzec patrzył pobłaźliwie na usiłowania wrogów i posiadał pełne zaufanie do wzajemnej nieufności dygnitarzy państwowych; słusznie rozumował, że zanim spadnie mu jeden włos z głowy, zdołają sobie jego nieprzyjaciele wzajemnie poukręcać łby. Gdy więc pewnego razu zjawił się u Grzegorza Jefimowicza

rozgorączkowany i zadyszany zastępca ministra Bielecki i bawiąc się nerwowo złotym łańcuchem od zegarka, zaczął drobiazgowo opowiadać o „podłych planach” Chwostowa, wybuchł starzec głośnym, jasnym i dźwięcznym śmiechem, a jego chłopska broda zatrzepotała jak chorągiew zwycięstwa na wietrze. Przecież przewidywał, że w ten żalosny sposób zakończy się groźny zamach ministerstwa spraw wewnętrznych! Dni, w których Chwostow wskutek zainspirowanej przez Bieleckiego aferze Rzewskiego ustąpił ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych, a Bielecki powędrował do Irkucka, należały do najweselszych chwil w ciągu kilkuletniego „panowania” Rasputina w Rosji. Pełen szyderstwa, mógł stwierdzić, że olbrzymi aparat państwowy zawisł w próżni, że cała precyzyjnie działająca machina gwałtu, intryg i kontroli rozbiła się o własną nikczemność, że wszystkie na wysoką skalę zakrojone i podstępne plany kończyły się żalosnym fiaskiem z powodu skomplikowanej budowy, jak również wzajemnej nieufności i podłości wszystkich uczestników. Czyż starzec potrzebował w tym wypadku pomocy z zewnątrz dla unieszkodliwienia przeciwników?

Gdy w kilka dni później w salonie Gołowinów nad Kanałem Zimowym zasiedli do wspólnej herbatki Rasputin, Munia Gołowi-na, jej matka i młody książę Feliks Jusupow, mógł starzec z satysfakcją stwierdzić, że dzięki opiece i pomocy Boskiej uszedł intrygom i zamachom nieprzyjaciół; Wszechmocny Pan życia i śmierci pozostawił go przy życiu dla dobra cara i radości jego wiernych służebnic.

Munia Eugenia Gołowina i jej matka siedziały jak urzeczone; z rozplómiionymi policzkami wpatrywały się nabożnie w starca i słuchały opowiadania w bezgranicznym zachwycie. Matka i córka odnosiły się

zawsze z uwielbieniem do słów Rasputina; w dziecięcej, czystej i wierzącej duszy Muni nie było nigdy cienia wątpliwości, że „święty ojczulek” jest ucieleśnionym Zbawicielem; stara pani Gołowina, subtelna i wyrozumiała matka, podzielała w zupełności wiarę ukochanej córki. Gdy „ojczulek Grzegorz” opowiadał, uważały bacznie obydwie kobiety, by nie stracić żadnego słowa; święcie wierzyły, że mowy Rasputina pochodzą od samego Boga.

We wszystkim, co Rasputin mówił, gdyby nawet chodziło o czysto świeckie sprawy, jak złośliwe intrygi zawiedzionych ministrów,

dopatrywały się obydwie wierzące kobiety specjalnej interwencji nieba. Właśnie okoliczność, że wszystkie zamachy na starca skończyły się zupełnym niepowodzeniem, że nieżyczliwy Chwostow zaplątał się w końcu we własne sieci, posłużyły za nowy dowód, iż Opatrzność broni ustawicznie „ojczulka Grzegorza” przed napaściami nieprzyjaciół.

Tylko od czasu do czasu odrywała Munia Gołowina od starca tonący w nabożnym zachwycie wzrok i kierowała przelotnie oczy na młodego księcia Jusupowa; stara pani Gołowina zwracała się wówczas również do Feliksa, jak gdyby wyczuwała i odgadywała tajemne myśli córki. Już od dłuższego czasu odczuwała Munia boleśnie, że książę Feliks, dla którego żywiła tkliwe i niewinne uczucie, nie chciał podzielać jej ślepej i pełnej podziwu miłości dla Grzegorza Jefimowicza. Nieraz już usiłowała zbliżyć do siebie obydwu mężczyzn; i tym razem przyświecał jej ten sam cel, gdy zapraszała księcia na popołudniową herbatkę. Lecz Feliks przysłuchiwał się nadal słowom starca tylko z grzeczności i z wymuszoną uwagą, a Munia i matka mogły odczytać w jego rysach wyraźną rezerwę czy nawet powstrzymywaną niechęć do Grzegorza Jefimowicza.

Przysparzało to obydwu paniom wiele zmartwienia, tym bardziej, że ojczulek Grzegorz odnosił się do księcia Jusupowa ze szczerą, prawie ojcowską miłością. Odkąd Rasputin zobaczył po raz pierwszy w salonie Gołowinów tego pięknego, młodego mężczyznę, okazywał coraz większe zainteresowanie dla księcia i nieraz pragnął nawiązać z nim serdeczniejsze stosunki. Chociaż książę Jusupow zbliżał się już do trzydziestki, postać jego miała w sobie coś chłopięcego; był średnio wysoki, smukły, owalna twarz była blada, gładko wygolona, pod oczyma widniały ciemne, głębokie cienie. Carowa, którą często odwiedzał młody książę, znalazła

trafne określenie dla wyglądu Feliksa: twierdziła, że wygląda jak „paź”.
Uspokojenie i zachowanie się księcia odpowiadało w pełni
zewnętrznemu wyglądowi. Cechowała go subtelna, prawie nieśmiała
łagodność, która oczarowała starca na samym początku nowej znajomości.
Już przy pierwszym spotkaniu z Jusupowem doszedł Grzegorz Jcfimowicz
do młodego księcia i uściskał go serdecznie. Również w dalszym
przebiegu pierwszego spotkania wykorzystywał każdą sposobność,
by powiedzieć

Feliksowi kilka miłych i przyjaznych słów. Dzięki cudownemu darowi wnikania w uczucia odgadł starzec natychmiast sympatię Muni do Feliksa. Przy pożegnaniu spoglądał Rasputin na przemian na oboje młodych i, zwrócony do księcia, powiedział ojcowiskim tonem: „Słuchaj jej, a będzie ci duchową żoną. Opowiadała mi o tobie wiele dobrego, teraz zaś sam widzę, że jesteście do siebie dobrani!” Później mówił nieraz dobrotliwy ojczulek z Munią o swojej serdecznej miłości do Feliksa, dla „małego przyjaciela”, jak zwykł był nazywać młodego księcia.

Ale „mały przyjaciel” ku największemu zmartwieniu córki i matki nie odwzajemniał nigdy miłości Rasputina; już przy pierwszym spotkaniu zraziło go zachowanie się starca i sposób, w jaki ten brudny, niekulturalny chłop przystępował do podnieconych i przejętych głębokim szacunkiem kobiet. Gdy zaś starzec doszedł do Muni i matki i bez żadnych skrępów objął je i całował, nie mógł książę Jusupow opanować głębokiego wzburzenia. Sam Feliks żywił dla młodej dziewczyny, która niegdyś była narzeczoną przedwcześnie zmarłego brata, nadzwyczaj delikatne i subtelne uczucie, do którego nie odważył się przyznać nawet przed samym sobą. A tu nagle wpada ten brudny muzyk, łapie Munię szorstkimi rękami i całuje ją dziko w same usta! Na ten widok uderzyła księciu krew do głowy i opanowała go bezsilna i rozpaczliwa wściekłość.

Jusupow unikał rozmów o Rasputinie, gdyż nie chciał niepokoić Muni, w końcu jednak nie dało się uniknąć dyskusji o starcu. Munia, popierana gorliwie przez matkę, twierdziła, że Grzegorz Jefimowicz jest świętym i dlatego nie stanowią jego pocałunki i uściski w żadnym wypadku grzechu, raczej przynoszą błogosławieństwo. Jusupow nie mógł zrozumieć tego bezgranicznego uwielbienia, gdyż ilekroć przysłuchiwał się uważnie

słowom starca, rozprawiającego o zagadnieniach wiary, zawsze dochodził do przekonania, że słowa jego są głupią i bezładną gadaniną; jeszcze silniejszą reakcję wywoływały u księcia opowiadania Rasputina o przyjacielskich stosunkach z parą cesarską lub też wygłaszane pogardliwym i lekceważącym tonem opinie o ministrach, generałach i urzędnikach dworu carskiego. Wszystko to raniło i oburzało do głębi duszę młodego arystokraty, który wkrótce znienawidził starca. Książę Jusupow nie mógł spokojnie myśleć

o tym, że ten „wstrętny prostak” ma w każdej chwili prawo wstępu do Carskiego Sioła.

Niebawem usunął się zupełnie od obcowania z Rasputinem mimo usilnych próśb i gorliwych starań Muni i z tego samego powodu ograniczył z czasem do minimum odwiedziny u państwa Gołowinów. Zachwyty dziewczęcia, swego czasu narzeczonej zmarłego brata, nad człowiekiem w rodzaju Rasputina stawał się w oczach subtelnego księcia coraz bardziej niezrozumiały i denerwujący.

Głęboka niechęć do Grzegorza Jefimowicza, która już wtedy zapuściła korzenie w umyśle młodego Jusupowa, wzrastała później szybko w miarę rozszerzania się zasięgu władzy i wpływów Rasputina. Jeśli dotychczas społeczeństwo więcej przeczuwało, niż wiedziało o potędze starca, to teraz nie rozprawiano w całej Rosji, gdziekolwiek książę się zjawiał, o niczym innym, ujawniano coraz to nowe szczegóły o niezrozumiałym wpływie Rasputina, a równocześnie krążyły różne pogłoski o wyuzdanym trybie jego życia. Wszędzie można już było spotkać mężczyzn, ludzi pochodzących z najznamienitszych rodzin szlacheckich, dostojników kościelnych i ministrów, których Rasputin osobiście obraził, upokorzył, a często nawet usunął z zajmowanego stanowiska; w bezsilnej wściekłości złorzeczyli mu, zdając sobie równocześnie doskonale sprawę z tego, że najbardziej namiętne przekleństwa nieprzyjaciół wywołują na ustach starca co najwyżej uśmiech politowania.

Z wszystkich opowiadań o „przyjacielu”, które docierały do księcia Jusupowa, wywierały nań największe wrażenie wiadomości o rozpustnym trybie życia starca i opisy orgii z paniami z najlepszego towarzystwa; ilekroć dowiadywał się o nowych szczegółach skandalicznych afer

Rasputina, powstawała w jego umyśle wizja zacisznego salonu Gołwinów, gdzie siedział nieraz z Munią w przyjaznej, pogodnej i subtelnej atmosferze, aż pewnego razu wpadł tam ten brudny chłop, chwycił Munię w ramiona i pocałował ją głośno w usta.

*

Dziadek księcia Feliksa Feliksowicza Jusupowa należał do niższej szlachty i nazywał się Elston. Był przystojnym mężczyzną i dzięki temu udało mu się poślubić jedyną córkę hrabiego Sumarokowa, a wkrótce po zawarciu małżeństwa uzyskał zezwole-

w333

nie cara na dodanie do rodzinnego nazwiska tytułu małżonki,! a więc występował odtąd jako hrabia Sumarokow-Elston. Nazwisko i tytuł przeszły później na najstarszego syna, który znów dzięki korzystnemu wyglądowi zewnętrznemu ożenił się z jedyną córką księcia Jusupowa, a później za zgodą cara przejął również nazwisko i tytuł żony. A więc ojciec księcia Feliksa Feliksowicza Jusupowa nazywał się już księżę Jusupow, hrabia Sumarokow-Elston.

Rodzina Jusupowów była tatarskiego pochodzenia i wywodzi- 1 ła swój ród od legendarnego Jusupa Murzy, który w piętnastym stuleciu był ponoć na usługach chana Tamerlana; jeden z młod- I szych przodków Jusupowów był już podkomorzym na dworze i Piotra Wielkiego, a wszyscy jego potomkowie zajmowali wysokie stanowiska państwowe, byli senatorami, gubernatorami i nosłami w obcych państwach.

Tak dziadek jak i ojciec księcia Feliksa Feliksowicza umieli więc przez zawieranie korzystnych małżeństw zdobywać coraz to wyższe tytuły i równocześnie gromadzić coraz to większe I bogactwa. Elstonowie byli zaledwie mało zamożną szlachtą, hrabiowie Sumarokow posiadali już okazałe posiadłości; nie- I zmierzone były jednak włości księcia Jusupowa, które uzyskał ojciec Feliksa dzięki małżeństwu z jedyną dziedziczką książęcego rodu. Pałac Jusupowów zawierał bardzo dużo bajecznych zabytków sztuki, między innymi jeden z najbardziej wartościowych na świecie zbiorów szlachetnych kamieni, i przedstawiał poważną wartość muzealną; również obszary ziemi i kapitały Jusupowów były niezmiernie wielkie.

Niezwykła kariera Elstonów osiągnęła szczytowy punkt dopiero w małżeństwie młodego księcia Feliksa z Iryną Aleksan-drowną, siostrzenicą

cara; księżniczka rodu panującego, córka wielkiej księżnej Kseni Aleksandrowny i wielkiego księcia Aleksandra Michajłowicza, zakochała się w młodym, przystojnym księciu i dzięki temu małżeństwu znalazł się Feliks Jusupow w kręgu najbliższych krewnych samego cara. Feliks Feliksowicz prowadził wystawne i beztroskie życie, jak najznamienitsi i najbogatsi ludzie Rosji; poprzez małżeństwo uzyskał silną pozycję towarzyską i socjalną, niezmiernie bogactwa dawały dostęp do wszelkich możliwych przyjemności i rozkoszy. Nie tylko, że okazał się wiernym tradycji Elstonów, lecz prześcignął najśmielsze nawet sny przodków, gdyż ani dziadek, ani

ojciec nie odważyli się marzyć o spokrewnieniu się z domem Romanowów. Prócz tego była Iryna Aleksandrowna, małżonka Feliksa, jedną z najpiękniejszych, a może nawet najpiękniejszą kobietą Petersburga i dlatego musiało małżeństwo z księżniczką skierować na młodego Jusupowa ogólny podziw i zazdrość całego towarzystwa stolicy. Księżę Feliks Feliksowicz miał przyjaciela oddanego mu duszą i ciałem; był to wielki księżę Dymitr Pawłowicz, porucznik trzeciego pułku ułanów gwardii, jedyny syn wielkiego księcia Pawła Aleksandrowicza. Nierozłączny przyjaciel Jusupowa miał nie tylko tę zaletę, że należał do ścisłej rodziny carskiej, lecz uchodził również za jednego z najprzystojniejszych i najelegantszych młodzieńców i budził niekłamany podziw wśród arystokratycznych oficerów gwardii, którzy żywili wyraźne sympatie dla młodych i przystojnych mężczyzn. Dziewczęco delikatny wielki księżę Dymitr spodobał się również Feliksowi Feliksowiczowi, któremu nie przyszło trudno nawiązanie przyjaźni, gdyż sam był młody, przystojny, elegancki i układny, prócz tego zaś czynił ujmujące, a nawet wprost czarujące wrażenie. Wysokie stanowisko społeczne i niezmierzone bogactwa, piękna żona i przystojny przyjaciel sprawiły, że stał się niebawem ubóstwianym ulubieńcem całego towarzystwa petersburskiego, a gdziekolwiek się zjawiał, otaczali i tłoczyli się wkoło niego mężczyźni i kobiety.

Kto nie jest bogaty, piękny i młody, kto nie posiada powodzenia w życiu towarzyskim, nie może odgadnąć, jak nieznośnie nudnymi mogą stać się bogactwo, piękność i popularność. Feliks Feliksowicz miał wszystko, czego dusza zapragnie: posiadał największą i najkosztowniejszą na świecie

kolekcję kamieni szlachetnych, posiadał pałace, zamki i nieskończone obszary ziemi; osiągnął rękę carskiej księżniczki, co dla wszystkich mężczyzn szlacheckiego pochodzenia, jakimi byli potomkowie Elstonów, było szczytem społecznego powodzenia; piękny, podziwiany przez wszystkich wielki książę Dymitr był jego przyjacielem. Na tle tego wiecznego szczęścia, które nie kryło w sobie żadnych tajemnic, które nie mogło już nastreczyć żadnych nowych uczuć, pokus lub podniet, wyrosła mimo wszystko bezmierna nuda i nieopisana pustka.

Podobnie do wielu innych arystokratów rosyjskich nie posiadał książę możliwości zapełnienia życia duchowymi zainteresowaniami wyższego rodzaju. Na każdym kroku dręczyła Jusupowa żalosna

nuda, prześladowająca zwykle ludzi absolutnie bogatych i absolutnie szczęśliwych, zawsze i wszędzie wybijał się na pierwszy plan bezbrzeżny smutek człowieka, który ma dostęp do wszystkich rozkoszy tego świata, lecz nie pożąda żadnej z nich. Z czasem począł książę porównywać życie w wiecznym bogactwie do pobytu w więzieniu, z którego nie ma ucieczki; piękna małżonka cesarskiego pochodzenia, przystojny i elegancki przyjaciel, rozliczni wielbiciele i wielbicielki, ładne kobiety i dystyngowani mężczyźni, którzy go wciąż otaczali, poczęli się z czasem upodabniać w jego oczach do nielitościwych strażników więziennych, którzy trzymają go pod okrutną władzą rozpaczliwej nudy.

Biedny pożąda bogactwa, niekochany pragnie miłości, człowiek niższego stanu oczekuje wywyższenia; kto jednak, jak Feliks Jusupow, posiada bezmiary bogactw, kto tonie w wiecznym szczęściu i nie może uwolnić się od nie kończących się nigdy przyjemności, ten ma tylko jedną drogę ucieczki z duchowego więzienia: zbrodnię. Podobnie jak więzień patrzy na szeroki świat przez kraty okienne i marzy wciąż o wolności, tak i młody książę tęsknił za zbrodnią, za tym jedynym sposobem uzyskania wolności duchowej. Popęlnić zbrodnię i raz w życiu uzyskać nowe, silne, nie znane dotąd wrażenia, to był sen podobny do marzeń więźniów o wolności.

Ale i tu napotykał książę Jusupow większe trudności niż każdy przeciętny śmiertelnik; gdyby popełnił drobne, często zdarzające się przestępstwo, gdyby na przykład zamordował służącego, żołnierza lub nawet dziewczynę z ulicy, nie wywarłby jego czyn — zdawał sobie z tego doskonale sprawę — żadnego głębszego wrażenia wśród rozlicznych przyjaciół i znajomych.

Feliks Feliksowicz musiał więc popełnić inną, większą zbrodnię, jeśli

chciał naprawdę przerwać nieznośną monotonię pustego, przeładowanego szczęściem życia; tylko przestępstwo zakrojone na szeroką skalę i związane z pewną dozą osobistego niebezpieczeństwa mogło poruszyć jego stępniałe nerwy i zainteresować cały kraj. Tylko wielkie duchowe wstrząśnięcie mogło mu zapewnić uwolnienie się z więzienia wiecznej nudy, wobec czego ofiarą zbrodni musiała paść jakaś ważna, powszechnie znana osobistość.

W całej Rosji był wówczas tylko jeden człowiek, zgładzenie którego było naprawdę trudne, godne zachodu i zakrojone na historyczną miarę; człowiekiem tym był Rasputin, przyjaciel cara i carowej, potężny starzec, ubóstwiany jak święty przez panie z naj-

wyższego towarzystwa i czczony przez polityków, generałów i dostojników kościelnych jako niekoronowany władca Rosji. Zamordować Rasputina — to był naprawdę wielki, historyczny i godny księcia Jusupowa czyn!

*

Gdy młody, dręczony nudą książe powziął raz jeden plan zamordowania Rasputina, nie mógł się już później wyzbyć tej myśli. Nie sprawiło mu trudności znalezienie moralnego uzasadnienia i usprawiedliwienia mordu; od dawna już nienawidził z całego serca Rasputina, gdyż subtelne nerwy księcia burzyły się od samego początku przeciw temu gburowatemu, prostackiemu i dumnemu chłopu. Im dłużej rozmyślał Jusupow o starcu, tym wyraźniej czuł, że jest wprost jego obowiązkiem zamordować Rasputina. Nie trwało długo, a plany księcia przyoblekły się w bohaterskie szaty; pomysł, by popełnić mord „z ideologicznych pobudek”, rozkołysał delikatną duszę młodego księcia i udzielił jej natchnienia, graniczącego z ekstatycznym upojeniem.

Książe Feliks Feliksowicz Jusupow umacniał się w swym postanowieniu, ilekroć rozmawiał o Rasputinie z arystokratycznymi przyjaciółmi, z wielkimi księżętami, oficerami i urzędnikami dworu carskiego. Przy każdym nowym spotkaniu z ludźmi szlacheckiego stanu dowiadywał się młody książe o dalszych obrzydliwych czynach Rasputina, o nowych nominacjach i dymisjach przeprowadzonych na życzenie starca oraz o świeżych skandalach i orgiach z paniami z najlepszego towarzystwa stolicy.

Niebawem doszło do uszu księcia, że dochodzenia Synodu ustaliły ponad wszelką wątpliwość przynależność Rasputina do sekty chłystów,

aczkolwiek sam starzec stale zaprzeczał podobnym wiadomościom. Co więcej, nie należy wątpić, że Rasputin dążył do władzy w państwie z polecenia sekty i sprawuje rządy zgodnie z zasadami tej heretyckiej nauki. Bezczelny sekciarz zadrwił sobie z kleru, wysuwając niewykształconego, byłego praktykanta ogrodniczego Warnawę na stanowisko biskupa i arcybiskupa. Starzec oświadczył wtedy: „Butni i uczeni panowie i biskupi będą się zżymać, żem wsadził między nich zwykłego chłopca; ale ja gwizdżę na biskupów!”

Dostatecznie silnym dowodem przynależności Rasputina do

sekty chłystów były poza tym ujemne wyrażenia, jakich Rasputin zwykł był używać w rozmowach o najwyższych dostojnikach kościoła; arcybiskupa Włodzimierza rzadko nazywał inaczej niż „baranią głową”. Cóż dopiero jego nauka o grzechach i kazania o odkupieniu przez zmysłową rozwiązłość! Tylko przeklęty heretyk może się odważyć na podobne mowy i czyny.

Jakaż hańba dla Rosji, że państwem, które niegdyś było ostoją prawowierności, władza dzisiaj zwolennik ciemnej i bezecnej sekty chłystów! A jak nikczemnie wykorzystywał ten Rasputin każdą sposobność, by okazać publicznie swoją pogardę dla arystokratów! Wypędzenie najwyższego prokuratora Samarina, który był przecież duchowym kierownikiem szlachty moskiewskiej, było tylko pierwszym uderzeniem; oszołomiony zwycięstwem, Grzegorz Je-fimowicz pozwalał sobie odtąd przy każdej sposobności na oburzające uwagi pod adresem najczcigodniejszych przedstawicieli arystokracji; niedawno zawołał w pewnym towarzystwie: „Nasi arystokraci krzyczą wszędzie i zawsze: wojna aż do zwycięstwa! Sami jednak spacerują po ulicach Moskwy i Petersburga, gdy tymczasem chłopci przelewają w polu krew! Do okopów z nimi!”

Wielki wpływ Rasputina na parę cesarską wywoływał w całym wiernopoddańczym towarzystwie stolicy duże zaniepokojenie, gdyż upatrywano w nim poważne niebezpieczeństwo dla dalszego istnienia monarchii. Dokąd dąży Rosja, jeśli wszechwładny car powoduje się wolą i życzeniami prostego chłopca?

Książę Jusupow słyszał również o próbach przeciwstawiania się potędze Rasputina ze strony osób zgrupowanych wokół posła angielskiego

Buchanana; w grupie tej znalazło się kilku członków rodziny panującej, którzy podjęli się wpłynąć na cara, by oddalił Rasputina i rozpoczął politykę odpowiadającą ich życzeniom. Ale car Mikołaj zareagował na tłumaczenia krewnych w taki sam sposób, jak na tłumaczenia innych osób ze swego otoczenia; początkowo słuchał bardzo uprzejmie, później stawał się chłodny i wstrzeźliwy w słowach, a w końcu dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że cel audiencji jest chybiony. Jeśli przedstawiano carowi lub carowej skargi na tryb życia Rasputina, otrzymywano stale tę samą odpowiedź: „Nienawidzicie go, ponieważ cieszy się naszą miłością!” Okazało się, że ten chłop, posiadający na dworze oficjalnie tytuł „zapalającego lampki”, był w rzeczywistości właściwym władcą olbrzymiego państwa.

/•

Opowiadano nieraz, że Rasputin zawdzięcza w dużej mierze swoje niezachwiane stanowisko na dworze często powtarzanym i utrzymywanym w proroczym tonie groźbom: „Jak długo ja żyję, tak długo będzie żyć rodzina cara; po mojej śmierci zginie car i zginą również jego najbliżsi!” Carowa, a także car, wierzyli święcie w to proroctwo — tak przynajmniej powszechnie utrzymywano — i już samo to wystarczyło, by odrzucali wszelką myśl o rozłączeniu z „przyjacielem”.

Nieograniczone zaufanie, jakim darzyła starca para cesarska, musiało wielce zaniepokoić patriotyczne koła arystokratyczne również i z tego powodu, że mnożyły się w kraju tajemne pogłoski, wedle których Grzegorz Jefimowicz miał być niemieckim szpiegiem. Wprawdzie cenzura zabroniła surowo wzmiankować o tym w gazetach, jednak od czasu do czasu ukazywały się w reakcyjnych pismach ukryte aluzje, które dawały wiele do myślenia i wywoływały liczne nieprzyjemne komentarze. I tam można było pewnego razu wyczytać w „Nowoje Wremja”, że wiosenna ofensywa rosyjskiej armii utknęła na „Rasputicy”, na „bagnie”. Cenzor przeoczył dwuznaczną treść tej wzmianki, ale każdy mieszkaniec Petersburga wiedział doskonale, o co chodzi.

Oczywiście w opowiadaniach o Rasputinie kryło się wiele złośliwej przesady, a nawet wierutnego kłamstwa; książę Jusupow witał jednak chętnie każdą wiadomość, która piętnowała starca jako zdrajcę i szkodnika ojczyzny. Gdy raz postanowił zamordować Rasputina celem rozproszenia nieopisanej nudy, znalazł we wszystkich pogłoskach oskarżających starca doskonale usprawiedliwienie dla planowanej zbrodni. Gdyż ten, kto ma zamiar popełnić morderstwo, nie jest nigdy zbyt wybredny w szukaniu

„ideologicznych pobudek" dla uzasadnienia występku. Do tego celu wystarczyły księciu w zupełności towarzyskie plotki.

Co prawda Rasputin nie był pierwszym człowiekiem w Rosji, który wpływał na cara w drodze niekonstytucyjnej; nie on jeden brał łapówki, urządzał orgie i przeprowadzał nominacje i dymisje ministrów, kierując się raczej względami osobistymi niż rzeczowymi. Grzegorz Jefimowicz popełniał te same błędy, co inni, którzy przed nim i po nim uzyskali wpływ na losy imperium rosyjskiego. Mimo wszystko jednak doszedł książę Feliks bardzo szybko do przekonania, że jedynie Rasputin jest przyczyną nieszczęścia i niepowodzeń państwowych, że zamordowanie tego człowieka nie tylko

ożywi jego stępiejące nerwy, lecz również przyczyni się do uwolnienia cara i całego państwa od nieszczęsnych „ciemnych sił”, a tym samym zdobędzie wszelkie oznaki bohaterskiego czynu narodowego.

Niebawem uwierzył Jusupow zupełnie szczerze w ideologiczną nadbudowę, którą zestawił na podstawie plotek zebranych w salonach stolicy. Uwierzył tak szczerze, jak uwierzyć może polityczny spiskowiec we wzniosłość zbrodni popełnionej z „pobudek ideowych”. W ten sposób przewyciężył książę ostatnie skrupuły i mógł przystąpić do koniecznych przygotowań.

*

Od dłuższego czasu wojna przybierała coraz bardziej niepomyślny obrót, wojska poniosły szereg klęsk, nastrój ludności pogorszył się w widocznym stopniu, a koła reakcyjnych imperialistów ogarniało z wolna silne z wątpienie. Za każdą cenę musiał się znaleźć winny, na którego można by zwalić całą odpowiedzialność za niepowodzenia i klęski.

Właściciel ziemski i poseł do Dumy Puryszkiewicz zasłużył się dobrze obozowi skrajnej prawicy, gdyż udało mu się w końcu znaleźć w samą porę tego kozła ofiarnego. Odkąd rozwiały się nadzieje Puryszkiewicza na uzyskanie stanowiska ministra, obwieszczał publicznie przy każdej sposobności, że Rasputin ponosi wyłącznie winę za niepomyślny przebieg wypadków państwowych i za niepowodzenia wojenne; tylko Rasputinowi należy przypisać że kraj stoi przed gwałtownym załamaniem się całego aparatu państwowego. Puryszkiewicz był namiętym i uzdolnionym mówcą, nic też dziwnego, że jego zapamiętałe oskrajania wygłaszane w Dumie i na zebraniach publicznych wywoływały olbrzymie poruszenie umysłów.

Gdy książkę Jusupow przeczytał pewnego razu z końcem roku 1916 jedną ze szczególnie gwałtownych mów Puryszkiewicza, poznał natychmiast, że poseł do Dumy jest właściwym człowiekiem, który może wziąć czynny udział w przeprowadzeniu wielkiego planu uwolnienia Rosji od władzy „ciemnych sił”.

Puryszkiewicz pracował w rosyjskim Czerwonym Krzyżu i dowodził specjalnym pociągiem sanitarnym; pociąg ten stał jednak najczęściej na dworcu kolejowym w Petersburgu, a w jednym z wagonów znajdowała się kancelaria Puryszkiewicza. Tam też

odszukał go książę Jusupow i przedstawił swój plan zamordowania Rasputina. Poseł do Dumy wpadł w istny zachwyty i przyrzekł księciu czynną współpracę w realizowaniu zbrodniczego dzieła.

Jeszcze tego samego wieczoru odbyła się ponowna narada. Książę Feliks życzył sobie, by zaprosić do współudziału w tym wielkim, patriotycznym przedsięwzięciu jego przyjaciela, wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza, gdyż wyobrażał sobie, że wykonanie mordu da wielkiemu księciu, który na równi z nim rozczytywał się z zamiłowaniem w książce Oskara Wilde'a „Dorian Gray” i w podobnych dziełach, pożądaną zmianę i podniętę dla nerwów. zaproponował więc posłowi do Dumy, by wtajemniczyć w szczegóły spisku Dymitra Pawłowicza, i obydwaj mężczyźni zgodzili się, że współpraca wielkiego księcia odda sprawie bardzo poważne usługi. Albowiem członkowie rodu panującego nie byli odpowiedzialni wobec prawa i normalnych władz sądowych, lecz tylko wobec cara; nietykalność rozciągała się również na wszystkich uczestników karygodnego czynu popełnionego przez carskiego księcia. Jeśliby Jusupow i Puryszkiewicz urzeczywistnili swe plany przy aktywnej pomocy wielkiego księcia, mogli być z góry zabezpieczeni przed ewentualnymi prześladowaniami ze strony policji i sądów.

Posel do Dumy, gorący i zdecydowany monarchista, przywiązywał jednak największą wagę do samego pomysłu, by w gwałtownym usunięciu „szkodnika” Rasputina wziął również udział członek rodu panującego; dzięki temu spłynie poważna część przyszłej chwały na rodzinę cara. Gdy obydwaj spiskowcy załatwili korzystnie sprawę współudziału wielkiego księcia, polecił Puryszkiewicz jako dalszego uczestnika zamachu swego asystenta w pociągu sanitarnym, lekarza polskiego,

doktora Łazowerta, któremu przypadłyby w udziale starania o potrzebne trucizny; prócz tego postanowiono wciągnąć do spisku oficera kawalerii Suchotina i kamerdynera księcia Jusupowa, Newedowa.

Pozyskanie wielkiego księcia Dymitra nie napotkało większych trudności; odkąd zniesiono pańszczyznę, odkąd zakorzeniły się w Rosji humanitarne przesady zgniłego Zachodu, nie mogli wielcy książęta znaleźć w kraju żadnych, i to absolutnie żadnych możliwości dla lekkiego choćby poruszenia stępałych nerwów. Polowa-

nie i zabijanie zwierząt nie mogło dać na dłuższą metę prawdziwego zadowolenia; nie dziwota, że Dymitr skorzystał ochoczo ze sposobności, by raz na zmianę „ubić” człowieka. Prócz tego cały plan pochodził od Feliksa Feliksowicza, a wielki książę czynił zawsze ślepo to wszystko, co uznał za dobre jego przyjaciel. W końcu chodziło przecież o bohaterski, patriotyczny czyn, toteż książę wyraził natychmiast zgodę na udział w zamachu.

*

Jusupow oparł plan zamordowania Rasputina w pierwszym rzędzie na bezgranicznej łatwowierności Muni Gołowiny i jej matki. Feliks Feliksowicz wiedział doskonale, iż obydwie kobiety nie mogły przeboleć, że młody książę odnosi się do ubóstwianego przez nich ojca Grzegorza z wyraźną niechęcią; natomiast starzec od pierwszej chwili znajomości okazywał „małemu przyjacielowi” serdeczne uczucie. W ciągu ostatnich kilku lat usiłowała już nieraz Munia doprowadzić do zbliżenia między Rasputinem a Jusupowem i sam Grzegorz Jefimowicz prosił ją więcej niż jeden raz, by urządzała wspólne przyjęcia dla niego i dla księcia.

Feliks przypominał sobie doskonale nie ukrywaną miłość, jaką żywił dlań starzec, i równocześnie uświadamiał sobie sympatię Muni; wszystko to miało mu ułatwić zwabienie ofiary do pułapki. Zdarzały się wprawdzie chwile, w których Jusupow nie mógł przytłumić wielce nieprzyjemnego uczucia, że tego rodzaju nadużycie zaufania miłego i łatwowernego dziewczęcia i zbliżenie się przy jego pomocy do nie przeczuwającego nic złego człowieka z zamiarem skrytobójczego zamordowania go, nie są wcale rycerskimi metodami walki. Ale podobne wątpliwości ustępowały szybko miejsca przekonaniu, że przecież popełnia ten mord z

idealistycznych, patriotycznych pobudek, a wzniosły cel usprawiedliwia w pełni nierycerskie środki.

Poza tym ten szlachetny młodzieniec, który oszalał się literaturą „dekadentów”, zakosztował teraz potajemnie przedsmaku rozkoszy, zawartych w skrytobójczym i podstępny wykonaniu planu. Napaść na ofiarę po prostu, twarzą w twarz, brutalnie i karczemnie, to wszystko nie mogło dać zadowolenia subtelnej duszy młodego księcia; jego upodobaniom odpowiadało tylko przestępstwo obmyślane ze specjalną złości-

- "Z

wością i wyrafinowanym podstępem. Również przy wykonaniu mordu należało okazać wydelikacowany smak i arystokratyczne przyzwyczajenia, aby wyróżnić się w ten sposób korzystnie od wielu niekulturalnych, nieestetycznych i codziennych morderców.

W tym duchu rozpoczął książę Jusupow przygotowania, by za pośrednictwem dobrodusznej Muni wkraść się w zaufanie Rasputina; reszta uczestników zamachu miała w tym czasie zająć się techniczną stroną sprawy, sporządzić truciznę i wystarać się o odpowiednio ciężkie łańcuchy, za pomocą których można by po dokonaniu czynu obciążyć zwłoki Rasputina, zanim się je wrzuci do Newy.

Feliks unikał dotychczas bardzo starannie wszelkich stosunków z rodziną Gołowinów; obecnie jednak wykorzystał najbliższą sposobność, by zjawić się w ich salonie i okazać pewne, nie rzucające się w oczy zainteresowanie dla starca. Rzucił kilka uwag, z których wynikało, że nie byłoby mu niemiłe, gdyby mógł znowu spotkać się z Rasputinem, gdyż wszystko, co opowiadały mu Munia i jej matka o starcu, wywołało w nim wrażenie, że Grzegorz Jefi-mowicz jest naprawdę czcigodnym, co więcej, prawie świętym człowiekiem.

Już w kilka dni po naradzie, na której Jusupow, Puryszkiewicz i wielki książę Dymitr postanowili ostatecznie dokonać mordu, zawezwała Munia telefonicznie księcia i prosiła go, by zjawił się u niej na herbatce z Rasputinem. Przez chwilę przestraszył się Feliks łatwości, z jaką postępował naprzód plan, i nieświadomości Muni, która nie przeczuwała nic złego i cieszyła się nawet, że w jej salonie wpadnie starzec w ręce morderców. Naturalnie książę, opierając się na czysto ideowych

pobudkach, przewyciężył natychmiast ten mały napad słabości i odpowiedział, że chętnie skorzysta z zaproszenia.

Gdy na drugi dzień przestąpił książę próg salonu Gołowinów, zauważył, że matka i córka znajdują się w stanie silnego wzruszenia, gdyż dla tych kobiet oczekiwane spotkanie Rasputina z Jusu-powem było podniosłym wydarzeniem. Wkrótce zjawił się również starzec; na widok księcia uśmiechnął się przyjaźnie, pośpieszył doń i uścisnął serdecznie.

Podejrzliwy z natury Grzegorz Jefimowicz zachowywał się wobec przyszłego mordercy tak, jak nie zachowywał się wobec żadnych innych mężczyzn; zabiegał wprost o jego przychylność, obsypywał go najrozmaitszymi, niezręcznymi zresztą

dowodami miłości i usiłował przywiązać do siebie za pomocą wyjątkowej serdeczności i dobroci. Nie przeczuwał ani przez chwilę, że „mały przyjaciel” gra na zimno komedię i radował się niezmiernie rzekomą zmianą nastrojów księcia.

Feliks udawał, że czuje się mile wyróżniony wyrazami przyjaźni ze strony Rasputina, w rzeczywistości odczuwał ten sam wstręt, z jakim już od dawna odnosił się do tego brudnego muzyka. Gdy spostrzegł, że Grzegorz Jefimowicz rozmawia z obiema paniami i pieści je, zakipiała w nim na nowo wściekłość; a cóż dopiero ten obrzydliwy, ojcowski ton, jakim Rasputin odważył się przemawiać do księcia, cóż dopiero współczujące pytania, na przykład, kiedy Feliks zamierza pójść na front, albo też lekceważące opinie o dworze carskim, o poważnych arystokratkach, o dostojnikach kościelnych, ministrach i posłach do Dumy! „Niech tylko uderzę pięścią w stół”, zawołał, „a wszystko pójdzie tak, jak zechcę! To jest jedyna droga i jedyny sposób, w jaki można się uporać z waszymi arystokratami! Nie mogą przełknąć faktu, że ja, w moich zabłoconych butach, mam zawsze wolny wstęp do pałacu cara. Są zanadto pyszni, a pycha jest początkiem wszelkiej zbrodni! Kto chce się ostać w obliczu Pana, musi zacząć od poniżania samego siebie!”

Jusupow zadał sobie wiele trudu, by nie zdradzić nurtującego go gniewu i oburzenia. Ponieważ chodziło o dokonanie bohaterskiego czynu, uśmiechał się do starca, przymilał się i pozwalał na czułości. Uświadamiał sobie, że każdy serdeczny uścisk i każde miłe słowo przybliżają go do upragnionego celu, że w ten sposób wciska się coraz głębiej w zaufanie upatrzonyj ofiary.

Zanim Rasputin, odwołany telefonicznie, pożegnał się z towarzystwem,

omówił księżę szybko z nim i Munią nowe spotkanie, aby tylko jak najszybciej zdążyć do celu. Już na drugi dzień zwróciła się Munia telefonicznie do „małego przyjaciela” i prosiła go w imieniu Rasputina, by następnym razem przyniósł ze sobą gitarę, gdyż ojciec Grzegorz dowiedział się, że Feliks umie pięknie śpiewać pieśni cygańskie. W tej chwili musiał Jusupow dojść do przekonania, że w walce ze starcem wspomagają go niewidoczne a potężne siły, księżę, który dzięki łagodnemu i statecznemu rozsądkowi umiał świetnie oceniać wartość wyrafinowanych podstępów, uznał, że przypadek wepchnął do jego rąk skuteczną broń.

Było powszechnie wiadome, że najłatwiej można było pozyskać

miłość Grzegorza Jefimowicza za pomocą muzyki, gry na gitarze i pieśni cygańskich. Rasputin, ten nieokrzesany, syberyjski chłop i pierwotny człowiek stepów, kochał aż do przesady taniec, muzykę i śpiew, tak że najbardziej ponury nastrój starca zniknął pod wpływem dźwięków strun albo pięknego głosu. Jusupow słyszał również o słynnej scenie w „Villa Rode”, gdzie grubemu szambelanowi Chwostowowi, który posiadał piękny głos, udało się momentalnie załagodzić nienawiść rozgoryczonego nań niegdyś Rasputina za pomocą śpiewu.

Jeśli Jusupowowi nadarzyła się sposobność, że mógł grać na gitarze i śpiewać Rasputinowi pieśni cygańskie, oznaczało to, jak słusznie rozumował, iż będzie można przeskoczyć długą i kłopotliwą pracę obliczoną na tygodnie i miesiące i zdążyć tym samym w jak najkrótszym czasie do celu. Jeśli w starcu drzemały jeszcze pewne resztki podejrzliwości, to musiały wkrótce zniknąć pod wpływem muzyki i śpiewu. Książę Jusupow wziął owego wieczoru do rąk gitarę podobnie jak skrytobójca chwyta za broń i udał się do domu Gołowinów nad Kanałem Zimowym, gdzie już oczekiwał go z utęsknieniem prostoduszny starzec, łatwowierna i naiwna Munia i jej równie łatwowierna i naiwna matka. Gdy zasiedli wszyscy do stołu, przytulił do siebie Rasputin małą Munię, po czym zapytał, czy Jusupow przyniósł gitarę. Po twierdzącej odpowiedzi księcia poprosił błagalnie, aby zaśpiewał. Feliks nie posiadał się prawie z oburzenia na widok rozweselonego chłopca, uśmiechnął się jednak przyjaźnie, wziął gitarę i zaintonował po kolei kilka piosenek cygańskich. Grzegorz Jefimowicz słuchał z uwagą, rozparty szeroko na krześle, a na pomarszczonym obliczu ukazywały się przebłyśki prawdziwie dziecinnego szczęścia i wzruszenia. Starzec prosił o coraz to nowe pieśni, a książę

Jusupow nieznużenie odtwarzał to wesołe, to smutne strofy, uderzając równocześnie w struny instrumentu starannie wypielegnowanymi i delikatnymi palcami.

Rankiem 16 grudnia udał się książę Feliks do swego pałacu nad Mojką, aby poczynić ostatnie przygotowania do mordy, którego miano dokonać tego samego wieczoru. Gra na gitarze wydała bowiem bardzo sz\bkowo i Jusupow pozyskał niebawem pełne

345

zaufanie starca. Od owego wieczoru, gdy w salonie Gołowninów po raz pierwszy grał i śpiewał dla Grzegorza Jefimowicza, ten uważał go za najbardziej oddanego przyjaciela; księżę był również kilka razy na Grochowej, a starzec był do tego stopnia uszczęśliwiony odwiedzinami, że zdawało się, jakoby miłość zupełnie go oślepiła. Feliks wchodził i wychodził z mieszkania swojej ofiary i pod pozorem, że cierpi z powodu choroby płuc, prosił Rasputina, by go wyleczył za pomocą „cudownie działających magnetycznych promieni”. Równocześnie jednak razem z pozostałymi spiskowcami poczynił przygotowania do przeprowadzenia zamachu.

Wszystkie szczegóły mordu zostały najdokładniej omówione na licznych naradach Jusupowa z Puryszkiewiczem; ustalono już nawet dzień, w którym Rasputin miał zejść z tego świata, a mianowicie 16 grudnia. Za najodpowiedniejsze miejsce do wykonania zbrodni uznali spiskowcy nie zamieszkały pokój w piwnicy właśnie przebudowywanego pałacu Jusupowa nad Mojką, gdyż z tej podziemnej przestrzeni nie mogły się wydostać na zewnątrz żadne zdradliwe odgłosy. Wynaleziono również pretekst, pod którym miano zwabić starca na omówione miejsce: Grzegorz Jefimowicz nieraz już życzył sobie poznać małżonkę księcia Feliksa, piękną i młodą księżniczkę Irynę Aleksandrownę, i ta okoliczność miała być ostatnim ogniwem łańcucha planów Jusupowa.

Chociaż Iryny Aleksandrowny w rzeczywistości nie było wcale w Petersburgu, gdyż bawiła na Krymie, oświadczył Jusupow starcowi, że żona chciałaby go bardzo zobaczyć, gdyż czuje się chora i pragnie, by Rasputin ją zbadał. Grzegorz Jefimowicz ucieszył się bardzo tą wiadomością, w której prawdziwość ani na chwilę nie wątpił, i przyjął z

wdzięcznością zaproszenie Jusupowa na wieczór 16 grudnia. Feliks zaznaczył mimochodem, że wieczorna godzina jest o wiele stosowniejsza, gdyż rodzice księcia odnoszą się nie-przyjaźnie do starca i nie powinni dowiedzieć się o jego odwiedzinach w pałacu syna. Podejrzliwy i chytry z natury Rasputin nie powziął żadnych podejrzeń nawet przy tej dość dziwnej wiadomości i zaślepiiony miłością, przyrzekł, że nie opowie nikomu, gdzie ma zamiar spędzić wieczór 16 grudnia.

Gdy książę upewnił się w ten sposób, że ze strony Rasputina nie napotka żadnych trudności, rozpoczął odpowiednie przygotowania we własnym domu. Pokój w podziemiach, w których mia-

no dokonać zbrodni, był niegdyś częścią olbrzymiej piwnicy na wino, później jednak przemieniono go na jadalnię i ozdobiono tapetami.

Wspomniana komnata podziemna posiadała kamienną posadzkę, niską, sklepioną powałę i dwa wąskie okna wychodzące tuż nad poziomem ulicy na Mojkę.

Ponieważ powodzenie całego planu zależało od tego, by pokój czynił wrażenie, jakoby był stale zamieszkały, polecił Feliks sprowadzić doń rozmaite piękne sprzęty, rzeźbione i obite skórą krzesła, stoły i szafy, między innymi również inkrustowaną szafę, wykonaną z nadzwyczajnym kunsztem, we wnętrzu której znajdowała się niezliczona ilość luster i kolumnienek z brązu.

Przy pomocy służącego Newedowa urządził Jusupow pokój możliwie jak najprzyjemniej, zawiesił nad oknami firanki, pokrył kamienną posadzkę kosztownymi dywanami perskimi i skórą niedźwiedzi, umieścił na wielkim, otwartym kominku z czerwonego granitu kilka złotych dzbanów, stare talerze z majoliki i figurki z kości słoniowej i w końcu nakazał ustawić w środku pokoju stół, przy którym Rasputin miał niebawem spożyć ostatnią wie-czerzę. Następnie wydał służbie polecenie nakrycia na sześć osób przygotowania herbaty, wina i ciast. Po wykonaniu poleceń miała się cała służba oddalić do swych pokojów i nie opuszczać ich wedle surowego nakazu księcia do poranku.

Opisane przygotowania trwały cały dzień i nadchodził już późny wieczór, gdy w końcu na stole zahuczał samowar. Jeśli dotychczas pokój w podziemiach wywierał niezachęcające wrażenie, te-raz stał się miły i przytulny dzięki licznym dywanom i wesołym płomykom ognia drgającego w kominku. Niebawem zjawiała się reszta spiskowców, doktor

Łazowert włożył gumowe rękawiczki, otworzył przyniesioną przez siebie puszkę, która miała zawierać cyjankali, roztarł między palcami kilka kryształów trucizny, przy-sunął do siebie stojący obok tort czekoladowy, podniósł górną połowę tortu i posypał dolną część wielką ilością sproszkowanej trucizny; następnie nałożył z powrotem górną warstwę tortu i za-pewnił zebranych, że dawka trucizny jest tak silna, że mo-głaby z pewnością pozbawić życia większą liczbę osób.

Zanim spiskowcy opuścili pokój, postarali się, by wywoływał wrażenie, jakoby siedziało w nim przed chwilą kilka osób przy herbacie. W tym celu umyślnie porozstawiali meble, wysunęli nie-co krzesła, pozaginali dywany i nalali trochę herbaty do filiżanek.

Później omówiono jeszcze raz szczegółowo role, jakie miały każdemu przypaść w wykonaniu zamachu; wielki książę, który przez prawie cały czas stał beczynnie, wyraził życzenie, by mógł wziąć bardziej czynny udział w mordzie; ale monarchistycznie usposobiony Puryszkiewicz wykazał przy tej sposobności subtelne wyczucie granicy, do jakiej może się posunąć członek rodu panującego przy uczestnictwie w zbrodni, i zajął stanowisko, że carski książę nie może splamić rąk brudną chłopską krwią, dlatego też należy mu tylko zezwolić, by współdziałał w zamordowaniu Rasputina jedynie jako widz i świadek. Puryszkiewicz przeforsował swoje zdanie i wszyscy zgodzili się na jego wniosek. Sam Jusupow ugości starca trucizną, natomiast reszta spiskowców będzie czekała w pracowni księcia, znajdującej się nad komnatą w podziemiach, aż Feliks upora się z gościem. Aby rozproszyć resztki podejrzliwości w umyśle starca, puści się na górze w ruch gramofon, a tym samym wywoła się złudzenie, że w pałacu znajduje się rozbawione towarzystwo.

Książę Feliks udał się niebawem w drogę, aby osobiście przyprowadzić ofiarę swojej gościnności. By uniknąć wtajemniczenia obcych osób, usiadł doktor Łazowert przy kierownicy samochodu; Jusupow włożył potężne futro ze skór reniferowych i ukrył twarz pod ciemną czapką z klapami na uszy. Następnie wsiadł do samochodu i wielki wóz potoczył się chyżo przez Fontankę w kierunku mieszkania Rasputina.

*

Rankiem tego samego 16 grudnia wrócił Grzegorz Jefimowicz, nie po raz pierwszy zresztą, mocno pijany do domu, czuł się niezwykle zmęczony i dlatego ograniczył w miarę możliwości program codziennych zajęć. O godzinie dziesiątej przed południem podszedł do telefonu i rozmawiał z

Anną Wyrubową, przy czym język odmawiał mu wciąż posłuszeństwa i z wielkim wysiłkiem wydobył z siebie kilka na pół zrozumiałych słów. Następnie załatwił szybko kilku petentów i udał się w towarzystwie agentów do kąpieli, by wypędzić wino, które tkwiło wciąż jeszcze w kościach. Około południa przywitał wierną, małą Munię, która tymczasem zjawiała się w mieszkaniu starca, po czym oddalił się do sypialni, aby nieco odpocząć. Dopiero wieczorem ukazał się znowu, wszedł do „san-

ktuarium", gdzie czekały na niego z utęsknieniem liczne zwolenniczki. Z radością przeczytał nadeszły telegram, z którego dowiedział się, że car mianował jego protegowanego Dobrowolskiego ministrem sprawiedliwości.

Munia wypytywała Grzegorza Jefimowicza, czy ma zamiar spędzić wieczór w domu, gdyż chciałaby u niego jak najdłużej pozostać; przypadek zrządził, że owego dnia myślała z prawdziwym bólem serca o rozłące z ukochanym starcem. Ten oświadczył i tajemniczym i filuternym uśmiechem, że będzie musiał jeszcze wyjść, nie może jednak wyjawić dokąd.

„Już ja się dowiem o tym", zagroziła Munia pieszczotliwie, „i przyjdę za tobą, czy będziesz chciał, czy nie!"

Ojciec Grzegorz odpowiedział żartobliwie: „Nie, mój gołąbku, tam, gdzie dzisiaj pójdę, nie możesz mi towarzyszyć!" Pocałował Munię w usta, uczynił nad głową dziewczęcia znak krzyża i powiedział na pożegnanie: „Niechaj cię Bóg błogosławi, moja duszko, teraz musisz już odejść!"

Munia pożegnała się i opuściła mieszkanie starca; przecież kazał jej odejść, a nie wypadało sprzeciwiać się lub buntować przeciwko woli świętego. Na schodach spotkała Annę Wyrubową, która właśnie śpieszyła do Rasputina. Zatrzymała ją i opowiedziała szybko, że Grzegorz Jefimowicz zamierza gdzieś pójść wieczorem i zachowuje się bardzo tajemniczo, należałoby więc użyć koniecznie wszelkich środków, by dowiedzieć się, o co właściwie chodzi.

Wyrubowa przybyła do starca, aby mu oddać z polecenia carowej święty obraz z Nowgorodu; Rasputin przyjął podarunek z widoczną radością, zaniósł obraz do gabinetu, postawił obok wielu innych ozdobionych

wstęgami ikon i umieścił przed nim lampkę oliwną. Później opowiedział Ani, że minister spraw wewnętrznych Protopopow zapowiedział odwiedzin w bardzo ważnej sprawie państwowej i zapewne wkrótce się zjawi. Gdy Wyrubowa nalegała, by nie ukrywał przed nią, gdzie zamierza spędzić noc, wyjawił jej starzec po krótkim wahaniu tajemnicę odwiedzin u Jusupowa, gdyż wiedział doskonale, że wierna Ania jest wyrozumiała i dyskretna. Opowiedział o zaproszeniu młodego księcia Jusupowa o prośbie, by nikomu, a zwłaszcza Gołowinom, nie doniósł o odwiedzinach u Feliksa.

Tajemnicza atmosfera odwiedzin nie spodobała się pani Wyrubowej, która dopatrywała się w niej obrazy dla starca; jeśli Jusu-

pow i jego małżonka wstydzą się przyjmować u siebie Rasputina w biały dzień i w obliczu całego świata, powinien starzec, jej zdaniem, w ogóle zrezygnować z gościny u księcia. Ale Grzegorz Jefimowicz opisał dziecinne prawie przywiązanie, jakie okazywał wobec niego w ostatnich czasach książę Feliks, i wskazał na gorące prośby o wyleczenie chorej księżny Iryny; nie mógł odmówić błaganiom księcia, gdyż Bóg udzielił mu na to cudownej siły uzdrawiania chorych, by pomagał wszystkim cierpiącym. Po długim naleganiu pani Wyrubowej dał się przynajmniej nakłonić do przyrzeczenia, że odłoży odwiedziny na inny dzień. Rasputin złożył przyrzeczenie dla uzyskania świętego spokoju, w rzeczywistości był nadal zdecydowany pojechać wieczorem do Jusupowów. Nie tylko bowiem miał poznać przepiękną Irynę Aleksandrownę i dowieść swych zdolności uzdrawiania chorych; również miły i przystojny Feliks przyrzekał mu zaśpiewać kilka nowych pieśni cygańskich. Jakże mógł w tym wypadku zrezygnować z wieczoru, który zapowiadał tak wiele radości!

Ania nie mogła zabawić tym razem dłużej u ojca Grzegorza, gdyż carowa prosiła ją, by zjawiła się na dworze jeszcze tego samego wieczoru i opisała szczegółowo rozmowę z kochanym, wiernym „przyjacielem”. Wkrótce też pożegnała się, obróciła się jeszcze w drzwiach i powiedziała prosząco: „Prawda, ojczulku, że nie pojedziesz do Feliksa? Przyrzekłeś mi to!” Rasputin pozostał w końcu sam, zawołał służącą, wieśniaczkę, Katię Iwanownę, która od pewnego czasu zajmowała się gospodarstwem starca, i kazał przygotować swoją nową, haftowaną w bławatki rubaszkę, uszytą z niebieskiego jedwabiu; poza tym polecił starannie wyczyścić buty z cholewami, gdyż chciałby owego wieczoru wyglądać specjalnie

uroczyście. Przy przebieraniu się poświęcał każdemu szczegółowi ubioru wiele uwagi, jak gdyby wybierał się do kościoła w okresie Świąt Zmartwychwstania.

Gdy jednak przyszło do zapięcia najwyższego guzika u koszuli, nie mogli niezgrabne i sztywne palce chłopskie wykonać tego zadania; na próżno męczył się starzec przed dużym lustrem, przed którym zwykle odwiedzające go panie przyprowadzały do porządku włosy, kapelusze i suknie. Przez dłuższy czas nie udawało mu się zapiąć krnąbrnego guzika, co wywołało potok przekleństw i złorzeczeń. W końcu pobiegł jak nieporadne, duże dziecko do

kuchni i poprosił błagalnie Katię, by mu pomogła, gdyż ta głupia księżniczka Szachowska przyszyła do koszuli za wielki guzik.

W chwili gdy Katia wstąpiła na stołeczek, aby zapiąć koszulę ojca Grzegorza, rozległ się dźwięk dzwonka przy tylnym wejściu do kuchni. Katia zeskoczyła szybko, pobiegła do drzwi i zameldowała, że przybył eksceleńcja minister Protopopow. Od czasu gdy Rasputin, po ustąpieniu zdradzieckiego Chwostowa zamianował Protopopowa ministrem spraw wewnętrznych, stał się on stałym gościem u starca i zasięgał jego rady w każdej ważnej sprawie wagi państwowej. Przychodził zwykle tylnymi schodami i wkładał się przez kuchnię do pracowni Grzegorza Jefimowicza, gdyż nie chciał, by go zauważył ktoś obcy. Mieszkańcy domu znali go dobrze i wiedzieli, że muszą przestrzegać bezwzględnej dyskrecji o odwiedzinach ministra.

Gdy Protopopow wszedł do kuchni i powitał starca, zdradzał wielkie zdenerwowanie. Był zmieszany, drżał na całym ciele i oddychał nieregularnie; zapadnięte oblicze było blade śmiertelnie, a oczy błyszczały nieprzytomnie. Rasputin pomyślał przez chwilę, że przeciwnicy ministra nie myślą się tak bardzo, jeśli twierdzą, że Protopopow jest niespełna zmysłów; jakkolwiek rzecz się naprawdę miała, był człowiekiem uczciwym i bogobożnym, a to było dla starca najważniejszą zaletą. Wobec tego uścisnął ministra z przyjaznym uśmiechem, ucałował go i zapytał dobrotliwym tonem: „Co się z tobą dzieje? Czy hultaje z Dumy znowu wyrządzili ci jakąś przykrość?”

Później zaciągnął gościa do gabinetu, gdzie Protopopow rzucił się starcowi na szyję, uścisnął go i wycałował, jak gdyby chciał pożegnać się z nim na zawsze. Zdenerwowany i rozgorączkowany, począł nalegać na Rasputina:

„Grzegorz Jefimowiczu, błagam cię, nie wychodź w najbliższych dniach z mieszkania! Wydałem rozkazy agentom, by podwoili czujność, gdyż dowiedziałem się, że źli ludzie mają zamiar dokonać zamachu na twoje życie! Zaklinam cię, bądź ostrożny, nie czyń kroku bez asysty, nie odwiedzaj żadnych lokali i nigdzie nie chodź, gdyż obawiam się nieszczęścia!”

Rasputin wysłuchał ministra do końca w milczeniu. Pomyślał, że Protopopow jest naprawdę dobrym i bogobożnym człowiekiem, niekiedy jednak zachowuje się jak człowiek pozbawiony zdrowych zmysłów! Trzeba tylko rzucić nań okiem, by przekonać się, że nie można w tej chwili brać poważnie jego słów!

„Jesteś dobrym i wiernym przyjacielem, mój kochany" odpowiedział wreszcie starzec serdecznym tonem, „ale wierz mi, że jesteś dzisiaj trochę zdenerwowany!" W zupełnym spokoju ujął Protopopowa za ramię, pogłaskał go i ciągnął dalej stanowczym, pewnym siebie głosem: „Nie obawiaj się, życie moje jest w ręku Boga i bez woli Pana nie może mi nikt uczynić nic złego! Idź teraz do domu, mój drogi, i wyśpij się dobrze; ja mam dziś jeszcze ważne sprawy do załatwienia".

Słowa Rasputina uspokoiły ministra w widoczny sposób; spokojny i pewny siebie ton starca rozwiął na chwilę jego obawy. „Zapewne nowa miłostka, co?" zapytał żartem przy pożegnaniu, ale Grzegorz Jefimowicz nie odpowiedział, lecz uśmiechnął się i popychał Protopopowa w kierunku drzwi wyjściowych: „Idź, idź sobie, muszę się jeszcze ubrać!"

Zaledwie opuścił minister mieszkanie starca, zadzwonił ktoś znowu do drzwi i za chwilę ukazała się „siostra Masza". Była to wysoka, nieco za bujnie rozwinięta blondyna, lat około dwudziestu pięciu, ubrana w ozdobny płaszcz z dzwonkami, która w ostatnich czasach była dość częstym gościem u Rasputina; nikt z otoczenia starca nie znał jej bliżej; nazywano ją „siostrą Maszą". Grzegorz Jefimowicz stracił cierpliwość, pomówił z gościem kilka słów i pożegnał się. Następnie zgasił światło w gabinecie i położył się w ubraniu na łóżku. W ciemnym pokoju przebłyskiwały tylko złotożółte płomyki lampek ikonowych.

O godzinie jedenastej w nocy wróciły do domu mała siostrzenica Aniuszka i córki Rasputina, które spędziły wieczór u znajomych. Zanim udały się do białego, pięknie urządzonego pokoju dla dziewcząt, weszły jak zwykle do gabinetu starca, aby życzyć mu dobrej nocy. Na widok Rasputina leżącego na łóżku w ubraniu, z butami na nogach i z szeroko rozwartymi oczami

przestraszyły się nieco i poczęły wypytywać ojca, czy ma jeszcze zamiar udać się do miasta. Grzegorz Jefimowicz milczał przez dłuższy czas, w końcu jednak powiedział: „Jadę w odwiedziny do «małego»; przybędzie po mnie o północy. Nie wolno wam jednak nikomu opowiadać o tym! Słyszycie? Pamiętajcie dzieci, że nikt nie śmie o tym wiedzieć, a specjalnie Munia nie powinna dowiedzieć się o odwiedzinach!” Położył palec wskazujący na wargi i zagroził dziewczętom żartobliwym ruchem ręki.

Niedługo potem zjawiała się w pokoju Katia z zapytaniem, czy

starzec potrzebuje jeszcze jej usług. Rasputin rozkazał jej pójść spać i nie troszczyć się wcale, gdyby nieco później zapukał ktoś do tylnych drzwi wejściowych. Katia wyszła z pokoju, jednak natychmiast spostrzegła, że starzec ma jakieś tajemnicze plany, i dlatego postanowiła na razie nie zasypiać, gdyż była aż nadto ciekawa dowiedzieć się, co zamierza uczynić tej nocy jej pan. Nie czekała zbyt długo; wkrótce rozległ się u tylnych drzwi krótki dźwięk dzwonka i Katia usłyszała, jak Rasputin na próżno usiłował stąpać na palcach w swych ciężkich butach, przemknąć się cichutko przez kuchnię i otworzyć drzwi bez żadnego szmeru.

Katia była bardzo ciekawa, toteż wysunęła na chwilę głowę z alkowy, gdzie stało jej łóżko, i zdołała przez kilka sekund obserwować późnego i tajemniczego gościa; był to wysoki, szczupły mężczyzna, owinięty szczelnie w futro, z twarzą zasłoniętą prawie w całości czarną czapką. Rozglądał się wokół siebie bacznie i ostrożnie, jakby miał obawy, że jest obserwowany, po czym zapytał szeptem: „Czy jesteś sam? Czy nikt nas nie słyszy?”

Katia poznała po głosie, że późnym gościem nie jest nikt inny tylko ów „mały”, który ostatnio tak często odwiedzał Rasputina. Nie wiedziała, kim jest nowy przyjaciel starca, słyszała tylko, że jest to małżonek pewnej wielkiej księżniczki. Obydwaj mężczyźni rozmawiali szeptem, toteż służąca posłyszała tylko jedno pytanie Grzegorza Jefimowicza: „Dlaczego otuliłeś się tak szczelnie we futra?” „Mały” rzucił w odpowiedzi kilka niezrozumiałych słów, po czym starzec wziął go pod ramię i zaprowadził do pracowni. Katia zaspokoila po części ciekawość, straciła zainteresowanie do tajemniczych planów Rasputina i wkrótce potem

usnęła.

Gdy obydwaj mężczyźni znaleźli się w pokoju do pracy, powiedział Grzegorz Jefimowicz: „Dzisiaj wieczorem był u mnie Proto-popow i zawiadomił mnie, że źli ludzie chcą mnie zamordować. Niech spróbują, nie uda im się to! Tak daleko nie sięgają ich ręce!" Następnie wziął na siebie płaszcz, otworzył szufladę i wyjął pieniądze. Jusupow patrzył z zaciekawieniem na zwitek banknotów leżący w szafie, równocześnie zaś zauważył Rasputin: „Córka moja, Matriona, poślubi niebawem oficera; cieszę się, że będę mógł dać jej ładny posag!" Później zamknął starannie szufladę i zgasił świecę.

W tej chwili odczuł Feliks coś w rodzaju palącego wstydu z powodu nikczemności swego postępowania. Był przecież na najlepszej

drodze do popełnienia hańbiącego czynu, gdyż miał zamiar zwabić do swego domu, i to pod pozorem zaproszenia w gościnę, bezbronnego człowieka, by go tam zamordować. Przez kilka sekund był gotów zrezygnować z realizacji długo przygotowywanych planów. Później jednak przypomniał sobie współuczestników zbrodni, uświadomił sobie patriotyczny cel całego przedsięwzięcia i przewyciężył chwilowy napad słabości.

Grzegorz Jefimowicz ukończył przygotowania do wyjścia, zamknął za sobą wszystkie drzwi, ujął Feliksa czule pod ramię i sprowadził go troskliwie ze schodów. Przy swym nieczystym sumieniu miał Jusupow wrażenie, że starzec ściska jego ramię żelazną obręczą; ciemności panujące na klatce schodowej wprawiały księcia w zamieszanie i zwiększały jego udrękę; zdawało się, że schody ciągną się w nieskończoność i przeminą wieki, zanim wyjdą na ulicę i wsiądą do szarego samochodu, u którego kierownicy siedział nieruchomy doktor Łazowert. Nawet w czasie jazdy zdradzał księżę wielkie zdenerwowanie i patrzył co chwilę na tylne okienko, by się upewnić, czy nikt nie jedzie ich śladami. Ulica była jednak zupełnie pusta, a doktor Łazowert prowadził wóz w szybkim tempie i różnymi bocznymi drogami nad Mojkę; w końcu znalazł się u celu, zajechał na podwórze i zatrzymał samochód przed bocznym wejściem do pałacu księcia Jusupowa.

*

Na górnym piętrze rozlegały się dźwięki gramofonu i rozbrzmiewały słowa amerykańskiej piosenki tanecznej; Rasputin stanął zaskoczony i zapytał: „Co to jest? Masz u siebie towarzystwo?”

Feliks uspokoił gościa: „Nie, tylko u mojej żony bawi kilku przyjaciół i

przyjaciółek; wszyscy wkrótce odejdą. Pójdziemy tymczasem do jadalni i napijemy się herbaty".

Grzegorz Jefimowicz uwierzył prostodusznie w słowa księcia i udał się za nim do podziemi, gdzie z ciekawością rozglądnął się po rzekomej jadalni. Szczególnie zainteresowała starca szafa z lustrami i kolumienkami; z dziecinną radością otwierał i zamykał małe drzwi i oglądał wnętrze szafy. Później usłuchał zaproszenia Jusupowa i siadł przy zastawionym stoliku do herbaty.

Wkrótce toczyła się już żywa rozmowa o wspólnych znajomych, o rodzinie Gołowinów, o Annie Wyrubowej, a w końcu o parze

cesarskiej. Feliks, który w swym zdenerwowaniu miał wciąż wrażenie, że gość powziął już pewne podejrzenia, wrócił umyślnie do ostrzeżenia Protopopowa i zapytał, czego właściwie minister się obawia.

„Tak”, odpowiedział Rasputin, „jestem dla wielu ludzi cierniem w oku, gdyż mówię zawsze prawdę. Nasi arystokraci są pełni zazdrości i nieżyczliwości! Dlaczegoż jednak miałbym się ich obawiać? Nie mogą mi nic złego uczynić! Próbowali już nieraz, lecz Bóg zawsze krzyżował haniebne plany moich wrogów!”

Jusupow wysłuchał mowy Grzegorza Jefimowicza z prawdziwym zakłopotaniem. Słowa starca wydały mu się obraźliwe, toteż postanowił jak najszybciej skończyć z tym prostackim chłopem. Nalał gościowi filiżankę herbaty i zaproponował mu zjedzenie ciasta, nie miał jednak jeszcze odwagi podać zatrutego czarnego pieczywa, lecz z początku poczęstował Rasputina nieszkodliwymi ciastkami o różowym kolorze. Dopiero w kilka minut później przemógł ostatecznie dotychczasowe niezdecydowanie i podsunął z serdeczną uprzejmością talerz z zatrutym pieczywem. Grzegorz Jefimowicz nie dał się dwa razy prosić i spożył od razu kilka kawałków tortu.

Książę Feliks czekał z drzeniem serca na zmianę w wyglądzie Rasputina, gdyż wedle zapowiedzi doktora Łazowerta miało cy-jankali działać natychmiast. Starzec mówił jednak bez zmiany, jak gdyby nic nie zaszło. Jusupow, zaniepokojony do żywego, podszedł do tacy, na której stały szklanki z zatrutym winem i poprosił Grzegorza Jefimowicza, aby skosztował powszechnie znane krymskie wino Jusupowów.

Rasputin, nie przeczuwając nic złego, opróżnił z widocznym zadowoleniem kilka kielichów wina; książę stał przed nim i nie spuszczał

zeń oka w oczekiwaniu, że starzec pod wpływem trucizny upadnie lada chwila nieżywy na ziemię, lecz wyraz twarzy Rasputina nie wykazywał żadnych zmian. Jusupow denerwował się, a tymczasem starzec spacerował po pokoju i w końcu poprosił o nowe wino. Feliks podał mu znów jeden z zatrutych kielichów; Grzegorz wychylił haustem napój, jednak i tym razem nie uwidoczniły się żadne skutki trucizny.

Gospodarz domu i gość siedli w końcu naprzeciwko siebie. Książę Jusupow daremnie wysiłał umysł, by wytłumaczyć sobie przyczynę nieskuteczności trucizny. Czyżby doktor Łazowert wy-

prowadził ich wszystkich w pole? Czyżby się pomylił i użył innego, niewinnego środka w miejsce groźnego, śmiertelnośnego preparatu? A może Rasputin jest nadczłowiekiem i posiada tyle sił życiowych, że może spożyć bez szkody dla siebie taką ilość trucizny, która mogłaby przynieść śmierć całemu towarzystwu normalnych ludzi? Ostatnie tłumaczenie było jednak mocno wątpliwe!

Księżę utopił wzrok w starcu i zdawało mu się, że w oczach gościa ukazują się już przebliski nieufności i podejrzania; po stwierdzeniu tego wstał, doszedł do ściany i zdjął wiszącą na niej gitarę. Grzegorz Jefimowicz uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy zobaczył ruch księcia i poprosił błagalnie: „Ach, zagraj coś, coś wesołego! Taki jestem szczęśliwy, gdy słucham twego śpiewu!”

Feliks Jusupow grał i śpiewał. Przesadnie słodkim i przymila-jącym się głosem odtwarzał jedną piosenkę cygańską za drugą, a Rasputin przysłuchiwał się z błogim uśmiechem. Ilekroć księżę przerywał śpiew, prosił natychmiast o dalsze pieśni, przy czym oblicze starca miało tak niewinny i czysty wyraz jak u prawdziwie świętego staruszka.

Tymczasem spiskowcy zgromadzeni w pracowni Jusupowa zniecierpliwili się i zaczęli hałasować, chcąc w ten sposób przynaglić księcia do zdecydowanego działania. Rasputin popatrzył na sufit i zapytał, co się właściwie dzieje tam na górze.

„Goście mojej żony zbierają się najprawdopodobniej do odejścia” odpowiedział zakłopotany Feliks. Później jednak, ucieszony, że znalazł wreszcie powód do opuszczenia pokoju, zapowiedział: „Pójdę na górę i sprawdzę, kto wyprawia te hałasy!” Z tymi słowy podniósł się i wyszedł pośpiesznie z pokoju z silnym postanowieniem przyniesienia broni palnej i

uśmiercenia starca, któremu nie dała rady trucizna, za pomocą kuli rewolwerowej.

Natomiast Rasputin patrzył za nim pełen przyjaźni i miłości: był przekonany, że Feliks po powrocie znów weźmie do ręki gitarę i zaśpiewa nowe piosenki. Ach, jak przyjemnie i błogo było w jego sercu, gdy zaśpiewał ten miły i przystojny chłopak!

*

Służąca Katia Iwanowna zbudziła się jak zwykle o godzinie piątej nad ranem. Zanim przystąpiła do codziennych zajęć w gospodarstwie domowym, rzuciła okiem do sypialni, by oczyścić ubranie i buty pana domu; łóżko było jednak puste.

Zdarzało się bardzo często, że o tej porze nie było jeszcze Rasputina w domu; ale wypadki ubiegłej nocy, niezwykle zachowanie się starca, tajemniczy i otulony w futra gość i szeptem prowadzona rozmowa między nim a Grzegorzem Jefimowiczem, wszystko to napełniło służącą nieopisaną trwogą. Przestraszona, pobiegła do pokoju dziewcząt, zbudziła Matryonę i zawołała trwożliwie: „Mario Grigoriewna, wstawaj pani, boję się strasznie! Grzegorz Jefimowicz nie wrócił do domu!”

Matriona nie rozbudziła się jeszcze na dobrze ze snu, przypomniała sobie jednak natychmiast słowa ojca wypowiedziane poprzedniego wieczoru przed udaniem się na spoczynek. Obawy Ka-tii rozgniewały ją, mruknęła też w półśnie: „Głupie gadanie! Ojciec poszedł do «małego»; prawdopodobnie przenocował w pałacu księcia!” Zdawało się jej, że w ten sposób nieobecność ojca jest całkowicie usprawiedliwiona, wobec czego odwróciła się na drugi bok i natychmiast zasnęła.

O godzinie siódmej przeszkodzono jej po raz wtóry we śnie: Katia, przestraszona i wyprowadzona z równowagi, stała koło łóżka, potrząsała nią i jęczała w panicznej trwodze: „Policja!”

Tym razem przestraszyła się również Matriona. Wstała szybko z łóżka, zbudziła siostrę, narzuciła na siebie szlafrok i udała się do przyległego pokoju, gdzie czekało już kilku detektywów. Urzędnicy dowiadywali się przede wszystkim, dokąd poszedł tej nocy Grzegorz Jefimowicz, i wypytywali wszystkich członków rodziny o najdrobniejsze szczegóły ubiegłego wieczoru. Matriona opowiedziała, że ojciec mówił w ścisłej tajemnicy, że ma zamiar odwiedzić „małego”, Waria i Aniuszka potwierdziły zeznania siostry, a Katia zdołała opowiedzieć o nocnym gościu w futrze i w czapce głęboko naciśniętej na oczy. Policjanci

zawezwali następnie administratora domu i agentów odbywających służbę na schodach i poddali ich przesłuchaniu: okazało się, że około północy zajechał przed dom wielki, szaro pomalowany samochód wojskowy, z którego wysiadł pewien pan w futrze, po czym zadzwonił i udał się tylnymi schodami do mieszkania Rasputina. Urzędnicy policji zanotowali starannie wszystkie szczegóły zeznań, pożegnali się i odeszli, nie zaznaczyli jednak ani słowem strwożonym domownikom, o co właściwie chodzi.

Zaledwie zamilkły kroki odchodzących policjantów, pośpieszyła Matriona do telefonu i zawezwała Munię Gołowinę; ta

uspokoiła strwożone dziewczę i oświadczyła, że jeśli Grzegorz Jefimowicz spędził noc u Feliksa Jusupowa, nie ma żadnych powodów do obaw; prawdopodobnie położył się tam spać i zapewne wróci niebawem do domu.

Około godziny ósmej jak co dzień ukazali się pierwsi petenci: nieporadni chłopci z odległych guberni z podaniami w rękach, niżsi i wyżsi urzędnicy, którzy chcieli sobie zapewnić poparcie starca, ludzie interesu, ubogie wdowy, matki z chorymi dziećmi, generałowie, żołnierze, biskupi, zakonnice i panie z jaskrawo szminkowanymi wargami. Wszyscy przybywali z nadziejami, że wizyta na Grochowej przyniesie im szczęśliwy zwrot na drodze życia, posadę, awans, pensję, szczodrobliwy datek, zyskowny interes, szybkie uzdrowienie, przynoszące szczęście, błogosławieństwo, albo też ojcowski pocałunek.

O godzinie dziesiątej przed południem zapełnili oczekujący petenci prawie cały pokój do przyjęć, lecz Grzegorz Jefimowicz jeszcze nie wrócił do domu. Niekiedy przemknął ktoś z rodziny w pośpiechu przez poczekalnię, nie zwracając jednak ani przez chwilę uwagi na pytania czekających; niekiedy znów otwierały się drzwi do jadalni i jedna ze zwolenniczek rozglądała się nerwowo po przedpokoju.

Drzwi do tajemniczego gabinetu starca, gdzie zwykł był przyjmować na osobności przystojne panie, stały teraz na oścież otwarte; w pośpiechu zapomniał je ktoś zamknąć. W ten sposób zdołali petenci zaobserwować z przedpokoju wszystkie szczegóły urządzenia gabinetu; zwykłe polowe łóżko żelazne z futrzaną kołdrą, umywalnię i ozdobione wstęgami obrazy świętych obok okna. Tajemniczy gabinet, który dawniej fascynował wszystkich gości w poczekalni, ilekroć w jego drzwiach zniknął Rasputin

zjedna z kobiet, wydawał się dzisiaj całkiem zwyczajnym i pospolicie urządzonym pokojem, pustym i smutnym, bez cienia tajemniczości i czaru. O godzinie dziesiątej jak codziennie zabrzączał telefon; wszyscy petenci wiedzieli, że jest to wezwanie z Carskiego Sioła. W innych dniach dochodziły spokojnie do aparatu służąca albo jedna ze zwolenniczek, aby zawołać za chwilę starca, tym razem jednak wywołał dźwięk dzwonka silne wzburzenie. Kilka osób pobiegło szybko do telefonu, zza półotwartych drzwi dochodziły beładne i podniesione głosy. Gdy wkrótce potem zatrzaśnięto drzwi, nie można było w przedpokoju słyszeć treści podnieconej rozmowy.

Z wolna zapanował w przedpokoju ogólny niepokój; nikt nie mógł wytłumaczyć, gdzie starzec tak długo przebywa i co mają oznaczać tajemnicze szepty, przebieganie przedpokoju tam i z powrotem przez coraz to innego członka rodziny i ogólne rozgorączkowanie. Mimo wszystko jednak nie odważył się nikt z czekających na głośną rozmowę i wkrótce rozszerzył się w poczekalni osobliwy szum wielu cichutko szepczących osób.

Okolo godziny jedenastej przybyła do mieszkania Rasputina Munia Gołowina w towarzystwie matki. Na wiadomość, że Grzegorz Jefimowicz dotychczas nie wrócił do domu, powlekła się jej twarz śmiertelną bladością, a wąskie, dziewczęce wargi zadrgały nerwowo. Wyraziła gotowość natychmiastowego telefonicznego porozumienia się z Feliksem Feliksowiczem i udała się w tym celu do pobliskiego sklepu z owocami, aby nie powiększyć niepokoju panującego w mieszkaniu. Po powrocie zakomunikowała, że książe Feliks opuścił rano pałac i dotychczas jeszcze nie wrócił; mogła więc tylko mówić z kamerdynerem, który jednak oświadczył, że o niczym nie wie.

Zdawało się, że wszystkie panie siedzące w milczeniu naokoło stołu w pokoju jadalnym zostały dotknięte paraliżem; nagle zadzwieczał telefon i Katia zameldowała, że książe Jusupow pragnie porozumieć się z Matrioną. Ta jednak, przestraszona i zdenerwowana, nie mogła zdobyć się na żaden wysiłek fizyczny, toteż w jej zastępstwie doszła do aparatu stara pani Gołowina. Pozostałe panie słyszały, że staruszka mówiła przez telefon po angielsku podnieconym głosem; w końcu wróciła do stołu z trupio bladym obliczem i szepnęła do córki z widocznym zdenerwowaniem, że Feliks twierdził, jakoby Grzegorza Jefimowicza w ogóle nie było u niego

ubiegłej nocy.

Wiadomość ta wywołała ogólne zakłopotanie. Córki i Aniuszka twierdziły stanowczo, że ojciec wyraźnie zapowiedział, iż udaje się do „małego” w odwiedzin, a Katia powtórzyła, że z całą pewnością rozpoznała w spóźnionym gościu „małego przyjaciela”. Pani Gołowina zauważyła nieśmiało, że nie jest wykluczona pomyłka, lecz nikt nie dał wiary temu słabemu pocieszeniu i wkrótce opanowało wszystkich uczucie bezsilnego zwątpienia.

W całym mieszkaniu zapanowało dłuższe, niepokojące milczenie, godziny płynęły z męczącą powolnością. W końcu zjawiała się nagle Katia i zakomunikowała, że biskup Izydor, który od wczes-

nego rana zajmował się poszukiwaniem zaginionego starca, przybył do mieszkania w towarzystwie urzędnika policyjnego i pragnie mówić z Matrioną.

Biskup wszedł do pokoju z policjantem; urzędnik trzymał w ręku wielki, brunatny kalosz, położył go przed Matrioną na stół i zapytał trzeźwym i rzeczowym tonem: „Pani jest córką Grzegorza Jeimowicza? Czy może pani rozpoznać ten kalosz marki Treugolnik, wielkość 10, jako własność ojca?”

Matrioną wzięła do ręki kalosz, patrzyła nań przez kilka sekund nieprzytomnym wzrokiem i miast odpowiedzi wybuchła rozpaczliwym płaczem. Natychmiast pobiegły do niej Waria, Aniuszka, panie Gołowiny i reszta zwolenniczek starca i wszystkie zgodnie rozpoznały w kaloszu własność Rasputina.

Daremnie usiłował teraz policjant dokończyć czynności urzędowych, daremnie opowiadał, że strażnik mostu Piotrowskiego, któremu zwrócili uwagę dwaj robotnicy, znalazł w porze obiadowej kalosz i ślady krwi na lodzie między trzecim i czwartym filarem wielkiego mostu. Natychmiast zaalarmowano policję, na miejsce przybył sam kierownik rewiru, podniesiono i zbadano dokładnie kalosz, a w końcu wysłano do rozpoznania. Nikt w mieszkaniu Rasputina nie poświęcał opowiadaniu urzędnika policyjnego najmniejszej nawet uwagi; córki starca szlochały rozpaczliwie, zwolenniczki dostały ataku hysterii, a służąca Katia, krzycząc i zawodząc, przebiegała jak szalona przez wszystkie pokoje. Naraz rozpoczęli również petenci w poczekalni, którzy dotychczas rozmawiali między sobą szeptem, zachowywać się głośno i hałaśliwie. Znakomici generałowie i wyżsi urzędnicy, którzy przyszli dla wyproszenia

protekcji u Rasputina, usiłowali teraz wynieść się jak najszybciej i po kryjomu z poczekalni w słusznym przeczuciu, że niebawem zjawi się policja, a byłoby przecież o wiele lepiej uniknąć urzędowego stwierdzenia obecności w mieszkaniu starca. Jeśli bowiem odpowiadało prawdzie, że Grzegorz Jefimowicz nie żyje, nie mógł nikt na pewno przewidzieć, kto w przyszłości będzie decydował o rozdawaniu posad, stanowisk i godności, i dlatego należało za wszelką cenę wystrzegać się kompromitacji, jaką były bezsprzecznie odwiedziny u starca.

Natomiast wszyscy ubodzy, chłopci, niżsi urzędnicy, potrzebujący materialnej pomocy petenci i petentki pozostali nadal w mieszkaniu; niektórzy z nich podchodzili do drzwi innych po-

mieszkań, naciskali klamki i rozchodzili się po wszystkich pokojach. Niebawem wałęsali się już wszędzie na pół ciekawi, na pół strwożeni ludzie, drzwi rozwarły się na oścież, mężczyźni i kobiety wchodzili i wychodzili, a wszędzie rozbrzmiewały żalosne skargi, płacz i rozpaczliwe okrzyki.

Ktoś powiedział w najwyższym wzburzeniu, że starzec miał już z początkiem miesiąca przeczucie bliskiej śmierci i nieraz oświadczał, iż umrze niebawem wśród okropnych męczarni, gdyż Bóg wybrał go mimo wszystkich grzechów na ofiarną owieczkę, mającą odkupić złe uczynki bliźnich. Inni znów przypomnieli sobie, że Grzegorz Jefimowicz nie chciał się zgodzić tego roku na wyjazd syna do Pokrowskoje na Święta Bożego Narodzenia i powiedział przy tej sposobności: „Mitia, nie odjeżdżaj, nie zobaczysz mnie już więcej, nie dożyję Nowego Roku!”

Później zjawiała się policja; tajni agenci pootwierali wszystkie szuflady, przeglądali papiery, rozbili zamki od biurka, zapieczętowali kilka paczek i przesłuchali sekretarzy Rasputina. Szukali starannie pieniędzy, owych legendarnych skarbów, które miał pono nagromadzić Grzegorz Jefimowicz, i przetrząsnęli wszystkie zakamarki w poszukiwaniu listów carowej, aby je na czas ukryć przed oczyma niepowołanych osób.

W końcu doszedł jeden z urzędników do ludzi wałęsających się po pokojach, którzy nie zdradzali wcale ochoty pójścia do domu, i wezwał ich do opuszczenia mieszkania. Niebawem zapełniła klatkę schodową niespokojna, szepcząca i rozgorączkowana gromada biednych ludzi, niskich urzędników, żołnierzy, starych kobiet, chłopów i zakonnic. Za chwilę znikło wszystko w zamglonym zmierzchu zimowego popołudnia.

*

Gdy Anna Wyrubowa opowiedziała carowej wieczorem dnia 16 grudnia, że Grzegorz Jefimowicz ma zamiar odwiedzić księcia Jusupowa, aby poznać jego małżonkę, zdziwiła się bardzo Aleksandra: „To musi być nieporozumienie, gdyż Iryna Aleksandrow-na nie przebywa obecnie w Petersburgu, lecz, na Krymie”.

Nic dziwnego, że telefoniczna wiadomość o zagadkowym zniknięciu starca w dniu 17 grudnia zaniepokoiła w wysokim stopniu Annę Wyrubowa. Za ledwie doniosła jej Matriona Rasputina, że

ojciec nie wrócił jeszcze do domu, udała się natychmiast do carowej i obie przyjaciółki odbyły dłuższą naradę celem wyjaśnienia tajemniczych wypadków. Carowa musiała niebawem wyjechać celem zwiedzenia szpitala, wróciła jednak, pędzona wewnętrznym niepokojem, po krótkim czasie do pałacu i zażądała telefonicznego połączenia z ministrem Protopopowem. Ten widząc, że carowa domyśla się już czegoś, musiał zameldować, że patrolujący w pobliżu pałacu Jusupowów policjant słyszał w nocy strzały. Nie zdołano jednak jeszcze całkowicie wyjaśnić przyczyny strzałów. Carowa przestraszyła się śmiertelnie i z trudnością zdobyła się na wydanie rozkazów ministrowi, by osobiście przeprowadził surowe śledztwo i przesyłał jej stale sprawozdania o stanie sprawy.

Car bawił właśnie wtedy w kwaterze głównej, a w jego towarzystwie znajdowali się komendant pałacu Wojejkow i większość adiutantów i w ten sposób carowa i Ania były pozostawione same sobie, bez rady i bez opieki. Nie wątpiły już ani na chwilę, że starca spotkało nieszczęście i straszne uczucie niepohamowanego lęku opanowało obydwie przyjaciółki. Aleksandra nie mogła i nie chciała dopuścić do siebie myśli, że jej jedyny przyjaciel, zbawca następcy tronu i najwierniejszy przyjaciel cara nie żyje. Cóż się stanie z nimi wszystkimi bez dobroci, miłości i pomocy ojca Grzegorza? Pośród niezliczonych nieprzyjaciół i złych, nieżyczliwych ludzi był jedynym, zesłanym przez Boga przyjacielem i doradcą; jeśli nie starczy ojca Grzegorza, musi wkrótce ulec zagładzie również i rodzina cara, o tym wiedziała na pewno Aleksandra. Z płaczem padła na szyję Ani, która jedyna mogła zrozumieć jej ból i rozpacz, gdyż i ona straciła wszystko ze śmiercią Grzegorza.

Około południa zadzwieczył telefon i Protopopow donosił szczegółowo o

wynikach dotychczasowego śledztwa policyjnego. Na tej podstawie zdobyły obie kobiety wyraźny obraz wypadków ubiegłej nocy: Policjant patrolujący nad Mojką usłyszał w krótki czas po północy odgłosy strzałów rewolwerowych z podwórza pałacu Jusupowów, po czym pośpieszył na miejsce, skąd doszły strzały i spotkał przed pałacem samego księcia. Na pytanie, czy zaszedł jakiś nieszczęśliwy wypadek, odpowiedział książę Jusupow ze śmiechem, że jeden z gości w podchmielonym stanie wystrzelił kilka razy w powietrze. Urzędnik nie odważył się podać w wątpliwość oświadczenia tak

wysokiego pana, zasalutował służbowo i oddalił się. W jakiś czas potem zawezwał go jednak ponownie Jusupow za pośrednictwem odźwiernego do pałacu i kazał zaprowadzić urzędnika do gabinetu prywatnego. Tam znajdował się już pewien pan w szarym mundurze polowym, który zwrócił się nagle do policjanta i przedstawiając się jako poseł do Dumy Puryszkiewicz, doniósł mu, że w nocy zamordowano w pałacu Rasputina, znanego zbrodniarza i szkodnika; jeśli on, policjant, kocha cara, winien zachować najgłębszą tajemnicę o wszystkim, co zaszło tej nocy. Urzędnik przyrzekł, że będzie milczał, później jednak uczynił zadość obowiązkowi służbowemu i zameldował o wszystkim inspekcyjnemu kierownikowi rewiru.

Wczesnym rankiem zjawiała się w pałacu Jusupowa komisja policyjna i przeprowadziła szczegółową rewizję; natrafiono przy tym na szeroki ślad krwi, który ciągnął się przez schody i w poprzek całego podwórza. Książę Feliks usiłował wytłumaczyć ślady oświadczeniem, że w czasie nocnej uczty jeden z gości zastrzelił psa ze swawoli; w istocie na środku podwórza leżał nieżywy pies, władze ustaliły jednak ponad wszelką wątpliwość, że ilość przelanej krwi jest stanowczo za duża, by mogła pochodzić od psa.

Protopopow donosił carowej, że w tych okolicznościach nie można mieć już wątpliwości, że Jusupow i jego przyjaciele zamordowali ubiegłej nocy Rasputina. Minister oświadczył równocześnie, że mimo dowodów winy nie może wydać nakazu aresztowania zbrodniarzy, gdyż w sprawę jest wmieszany pewien członek rodu panującego, a to użycza wszystkim współuczestnikom zamachu pewnego rodzaju nietykalności.

Teraz dopiero poznała Aleksandra całą nikczemność skrytobójczego

zamachu, teraz dopiero przekonała się o tchórzostwie morderców, którzy wciągnęli do spisku wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza, aby zapewnić sobie bezkarność. Carowa знаła już w ten sposób wszystkie wyniki śledztwa, gdy poszczególni mordercy próbowali oczyścić się w jej oczach z podejrzeń o współudział w zamachu. Jako pierwszy zwrócił się telefonicznie wielki książę Dymitr i prosił o pozwolenie złożenia wizyty w Carskim Siole, carowa jednak odmówiła stanowczo jego życzeniu. Niedługo potem zameldował się przy telefonie Feliks Jusupow i wyraził podobną

prośbę; Aleksandra poleciła zawiadomić go, by nie przybywał do pałacu, lecz złożył oświadczenie na piśmie.

Wieczorem wpłynęło do kancelarii pałacowej pismo księcia, w którym jeszcze raz nadmienił, że Rasputina nie było w nocy wcale w pałacu nad Mojką, i powtórzył znaną bajeczkę o zastrzelonym psie. Carowa nie posiadała się wprost z oburzenia z powodu tego nowego tchórzostwa ze strony książęcego mordercy i przekazała natychmiast list Jusupowa nowemu ministrowi sprawiedliwości Dobrowolskiemu celem dołączenia go do akt sprawy.

Aleksandra, zdenerwowana w najwyższym stopniu, pisała w dniu 17 grudnia do męża, przebywającego w kwaterze głównej: „Siedzimy wszyscy razem i na pewno nie potrafisz wyobrazić sobie naszego stanu duchowego. Rasputin znikł! Wczoraj jeszcze była u niego Ania i dowiedziała się przy tej sposobności, że ma zamiar odwiedzić w nocy księcia Jusupowa. W nocy zajechał przed dom naszego przyjaciela samochód wojskowy z dwiema cywilnymi osobami i Rasputin odjechał razem z nimi...

W ostatnich dniach czuł się starzec bardzo dobrze i znajdował się w doskonałym nastroju. Feliks twierdzi, że nie był wcale u niego, lecz nie ma już cienia wątpliwości, że książę kłamie. Liczę jeszcze na łaskę niebios i mam nadzieję, że ograniczono się tylko do uprowadzenia Rasputina w ukryte miejsce. Protopopow czyni wszystko, by wyświecić tajemniczą zagadkę. Proszę cię, przyślij natychmiast komendanta pałacu Wojejkowa, gdyż my kobiety z naszymi słabymi nerwami czujemy się bardzo samotne. Prócz tego musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności dla zabezpieczenia życia Ani, gdyż obawiam się, że w przeciwnym wypadku

przyjdzie teraz kolej na nią. Nie mogę wciąż jeszcze uwierzyć w to, że Rasputin nie żyje! Boże, zlituj się nad nami! Jestem pełna z wątpienia, lecz nie mogę przecież uwierzyć, że Rasputina naprawdę już nie ma!"

Tego samego dnia wysłała carowa również dwa telegramy do męża:

„Przyślij natychmiast Wojejkowa; potrzebujemy pomocy, gdyż ubiegłej nocy znikł Rasputin bez śladu. Pokładamy nadzieję jedynie w Bogu. W aferę wmieszani są Feliks i Dymitr".

„Protopopow czyni wszystko, co może. Feliksa, który chciał wyjechać na Krym, zatrzymano. Tęsknię za twoim przyjazdem. Oby nam Bóg nadal pomagał!"

Dnia 18 grudnia wysłała Aleksandra następującą depezę: „Modliłam się w kaplicy domowej. Dotychczas nie odnaleziono śladu Rasputina. Policja prowadzi bez przerwy poszukiwania. Obawiam się, że ci nieszczęśni młodzieńcy dopuścili się czegoś strasznego, nie straciłam jednak całkowitej wiary w opatrzność Bożą. Przyjedź natychmiast, gdyż potrzebuję twej pomocy!”

17 i 18 grudnia przeminęły w nieopisanej rozpacz i niepewności, aż wreszcie Protopopow zameldował carowej, że znaleziono zwłoki Rasputina. Po odkryciu kalosza Rasputina w okolicy mostu Piotrowskiego zarządziły władze prace nad rozbijaniem lodu na Newie i wysłały na miejsce kilku nurków, którzy wkrótce wyłowili zwłoki starca. Ręce i nogi Rasputina były związane silnymi sznurami, a na całym ciele znajdowały się liczne rany klute i postrzałowe. Gdy wrzucano Rasputina do Newy, najprawdopodobniej żył jeszcze, gdyż jedno ramię uwolniło się na poły z krępujących je więzów, a płuca napełnione były wodą.

Po odnalezieniu zwłok przewieziono je natychmiast w najgłębszej tajemnicy do schroniska weteranów w Cezmie, znajdującego się poza miastem na drodze do Carskiego Sioła; niebawem przybył tam profesor Kosorotow, dokonał sekcji zwłok i spisał protokół o ranach i przyczynie śmierci starca.

Gdy carowa dowiedziała się w końcu o wyłowieniu zwłok, rozkazała, by siostra Akulina, zakonnica, którą niegdyś uzdrowił Rasputin w czasie bytności w klasztorze Ochtoj, oddała zmarłemu ostatnią przysługę. Siostra Akulina czuwała przez całą noc u łoża zamordowanego starca, obmyła zwłoki i otuliła je w nowe szaty; na koniec wcisnęła do bezwładnych rąk Rasputina krucyfiks i list pożegnalny carowej Aleksandry:

„Mój drogi męczenniku" tak brzmiały ostatnie słowa ostatniego pisma carowej do najwierniejszego przyjaciela, „udziel mi twego błogosławieństwa, bym mogła z myślą o Tobie kroczyć po pełnej cierpienia drodze, jaką mam jeszcze przebyć w tym doczesnym świecie. Pamiętaj podczas modłów w niebiesiech również i o nas na ziemi! Aleksandra".

Na drugi dzień przewiozła siostra Akulina w samochodzie trumnę ze szczątkami starca do Carskiego Siola. Policja puściła pogłoskę, że zwłoki przetransportowano do Pokrowskoje, chcąc w ten sposób zapobiec ewentualnym zbiegowiskom; w rzeczywistości zaś odbył się pogrzeb w parku Carskiego Siola w dniu 21 grudnia,

w mroźny i mglisty poranek zimowy. Zwłoki pochowano w miejscu, na którym Ania Wyrubowa planowała pierwotnie zbudować schronisko dla inwalidów. W ponurej uroczystości wzięli udział: para cesarska, wielkie księżniczki, Ania, Protopopow, adiutanci Loman i Malcew, siostra Akulina i córki starca. Zanim przybito wieko trumny, umieściła Matriona na piersi ojca święty obraz, który przywiozła niedawno carowa z Nowgorodu, po czym przemówił duchowny dworski Wasyljew, udzielił zwłokom ostatniego błogosławieństwa i śmiertelne szczątki Grzegorza Jefimowicza Rasputina pogrzyły się w ziemi 49.

Czyniąc zadość wewnętrznej potrzebie obcowania z ludźmi, którzy naprawdę kochali „przyjaciela”, wzywała odtąd carowa bardzo często córki Rasputina do Carskiego Sioła. Zarówno Aleksandra jak i wszystkie wielkie księżniczki nie szczędziły słów i trudu, by tylko pocieszyć opuszczone dziewczęta i sam car oświadczył kilkakrotnie, że zastąpi nieszczęśliwym sierotom ojca.

Ohydna zbrodnia, której ofiarą padł Grzegorz Jefimowicz, wywołała od razu nieprześlągnięty gniew i oburzenie w duszy władcy Rosji. Po powrocie z kwatery głównej przywitał oczekujących go urzędników dworu następującymi słowami: „Wstydzę się przed całą Rosją, że ludzie pozostający w bliskim pokrewieństwie z rodziną panującą splamili swe ręce krwią tego niewinnego człowieka”.

Oczywiście car zatwierdził po powrocie wszystkie zarządzenia przeciwko mordercom, jakie wydała carowa Aleksandra w czasie nieobecności męża. Tak wielki książę Dymitr, jak i książę Jusupow znajdowali się pod ostrą kontrolą i nie wolno im było w żadnym wypadku opuścić mieszkania. Książę Feliks udał się natychmiast po odkryciu zbrodni do pałacu Dymitra

Pawłowicza, gdyż policja nie miała prawa wstępu do mieszkania wielkiego księcia; obydwaj przyjaciele oczekiwali w ten sposób razem wspólnego losu i wspólnej kary. Niebawem rozwinęła się zażarta walka o wymiar kary między parą cesarską a grupą wielkich książąt, którzy stanęli w obronie morderców. Car wypowiedział się już na samym początku za bezwzględny ukaraniem sprawców ohydneho mordu, co wywołało najwyższe oburzenie u wszystkich wielkich książąt. Specjalnie wielki książę Aleksander Michajłowicz czynił wszystko, co możliwe, by wymusić wstrzymanie postępowania karnego przeciwko mordercom; przybył do biura ministra sprawiedliwości Dobrowolskiego, krzyczał nań w zdenerwowaniu i rozkazy-

wał w ostrym tonie, by natychmiast zatuszował całą sprawę. Minister nie uląkł się jednak grózb wielkiego księcia, powołał się na specjalne rozkazy cara i wymusił w ten sposób, że Aleksander Michałowicz zwrócił się wprost do cara. Na audiencji doszło do gorącej i głośnej wymiany słów, której odgłosy dochodziły do kilku sąsiednich pokoi. Sprzeczka zakończyła się w ten sposób, że car pokazał wielkiemu księciu drzwi. Mimo wszystko jednak wyszła jeszcze raz na jaw słabość charakteru cara Mikołaja; uległ w końcu rozlicznym namowom, zrezygnował z planowanych początkowo ostrych kar i ograniczył się jedynie do wygnania wielkiego księcia Dymitra do Persji, a księcia Feliksa do jednej z leżących na odludziu posiadłości Jusupowów. Chociaż nałożone kary były bardzo łagodne, wywołały jednak wśród wielkich książąt silne rozgoryczenie i wszyscy członkowie rodu panującego wystosowali do cara podanie z prośbą o uchylenie wygnania dla Dymitra Pawłowicza. Car napisał na marginesie podania następujące słowa: „Nikt nie ma prawa do mordu!” i podtrzymał wszystkie wydane zarządzenia.

*

„Patriotyczny i bohaterski czyn” księcia Jusupowa i jego kompanów okazał się wkrótce tym, czym był w istocie od samego początku, a mianowicie nikczemną zbrodnią i tchórzliwym skrytobójczym mordem. Do takiej oceny przyczyniło się w wysokim stopniu zachowanie się sprawców zamachu po dokonaniu morderstwa. „Patriotyczni bohaterowie” nie mieli wcale ochoty do publicznego wyświeślenia pobudek zbrodni i otwartego przyznania się do popełnionego czynu; przeciwnie, rozpoczęli gorączkowo usiłowania do zrzucenia z siebie wszelkich podejrzeń, pragnęli wyprzeć się zbrodni i zapewnić sobie bezpieczeństwo bez

względu na honor i sumienie.

Książę Jusupow, młody arystokrata i krewny cara, nie wahał się ani przez chwilę przed złożeniem fałszywej przysięgi wobec carowej, przed okłamywaniem władczyni Rosji i przed opowiadaniem zmyślonych faktów, których nieprawdziwości można było w każdej chwili dowieść.

Uważał raczej za stosowne zachować prawdę na później, by wypowiedzieć ją w projektowanych już wówczas pamiętnikach.

367

Reszta współuczestników zachowywała się podobnie: ani wielki książę Dymitr, ani słynny mówca i poseł do Dumy Purysz-kiewicz nie zdobyli się na odwagę do otwartego i publicznego wy-luszczenia „ideologicznych” pobudek zbrodniczego czynu, lecz uparcie zaprzeczali znanej już powszechnie prawdzie.

Natomiast lud rosyjski odczuł natychmiast swym zdrowym instynktem, że w tym wypadku nie chodzi o heroiczny czyn, tylko o zwykłą, pospolitą zbrodnię. Oczywiście łaknące sensacji koła towarzyskie stolicy przyklaskiwały mordercom, a nawet zdarzyło się, iż pojedynczy ludzie, karierowicze i awanturnicy polityczni dochodzili do siebie w podnieceniu na Newskim Prospekcie i składali wzajemne gratulacje z powodu zamordowania Rasputina; przecież systematyczna akcja przeciwko starcowi, uprawiana w salonach towarzyskich i w parlamencie, przyczyniła się do tego, że Rasputin uchodził w niektórych kołach za prawdziwego zbrodniarza. Wszyscy ludzie, którzy daremnie prosili Grzegorza Jefi-mowicza o nominacje, udzielenie koncesji albo też przeprowadzenie brudnych, lecz zyskownych interesów, obwieszczali teraz na cały głos, że usunięcie Rasputina uwolniło całe państwo od nieznośnego i szkodliwego ciężaru.

Zupełnie inne wrażenie wywołała wiadomość o zamordowaniu starca wśród zwykłych chłopów. Dla nich pozostał Grzegorz Jefi-mowicz tym samym chłopem, jakim był niegdyś, przedstawicielem muzyków na dworze carskim, jedynym, który wśród tych wszystkich znamienitych i bogatych panów walczył o prawdziwe interesy rosyjskiego ludu. Chłopi kochali swego starca i odczuli wiadomość o zamordowaniu Rasputina jako ciężką niesprawiedliwość i głębokie zmartwienie. W tysiącach chat

syberyjskich oplakiwano losy Grzegorza, chłopą, który zawędrował do Petersburga, by służyć radą carowi, znieawidzonego i w końcu zamordowanego przez arystokratów.

Na prowincji rozlegały się bardzo często głosy przesądnych ludzi, którzy uważali zamordowanie Rasputina za nieszczęsną wróżbę i przytaczali z zatroskanymi minami słynne powiedzenie starca: „Jeśli ja umrę, straci wkrótce potem car władzę i koronę!”

|

Okręt śmierci

W Zakładach Putyłowskich, w Bałtyckiej Stoczni i na przedmieściach wrzało: niezadowoleni robotnicy odbywali zebrania, porzucali pracę, mówcy wzywali otwarcie do buntu i propagowali walkę przeciwko drożyznie, przeciw rządowi, a nawet przeciwko carowi. Policja prosiła o pomoc wojskową, lecz sprowadzone oddziały skierowały ogień na policję zamiast na strajkujących robotników.

„Jakie straszliwe czasy przeżywamy obecnie!” pisała carowa do męża w dniu 22 lutego 1917. „Współczuję i cierpię z Tobą więcej, niż mogę wyrazić to słowami. Cóż mam począć? Mogę się tylko modlić. Nasz wierny przyjaciel Rasputin modli się za nas w nie-biesiech; w tej chwili jest mi jeszcze bliższy. Jak chętnie posłuchałabym uspokajającego i pocieszającego głosu Rasputina!”

W następnych dniach i tygodniach wzrastało wrzenie z godziny na godzinę. W Petersburgu panował lodowaty mróz, lecz nie było drzewa. Ludzie głodowali, gdyż nie dowożono chleba. Przed składami z pieczywem stały tłumy ludności, przez całą noc wiły się coraz dłuższe ogonki czekających na chleb; coraz częściej zdarzało się, że masy traciły cierpliwość i plądrowały po prostu sklepy z żywnością. W tych burzliwych dniach przypominała sobie nieraz carowa, jak Rasputin na krótko przed śmiercią mówił do cara, że najważniejsze jest zaopatrzyć biednych i głodujących, „aby lud nie stracił wiary w miłość swego cara”.

Rasputin jednak nie był już między żywymi, rady jego pozostały bez echa, a skutki tego ukazywały się obecnie na każdym polu i w każdym miejscu.

W olbrzymich demonstracjach żądała

369

369

ludność chleba i pokoju; na Newskim Prospekcie przychodziło codziennie do krwawych starć z oddziałami utrzymującymi porządek; oficerowie policji ginęli od noża lub kuli. Ogólne niezadowolenie i bunt skierowały się niebawem przeciwko systemowi, przeciw rządowi i carowi.

Demonstrujące masy śpiewały „Mar-sylianę” i żądały gwałtownie ustąpienia ministrów i abdykacji cara. Rząd nie mógł już opanować sytuacji, toteż rozwiązał się i każdy z ministrów usiłował na własną rękę ratować się ucieczką. Niebawem zbuntował się garnizon, a nawet oddziały gwardii przeszły wśród dźwięków orkiestry na stronę rewolucjonistów.

W tych krytycznych czasach przebywał car w kwaterze głównej, daleko od Petersburga; po pierwszych wiadomościach o niepokojach oświadczył wobec najbliższego otoczenia, że chętnie złoży koronę, jeśli lud naprawdę sobie tego życzy; ma szczerzy zamiar usunąć się do Liwadii i poświęcić się wyłącznie ulubionej przezeń hodowli kwiatów. Gdy ze stolicy nadchodziły coraz to poważniejsze wieści, zmienił, jak nieraz w życiu, postanowienia i skierował na Petersburg naprędce zebraną armię z rozkazem zduszenia buntu siłą broni. Atoli i ta armia przeszła bez walki na stronę rewolucjonistów i wtedy musiał car dojść do przekonania, że znajduje się w położeniu bez wyjścia. 15 marca na małej stacyjce między kwaterą główną a Carskim Siołem, w wagonie salonowym pociągu dworskiego wręczył car kilku posłom do Dumy akt abdykacyjny.

W dniu 22 marca wrócił byłby car jako więzień nowego rządu do Carskiego Sioła, gdzie w tym czasie ustanowiono bardzo ostry dozór wojskowy nad wszystkimi członkami byłego rodu panującego. W nocy z dnia 22 na 23 marca wtargnęła grupa zrewoltowanych żołnierzy do parku zamkowego, rozkopała grób Rasputina, wyjęła trumnę i uprowadziła ją do lasu w

Pargolowo. Tam zbudowano olbrzymi stos z rzucono nań na pół zbutwiałą trumnę ze zwłokami starca, oblano naftą i spalono.

*

Już pięć miesięcy żyła rodzina cesarska uwięziona w obrębie Carskiego Sioła. Wieczorem dnia 13 sierpnia doniósł im niespodzianie komendant pałacu, by rozpoczęli przygotowania do odjazdu, gdyż rząd tymczasowy zamierza wysłać ich jeszcze tej samej

370370

nocy z Petersburga. Carowa zdołała dowiedzieć się od wartownika, że przewiozą ich na Sybir, do guberni tobolskiej, gdzie będą przebywać aż do dalszych rozporządzeń rządu.

Co za dziwny splot okoliczności: były to przecież te same okolice, skąd pochodził Rasputin, skąd przyszedł do nich, by służyć parze cesarskiej radą i pomocą w okresach niedoli! Carowa wykorzystała ostatnie godziny pobytu w miejscu, gdzie przepędziła „dwadzieścia trzy lata szczęśliwego życia”, na pożegnanie się z wszystkim, co było jej niegdyś drogie. W końcu napisała kilka słów do wiernej Ani, która przebywała od kilku miesięcy w więzieniu, w twierdzy Piotra i Pawła:

„Wyobrażam sobie Twój nowy, wielki smutek; olbrzymie przestrzenie, jakie będą odtąd leżeć między nami. Nie wiemy jeszcze, dokąd nas zawiozą; dowiemy się o tym dopiero w drodze. Nie wiemy również, jak długo potrwa nasze wygnanie. Przypuszczam jednak, że przeniosą nas w te strony, które Ty niedawno zwiedziłaś. Opromieniony duch naszego przyjaciela woła nas...”

Przygotowania rodziny cesarskiej ciągnęły się bardzo długo. O północy zameldowano, że do zamku przybył nowy, rewolucyjny minister sprawiedliwości Kierenski. Wszyscy zgromadzili się w wielkim półokrągłym pokoju do przyjęć, gdzie zjawił się niebawem również minister i zaznajomił zebranych z uchwałą tymczasowego rządu, skazującą „rodzinę obywatela Romanowa” na zesłanie do Syberii.

O godzinie piątej nad ranem wsiedli Mikołaj, Aleksandra i dzieci do samochodu, wyjechali na dworzec kolejowy i zajęli miejsca w wagonie. 17 sierpnia przybyli do Tiumenu; tam oczekiwał ich już parowiec rzeczny „Russ”, który zdążył do Tobolska.

Rankiem następnego dnia dowiedziała się rodzina cara, że parowiec przepłyne w pobliżu wsi Pokrowskoje; wszystkich opanowało uczucie nieopisanej żalości. Jak dziwne są zrządzzenia boskie, że pozbawieni tronu i upokorzeni wygnańcy mieli obecnie znaleźć się niedaleko miejscowości, z której ongiś wyszedł Grzegorz Jefimowicz jako zwykły pątnik, w grubych butach i ubogim kożuchu chłopskim, by z czasem zawędrować na zamek cesarski!

W oddali, na brzegu rzeki, ukazywały się już kontury małej czystej wioski z wieżą cerkiewną na wzgórzu, z szerokimi i białymi ulicami. Ot, widać już nawet dom mieszkalny Rasputinów;

swymi dwoma piętrami przewyższał wszystkie zabudowania wioski.

Zebrani na pokładzie parowca spoglądali w nabożnym skupieniu na wieś.

Ania była już nieraz z polecenia carowej w Pokrow-skoje, mieszkała w domu Rasputina, spała na matach jak starzec i jego bliscy i chodziła z nim i z rybakami na brzegi Tury. Ania opowiadała swym cesarskim przyjaciółom bardzo dużo o Pokrow-skoje i życiu rodzinnym Grzegorza Jefimowicza. Zнали też każdy szczegół, tyczący tej odległej wioski syberyjskiej.

Szczególnie duże zaciekawienie i podniecenie okazywał młody Aleksiej, który nie mógł oderwać wzroku od przesuwających się wzdłuż parowca obrazów. A więc to był ów bajeczny zakątek z tajemniczą stajnią, z rozmawiającymi końmi, otoczony bezmiernymi stepami pełnymi kwiatów, z których każdy posiadał duszę jak człowiek! Oto były okolice, o których dobry i kochany ojczulek Grzegorz opowiadał tak wiele chorowitemu chłopcu! O tej to miejscowości powiedział pewnego razu Rasputin: „Wszystko, cały ten bajeczny kraj należy do twego ojca i matki, a kiedyś będzie twoją własnością!” Teraz jednak był Aleksiej dużym chłopcem i wiedział, że ojciec, matka i on sam są tylko biednymi, wygnanymi więźniami.

Parowiec minął już dawno małą wioskę, a wszyscy rozmawiali wciąż jeszcze o Grzegorzu, przypominali sobie wszystko, co mówił i czynił, uświadamiali sobie rolę, jaką odegrał w ich życiu. Teraz dopiero przypomniała sobie carowa słowa, jakie usłyszała od Ani na długo przed strasznym nieszczęściem. Ojciec Grzegorz przechodził pewnego razu z dwiema przyjaciółkami obok twierdzy Piotra i Pawła. Nagle zatrzymał się i zawołał wzruszonym głosem: „Widzę wielu umęczonych ludzi, całe

masy ludności, stosy nieżywych ciał! Między nimi znajduje się wielu wielkich książąt i setki hrabiów! Nawa zaczerwieni się od przelanej krwi!" Jakże dziwnie brzmiały te słowa teraz, gdy wróżba stała się rzeczywistością. Jeszcze raz rzucili wszyscy okiem w stronę, Pokrowskoje które zniknęło za zakrętem rzeki, po czym odmówili krótką modlitwę, której nauczył ich jeszcze Grzegorz Jefimowicz. Parowiec płuł dalej z wolna fale rzeki. W oddali wyłaniały się ze zmierzchu późnego wieczoru letniego zarysy kremlu w Tobolsku. Parowiec, który wiozł ostatniego cesarza Rosji i jego bliskich w nieznaną przyszłość, płynąc w dół rzeki, zlewał się z wolna z ciemnościami letniego wieczoru.

Przypisy

- 1 Żona hr. Aleksandra Pawłowicza Ignatiewa, ministra oświaty w gabinecie Aleksandra Trepowa w 1916 r.
- 2 Maurice Paleologue (1859—1944) jest autorem bardzo interesujących wspomnień, zawierających sporo ciekawych obserwacji na temat Rasputina: *Am Zarenhof wdhrend des Weltkrieges. Tagebucher und Betrachtungen*, t. I—II, Miinchen 1927.
- 3 Rasputin był przeciwnikiem wojny i miał ponoć wielokrotnie ostrzegać przed jej negatywnymi skutkami dla państwa rosyjskiego. Już wcześniej powstrzymał rzekomo cara przed wmieszaniem się w konflikt bałkański. Gdy wojna światowa i udział w niej Rosji stały się faktem, Rasputin opowiadał się za rozluźnieniem sojuszu z Francją i zbliżeniem do Niemiec. Proponował więc tym samym dokonanie zasadniczej zmiany w polityce zagranicznej. Nie brakowało w związku z tym podejrzeń, że Rasputin był w istocie agentem niemieckim. Jak dotąd nie potwierdzono tego zarzutu. Brakuje na jego poparcie jakichkolwiek dowodów.
- 4 Syna Mikołaja II, w. ks. Aleksieja (1904—1918), chorego na hemofilię.
- 5 Ks. Feliks Jusupow, hr. Sumarokow-Elston. Miał żonę z rodziny cesarskiej. Irena Jusupow była córką w. ks. Aleksandra Michajłowicza i w. ks. Kseni, rodzonej siostry Mikołaja II.
- 6 Wieś w guberni tobolskiej na Zachodniej Syberii. Nie jest znana dokładna data urodzenia Grigorija Jefimowicza Rasputina. Istnieje kilka takich dat hipotetycznych. Najczęściej wymienia się 1863, 1864, 1865, a nawet 1871, 1872, 1873, 1874. Tę ostatnią wymieniał Rasputin w udzielanych dziennikarzom wywiadach. Jego życiorys ma zresztą cały

szereg innych luk. Niewiele wiemy o dzieciństwie i okresie młodzieńczym Rasputina. Wiadomo jedynie, że nie odebrał żadnego wykształcenia. Do końca życia pozostawał właściwie półanalfabetą. Umiał jedynie stawiać

na papierze niezgrabne kulfony. Młody Rasputin od rówieśników różnił się jedynie nieposkromionymi skłonnościami do dziewczek wiejskich i alkoholu. Na jednym i drugim polu zdobył niebawem nieporównywalną sprawność. Nie znalazłszy odpowiedzi na wiele kwestii religijnych, zaczął wędrować po klasztorach i prowadzić pobożne rozmowy. Pielgrzymował nawet do słynnego klasztoru na górze Athos i grobu Chrystusa w Jerozolimie, uczestniczył w religijnych dysputach, a z czasem sam zaczął głosić „słowo boże”. Zrobiono nawet z niego mnicha, którym oczywiście nie był. Jak pisał prof. Ludwik Bazylow w pracy *Obalenie caratu*: „Nie słabiutkie wykształcenie i marna znajomość trudnego pisma grażdńskiego były tego przyczyną — w Rosji zdarzali się nawet dostojnicy w hierarchii cerkiewnej, którzy pod tym względem ledwie dorównywali Rasputinowi. Rasputin po prostu nie był osobą duchowną i nie ma żadnej potrzeby doszukiwania się powodów”.

7 Starowiercy (staroobrzędowcy, raskolnicy), ruch religijno-społeczny skierowany przeciw reformom patriarchy Nikona (1605—1681) wprowadzony w rosyjskim kościele prawosławnym (zmiany w tekstach liturgicznych, innowacje obrzędowe). Był zwalczany przez władze kościelne i państwowe.

8 Z Praskowią Fiodorowną Dubrowin Rasputin miał troje dzieci: syna Dymitra i dwie córki — Natalię i Matrionę (Marię). Ta ostatnia jest autorką interesujących wspomnień o ojcu, *Raspoutine, mon pere* (przekład z angielskiego), Paris 1966.

9 Oskarżał on oficjalnie Rasputina o przynależność do wyjętej spod prawa sekty chłystów. Sprawę tę rozpatrywały tobolskie władze państwowe, potem gubernialne, miejscowi archijereje, inspektorzy seminarium

duchownego. Rasputin w tym czasie był już w drodze do Petersburga, gdzie wkrótce rozpoczął się nowy etap w jego błyskotliwej kaznodziejskiej karierze. Nie udało się jak dotąd rozstrzygnąć, czy Rasputin rzeczywiście był chłystem. Wydaje się, że to raczej jego nauki, daleko odbiegające od ortodoksyjnej wykładni kościelnej, zbliżały go do sekty chłystów, a jego przeciwnicy chętnie rozpowszechniali pogłoski, że popierany przez niektórych wysoko postawionych duchownych Rasputin, korzystając z ich opieki, rozpowszechnia po całej Rosji praktyki chłystowskie, polegające na grupowych modlitwach i czynieniu pokuty w ustronnych miejscach, przeradzające się w wyuzdane orgie seksualne.

10 Najprawdopodobniej jesienią 1903 r. Rasputin przybył do Petersburga z listami polecającymi od archimandryty Chrysanfa Szczepkowskiego.

Dzięki temu mógł dotrzeć do rektora petersburskiej Akademii Duchownej — Teofana (Wasyla Bystrowa) i oddać się pod jego opiekę.

11 Właściwie Hermogenes (Gieorgij Dołganiew), biskup saratowski.

12 Iliodor (Heliodor), zakonne imię Sergiusza Trufanowa, mnicha

z Carycyna, znanego ze swojej czarnosecińskiej działalności. W 1912 wyrzekł się godności kapłańskich i opuścił Rosję. Zmarł w USA w 1952 jako baptysta. Pozostawił wspomnienia dotyczące Rasputina nasycone skrajnym subiektywizmem i wyjątkowo ostrymi sformułowaniami. Iliodor, Swiatoj czort (Zapiski o Rasputinie) s predisłowiem S. P. Mielgunowa, Moskwa 1917.

13 Alicja ks. Hessen-Darmstadt (1872—1918) wraz z poślubieniem cara Mikołaja II przeszła z protestantyzmu na prawosławie. Niebawem stała się żarliwą zwolenniczką nowej religii na pograniczu dewocji. Przyjęła imię Aleksandra.

14 Anna Wyrubowa (1880—1964), z domu Anna Aleksandrowna Taniejewa. córka dyrektora kancelarii cesarskiej, nieodstępna towarzyszka carowej. Aż do końca swych dni była jedną z najgorętszych i ślepo oddanych wielbicielek Rasputina. Pozostawiła po sobie dziennik, wydanie francuskie, *Journal secret d'Anna Viroubova* (1909—1917). Paris 1929.

15 Ks. Włodzimierz Orłow był naczelnikiem kancelarii polowej od 1906 do sierpnia 1915 r. Należał do grupy najbliższych współpracowników cara. Było „tajemnicą poliszynela”, że Orłow bardzo krytycznie wypowiadał się o carycy. Traktował ją jako główną winowajczynię wielu potknięć w polityce państwa. Sugerował ponoć zamknięcie carycy w klasztorze i w ten sposób wyeliminowanie wpływów politycznych stojących za nią „ciemnych sił”, a poprzez to usprawnienie decyzji wojskowych cara.

16 Zginął w 1881 r. od bomby rzuconej przez Polaka Ignacego Hryniewickiego, członka Narodnej Woli.

17 Matką Mikołaja II była Maria Fiodorowna z domu ks. Dagmara Duńska.

18 Włodzimierz Kokowcow (1853—1943), długoletni minister finansów (1904—1905 i 1906—1914), był premierem po Piotrze Stołypinie, formalnie od 11 września 1911 do 30 stycznia 1914. Okres jego rządów charakteryzował się wzrostem nastrojów opozycyjnych i katastrofalną sytuacją ekonomiczną.

19 Sergiusz Witte (1849—1915) wybitny rosyjski mąż stanu, minister komunikacji w 1892 r., finansów w latach 1892—1903 i premier w latach 1905—1906. Był znany ze swego negatywnego stosunku w kwestii udziału Rosji w wojnie światowej.

20 W. ks. Sergiej Aleksandrowicz został zabity w lutym 1905 r. przez członka eserowskiej organizacji Iwana Kalajewa. Po tym wydarzeniu jego bardzo religijna małżonka wiodła samotny, pokutny żywot w klasztorze przez siebie ufundowanym, ale nigdy nie złożyła ślubów zakonnych. Do Carskiego Sioła przybywała bardzo rzadko i to z okazji bardzo ważnych uroczystości rodzinnych. Pozostawała w złych stosunkach

z imperatorową, przede wszystkim z powodu Rasputina, którego uważała za pospolitego szarlatana.

21 Piotr A. Stołypin (1862—1911) od kwietnia 1906 carski minister spraw wewnętrznych, od lipca tegoż roku premier. Był autorem słynnej ordynacji wyborczej, która zapewniała w Dumie przewagę elementom prawicowym. Zainicjował reformę rolną, korzystną dla zamożnego chłopstwa. Drastycznymi środkami zwalczał wpływy ruchu rewolucyjnego. Zginął 14 września 1911 r. w Kijowie w wyniku zamachu dokonanego przez członka partii eserowskiej Dymitra Bagrowa, włączonego do ochrony osobistej cara.

Stołypin w powszechnej opinii uchodził za zdecydowanego antagonistę Rasputina. I nie ustawał w wysiłkach celem usunięcia „starca” z dworu petersburskiego. Kilkakrotnie otwarcie rozmawiał o szkodliwej działalności przybysza z dalekiej Syberii z carem Mikołajem i przedstawiał mu na poparcie swoich słów plik notatek opartych na raportach policyjnych. Podczas jednej z takich rozmów oświadczył ze zgorszeniem, iż Rasputin chodzi z kobietami do łaźni. Na to car odpowiedział spokojnie: „Wiem o tym, on i tam upowszechnia Pismo Święte”.

Na początku 1911 r. doszło nawet do osobistej rozmowy Stołypina z Rasputinem. Premier oświadczając, że może w każdej chwili oddać Rasputina pod sąd, kategorycznie zażądał opuszczenia przezeń stolicy i dopiął swego. Był to jeden z nielicznych triumfów nad urastającym w znaczenie „świętym mnichem”. Rasputin większość roku 1911 spędził w podróży. Według przekazów znalazł się w dniu zamachu na Stołypina w Kijowie i ujrzawszy na ulicy premiera, przepowiedział jego rychłą śmierć.

22 Iwan Goremykin (1839—1917), minister spraw wewnętrznych (1895—1899), premier (1906 i 1914—1916), znany reakcjonista; jego uległość umożliwiła niemal otwartą ingerencję imperatorowej w politykę państwa, nie mającą właściwie żadnych ograniczeń od czasu, gdy car objął naczelne dowództwo walczących na frontach wojsk. Ustąpił z urzędu, a jego miejsce zajął Borys Stiirmer (1848—1917), uważany za jeszcze bardziej nieudolnego i powolnego wobec carycy.

23 Do rodziny cesarskiej weszły dwie córki króla czarnogórskiego Mikołaja (Nikity) Petrović-Njegosza(1841 —1921), Milica (1866—1951), małżonka w. ks. Piotra Mikołajewicza, oraz Anastazja (Stana) (1867— 1935) — małżonka w. ks. Jerzego Leuchtenberskiego, a po rozwodzie w. ks. Mikołaja Mikołajewicza. Obie żarliwe mistyczki i protektorki ludzi „nawiedzonych”. Poprzez Jarosława Miedwiedia, spowiednika ks. Milicy, weszły w kontakt z coraz bardziej głośnym Rasputinem i wprowadziły go do najwyższych sfer arystokratycznych Petersburga. Najprawdopodobniej 1 listopada 1905 w pałacu Znamieńskim przedstawiły go po raz pierwszy parze cesarskiej. Potwierdzają to zapiski cara Mikołaja II.

376

<|

376

24 Autor ma tu na myśli trzech ludzi, którzy na ogół nie odstępowali od cara i byli jego najbliższymi doradcami: ministra dworu hr. Włodzimierza Fredericksa, komendanta pałacowego Włodzimierza Wojejkowa i admirała Konstantego Niłowa. Najstarszy z nich, hr. Fredericks (ur. w 1838), uchodził za pozbawionego energii, życiowego syba-rytę i dziwaka. Admirałowi Niłowowi przypisywano zaś nadmierne skłonności do alkoholu. Wszyscy trzej nie utrudniali działalności Rasputinowi. Nie wiadomo zresztą, czy w ogóle usiłowali pomniejszać wpływy tajemniczego mnicha na dworze. Wojejkow, notabene zięć hr. Fredericksa, w każdym bądź razie wspominał: „Mówiłem carowi, że według mnie i towarzystwa Rasputin nie powinien być przyjmowany. Ale uzyskałem chłodną odpowiedź: Możemy przyjmować, kogo chcemy”.

25 Ks. Michał Andronnikow, syn Zofii, baronówny Ungern von Sternberg, był jednym z najgłośniejszych ówczesnych intrygantów i aferzystów o rozległych wpływach. Udzielał poparcia Rasputinowi nie zaniebując przy okazji własnych interesów.

26 Warnawa (Barnaba), właściwie Wasyl Nakropin, biskup tobolski. Swą godność otrzymał dzięki wpływom Rasputina. Pochodził z guberni ołonieckiej, z rodziny chłopskiej. Nie posiadał prawie żadnego wykształcenia. Mimo to po wstąpieniu do klasztoru dzięki osobistym zabiegom doszedł do wysokich stanowisk. W 1911 r. przy protekcji Rasputina, z którym się przyjaźnił, został wikariuszem eparchii ołonieckiej.

27 Ignacy Manus. Jeden z czołowych pietrogradzkich finansistów pochodzenia żydowskiego, m.in. dyrektor zarządu towarzystwa miejscowej fabryki wagonów. Miał powiązania z wieloma

przedsięwzięciami opartymi o kapitały niemieckie.

28 Ks. Włodzimierz Mieszczercki, reprezentant skrajnie reakcyjnych kół politycznych carskiej Rosji, wydawca pisma „Grażdanin”.

29 Aleksy Chwostow. minister spraw wewnętrznych, nadmiernie ambitny i żądny władzy. Próbował bezskutecznie położyć kres wpływom Rasputina i osób z nim powiązanych, podejrzewając, że wysługują się one wywiadowi niemieckiemu, choć sam przyznawał, że nigdy konkretnie dowodów w tej sprawie nie uzyskał.

30 Małżonka barona Romana Rosena, członka Rady Państwa.

31 Dawid F. Strauss (1808—1874), niemiecki filozof i teolog. Analizując życie Chrystusa stworzył panteistyczną interpretację genezy chrześcijaństwa.

32 Osławiony dr Philippe był oszustem. W rzeczywistości nazywał się Nivier-Vachot i był we Francji pomocnikiem rzeźnickim. Dzięki pośrednictwu rosyjskiego attache wojskowego w Paryżu hr. Murawicwa poznał ks. Milicę czarnogórską, która zachwyciła się jego okultystycznymi zdolnościami i sprowadziła do Petersburga.

33 Iwan Manasewicz-Manujłow był jednym z najgłośniejszych afe-

rzystów finansowych w ostatnich latach carskiej Rosji, powiązanych z najwyższymi sferami politycznymi Petersburga. Był bliskim towarzyszem Rasputina. Nie brak również podejrzeń, że w istocie rzeczy za sprawowanie opieki nad Rasputinem był opłacany przez petersburską ochronę.

34 Stąd właśnie używane później przez Rasputina nazwisko — Nowych. Nazwisko Rasputin pochodziło od pierwotnej nazwy rodzinnej wsi Pokrowskoje — Pedkino Rasputije. Trzeba przyznać, że było ono wielce kłopotliwe dla właściciela. W potocznym języku znaczyło bowiem tyle co brudas, rozpustnik, nieokrzesaniec, hańbiciel dziewcząt. Ten ostatni epitet był zresztą przez wrogów „mnicha z Syberii” używany najczęściej, zwłaszcza po tym, gdy Rasputina zaczęto oskarżać o dokonanie gwałtu na piastunce Wiszniakowej.

35 Potwierdzają to również relacje naocznych świadków. Rasputin w pewnych okresach czasu odwiedzał parę cesarską o różnych porach dnia. W dziennikach kamerdynerskich są tylko 3 zapisy wizyt Rasputina:

1. 17 października 1914 „o godz. 930 wieczorem Ich Wysokoście przyjęli Grigorija Jefimowicza Rasputina”.
2. 23 kwietnia 1916 „o godz. 920 wieczorem Ich Wysokoście przyjęli G. J. Rasputina”.
3. 5 września 1916 „o godz. 945 wieczorem życzyli sobie przyjąć G. J. R.”

36 Anna Wyrubowa wspominała: „Gospodarz i gospodyni (car i caryca — J. W.) nazywali Rasputina po prostu Grigorij, on nazywał ich «papą» i «mamą». Przy spotkaniach on całował ich, ale gospodarz i gospodyni nigdy nie całowali jego rąk. Kiedy chorowali Pani albo następca tronu,

zapraszali Rasputina do chorego albo telegramem prosili o modlitwę. W 1911 r., kiedy następca miał wewnętrzny krwotok, zawiadomiono o tym Rasputina, a ten uspokoił Panią i Pana telegramem z zapewnieniem, że następca tronu będzie żyć.

Na początku 1916 Pan nieoczekiwanie zawrócił z następcą z drogi do Kwatery Głównej dlatego, że zaczął się u niego atak hemofilii i nastąpiło krwawienie z nosa. Niezwłocznie wezwano Rasputina. Nie uczestniczyłam przy tym, co było dalej, ale ze słów Pana i Pani wiem o tym, że prof. J. P. Fiedorów nie mógł powstrzymać krwotoku, że pojawił się Rasputin i przeżegnał następcę tronu. Prof. Fiedorów i jego asystent mówili, że u następcy tronu występują dziedziczne krwotoki spowodowane cienkością naczyń krwionośnych i że on nigdy z tego nie wyjdzie. Rasputin zaś uspokajał ich twierdząc, że wyrośnie z tego. Czy nie było to dostatecznie wiele, aby zdobyć wiarę i miłość rodziców bezgranicznie kochających syna?"

37 Generał Aleksander Spirydowicz. Szef ochrony osobistej cara Mikołaja II. Pozostawił po sobie interesujące wspomnienia, Wielikaja woj-

na i fiewralskaja riewolucija 1914—1917 gg. New York, t. I—II 1960, t. III 1962.

38 brodjaga — włóczęga, drapichrust, obieżyświat.

39 W rzeczywistości Rasputin został zmuszony do opuszczenia Petersburga pod naciskiem premiera Stołypina. Co do samej pielgrzymki i pobytu w Jerozolimie to nie ma w tej sprawie wiarygodnych przekazów. Dokładne daty są nie do ustalenia. Wiadomo jednak, że po wyjeździe ze stolicy Rasputin był na Syberii, a we wrześniu 1911 r. w Kijowie.

40 Autor myli tu Aleksandra Trepowa z Kokowcowem. To właśnie ten pierwszy proponował Rasputinowi 200 tys. rubli pod warunkiem, że przestanie się mieszać w sprawy Rosji. Rasputin chytrze odpowiedział: „Tym człowiekiem jest Mikołaj II. On mi nie pozwolił”.

41 Autor w tym miejscu zasugerował się nie sprawdzonymi pogłoskami. Wydarzenie to miało zgoła inny przebieg. 15 lutego 1912 r. doszło do spotkania Rasputina z Kokowcowem w obecności zięcia tego ostatniego, Walerego Mamontowa. Rasputin po wysłuchaniu dłuższej tyrady pełnej oskarżeń, że naraża parę cesarską na kompromitację, rozповідаjąc, że nominacje ministerialne zależą od niego, zrezygnowany musiał obiecać, że wkrótce wyjedzie. Rozżalony, nie powstrzymał się jednak od uwagi, że jeśli do wyjazdu dojdzie, to niech go później nie proszą, żeby wrócił. Do wyjazdu Rasputina ze stolicy rzeczywiście doszło, ale nie rozstał się z parą cesarską na długo. Już w marcu był z powrotem w Petersburgu.

42 16 czerwca 1914 r. fanatyczka religijna, niejaka Chionia Gusie-wa, wdarła się do domu Rasputina w Pokrowskoje i pchnęła go nożem w brzuch. Rana była ciężka, ale wkrótce „święty” starzec powrócił do zdrowia i przyjechał do stolicy.

43 Mikołaj Makłakow był ministrem spraw wewnętrznych w okresie 1913—1915.

44 W rzeczywistości chodzi o generała Konstantego Głobaczowa, szefa ochrony petersburskiej.

45 Skandal w moskiewskiej restauracji „Jar” miał według w pełni wiarygodnych przekazów miejsce 26 marca 1915. Mikołaj II, po wysłuchaniu doniesień zawartych w raporcie wiceministra spraw wewnętrznych Włodzimierza Dżunkowskiego, złożył zapewnienie, że podejmie właściwe kroki. I rzeczywiście już nazajutrz po audiencji Dżunkowskiego u cara, tj. 5 sierpnia, Rasputin musiał opuścić Piotrograd, ale 10 dni później Dżunkowski otrzymał dymisję. Wzmacniający swę pozycję na dworze „świętobliwy Grigorij” po raz ostatni został zmuszony do opuszczenia stolicy, 28 września był już w niej z powrotem.

46 Włodzimierz Suchomlinow, minister wojny 1909—1915, jeden z najzdolniejszych carskich dowódców wojskowych. Niezadowolenie z jego metod kierowania resortem wojny, a zwłaszcza apodyktyczny charak-

ter powodowały, że miał wielu wrogów w najwyższych sferach politycznych Petersburga. Car mimo przywiązania do ministra musiał pod naciskiem opinii publicznej zrezygnować z jego usług w czerwcu 1915 r. Wytoczono mu później proces za nadużycie władzy, łapownictwo i udzielanie fałszywych informacji. Zmarł na emigracji w 1926 r.

47 Na jesieni 1915 r. Mikołaja Szczerbatowa na stanowisku szefa resortu spraw wewnętrznych zastąpił Aleksy Chwostow, były gubernator wołogodzki i niżnonowgorodzki. Jedno z trzech stanowisk wiceministrów powierzono senatorowi Stefanowi Bieleckiemu, byłemu wicedyrektorowi Departamentu Policji.

48 Biskup tobolski Wara wa (Wasył Nakropin), który doszedł do zaszczytów dzięki poparciu Rasputina, zaangażował się w sprawę kanonizacji Joana (Jana), arcybiskupa tobolskiego, zmarłego w 1715 r. Władze cerkiewne uznały, że postąpił samowolnie. Z inicjatywy oberprokuratora synodu Aleksandra Samarina został wezwany do Piotrogradu celem złożenia wyjaśnień, następnie ukarano go i unieważniono kanonizację Joana. Car jednak nie zatwierdził tej decyzji i udzielił w dodatku Samarinowi dymisji. Triumf Rasputina i stojących za nim „ciemnych sił” był pełny.

Anna Wyrubowa umieściła później trumnę ze zwłokami w specjalnie wybudowanej kaplicy. Na polecenie Rządu Tymczasowego szczątki Rasputina zostały spalone, a prochy rozrzucono po polach, by zapobiec szerzeniu się kultu jego osoby.

Od Wydawcy

Decydując się na pierwsze powojenne wznowienie czytelniczego „przeboju” lat międzywojennych, pragniemy, aby nasi Czytelnicy potraktowali tę książkę z lekkim przymrużeniem oka, tak jak traktuje się edytorską ciekawostkę, bowiem — by użyć tu określenia autora wstępu, Jacka Wilamowskiego — ten beletrystyczno--dokumentalny koktajl stanowi wciąż doskonały przykład reagowania literatury popularnej na obszary rzeczywistości zarezerwowane dla wydarzeń o sensacyjnym czy wręcz skandalizującym posmaku.

Ze względu na dłużyzny i szczególnie nużące dla współczesnego odbiorcy fragmenty książki, zdecydowaliśmy się na całkowite pominięcie jednego i częściowe eliminacje kilku innych rozdziałów.

Spis treści

Wstęp	5
Maski Rasputina	16
Lata nauki i wędrówki	24
Kaznodzieja z izdebki podziemnej.....	46
W obliczu arcykapłanów	65
Nieszczęsna sielanka w Carskim Siole	82
Przyjaciel.....	141
Z historii pewnej klatki schodowej	177
Ojciec Grzegorz przyjmuje gości	796
W „sanktuarium”.....	236
Tańczący starzec.....	262
Bunt przeciwko „świętemu diabłowi”	280
Przyjęcia u księcia Andronnikowa.....	298
Morderca z gitarą.....	375
Okręt śmierci	369
.....	373

Okładkę i strony tytułowe projektował

JAN OPALIŃSKI

Redaktor techniczny

ANDRZEJ HRYNKIEWICZ

i

Wydawnictwo Łódzkie

Łódź 1990

Wydanie drugie. Ark. wyd. 25.52. Ark. druk. 2X.25. Papier ollset.. ki. III.

rola 61 cni. Łódzka Drukarnia D/ielowa. Łódź. ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.

Zam. nr 66/11(10/89

